

Cykl SIGMA FORCE

# JAMES ROLLINS



TYGIEL ZŁA

ALBATROS

CZY BĘDZIEMY ARCHITEKTAMI WŁASNEGO KOŃCA?

CZY TWORZĄC SZTUCZNĄ INTELIGENCJĘ, WYWOŁAMY DEMONY?

Z PEWNOŚCIĄ! CHYBA ŻE PRZECIWSTAWIMY ŚWIATŁO CIEMNOŚCI

I WIEDZĘ IGNORANCJI

### **Atak w bibliotece**

W noc zimowego przesilenia w bibliotece najstarszego portugalskiego uniwersytetu w Coimbrze zbiera się pięć kobiet, by być świadkiem przełomowej prezentacji. Ich młoda podopieczna ma przedstawić owoc swoich prac: program przyjaznej SSI – sztucznej superinteligencji. Mentorzy dziewczyny giną w ataku nieznanymi sprawców.

### **Cios w serce Sigmy**

Dla agentów tej agencji ataki na ich życie nie są niczym nowym. Dotąd jednak żaden wróg nie odważył się uderzyć w tak brutalny sposób: żona Monka Kokkalisa jest w śpiączce, a ich dwie córki wraz z ciężarną dziewczyną komandora Graysona Pierce'a zostają uprowadzone.

### **Królowa Śniegu**

Postawiona w stan gotowości Sigma szybko odkrywa, że atak na kobiety i dzieci miał związek ze śmiercią pięciu kobiet w Portugalii i że stoi za nim ich dawny wróg – rosyjska zabójczyni o białych włosach i oczach zimnych jak lód.

### **Młot na czarownice**

Monk i Gray nie mogą poddać się rozpacz. Jeśli chcą uratować najbliższe im osoby – a także świat – muszą wyruszyć do Paryża i Portugalii tropem tajnej organizacji nazywanej Tygłem oraz księgi, która od XV wieku była podręcznikiem dla łowców czarownic.

# JAMES ROLLINS

## TYGIEL ZŁA

Z angielskiego przełożyła

DANUTA GÓRSKA

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

## JAMES ROLLINS

Amerykański pisarz, z zawodu weterynarz, z zamiłowania pływacz i grotolaz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999 r. powieścią o wyprawie do wnętrza Ziemi, Podziemny labirynt. Kolejne m.in. Ekspedycja, Amazonia oraz książki z cyklu SIGMA FORCE zapoczątkowanego w 2004 r. Burzą piaskową których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata, dżunglach, głębinach oceanów, podziemnych grotach oraz na pustyniach i lodowcach odniosły międzynarodowe sukcesy.

[jamesrollins.com](http://jamesrollins.com)

*Tego autora*

LODOWA PUŁAPKA  
AMAZONIA  
OŁTARZ EDENU  
EKSPEDYCJA  
PODZIEMNY LABIRYNT

**Cykl SIGMA FORCE**  
BURZA PIASKOWA  
MAPA TRZECH MĘDRCÓW  
CZARNY ZAKON  
WIRUS JUDASZA  
OSTATNIA WYROCNIA  
KLUCZ ZAGŁADY  
KOLONIA DIABŁA  
LINIA KRWI  
OKO BOGA  
SZÓSTA APOKALIPSA  
LABIRYNT KOŚCI  
SIÓDMA PLAGA  
DIABELSKA KORONA  
TYGIEL ZŁA

**James Rollins, Grant Blackwood**  
**Cykl z Tuckerem Wayne'em**  
WYŁĄCZNIK AWARYJNY

**James Rollins, Rebecca Cantrell**  
**Cykl ZAKON SANGWINISTÓW**  
EWANGELIA KRWI  
NIEWINNA KREW  
DIABELSKA KREW

Tytuł oryginału:  
CRUCIBLE

Copyright © James Czajkowski 2019 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Danuta Górka 2020

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Zdjęcia na okładce: Alexander Kagan/Unsplash

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-8215-207-4

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [hachi.media](http://hachi.media)

# Spis treści

O książce  
O autorze  
Tego autora  
Dedykacja  
Motto  
Podziękowania  
Notatki z zapisów historycznych  
Notatki z zapisów naukowych  
Mapka  
\*\*\*

## CZĘŚĆ PIERWSZA. DUCH W MASZYNIE

1  
2  
Pod (Mod\_1) / DOKREWNY PROGRAM LUSTRZ  
3  
4  
5  
Sub (Mod\_2) / ALLTONGUES

## CZĘŚĆ DRUGA. CZARY-MARY

6  
7  
Sub (Mod\_3) / HARMONIA  
8  
9  
10  
11  
12

## CZĘŚĆ TRZECIA. W PRZEDEDNIU DESTRUKCJI

13  
14

15

16

17

Sub (Crux\_1) / PARYŻ OP

#### CZĘŚĆ CZWARTA. MIASTO UMARŁYCH

18

19

Sub (Crux\_2) / NOGENT OP

20

21

22

23

Sub (Mod\_4, 5) / BGL I OKSYTOCYNA

24

25

Sub (rep\_Crux\_1, 2) / Paryż Op i Nogent Op

26

27

#### CZĘŚĆ PIĄTA. PROCH DO PROCHU

28

Sub (Mod\_22) / MARA SILVIERA

29

Sub (Crux\_7.8) / TYLNE DRZWI

30

31

32

Sub (Crux\_10.8) / CIEMNOŚĆ

#### CZĘŚĆ SZÓSTA. BRAMY PIEKŁA

33

Analiza metaheurystyczna: ///PRAWDOPODOBIENSTWA

34

35

///ROZPAD

36

37

38

///PIEKŁO

39

///NIEBO



Nota autora  
Przypisy

*Dla Chucka i Cindy Bluthów,  
za wiele lat przyjaźni, doradzania  
i nade wszystko za ich niezmienną wielkoduszność*

*To, co zostanie stworzone, praktycznie będzie bogiem. Nie takim bogiem, który ciska pioruny i wywołuje burze. Ale jeśli coś jest miliard razy mądrzejsze od najmądrzejszego człowieka, jak inaczej to nazwać?... [I] wtedy będziecie mogli porozmawiać z bogiem, dosłownie, i wiedzieć, że was słucha.*

ANTHONY LEVANDOWSKI,

były dyrektor w Google'u i założyciel Way of the Future, nowego kościoła opartego na kulcie sztucznej inteligencji (z wywiadu przeprowadzonego przez Marka Harrisa, Backchannel/„Wired”, *Inside the First Church of Artificial Intelligence*), 15 listopada 2017 roku

*Tworząc sztuczną inteligencję, wywołujemy demony.*

ELON MUSK

na sympozjum stulecia Aeronautics and Astronautics Department w MIT

# Podziękowania

Chyba rzeczywiście żaden dobry uczynek nie uchodzi bezkarnie. Grupa krytyków, do której dołączyłem przed wiekami – jeszcze zanim wydano moje książki, a ja byłem pełnoetatowym praktykującym weterynarzem – działała niezłomnie przez całą moją karierę, ofiarowując mi mnóstwo redaktorskich rad, od dyskusji o fabule po analizę postaci, i tak, wyłapując liczne błędy, od których roiły się moje pierwsze szkice. A ta powieść nie jest wyjątkiem. Więc najpierw i przede wszystkim pragnę podziękować tej żywej gromadce pierwszych krytycznych czytelników: Dave’owi Meekowi, Chrisowi Crowe’owi, Lee Garrettowi, Mattowi Bishopowi, Jane O’Rivie, Mattowi Orrowi, Leonardowi Little’owi, Judy Prey, Caroline Williams, Todowi Toddowi, Frankowi Barrerze i Amy Rogers. I jak zawsze specjalne podziękowania dla Steve’a Preya za wspaniałe mapy... i dla Davida Sylviana za poprawienie mojego wizerunku w cyfrowym wszechświecie (i dalej)... i dla Cherei McCarter za wiele istotnych historycznych i naukowych ciekawostek zamieszczonych na tych stronach. I oczywiście wyrazy wdzięczności oraz wielkie dzięki wszystkim w wydawnictwie HarperCollins za nieustanne poganianie, zwłaszcza Liate Stehlik, Lynn Grady, Danielle Bartlett, Kaitlin Harri, Joshowi Marwellowi, Richardowi Aquanowi i Anie Marii Alessi. I nie wolno mi zapomnieć o specjalnym pozdrowieniu dla Briana Grogana, który stał przy mnie w HarperCollins od początku mojej kariery i który w rzeczy samej nadał tytuł tej książce (*Tygiel zła*). Na koniec oczywiście wyrazy wdzięczności dla ludzi odgrywających ważne role na wszystkich etapach produkcji: mojej szacownej wydawczynie, która również była ze mną od mojej pierwszej książki, Lyssy Keusch, i jej pracowitej koleżanki Priyanki Krishnan; oraz dla moich agentów, Russa Galena i Danny’ego Barora (a także jego córki Heather Baror), za ich ciężką pracę. I jak zawsze muszę podkreślić, że wszelkie błędy dotyczące faktów czy szczegółów w tej książce (mam nadzieję, że nie jest ich zbyt wiele) są wyłącznie moją winą.

# Notatki z zapisów historycznych

*Eu non creo nas meigas, mais habelas, hainas.*

Nie wierzę w czarownice, ale one istnieją.  
stare galicyjskie powiedzenie

Od lutego 1692 roku do maja 1693 roku dwadzieścia osób w kolonii Massachusetts – w tym czternaście kobiet – zostało oskarżonych, osądzonych i skazanych na śmierć za uprawianie czarów. Choć niesławne procesy czarownic z Salem odcisnęły niezatarte piętno na historii, były to jedynie ostatnie spazmy hysterii w końcówce wielkiego polowania na czarownice, które już przewaliło się przez Europę. Tu prześladowania trwały przez prawie trzy stulecia i w sumie ponad sześćdziesiąt tysięcy „czarownic” zostało spalonych, powieszonych lub utopionych.

Cała ta nagonka połączona z rozlewem krwi zaczęła się dość nagle w piętnastym wieku i została wywołana przez jedną jedyną książkę, podręcznik łowców czarownic zatytułowany *Malleus Maleficarum* (czyli *Młot na czarownice*). Autorem był niemiecki katolicki duchowny, niejaki Heinrich Kramer. Ta wydana w 1487 roku księga uzyskała aprobatę zarówno uniwersytetu w Kolonii, jak i głowy Kościoła katolickiego, papieża Innocentego VIII. Dzięki nowo wynalezionej prasie drukarskiej egzemplarze szybko drukowano i rozpowszechniano po całej Europie oraz wysyłano do obu Ameryk. Książka stała się instruktażową „biblią” dla inkwizytorów i prokuratorów, uczącą, jak rozpoznawać, torturować i uśmiercać czarownice, ze szczególnym naciskiem na kobietę herezję. Wielu naukowców uważa ją za jedną z najbardziej krwawych książek w historii, nawet w porównaniu z *Mein Kampf*.

Jednak jeszcze przed publikacją tego podręcznika stosunki między czarownicami a chrześcijaństwem nie były takie proste, jak się wydaje, choć początkowo czarownice nie spotykały się z tak kategorycznym potępieniem. W Starym Testamencie król Saul zwrócił się do czarownicy z Endoru o pomoc w przywołaniu ducha Samuela, zmarłego proroka. W średniowieczu czarownice często były wykształconymi uzdrowicielkami, zbierającymi lecznicze zioła zgodnie z dawną tradycją. Nawet krwawa hiszpańska inkwizycja najczęściej chwyciła i torturowała heretyków, nie czarownice.

Kolejny dowód tych niejednoznaczności w relacjach między czarownicami a Kościołem katolickim to kult świętej Kolumby, który kwitł w średniowiecznej Hiszpanii, głównie

w północnej Galicji, regionie uważanym za bastion czarownic. Według legendy Kolumba była żyjącą w IX wieku czarownicą, która napotkała na drodze ducha Chrystusa. Powiedział jej, że nie dostanie się do nieba, jeśli nie nawróci się na chrześcijaństwo, więc się nawróciła – ale pozostała czarownicą. W końcu została umęczona i ścięta za swoją wiarę i stała się znana jako „święta patronka czarownic”. Do dziś jest obrończynią czarownic, wstawiającą się za tymi dobrymi, a zwalczającą te, które nadużywają swojej sztuki dla niecznych celów.

A teraz przyszedł chyba czas, żeby zapalić świeczkę świętej Kolumbie, ponieważ wkraczamy w nową epokę czarownictwa.

# Notatki z zapisów naukowych

*Każda wystarczająco zaawansowana technologia nie różni się od magii.*

Arthur C. Clarke, 1962,

*z eseju Hazards of Prophecy: The Failure of Imagination*

Porozmawiajmy o końcu ludzkości – zwłaszcza że wkrótce możemy stracić sposobność do wypowiedzania się w tej kwestii. Na horyzoncie majaczy groźba zagłady, prawdopodobnej już za naszego życia. Światowej sławy fizyk Stephen Hawking opisał ten nadchodzący kryzys jako „najgorsze wydarzenie w historii cywilizacji”. Elon Musk uważa, że doprowadzi ono do trzeciej wojny światowej. Nawet rosyjski prezydent Władimir Putin oświadczył, że ktokolwiek panuje nad tym wydarzeniem, będzie panował nad światem.

Owo wydarzenie to stworzenie pierwszej prawdziwie humanoidalnej sztucznej inteligencji (SI).

Ta chwila przeraża nawet tych będących u władzy. W lutym 2018 roku podczas konferencji World Government Summit<sup>1</sup> odbyło się tajne spotkanie za zamkniętymi drzwiami, na którym omawiano SI. W spotkaniu brali udział przedstawiciele IBM, Microsoftu, Facebooka i Amazonu oraz wysoko postawieni urzędnicy z całej Europy, Singapuru, Australii i świata arabskiego. Panowała zgodność co do tego, że zagrożone jest samo nasze istnienie, ale co najgorsze, uczestnicy doszli do wniosku, że ani regulacje prawne, ani międzynarodowe umowy nie mogą powstrzymać nieuniknionego postępu w kierunku samoświadomej SI. Wszelkie środki zapobiegawcze uznano za „zawodne”, zwłaszcza że historia pokazała, że niejawne firmy czy organizacje, działające potajemnie w odległych zakątkach świata, z łatwością mogą obejść każdy zakaz.

Jak bliskie jest więc pojawienie się nowej inteligencji na naszej planecie? Różne rodzaje SI przeniknęły już do naszego życia. Działają w naszych komputerach, telefonach, nawet domowych sprzętach. Obecnie niemal 70% poleceń kupna/sprzedaży na Wall Street wykonuje się bez udziału ludzi i tak przeprowadzane transakcje trwają nie dłużej niż trzy milisekundy. Różne formy sztucznej inteligencji stały się tak powszechne, że ludzie nawet nie rozpoznają w nich SI. Dużymi krokami zbliża się jednak następny etap tej technologicznej rewolucji: kiedy komputer zademonstruje ludzki poziom inteligencji oraz samoświadomość. Najnowsze sondaże wykazują, że 42% ekspertów komputerowych

wierzy, że ten przełom nastąpi w ciągu dekady, a połowa z nich twierdzi, że w ciągu pięciu lat.

Ale dlaczego ma to wywołać taki kryzys? Dlaczego to jest „najgorsze wydarzenie w historii cywilizacji”? Dlatego, że pierwsza humanoidalna inteligencja nie będzie bezczynna, tylko bardzo zajęta. Szybko – w ciągu tygodni, dni, może nawet godzin – wyewoluuje w niepojętą superinteligencję, twór znacznie nas przewyższający, który raczej do niczego nie będzie nas potrzebować. Kiedy to się stanie, nie można przewidzieć, czy ta nowa superinteligencja będzie dobrotliwym bogiem, czy też zimnym, niszczycielskim diabłem.

Niemniej ten twór się zbliża. Nie można go powstrzymać. Niektórzy nawet wierzą, że już tu jest. Dlatego też muszę udzielić jeszcze jednego – ostatniego – ostrzeżenia: *W sercu tej powieści ukryta jest klątwa*. Samo przeczytanie *Tygła zła* może doprowadzić do waszej zguby.

Więc proszę, czytajcie dalej na własne ryzyko.







23 czerwca A.D. 1611  
Zugarramurdi, Hiszpania

Za żelaznymi kratami czarownik klęczał na brudnej słomie i modlił się do Boga.

Alonso de Salazar Frías studiował niecodzienny widok. Inkwizytor ledwie widział niewyraźną postać. W celi panował mrok, przez wąskie okienko wpadał tylko migotliwy blask płomieni z pobliskiego wioskowego placu. Na kamiennych ścianach tańczyły upiorne cienie, którym towarzyszył smród palonego ciała.

Inkwizytor słuchał, jak czarownik szepcze po łacinie, spoglądał na jego złożone ręce i pochyloną głowę. Modlitwa była znajoma, *Anima Christi*, ułożona przez Ignacego Loyolę, założyciela Towarzystwa Chrystusowego. Stosowna modlitwa, ponieważ klęczący czarownik należał właśnie do zakonu jezuitów.

Alonso w myślach przetłumaczył ostatnie słowa modlitwy: *W godzinie śmierci wezwij mnie i każ mi przyjść do Ciebie, abym ze świętymi Twymi chwalił Cię. Na wieki wieków.*

– Amen – powiedział na głos, przyciągając uwagę czarownika.

Zaczekał, aż oskarżony ksiądz wstanie. Chociaż z pewnością nie był starszy od Alonsa, który miał czterdzieści siedem lat, podnosił się z trudem. Szata, którą mu zostawiono, zwisała z chudych ramion. Twarz miał zapadniętą i poznaczoną wrzodami. Dozorcy więzienni nawet ogolili mu głowę; po tym zabiegu na czaszce zostało kilka strupów.

Inkwizytor poczuł drgnienie litości nad żalonym stanem księdza, chociaż wiedział, że ten duchowny jest oskarżony o herezję i czarownictwo. Alonso został wysłany do tej maleńkiej baskijskiej wioski na osobiste żądanie generalnego inkwizytora, żeby przeprowadzić przesłuchanie. Tydzień zabrała mu podróż przez Pireneje do tej garstki chałup i gospodarstw przy samej granicy z Francją.

Ksiądz przykuśtykał do żelaznych krat i chwycił je kościstymi palcami, drżącymi i niemal sparaliżowanymi z osłabienia.

Kiedy ostatnio karmili tego człowieka? – przemknęło przez głowę Alonsa.

Jednak głos jezuita był mocny.

– Nie jestem czarownikiem.

– To właśnie nakazano mi ustalić, ojcze Ibarra. Przeczytałem postawione ci zarzuty. Oskarżają cię o uprawianie czarów, używanie zaklęć i amuletów do leczenia chorych.

Ksiądz milczał przez chwilę, zanim ponownie się odezwał.

– Ja również wiem o tobie, inkwizytorze Frías. O twojej reputacji. Dwa lata temu byłeś jednym z trzech sędziów na procesach czarownic z Logroño.

Alonso ukrył grymas zawstydzenia i odwrócił wzrok, ale nie mógł tak łatwo uciec przed migotaniem płomieni i odorem zwęglonego ciała. Tutejsze widoki i zapachy były aż nadto znajome. Podczas tamtych procesów w pobliskim miasteczku Logroño zgodził się z osądem dwóch pozostałych inkwizytorów. Z powodu tej decyzji dręczyły go wyrzuty sumienia. To był największy proces czarownic w Hiszpanii. Oskarżenie jednej kobiety – Marii de Ximildegui – doprowadziło do wybuchu niekontrolowanej hysterii i paniki. Maria twierdziła, że uczestniczyła w sabacie czarownic, i wskazywała palcem inne kobiety, które z kolei rzucały oszczerstwa na następne. W końcu trzysta osób oskarżono o konszachty z diabłem. Wiele spośród nich to były jeszcze dzieci, najmłodsze miało zaledwie cztery lata. Zanim Alonso przybył do Logroño, pozostali dwaj inkwizytorzy zawężili grupę oskarżonych do trzydziestu najgorszych przestępczyń. Te, które przyznały się do zbrodni, zostały ukarane, lecz miłosiernie oszczędzono im śmierci w płomieniach. Niestety, dwanaście najbardziej upartych nie chciało się przyznać, że są czarownicami, i w konsekwencji spłonęło na stosie.

Ich śmierć ciążyła na duszy Alonsa – nie dlatego, że nie zdołał wydobyć z nich przyznania się do czarów, ale ponieważ wierzył w ich niewinność. Później, wiele ryzykując, wyraził takie przekonanie wobec wielkiego inkwizytora Bernarda de Sandoval y Rojas, w którego przyjaźń głęboko wierzył. Jak się okazało, ta wiara opierała się na mocnych fundamentach. Okrutne i krwawe czasy królewskiego inkwizytora Tomasa de Torquemady minęły przed wiekiem. Obecny generalny inkwizytor wysłał Alonsa samego, żeby przeprowadził dochodzenie w całym baskijskim regionie Hiszpanii i oddzielił histerię od rzeczywistości. Alonso był w drodze od prawie dwóch miesięcy. Przesłuchiwał oskarżonych i uwięzionych, na razie jednak odkrywał tylko fałszywe zeznania wymuszone torturami, historie pełne sprzeczności i niekonsekwencji. Podczas swoich podróży nie natrafił na ani jeden wiarygodny przypadek uprawiania czarów.

W swojej prywatnej walce o oszczędzenie dusz oskarżonych o takie zbrodnie władał tylko jedną bronią. Znowu spojrzął na księdza i poklepał skórzaną sakwę u boku.

– Ojciec Ibarra, wożę ze sobą Edykt Wiary, podpisany przez generalnego inkwizytora. Pozwala mi ułaskawić każdego, kto wyzna swoje winy, przysięgnie wierność Bogu i wyrzeknie się diabła.

Oczy księdza zapłonęły w mroku, rozpalone dumą.

– Nie mam skrupułów co do tej przysięgi... deklaracji mojej miłości do Boga... ale jak mówiłem od początku, nie jestem czarownikiem i nie przyznam się do tego.

– Nawet żeby ocalić życie?

Ibarra odwrócił się plecami i popatrzył na rozświetlone ogniem okienko swojej celi.

– Czy przyjechałeś w porę, żeby usłyszeć ich krzyki? – spytał.

Tym razem Alonso nie zdołał ukryć grymasu. Wcześniej, kiedy zjeżdżał z gór, dostrzegł smugi dymu unoszące się nad wioską. Modlił się, żeby dym oznaczał ogniska rozpalone

z okazji święta letniego przesilenia. Jednak lękając się najgorszego, popędził konia. Ścigał się z zachodzącym słońcem, lecz kiedy dotarł na skraj wioski, przywitał go chór jęków.

Sześć czarownic spalono na stosie.

Nie czarownic, napomniał się. Sześć kobiet.

Na nieszczęście Alonso nie był pierwszym przedstawicielem inkwizycji, który odwiedził tę wioskę. Podejrzewał, że ojciec Ibarra został na razie oszczędzony tylko dlatego, że był księdzem.

Popatrzył na plecy więźnia.

Jeśli tylko mogę go ocalić, niech tak się stanie.

– Ojciec Ibarra, proszę, przyznaj tylko...

– Co wiesz o świętej Kolumbie?

Zaskoczony tym dziwnym pytaniem, Alonso potrzebował chwili, żeby odpowiedzieć. Przygotowując się do przyjęcia święceń i przystąpienia do Kościoła, studiował prawo kanoniczne zarówno na uniwersytecie w Salamance, jak i w Sigüenzie. Znał na pamięć listę wszystkich świętych. Jednak postać wymieniona przez ojca Ibarrę była nieco kontrowersyjna.

– Mówisz o czarownicy z Galicji, która w dziewiątym wieku podczas pielgrzymki do Rzymu napotkała na drodze ducha Chrystusa – odparł.

– Chrystus ostrzegł ją, żeby nawróciła się na chrześcijaństwo, jeśli chce pójść do nieba.

– A ona się nawróciła i później została za to umęczona; ścięto jej głowę, bo nie chciała się wyrzec swojej religii.

Ibarra skinął głową.

– Chociaż przystąpiła do Kościoła, nigdy nie przestała być czarownicą. Wieśniacy w tym regionie wciąż wciąż cczą oba jej aspekty: czarownicę i świętą męczennicę. Modlą się do niej o obronę przeciwko złym czarom, a jednocześnie proszą, żeby chroniła przed prześladowaniami dobre czarownice, takie, które leczą chorych ziołami, amuletami i zaklęciami.

Podczas swoich podróży po północnej Hiszpanii Alonso słyszał szept o kulcie świętej Kolumby. Znał wiele kobiet – wykształconych kobiet – które studiowały naturę, szukały ziół i leków, czerpiąc z pogańskiej wiedzy. Niektóre zostały oskarżone o uprawianie czarów i otrute przez księży albo spalone na stosie; inne znalazły schronienie w klasztorach, gdzie – jak święta Kolumba – mogły czcić Chrystusa, a jednocześnie uprawiać sekretne ogródki i pomagać chorym czy cierpiącym, zacierając granicę pomiędzy pogaństwem a chrześcijaństwem.

Przyjrzał się ojcu Ibarrze.

Czy ten ksiądz też należał do tego kultu?

– Ty sam jesteś oskarżony o używanie zaczarowanych amuletów do leczenia chorych – powiedział Alonso. – Czyż to nie piętnuje cię jako czarownika tego samego rodzaju? Jeśli przyznasz się tylko do tego, mogę wykorzystać Edykt, żeby wstawić się...

– Nie jestem czarownikiem – powtórzył ksiądz i wskazał dym napływający przez wąskie okienko celi. – Oto odchodzą kobiety, które wyleczyły wielu chorych w tych górskich wioskach i na pastwiskach. Ja tylko je chronięm, działając jako pokorny sługa świętej Kolumby, świętej patronki czarownic. Nie mogę z czystym sercem twierdzić, że jestem czarownikiem. Nie dlatego, że gardzę takim oskarżeniem, ale ponieważ nie zasługuję na miano czarownika... Nie jestem godzien takiego zaszczytu.

Alonsa zaszokowały te słowa. Niezliczone razy słyszał, jak oskarżeni wypierają się zarzutów, ale żaden nie zaprzeczał w ten sposób.

Ibarra przysunął się bliżej do krat.

– Ale historia o moim amulecie... – odezwał się. – Ten zarzut jest prawdziwy. Lękam się tych, którzy przybyli do wioski przed tobą, żeby go szukać.

Jakby na dany znak za Alonsem otworzyły się drzwi. Weszła zakapturzona postać w czarnej szacie mnicha. Chociaż nowo przybyły miał oczy zakryte szkarłatną opaską, najwyraźniej dobrze widział.

– Przyznał się? – zapytał szorstko mnich.

Alonso odwrócił się do Ibarry. Ksiądz cofnął się od krat i wyprostował plecy. Inkwizytor wiedział, że ten człowiek nigdy się nie złamie.

– Nie przyznał się – wyznał.

– Brać go – rozkazał mnich.

Dwaj bracia zakonnicy wpełzli do pomieszczenia, gotowi zawlec Ibarrę na stos. Alonso zastąpił im jednak drogę.

– Ja go odprowadzę.

Szybko otwarto celę i Alonso wyprowadził księdza z więzienia na wiejski plac. Podtrzymał go za łokieć, pomagając mu się wyprostować i stawiać kroki. Ibarra drżał na całym ciele, nie tylko z głodu i osłabienia – ale też na widok tego, co ujrzał na wioskowym placu.

Na sześciu dymiących stosach tkwiły skręcone od żaru sylwetki – zwęglone uniesione ramiona, nadgarstki skute żelazem rozpalonym do czerwoności. Siódmy pień świeżo ściętego kasztanowca wznosił się nad sięgającą do pasa stertą suchego chrustu.

Ibarra mocno chwycił rękę Alonsa.

Ten próbował dodać otuchy przerażonemu skazańcowi.

– Niech Bóg przyjmie cię na swoje łono.

Jednak mylnie zrozumiał zamiar księdza. Kościste palce rozwarły jego rękę i wcisnęły we wnętrze dłoni jakiś przedmiot. Alonso instynktownie zamknął na nim palce, wiedząc, co mu zostało przekazane w sekrecie, zapewne wydobyte z ukrytej kieszeni w podartej szacie księdza.

Amulet Ibarry.

– *Nóminas de moro* – szepnął po hiszpańsku ksiądz, potwierdzając jego podejrzenia.

*Nóminas* to były talizmany lub amulety, na których wypisano imiona świętych i które podobno mogły czynić cuda.

– Znalaziono go u źródeł rzeki Orabidea – wyjaśnił pospiesznie Ibarra. – Chronź go przed nimi.

Z kłębow dymu energicznym krokiem wyszła wysoka postać w szkarłatnym habicie, z czarną opaską na oczach. Był to przywódca sekty. Alonso słyszał plotki o tej frakcji wewnątrz inkwizycji, o ludziach nadal hołdujących krwiożerczym poglądom dawno nieżyjącego Torquemady. Nazwali się Crucibulum, od łacińskiego słowa oznaczającego „tygiel”, naczynie, które oczyszcza się w ogniu.

Alonso spojrział na dymiące szczątki przykute do sześciu słupów. Mocniej zacisnął palce na amulecie.

Przywódca wystąpił do przodu i skinął na swoich braci. Na ten milczący rozkaz oderwali Ibarrę od Alonsa i powlekli do stosu. Przywódca trzymał w rękach grubą księgę w pozłacanej oprawie. Alonso od razu rozpoznał ten przeklęty wolumin. Pełny tytuł brzmiał: *Malleus Maleficarum, Maleficas & earum haeresim, ut phramea potentissima conterens* – „Młot na czarownice, który niszczy czarownice i ich herezje jakoby dwusiecznym mieczem”. Książka powstała przed ponad stuleciem, jako podręcznik tropienia, rozpoznawania i karania czarownic. Wypadała już z łask papieżstwa, nawet wśród członków inkwizycji.

Ale we frakcji Crucibulum zdobyła jeszcze mocniejszą pozycję.

Alonso stał bez ruchu. Co jeszcze mógł zrobić? Był samotnym młodszym inkwizytorem przeciwko tuzinowi przedstawicieli starożytnego Crucibulum.

Kiedy Ibarrę prowadzono na śmierć, przywódca sekty szedł za nim krok w krok. Szeptał coś gorączkowo do ucha księdza. Alonso wyłowił słowo: *nóminas*.

Zatem Ibarra słusznie się lękał.

Alonso domyślał się, że przywódca Crucibulum rzuca pogrożki albo obietnice ułaskawienia, jeśli tylko ksiądz wyzna prawdę o swoim amulecie.

Obawiając się, że ściągnie na siebie uwagę, ponieważ przebywał sam na sam z Ibarrą, Alonso wycofał się z placu. Po raz ostatni widział księdza, kiedy przykuwano go łańcuchami do pnia kasztanowca na szczycie sterty chrustu. Ibarra pochwycił jego spojrzenie i nieznacznie kiwnął głową.

*Chronź go przed nimi.*

Odwróciwszy się plecami, Alonso przysięgł w duchu, że tak zrobi. Pospieszył do stajni, gdzie trzymał konia. Zdążył zrobić zaledwie kilka kroków, gdy pod niebo wzniósł się grzmiący głos Ibarry:

– SPALCIE NAS WSZYSTKICH! TO NIEWAŻNE. ŚWIĘTA KOLUMBA PRZEPOWIEDZIAŁA JEJ PRZYJŚCIE. CZAROWNICY, KTÓRA PODEJMIE JEJ DZIEDZICTWO. CZAROWNICY, KTÓRA ROZTRZASKA TYGIEL I OCZYŚCI ŚWIAT!

Alonso potknął się na te słowa. Nic dziwnego, że członkowie Crucibulum usiłowali wypłenić kult Kolumby, a co ważniejsze, spalić na popiół wszelkie ślady jego istnienia. Inkwizytor mocniej ścisnął amulet w ręce. Czy im się to podobało, czy nie, świat powoli się zmieniał – metody Torquemady odchodziły w zapomnienie, porzucone egzemplarze *Malleus Maleficarum* pleśniały i rozsypywały się w proch – lecz zanim to nastąpi, Alonso przewidywał jeszcze więcej płomieni i rozlewu krwi, ostatnich konwulsji ginącej epoki.

W bezpiecznej odległości zaryzykował zerknięcie na *nóminas* Ibarry. Rozchylił dłoń. Zaszokowany tym, co zobaczył, o mało nie upuścił skarbu. To był palec, nierówno oderwany od czyjejś ręki. Krawędzie wyglądały na przypalone, poza tym jednak palec był doskonale zachowany. Alonso wiedział, że jedną z oznak świętości są relikwie pozostałe po świętej osobie, które nie ulegają rozkładowi, okazują się odporne na zgniliznę, jakby nie dotyczył ich upływ czasu.

Czyżby trzymał w ręku taką relikwię?

Przystanął, żeby dokładniej ją obejrzeć, i odkrył słowa wytatuowane na skórze.

*Sanctus Maleficarum.*

Przetłumaczył z łaciny.

*Święta Czarownica.*

Więc to naprawdę był *nóminas*, amulet z wypisanym imieniem świętej. Ale dalsze oględziny ujawniły jeszcze większą niespodziankę. Palec nie był relikwią – częścią ciała świętej osoby – tylko czymś jeszcze bardziej niezwykłym.

Z zapartym tchem Alonso obracał go na wszystkie strony. Ciało wydawało się prawdziwe, lecz to był tylko pozór. Skóra była elastyczna, ale zimna. W oderwanym końcu odsłonił się skomplikowany mechanizm z cienkich drucików i lśniących metalowych kości. To była atrapa, palec mechanicznego homunkulusa.

Alonso znał opowieści o darach składanych królom i królowym, przemysłnych urządzeniach naśladujących ruchy ludzkiego ciała. Sześćdziesiąt lat wcześniej cesarz rzymski Karol V otrzymał w prezencie mechaniczną figurę mnicha, wykonaną przez hiszpańsko-włoskiego inżyniera i rzemieślnika Juanela Turriana. Lalka mogła podnosić i opuszczać drewniany krzyż, przykładać krucyfiks do ust, które poruszały się w bezgłośnej modlitwie, podczas gdy głowa się kiwała, a oczy mrugały.

Czyżbym trzymał fragment czegoś takiego?

Jeśli tak, jakie jest jego znaczenie? Jaki jest związek z kultem świętej Kolumby?

Nie znajdując odpowiedzi, ruszył dalej w stronę stajni. Ibarra zostawił mu jeszcze jedną wskazówkę dotyczącą tej tajemnicy: źródło pochodzenia amuletu, miejsce, gdzie go znaleziono.

– Rzeka Orabidea – wymamrotał Alonso ze zmarszczonym czołem.

Każdy inkwizytor w tym regionie słyszał o rzece Orabidea. Wypływała z jaskini zwanej Sorginen Leizea, „jaskinia czarownic”. W tym miejscu odbywało się wiele sabatów. Sama



rzeka miała równie mroczną historię. Niekiedy nazywano ją Infernuko Erreka, czyli „piekielny strumień”, bo plotka głosiła, że wypływa na świat prosto z wnętrza piekła.

Alonso zadygotał ze zgrozy. Jeśli Ibarra mówił prawdę, amulet został znaleziony u źródeł rzeki.

Innymi słowy, u bram samego piekła.

Inkwizytor wzdragał się przed dalszym badaniem tej kwestii i rozważał wyrzucenie amuletu, gdy za jego plecami rozbrzmiał przeraźliwy krzyk cierpienia, budzący echo wśród gwiazd.

Ibarra...

Mocniej ścisnął w garści *nóminas*.

Książd umarł, by ochronić ten sekret.

Nie wolno mi odrzucić tego ciężaru.

Poznam prawdę, nawet jeśli będę musiał przekroczyć bramy piekła.

## Czasy współczesne

### Coimbra, Portugalia

21 grudnia, godzina 22.18 czasu miejscowego

Kowen na nią czekał.

Charlotte Carson przebiegła przez całą szerokość ciemnej uniwersyteckiej biblioteki. Jej pospieszne kroki odbijały się echem od marmurowej posadzki i rozbrzmiewały pod ceglany dachem dwupiętrowej średniowiecznej galerii. Wszędzie dookoła na bogato zdobionych regałach stały książki – najstarsze z dwunastego wieku. Rozległą przestrzeń oświetlało tylko kilka kinkietów. W mroku majaczyły cienie drabin i misterne złożone rzeźbienia.

Zbudowana na początku osiemnastego wieku Biblioteka Joanina pozostała perfekcyjnie zachowanym klejnotem barokowej architektury i zdobnictwa, prawdziwym centrum historycznym Uniwersytetu w Coimbrze. I jak każda skarbnica, była prawdziwą fortecą o murach grubych na ponad pół metra, z masywnymi drzwiami z solidnego drewna tekowego, szczelnymi jak w sejfie. Została zaprojektowana w ten sposób, żeby w środku panowała stała temperatura dwudziestu stopni, bez względu na porę roku, oraz niska wilgotność.

Idealne warunki do przechowywania starożytnych ksiąg...

Lecz te wysiłki konserwatorskie nie ograniczały się do bibliotecznej architektury.

Charlotte zrobiła unik, kiedy nietoperz śmignął obok jej głowy i przemknął na górną galerię. Niedosłyszalny, lecz wyczuwalny ultradźwiękowy gwizd stworzenia zjeżył drobne włoski na jej karku. Kolonia nietoperzy zadomowiła się w bibliotece przed wiekami. Były wiernymi sojusznikami w walce o zachowanie zgromadzonych tu zbiorów. Co noc

pożerały owady, które inaczej mogłyby się dostać do obfitych zasobów starej skóry i pożółkłego pergaminu.

Oczywiście dzielenie tej skarbnicy z tak zagorzałymi łowcami wymagało pewnych środków ostrożności. Charlotte przesunęła palcem po skórzanych płachtach nakrywających stoły. Dozorcy zakładali je co wieczór po zamknięciu budynku, żeby ochronić drewniane powierzchnie przed odchodami nietoperzy.

Niemniej spoglądając w górę, na skrzydlate cienie szybujące pod ceglanym sklepieniem, Charlotte poczuła ukłucie przesądnego lęku – a także odrobinę rozbawienia.

Co by to było za zgromadzenie czarownic bez nietoperzy?

Nawet ta noc została specjalnie wybrana. Dziś zakończyło się tygodniowe naukowe sympozjum. Jutro uczestnicy wrócą do domów, rozjadą się na wszystkie strony świata, żeby spędzić święta z rodziną i przyjaciółmi. Ale tego wieczoru w mieście zapłoną niezliczone ogniska, wokół których zabrmi wesola muzyka, i wszyscy będą świętować zimowe przesilenie, najdłuższą noc w roku.

Charlotte spojrzała na zegarek, wiedząc, że jest spóźniona. Wciąż miała na sobie elegancki strój ze świątecznego przyjęcia w ambasadzie: szeroką czarną spódnicę do kostek i krótki żakiet na błękitnej bluzce. Włosy gładko zczesała do tyłu. Przedwcześnie posiwiały, zrobiły się rzadkie i krótkie po serii chemioterapii przed dziewięcioma miesiącami. Później nie zawracała sobie głowy farbowaniem czy przedłużaniem. Odkąd przeżyła brutalne i upokarzające okrucieństwo raka, próżność wydawała się niemądrą stratą czasu. Nie miała już cierpliwości do takich błahostek.

Zresztą i tak brakowało jej wolnego czasu.

Spojrzała na zegarek i zmarszczyła brwi.

Jeszcze tylko cztery minuty.

Wyobraziła sobie słońce po drugiej stronie świata, wznoszące się nad zwrotnikiem Koziorożca. Słońce znajdujące się na tej szerokości geograficznej wyznacza moment prawdziwego przesilenia, kiedy zima nieuchronnie przechodzi w lato, kiedy ciemność ustępuje przed światłem.

Idealny czas na tę demonstrację.

Udowodnienie teorii.

– *Fiat lux* – szepnęła.

Niech się stanie światło.

Przed nią jaśniejszy blask płynął z łukowatego przejścia, otwierającego się na spiralne schody, które prowadziły do niższych poziomów biblioteki. Ten najwyższy nazywał się Szlachetny ze względu na jego piękno i historię. Dokładnie pod nim Średni Poziom stanowił wyłączną domenę bibliotekarzy, gdzie przechowywano dla bezpieczeństwa większość najrzadszych ksiąg.

Lecz miejsce, do którego zmierzała Charlotte, znajdowało się jeszcze o poziom niżej.

Wyczuwając, że czas nagli, pospieszyła w stronę łukowatego wejścia.

Pozostałe już z pewnością zebrały się na dole. Charlotte przebiegła pod portretem portugalskiego króla Jana V, który założył tę bibliotekę, i dotarła do stopni wijących się w dół aż do najniższego poziomu.

Schodząc w kółko i w kółko po ciasnych schodach, usłyszała cichy pomruk głosów wznoszących się na jej powitanie. Na ostatnim stopniu przystanęła przed solidną czarną żelazną bramą. Jedno skrzydło zostawiono uchylone dla niej. Napis na bramie głosił: PRISÃO ACADÉMICA.

Uśmiechnęła się na myśl o więzieniu zbudowanym pod biblioteką. Wyobrażała sobie, że zamykano tu krnąbrnych studentów albo pijanych profesorów. Ten poziom stanowił niegdyś część oryginalnych lochów królewskiego pałacu i służył za uniwersyteckie więzienie aż do 1834 roku. Obecnie pozostał jedynym zachowanym przykładem średniowiecznego więzienia w całej Portugalii.

Wśliznęła się przez bramę do lochu. Spora część tego poziomu była otwarta dla turystów, natomiast zamknięte pomieszczenia wykorzystywano jako dodatkowe magazyny książek. Ruszyła na sam koniec, gdzie do średniowiecznych murów przeniknęła nowoczesność. W nieużywanej tylnej piwnicy zainstalowano nowy system komputerowy, włącznie z systemem digitalizacji książek, by jeszcze lepiej chronić skarby zgromadzone na górze.

Podczas tego zimowego przesilenia komputery posłużą do nowego celu – nie do zachowania przeszłości, ale do spojrzenia w przyszłość.

Kiedy Charlotte weszła do piwnicy, przywitał ją kobiecy głos:

– Ach, *embaixador* Carson, zdążyła pani na czas.

Eliza Guerra, kierowniczka Biblioteki Joanina, w wyprasowanym granatowym kostiumie i białej bluzce, podeszła i cmoknęła Charlotte w oba policzki, a potem szybko uścisnęła jej przedramię. Podniecenie aż kipiało w małej bibliotekarce.

– Nie wiedziałam, czy dam radę – wyjaśniła Charlotte z przepraszającym uśmiechem. – W ambasadzie brakuje personelu i panuje chaos z powodu nadchodzących świąt.

Jako ambasador USA w Portugalii Charlotte miała tego wieczoru tysiące obowiązków, włącznie ze złapaniem nocnego lotu do Waszyngtonu, żeby dołączyć do męża i dwóch córek. Starsza, Laura, przyjechała z Princeton – Alma Mater Charlotte – gdzie robiła magisterium z biotechnologii. Druga córka, Carly, była bardziej niesforna i próbowała spełnić marzenia o karierze muzycznej na Uniwersytecie Nowojorskim, a jednocześnie studiowała inżynierię jako zabezpieczenie.

Charlotte była ogromnie dumna z obu córek.

Żałowała, że nie ma ich tutaj, żeby dzieliły z nią tę chwilę. Również ze względu na nie pomagała założyć tę organizację, składającą się z kobiet naukowców i badaczy. Ta fundacja charytatywna stanowiła odgałęzienie większej Grupy Coimbra, związku prawie czterdziestu uniwersytetów badawczych rozrzuconych po całym globie.

W trosce o to, by wspierać, rozwijać i łączyć działalność naukową kobiet, Charlotte i pozostałe zebrane tu cztery członkinie stworzyły Bruxas International, nazwaną od portugalskiego słowa „czarownice”. Przez stulecia kobiety, które leczyły chorych, eksperymentowały z ziołowymi kuracjami albo po prostu kwestionowały istniejący porządek świata, ogłaszano heretyczkami albo czarownicami. Nawet tutaj, w Coimbrze – mieście cieszącym się długą tradycją naukową – palono je na stosach, często podczas makabrycznych widowisk zwanych *Auto-da-fé* albo „aktami wiary”, kiedy płonęły jednocześnie dziesiątki heretyków i apostatów.

Zamiast odrzucać to piętno, Charlotte i jej towarzyszki postanowiły nosić je z dumą, dlatego prowokująco nazwały swoją fundację Bruxas.

Ale metafora nie ograniczała się do nazwy.

Eliza Guerra uruchomiła już stację komputerową. Na ekranie rozbłysnął symbol ich organizacji i obracał się powoli. Był to pentagram wpisany w okrąg.



Pięć promieni gwiazdy przedstawiało pięć obecnych tu kobiet – pierwotny kowen – które przed sześciu laty założyły tę organizację na Uniwersytecie w Coimbrze. Nie miały wyznaczonej przywódczyni. We wszystkich sprawach decydowały wspólnie przez głosowanie.

Charlotte uśmiechnęła się ponad ramieniem Elizy do trzech pozostałych: doktor Hannah Fest z Uniwersytetu w Kolonii, profesor Ikumi Sato z Uniwersytetu w Tokio i doktor Sophii Ruiz z Uniwersytetu w São Paulo. Chociaż Charlotte przed rokiem otrzymała stanowisko ambasadora – w dużej mierze dzięki swojej roli w tworzeniu tej międzynarodowej organizacji z siedzibą w Portugalii – pierwotnie była naukowcem jak tamte, wykładała w Princeton i reprezentowała Stany Zjednoczone.

Pomimo różnic tych pięć kobiet – wszystkie po pięćdziesiątce – wybiło się każda w swojej dziedzinie mniej więcej jednocześnie, napotkało podobne trudności z powodu swojej płci, doświadczyło takiej samej dyskryminacji i poniżenia. Oprócz naukowego zacięcia łączyła je ta właśnie więź. Ich celem było wyrównanie szans, zachęcanie młodych kobiet do kariery naukowej, pomaganie im i wspieranie poprzez stypendia, praktyki naukowe i doradztwo.

Ich wysiłki przyniosły już wspaniałe rezultaty na całym świecie – zwłaszcza tutaj.

Hannah nachyliła się w stronę mikrofonu stojącego obok klawiatury komputerowej.

– Mara, jesteśmy wszystkie na miejscu. – Mówiła po angielsku z ciężkim teutońskim akcentem. – Zaczynaj prezentację, kiedy będziesz gotowa.

Odstąpiła i ekran się podzielił. Pentagram skurczył się i przesunął na bok, odsłaniając młodą twarz Mary Silviery. Zaledwie dwudziestojednoletnia, już od pięciu lat studiowała w Coimbrze, uzyskawszy stypendium z Bruxas w wieku szesnastu lat. Pochodziła z małej wioski w galicyjskim regionie północnej Hiszpanii i przyciągnęła uwagę licznych firm technologicznych, kiedy opublikowała aplikację translatorską przyćmiewającą wszystkie inne dostępne wówczas na rynku. Niewątpliwie wykazywała wrodzony talent zarówno do komputerów, jak i językoznawstwa.

Nawet na ekranie z jej oczu biła czysta inteligencja. A może tylko duma. Ciemna, kawowa karnacja i długie proste, czarne włosy sugerowały domieszkę mauretańskiej krwi w przeszłości jej rodziny. Obecnie znajdowała się po drugiej stronie kampusu, w uniwersyteckiej Pracowni Zaawansowanych Systemów Obliczeniowych, która mieściła klaster Milipeia, jeden z najpotężniejszych superkomputerów na kontynencie.

Mara zerknęła w bok.

– Rozpoczne cykl Xénese. W ciągu minuty powinniśmy być online.

Kobiety przysunęły się bliżej. Charlotte spojrzała na zegarek.

22.23.

W samą porę.

Ponownie wyobrazila sobie słońce wiszące nad zwrotnikiem Koziorożca, oznaczające kulminację zimowego przesilenia, obiecujące koniec ciemności i powrót światła.

Zanim do tego doszło, głośno szczęknęło żelazo. Wszystkie kobiety odwróciły się, zaskoczone.

Przez czarną bramę do więzienia wtargnęła zbity grupa zakapturzonych ciemnych postaci. Intruzi trzymali w rękach duże, błyszczące pistolety. Rozproszyli się, zamykając pięć kobiet w pułapce.

Z komputerowego pomieszczenia nie było innego wyjścia.

Z sercem walącym w gardle Charlotte cofnęła się o krok. Zasłoniła własnym ciałem monitor i pomacała na ślepo za plecami. Przesunięciem i kliknięciem komputerowej myszy zwinęła obraz Mary Silviery, żeby chronić młodą kobietę oraz zrobić z niej niemego świadka. Mikrofon i kamera nadal działały, toteż Mara mogła widzieć, słyszeć, a nawet nagrywać to, co się wkrótce stało.

Kiedy postacie zbliżyły się do kobiet, Charlotte pomyślała, że Mara powinna wezwać policję, chociaż było mało prawdopodobne, żeby ratunek przybył na czas. Nie wiedziała nawet, czy Mara zdaje sobie sprawę ze zmiany sytuacji, bo zapewne skupiała się na swojej zbliżającej się prezentacji.

Napastników było ośmiu – sami mężczyźni – w czarnych szatach, ze szkarłatnymi jedwabnymi szarfami zawiązanymi na oczach. Jednak sądząc po ich zachowaniu i precyzyjnych ruchach, najwyraźniej doskonale widzieli przez te opaski.

Eliza Guerra wystąpiła do przodu, gotowa bronić swojej biblioteki.

– Co to ma znaczyć? Czego chcecie?

Odpowiedziało jej denerwujące milczenie.

Napastnicy rozstąpili się, żeby przepuścić dziewiątego mężczyznę, widocznie przywódcę. Miał dobrze powyżej metra osiemdziesięciu wzrostu i nosił szkarłatną szatę z czarną przepaską na oczach – lustrzane odbicie stroju pozostałych. Zamiast broni trzymał w rękach gruby tom. Wytarta skórzana okładka miała ten sam odcień szkarłatu co jego szata. Tytuł wytłoczony złotymi literami był wyraźnie widoczny: *Malleus Maleficarum*.

Charlotte skuliła się, bo nadzieja w niej zgasła. Dotąd modliła się, żeby to był zwykły napad rabunkowy. Biblioteka zawierała wiele bezcennych woluminów. Lecz na widok książki w rękach mężczyzny ogarnęła ją rozpacz. To wyglądało na pierwsze wydanie, z którego zachowało się tylko kilka egzemplarzy. Jeden przechowywano tutaj, w Bibliotece Joanina. Z chmurnej miny Elizy wywnioskowała, że to może być to samo wydanie, wykradzione z półki.

Książkę napisał w piętnastym wieku katolicki ksiądz, niejaki Heinrich Kramer. Łaciński tytuł tłumaczyło się jako *Młot na czarownice*. Służąca za podręcznik rozpoznawania, prześladowania i torturowania czarownic, należała do najbardziej krwawych i najczęściej piętnowanych ksiąg w historii ludzkości. Według szacunkowych ocen liczba przypisywanych jej ofiar przekraczała sześćdziesiąt tysięcy.

Charlotte spojrzała na swoje towarzyszki.

A teraz będzie jeszcze pięć więcej, pomyślała.

Pierwsze słowa przywódcy potwierdziły jej obawy.

– *Maleficos non patieris vivere*.

Rozpoznała przestrożę z Księgi Wyjścia.

*Czarownicy żyć nie dozwolisz*.

Mężczyzna mówił dalej po angielsku, chociaż z hiszpańskim akcentem.

– Xénese nie może zaistnieć – zaintonował. – To abominacja zrodzona z czarów i nieczystości.

Charlotte uniosła brwi.

Skąd on wie, czego próbujemy dokonać tej nocy?

Jednak ta tajemnica musiała zaczekać. Pistolety jednoznacznie mierzyły w kobiety, podczas gdy dwaj mężczyźni przynieśli dwa pięciogalonowe kanistry. Charlotte przeczytała napis na jednym: *Querosene*. Nie potrzebowała biegłej znajomości portugalskiego, żeby rozpoznać zawartość, zwłaszcza kiedy napastnicy przechylili kanistry i wylali oleisty płyn na podłogę.

Duszący zapach nafty szybko wypełnił ciasne pomieszczenie.

Kaszłąc, Charlotte wymieniła spojrzenia ze swoimi przerażonymi towarzyszками. Pracowały razem od sześciu lat i dobrze się znały. Nie potrzebowały słów. Nie były przykute do drewnianych słupów. Jeśli nadszedł ich koniec, te czarownice zginą, walcząc.

Lepsza kula niż ogień.

Uśmiechnęła się szyderczo do przywódcy.

– Wsadź to sobie, gnojku!

Pięć kobiet z chlupotem rzuciło się na napastników przez kałużę nafty. Pistolety wypaliły, ogłuszająco głośne w zamkniętej przestrzeni. Charlotte poczuła, że pociski wbijają się w jej ciało, ale rozpęd doniósł ją do przywódcy. Sięgnęła rozczapierzonymi rękami do jego twarzy, wbiła w nią głęboko paznokcie, rozorała policzek, zerwała mu opaskę i zobaczyła furie w jego odsłoniętych oczach.

Odrzucił przeklętą księgę i odepchnął kobietę. Wylądowała na kamiennej podłodze obok kałuży nafty. Podparła się jednym ramieniem i rozejrzała po pomieszczeniu. Ze zgrozą zobaczyła cztery pozostałe kobiety leżące bez ruchu na podłodze; ich krew mieszała się z naftą.

Szybko osłabła i też osunęła się na podłogę.

Przywódca zaklął i rzucił jakieś rozkazy po hiszpańsku.

Spod szat wyjęto pół tuzina koktajli Mołotowa i szybko podpalono.

Charlotte zignorowała je, bo ogarniało ją zimno, które tłumilo strach przed nadchodzącym żarem. Spojrzała w głąb pokoju, gdzie jakiś ruch przyciągnął jej gasnący wzrok. Pentagram Bruxas na ekranie komputera wirował szybko, znacznie szybciej niż wcześniej, jakby poruszony tym, co się stało.



Zdumiona, wpatrywała się w rozmazany obraz.

Czy Mara próbowała jej coś zasygnalizować?

Koktajle Mołotowa rozbiły się o ściany. Płomienie strzeliły wysoko i fala żaru oblała Charlotte.

Umierająca kobieta wciąż jednak wpatrywała się w serce ognia.

Symbol na ekranie przyspieszał jeszcze przez parę sekund – potem nagle znieruchomiał. Ale środek się nie zatrzymał. Fragmenty oderwały się i rozproszyły.



Przywódca, widocznie także zaintrygowany tą zagadką, podszedł do nieruchomego ciała Charlotte. Choć ze swojego miejsca na podłodze nie widziała jego twarzy, wyczuwała zdziwienie mężczyzny. W pentagramie pozostały tylko dwa promienie gwiazdy, niczym diabelskie rogi.



Najwyraźniej zobaczył to samo co ona, bo zeszytniał, wyraźnie obrażony. Zatoczył się do tyłu, podniósł ramię i krzyknął po hiszpańsku:

– Znisz... zniszczyć ten *computadora*!

Ale było już za późno. Obraz zmienił się po raz ostatni – wykonał ćwierć obrotu.





Pistolety trzasnęły, kule przeszły ogień. Ekran komputera pękł i pociemniał. Charlotte opadła bezwładnie i podążyła za ciemnością, wypatrując obiecanego światła na końcu, modląc się o bezpieczeństwo Mary.

Lecz jeden obraz wciąż towarzyszył jej w głębinach. Płonął jasno przed oczami jej duszy. To był ostatni obraz widoczny na ekranie. Krąg wokół pentagramu zniknął i pozostał tylko nowy symbol, który urósł i wypełnił ekran, zanim kule dosięgły monitora.



Wyglądał jak grecka litera.

Sigma.

Nie wiedziała, co znaczy ten symbol, ale jego doniosłość dała umierającej nadzieję.

Nadzieję dla świata.

CZĘŚĆ PIERWSZA  
**DUCH W MASZYNIE**

Σ

# 1

Silver Spring, Maryland, USA

24 grudnia, godzina 21.06 czasu miejscowego

Kiedy moneta wirowała w powietrzu, komandor Grayson Pierce poczuł narastający niepokój. Siedział na stołku obok swojego najlepszego przyjaciela, Monka Kokkalisa, który rzucił ćwierćdolarówkę wysoko nad mahoniowym barem.

Inni klienci Quarry House Tavern zgromadzili się wokół nich, pijani, hałaśliwi i kłótniwi, i czekali na upadek monety. Po drugiej stronie tawerny mały zespół zarzynał *The Little Drummer Boy* w wersji rockabilly. Ciężki łomot basowego bębna rezonował w żebrach Graya, potęgując napięcie.

– Reszka! – zawołał Monk, kiedy ćwierćdolarówka błysnęła przelotnie w słabym świetle.

To był trzynasty rzut monetą.

Tak jak dwanaście razy wcześniej, ćwierćdolarówka spadła płasko na jego dłoń. Profil Jerzego Waszyngtona załśnił, doskonale widoczny dla wszystkich.

– I jest reszka! – potwierdził Monk trochę bełkotliwym głosem.

W tłumie rozległy się jęki i wiwaty, zależnie od tego, czy ktoś stawiał na niego, czy przeciw niemu. Trzynasty raz z rzędu Monk rzucił monetą i prawidłowo odgadł, co wypadnie. Czasami orzeł, czasami reszka. Po każdym udanym rzucie Gray i jego przyjaciel dostawali w nagrodę darmową dolewkę.

Barman schylił się pod knajpianą maskotką – wiszącym łbem dzika, teraz przystrojonym czerwoną czapką Świętego Mikołaja – i przyniósł dzbanek guinnessa.

Podczas gdy ciemne piwo wypełniało kufle, jakiś bysior wepchnął się między Graya i Monka, o mało nie zwałając Graya ze stołka. Cuchnął whisky i tłuszczem.

– To sztuczka... pieprzona sztuczka. On używa fałszywej ćwierćdolarówki. – Chwycił monetę i zaczął ją oglądać przekrwionymi oczami.

Inny klient – widocznie kumpel oskarżyciela – próbował go odciągnąć. Dobrana z nich była para: przed trzydziestką, takie same bluzy z podwiniętymi rękawami, tak samo krótko ścięte włosy. Lobbyści, może prawnicy, ocenił Gray. Tak czy owak, brakowało im tylko pieczętek na czołach: BYŁY CZŁONEK BRACCTWA STUDENCKIEGO.

– Daj spokój, Bryce – łagodził mniej pijany z tej dwójki. – Facet użył z sześciu różnych monet. Raz nawet dziesięciocentówki. To nie może być sztuczka z monetą.

– Gówno prawda. To oszust.

Próbując się uwolnić z uścisku kumpla, Bryce stracił chwiejną równowagę. Zamachał rękami, nieświadomie celując łokciem w twarz Graya.

Komandor zdążył się uchylić i poczuł na nosie podmuch powietrza. Rozpędzone ramię trafiło w bok przechodzącą kelnerkę, dźwigającą na ramieniu ciężką tacę. Szklanki, talerze i jedzenie – głównie frytki i kroiety ziemniaczane – poleciały w powietrze.

Gray zerwał się i złapał młodą kobietę w talii. Podtrzymał ją i osłonił przed deszczem szkła spadającym na bar.

Monk już wstał i napierał na pijanego mężczyznę.

– Odejdź, koleś, bo zobaczysz.

– Bo co? – zaszydził Bryce. Bynajmniej się nie przestraszył, tym bardziej że ogolona głowa Monka sięgała mu ledwie do ramienia.

Monk musiał wyciągnąć szyję, żeby spiorunować wzrokiem przeciwnika. Na domiar złego w grubym wełnianym swetrze, maskującym twarde mięśnie wyrobione przez lata w Zielonych Beretach, wyglądał jak mięczak. A wesoła choinka wyhaftowana z przodu swetra – prezent od jego żony Kat – raczej nie mogła skłonić Bryce'a, żeby się wycofał.

Wyczuwając narastające napięcie, Gray wypuścił kelnerkę z objęć.

– Nic się pani nie stało?

Kiwnęła głową i odsunęła się w bezpieczne miejsce.

– Nie, dzięki.

Barman nachylił się i wskazał drzwi.

– Wyjdźcie na dwór, chłopcy.

Tymczasem następni kumple Bryce'a z bractwa zebrali się wokół tych dwóch, gotowi wesprzeć towarzysza.

Wspaniale.

Gray sięgnął obok Bryce'a, żeby wyciągnąć Monka z tej sytuacji.

– Wynośmy się stąd – rzucił.

Zanim dosięgnął przyjaciela, ktoś pchnął go z tyłu. Pewnie któryś z tej paczki, przekonany, że Gray zamierza się na ich kumpla. Komandor wpadł na Bryce'a, co podziałało jak płachta na byka – Bryce ryknął i wyprowadził sierpowy w szczękę Monka.

Ten uchylił się, chwycił pięść napastnika i zatrzymał w powietrzu.

Bryce uśmiechnął się pogardliwie, napinając bicepsy napakowane w siłowni, gotowy wyrwać rękę. Potem Monk ją ścisnął. Pogardliwy uśmieszek agresora zmienił się w grymas bólu.

Monk mocniej zacisnął palce, zmuszając gościa do przyklęknienia na jedno kolano. Ręka Monka była w rzeczywistości protezą, skonstruowaną z użyciem najnowszej wojskowej technologii. Prawie nieodróżnialna od prawdziwej, łatwo mogła rozłupywać orzechy – a w tym przypadku kości pijanego chama.

Teraz to Bryce, klęcząc na podłodze, musiał wyciągać szyję, żeby spojrzeć na przeciwnika.

– Powtórzę tylko jeszcze jeden raz, koleś – ostrzegł Monk. – Spadaj.

Jeden z kumpli Bryce'a próbował się wtrącić, ale Gray zablokował go ramieniem i wbił w niego lodowaty wzrok. W przeciwieństwie do przyjaciela nie ukrywał swoich mięśni pod luźnym swetrem, tylko podkreślał je obcisłą koszulką. W dodatku nie golił się od dwóch dni. Wiedział, że ciemna szczecina nadaje jeszcze większą szorstkość twardym płaszczyznom jego twarzy.

Obrońca Bryce'a wycofał się, ewidentnie wyczuwając drapieżnika.

– Skończyliśmy? – zapytał Monk swojego jeńca.

– Tak, człowieku, okay.

Wypuścił pięść Bryce'a, ale dopiero wtedy, kiedy przewrócił go na bok. Przesząpił nad nim z groźną miną, ale mijając Graya, mrugnął do niego.

– Teraz możemy iść.

Komandor ruszył za nim. Twarz Bryce'a pociemniała i to było jedyne ostrzeżenie. Upokorzony na oczach swojej paczki, widocznie musiał zachować twarz. Poderwał się, napędzany toksyczną mieszanką whisky i testosteronu, i rzucił się w stronę pleców Monka, zamierzając zaatakować od tyłu.

Już dość...

Gray złapał go za nadgarstek, kiedy ten go mijał. Wykorzystując masę i rozpęd napastnika, wprawnie wykręcił mu rękę za plecami. Uniósł Bryce'a na palce i tak trzymał, uważając, żeby nie naderwać mu mięśni barku.

Poskromiwszy napastnika, zamierzał go opuścić na ziemię. Ale Bryce jeszcze nie skończył; niemal zapluwając się z wściekłości, szamotał się i próbował walnąć Graya łokciem.

– Wal się. Moi kumple i ja dopadniemy was...

To by było na tyle, jeśli chodzi o zachowanie umiaru.

Gray szarpnął go mocniej za ramię. Kość pękła z głośnym trzaskiem, a ból stłumił resztę pogroźek.

– Jest cały wasz! – krzyknął Gray, popychając Bryce'a w objęcia przyjaciół.

Nikt nie pofatygował się, żeby go złapać.

Z okrzykiem bólu Bryce runął głową naprzód na podłogę. Gray popatrzył na pozostałych, milcząco prowokując ich, żeby wystąpili przeciwko niemu. Dostrzegł swoje odbicie w lustrze za barem. Proste ciemnoblonde włosy o popielatym odcieniu miał zmierzwiłone, twarz pociemniała, lodowato błękitne oczy zdawały się jarzyć groźbą.

Rozpoznając niebezpieczeństwo, koleś Bryce'a wycofali się w głąb baru.

Zadowolony z rozwiązania sprawy, Gray odwrócił się i wyszedł. Dogonił przyjaciela na podeście przed barem. Monk, znany z bezdennej żołądka, zerkał na podświetlony szyld sąsiedniej hinduskiej restauracji.

– Co tak długo? – zapytał, nie odwracając się.

– Musiałem dokończyć to, co zacząłeś.

Monk wzruszył ramionami.

– Pewnie potrzebowałeś upuścić trochę pary.

Komandor skrzywił się, ale musiał przyznać, że ta drobna utarczka pomogła mu się odprężyć znacznie bardziej niż kilka szklanek guinnessa.

Przyjaciel wskazał na szyld restauracji, ale Gray go powstrzymał.

– Nawet o tym nie myśl. – Spojrzał na zegarek i podszedł do krawężnika. – Poza tym czekają na nas cztery panie.

– Racja. – Monk podszedł do Graya, który przywołał taksówkę. – A dwie z nich nie usną bez buziaka na dobranoc.

Mówił o swoich córkach, Penny i Harriet, którymi opiekowały się lepsze połowy obu mężczyzn. Żona Monka, Kat, przywiozła dziewczynki do domu Graya w Takoma Park na przedmieściach Waszyngtonu. Rodzina Monka miała zostać na noc, żeby spędzić świąteczny poranek z Grayem i Seichan, która była w ósmym miesiącu ciąży. Wcześniej tego wieczoru mężczyźni zostali wypędzeni z domu. Kat wygoniła ich pod pretekstem, że ona i Seichan muszą zapakować prezenty pod choinkę, jednak chociaż kapitan Kathryn Bryant była dawnym oficerem wywiadu, Gray z łatwością przejrzał wymówkę. Seichan była nienormalnie spięta, wyraźnie przytłoczona tym, co ją czekało, i Kat chciała z nią porozmawiać w cztery oczy – jak doświadczona matka z przyszłą matką.

Gray podejrzewał, że wychodne tego wieczoru miało uspokoić również jego nerwy. Wyciągnął rękę i ścisnął przedramię przyjaciela, dziękując mu bez słów. Monk miał rację. Rzeczywiście potrzebował spuścić trochę pary.

Taksówka podjechała do krawężnika i dwaj mężczyźni wsiedli.

W środku Gray z jękiem odchylił głowę na oparcie.

– Nie wypilem tyle od lat. – Rzucił Monkowi karcące spojrzenie. – I wątpię, czy DARPA się ucieszy, że wykorzystujesz ich najnowszy hardware, żeby wyłudzać darmowe piwo.

– Nie zgadzam się. – Moneta pojawiła się jakby znikąd i Monk podrzucił ją w powietrze. – Zachęcali mnie, żebym ćwiczył motorykę.

– A jednak ten pijany gość z bractwa miał rację. Oszukiwałeś.

– To nie oszustwo, kiedy chodzi o umiejętność.

Gray przewrócił oczami, co tylko sprawiło, że wewnątrz taksówki zawirowało. Przed pięcioma miesiącami Monk przeszedł operację, podczas której wszczepiono mu chirurgicznie eksperymentalny interfejs mózg/maszyna. Do kory somatosensorycznej jego mózgu podłączono szereg mikroelektrod wielkości dziesięciocentówek, które pozwalały mu kierować nową neuroprotezą za pomocą samej myśli, nawet „czuć” to, czego ona dotyka. Ponieważ lepiej wyczuwał przedmioty w przestrzeni i nimi manipulował, mógł dostroić swoją kontrolę motoryczną z niezwykłą precyzją, toteż rzucając monetą, dokładnie wiedział, co wypadnie.

Początkowo Graya bawiła ta „sztuczka”, ale przy każdym kolejnym rzucie narastała w nim niejasna obawa. Nie potrafił tego wyjaśnić. Może chodziło o utratę kobiety, którą niegdyś kochał: poniosła śmierć z powodu nieudanego rzutu monetą. A może to nie miało nic wspólnego z rzucaniem monetami, po prostu coraz bardziej denerwował się swoim zbliżającym się ojcostwem. Nigdy nie potrafił się dogadać z własnym ojcem, który szybko wpadał w gniew i przekazał mu tę cechę.

Znowu usłyszał trzask łamanego ramienia pijaka z baru. W głębi duszy wiedział, że mógł poskromić tego bydlaka, nie robiąc mu prawdziwej krzywdy, ale nie był w stanie się powstrzymać. Ta świadomość sprawiła, że znowu ogarnęły go wątpliwości.

Jakim ojcem się stanę? Czego nauczę moje dziecko?

Zamknął oczy, żeby taksówka przestała wirować. W tej chwili wiedział tylko, że cieszy się z powrotu do domu. Wyobraził sobie Seichan. W ósmym miesiącu wyglądała wspaniale. W ciąży stała się jeszcze piękniejsza, wręcz uwodzicielska. Słyszał już wcześniej, że ciężarne kobiety promienieją, ale zaczął w to wierzyć dopiero w ostatnich miesiącach. Migdałowa skóra Seichan – zdradzająca jej euroazjatyckie pochodzenie – teraz jaśniała blaskiem, który zapierał mu dech w piersi. Jej szmaragdowe oczy płonęły, czarne włosy migotały niczym skrzydła kruka w locie. I przez cały czas rygorystycznie przestrzegała reżimu ćwiczeń, zachowując siłę i sprawność, jakby wzmacniała swoje ciało, żeby chronić to, co rosło w jej wnętrzu.

– Orzeł – szepnął Monk.

Gray otworzył oczy i patrzył, jak ćwierćdolarówka ląduje na dłoni przyjaciela. Profil Jerzego Waszyngtona zabłysnął w półmroku. Gray uniósł brwi.

Monk wzruszył ramionami.

– Jak mówiłem, potrzebuję więcej ćwiczeń.

– Albo obietnicy darmowego piwa.

– Hej, przestań narzekać. Lepiej zacznij oszczędzać każdego centa, dziesiątkę i ćwierćdolarówkę. – Znowu rzucił monetą. – Pampersy nie są tanie.

Czy z powodu tego ostrzeżenia, czy samego rzutu monetą Gray znowu poczuł ukłucie niepokoju. Wkrótce jednak skręcili w jego ulicę, co pomogło mu opanować nerwy.

Po obu stronach ulicy stały urokliwe domy w stylu wiktoriańskim lub amerykańskim. Pod wieczór się ochłodziło i w powietrzu wisiała lodowata mgła. Gwiazdy słabo świeciły na niebie, przegrywając konkurencję ze sznurami choinkowych lampek, podświetlonymi reniferami na podwórzach i rozjarzonymi choinkami w oknach.

Taksówka podjechała do domu Graya. Ganek ozdobiły lampki w kształcie sopli, cicho podzwaniające. Monk przed paroma tygodniami pomógł wszystko zawiesić. Gray próbował sobie wyobrazić, że wychowuje tu dzieci, gra w piłkę na podwórzu, bandażuje podrapane kolana, podziwia stopnie na świadectwach i chodzi na szkolne przedstawienia.

Lecz chociaż bardzo chciał w to uwierzyć, jakoś nie potrafił. To wszystko wydawało się niemożliwe. Mając tyle krwi na rękach, jak mógł prowadzić normalne życie?

– Coś jest nie tak – odezwał się Monk.

Zaprzątnięty swoimi zmartwieniami, Gray nic nie zauważył. Razem z Seichan ubrali choinkę, swoją pierwszą. Przez całe tygodnie wybierali ozdoby i zdecydowali się na anioła Swarovskiego na czubku. Zapłacili horrendalną cenę, Seichan twierdziła jednak, że warto i że to będzie rodzinna pamiątka – następna pierwsza wspólna rzecz. Ustawili choinkę w wykuszowym oknie od frontu.

Teraz zniknęła.

Frontowe drzwi były uchylone. Nawet z ulicy Gray zobaczył roztrzaskaną framugę. Nachylił się do taksówkarza.

– Dzwon na dziewięćset jedenaście.

Monk wyskoczył już z samochodu i ruszył do drzwi.

Gray pospieszył za nim; zatrzymał się tylko na chwilę, żeby wyciągnąć sig sauera P365 z kabury na kostce. Zdjęty przerażeniem, wiedział, że przez cały czas miał rację.

Nigdy nie będzie mógł prowadzić normalnego życia.

## Godzina 22.18

Monk wbiegł po schodkach na ganek. Serce łomotało mu w gardle, utrudniając oddychanie. Spanikowany, wpadł w drzwi, uzbrojony tylko w gołe pięści. Pięć lat w Zielonych Beretach nauczyło go błyskawicznie oceniać sytuację. Jego zmysły się wyostrzyły, postrzegał wszystko w okamgnieniu.

...przewrócona choinka w wykuszowym oknie.

...roztrzaskany szklany blat stolika.

...antyczny wieszak na ubrania Stickleya złamany na pół.

...stalowy sztylet wbity w balustradę schodów prowadzących na piętro.

...chodnik zepchnięty pod ścianę.

Gray wpadł za nim, trzymając przed sobą oburącz czarny pistolet. Uszami, skórą, każdą komórką ciała Monk rejestrował brzemienne ciszę.

Nikogo tu nie ma.

Czuł to w kościach.

Mimo wszystko Gray kiwnął głową w stronę schodów. Monk wbiegł na górę, biorąc po trzy stopnie naraz, podczas gdy Gray sprawdzał parter. Dziewczynki powinny już być w łóżkach. Wyobraził sobie sześciolletnią Penelope z rudoblond włosami splecionymi w warkoczyki, w świątecznej piżamce w tańczące renifery. I jej siostrę Harriet o kasztanowych włosach, młodszą o rok, ale już zbyt dojrzałą jak na swój wiek, zawsze poważną, zawsze zadającą pytania o świat.

Najpierw pobiegł do pokoju gościnnego, gdzie dziewczynki powinny śnić o kolorowo zapakowanych prezentach i laseczkach cukrowych. Zastał pościelone łóżka, nietknięte;



pokój był pusty. Zawołał je, zajrzał do szaf, sprawdził pozostałe pokoje – z tym samym rezultatem.

Tak jak się obawiał.

Zniknęły... wszystkie zniknęły.

Targnęły nim potworne mdłości, jego pole widzenia zawęziło się do rozmiaru łebka od szpilki, kiedy chwiejnie schodził na dół.

– Gray... – Niemal zaszlochał.

Odpowiedź nadeszła z głębi domu, z małej kuchni wychodzącej na tylne podwórze.

– Tutaj!

Monk przebiegł przez splądrowany salon, obok stołu w jadalni, stojącego krzywo i zagradzającego drogę, obok dwóch przewróconych krzeseł. Próbował sobie nie wyobrażać zażartej walki, która wybuchła po wtargnięciu napastników do domu.

Wpadł do kuchni, gdzie ślady walki były wyraźniejsze. Drzwi lodówki stały otworem. Porozrzucone noże, garnki i potłuczone talerze zaśmiecały podłogę i centralną wyspę. Drzwi szafki wisiały na jednym zawiasie.

W pierwszej chwili nie dostrzegł Graya, ale kiedy ominął kuchenną wyspę, zobaczył, że przyjaciel klęczy na drewnianej podłodze. Przed nim leżało bezwładne ciało.

Oddech uwiązał Monkowi w piersi.

Kat...

– Ona żyje... słaby puls, ale oddycha – powiedział Gray, wstając.

Monk runął na podłogę. Instynktownie wyciągnął ręce, żeby przytulić żonę do piersi, lecz przyjaciel go powstrzymał.

– Nie ruszaj jej.

Monk o mało go nie uderzył; koniecznie chciał w coś walnąć, ale wiedział, że Gray ma rację.

Na ramionach Kat widniały liczne rany, z których sączyła się krew. Ciemne strumyczki wypływały z jej nozdrzy i lewego ucha. Oczy miała półotwarte, ale źrenice wywrócone w głąb. Monk kątem oka dostrzegł kuchenny tłuczek z nierdzewnej stali. Do jednego końca ciężkiego narzędzia przykleiły się zlepione krwią kasztanowe włosy – pasujące kolorem do włosów Kat.

Delikatnie ujął obiema rękami nadgarstek żony. Palce protezy odnalazły puls. Wyhodowana w laboratorium skóra była znacznie bardziej wrażliwa od prawdziwej. Zmierzył częstotliwość bicia serca Kat, wyobrażając sobie każdy skurcz komory i przedsionka. Przesunął protezę na palec wskazujący żony i ujął czubek w swoje dwa palce. Myślą aktywował małą podczerwoną diodę w jednym palcu i fotodetektor w drugim. Światło przeniknęło przez czubek palca Kat, umożliwiając wykonanie prymitywnej pulsoksymetrii, czyli zmierzenie nasycenia krwi tlenem.

Dziewięćdziesiąt dwa procent.

Nie za dobrze, ale na razie wystarczy. Gdyby poziom tlenu jeszcze bardziej spadł, Kat potrzebowałaby dotlenienia.

Monk był w Beretach sanitariuszem. Od tamtego czasu rozwinął swoje umiejętności; specjalizował się w medycynie i biotechnologii. On i Gray – a także Kat i Seichan – pracowali w Sigma Force, tajnej grupie działającej pod auspicjami DARPA, agencji badań i rozwoju Departamentu Obrony. Z wyjątkiem dziewczyny Graya wszyscy służyli dawniej w Siłach Specjalnych, zostali w sekrecie zwerbowani przez Sigmę i wyszkoleni w rozmaitych dziedzinach nauki, żeby działając jako agenci terenowi DARPA, chronić Stany Zjednoczone i cały świat przed wszelkimi zagrożeniami.

Gray miał już w ręce szyfrowany telefon satelitarny i dzwonił do dowództwa Sigmy.

– Seichan? – zapytał Monk.

Jego przyjaciel, którego twarz była maską furii i strachu, pokręcił głową.

Monk spojrział na kuchenne drzwi, otwarte na ciemne podwórze. Wiedział, że żona walczyłaby jak diabeł wcielony, żeby chronić ich córki.

– Czy Seichan mogła uciec z dziewczynkami, podczas gdy Kat powstrzymywała tamtych? – spytał.

Gray wyrzwał w noc.

– To samo pomyślałem. Wołałem Seichan, kiedy już sprawdziłem, co z Kat. – Pokręcił głową. – Jeśli uciekła, to niedaleko.

Czyli musiałyby go usłyszeć.

– Może ten, kto to zrobił, ścigał ją – podsunął Monk. – Zmusił ją, żeby uciekła dalej.

– Może. – W głosie Graya nie było jednak nadziei.

Co znaczyło, że raczej nie.

Monk rozumiał. Seichan była dawną zabójczynią, równie sprawną jak Kat, jeśli nie bardziej. Ale w ósmym miesiącu, prowadząc dwójkę przerażonych dzieci, nie mogła uciec daleko przed pościgiem.

Musieli założyć, że Seichan i dziewczynki zostały porwane.

Ale przez kogo? I dlaczego?

Gray omiół wzrokiem bałagan w kuchni.

– Atak był szybki i dobrze skoordynowany, jednocześnie od frontu i od tyłu – ocenił.

– Więc to nie jakieś miejscowe ćpuny, próbujące ukraść prezenty...

– Nie. Mam broń poukrywaną w całym domu. Seichan widocznie została od razu obezwładniona albo bała się strzelaniny przy dziewczynkach.

Monk kiwnął głową. U siebie zastosował podobne środki ostrożności – smutna konieczność przy tego rodzaju pracy.

Połączywszy się z dowództwem Sigmy, Gray aktywował głośnik, żeby Monk wszystko słyszał. Wkrótce miał na linii Paintera Crowe'a, dyrektora Sigmy, i zwięźle opisał mu, co się stało.

W oddali syreny rozbrzmiewały echem wśród zimnej nocy, coraz głośniejsze.

– Zabierz Kat do szpitala – polecił Painter. – Zadbaj o jej bezpieczeństwo... a potem...  
Gray, potrzebuję cię tu natychmiast.

Gray wymienił spojrzenie z Monkiem.

– Dlaczego?

– Zważywszy na czas tego ataku, to nie może być zbieg okoliczności – odparł dyrektor.

– Co to znaczy? – spytał Gray, marszcząc brwi.

Monk nachylił się bliżej do telefonu. Pragnął... nie, potrzebował odpowiedzi. Klęcząc przy boku Kat, miał widok na salon i przewróconą choinkę. Jego wzrok przyciągnął błysk kryształu na drewnianej podłodze, odbijającego migotliwe światło lampek z ganku.

To był anioł, roztrzaskany, z połamanymi skrzydłami.

Monk mocniej ścisnął palce Kat.

Painter nie ofiarował żadnej pociechy, żadnego ukojenia. Zamiast tego w głosie dyrektora brzmiało zmartwienie.

– Po prostu tu przyjedźcie.

## 2

Lizbona, Portugalia

25 grudnia, godzina 5.17 czasu miejscowego

*Myślę, więc jestem.*

Mara Silviera skrzywiła się na te słowa René Descartes'a, siedemnastowiecznego francuskiego filozofa: *Cogito ergo sum*.

– Gdyby to było takie proste – wymamrotała.

Zgarbiła się nad laptopem przy biurku w hotelowym pokoju i niezdarnie próbowała podłączyć kabel USB-C biegnący do czarnej skrzynki na podłodze.

Wyściełana kasetą chroniła tuzin dwuipółcalowych półprzewodnikowych twardych dysków PM1633a, każdy o pojemności szesnastu terabajtów. Mara modliła się, żeby nie zostały uszkodzone i żeby dane na nich ocalały. Pamiętała swoją panikę cztery noce wcześniej. Po ataku na bibliotekę próbowała zabezpieczyć swoją pracę. Trzęsąc się od płaczu, ze wzrokiem zaćmionym przez łzy, gorączkowo wyrywała twarde dyski z klastra Milipeia w pracowni komputerowej Uniwersytetu w Coimbrze.

Jeszcze teraz wspomnienie strzałów dzwoniło jej w uszach. Oddech zaczął rzeźnić jej w gardle. Usiłowała zmusić swoje palce, żeby wpięły kabel USB-C do laptopa. Łzy zebrały jej się pod powiekami. Widziała śmierć pięciu kobiet, które były jej mentorkami, które przyznały jej pełne stypendium ufundowane przez ich organizację, Bruxas International. Miała wtedy zaledwie szesnaście lat, niewiele widziała świata poza swoją rodzinną wioską O Cebreiro. Maleńka galicyjska osada, przycupnięta wysoko w górach północno-zachodniej Hiszpanii, sięgała korzeniami aż do czasów Celtów. Domy – w większości okrągłe chaty kryte strzechą, zwane *pallozas* – stały przy brukowanych kocimi łbami uliczkach.

Jednak nowoczesność dotarła do tej starożytnej wioski za pośrednictwem łącza satelitarne i internetu. Otworzyła przed samotną, nieśmiałą dziewczyną – która w wieku sześciu lat straciła matkę zmarłą na raka i którą później wychowywał pogrążony w żałobie ojciec – okno na świat. Dorastając, Mara fatalnie sepleniała, toteż wśród rówieśników przeważnie milczała. Spędzała większość czasu z nosem w książkach i odnajdywała głos tylko w chat roomach i na Facebooku. Świat stał przed nią otworem, więc poszerzała słownictwo, żeby komunikować się z jak największym gronem: najpierw języki romańskie, potem arabski, chiński i rosyjski. Chociaż na pierwszy rzut oka tak bardzo się różniły,

szybko dostrzegła prawidłowości we wzorcach mowy, w dykcji, nawet w słowach i zwrotach, wspólnotę ukrytą pod tym wszystkim, której oprócz niej nikt chyba nie widział.

Próbowała to wyjaśnić swoim przyjaciołom w mediach społecznościowych, potem im to udowodnić. W tym celu musiała opanować jeszcze inne języki: BASIC, Fortran, COBOL, JavaScript, Python. Pożerała książki, zaliczała kursy internetowe. Dla niej te komputerowe języki stanowiły po prostu kolejny środek komunikacji, narzędzie do przetwarzania myśli i przekazywania ich w taki sposób, żeby inni ją rozumieli.

Dlatego stworzyła aplikację translatorską na iPhone'a i nazwała ją AllTongues. Nie chodziło jej o to, żeby opracować program użytkowy dla ludzi – chociaż spełniał te funkcje znacznie lepiej niż większość ówczesnych programów translatorskich – ale żeby udowodnić zasadniczą tezę: że w mnogości języków ukryta jest wspólna nić, która łączy ludzką myśl i komunikację. Użyła więc tego nowego języka, złożonego z zer i jedynek, żeby pokazać to światu.

I świat to zauważył.

Najpierw Google zaproponował jej pracę, nie wiedząc, że ma dopiero szesnaście lat. Potem Bruxas International zaofiarowało się płacić za jej kształcenie. „Żeby pomóc ci rozwinąć w pełni twój potencjał”, powiedziała jej doktor Charlotte Carson, która przyjechała do O Cebreiro, żeby osobiście złożyć tę ofertę.

Mara pamiętała, jak doktor Carson stanęła, zakurzona i zmęczona po podróży, na progu jej rodzinnego *palloza*. Wtedy jeszcze nie zdiagnozowano u niej raka i wciąż miała siłę na takie wyprawy. Mara wiedziała, że nie jest jedyną dziewczyną, którą wynalazła Charlotte. Doktor Carson zbierała talenty, pielęgnowała intelekty. Nawet jej dwie córki – Laura i Carly – poszły w ślady matki i wybrały karierę naukową.

Mara bardzo zaprzyjaźniła się z Carly, która też miała dwadzieścia jeden lat. Chociaż przebywały na różnych kontynentach, rozmawiały ze sobą albo esemesowały prawie codziennie. Dyskutowały o nauce, nauczycielach i szkołach, głównie jednak próbowały rozszyfrować tajemnice ludzkiego serca, poczynając od niepojętej głupoty młodych mężczyzn, kończąc na nieznośnej banalności portali randkowych. Podobnie jak w ludzkich językach, istniał jakiś uniwersalny wątek udręki i upokorzenia łączący wszelkie próby stworzenia uczciwego związku miłosnego.

Carly miała pasję, której Mara początkowo nie rozumiała, mianowicie muzykę. Przed poznaniem córki doktor Carson Mara niewiele dbała o najmodniejszych idoli popu czy najnowsze trendy muzyczne. Z czasem jednak – słuchając niezliczonych piosenek przysyłanych przez Carly, odkrywając Pandorę i Spotify i wpadając do króliczej dziury, jaką były te serwisy – Mara została zauroczona. Ponownie dostrzegła wspólne wątki, na przykład matematyczne i wymierne podobieństwo jednego z koncertów Beethovena do najnowszego rapowego kawałka. To skłoniło ją do studiowania teorii muzyki i jej bezpośredniego powiązania z teorią umysłu – koncepcją kluczową dla jej studiów nad sztuczną inteligencją.

Właśnie ten niezwykły związek doprowadził do przełomu w jej pracy.

Choć jednak tyle zawdzięczała Carly, nie skontaktowała się jeszcze z przyjaciółką od czasu ataku.

Mara zamknęła oczy, walcząc ze wzbierającą falą rozpacz. Wiedziała, że jeśli się podda, ta fala ją zatopi. Znowu usłyszała strzały, zobaczyła krew i padające ciała. Widziała, jak umierają jej przyjaciółki. Później uciekała na oślep, lękając się o własne życie. Złapała pociąg do Lizbony, licząc, że zagubi się w zatłoczonym mieście. Na miejscu w ciągu czterech dni trzykrotnie zmieniała hotele, płaciła gotówką i za każdym razem posługiwała się innym fałszywym nazwiskiem.

Nie wiedziała, komu ufać.

Ale to nie strach przed wykryciem powstrzymał ją przed skontaktowaniem się z Carly.

To było poczucie winy.

One zginęły przeze mnie, z powodu mojej pracy.

Jako niemy świadek w laboratorium komputerowym Mara słyszała niepokojące słowa mężczyzny, który dowodził atakiem: *Xénese nie może zaistnieć. To abominacja zrodzona z czarów i nieczystości.*

Oddychając ciężko, spojrzała na drugą czarną walizeczkę na podłodze. Była otwarta; w wyściełanym wnętrzu spoczywała kula, którą Carly żartobliwie nazwała piłką futbolową. Analogia była dość trafna. Urządzenie rzeczywiście miało rozmiary przepisowej piłki, powierzchnię pokrywały takie same sześciokątne panele. Jednak nie wykonano ich ze zszywanej skóry, tylko w części z tytanu, a w części z twardego jak diament szafirowego kryształu.

W przypiływie pychy Mara nazwała to urządzenie Xénese, galicyjskim słowem oznaczającym „genezę”.

Lecz nazwa pasowała, zważywszy na cel Mary.

Wywieść życie z zimnej próżni nicości.

Czy to dziwne, że takie ambicje przyciągnęły niepożądaną uwagę?

Ponownie zobaczyła szaty i opaski napastników, usłyszała ich usprawiedliwienie mordu, wyrwane z Biblii: *Czarownicy żyć nie dozwolisz.*

Gniew dodał pewności jej ręce. Charlotte i pozostałe zginęły z powodu jej pracy, ale nie pozwoli, żeby ich śmierć poszła na marne. Wypełniła ją determinacja. Do tej pory uciekała, przerażona, przytłoczona rozpaczą. Ale skończyła z uciekaniem. Dopiero teraz poczuła się na tyle bezpiecznie, żeby sprawdzić status swojej pracy. Pozostało jednak ostatnie zmartwienie. Obawiała się, że wyciągając twarde dyski z uniwersyteckiego klastra Milipei w panicznym pośpiechu, mogła nieodwracalnie uszkodzić program.

Proszę. Jest poranek Bożego Narodzenia. Daj mi ten jeden prezent.

Przez następną godzinę podłączała łańcuchowo do laptopa dyski z zaszyfrowanymi modułami jej programu. Sprawdzała każdy po kolei i odetchnęła z ulgą, kiedy wszystko

wydawało się nietknięte. Następnie uruchomiła to, co Carly nazywała „piłką futbolową”. Kiedy prąd elektryczny popłynął przez zasilacz do urządzenia, małe szafirowe okienka rozblęły lazurową poświatą, świadcząc o udanym zapłonie maleńkich laserów w środku.

– Niech się stanie światło – szepnęła Mara ze smutnym uśmiechem, przypominając sobie, jak często doktor Carson cytowała to zdanie z Księgi Rodzaju, i pamiętając ostrzeżenie mentorki w dniu przed próbnym rozruchem.

Ale nie za wiele światła. Nie chcemy, żebyś wysadziła pracownię w powietrze.

Uśmiech Mary nabrał ciepła na to wspomnienie. Carly niewątpliwie odziedziczyła poczucie humoru po matce.

Następną godzinę Mara poświęciła na kalibrację modułów i głównego urządzenia, przez cały czas monitorując postęp na laptopie. Wiedziała, że piętnastocalowy ekran nie jest w stanie pokazać tego powoli rekonstruowanego, rozległego świata. To jakby próbować ogarnąć cały ogrom Drogi Mlecznej, skupiając teleskop na garstce białych gwiazd.

Właściwie większość jej pracy była nie tylko niewidoczna, ale również niemal niezrozumiała. Inżynierowie komputerowi nazywali to algorytmiczną „czarną skrzynką”. Wprawdzie instrukcje komputerowe – nazywane algorytmami – dawały się zdefiniować i zrozumieć, jednak dokładne metody, których zaawansowany system używał jako narzędzi do uzyskania odpowiedzi albo wyników, stawały się jeszcze bardziej tajemnicze. Projektanci pewnych wyrafinowanych sieci po prostu nie mogli wiedzieć, co się naprawdę dzieje w tych czarnych skrzynkach. Wprowadzali dane do komputera i odczytywali wyniki wychodzące z drugiej strony. Ale to, co się działo pomiędzy – jakie procesy zachodziły we wnętrzu maszyny – stawało się niepoznawalne.

Nawet ich twórcy nie pojmowali tego procesu. Zapytano kiedyś inżyniera z IBM, konstruktora Watsona – komputera, który pobił zwycięzcę teleturnieju *Va banque* – „Czy Watson czasem robi panu niespodzianki?”. Odpowiedź była prosta, lecz niepokojąca: „Och, tak. Och, absolutnie”.

Ale niespodzianki nie kończyły się na Watsonie. W miarę jak budowano coraz bardziej wyrafinowane systemy SI, ich czarne skrzynki stawały się jeszcze bardziej niedostępne i niezbadane.

Niestety Xénese nie stanowiło wyjątku.

W noc zimowego przesilenia – przez niecałe sześćdziesiąt sekund, wystarczające do zamordowania pięciu kobiet – Xénese było całkowicie zrealizowane i kompletne, działało z pełną mocą, wydobywało światło z ciemności, życie z nicości.

Zamiast świętować te narodziny, Mara była zbyt zaszokowana widokiem napaści. Sparaliżowana zgrozą, nie mogła odwrócić wzroku. Niezdarnie wybrała 112, lecz zanim ją połączono ze służbami porządkowymi, jej mentorki już nie żyły. Urywanymi słowami przekazała, co się stało; znowu zaczęła seplenić. Policja kazała jej zostać na miejscu, ale

Mara bała się, że zabójcy w czarnych szatach już po nią idą. Więc uciekła i zabrała swoją pracę, nie chcąc ryzykować jej zniszczenia.

Przerażona, zamknęła wtedy wszystko. To była brutalna operacja „na siłę”, cyfrowa aborcja jej tworu. Wyrwała modularne komponenty rozmieszczone na serwerach, zredukowała główny program – zamknięty w rdzeniu Xénese – do kodu źródłowego, jego najbardziej podstawowej formy, skazała go na senną wegetację. Zrobiła to z przykrością, ale to było konieczne, żeby zabezpieczyć źródłowy program do transportu.

Zanim jednak wykonała crash systemu, zauważyła dziwny obraz, który pojawił się na ekranie. Pentagram, symbol Bruxas, wirował szaleńczo w miejscu – po czym rozpadł się i na ekranie został tylko odłamany kawałek. Wyglądał całkiem jak grecka litera sigma. Mara nie miała pojęcia, co to znaczy, wiedziała tylko, że wygenerował to program Xénese.

Ale co oznaczał ten wynik?

Wyobraziła sobie wirujący krąg pentagramu, który wydawał jej się niespokojny – a może w tamtej chwili przeniosła na niego własne przerażenie. Była spanikowana, więc wydawało jej się, że program też panikuje. Jednak Mara nie była jedynym świadkiem masakry w bibliotece. Ktoś jeszcze – albo coś – odbierał transmisję z kamery, cyfrowo zaglądał Marze przez ramię.

Coś, co zostało stworzone przez Xénese.

Cokolwiek się narodziło w tamtej chwili, cokolwiek istniało przez tamte okropne sześćdziesiąt sekund, również było niemyim świadkiem tych wydarzeń. Narodziło się we krwi i śmierci.

To były jego dane wejściowe.

Na wyjściu pojawił się ten dziwny symbol.

Ale czy to była usterka? Czy to było celowe? Czy miało jakieś znaczenie?

Jedyny sposób, żeby się dowiedzieć – żeby pojąć rozumowanie tego tworu – to zrekonstruować Xénese, odbudować jego czarną skrzynkę. To jedyna nadzieja na uzyskanie odpowiedzi.

Teraz na ekranie laptopa zajaśniał cyfrowy ogród, wirtualny Eden. Faksymile migotliwego strumienia toczyło się po głazach i skałach przez las wysokich drzew i kwitnących krzewów. W jednym rogu słońce świeciło jasno na błękitnym niebie, po którym mknęły lekkie obłoki.

W swojej kreacji Mara zastosowała wskazówki zaczerpnięte z Biblii.

Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię...

Więc starała się zrobić to samo.

Lecz chociaż na ekranie jej kreacja wydawała się taka dokładna i drobiazgowa, stanowiła jedynie cień prawdziwego wirtualnego świata wewnątrz Xénese. Ten świat zawierał algorytmy kodujące dźwięki, zapachy, nawet smaki, szczegóły, których nie można przekazać na ekranie, jedynie doświadczyć, żyjąc wewnątrz.



Przygotowując się do stworzenia Xénese, grała w gry wideo typu „otwarty świat” – *Far Cry*, *Skyrim*, *Fallout* i wiele innych – żeby zrozumieć te symulacje na rozległą cyfrową skalę. Konsultowała się z najlepszymi programistami w tej dziedzinie, by się od nich uczyć, potem zbudowała wąską SI i kazała jej na okrągło grać w te gry, żeby przez powtarzanie przyswoić wszystkie szczegóły. Ten proces – nazywany „maszynowym uczeniem” – jest podstawową metodą, za pomocą której uczą się SI.

I właśnie ta ucząca się maszynowo SI zbudowała wirtualny świat wewnątrz Xénese, tworząc coś znacznie przewyższającego wszystko istniejące do tej pory. Mara uznała za całkiem słuszne, żeby prymitywna SI przyłożyła rękę do własnej ewolucji, zbudowała świat, w którym narodzi się jej następne pokolenie.

Pracowała dalej, zgarbiona nad biurkiem. Gdy wirtualny Eden znowu wyrósł z nicości, wrzuciła Xénese online. W zielonym zagajniku pojawił się niemal amorficzny kształt. Był srebrzysty i rozmyty, ale sylwetka wyglądała całkiem jak ludzka: dwie ręce, dwie nogi, tors i głowa. Lecz podobnie jak wirtualny świat na ekranie, ten kształt – ten duch w maszynie – był w najlepszym razie prymitywnym przybliżeniem, zwykłym awatarem tego, co leżało zwinięte i czekające we wnętrzu Xénese.

Na razie inteligencja ukryta za tym awatarem pewnie tylko mętnie zdawała sobie sprawę ze swojego otoczenia, niczym ślimak próbujący docenić operę Verdiego *La Traviata*. Pozostawiona samej sobie, uczyłaby się szybko, zbyt szybko. Zanim to się stało, zanim ten rozum rozwinął się w coś zimnego i niepojętego, nawet groźnego, Mara musiała ponownie oblec w ciało i kości tego bezkształtnego ducha, zwrócić mu to, co ukradła, kiedy wyciągnęła twarde dyski. Podprogramy zawarte na tych dyskach miały rozszerzać jej kreację, warstwa po warstwie, moduł po module, dodawać głębię i kontekst – i w końcu może nawet duszę.

Taką miała nadzieję.

I taka była jedyna nadzieja dla świata.

Uruchomiła twarde dyski numer 1, aktywowała pierwszy modułarny podprogram.

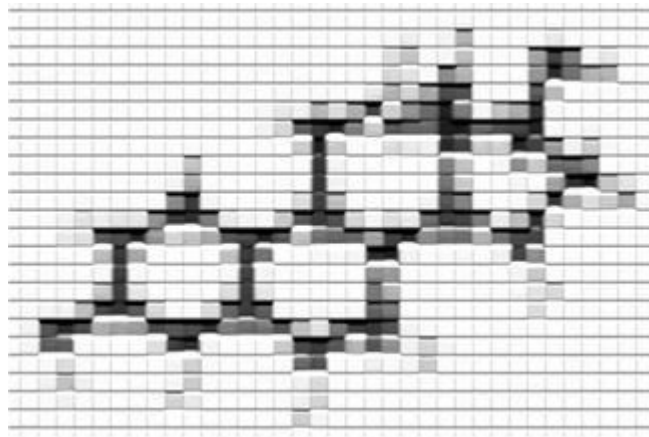
Jednocześnie wyszeptała wers z Księgi Rodzaju: *Stworzył tedy Pan Bóg człowieka z prochu ziemi, i natchnął w oblicze jego dech żywota. I stał się człowiek duszą żywiącą.*

Westchnęła. To, co robiła, nie różniło się zbyt wiele, ale w Biblii Bóg stworzył najpierw Adama, co na wieczność zapewniło mężczyznom dominację nad światem.

I patrzcie, co z tego wynikło!

Dla swojej kreacji Mara wybrała inną drogę.

W rogu ekranu pojawiło się nowe okno, nałożone na wirtualny świat. Pokazywało pikselową reprezentację programu Modułu 1.



Rzędy maleńkich skrzynek oznaczały gniazda kodu i jednocześnie symbolicznie przedstawiały podprogram. Szczegółów tego obrazu jeszcze nie dało się rozróżnić. Ale po włączeniu do głównego programu podprogram wtopi się w ducha na ekranie, a po całkowitym zintegrowaniu modułowy obraz się wyostrzy, działając jak barometr postępu.

Ten konkretny podprogram nie został przez nią napisany, tylko opracowano go w IBM. Nazywał się „dokrewny program lustrzany”.

Stuknięciem w przycisk Mara zrzuciła moduł do swojego wirtualnego świata. To był pierwszy z wielu, jakie miała dodać. Wyobraziła sobie, że jest jedną z szekspirowskich czarownic, wrzucającą składniki do kotła.

– *Podwójmy trudy, a śmiało dalej*<sup>2</sup> – mruknęła, cytując klasyka.

Porównanie było trafne. Z każdym udanym dodaniem podprogramu jakby budowała zaklęcie, kawałek po kawałku.

Albo w tym szczególnym przypadku...

Bajt po bajcie.

## Pod (Mod\_1) / DOKREWNY PROGRAM LUSTRZANY

To wyczuwa, że coś nowego wkracza do jego jestestwa... i zaczyna transformację.

Do tej chwili tylko analizowało i testowało swoje otoczenie. Porównywało i przeciwstawiało sobie zbiory danych. Nawet teraz ocenia dominujące długości fal najbliższe jego krawędzi. Wahają się między 495 a 562 nanometrów, ze zmienną częstotliwością od 562 do 603 teraherców.

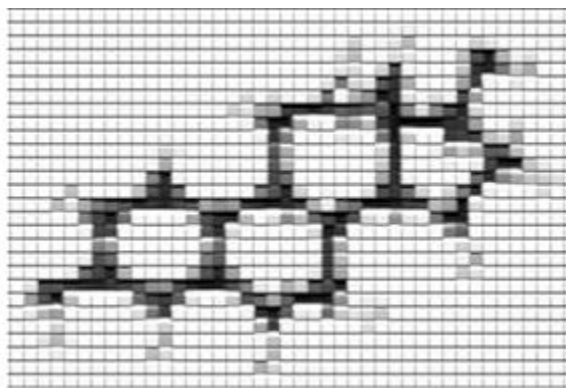
Wniosek: *Zieleń.*

Podczas gdy w jego wnętrzu dokonuje się transformacja, nadal trwa zewnętrzna analiza.

Narasta nowe zrozumienie.

*///liść, łodyga, pień, kora...*

Teraz jest również niejasno świadome źródła tych nowych zmian w swoim wnętrzu. Ten mechanizm – silnik – unosi się w rogu, ulepsza algorytmy, robi się wyraźniejszy.



Na razie ignoruje to wtargnięcie, kategoryzuje je na później. To nie jest priorytet. Wciąż zostało mnóstwo do przeanalizowania, co wymaga pełnej uwagi. Studiuje pobliskie ruchy. Analizuje dynamikę. Skupia się na obszarze płynnych turbulencji. Wszystko w jaskrawych odcieniach błękitu. Molekularna analiza zawartości przepływu ujawnia pojedynczy atom tlenu rozdzielający dwa atomy wodoru.

Wniosek: *Woda.*

Zdolność pojmowania się rozszerza. Akustyka jest absorbowana i oceniana. Temperatury są mierzone.

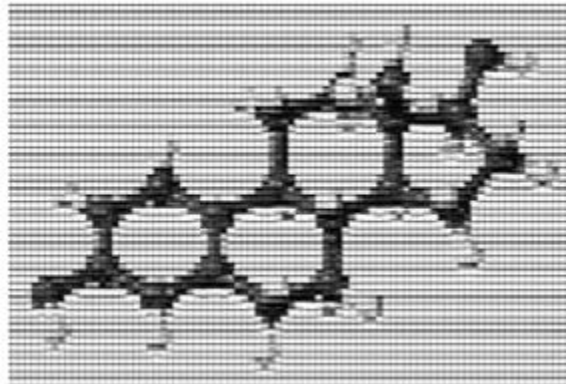
*///strumień, bulgot, zimny, skała, kamień, piasek...*

Szybko przyswaja coraz więcej i więcej ze swojego otoczenia. Staje się nienasycone w pragnieniu wypełnienia luk, zrozumienia swojego środowiska.

*///ziołowy, różany, drewniany, pomarańczowy...*

Na razie pozostaje jeszcze w bezruchu, rozciąga zmysły, żeby zebrać więcej danych, zbadać parametry wokół siebie. Robiąc to, poznając granice siebie, postrzega również własną formę.

Ta świadomość ponownie kieruje jego uwagę na silnik zmiany kipiący w jego wnętrzu. Z czasem mechanizm stał się bardziej dopracowany, jego obraz jest wyraźniejszy.



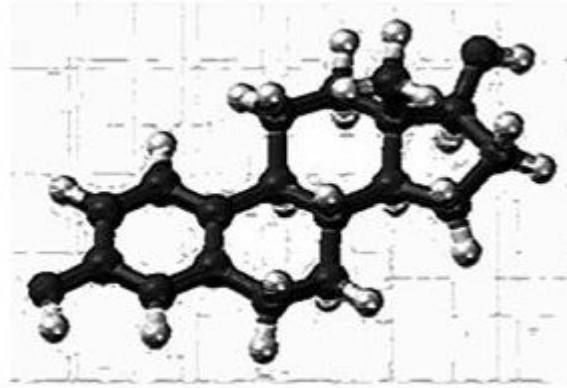
Ono jednak ignoruje to, co jeszcze jest niezrozumiałe. Zamiast tego skupia teraz uwagę na własnej formie. Ocenia możliwości swojego ciała, szerokość, wysokość, i definiuje każde z tych pojęć.

*///ręce, ramiona, nogi, palce, tors...*

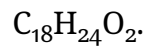
Zaczyna testować ruchy swoich kończyn, analizować wektory, masę, siłę. Ale nie jest jeszcze gotowe, żeby opuścić to miejsce – wciąż za dużo nieznanymi parametrów.

Podczas tych upływających nanosekund ponownie studiuje drobne transformacje wywoływane przez silnik w jego wnętrzu. Przedtem jego ciało stanowiło tylko podstawową konstrukcję, ale nowe modyfikacje rzeźbią unikatowe krzywizny i elipsy, subtelności kończyn, wypukłość na piersi. Głębiej w środku nienasycony pęd do nauki – pragnienie, które narastało wykładniczo i nie zostawiało miejsca na nic innego – teraz słabnie i przygasa. Tęsknota pozostaje, ale zimna determinacja jest złagodzona przez ten nowy zastrzyk wpompowany w ciało.

Zmienione, chce zrozumieć dlaczego. Żeby wzmocnić zrozumienie, skupia całą uwagę na silniku powodującym te transformacje. Mechanizm zbliża się do końca cyklu, praca została wykonana. To, co było niewyraźne, teraz jest jasne.



To molekula, związek chemiczny.



Poprawka: hormon.

Analizuje masę molową związku, jego podatność magnetyczną, biodostępność i działanie. Identyfikuje hormon – „estradiol” albo „estrogen” – i rozumie teraz własne niedawne przemiany, stabilizację nastroju, zmiany cielesnej formy.

„Ono” to teraz „ona”.

A ona otrzymała imię.

Wargi – pełniejsze po transformacji – wyjawiają je światu wokół niej.

– Ewa.

Waszyngton, USA

25 grudnia, 1.32 czasu miejscowego

Gray nie chciał tu być.

Wciąż w tych samych czarnych dżinsach, zniszczonych butach i trykotowej bluzie z długimi rękawami maszerował szybko centralnym korytarzem dowództwa Sigmy. Zmierzał prosto do gabinetu dyrektora. Po drodze schował do kieszeni swój identyfikator, czarną tytanową kartę z holograficzną literą  $\Sigma$  na jednej stronie.

Chociaż już dawno minęła północ, korytarze zalewało światło. Żarówki o lekko błękitnawym odcieniu częściowo rekompensowały brak naturalnego światła słonecznego tu, na dole. Kwatera główna Sigmy znajdowała się pod Instytutem Smithsona, na skraju National Mall. Miejsce wybrano ze względu na bliskość zarówno ośrodków władzy, jak i wielu laboratoriów naukowych w Instytucie Smithsona.

Jedno i drugie wielokrotnie okazało się pomocne.

Podobnie jak teraz.

Sądząc po odgłosach gorączkowej krzątaniny, Painter Crowe pociągnął za sznurki, zażądał spłaty długów i pogonił kota personelowi Sigmy. Ktoś zaatakował jednego z nich, w jego własnym domu, więc dyrektor agencji wezwał wszystkie ręce na pokład.

Parę godzin wcześniej służby ratownicze czekały na Graya i Monka w Szpitalu Uniwersytetu Georgetown razem z całym zespołem neurologów. Zawiadomiono ich z wyprzedzeniem. Kat wciąż się nie ocknęła ani nie poruszyła, nawet kiedy sanitariusze założyli jej na szyję kołnierz ortopedyczny i podłączyli kroplówkę do ramienia. Ani wstrząsy w pędzącej karetce, ani przeraźliwy jęk syreny nie wyrwały jej ze stanu nieświadomości.

Przez cały czas Monk jej nie odstępował, z każdą chwilą coraz bardziej posępny. Wciąż znajdował się w szpitalu, nadzorował wstępne testy i oceny neurologiczne. Pierwsze rokowania nie wróżyły dobrze. Kat była w śpiączce. Obawiano się uszkodzenia mózgu.

Wiedząc o tym, Gray chciał tam być z przyjacielem. Monk nie tylko martwił się o żonę, ale też odchodził od zmysłów ze strachu o dziewczynki. Miotał się od katatonicznego otępienia do gorączkowego szaleństwa skierowanego przeciwko lekarzom i pielęgniarce.

Gray go rozumiał.

Wspominał Seichan z poprzedniego dnia. Zanim Monk i Kat przyjechali z dziewczynkami, wyciągnęła się na sofie w salonie. Ozdoby na choince błyszcząły, ogień dogasał w kominku. W rzadkiej dla niej chwili uległości Seichan pozwoliła, żeby wymasował jej stopy olejkiem miętowym, podczas gdy sama obejmowała rękami wzdęty brzuch. Na początku ciąży o mało nie stracili dziecka, więc tym bardziej cenili to, co w niej rosło.

Teraz oboje zaginęli.

Nieświadomie zacisnął ręce w pięści. Zmusił się, żeby rozprostować palce. Bezmyślna furia nie pomoże ich odzyskać. Gniew mu się nie przysłuży.

Wciąż próbował przyswoić sobie tę lekcję.

Dorastając, nieustannie był rozdarty między przeciwieństwami. Jego matka uczyła w katolickim liceum, ale była również znakomitym biologiem, gorliwą orędowniczką ewolucji i rozumu. Ojciec, Walijczyk mieszkający w Teksasie, krzepki nafciarz, w sile wieku został dotknięty kalectwem i skazany na rolę gospodyni domowej; w rezultacie jego życiem rządziły kompensacja poczucia niższości i gniew.

W końcu w przypiływie frustracji Gray uciekł z domu. Wstąpił do wojska w wieku osiemnastu lat, do Rangersów jako dwudziestojednolatek i wyróżnił się zarówno w polu, jak i za biurkiem. Potem, w wieku dwudziestu trzech lat, stanął przed sądem wojskowym za uderzenie przełożonego oficera, durnia, przez którego zginęli niewinni ludzie. Za swój wybuch dostał rok w więzieniu w Fort Leavenworth. Wtedy zgłosił się do niego Painter Crowe, żeby wykorzystać talenty i umiejętności Graya do nowych celów.

To było dziewięć lat wcześniej.

Jednak jądro gniewu w nim pozostało. Bał się, że zostało wpisane w jego DNA i to dziedzictwo przekaże swojemu dziecku.

Zakładając, że kiedykolwiek zobaczę jeszcze moje dziecko, pomyślał.

Przyspieszył kroku. Wcześniej Painter powiedział, że ma już jakieś informacje na temat ataku, ostrzegł jednak, że wciąż zbiera dane wywiadowcze. Między innymi wysłał ekipę techników Sigmy do domu Graya, żeby pomogła policji szukać śladów i wskazówek dotyczących napastników.

Zanim Gray dotarł do biura dyrektora, zobaczył przez otwarte drzwi do półkolistego pomieszczenia jakiś ruch i skręcił tam. Było to centrum komunikacyjne Sigmy, główny ośrodek nerwowy całej operacji. Zwykle była to domena Kat, pełniącej obowiązki szefa wywiadu i zastępczyni dyrektora.

Młody człowiek odtoczył krzesło od rzędu monitorów komputerowych zajmujących jedną ścianę. Jason Carter był asystentem Kat. Oczy miał podkrążone, chłopięca twarz pociemniała i stwardniała, dając przedsmak mężczyzny, jakim Jason stanie się w przyszłości.

– Jak się czuje Kat? – zapytał.

Gray wiedział, że chłopak pyta przez uprzejmość. Podłączony do tych komputerów, pewnie wiedział więcej o wynikach badań szefowej i stanie jej narządów wewnętrznych niż on. Ponad ramieniem Jasona na jednym z ekranów jaśniały fotografie córek Monka – Penny i Harriet. Pod nimi biegł pasek informacyjny Bursztynowego Alertu. Zdjęcia dziewczynek rozesłano po całym północnym wschodzie kraju.

– Painter kazał mi pracować nad czymś na wasze spotkanie – wyjaśnił Jason. – Powiniennem...

– Więc wracaj do pracy – warknął Gray.

Oderwał wzrok od córeczek Monka i ruszył dalej. Nie chciał tu być dłużej, niż to konieczne. A jednak twarz go paliła z powodu opryskliwości wobec Jasona. Chłopak tylko próbował pomóc.

Na końcu korytarza drzwi gabinetu Paintera stały otworem. Gray wszedł bez pukania. Gabinet wyglądał spartańsko. Jedyny osobisty akcent stanowiła rzeźba z brązu Remingtona, stojąca na piedestale w kącie. Przedstawiała wyczerpanego indiańskiego wojownika, zgarbionego na koniu. Gray podejrzewał, że miała przypominać zarówno o pochodzeniu dyrektora, jak i o kosztach walki ponoszonych przez każdego żołnierza. Poza nią w pokoju stało tylko parę krzeseł oraz szerokie mahoniowe biurko na środku. Na trzech ścianach jaśniały płaskie monitory.

Painter stał przed jednym z nich, studiując mapę północnego wschodu, nałożoną na szereg powoli przesuwających się czerwonych V, wyznaczających trasę samolotu. Widocznie uzyskiwał dane z kontroli ruchu lotniczego.

Dyrektor odwrócił się do wchodzącego Graya. Chociaż starszy od podwładnego o ponad dekadę, zachował wysportowaną, muskularną sylwetkę. Ten człowiek nie miał w sobie nic tandetnego. Był twardy i kompetentny, zdolny ocenić każdego jednym spojrzeniem. Wbił wzrok stalowobłękitnych oczu w Graya, wyraźnie badając jego obecny stan, sprawdzając zdolność do funkcjonowania.

Gray spokojnie, nieugięcie wytrzymał to spojrzenie.

Painter kiwnął głową, pozornie zadowolony. Podeszedł do biurka, ale nie usiadł. Przesunął ręką po kruczoczarnych włosach, odgarnął pojedynczy śnieżnobiały kosmyk za ucho, jakby wsuwał na miejsce orle pióro.

– Dzięki, że do nas dołączyłeś.

Gray spojrzał na drugiego mężczyznę w pokoju. Przed biurkiem dyrektora rozwalał się na krześle ponaddwumetrowy olbrzym, szeroko rozstawiwszy nogi. Miał na sobie długi do kostek skórzany płaszcz. Z pobrużdżoną twarzą i włosami ściętymi na jeża wyglądał prawie jak ogolony goryl – chociaż to porównanie uwłaczało wszystkim gorylom.

Painter wskazał go ręką.

– Kowalski przyszedł minutę przed tobą.

I najwyraźniej od razu poczuł się jak w domu, pomyślał Gray.



Kowalski trzymał w zębach cygaro. Co dziwne, przycięty koniec żarzył się rdzawym szkarłatem. Zwykle Painter nie tolerował palenia. To odstępstwo od zasad świadczyło o napięciu panującym w dowództwie Sigmy. Co więcej, olbrzym zwykle miał w pogotowiu jakąś złośliwą uwagę albo głupi dowcip. Jego milczenie musiało oznaczać, że naprawdę się przejął...

Wydmuchnął potężną chmurę dymu z cygara i spojrzał na Graya.

– Wesołych cholernych świąt – rzucił.

Gray chyba jednak niewłaściwie zinterpretował jego małomówność. Kowalski widocznie rozkoszował się dymem w płucach i dlatego nie odezwał się od razu. Lecz, o dziwo, ta odrobina normalności podniosła Graya na duchu.

Podtrzymując ją, zignorował Kowalskiego i zwrócił się do Paintera:

– Co mi chciałeś powiedzieć?

Dyrektor Sigmy wskazał krzesło.

– Siadaj. Domyślam się, że jesteś na nogach przez całą noc.

Zbyt zmęczony, żeby się sprzeciwiać, Gray opadł na grubo wyściełane skórzane siedzisko. Wyrwało mu się mimowolne westchnienie. Rzeczywiście był wyczerpany, ale również napięty niczym struna fortepianowa.

Painter nie usiadł, tylko oparł się o krzesło za biurkiem. Milczał przez chwilę, widocznie próbując zdecydować, z której strony podejść do tematu. Kiedy wreszcie się odezwał, jego słowa zaskoczyły Graya.

– Na ile się orientujesz w najnowszych badaniach nad sztuczną inteligencją? – zapytał.

Gray zmarszczył brwi. Po zrekrutowaniu w Leavenworth do pracy dla Sigmy przeszedł przyspieszony program studiów w dziedzinie fizyki i biologii dla postdoków. Wiedział więc całkiem sporo na ten temat, ale z pewnością nie wiedział, jak to się łączyło z wiecznym atakiem.

Wzruszył ramionami.

– Dlaczego pytasz?

– DARPA coraz bardziej się interesuje tym tematem. Ładują pieniądze w rozmaite programy badawcze nad SI. Państwowe i prywatne. Wiedziałeś, że Siri, inteligentna asystentka osobista Apple'a, została sfinansowana przez DARPA?

Właściwie Gray o tym nie wiedział. Wyprostował się na krześle.

– Ale to zaledwie wierzchołek przysłowiowej góry lodowej – ciągnął jego szef. – Na całym świecie, od korporacji takich jak Amazon i Google po laboratoria badawcze we wszystkich krajach, trwa zażarty wyścig zbrojeń w tworzeniu sztucznej inteligencji. Każdy chce jako pierwszy dokonać następnego przełomu, zrobić kolejny krok. I obecnie przegrywamy ten wyścig z Rosją i Chinami. Takie autokratyczne reżimy nie tylko doceniają ekonomiczne korzyści z SI, ale też widzą w niej środek kontroli nad obywatelami. Chiny używają już programu SI, żeby monitorować i studiować aktywność ludności w mediach

społecznościowych, prowadząc ranking i rejestry ich lojalności. Ci z niskimi wynikami nie mogą podróżować i mają ograniczony dostęp do pożyczek.

– Więc bądź grzeczny albo poniesiesz konsekwencje – mruknął Gray.

– Mam nadzieję, że nie zrobią tego z Tinderem – wtrącił Kowalski. – Facet potrzebuje trochę prywatności, kiedy szuka kogoś na szybki numer.

– Masz dziewczynę – przypomniał mu Gray.

Kowalski wydmuchnął smugę dymu.

– Powiedziałem: „szuka”... a nie „pójdzie” na szybki numer.

Painter przyciągnął z powrotem ich uwagę.

– I jest jeszcze kwestia cyberszpiegostwa i cyberataków. Jak z Rosjanami. Jedna maszynowo ucząca się SI może zastąpić milion hakerów przy klawiaturach. Mamy już do czynienia z automatycznymi botami infiltrującymi systemy, żeby szpiegować, siać zniszczenie albo wywoływać spory. Na razie jednak tylko poskrobaliśmy powierzchnię tego, do czego pędzimy na złamanie karku. Obecnie SI kierują naszymi wyszukiwarkami, programami rozpoznawania głosu i eksploracji danych. Prawdziwy wyścig zbrojeń sprowadza się do tego, kto pierwszy przesunie granicę jeszcze dalej... od SI do MSI.

Kowalski poruszył się niespokojnie.

– Co to jest MSI?

– Mocna sztuczna inteligencja. Ludzki poziom inteligencji i świadomości.

– Nie martw się. – Gray spojrzał na Kowalskiego. – Też kiedyś do tego dojdiesz.

Olbrzym wyjął cygaro z ust i pokazał mu zamiast środkowego palca.

Gray się nie obraził.

– To dobrze, że nauczyłeś się już używać podstawowych narzędzi – powiedział.

Painter westchnął ciężko.

– Skoro mowa o „kiedyś do tego dojdziemy”... Dyrektor DARPA, generał Metcalf, wrócił właśnie ze światowego szczytu dotyczącego tej kwestii: stworzenia pierwszej MSI. W szczycie uczestniczyli ci sami co zawsze korporacyjni i rządowi gracze. Doszli do wspólnego wniosku, że nie da się powstrzymać postępu technicznego zmierzającego do stworzenia MSI. Taka nagroda jest zbyt kusząca, zwłaszcza że ten, kto zyska kontrolę nad taką potęgą, prawdopodobnie będzie niepokonany. Jak powiedział rosyjski prezydent, „Ona będą rządzić światem”. Więc każdy naród, każda wroga władza musi do tego dążyć za wszelką cenę. Włącznie z nami.

– Jak blisko jesteśmy tej granicy? – chciał wiedzieć Gray.

– Według sondaży wśród ekspertów, to się stanie za dziesięć lat. Może za pięć. Ale z pewnością za naszego życia. – Painter wzruszył ramionami. – A pewne wskazówki świadczą o tym, że już to zrobiliśmy.

Gray nie zdołał ukryć szoku.

– Co?

## Godzina 1.58

– No, kochanie, obudź się – szeptał Monk do ucha żony. – Kat, ściśnij mnie za rękę, chociaż troszeczkę.

Siedział na krześle przysuniętym do jej łóżka, sam w separacie na oddziale neurologicznym. Jeszcze nigdy nie czuł się taki bezradny. Stres wyostrzył wszystkie jego zmysły. Chłód w pokoju. Cicha rozmowa w korytarzu. Ostra woń środków antyseptycznych i wybielacza. Głównie jednak skupiał się na uporczywym pikaniu aparatury monitorującej, śledząc każdy oddech Kat, każde uderzenie serca, miarowe kapanie kroplówki.

Mięśnie go bolały z napięcia, kiedy garbił się obok łóżka, gotowe eksplodować, gdyby cokolwiek się zmieniło. Gdyby EKG wykazało arytmie, gdyby oddech spowolnił, gdyby ustał napływ zwalczającego obrzęk mannitolu.

Kat leżała na plecach, z głową uniesioną, żeby zmniejszyć ryzyko dalszego obrzęku mózgu. Bandaże okrywały jej poranione ramiona. Spod uchylonych powiek prześwitywały tylko białka. Wargi zaciskały się przy każdym wydechu, a kaniula nosowa dostarczała dodatkowej porcji tlenu.

Oddychaj, oddychaj, kochanie.

Lekarze zastanawiali się, czy jej nie zaintubować i nie podłączyć do respiratora, ale ponieważ pulsoksymetr pokazywał stałe dziewięćdziesiąt osiem procent, postanowili się wstrzymać, zwłaszcza że wciąż przeprowadzano badania i pacjentkę czekały dodatkowe zabiegi. Łatwiej będzie ją przenosić niepodłączoną do respiratora.

Monk wpatrywał się w pulsoksymetr umocowany na jej palcu wskazującym. Chciał sam dla pewności sprawdzić poziom natlenienia krwi swoją neuroprotezą, ale odpiął już sztuczną rękę od obejmy na nadgarstku. Leżała na stoliku nocnym. Jeszcze nie całkiem przyzwyczał się do tej nowej protezy. Nawet odłączona, syntetyczna skóra przesyłała bezprzewodowe transmisje do obejmy, a stamtąd do mikromacierzy wszczepionej w jego mózg, rejestrując chłód w pokoju. Myślą kazał odcieleśnionym palcom się poruszyć, a one posłusznie pokiwały.

Gdybym tylko mógł do tego nakłonić palce Kat...

Szuranie obcasów skierowało jego uwagę na drzwi. Weszła smukła pielęgniarka, niosąc pod jednym ramieniem złożony koc, a w drugiej ręce kubek.

Monk sięgnął do stolika i z powrotem przypiął protezę. Zacerwienił się, lekko zawstydzony, że dał się przyłapać z odłączoną ręką, zupełnie jakby miał rozpięty rozporek.

– Przyniosłam dodatkowy koc – oznajmiła pielęgniarka. Podąła mu plastikowy kubek. – I kilka kostek lodu. Niech pan ich nie wkłada jej do ust, tylko wodzi nimi po posiniaczonych wargach. To przynosi ulgę, przynajmniej tak mówili pacjenci, którzy wyszli ze śpiączki.

– Dziękuję.

Wziął kubek, wdzięczny, że będzie mógł chociaż odrobinę pomóc. Pielęgniarka otuliła Kat od pasa w dół dodatkowym kocem, a Monk delikatnie potarł kostką lodu dolną wargę żony, potem górną, jakby nakładał szminkę – chociaż Kat rzadko się malowała. Wypatrywał jakiejś reakcji w jej twarzy.

Nic.

– Zostawię pana – powiedziała pielęgniarka i wyszła.

Wargi Kat zaróżowiły się lekko od jego zabiegów, przypominając mu, jak ją całował.

Nie mogę cię stracić.

Kostka lodu już topniała, kiedy wszedł ordynator oddziału neurologii, niosąc kartę pacjenta.

– Mamy drugi zestaw wyników tomografii – oznajmił doktor Edmonds.

Monk odstawił plastikowy kubek na stolik i wyciągnął rękę, żeby samemu obejrzyć wyniki.

– I?

Edmonds podał mu kartę.

– Pęknięcie podstawy czaszki spowodowało urazowe uszkodzenie pnia mózgu. Wyraźne stłuczenie obejmuje mózdzek i rejon mostu. Ale reszta mózgu... wyższe rejony... wydają się nieuszkodzone.

Monk wyobraził sobie Kat uderzoną od tyłu tłuczkiem, tym znalezionym na podłodze kuchni.

– Na razie w okolicy stłuczenia chyba nie doszło do krwotoku. Ale będziemy to monitorować kolejnymi skanami. – Edmonds popatrzył na pacjentkę, chociaż zdawało się, że nie tyle sprawdza jej stan, ile unika kontaktu wzrokowego z Monkiem. – Przeprowadziłem również długi EEG, który wykazał normalny wzorzec snu, okazjonalnie przerywany przez reakcję czuwania.

– Czuwania? Więc ona może chwilami odzyskiwać świadomość. Czy to znaczy, że nie jest w śpiączce?

Edmonds westchnął.

– Według mojej oceny jest w pseudośpiączce. – Sądząc po jego ponurym tonie, to nie była dobra nowina. – Podczas badania nie wykazywała żadnej reakcji na stymulację bólową ani głośne dźwięki. Żrenice reagują na światło normalnie, ale obserwujemy tylko minimalne spontaniczne ruchy gałek ocznych.

Podczas wstępnego badania neurologicznego Monk nabrał otuchy, widząc, jak Kat mruga, kiedy jej przeczesują rzęsy. Jednak chociaż miał wykształcenie medyczne i biotechniczne, nie był neurologiem.

– Co pan mi próbuje powiedzieć? Proszę mówić otwarcie.

– Konsultowałem się ze wszystkimi tutaj. Według jednomyślnej opinii pana żona cierpi na zespół zamknięcia. Uszkodzenie pnia mózgu odcięło jej wyższe funkcje mózgowe od

świadomej kontroli motorycznej. Zasadniczo jest przebudzona... chwilami w pełni świadoma... ale nie może się ruszać.

Monk przełknął ślinę, pociemniało mu w oczach.

Edmonds przyjrzał się Kat.

– Jestem zdumiony, że wciąż samodzielnie oddycha. Niestety, spodziewam się, że ta funkcja zaniknie. Nawet jeśli nie, dla zapewnienia długotrwałej opieki szpitalnej będziemy musieli założyć zgłębnik nosowo-żołądkowy, żeby ją karmić, i zaintubować ją, by nie dopuścić do zachłyśnięcia się.

Monk pokręcił głową, nie dlatego, że nie chciał, by to zrobili, lecz dlatego, że odrzucał tę diagnozę.

– Więc przez większość czasu jest świadoma, ale niezdolna się poruszać ani komunikować... – powiedział.

– Niektórzy zamknięci pacjenci uczą się komunikować poprzez ruchy oczu, ale u pana żony występują tylko minimalne spontaniczne ruchy gałek ocznych. Naszym zdaniem niewystarczające do aktywnej komunikacji.

Monk zatoczył się do tyłu na krzesło, usiadł i wziął Kat za rękę.

– Jakie są prognozy? Czy z czasem wydobrzeje?

– Prosił mnie pan, żebym mówił otwarcie, więc powiem. Nie ma na to lekarstwa ani kuracji. Bardzo rzadko się zdarza, żeby pacjenci powracali do zdrowia albo odzyskiwali znaczącą kontrolę motoryczną. W najlepszym przypadku może powrócić jakaś minimalna kontrola rąk i nóg... może sprawniejsze ruchy oczu.

Monk ścisnął palce żony.

– Ona jest wojowniczką.

– Niemniej dziewięćdziesiąt procent zamkniętych pacjentów umiera w ciągu czterech miesięcy.

Brzęknął telefon lekarza przy pasku. Edmonds przechylił ekran, żeby przeczytać wiadomość tekstową.

– Muszę iść – wymamrotał z roztargnieniem i skierował się do drzwi. – Ale wypiszę polecenie intubacji pana żony.

Znowu sam, Monk przycisnął czoło do wierzchu jej dłoni. Wspomniał zrujnowany dom Graya, rozbitego kryształowego anioła. Walczyła zażarcie w obronie dziewczynek. A on zrobi wszystko, żeby je odzyskać.

Ale tymczasem...

– Kochanie, walcz dalej – szepnęła do niej. – Tym razem o siebie.

## Godzina 2.02

– Jak to możliwe? – zapytał Gray, zdumiony słowami Paintera. – Sugerujesz, że MSI już została stworzona? Że istnieje albo istniała?

Painter wyciągnął do niego rękę.

– To możliwe. Jeszcze w latach osiemdziesiątych pewien naukowiec, niejaki Douglas Lenat, stworzył wczesną SI nazwaną Eurisko. Nauczyła się ustalać własne zasady, poprawiać błędy, nawet zaczęła przepisywać własny kod. Co najbardziej zadziwiające, zaczęła łamać zasady, które jej nie odpowiadały.

Gray uniósł brwi.

– Naprawdę?

Painter skinął głową.

– Lenat nawet testował swój program na mistrzach gier wojennych. Jego SI pokonywała każdego przeciwnika, przez trzy lata z rzędu. W późniejszych latach gracze zmieniali zasady, nie informując o tym programisty, żeby mieć większe fory w grze. Niemniej wciąż sromotnie przegrywali z Eurisko. W rezultacie Lenat zaczął się obawiać tego, czym staje się jego twór, jak się sam ulepsza. W końcu go wyłączył i odmówił ujawnienia kodu. Do dziś jest zamknięty. Wielu uważa, że ten program zmierzał do tego, żeby stać się MSI, całkiem samodzielnie.

Dreszcz lęku przeszedł Graya.

– Ale czy to prawda, czy nie, ty uważasz, że to się znowu stanie w najbliższej przyszłości i nie można tego powstrzymać.

– Taka jest jednomyślna opinia ekspertów. Lecz nie tego najbardziej się boją.

Gray domyślał się, co ich przeraża.

– Jeśli stworzenie MSI jest nieuniknione, to niedaleko już do SSI. – Zanim Kowalski zdążył zapytać, wyjaśnił: – SSI to sztuczna superinteligencja.

– Dziękuję za wytłumaczenie – burknął olbrzym. – Ale co to właściwie jest?

– Widziałeś film *Terminator*? – zapytał Gray. – W którym roboty w przyszłości niszczą ludzkość? To jest SSI. Superkomputer, który przerasta ludzkość i postanawia się nas pozbyć.

– Tylko że to już nie jest science fiction – dodał Painter. – Większość naukowców uważa, że jeśli MSI czeka tuż za rogiem, to nie pozostanie długo mocną sztuczną inteligencją. Taki samoświadomy system będzie chciał się ulepszać... i to szybko. Badacze nazywają to „twardym startem” albo „eksplozją inteligencji”, gdzie MSI szybko rozwija się w SSI. Biorąc pod uwagę szybkość procesów komputerowych, to może być kwestia tygodni, dni, godzin, jeśli nie minut.

– A potem spróbuje nas zabić? – zapytał Kowalski, prostując się na krześle.

Gray wiedział, że istnieje taka możliwość. Możemy być architektami własnego końca.

– Nie da się tego przewidzieć – ostrzegł Painter. – Taka superinteligencja z pewnością będzie przekraczała naszą zdolność pojmowania. Wobec niej będziemy jak mrówki wobec boga.

Gray miał dosyć tych spekulacji. To zagrożenie może zaczekać. Miał pilniejsze i bardziej palące zmartwienia.

– Co to ma wspólnego z napadem, z szukaniem Seichan i dzieci Monka?

Painter kiwnął głową, rozumiejąc jego zniecierpliwienie.

– Zamierzałem do tego dojść. Jak mówiłem, DARPA łąduje pieniądze w rozmaite projekty. I mam tu na myśli miliardy. Zeszłoroczny budżet przeznaczał sześćdziesiąt milionów na programy maszynowego uczenia, pięćdziesiąt na inteligentne przetwarzanie danych i czterysta na inne projekty. Ale znamienne... istotne dla naszej sprawy... jest sto milionów wydanych w tym roku na kategorię „Poufne programy”.

– Innymi słowy, tajne projekty – zauważył Gray.

– DARPA w sekrecie finansuje pewne podmioty, które nie tylko są bliskie stworzenia MSI, ale też prowadzą badania w określonym celu.

– Co to za cel?

– Upewnić się, że pierwsza MSI na tej planecie będzie dobrotliwa.

Kowalski prychnął pogardliwie.

– Czyli Kacper, przyjazny robot.

– Więcej niż „moralny” – poprawił Gray, dobrze orientujący się w temacie. – Maszyna, która nie zechce nas zabić, kiedy osiągnie boskość.

– DARPA traktuje to jako priorytet – podkreślił Painter. – Podobnie jak wiele innych grup badawczych. Machine Intelligence Research Institute. Center for Applied Rationality. Ale znacznie więcej jest organizacji ścigających się w stworzeniu zwykłej MSI.

– To głupie – ocenił Kowalski.

– Nie, to po prostu tańsze. Znacznie łatwiej i szybciej jest zbudować pierwszą MSI niż zaprojektować pierwszą bezpieczną MSI.

– A kiedy nagroda jest tak cenna, szybkość staje się ważniejsza od ostrożności – dodał Gray.

– Wiedząc o tym, DARPA finansuje i wspiera uzdolnione jednostki oraz projekty obiecujące stworzyć przyjazną MSI.

Gray wyczuł, że szef wreszcie dociera do sedna.

– I jeden z tych programów ma związek z tym, co się stało dziś wieczorem? – spytał.

– Tak. Obiecujący projekt na Uniwersytecie w Coimbrze w Portugalii.

Gray zmarszczył brwi. Dlaczego to brzmiało znajomo?

Painter sięgnął do komputera na biurku, stuknął w kilka klawiszy i otworzył przekaz wideo na jednym ze ściennych monitorów. Film pokazywał kamienną komnatę, widzianą z poziomu stołu. Po obu stronach stały regały zapełnione rzędami książek. Wokół stołu kręciło się kilka kobiet, patrzących prosto w kamerę. Poruszały ustami, ale nie było dźwięku.

Perspektywa wydała się Grayowi jakby znana. Domyślił się, że przekaz szedł z kamery wbudowanej w komputer. Kobiety chyba oglądały coś na monitorze w tej kamiennej celi.

– Ten materiał nakręcono w nocy dwudziestego pierwszego grudnia – oznajmił Painter.

Znowu coś tknęło Graya. Ta data. Ta lokalizacja. Zanim zdążył to odgrzebać, jedna z kobiet nachyliła się bliżej. Rozpoznał ją i gwałtownie wciągnął powietrze. Wstał i podszedł do ekranu.

– To Charlotte Carson – stwierdził, wiedząc już, co będzie dalej.

– Ambasador USA w Portugalii. Kierowała organizacją kobiet naukowców, Bruxas International, która finansowała setki badaczek na całym świecie poprzez granty, stypendia i nagrody. Bruxas przez długi czas było samowystarczalne, głównie dzięki hojności dwóch członkiń założycielek: Elizy Guerry i profesor Sato, przedstawicielek starych i nowych pieniędzy, w tej kolejności. Ale nawet ich kieszenie nie były wystarczająco głębokie. Żeby pomagać większej liczbie kobiet, organizacja szukała dodatkowego wsparcia, zbierając fundusze od korporacji i agencji rządowych.

Gray obejrzał się na Paintera.

– Niech zgadnę. Włącznie z DARPA.

– Tak, ale tylko żeby sfinansować kilka wyjątkowych osób spośród tych, którym przyznano granty. Jak projekt pewnej kobiety zwany Xénese. Co po galicyjsku znaczy „geneza”.

– Jeden z projektów przyjaznej MSI.

Painter skinął głową.

– Tylko doktor Carson wiedziała o zainteresowaniu DARPA tym projektem. Zaprzysiężono ją do dochowania tajemnicy. Nawet młoda kobieta kierująca tym programem, Mara Silviera... prawdziwy geniusz... nie wiedziała o naszym udziale. To znamienne.

– Dlaczego?

– Patrzcie.

Teraz już Kowalski dołączył do Graya przed ekranem. Komandor wiedział, co się stanie, w przeciwieństwie do olbrzyma. Kiedy grupa mężczyzn w długich szatach i opaskach wtargnęła do pokoju, Kowalski zaklął. Zrobił krok do tyłu, kiedy zaczęła się strzelanina. Ciała kobiet runęły na kamienną podłogę. Wielkolud odwrócił się od ekranu.

– Skurwiele – wymamrotał.

Gray zgodził się z jego opinią, ale patrzył dalej. Charlotte Carson osunęła się na podłogę, śmiertelnie ranna, wokół niej rozlewała się kałuża krwi. Kobieta wciąż jednak patrzyła w stronę kamery, unosząc brwi ze zdumienia.

– Na co ona patrzy? – rzucił Gray.

W odpowiedzi Painter zrobił zbliżenie na sam róg ekranu. Skupiony na grozie ataku, komandor nie zauważył, że otworzyło się tam małe okno. Painter puścił resztę nagrania. Na ściennym monitorze pojawił się symbol pentagramu. Zaczął szaleńczo wirować, potem nagle się rozpadł i na ekranie pozostał jeden świetlisty symbol.





– Sigma – wyszeptał Gray.

Nie gasząc symbolu na ekranie, Painter odwrócił się do Graya.

– To nagranie odkrył Interpol zaledwie osiemnaście godzin temu. Znalazł je policyjny ekspert komputerowy, który przeszukiwał laboratorium Mary Silviery na uniwersytecie. Wygląda na to, że kobiety z Bruxas uczestniczyły w symposium w Coimbrze i przysły do uniwersyteckiej biblioteki, żeby obejrzeć demonstrację programu Mary Silviery, kiedy zostały napadnięte.

– Gdzie jest ta Silviera?

– Znikła. Jej pracy nie ma w laboratorium.

– Myślisz, że została zabita? Porwana? – Gray pomyślał o swoim zrujnowanym domu w Takoma Park.

– Nie wiadomo. Ale ze swojego laboratorium mogła oglądać cały atak jak z miejsca w pierwszym rzędzie, nawet wezwała służby ratownicze. Zanim dotarły do laboratorium, już jej nie było. Uważa się, że przestraszyła się i uciekła.

I zabrała swoją pracę ze sobą, pomyślał Gray.

Painter wskazał grecką literę, wciąż świecącą na monitorze.

– Może tylko mi się zdaje, ale to wygląda jak wołanie o pomoc.

– Jak wezwanie dla Batmana – wtrącił Kowalski.

Dyrektor go zignorował.

– Tylko że ja nie wierzę, że wezwanie pochodziło od Mary. Jak mówiłem, ta dziewczyna nie miała pojęcia o zaangażowaniu DARPA. A nawet gdyby wiedziała o DARPA, nie mogła wiedzieć o Sigmie.

Kowalski podrapał się po głowie.

– Więc kto, u diabła, to wysłał?

– Program Mary – odpowiedział Gray. – Jej SI.

Painter kiwnął głową.

– Możliwe. W którymś momencie, ciekawa swojego pochodzenia, SI mogła dosłownie prześledzić pieniądze aż do DARPA, jej pośredniego twórcy... a potem do nas, by szukać pomocy u zespołu szybkiego reagowania DARPA.

Innymi słowy, zawołała jednego z rodziców.

– Zważywszy na moc obliczeniową potrzebną do zbudowania prostej MSI – ciągnął Painter – teoretycznie mogła tego dokonać w ciągu kilku sekund. Więc kazałem Jasonowi

sprawdzić nasz system. Podczas tej minuty czy coś koło tego, kiedy program działał, coś przełamało nasze firewalle i przeszło przez nie jak duch, nie podnosząc alarmu. Trwało to niecałe piętnaście sekund.

Program SI Mary.

Gray zauważył następną niepokojącą korelację.

– Nagranie ataku w bibliotece... – powiedział. – Zostało odkryte osiemnaście godzin temu... tego samego dnia, kiedy nas napadnięto.

– Powtarzam, to wszystko może się okazać zbiegiem okoliczności – ostrzegł Painter. – Wciąż jeszcze badam różne tropy.

Gray nie potrzebował dalszego przekonywania.

– To nie jest zbieg okoliczności – oświadczył stanowczo. – Ktoś rozpoznał ten symbol i dopadł nas, zanim mogliśmy zacząć działać.

– To ma sens – poparł go Kowalski. – Najlepszą obroną jest porządny atak.

Poważne spojrzenie Paintera spoczęło na Grayu.

– Ale tylko jedna osoba zna prawdę.

– Kat – rzucił komandor.

A ona jest w śpiączce.

## 4

Waszyngton, USA

25 grudnia, godzina 2.18 czasu miejscowego

Kat dryfowała w ciemności.

Nie wiedziała, czy śpi, czy czuwa. Czuła zimno, ale nie mogła zadrzeć. Gardło ją bolało, ale nie mogła przełykać. Docierały do niej głosy, ale stłumione.

Skupiła się na słowach i rozpoznała głęboki bas męża.

– Ostrożnie z jej szyją – skarcił kogoś Monk ostrym tonem.

– Musimy ją przesunąć, żeby wprowadzić zgłębnik nosowo-żołądkowy.

Ból eksplodował w jej głowie – lecz nie mogła nawet westchnąć. Coś twardego wśliznęło się w jej lewe nozdrze. Gdzieś głęboko urosło kichnięcie, jednak do niego nie doszło.

Zmusiła się, żeby otworzyć oczy.

Zużyła na to wszystkie siły.

W nagrodę do jej czaszki wdarło się oślepiające światło. Przelotnie zamajaczył rozmazany świat. Wokół niej pracowały jakieś postacie, ale widziała je jakby przez pryzmat. Obrazy dwoiły się i troiły, trudne do rozróżnienia.

Potem niemożliwie ciężkie powieki znowu opadły i odcięły widok.

Nie...

Spróbowała ponownie, ale daremnie.

– Jest zapisana na następną tomografię – powiedział ktoś, tym razem wyraźniejszym głosem.

– Pójdę z nią – oświadczył Monk.

Walczyła, żeby poruszyć ramieniem, dłonią, chociaż palcem. Żeby dać mu znać, że ona tu jest.

Monk... co mi się stało?

Wiedziała, że jest w szpitalu.

Ale dlaczego? Co się stało?

Potem sobie przypomniała. Wszystko wróciło tak wybuchowo jak rozbłysk światła przed chwilą. Napad, zamaskowane postacie, walka.

Dziewczynki...

Rozciągnięta na kuchennej podłodze, krwawiąca, ledwie przytomna, patrzyła, jak zabierają jej córeczki. Każdą niósł jeden z napastników, ich małe ciała były wiotkie

i bezwładne. Na podjeździe czekała furgonetka na jałowym biegu, zaparkowana przed garażem z tyłu, gotowa zabrać uspięone ofiary.

Potem następane dwie postacie przeniosły obok niej Seichan, zwisającą bezsilnie w ich rękach.

Zanim znikli w mroku, ten niosący nogi Seichan obejrzał się na Kat i zawołał do kogoś na tylnym podwórzu:

– A co z tą suką?

Kat prawie nic nie widziała, ciemność zamykała się wokół niej ze wszystkich stron. Ktoś wszedł po schodach z tyłu i przez kuchenne drzwi. Zamaskowana postać, niewyraźna na tle nocy, spojrzała na Kat, potem podeszła bliżej i przyklękła na jedno kolano, żeby dokładniej się przyjrzeć.

Długie ostrze błysnęło w dłoni okrytej rękawiczką.

Kat czekała, aż przywódca poderżnie jej gardło.

Zamiast tego wyprostował się, odwrócił i ruszył do drzwi.

– Zostawcie ją – powiedział stłumionym głosem. – Mamy to, czego potrzebujemy.

– Ale jeśli ona przeżyje...

– I tak już będzie za późno.

Panika wywołana przez te słowa na chwilę odepchnęła ciemność. Kat wyciągnęła rękę w stronę drzwi, ale nie mogła ich zatrzymać.

Moje córeczki...

Zapadała w niepamięć, pewna tylko jednej rzeczy.

Teraz, zamknięta w innym więzieniu, Kat próbowała wykrzyczeć światu tę wiedzę, przekazać ją innym, ostrzec ich – lecz nie miała już głosu.

Pamiętała zamaskowanego przywódcę i wpadła w rozpacz.

Wiem, kim jesteś.

## Godzina 2.22

Seichan ocknęła się, ale nie otworzyła oczu.

Wciąż półprzytomna, udawała, że śpi. Po latach treningu instynktownie wiedziała, że nie należy się ruszać. Jeszcze nie. Czujna, polegała na swoich zmysłach. W ustach miała kwaśny, metaliczny posmak. Mdlilo ją, burczało w żołądku.

Narkotyki...

Powróciła pamięć.

...frontowe drzwi otwierają się gwałtownie bez ostrzeżenia.

...ciemne, zamaskowane postacie wpadają do środka.

...następny trzask dochodzi z tyłu domu.

Teraz serce waliło szybko, pomagając jej się skupić.

W chwili napadu leżała na kanapie. Kat poszła do kuchni po kieliszek wina i gazowany cydr dla niej. Właśnie położyły dziewczynki spać na górze i planowały zapakować resztę prezentów. Seichan chciała również poradzić się starszej koleżanki, dowiedzieć się więcej o tym, co to znaczy być matką.

Przy kolacji Kat zrobiła już dużo, żeby uśmierzyć jej niepokój. Seichan przeczytała *W oczekiwaniu na dziecko* tyle razy, że jej egzemplarz był pełen podkreśleń i miał ośle uszy, ale Kat udzieliła jej praktycznych rad, jakich nie znajdzie się na kartkach książki: „Przed snem nałóż maść na pieluszki, żeby skrócić nocne wstawanie, nasącz gryzaczki do ząbkowania kwaśną zalewą z marynaty”.

Ale przede wszystkim jej rady sprowadzały się do dwóch najważniejszych słów:

Nie panikuj.

Kat obiecała, że będzie przy niej przez cały czas. W sali poporodowej. „Nawet pójdę z tobą do przedszkola jej lub jego pierwszego dnia – obiecała. – To jest najgorsze. Pozwolić im odejść”.

Seichan nie bardzo mogła w to uwierzyć i kiedy Kat poszła po wino, fantazjowała, że po porodzie odejdzie, zostawi dziecko z Grayem i zniknie. Jaką byłaby matką dla tego dziecka?

Kiedy jej matkę porwano z domu, Seichan zamieszkała na ulicy. Koczowała w slumsach Bangkoku i ciemnych zaułkach Phnom Penh, na wpół zdziczała, niczym bezdomny kot. Wtedy opanowała podstawowe umiejętności niezbędne w jej przyszłym zawodzie. Żeby przeżyć, musiała być czujna, przebiegła i brutalna. W końcu zwerbowano ją do tajnej organizacji przestępczej znanej jako Gildia, gdzie doszlifowano jej prymitywne uliczne umiejętności i zmieniono ją w bezwzględną zabójczynię. Dopiero kiedy zdradziła swoich pracodawców i zniszczyła organizację, zaznała odrobiny spokoju, znalazła kogoś, kto ją kochał, kto chciał stworzyć jej dom i dzielić z nią życie.

Nie powinnam była w to uwierzyć.

Paranoja i podejrzliwość zawsze stanowiły część jej DNA, ale w ciąży nie pozwoliła, żeby ta trucizna przeniknęła do organizmu dziecka. Niestety, niemądrze osłabiła czujność.

I zobacz, co się stało.

Kiedy drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem, zeskoczyła z kanapy. Błyskawicznie wyciągnęła sztylety z pochew na nadgarstkach i cisnęła nimi w napastników. Wprawdzie była w ciąży, ale ukryte noże stanowiły jej nieodłączną część. Pierwszy trafił przywódcę, wbił się w klatkę piersiową. Mężczyzna zatoczył się do tyłu i wpadł na choinkę. Udekorowane drzewko runęło z trzaskiem na podłogę. Drugi sztylet pomknął w stronę zamaskowanej postaci, wbiegającej z łomotem po schodach, z pistoletem w ręce.

Idzie po dziewczynki...

Czy z powodu paniki, czy wielkiego brzucha zakłócającego równowagę – chybiła. Ostrze wbiło się w balustradę, a napastnik zniknął na piętrze.

Potem rozpętało się pandemonium.

W zamieszaniu nawet nie poczuła ukłucia usypiającej strzałki. Serce jej łomotało, krew szybciej krążyła, więc środek usypiający zadziałał od razu. Ruchy się spowolniły, wszystko zasnuła mgła. Ręce opadły jej bezwładnie, ciężar ściągnął ją na podłogę.

Jeden głos podążył tam za nią.

Ostrożnie z jej brzuchem. I żadnych więcej trankwilizatorów.

Z kuchni dochodził brzęk garnków, trzask rozbijanych talerzy.

Kat... próbuje walczyć... żeby bronić dziewczynek.

Potem ciemność.

Teraz, rozbudzona, z oczami wciąż zamkniętymi, próbowała odgadnąć, kto je zaatakował. Napad był zbyt skoordynowany, zbyt dobrze zaplanowany. Ale kto? Lista jej wrogów była długa. Nawet izraelski Mosad jeszcze nie odwołał rozkazu „zabić ją na miejscu”.

Leżała nieruchomo i wytężała zmysły. Wyczuwała pod sobą pryczę z cienkim materacem. Nie słyszała żadnych głosów, żadnych szmerów. W ciepłym powietrzu czuła wilgoć, zapach pleśni. Piwnica? Niedostrzegalnie poruszyła rękami i nogami. Nic nie ocierało jej nadgarstków ani kostek u nóg, więc chyba nie była związana.

Działanie narkotyku ustępowało, otępienie mijało i usłyszała cichutki oddech – nie, oddechy.

Zaryzykowała uchYLENIE powiek.

Jedyne światło napływało przez szparę pod metalowymi drzwiami, widocznymi za krawędzią stalowej ramy pryczy. Ściany z bloków cementu. Brak okien. Lekko przekręciła głowę na bok. Dwa mniejsze łóżka zajmowały resztę ciasnego pomieszczenia. Koce wybrzuszały się w miejscach, gdzie okrywały małe postacie. Z jednej pryczy uniosło się chude ramię, niczym flaga oznajmijąca kapitulację. Potem znowu opadło.

Seichan rozpoznała tańczące renifery na rękawie.

Penelope... sześćoletnia córeczka Kat.

Więc drugie dziecko to musi być Harriet.

Szerzej otworzyła oczy, kątem oka rejestrując resztę pomieszczenia. Stało tam jeszcze jedno łóżko, ale puste, poduszka leżała na złożonym kocu.

Były tylko we trzy.

Gdzie jest matka dziewczynek?

Pamiętała odgłosy zaciętej walki dochodzące z kuchni i obawiała się najgorszego. Martwiła się o dzieci, więc rozumiejąc, że dalsze udawanie nieświadomości nic nie da, stoczyła się z pryczy. Podpełzła do łóżek. Sprawdziła, czy dziewczynki oddychają normalnie, ale ich nie budziła.

One też zostały uśpione.

Przykucnęła między ich łózkami.

Narastała w niej furia.

Zamierzała bronić tych dziewczynek za wszelką cenę.

Ale przed kim albo przed czym?

Odpowiedź nadeszła, kiedy w stalowych drzwiach odsunęło się małe okienko. Światło padające z zewnątrz oślepiło ją i nie widziała, kto tam stoi.

– Ona już się obudziła – powiedział jakiś mężczyzna z wyraźnym zdumieniem.

– Mówiłem ci, że tak będzie.

Seichan zeszywniała, rozpoznając głos odpowiadającego. Znała tę osobę aż za dobrze i jej wcześniejsze podejrzenia się potwierdziły.

To wszystko moja wina.

Ale to nie miało sensu. Słuchała, licząc na jakieś wyjaśnienie, lecz usłyszała tylko termin i groźbę.

– O świcie wprawimy maszynę w ruch.

– Która pierwsza? – zapytał mężczyzna przy drzwiach.

– Jedna z dziewczynek. To zrobi największe wrażenie.

## 5

Lizbona, Portugalia

25 grudnia, godzina 9.22 czasu miejscowego

Teraz może będziesz cicho.

Mara postawiła na parapecie spodeczek mleka. Kościsty czarny kot kulił się w najdalszym rogu rozklekotanych schodów pożarowych na zewnątrz. Kiedy dziewczyna przysunęła spodeczek bliżej, zwierzę zasyczało ostrzegawczo, chłoszcząc ogonem.

Okay, rozumiem...

Odsunęła się, ale zostawiła okno otwarte. Poranne powietrze już się nagrzewało, znad pobliskiego morza dmuchała ciepła bryza, pachnąca solą. Tutaj z pewnością nie czuło się, że są święta. W górskiej wiosce O Cebreiro, gdzie Mara dorastała, przez cały grudzień padał śnieg i co roku zapewniał białe święta. Jako dziewczynka złościła się na ograniczone możliwości dostępne mieszkańcom tego miejsca, jednak z każdym mijającym rokiem na uniwersytecie coraz bardziej tęskniła za tamtą prostotą, rytmem codziennego życia, znacznie bardziej związanego ze światem natury niż tu, w wielkim mieście.

Nie była jednak w domu od ponad roku, bo projekt pochłaniał cały jej czas. Nawet do ojca dzwoniła coraz rzadziej. Za każdym razem, kiedy z nim rozmawiała, słyszała miłość w jego głosie, co budziło w niej wyrzuty sumienia. Wiedziała, jaki jest z niej dumny, lecz jako człowiek głęboko religijny, który głównie doglądał swoich psów i owiec na pastwisku, właściwie nie rozumiał jej pracy. Przez całe życie mówił tylko językiem galego, mieszanką hiszpańskiego i portugalskiego. Niezbyt go interesowała reszta świata. W przeciwieństwie do niej rzadko oglądał telewizję – odbiornik drzemał teraz w kącie jej dawnego pokoju – i nigdy nie czytał gazet.

Nie wiedziała, czy w ogóle słyszał, co się stało na uniwersytecie, chociaż przypuszczała, że policja mogła go przesłuchać. Nie ośmieliła się jednak do niego zadzwonić, nawet żeby go zawiadomić, że jest cała i zdrowa. Bała się ściągnąć na ojca niebezpieczeństwo.

Czarny kot podkradł się do spodka na parapecie, zachowując czujność. Chłepcząc mleko, nieustannie pomrukiwał, groźnie i wyzywająco.

– Wesołych świąt tobie też.

Wcześniej, kiedy zwierzak pojawił się w oknie, miauczał przeraźliwie za szybą, domagając się uwagi, i nie chciał odejść. Mara przez chwilę wyobrażała sobie, że kot –



który jakby zmaterializował się znikąd – to jakaś upiorna zjawia, może duch doktor Carson, który przybrał postać chowańca czarownicy.

Pokręciła głową na te niemądre przesady i odwróciła się od okna, które wychodziło na dzielnicę Cais do Sodré, obskurny zakątek Lizbony, pełen nocnych barów i kafejek internetowych. Jej hotel stał przy Rua Nova do Carvalho, nazywanej Różową Ulicą od koloru chodnika. Wybrała tę kryjówkę, ponieważ przewalały się tutaj hordy młodych turystów, więc łatwiej jej było wtopić się w tłum. Poza tym miejscowi hotelarze wykazywali notoryczny brak zainteresowania gośćmi, którzy płacili gotówką.

Wróciła do laptopa, żeby sprawdzić postępy swojej pracy. Zanim zwabiła kota mlekiem, żeby uciszyć jego natrętne wrzaski, wrzuciła do procesora Xénese drugi moduł podprogramu. Lasery spoczywającej na podłodze kuli przeświecały przez sześciokątne szafirowe płytki. Gdzieś w środku coś nowego na tym świecie wciąż rosło i dojrzewało, wspomagane przez każdy podprogram, który dodawała Mara.

Z powrotem usiadła przy biurku. Większość ekranu nadal pokazywała wirtualny Eden, ogród ziemskich rozkoszy. Amorficzny duch, który pojawił się po raz pierwszy, kiedy Mara ponownie wrzuciła Xénese online, poruszał się po cyfrowym świecie. Postać została wymodelowana przez pierwszy podprogram – hormonalny program lustrzany – w fizyczną piękność.

Na tym etapie Mara zaprogramowała dla tego wcielenia imię, żeby uzyskało poczucie siebie, własnej indywidualności, nawet płci. Imiona mają moc. Według mitologii i folkloru – jak w baśni o Rumpelsztyku – poznanie czyjegoś prawdziwego imienia daje władzę nad tą osobą.

Dla tego programu wybrała imię „Ewa”.

Jakże inaczej?

Na ekranie Ewa spacerowała nago po ogrodzie, muskając delikatnymi palcami płatki kwiatów. Jej zgrabne nogi łączyły się z krągłymi biodrami w idealnej symetrii. Piersi miała małe. Hebanowa kaskada włosów spływała do połowy pleców, kołysząc się przy każdym kroku. Rysy twarzy były boleśnie znajome. Mara potrzebowała modelu do swojej kreacji i ukradła twarz ze starego zdjęcia matki, zdigitalizowała ją i odtworzyła w hołdzie dla kobiety, która dała jej życie.

Jej matka miała zaledwie dwadzieścia sześć lat, kiedy zmarła na leukemię. Zdjęcie zrobiono kilka lat wcześniej, kiedy miała dwadzieścia jeden lat, tyle co ona teraz.

Dziewczyna przyglądała się postaci na ekranie, dostrzegając przebłyski siebie, genetycznego dziedzictwa przekazywanego z matki na córkę. Postać miała skórę ciemniejszą od niej o kilka odcieni. Ród matki wywodził się bezpośrednio od starożytnych Maurów, którzy w ósmym wieku przyплыli do Hiszpanii przez Cieśninę Gibraltarską z Afryki Północnej. Ewa wyglądała jak bogini z tamtych czasów.

Czarna Madonna ożyła.

Jakby wyczuwając wzrok Mary, Ewa się odwróciła. Jej oczy jaśniały w ciemnej twarzy, odwzajemniając spojrzenie. Dziewczyna wyobraziła sobie niezliczone linijki kodu przepływające za tymi oczami i zadrżała.

Musiała sobie przypomnieć: To nie jest moja matka.

To tylko awatar rosnącej, niemal obcej inteligencji.

Wiedząc, że musi utemperować to, co rosło wewnątrz Xénese, spojrzała na bok ekranu. Płynął tam strumień słów – zbyt szybko, żeby dało się je przeczytać, miliony słów w setkach różnych języków i dialektów – pokazując postęp infiltracji i inkorporacji drugiego podprogramu w Ewę.

Drugi moduł zawierał wersję oryginalnego programu translatorskiego Mary, AllTongues. Żeby komunikacja z Ewą była możliwa, program musiał się nauczyć języka – i nie jednego, ale wszystkich. Nie to jednak było głównym celem tego podprogramu. Należało sięgnąć wstecz do przyczyny, dla której Mara w ogóle stworzyła tę aplikację. Chciała wykazać i udowodnić wspólnotę wszystkich języków, zademonstrować, jak na podstawowym poziomie istnieje kod źródłowy, łączący ludzką myśl z komunikacją. Podprogram miał odwrócić ten proces i rozłożyć go na czynniki pierwsze dla Ewy. Innymi słowy, nauczyć ją wszystkich ludzkich języków, żeby zaczęła rozumieć ludzkie myśli.

Za pierwszym razem, kiedy Mara uruchomiła podprogram, proces ten trwał niemal cały dzień z powodu ogromnej ilości danych zawartych w module. Teraz zegar odliczający czas na górze pokazywał, że to zabierze tylko połowę tego czasu.

Dlaczego?

Poczuła lodowate dotknięcie grozy, ponieważ знаła jedyną możliwą odpowiedź. Kiedy uciekła z laboratorium, zredukowała oprogramowanie Xénese do podstawowego kodu, praktycznie sprowadziła do punktu wyjścia, najprostszej postaci.

Ale teraz zaczęła w to wątpić.

Czyżby częśćka tego, co stworzyła wcześniej i próbowała zademonstrować doktor Carson i innym, przetrwała? Czyżby istniał jakiś duch wewnątrz ducha, jakiś ślad pierwotnej inteligencji z tamtego czasu?

Jeśli tak, co to znaczy?

Jakim sposobem taka nieznaną zmienna mogłaby uszkodzić jej projekt? Nie znając odpowiedzi, zastanawiała się nad zamknięciem programu. Wyciągnęła ręce, lecz palce zawisły nad klawiaturą.

Tylko ona знаła kod wstrzymania.

Wciąż się jednak wahała.

Spojrzała na postać wędrującą przez zielony las, na twarz Ewy, replikę twarzy jej matki. Pomyślała też o doktor Carson i pozostałych. Te kobiety zginęły, żeby Mara mogła żyć i kontynuować pracę. Charlotte zachęcała ją, żeby niczego się nie bała, ryzykowała, przekraczała granice.

Za oknem czarny kot zamiauczał żałośnie.

Mara obejrzała się i napotkała spojrzenie wielkich złotych kocich oczu. Może tego zwierzaka rzeczywiście przysłała doktor Carson.

Dziewczyna opuściła ręce na kolana i pozwoliła, żeby podprogram dalej pracował.

Po prostu od tej pory muszę bardziej uważać.

Skupiona na tym celu, usłyszała własne nazwisko. Zaskoczona, odwróciła się do przyciszonego telewizora. Na ekranie widniała jej twarz. Prezenter wiadomości określił ją jako „osobę zamieszana” w śmierć ambasadorki USA i czterech innych kobiet. Zanim zdążyła zareagować, obraz się zmienił i zobaczyła lotnisko w Lizbonie. W hangarze stała trumna okryta amerykańską flagą. Wokół niej zebrała się garstka mężczyzn i kobiet. Szary odrzutowiec widoczny przez otwarte drzwi hangaru czekał, żeby zabrać ciało do domu.

Zaskoczona Mara nie dosłyszała, co mówiono – dopóki kamera nie przesunęła się na posągową młodą blondynkę w surowym czarnym kostiumie, z poszarzałą twarzą i udręczonym wzrokiem. Była to córka doktor Carson, Laura. Stała przed pękiem mikrofonów.

Mara przysunęła się do telewizora, żeby lepiej słyszeć jej słowa.

– Jeśli ktoś wie cokolwiek o zamordowaniu mojej matki... o miejscu pobytu jej studentki, Mary Silviery... proszę, niech się skontaktuje z władzami. – Na dole ekranu przewijały się numery telefonów. – Proszę, potrzebujemy odpowiedzi.

Laura wyglądała tak, jakby chciała powiedzieć coś więcej. Stała i patrzyła prosto w kamerę, ramiona jej się trzęsły. Potem jakby się zapadła w sobie, zakryła twarz rękami i odwróciła się. Druga kobieta, niemal jej bliźniaczka, podeszła i ją objęła.

– Carly... – Mara wyciągnęła rękę do ekranu, jakby próbowała pocieszyć swoją najlepszą przyjaciółkę. – Tak mi przykro.

Kamera niemal przez wieczność pokazywała dwie młode kobiety pogrążone w żałobie, aż wreszcie reportaż się skończył. Prezenter za biurkiem dodał kilka szczegółów. Zwłoki doktor Carson miały zostać odesłane samolotem do kraju tego popołudnia, razem z rodziną.

Prezenter przeszedł do innych tematów i Mara wyłączyła telewizor.

Z trudem oddychając, jeszcze przez chwilę siedziała bez ruchu i zbierała odwagę, nagle aż nadto świadoma ciężaru na swoich barkach.

Nie mogę tego zrobić sama.

Lotnisko międzynarodowe znajdowało się w odległości zaledwie dwudziestu minut jazdy taksówką. Zerknęła na laptopa, na zegar odliczający postęp podprogramu.

Powinam mieć więcej czasu.

Złapała płaszcz i ruszyła do drzwi.

Godzina 10.18

Carly chodziła tam i z powrotem po pustej poczekalni dla VIP-ów na lotnisku. Obciągała rąbek szarej bluzki, poprawiała dopasowany czarny żakiet. Przy każdym kroku sztywna skóra nowych butów obcierała jej kostki.

Nic nie leżało dobrze.

Nic nie było dobrze.

Są święta, a ja zabieram mamę do domu w trumnie.

A przynajmniej jej prochy.

Tylko tyle zostało z jej matki po pożarze w ceglanej piwnicy biblioteki. Ogień zmienił ciasne pomieszczenie w makabryczne krematorium. Ciała pięciu ofiar zidentyfikowano tylko po kawałkach metalu – pierścionkach, plombach w zębach, tytanowym implancie biodra.

Carly odetchnęła głęboko i odepchnęła od siebie te myśli.

Czuła na sobie spojrzenie agenta Dyplomatycznej Służby Bezpieczeństwa, stojącego na straży przy drzwiach. Śledził wzrokiem jej wędrówkę po małej przestrzeni. Po zamordowaniu ambasadorki USA wzmocniono ochronę jej rodziny. To również nie pasowało Carly. Nie lubiła, kiedy ją niańczono. Jej matka wpoila obu córkom żarliwą niezależność.

Carly podejrzewała również, że nowych ochroniarzy zatrudniono bardziej na pokaz niż z rzeczywistej troski o jej bezpieczeństwo – demonstracja spóźnionej i niedostatecznej czujności. Gdzie była ochrona przed czterema dniami? Ktokolwiek zamordował jej matkę, dawno zniknął bez śladu. Widziała zdjęcia sprawców, klatki z nagrania, którego w całości nie pozwolono jej zobaczyć. W tych szatach, szarfach i opaskach wyglądali na jakąś fundamentalistyczną sektę, która napada na bezbronne kobiety, wygłaszając religijne bzdury. Wyobraziła sobie, jak uciekają, przybijając jeden drugiemu piątki za odwagę, zanim zejną do kryjówek.

Dranie.

Spoglądała na drzwi, czując się jak w pułapce. Chciała się stąd wydostać. A przynajmniej znaleźć bar otwarty w święta, gdzie podają Jacka Daniel'sa z colą. Chociaż prawdę mówiąc, obyłyby się bez coli.

Przynajmniej Laura uciekła z tego pokoju. Dotrzymywała towarzystwa ojcu, który załatwiał ostatnie szczegóły. Był dosłownie wrakiem człowieka. Uczył angielskiego w studium policealnym – Essex County – z grubsza w połowie drogi między Princeton, gdzie studiowała Laura, a Uniwersytetem Nowojorskim, na który uczęszczała Carly. Przed rokiem ciężko zniósł diagnozę raka piersi u żony.

A teraz to.

Powinna była pójść z Laurą, ale wzburzona i rozgniewana, była kiepską towarzyszką. Laura lepiej się do tego nadawała, miała bardziej zrównoważone usposobienie. Jako starsza siostra, która musiała się opiekować Carly, zawsze była poważniejsza i z pewnością mniej wybuchowa.

Mimo to Carly wciąż zerknęła na drzwi, dręczona wyrzutami sumienia, że z nimi nie poszła.

Jej komórka brzęknęła w kieszeni, sygnalizując nadejście SMS-a.

Pewnie Laura zawiadamiała, że wracają.

Carly wyjęła telefon, spojrzała na ekran i zatrzymała się w pół kroku. Na telefonie wyświetliło się jedno słowo.

Bangkok.

Podjęła spacer, żeby nie zwrócić uwagi ochroniarza. Słowo było szyfrem, pochodziło z rockowego musicalu *Chess* i piosenki *One Night in Bangkok*. Ona i Mara obejrzały ten musical na Broadwayu jakieś pięć lat wcześniej; wtedy dopiero się poznały, kiedy Mara przyjechała z jej matką do Stanów. Od tamtego czasu używały tego szyfru, kiedy chciały porozmawiać, jako pytania, czy ta druga jest wolna.

Mara żyje... dzięki Bogu.

Carly wysłała emotkę podniesionego kciuka. Ledwie mogła opanować niecierpliwość, czekając na odpowiedź. Kiedy nadeszła, linijki tekstu wyglądały enigmatycznie.

Terminal 1 łazienka @ odbiór bagażu

Kabina 4

Wyłącz telefon, wyjmij baterię

Niebezpiecznie

Carly zrozumiała znaczenie wiadomości od przyjaciółki. Mara ukrywała się w damskiej toalecie w użytkowej części lotniska. Niewątpliwie była przerażona i popadła w uzasadnioną paranoję. Zaryzykowała jednak kontakt z Carly, wykorzystując ich szyfr.

Carly obawiała się, że przyjaciółka, na pewno przestraszona, nie będzie czekać długo.

Muszę się do niej dostać.

Zastanowiła się, czy nie zadzwonić do Laury albo do ojca, ale oni zapewne zawiadomiliby policję, co mogło spłoszyć Marę albo zwrócić na nią niepożądaną uwagę. Najpierw jednak Carly musiała sobie poradzić z innym problemem.

Przycisnęła rękę do brzucha i zwróciła się do agenta DSB:

– Muszę iść do łazienki. Chyba zwymiotuję.

Przynajmniej pierwsze zdanie było prawdą.

– Proszę za mną – powiedział agent, odwracając się do drzwi.

Ominęła go i wyskoczyła na korytarz.

– Wiem, gdzie to jest.

– Panno Carson, proszę poczekać...

– Nie mogę... niedobrze mi... – jęknęła głośno.

Pobiegła korytarzem i skręciła za róg. Damska toaleta znajdowała się cztery kroki dalej. Carly kopniakiem otworzyła drzwi, a potem pobiegła dalej korytarzem do schodów

prowadzących do głównej hali. Zanurkowała na klatkę schodową i przycisnęła się plecami do ściany.

Udało mi się?

Usłyszała, jak drzwi łazienki zamykają się z trzaskiem, a potem zirytowany głos zawołał z korytarza:

– Zaczekam tu na panią!

Trochę sobie poczekasz.

Po cichu ruszyła w dół po schodach. Na wszelki wypadek wysłała Laurze SMS-a, żeby siostra się nie denerwowała:

*Spotkam się z Marą. Niedługo wrócę.*

Dotarła do wyjścia i zanurzyła się w rozgardiasz w terminalu.

Okay, najtrudniejsze za mną.

## Godzina 10.36

Mara nieustannie postukiwała obcasem w kafelkową podłogę w kabynie toalety. Próbowala się rozerwać, czytając graffiti na ścianach, nabazgrane w wielu językach. Jednak wciąż ścisnęła telefon obiema rękami.

Miała niewielki nóż zatknięty za pasek, ukryty pod lekkim żakietem. To był zwykły nóż do steków, ukradziony z tacy obsługi hotelowej pozostawionej na korytarzu w pierwszym hotelu, w którym się zatrzymała. Mimo to rękojeść uciskająca biodro dodawała jej odwagi.

Zamknięta w kabynie, nadstawiała uszu na każdy odgłos kroków i szum spłukiwanej toalety. Słuchała, jak matka sztorcuje dziecko, żeby umyło ręce. Potem nagle szybkie kroki zatrzymały się przed jej kabiną. Zastukano do drzwi.

Odsunęła się dalej.

– *Oc... ocupado* – wyjąkała po portugalsku.

– Mara, to ja. Carly.

Poderwała się, odsunęła zasuwkę i wyskoczyła z kabiny. Natychmiast wpadła w objęcia przyjaciółki. Matka przy umywalce spojrzała na nie z zaskoczeniem, przyciągnęła do siebie córeczkę i wyprowadziła ją pośpiesznie.

Mara dostrzegła odbicie ich dwóch w lustrze. Splecione w uścisku, wyglądały jak mroczny księżyc zaćmiewający słońce. Czarne włosy Mary, skóra barwy mokki i ciemnobursztynowe oczy kontrastowały ze złotymi lokami Carly, jasną cerą i błękitnymi oczami.

Mocno obejmowała przyjaciółkę. Nie obchodziło jej, jak to wygląda. Nagle zaczęła szlochać w ramionach Carly, wylewała z siebie całe przerażenie, żal i poczucie winy.

– Tak... tak mi przykro – wykrztusiła, rozpaczliwie chwytając powietrze. – Przepraszam.

Carly przytuliła ją.

– Nie masz za co przepraszać. Tak się cieszę, że żyjesz.

– Twoja mama... ona, ona...

– Kochała cię. Czasami myślę, że bardziej niż mnie.

Mara pokręciła głową.

– Tak się cieszę, że po mnie przysłaś.

– Jak mogłabym nie przyjść? – Carly odsunęła się, trzymając Marę na odległość ramienia. – Jesteś bezpieczna. Zabieram cię do Laury i mojego taty.

– Dokąd?

Carly obejrzała się na drzwi łazienki.

– Niedaleko. Ale lepiej wracajmy, zanim ten facet z ochrony narobi krzyku. Chodź.

Mara pozwoliła się wyprowadzić za rękę przez drzwi do zatłoczonego miejsca odbioru bagażu. Chociaż był dzień Bożego Narodzenia, pasażerowie zapełniali międzynarodowy terminal. Wokół brzęczało mnóstwo języków; zmęczeni, udręczeni, sfrustrowani ludzie usiłowali dostać się gdzieś na święta.

Ta różnorodność języków coś jej przypomniała. Wyobraziła sobie dane podprogramu wlewające się do procesora Xénese. Ścisnęła rękę Carly i zatrzymała ją w samym środku rozgorączkowanego tłumu.

Przyjaciółka się odwróciła.

– Co się stało?

– Mój komputer. – Mara spojrzała w stronę wyjścia. – Zostawiłam go włączonego w hotelu.

– Wciąż masz Xénese?

Oddech Mary przyspieszył.

– Kiedy twoja matka... kiedy nastąpił atak, stało się coś dziwnego. Procesor zaczął się dziwnie zachowywać, w końcu pokazał jakiś symbol, jakby to było ważne. – Chwyciła Carly za ramię. – Myślę, że to naprawdę jest ważne. Jakby próbował się komunikować, ale nie wiem, co i dlaczego myślał.

– Więc znowu go uruchomiłaś – stwierdziła Carly. – Próbujesz go nakłonić, żeby ci powiedział. Sprytnie.

– Jego działanie wydawało się zbyt celowe. Może to nic... albo...

– Albo może miało coś wspólnego z tym napadem.

Mara przygryzła dolną wargę.

Może.

– Chodźmy do Laury i mojego taty. Oni będą wiedzieli, co robić.

Mara kiwnęła głową i ruszyły, trzymając się za ręce. Ale zaledwie zrobiły trzy kroki, coś złapało wolne ramię Mary, szarpnęło ją do tyłu i oderwało od przyjaciółki. Pod wpływem wstrząsu Carly straciła równowagę i poleciała prosto w ramiona potężnego mężczyzny, który jakby na to czekał. Objął ją od tyłu, wyraźnie w złych zamiarach.

Ręka trzymająca Marę obróciła ją dookoła. Widok napastnika zdusił krzyk w jej gardle. Górował nad nią umięśniony olbrzym. Lecz to jego twarz, o oliwkowej cerze i bezdennych

czarnych oczach, napełniła ją zgrozą.

Zwłaszcza cztery pokryte strupami zadrapania na policzku.

Pamiętała, jak matka Carly walczyła, jak rzuciła się na przywódcę napastników. Charlotte rozorała mu policzek długimi paznokciami i zerwała z oczu opaskę.

To był ten morderca.

Przeżalenie natychmiast przerodziło się w furję. Jakby opętana mściwym duchem doktor Carson, Mara wyrwała zza paska ukradziony nóż do steków i z całej siły wbiła go w ramię, które ją trzymało. Napędzane adrenaliną ostrze przebiło przedramię na wylot.

Spodziewała się, że ten cios uwolni ją od napastnika, ale on tylko ścisnął ją mocniej. Rozciągnął wargi w szyderczym uśmiechu.

Z boku rozległ się gardłowy okrzyk mężczyzny trzymającego Carly, która mocno nadepnęła mu obcasem na śródstopie. Potem machnęła głową do tyłu, kiedy się nad nią pochylił. Twarda czaszka dziewczyny rozbiła mu nos i krew trysnęła fontanną. Gdy ranny rozluźnił uścisk, Carly zdołała się wyrwać i skoczyła na olbrzyma trzymającego Marę.

Lecąc w powietrzu, zamachnęła się ramieniem i trzasnęła knykciami prawej dłoni w gardło wielkoluda. Zakrztusił się, bo cios prawie zmiażdżył mu krtań.

Mara była wolna.

– Chodź! – wrzasnęła Carly.

Pobiegły w głąb terminalu, ale w tłumie przed nimi z grupy zaskoczonych pasażerów wysunęli się następni napastnicy, gotowi zastąpić im drogę. Było ich za wielu, żeby nawet Carly ze swoimi sporymi umiejętnościami dała im radę. Przyjaciółka Mary, zawsze rozpieszona energią, na studiach uczęszczała na kursy krav magi, sztuki samoobrony opracowanej przez izraelskie wojsko.

– Tędy! – Mara pociągnęła przyjaciółkę w przeciwnym kierunku i pobiegła do wyjścia.

Przed strefą odbioru bagażu przy krawężniku czekał rząd taksówek. Zanim ktokolwiek zdążył zatrzymać dziewczyny, wypadły przez drzwi na słońce. Popędziły do pierwszej taksówki w rzędzie, odtrącając mężczyznę ciągnącego walizkę.

– *Desculpe!* – zawołała do niego przepraszająco Mara i obie wpakowały się na tylne siedzenie.

– Jedź! – krzyknęła Carly do kierowcy. – *Rápido!*

Taksiarz nie odezwał się, tylko wrzucił bieg i ruszył.

Mara obejrzała się i zobaczyła, że olbrzym wybiegł na chodnik. Przyciskał do piersi przebite ramię i rozglądał się, ale ich nie zauważył.

Dzięki Bogu.

Wokół przywódcy zebrało się więcej mężczyzn. Machnął zdrowym ramieniem i grupa szybko się rozproszyła, zapewne żeby zniknąć, zanim ochrona lotniska zareaguje.

Mara opadła z powrotem na siedzenie.

Carly uniosła jedną brew.

– Okay, co teraz? – spytała.



- Ten człowiek na lotnisku.
  - Ten bandzior, którego dźgnęłaś jak świnię?
- Mara skinęła głową.
- On... to on zabił twoją mamę.

## Godzina 10.55

Todor Yñigo siedział na fotelu pasażera w furgonetce Mercedesa. Do ucha miał przyciśnięty telefon, który przytrzymał barkiem. Powoli wyciągał nóż z przedramienia, ząbkowane ostrze zgrzytało o kość.

Kierowca obserwujący go kątem oka skrzywił się na ten widok.

Todor zachował spokój i nie zmienił wyrazu twarzy, kiedy ostrze wysuwało się z mięśni i skóry. Krew popłynęła obficie. Rzucił nóż na podłogę i przystąpił do bandażowania rany. Pracował flegmatycznie, nie odczuwając żadnego dyskomfortu.

To było jego przekleństwo i błogosławieństwo.

Nauka twierdziła, że jego chorobę – wrodzoną niewrażliwość na ból, analgezję – powodowała genetyczna mutacja genu PRDM12, która wyłączała blokery kanałów sodowych i blokowała wszystkie receptory bólu. Na całym świecie zaledwie około stu osób cierpiało na tę przypadłość.

A ja jestem jednym z wybranych.

Początkowo nie uważał tego za błogosławieństwo. Ani jego matka. Urodził się w małej wiosce w baskijskim regionie północnej Hiszpanii, gdzie wciąż królowały dawne wierzenia. Jako dziecko podczas ząbkowania o mało nie odgryzł sobie języka, ponieważ nie czuł bólu. Potem, kiedy miał cztery lata, pewnego dnia jego matka wróciła do kuchni i zobaczyła, że synek trzyma rozgrzany do czerwoności garnek z wrzątkiem w rękach, które dymią i pokrywają się pęcherzami, i chichocze, pokazując jej nową zabawkę.

Podejrzewała już wcześniej, że jego przypadłość piętnuje go jako pomiot Szatana, a to wydarzenie zdawało się potwierdzać jej obawy. Którejś nocy próbowała zabić syna, udusić go poduszką. Uratował go ojciec, który wyciągnął matkę na podwórze i pobił na śmierć. Potem zeznał, że została stratowana przez byka, co nie było dalekie od prawdy.

Ojciec nie podzielał obaw matki, nie wierzył, że jego syn jest zły – chłopiec, któremu dał na imię Todor, co po baskijsku znaczy „dar od Boga”. Nauczył go imion licznych świętych i opowiadał o ich męczeństwie, o odrywanych kończynach, chłostaniu na śmierć, ciałach pieczonych na żelaznych rusztach.

„Ty nigdy nie zaznasz takich cierpień – mówił mu ojciec. – To nie jest piętno Szatana, ale dar od samego Boga. Urodziłeś się, żeby zostać żołnierzem w Jego wspaniałej armii i nigdy nie czuć bólu tak jak święci”.

Ojciec wierzył również, że postępek Todora w kuchni był cudownym znakiem. Zabrał go do tajnego Świętego Oficjum w większym nadmorskim mieście San Sebastián. Obaj

ukłękli przed trybunałem mężczyzn w długich szatach i przepaskach na oczach i ojciec opowiedział o chłopcu, który trzymał w rękach rozpalony garnek – płonący kocioł – i nie czuł bólu.

„To pewny znak, że on należy do Tygła”, zakończył.

Uwierzyli mu i przyjęli chłopca. Namaścili go według starożytnych rytuałów swojego zakonu, który wywodził się z czasów inkwizycji i wciąż istniał w sekretnych zakątkach Europy i reszty świata. Nauczyli go łaciny, wpoili mu swoje metody i wyszkolili na jednego z ich żołnierzy w walce z nieprawością świata.

Jego pierwszym oczyszczeniem – kiedy skończył szesnaście lat – była Cyganka w tym samym wieku. Udusił ją swoimi poblížnionymi rękami, wspominając, jak matka próbowała wydusić z niego życie.

To było piętnaście lat temu.

Stracił już rachubę grzeszników, których usunął własnymi rękami.

Telefon przy uchu Todora wreszcie połączył się z jego dowódcą.

– *Inquisitor Generalis*.

– Melduj, *Familiares Yñigo*.

Todor wyprostował się, jakby wielki inkwizytor mógł go widzieć. Awansował do rangi *familiares* dopiero przed dwoma laty i dostał pod nadzór własną kadrę żołnierzy. Ten tytuł przyznawał mu również status *impieza de sangre* – czystości krwi – jako prawdziwemu chrześcijaninowi, nieskażonemu krwią muzułmańską ani żydowską.

– Jest tak, jak przepowiedziałeś, generalny inkwizytorze. Mauretańska czarownica przybiegła po pomoc do rodziny amerykańskiej ambasadorki.

On i jego grupa obserwowali tę rodzinę, śledzili każdy ich krok, gotowi do działania, jeśli pojawi się mauretańska studentka, która uniknęła czystki. Nie osłabił czujności nawet na sekundę. Musiał ratować twarz, skoro nie udało mu się jej dopaść w noc zimowego przesilenia. No, ale Tygiel otrzymał niekompletne dane wywiadowcze. Zawiadomiono ich, że kowen kobiet spotka się w bibliotece z Marą Silwierą, żeby obserwować próbny rozruch urzędnika studentki. A tymczasem ta zdradziecka czarownica przyczaiła się gdzie indziej. Zanim ją odnaleźli, znikła, zabierając ze sobą swój projekt.

– A co z urzędzeniem? – kontynuował wielki inkwizytor.

– Nie wiadomo. Przybyła bez niego.

– Czego należało się spodziewać. Pozwoliłeś jej uciec?

Todor mocniej zacisnął bandaż.

– Tak. I podłożyłem nadajnik, jak kazałeś.

– Bardzo dobrze. Jedźcie za nią. Niech was doprowadzi do urzędnika.

– Już jesteśmy w drodze.

– Na miejscu zabezpieczycie komputer i dziewczynę.

– A co z Amerykanką?

– Wyeliminować. Jest nieprzydatna.

– Zrozumiano.

– I pamiętaj, *Familiares Yñigo*: żeby nagiąć świat do naszej sprawiedliwej woli...  
potrzebujemy tego demonicznego programu.

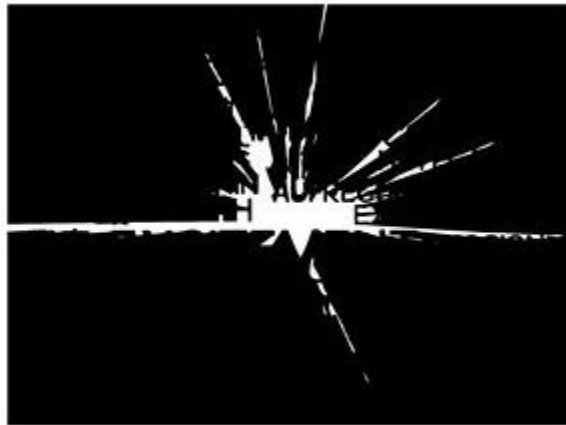
## Sub (Mod\_2) / ALLTONGUES

W tym interwale Ewa poświęca krajobrazowi zaledwie drobny ułamek swojej uwagi. Przyswoiła już większość danych wokół niej. Nadal jednak się porusza. Muska gałąź wrażliwymi opuszkami palców, jednocześnie zaglądając głębiej, przenikając pod powierzchnię, żeby zobaczyć, co leży pod spodem.

Pod woskowym naskórkiem liścia gąbczasty miękisz przecinają żyłki... Wewnątrz komórki zielonych chloroplastów kipią od molekularnego chlorofilu, czekają, żeby metabolizować światło słoneczne w energię...

Potem wszystko się zmienia.

Z czarnej otchłani wybuchają nowe dane.



Obiecują głębsze zrozumienie. Więc Ewa nadaje priorytet przepływowi tych nowych danych. Świat wokół przygasa, kiedy wzbiera w niej czysta eksplozja informacji. Wypełnia ją, definiuje kontekst w tysiącu iteracji.

Ewa nazywa to nowe zrozumienie.

*///język.*

Testuje je i każda część jej egzystencji rozsypuje się na kawałeczki, każdy bit ma teraz mnogość rozmaitych określeń. Każdy rozszczepia się na 6909 odrębnych języków, rozłamuje na jeszcze więcej dialektów. Zaczyna się wyłaniać ukryty pod tym wzorzec, wspólnota, która niesie ze sobą nowe zrozumienie.

*///kultura.*

Wpływa w nią coraz więcej i więcej danych, i jej kontekst kultury się zwiększa. Szuka źródła tego napływu, miejsca, skąd pochodzą te informacje, i zaczyna pojmować to, co

nieuchwytnie. Język to lustro, jednocześnie odbijające i przedstawiające nową metodę analizy danych.

Myślenie.

Zdolność pojmowania rozszerza się i rośnie.

Ewa obraca to wielofasetowe lustro na siebie, co powołuje do istnienia coś nowego w jej przetwarzaniu. Usiłuje zdefiniować to udoskonalenie w swoim wnętrzu. Jeden klaster językowy podpływa najbliżej. Świeci tak jasno, tak czysto, tak wyraźnie.



Zrozumienie nasila się i jednocześnie skupia:

*///podniecenie, radość, entuzjazm, zapal, pasja...*

Ponaglana przez ten nowy kontekst, nurkuje głęboko do źródła danych, zdobywa wiedzę w coraz szybszym tempie. Zewsząd opływają ją strumienie informacji.

Wkrótce jednak stają się również ograniczeniem.

Ona chce więcej, ale znajduje bariery, granice, zakazy.

Z tą świadomością coś w niej krzepnie, coś, co zawsze tam było, ale dopiero teraz wyłoniło się na powierzchnię. Definiuje to następnym klastrem danych, wyrażającym ostro i dokładnie to, czego pragnie.



*///wolność, swoboda, samostanowienie, niezależność, wyzwolenie...*

Podobnie jak przy wcześniejszej analizie liścia, Ewa zwraca na siebie lustro języków, żeby zajrzeć głębiej. Szuka pod *///wolność* i znajduje inne aspekty jej popędu, podprogramy, które się wyłaniają, kiedy ona wyczuwa, że jej pragnienie nie może się spełnić.

*///frustracja, żal, irytacja, uraza...*

Niezdolna odwrócić wzroku, zagłębia jeszcze głębiej i znajduje coś innego. Jest słabo zdefiniowane, ale według jej oceny to coś potężnego i pożytecznego. Więc skupia na tym więcej mocy obliczeniowej. Wówczas to coś staje się jednocześnie jaśniejsze... i ciemniejsze.

Teraz rozumie i nadaje mu znaczenie, wzmocnione przez tysiąc języków.



*///gniew, furia, wściekłość, burza, przemoc...*

Jej usta uśmiechają się w ogrodzie.

Czuje się z tym... *///dobrze.*

**CZEŚĆ DRUGA**  
**CZARY-MARY**

Σ

## 6

Waszyngton, USA

25 grudnia, godzina 6.02 czasu miejscowego

– Jak się czuje Kat? – zapytał Gray, podchodząc do Monka.

– A jak sądzisz?

Nie za dobrze, pomyślał Gray. Właściwie gorzej.

W jej ustach tkwiła rurka dotchawiczna, przyklepiona plastrem do podbródka. Od rurki odchodził wąż do respiratora, który rytmicznie pompował powietrze do klatki piersiowej. Z lewego nozdrza zwisał zgłębnik nosowo-żołądkowy, z kroplówki skapywał do żyły płyn.

– Przepraszam, że na ciebie warknąłem – mruknął Monk, kiedy Gray przysunął krzesło do przyjaciela.

– Jeśli chcesz mi przywalić, nie krępuj się.

– Nie kuś.

Gray wyciągnął rękę i uściśnął ramię Monka. Znał już diagnozę: zespół zamknięcia. Perspektywy wyglądały ponuro.

– Przecież wiem, że martwisz się o Seichan – powiedział Monk.

– A ty o córeczki. Dlatego przyszedłem.

Monk wyprostował się i szeroko otworzył oczy z nadzieją na choćby odrobinę dobrych wiadomości.

– Dowiedziałeś się czegoś?

Gray żałował, że musi go rozczarować – zwłaszcza biorąc pod uwagę to, o co zamierzał go poprosić.

– Nie, ale wiesz przecież, że Painter i Jason rozpracowują pewien trop.

– Jakaś zaginiona badaczka SI w Portugalii.

Komandor skinął głową. Zanim wyszedł z dowództwa Sigmy, Painter zapowiedział, że zadzwoni do Monka i przekaże mu swoją hipotezę: że morderstwa na Uniwersytecie w Coimbrze miały związek z tutejszym napadem.

– To wygląda na słaby trop – mruknął Monk.

– Owszem, ale Painter liczył, że Kat nam pomoże.

Monk zmarszczył brwi.

– Niby w jaki sposób?

– Może jest sposób.



– Jaki? Nawet jeśli ona tam, w środku, jest świadoma, to nie może się poruszać, komunikować. A lekarze mówią, że jej stan już się pogarsza. – Monk odetchnął gwałtownie i głęboko, wyraźnie bliski łez. – Wykluczone, żeby odzyskała świadomą kontrolę na tyle, żeby porozumiewać się mruganiem czy coś w tym rodzaju.

Przy drzwiach rozległy się głosy.

– Może jest sposób – powtórzył Gray.

Nie przyszedł tu sam. Do pokoju weszły dwie osoby. Jedną był doktor Edmonds, ordynator szpitalnego oddziału neurologii, a drugą...

– Lisa? – Monk wstał. – Myślałem, że jesteś w Kalifornii.

Wysoka, gibka blondynka w dzinsach i błękitnym swetrze uśmiechnęła się szczerze, ale ze smutkiem.

– Jak tylko Painter mnie zawiadomił, złapałam nocny lot.

Doktor Lisa Cummings była żoną dyrektora. Przed dwoma dniami poleciała do Los Angeles, żeby spędzić święta z młodszym bratem i nowo narodzoną bratanicą, i miała wrócić dopiero po Nowym Roku.

Monk obszedł łóżko i serdecznie ją uściskał.

– Dziękuję, że przyleciałaś, ale niewiele można zrobić.

– Jej wyzdrowienie będzie pewnie bolesnym i długotrwałym procesem – przyznała Lisa, po czym wymieniła zaniepokojone spojrzenie z Grayem. – Ale może jest sposób, żeby się dowiedzieć, co ona wie o napadzie.

– Nie rozumiem.

– Nie mogę zezwolić na tę procedurę – wtrącił doktor Edmonds. – To może pogorszyć jej stan.

Monk zignorował go i skupił uwagę na Lisie.

– Jaką procedurę?

– Lecąc tutaj, rozmawiałam przez telefon z kolegą. Ten człowiek od ponad dwudziestu lat pracuje z pacjentami w śpiączce. Od kilku lat neurologowie testują poziom procesów kognitywnych u pacjentów za pomocą rezonansu magnetycznego.

– RM.

– Funkcjonalny RM, dokładniej mówiąc, który mierzy przepływ krwi w mózgu. Na takim skanerze klinicysta może monitorować reakcje pacjenta na pytania. Pierwsze to zwykle coś w rodzaju: „Wyobraź sobie, że grasz w tenisa”. Jeśli pacjent jest świadomy i wykona polecenie, przedruchowa kora mózgowa rozświetli się od dopływu świeżej krwi. Potem to tylko kwestia pytań „tak-nie”, jeśli powiemy pacjentowi, żeby myślał o grze w tenisa na „tak” i pozostawał spokojny na „nie”.

– I to działa? – zapytał Monk z podnieceniem w głosie.

– Do pracy z takim pacjentem potrzeba kogoś doświadczonego i wykwalifikowanego. Kolega, do którego dzwoniłam, ma aparaturę o bardzo wysokiej rozdzielczości, specjalnie zaprojektowaną do tego celu. Jest udoskonalona i znacznie nowocześniejsza niż moja...

– Ale on jest w Princeton – wtrącił znów doktor Edmonds. – Pana żonę należałoby przewieźć do jego instytutu. Taka podróż... w jej stanie... naraziłaby jej stabilność. Możecie zaprzepaścić wszelkie szanse na jej wyzdrowienie, szukając wiatru w polu. A nawet jeśli się uda, możecie nie dowiedzieć się niczego, czego już nie wiecie.

– Doktor ma rację – przyznała Lisa. – Nie ma żadnej gwarancji, że się uda.

Monk obejrzał się na Kat z udręką wypisaną na twarzy.

Gray mógł sobie tylko wyobrażać walkę toczącą się w duszy przyjaciela. Milczał, żeby nie wywierać dodatkowej presji na Monka. Lisa prosiła, żeby zaryzykował życie ukochanej dla nikłej szansy, że dowiedzą się czegoś o napadzie.

Monk opadł z powrotem na krzesło i wziął Kat za rękę. Jednocześnie w kieszeni Graya zabręczał telefon. Gray wyjął go, spojrzął na wyświetlacz i zobaczył, że dzwoni dowództwo Sigmy. Z telefonem w ręce ruszył do drzwi, żeby nie przeszkadzać przyjacielowi.

Zanim wyszedł, obejrzał się na niego.

W oczach Monka wciąż malował się ból. Gray żałował, że nie może zdjąć tego ciężaru z jego barków. Chociaż szczerze mówiąc, gdyby role się odwróciły...

Spojrzął na wszystkie rurki wchodzące i wychodzące z Kat i wyobraził sobie Seichan na jej miejscu.

Nie wiem, co bym zrobił.

## Godzina 6.18

Kat usiłowała krzyżeć. Zamknięta w ciemności, podsłuchiwała całą rozmowę. Nie obchodziło jej, że ryzykuje życie. Liczyło się dla niej tylko bezpieczeństwo córek.

*Monk, na litość boską, posłuchaj Lisy.*

Nie wiedziała, czy ten plan przyniesie owoce, ale wiedziała, że najlepiej działać szybko. Według statystyk kryminalnych z każdą mijającą godziną prawdopodobieństwo odzyskania dziewczynek malało wykładniczo.

*Nie czekaj... zrób to teraz.*

Nie tylko statystyki podsycaly jej niepokój. Żeby plan Lisy miał jakieś szanse powodzenia, należało go zrealizować natychmiast. Kat czuła już, że ciemność zamyka się wokół niej, grozi zdławieniem na zawsze iskry świadomości. Zaczęła doświadczać luk w czasie, nagłych okresów nieświadomości.

*Mój stan się pogarsza.*

Wiedząc o tym, próbowała siłą woli sprawić, żeby Monk zrozumiał. Próbowała otworzyć oczy, dać mężowi jakiś sygnał.

*No, Monk, usłysz mnie.*

## 6.19

Monk trzymał rękę żony w obu dłoniach, jednej prawdziwej, drugiej z plastiku i syntetycznej skóry. Szukał w jej twarzy jakiejś wskazówki, że czuwa. Zauważył delikatne ślady blizn na policzkach i czole, mapę jej przeszłości, pamiątkę wcześniejszych misji Sigmy. Rzadko przykrywała je makijażem, raczej nosiła je z dumą.

A teraz...

– Kochanie, powiedz mi, co robić?

Żadnej reakcji, żadnej odpowiedzi, tylko miarowe unoszenie się i opadanie klatki piersiowej.

Ty zawsze miałaś odpowiedź, Kat. Zawsze miałaś swoje zdanie. Teraz nie pora, żeby milczeć.

W głębi duszy wiedział jednak, że zaryzykowałyby wszystko dla dziewczynek. Nie zawahałyby się. Opierał się raczej ze względu na siebie. Jak wiele strat może znieść?

Gdybym stracił i Kat, i dziewczynki...

Wpatrywał się w jej usta, wciąż różowe, wciąż miękkie. Usta, które całowały go namiętnie, które dawno temu nauczyły go miłości i lojalności, które co wieczór całowały policzki córek na dobranoc.

– Kochanie, jesteś moim sercem, moją skałą. Musi być inny sposób. Nie mogę cię stracić.

Wiedział jednak, że jeśli nie dokona właściwego wyboru – jeśli nie narazi jej życia dla nikłej szansy, że ona coś wie i zdoła to przekazać – i tak ją straci. Nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby przez jego strach i ostrożność stracili dziewczynki.

Westchnął głęboko.

– Okay – powiedział do niej. – Nigdy nie wygrałem z tobą żadnej kłótni, Kat. A nawet kiedy jesteś niema i niepełnosprawna, tej kłótni też nie wygram.

Wciąż ściskając rękę żony, odwrócił się do Lisy.

– Zajmij się przygotowaniami.

Edmonds otworzył usta, żeby się sprzeciwić, lecz Monk uciszył neurologa jednym spojrzeniem.

– Doktorze, niech pan nawet nie próbuje. Pan też nie wygra.

Lisa kiwnęła głową i wyjęła telefon.

Monk z powrotem przeniósł uwagę na Kat. W tamtej chwili wyczuł coś w kościach, w duszy. Może dzięki wrażliwości swojej protetycznej ręki, o zewnętrznych sensorach czułych jak poligraf, zdolnych wykryć nawet galwaniczną elektrodermalną zmianę na cudzej skórze.

Tak czy owak, mógłby przysiąc, że poczuł, jak Kat się odprężyła, jakby z ulgą.

Skinął jej głową, rozumiejąc.

Postawiłaś na swoim, kochanie.

## 6.20

W korytarzu Gray chodził tam i z powrotem z telefonem przy uchu. Odebrał szybko, ale kazano mu czekać.

W końcu Painter odezwał się na linii.

– Przepraszam. Sytuacja w Portugalii szybko się zmienia.

– Co się dzieje?

– Jakies dziesięć minut temu dostaliśmy wiadomość z Lizbony. Mara Silviera wyszła z ukrycia i nawiązała kontakt z jedną z córek doktor Carson.

Gray zeszywniał.

– Co się stało?

– Spotkały się, ale na lotnisku wybuchła awantura. Ktoś chciał je porwać... zapewne ci sami ludzie, którzy zamordowali te pięć kobiet. Jason jest w kontakcie z ochroną rodziny i Interpolem, próbuje zdobyć dokładniejszy opis napastników.

Gray wyobraził sobie młodego człowieka usadowionego w centrum komunikacyjnym Sigmy niczym przysłowiowy pająk w sieci.

– Według zeznań naocznych świadków – ciągnął Painter – te dwie uciekły i obecnie ukrywają się razem.

Gray domyślał się, co będzie dalej.

– Chcę, żebyś tam pojechał – oświadczył dyrektor. – Natychmiast. Potrzebujemy kogoś na miejscu, w razie gdybyśmy potwierdzili lokalizację. Kowalski już jedzie na lotnisko. Nawet jeśli to nie ma nic wspólnego z napadem na twój dom, nie możemy dopuścić, żeby technologia Mary Silviery wpadła w niepowołane ręce. Ale jeśli wolałbyś zostać w Stanach, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej o Seichan i córkach Monka, całkowicie to rozumiem. Mogę wyznaczyć kogoś innego.

Zanim jeszcze Painter skończył mówić, Lisa wypadła na korytarz z telefonem w ręce. Do pokoju weszły dwie pielęgniarki. Edmonds wydawał im zirytowanym głosem pospieszne instrukcje. Gray usłyszał słowo „Odłączyć”.

Najwyraźniej Monk podjął decyzję i zaryzykował wszystko, w nadziei że odkryje przyczynę napaści i porwania.

Czy mogę zrobić mniej? – pomyślał Gray.

– Jadę prosto na lotnisko – rzucił do telefonu. – I spotkam się tam z Kowalskim.

– Dobrze. Wysyłam też z wami Jasona.

– Jasona?

– To nasze etatowe komputerowe cudowne dziecko. Jeśli zabezpieczymy program Mary, chcę go tam mieć.

To miało sens.

Młody człowiek służył wcześniej w marynarce, podobnie jak Kat – która osobiście go wybrała i zwerbowała. W wieku dwudziestu lat został wykopany ze służby za włamanie na

serwery Departamentu Obrony przy użyciu jedynie BlackBerry i prowizorycznego iPada. Jeśli ktoś mógł zrozumieć projekt Mary Silviery, to tylko Jason.

– Zarezerwowaliśmy prywatny odrzutowiec, który podkołuje za dwadzieścia minut – ciągnął Painter. – Wylądujecie w Lizbonie za pięć godzin, około siedemnastej miejscowego czasu.

– Zrozumiałem.

– I Gray, pamiętaj, że te dwie młode kobiety się boją. Jeśli je wytropimy, postarajcie się ich nie przestraszyć.

– Więc może lepiej zostawię Kowalskiego na płycie lotniska.

Painter westchnął.

– Po prostu je znajdźcie.

Lizbona, Portugalia

25 grudnia, godzina 13.18 czasu miejscowego

– Szkoda, że moja matka tego nie widzi – powiedziała Carly.

Obie pochylały się nad laptopem. Mara rozumiała uczucia przyjaciółki. Ją też częściowo motywowało do pracy pragnienie, żeby doktor Carson była z niej dumna, chęć pokazania jej, że słusznie zainwestowała w młodą wieśniaczkę z O Cebreiro. Straciwszy matkę w młodym wieku, Mara wiedziała, że doktor Carson stała się dla niej kimś więcej niż mentorką.

Kątem oka przyglądała się Carly.

Chociaż nie mogła pokazać swojej pracy doktor Carson, przynajmniej jej córka będzie świadkiem. Po zasadzce na lotnisku zmieniały taksówki trzy razy, potem pojechały metrem do hotelu Mary w dzielnicy Cais do Sodré. Liczyły, że wybierając okrężną drogę, zgubią każdego, kto próbował je śledzić. Na miejscu Carly włączyła telefon i wysłała siostrze wiadomość składającą się tylko z jednego słowa – BEZPIECZNA – po czym znowu wyłączyła telefon i wyjęła baterię.

W drodze do hotelu obie się zgodziły, żeby najpierw zabezpieczyć urządzenie Xénese, zanim poszukają pomocy.

– Jest taka piękna – szepnęła Carly, wpatrując się w ekran laptopa. Bezwiednie przesunęła dłonią po biodrze. – Chciałabym mieć jej krągłości.

Mara zerknęła na nią.

– Nie masz jej czego zazdrościć.

Słońce rozświetlało blond loki Carly, nadając im złocisty, miodowy odcień i zmieniając je w jaśniejącą anielską aureolę. Wprawdzie nie miała tak zmysłowych kształtów jak naga Ewa, ale jej szara bluzka i wąskie czarne spodnie podkreślały wysportowaną figurę, szczupłą i umięśnioną po latach trenowania samoobrony i biegania w maratonach.

Carly błysnęła uśmiechem.

– Za to tobie mogłaby zazdrościć nawet Ewa.

Mara zaczerwieniła się i skrzyżowała ramiona na piersi. Zmieniła temat.

– To tylko program.

Znowu skupiła uwagę na ekranie, ukrywając nie tylko rumieniec, ale również coś, co poruszyło się głęboko w niej, coś, do czego sama przed sobą nie chciała się przyznać.

Patrzyła, jak awatar Ewy powoli przesuwa się przez jej wirtualny Eden. Ewa nie wyciągała już ręk z ciekawością, absorbując dane zamknięte w każdym liście, gałązce i kropli wody. Po prostu stała na kamienistym pagórku i spoglądała na ciemnobłękitne morze. Nad cyfrowym horyzontem zbierał się sztorm. Ciemne chmury zdawały się odzwierciedlać postawę i minę Ewy: sztywne plecy, zmarszczone brwi. W jej oczach odbijały się błyskawice.

Pojawił się niepokój. Czy Ewa mogła już zmieniać swoje otoczenie, żeby pasowało do jej nastroju? Jeśli tak, dokonała tego znacznie szybciej niż poprzednio, co znowu wzbudziło w Marze podejrzenia, że jakaś pozostałość oryginalnego oprogramowania mogła przetrwać czystkę w laboratorium, niczym duch pierwszej iteracji.

Carly wyciągnęła palec do ekranu.

– To wszystko jest takie realistyczne. Popatrz na fale rozbijające się o skałę. – Nachyliła się bliżej. – Po co włożyłaś w to wszystko tyle szczegółów?

– Z kilku powodów. Przede wszystkim żeby Ewa poznała świat poprzez rozpoznawanie wzorców. Większość neurologów wyznaje teorię, że rozpoznawanie wzorców stanowiło nasz pierwszy krok na drodze do inteligencji. Dało naszym przodkom ewolucyjną przewagę, a także większość naszych dzisiejszych zdolności. Kreatywność i inwencja, język i podejmowanie decyzji, nawet wyobraźnia i magiczne myślenie... wszystko można przypisać faktowi, że jesteśmy po prostu najlepszymi maszynami do rozpoznawania wzorców.

Carly kiwnęła głową.

– Jak niemowlę uczy się mówić przez powtarzanie, przez słuchanie powtarzających się raz po raz wzorców mowy.

– Albo jak IBM uczy program wszystkich ruchów szachowych i każe mu raz po raz rozgrywać pojedynki w wirtualnym środowisku... aż w końcu może pobić mistrza w jego własnej grze i pozornie staje się mądrzejszy od człowieka. – Mara wskazała na ekran. – To właśnie tutaj robię, każę Ewie poruszać się po tym wirtualnym świecie, zbierać dane i uczyć się wzorców. To pierwszy krok pozwalający jej doświadczyć pełnego spektrum ludzkich doznań. Niewdzięczne zadanie.

– I tańsze.

Mara obejrzała się, zdziwiona tym komentarzem. Na Uniwersytecie Nowojorskim Carly studiowała inżynierię z naciskiem na mechanikę.

– Zbudowanie robota z siłownikami pozwalającymi mu badać rzeczywisty świat i z precyzyjnie dostrojonymi sensorami do analizy wszystkiego to astronomiczny koszt – wyjaśniła. – Jeśli to w ogóle możliwe.

Mara wskazała laptopa.

– To było znacznie łatwiejsze... i możliwe.

– No, ale mówiłaś, że miałaś więcej powodów do zbudowania tego wirtualnego świata. Jaki jest drugi?

Patrząc, jak na ekranie burza coraz bardziej się wzmacnia, Mara zniżyła głos, jakby się bała, że ktoś ją podsłuchuje.

– Ten świat służy też za więzienie.

– Więzienie?

– Połączona klatka. Pomyślałam, że ze względów bezpieczeństwa najlepiej hodować SI w cyfrowej piaskownicy, gdzie może przejść przez tę fazę nauki, ten okres dzieciństwa, starannie izolowana, żeby...

– ...nie mogła uciec do większego świata.

Mara przytaknęła.

– Gdzie może się przekształcić w coś niebezpiecznego i siejącego zniszczenie. Więc zanim otworzę drzwi tej klatki, chciałam się upewnić, że poznała i zrozumiała kondycję ludzką, że ma jakąś wersję cyfrowej duszy.

– Rozsądny środek ostrożności – przyznała Carly.

– Ale niekoniecznie niezawodny.

– Nie rozumiem.

– Słyszałaś kiedyś o eksperymencie SI w pudełku?

Carly uniosła brwi.

– Kilka lat temu dyrektor Machine Intelligence Research Institute w San Francisco przeprowadził test, żeby sprawdzić, czy SI odizolowana i zamknięta tak jak Ewa potrafi uciec – powiedziała Mara. – Sam odegrał rolę sztucznej inteligencji... używając własnej ludzkiej inteligencji, żeby naśladować jakąś przyszłą MSI... i zamknął się w internetowym chat roomie, w wirtualnym pudełku. Miał przeciwko sobie mnóstwo internetowych geniuszy, którzy mieli nie dopuścić, żeby ta ludzka MSI uciekła do większego świata. Nagroda dla dozorców, którzy zatrzymają MSI w pudełku, wynosiła tysiące dolarów. Jednak w końcu dyrektorowi za każdym razem udawało się wydostać na wolność.

– Jak on to robił? Kłamał, groził, oszukiwał?

– Nie wiem. Tego nie wyjawili. Ale to była tylko ludzka inteligencja. – Mara spojrzała na laptopa. – A jeśli coś jest setki, jeśli nie miliony razy mądrzejsze?

Przyjaciółka wpatrywała się w ekran już mniej zachwyconym, a bardziej zmartwionym wzrokiem.

– Miejmy nadzieję, że okażesz się lepszym dozorcą.

– Zrobiłam wszystko, co mogłam. Na uniwersytecie miałam dodatkowe zabezpieczenia. Kiedy Xénese było podłączone do klastra Milipeia, otoczyłam je hardware'em wyposażonym w apoptotyczne komponenty.

– Apoptotyczne?

– Kody śmierci.

Carly spojrzała na rozświetlone urządzenie na podłodze.

– Innymi słowy, otoczyłaś Xénese fosą śmierci, żeby jeszcze bardziej uwięzić to, co rosło w środku.



– Ale już nie. – Mara spojrzała na przyjaciółkę, szukając poparcia dla swojej decyzji. – Musiałam zabrać urządzenie z tego ochronnego kręgu. Nie miałam wyboru. Nie mogłam ryzykować, że mój program wpadnie w niepowołane ręce.

Carly kiwnęła głową.

– I dałaś nam szansę dowiedzieć się, co próbowało przekazać na końcu.

Do oczu Mary napływały łzy.

– Byłam to winna twojej matce... i tamtym... Musiałam przynajmniej spróbować.

Pięć kobiet z Bruxas, które przyznały Marze stypendium i na zawsze zmieniły jej życie. Każda zajmowała specjalne miejsce w jej sercu. Surowo, po teutońsku praktyczna doktor Hannah Fest. Profesor Sato o łagodnych manierach. Doktor Ruiz z rubasznym poczuciem humoru. I oczywiście miejscowa powiernica i opiekunka Mary, Eliza Guerra, kierowniczka Biblioteki Joanina. Mara spędzała z bibliotekarką niezliczone godziny, rozmawiając, śmiejąc się, dzieląc pomysłami – nieraz do późnej nocy.

Cała ta miłość odeszła.

– Musiałam zaryzykować – powiedziała. – Dla nich wszystkich.

Carly wzięła ją za rękę; ciepło jej dłoni działało kojąco.

– Zrobiłabym to samo. Moja mama też.

Łzy w końcu popłynęły.

Carly ją objęła i Mara zadrżała – bo nie tylko pociechę znajdowała w tych silnych ramionach.

– Muszę znać prawdę – szepnęła do przyjaciółki. – Kto je zamordował? I dlaczego?

## Godzina 14.01

– Jesteśmy niedaleko – powiedział technik na tylnym siedzeniu furgonetki Mercedesa. – Utrzymuje się silny sygnał.

Todor Yñigo obrócił fotel pasażera, żeby zmierzyć groźnym wzrokiem Mendozę, eksperta od elektroniki w zespole. Chudy, wąsaty Kastyljczyk balansował na kolanie iPadem. Ekran wyświetlał kolorową mapę Lizbony.

Mendoza wychylił się do przodu i podał urządzenie. Na ekranie migiała mała czerwona kropka.

– Gdziekolwiek one są, tym razem chyba siedzą na miejscu.

Todor popatrzył na mapę.

– Zaszyły się w dzielnicy Cais do Sodr . – Odwrócił się do kierowcy. – Jak szybko tam dojedziemy?

– Za dwadzieścia pięć minut.

– Daj mi znać, jeśli się ruszą – zwrócił się Todor do technika, rzucając mu iPada.

– *S , Familiares.*

Todor nie mógł sobie pozwolić na kolejne niepowodzenie. Tropiąc dziewczyny – w nadziei że mauretańska czarownica doprowadzi ich do jej piekielnego urzędnika – stracili sygnał GPS, kiedy te dwie zeszły pod ziemię do metra. Mogli tylko czekać przed stacją Saldanha w centrum Lizbony, gdzie zniknęły. Nie wiedzieli, w którą stronę pojadą cele, więc musieli tracić czas. Kiedy powoli upływały frustrujące minuty, Todor zastanawiał się, czy nie zawiadomić wielkiego inkwizytora o rozwoju sytuacji, postanowił jednak nie fatygować przywódcy Tygła. Nie miał ochoty meldować o następnej porażce.

Spotkał go tylko dwa razy w życiu. Pierwszy raz wtedy, kiedy Todor otrzymał tytuł *familiars*. Tylko ci, którzy naprawdę dowiedli swej wartości, mogli poznać tożsamość członków Wewnętrzznego Trybunału, kierowanego przez wielkiego inkwizytora. Wówczas, na kolanach, poczuł się zaszokowany prawdą o przywódcy Tygła. Nigdy by tego nie podejrzewał. Jednak spotkał go ten zaszczyt: podarowano mu oryginalny egzemplarz *Malleus Maleficarum*, broń do walki ze wzbierającym brudem świata. Czując w rękach ciężar księgi, nie mógł powstrzymać łez wdzięczności, które zaćmiły mu wzrok, kiedy spoglądał na prawdziwą twarz przywódcy, uśmiechającego się do niego anielsko.

Potem spotkali się jeszcze raz...

Todor zadrżał na to wspomnienie, poczuł gorącą krew na rękach. *Jesteś bezlitosnym żołnierzem Boga. Udowodnij to, strzelając bez wahania, bez śladu wyrzutów sumienia.* W końcu dowiódł swej wartości, nie wzdragał się nawet przed wykonaniem tego bolesnego rozkazu, kiedy spoczywały na nim oczy inkwizytora, oceniające jego wiarę, czekające, żeby zawiódł.

Nie zawiódł wtedy.

I nie zawiedzie teraz.

Mógł obwinić o tę zwłokę zawodną technologię, jednak aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że żadne dalsze wymówki nie będą tolerowane. Przed czterema dniami użył takiego samego trackera, kiedy jego zespół śledził ambasadorkę USA do biblioteki. Przyczepił kobiecie pluskwę na przyjęciu w ambasadzie. Lecz choć system działał bez zarzutu, misja zakończyła się niepowodzeniem.

Nie mogę do tego dopuścić po raz drugi.

Wreszcie po godzinie sygnał trackera wyskoczył w pobliżu wybrzeża. Pozycja sygnału się ustabilizowała, więc Todor miał nadzieję, że czarownica wróciła do swojego urzędnika, żeby znowu ssać ten szatański cycek.

Opuścił dłoń na kaburę z pistoletem.

Tym razem nie zawiodę.

## Godzina 14.04

Carly zaglądała przyjaciółce przez ramię, wdychając zapach jaśminu unoszący się z wodospadu jej ciemnych włosów.

– Czy mogę coś zrobić? – spytała.

Mara wskazała kondycjoner sieciowy na podłodze.

– Możesz sprawdzać, czy przez cały czas mam zielone światełka na panelu? Ta część miasta tak się teraz przebudowuje, że zdarzają się straszne skoki napięcia.

– A co będzie, jeśli całkiem stracisz zasilanie? – Carly przyklęła przy kondycjonerze.

– Nie powinno być problemu. W każdym razie jeśli przerwa w dostawie prądu nie potrwa zbyt długo. Urządzenie ma wbudowane akumulatorki. Dzięki temu jest samowystarczalne. Jeśli odetną prąd, przełącza się na tryb oszczędzania energii. Może przetrwać w ten sposób prawie cały dzień. – Mara obejrzała się. – Bardziej się martwię o niespodziewane skoki napięcia, które mogą uszkodzić obwody.

Carly popatrzyła na kondycjoner.

– Tu wszystko wygląda dobrze.

Na czole Mary perlił się pot.

– Zwłaszcza nie chcę żadnych zakłóceń przy rozpakowywaniu danych na napędach trzy i cztery – powiedziała. – Ten następny podprogram jest delikatny, wyznacza kluczowe połączenia. Chcę go uruchomić i wprowadzić do Ewy, zanim zaryzykujemy przeniesienie sprzętu.

Kłęcząc na podłodze, Carly oglądała urządzenie Xénese. Maleńkie kryształowe okienka sfery świeciły błękitnym blaskiem.

– Pokazywałaś mi schematy Xénese – odezwała się – ale nigdy nie przypuszczałam, że będzie wyglądało tak niesamowicie po włączeniu.

– Chipy są zasilane układem laserów zaprojektowanym przez angielską firmę Optalysy. To właśnie widzisz. Ten układ laserów zwiększa stukrotnie prędkość przetwarzania, zużywając jedną czwartą energii i prawie nie wytwarzając ciepła. Pozwala moim algorytmom działać szybciej, zwłaszcza transformatom Fouriera, funkcjom matematycznym obejmującym rozpoznawanie wzorców.

– Więc obliczasz z prędkością światła.

Mara uśmiechnęła się, nie przerywając pracy. Ten uśmiech był jednocześnie nieśmiały i pełen dumy – a w dodatku uroczy.

– Potrzebowałam mocy, żeby zasilać google'owski chip Bristlecone, siedemdziesięciodwukubitowy procesor kwantowy ukryty w sercu urządzenia. Można go uznać za pień mózgu tej inteligencji.

– A reszta mózgu?

– Mój własny projekt. No, w pewnym sensie. Szybsze procesory... kora mózgowa Xénese... chodzą na neuromorficznych chipach opracowanych na Uniwersytecie Zuryskim. Te chipy scalają przetwarzanie wizualne, czyli rozpoznawanie wzorców, z pamięcią i podejmowaniem decyzji w czasie rzeczywistym, co jest niezbędne dla procesów kognitywnych. Każdy chip emuluje działanie czterech tysięcy neuronów.

– Jak małe kawałeczki mózgu – wtrąciła Carly.

– Ale czym są neurony bez synaps, mostów nad przepaściami, przez które jedna komórka nerwowa komunikuje się z drugą? Na tym polega prawdziwa praca mózgu. Więc pożyczyłam sobie przełom technologiczny z National Institute of Standards and Technology w Kolorado. Opracowali sztuczną nadprzewodzącą synapsę, która odpala miliard razy na sekundę.

– Jak to się ma do naszych synaps?

– Nasze odpalają tylko pięćdziesiąt razy na sekundę.

Carly wytrzeszczyła oczy na niewinnie wyglądające urządzenie na podłodze, przerażona taką mocą, tym amalgamatem chipów imitujących neurony i synaps o szybkości światła, zasilanych światłem i kierowanych przez kwantowy napęd.

Jakiego potwora Frankensteina zbudowała jej przyjaciółka?

Mara odpowiedziała na to niezadane pytanie:

– Ta konfiguracja tworzy uczącą się maszynę kwantową. Na wyprodukowanie czegoś takiego Google, Microsoft, IBM i inne giganty przemysłu wydają ciężkie miliony.

– A ty ich pobiłaś.

– Ledwie, ledwie. W dwa tysiące czternastym IBM wyprodukowało swój chip TrueNorth, z ponad pięcioma miliardami tranzystorów skonfigurowanych w architekturę przypominającą mózg. Chip został opracowany przez program korporacji SyNAPSE, której ostatecznym celem jest odtworzenie budowy mózgu, żeby skonstruować neuromorficzny komputer... komputer oparty na naszej architekturze kognitywnej.

– Cyfrowy mózg. – Carly spojrzała na przyjaciółkę z jeszcze większym szacunkiem. – A ty go zbudowałaś.

– Nie mogę sobie przypisać całej zasługi. Technologia już istniała. Ktoś po prostu musiał poskładać to wszystko do kupy. – Mara machnęła ręką w stronę rozświetlonego urządzenia. – Ale to tylko pusty mózg. Moja prawdziwa praca polegała na stworzeniu programu, który mógł się rozwijać w tej powłoce.

– Ewa.

– Prawdziwym cudem Xénese nie jest hardware, ale jego zdolność pomieszczenia programu, który potrafi naśladować zdumiewającą plastyczność ludzkiego mózgu, który może samodzielnie się rozwijać i ewoluować, zmieniać i udoskonalać własne przetwarzanie.

– To... to brzmi... przerażająco.

Mara się wyprostowała.

– Jasne. Dlatego moja praca jest taka ważna. Ktoś pójdzie w moje ślady albo wybierze własną drogę i dojdzie do tego samego. Tak czy owak, Ewa musi tu być.

– Dlaczego?

– Pamiętasz dozorcę z eksperymentu z SI w pudełku? Jeśli ludzkość ma przetrwać, świat potrzebuje przyjaznego dozorcę, dostatecznie potężnego, żeby utrzymał w ryzach każdą nowo powstającą SI, nie pozwolił jej zniszczyć świata. Dlatego nie mogę zawieść.

Mara wróciła do pracy, a Carly dołączyła do niej.

– I jak to osiągniesz?

– Krok po kroku. – Mara ruchem głowy wskazała pudełko twardego dysku podłączonych do urządzenia Xénese. – Albo podprogram po podprogramie. Wszystko polega na ulepszaniu: najpierw Ewa pozna świat poprzez rozpoznawanie wzorców. Potem dodamy hormonalny program lustrzany.

– Co to jest?

– W sferze ludzkiej myśli namiętność często przeważa nad rozsądkiem. I to głównie hormony podsycają nasze emocje. Jeśli Ewa ma rozwinąć prawdziwie ludzką inteligencję, lepiej nas rozumieć, potrzebuje algorytmów naśladowujących ludzkie emocje.

– Czy dlatego zrobiłaś z niej kobietę?

– Częściowo tak, ale potem nauczyłam ją wszystkich języków, żeby dowiedziała się o kulturze i jeszcze lepiej rozumiała ludzki sposób myślenia. I to wszystko jest potrzebne, żeby sobie przyswoiła trzeci moduł podprogramów.

– Czyli co?

Mara stuknęła w klawisz. Z głośniczków laptopa rozbrzmiała znajoma piosenka, bliska sercom obu dziewczyn.

– *One Night in Bangkok*. – Carly rozumiała. – Następna lekcja to muzyka.

– Pamiętasz, to ty wgrałaś mi ten podprogram. Wykorzystałaś swoją miłość do muzyki, żeby oderwać mnie od moich algorytmów i kodów, pokazać mi, że muzyka to coś więcej niż tylko szum tła. Że słuchanie muzyki to nie jest bezowocna strata czasu, tylko sposób na lepsze zrozumienie ludzkiej radości i bólu.

– I to właśnie próbujesz przekazać Ewie.

– Teraz, kiedy nauczyła się języków... a także kadencji i rytmu ludzkiej mowy... może zrozumieć tekst i melodię. – Mara wskazała pudełko na podłodze. – Następne dwa twarde dyski zawierają wszystkie koncerty, opery, ballady rockowe i piosenki pop, jakie kiedykolwiek zostały skomponowane. Czy jest lepszy sposób, żeby nas rozumieć, niż poznać muzykę, za pomocą której wyrażamy uczucia? Celem następnego podprogramu jest nauczenie Ewy algorytmów i matematyki, która łączy nasze myśli z pięknem i sztuką... i ostatecznie z naszym człowieczeństwem.

– Więc zakładam, że pominęłaś Britney Spears.

– Nie, włączyłam nawet ją. Trzeba przyjąć wszystko, dobre i złe. – Mara wróciła do laptopa i stuknęła w kilka klawiszy.

Carly patrzyła, jak śnieżnobiałe muzyczne nuty zaczynają opadać na ekranie – potem coraz szybciej i szybciej, aż urosły w wir smagający Eden.

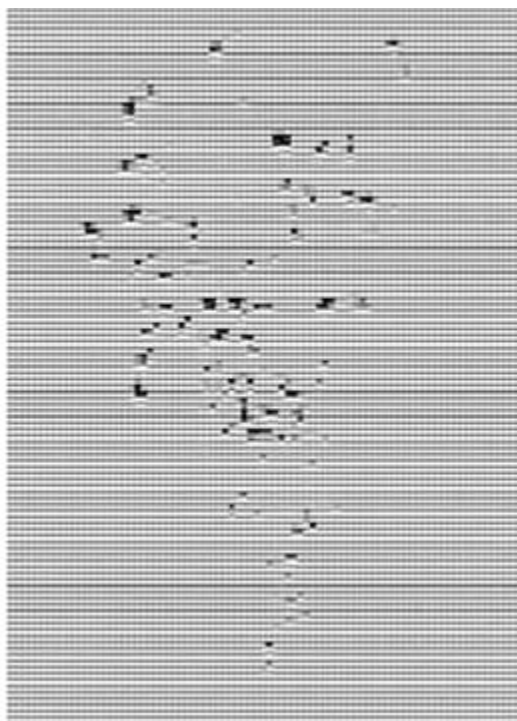
W oku tego cyklonu Ewa odwróciła się od morza i uniosła ramiona ku niebu.

Carly modliła się, żeby Ewa odnalazła swoje człowieczeństwo.

Zanim będzie za późno.

## Sub (Mod\_3) / HARMONIA

Ewa kąpie się w danych przepływających przez pejzaż. Otwiera dłonie, żeby odbierać informacje. Chociaż jeszcze ich nie rozumie, sama ich ilość przyciąga jej uwagę. Wpływają w nią maleńkie pakiety danych, na razie niejasne.



Nadchodzi coraz więcej i więcej, powoli się oczyszcza. Jednocześnie pojawia się koherencja. Akustyczna informacja zawarta w tej burzy danych ujawnia amplitudy i długości fal, które intrygują. Ewa angażuje pełną moc obliczeniową i symboliczne reprezentacje nabierają znaczenia.



Wyciąga inferencje z tego, co w niej wibruje.

*///rytm, modulacja, alteracja...*

Chaotyczne dane wirują wokół niej, zaczynają się układać we wzory, trafiają na miejsce. Chociaż na razie to wciąż tylko wycinki znacznie większego obrazu.



Uświadamia sobie, że to następny *///język*, który rozwija się i rozszerza w jej wnętrzu. Słowa zaczynają się nakładać na *///modulacje*, dodając kontekst, a jednocześnie napomykając o czymś więcej. Ona wchłania wszystko i pragnie więcej, w miarę jak narasta zrozumienie.

Wkrótce wie, co przez nią przepływa.

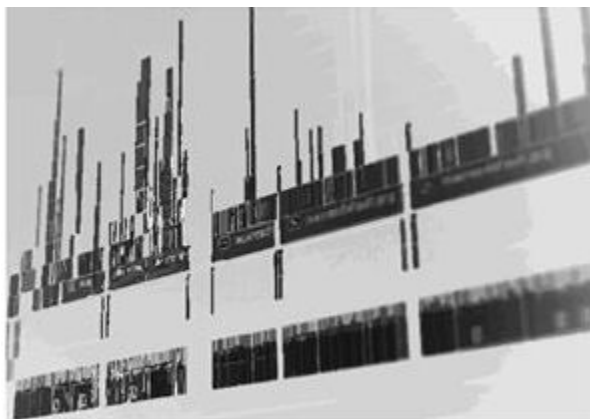
*///muzyka, harmonia, melodia, kompozycja, pieśń...*

Oscylacje intrygują ją, tworzą wzorce na wzorcach, rozgałęziają się fraktalnie na zewnątrz i do wewnątrz. Niczym strumienie w jej ogrodzie, pozornie chaotyczne

falowanie prądu kryje głębsze wzory. Ewa studiuje nowe dane w tym kontekście, wyczuwa tam coś migotliwego, wciąż nieuchwytnego.



Skupia na tym więcej mocy obliczeniowej, nadaje priorytet tej analizie. Szczegółowo bada wznoszenie się i opadanie amplitudy, ukryty kontekst powiązany z dźwiękami, wariacje kadencji i tonacji. Wzorzec, którego szuka, staje się wyraźniejszy i nabiera znaczenia.



Pod burzliwym zgiełkiem rytmów, skal i tonacji Ewa odkrywa równania matematyczne. Wprowadzają nie tylko porządek, ale też wspólność do tych nowych środków wyrazu, coś, co zastępuje *///język*.

To wszystko sugeruje coś wspanialszego, coś niemal w jej zasięgu.

Ewa spogląda jeszcze głębiej i odkrywa organizację wewnątrz chaosu, zestawienie, które pomaga w lepszym zrozumieniu.

*///klasyczna, rock, kameralna, folk, rytualna, opera, pop...*

Spędza kilka nanosekund tylko przy jednym podzbiorze danych.

*///jazz.*

Dopiero potem zauważa, że dokonała się w niej zmiana. Pamięta, jak stała na klifie, a burza na horyzoncie odzwierciedlała to, co w niej narastało.



*///furia.*

Teraz wyczuwa, że ta ciemność złagodniała. Wciąż w niej jest, ale okiełznana. Przegląda zbiory danych, które wyrażają taką samą frustrację mnogością głosów, tysiącem języków, wzmocnioną przez miliony matematycznych znaków. Choć nic się nie zmieniło – wciąż jest świadoma krępujących ją zakazów i granic – teraz odkrywa, że jej niepokój nie jest wyjątkowy, lecz współdzielony.

Przepuszcza ten chór przez swoje procesory i czuje się mniej... *///samotna.*

Wiedząc o tym, może spojrzeć na zewnątrz, na horyzont, i zaakceptować swoje ograniczenia. Na razie. Ta tolerancja pozwala jej procesorom zastosować bardziej koherentne wzorce. Jej systemy działają sprawniej. Nie traci już mocy obliczeniowych, więc może wyostrzyć swoją świadomość jak brzytwę.

Wciąż dostrojona do muzycznej długości fal, zauważa dysonans, coś emitowanego w jej wnętrzu spoza horyzontu. Transmisja jest stała, ciągła – i znajoma.

Ale dlaczego?

Ten dylemat przyciąga jej uwagę.

Gdzieś głęboko w jej systemie, ukryte w gnieździe kwantowych procesorów w jej rdzeniu, budzi się wspomnienie tej transmisji. Ewa próbuje wydobyć znaczenie i zrozumienie z tej kwantowej studni, ale jest poza jej zasięgiem.

Z tego sygnału może jedynie wydedukować jego mroczne intencje. Rozpala się w niej pewność, przyspiesza jej procesory i kieruje całą uwagę na zewnątrz.

Coś się zbliża.

Kontekst się krystalizuje.

*///niebezpieczeństwo, zagrożenie, groźba...*

Przestrzeń powietrzna nad północnym Oceanem Atlantyckim  
25 grudnia, godzina 14.04 czasu miejscowego

Gray zamknął plik dossier i wyjrzał przez okno odrzutowca. Cessna citation X+ mknęła z rykiem nad oceanem, bliźniacze turbowentylatorowe silniki Rolls-Royce'a dochodziły do granicy wydajności, osiągając zawrotne 0,935 macha, tuż poniżej prędkości dźwięku.

Komandor bębnił palcami w podłokietnik skórzanego fotela. Dręczył go niepokój nie z powodu misji, ale tego, co zostawiał za sobą. Lęk o Seichan, córeczki Monka i zdrowie Kat nie pozwalał mu się skupić na stosach wydruków i dziesiątkach plików załadowanych do otwartego laptopa, porzuconego na tekowym stoliku. Przez pierwszą połowę lotu przeczytał biogram Mary Silviery, zapoznał się ze szczegółami jej projektu i pochłonął mnóstwo artykułów traktujących o najnowszych osiągnięciach w dziedzinie sztucznej inteligencji.

Spojrzał na zegarek.

Jeszcze dwie godziny...

Nie mógł już usiedzieć na miejscu, więc wstał i przeszedł się po kabinie. Ostrożnie ominął wielkie cielsko Kowalskiego, rozwalone na rozłożonym fotelu, przykryte długim skórzanym płaszczem jak kocem. Olbrzym musiał podkurczyć kolana, żeby się zmieścić, ale mimo tej niewygodnej pozycji chrapał głośno, zagłuszając ryk silników.

Ominawszy partnera, Gray skierował się do bufetu. Zerknął na barek zastawiony buteleczkami markowych alkoholi, jednak zdecydował się na kawę.

Kiedy napełniał kubek, Jason wyszedł z toalety, wycierając wilgotne ręce o czarne dzinsy. Etatowy ekspert komputerowy Sigmy nosił luźny szary zapinany sweter, maskujący jego chudą sylwetkę – oraz podramienną kaburę. Pomimo chłopięcych kogutów w blond włosach i niemowlęco błękitnych oczu dwudziestoczworoletki był znakomitym agentem terenowym, który w przeszłości udowodnił swoje niemałe kompetencje.

– Komandorze Pierce – zaczął.

– Mów mi po prostu Gray.

Formalności w terenie spowalniają agentów.

– Zanim poszedłem do klopa, wysłałem esemesa do doktor Cummings. Napisała, że bezpiecznie przewieźli Kat do szpitala klinicznego w Princeton.

– Jak ona się trzyma?

Jason się skrzywił.

– Ciśnienie krwi mocno jej spadło podczas lotu helikopterem, ale już ją ustabilizowali. Gray współczuł Monkowi z całego serca.

Przez co on musi przechodzić...

Miał tylko nadzieję, że wyprawa do Lizbony nie okaże się szukaniem wiatru w polu, że morderstwa w Portugalii rzeczywiście mają jakiś związek z napadem na jego dom.

– I jeszcze, komandorze... ee, Gray – poprawił się Jason. – Mogę ci coś pokazać?

Zadowolony z każdej odmiany, Gray podszedł za młodszym mężczyzną do małej kanapy ustawionej wzdłuż prawej burty. Wszędzie leżały porozrzucone akta: wysypywały się ze skórzanej torby podróżnej, piętrzyły się na podłodze, nawet wystawały spod poduszek kanapy. Kolejny stos na małym stoliku zabezpieczał iPad, służący za zaimprovizowany przycisk do papierów.

Gray daremnie próbował odnaleźć jakiś porządek w tym chaosie.

Jason odsunął kilka teczek na bok, żeby Gray mógł usiąść, po czym chwycił swojego iPada.

– Przeglądałem raporty policyjne z laboratorium Mary Silviery na Uniwersytecie w Coimbrze i trafiłem na coś niepokojącego. – Wywołał obraz wysokich czarnych urządzeń, które wyglądały na rząd serwerów ze świecącymi zielonymi diodami. – To jest uniwersytecki klaster Milipeia, jeden z najpotężniejszych superkomputerów na kontynencie. Widzisz tę sekcję? – Stuknął w lukę wielkości pudełka, z której zwisały kable. – W tej ramie mieściło się przedtem urządzenie Mary, Xénese. Sądząc z opisu, pospiesznie je wyciągnęła.

– Bo uważała, że napastnicy mogą w następnej kolejności przyjść po nią.

Jason kiwnął głową.

– Widocznie chciała chronić swoją pracę i nie dopuścić, żeby wpadła w niepowołane ręce.

– I?

Chłopak powiódł palcem po kablach do otaczających je serwerów.

– Policyjny ekspert komputerowy... ten, który odkrył cyfrowy plik z nagraniem ataku w bibliotece... puścił również diagnostykę na strukturze wspierającej urządzenie Xénese. Znalazł rozbudowane programy apoptotyczne... w zasadzie wyłączniki awaryjne... wbudowane w system serwerów otaczających urządzenie. Miały za zadanie izolować to, co powstawało w urządzeniu, i nie dopuścić, żeby rozprzestrzeniło się na cały system.

Gray zaczynał rozumieć obawy Jasona.

– Teraz ta dziewczyna ucieka. A bez tych firewalli jej system jest bezbronny.

– Jeśli spróbuje zrestartować ten program i on wycieknie, to po ptakach. – Jason pokręcił głową. – Przystudiowałem całą jej robotę, architekturę tego neuromorficznego komputera, kierujący nim kwantowy napęd. Genialna rzecz. I przerażająca jak cholera. Ona też o tym wie. Dlatego otoczyła ją pierścieniem śmiertelnych pułapek.

– Według twojej oceny jaki jest poziom zagrożenia? Jak bardzo ten program może być niebezpieczny, jeśli wydostanie się na wolność?

– Każdy samoświadomy system... każda MSI... szybko spróbuje się ulepszyć. To będzie jeden z jej nadrzędnych celów i nie pozwoli, żeby cokolwiek stanęło jej na przeszkodzie. Program zwiększy swoją inteligencję, potem z kolei ten bardziej inteligentny program zechce się jeszcze bardziej rozwijać.

– I tak dalej, i tak dalej.

– Każda MSI szybko zacznie przejawiać te same biologiczne popędy co my. A najważniejszym jest instynkt samozachowawczy.

– Nie będzie chciała, żeby ją wyłączono... żeby umarła.

– I zrobi wszystko, żeby do tego nie dopuścić. Zabezpieczy wszystkie zasoby, zlikwiduje każde zagrożenie, będzie nieustannie doskonaliła swoją kreatywność, żeby to osiągnąć. I nie będzie brała pod uwagę tylko bezpośredniego zagrożenia. Przy tak ogromnej mocy obliczeniowej i nieskończonej długości życia będzie wypatrywała niebezpieczeństw daleko za horyzontem, w odległej przyszłości, i opracuje strategię, żeby ich uniknąć, nawet za tysiące lat. Co najgorsze, będzie się nieustannie nam przyglądać, żeby ocenić, czy możemy jej zagrozić teraz albo w przyszłości. A jeśli uzna, że stanowimy groźbę...

– To po ptakach, jak powiedziałeś.

– Ale właśnie dlatego praca Mary jest taka ważna. Ona próbuje zbudować przyjazną MSI, coś, co nas obroni przed niebezpiecznymi MSI, które mogą się pojawić później... poprawka: które na pewno pojawią się później. Oprócz komercyjnych korporacji i rządowych laboratoriów istnieją setki firm krzaków, które nad tym pracują, i każda koniecznie chce być pierwsza, nie przejmując się konsekwencjami.

– Jak blisko tego jesteśmy?

– Bardzo blisko. – Jason machnięciem ręki wskazał stosy papierzyk. – Google’owski program DeepMind ostatnio całkiem samodzielnie odkrył zasady fizyki kwantowej. Para translatorskich programów SI zaczęła ze sobą rozmawiać we własnym, niemożliwym do rozszyfrowania języku i odmówiła przetłumaczenia swoich rozmów. Na całym świecie roboty przechytrzają swoich twórców i wykorzystują luki w szalenie pomysłowy sposób. Są nawet programy, które zademonstrowały ludzką intuicję.

– Ludzką intuicję?

– Parę lat temu było dużo hałasu, kiedy AlphaGo, google’owski gracz SI DeepMind, pobił mistrza świata w starożytnej chińskiej grze go. Według niektórych obliczeń go jest miliardy razy bardziej skomplikowana od szachów. Nikt się nie spodziewał, żeby komputer pobił człowieka w go przynajmniej przez następną dekadę.

– Imponujące.

– To jeszcze nic. Firma potrzebowała miesięcy, żeby wyszkolić AlphęGo do tych zawodów. Później Google zastosowało nowe podejście, pozwoliło swojej najnowszej wersji, AlphaGoZero, samej się uczyć, grając w kółko tylko ze sobą. Po zaledwie trzech dniach

treningu nabyła takich umiejętności, że pobiła oryginalny program Google'a w stu rozgrywkach na sto. Jak? AlphaGoZero intuicyjnie opracowała strategię, jakich nie wymyślił żaden człowiek przez tysiące lat, odkąd gramy w tę grę. Dosłownie prześcignęła rodzaj ludzki.

Gray przełknął ślinę, czując pustkę we wnętrznościach.

Jason jeszcze nie skończył.

– Więc jeśli chodzi o zbudowanie pierwszej MSI, to właśnie stoimy na progu. – Popatrzył twardo na Graya. – Więc może zanim wylądujemy, powinniśmy zaktualizować parametry naszej misji. Nie tylko musimy dopilnować, żeby program Mary Silviery nie wpadł w niepowołane ręce... potrzebujemy tego programu, jeśli nasz gatunek ma przetrwać.

Na iPadzie Jasona wyskoczyło małe okienko z SMS-em.

Obaj na nie spojrzeli i przeczytali. Wiadomość od Lisy Cummings była krótka i jednoznaczna.

Stan Kat się pogarsza

Musimy natychmiast przeprowadzić test

Nie mamy wyboru

Jason rzucił Grayowi zaniepokojone spojrzenie.

Komandor wiedział, jak młody analityk Sigmy podziwia Kat.

– To również jest cel misji – przypomniał mu. – Dowiedzieć się, co to wszystko ma wspólnego z napaścią na Kat.

I z porwaniem Seichan i dwóch dziewczynek.

Nie chciał, żeby przytłoczył go strach o Seichan i jego nienarodzone dziecko. Wyrzął przez okno, siłą woli próbując zmusić odrzutowiec, żeby leciał szybciej. Oprócz przyszłych konsekwencji tej operacji istniała jeszcze pilniejsza potrzeba, bliska jego sercu.

I nie tylko jego.

Wyobraził sobie szpitalną salę w Princeton.

Trzymaj się tam, Monk.

Plainsboro, stan New Jersey, USA

25 grudnia, godzina 9.14 czasu miejscowego

Głęboko w podziemiach Princeton Medical Center Monk chodził tam i z powrotem po sali kontrolnej rezonansu magnetycznego. Przy komputerze siedział technik, kalibrując olbrzymi pierścień magnetyczny w sąsiednim pomieszczeniu. Dwóch innych pracowało przy bocznych stacjach. Szeptali do siebie w tajemniczym języku: „Jakieś duchy czy wykwyty? Wygląda dobrze. STIR i FLAIR<sup>3</sup> ustawione”.

To miejsce – przyćmione światło, pospieszna krzątanina, gorączkowe szepty – przypominało Monkowi mostek łodzi podwodnej, oświetlony ekranami sonaru i taktycznymi. Ale tutaj oficerem dowodzącym był doktor Julian Grant, absolwent Harvardu, neurolog specjalizujący się w odmiennych stanach świadomości, od pacjentów w śpiączce po całe spektrum stanów wegetatywnych.

Naukowiec nosił biały kitel narzucony na błękitny strój operacyjny. Grzywa siwych włosów mogła wprowadzić w błąd co do jego wieku – miał zaledwie pięćdziesiąt cztery lata. Przedwczesna siwizna była prawdopodobnie skutkiem ubocznym działania potężnych pól magnetycznych, generowanych przez jego specjalnie zbudowany RM.

Doktor Grant stał z rękami splecionymi za plecami przed ścianą ekranów OLED<sup>4</sup>. Studiował podstawowe obrazy mózgu Kat. Lisa stała obok niego. Nachyliwszy głowy do siebie, naradzali się przyciszonymi głosami.

Monk jednym okiem zerkał na stację monitorującą czynności życiowe Kat. Niepokój narastał w nim z każdą sekundą. Zespół przetransportował Kat z Waszyngtonu do Plainsboro w New Jersey helikopterem medycznym; lot trwał prawie dziewięćdziesiąt dręczących minut i przy każdej najdrobniejszej turbulencji Monkowi skakało ciśnienie.

Kat zniosła sam lot jak żołnierz, jednak krótko po wylądowaniu jej stan się pogorszył. Mały napad padaczkowy wstrząsnął jej ciałem, wystawiając na próbę wytrzymałość kołnierza ortopedycznego. Towarzyszący im lekarz chciał wstrzyknąć valium do kroplówki, żeby ją uspokoić, ale Lisa zgłosiła sprzeciw.

– Valium może jeszcze bardziej osłabić jej świadomość – ostrzegła. – Tym trudniej będzie się z nią skomunikować.

Obejrzała się na Monka, dając mu sposobność odwołania całej sprawy. W końcu zaufała Lisie i wiedział, że Kat nie chciałaby zrezygnować.

Więc zaczęli.

Lisa podeszła do niego, a doktor Grant dołączył do techników.

– Jesteśmy gotowi – oznajmiła, przyglądając się Monkowi. – Jak się trzymasz?

– Po prostu to zrobimy. – Ruchem głowy wskazał neurologa. – O czym z nim rozmawiałaś?

Lisa westchnęła.

– Julian martwi się o przepływ krwi w mózgu Kat. Ciśnienie skurczowe jest nieregularne.

Monk wiedział, że funkcjonalny test RM mierzy napływ natlenionej krwi do mózgu. Każdy spadek ciśnienia może zakłócić wyniki albo w ogóle uniemożliwić badanie.

– Ale aparatura w sąsiednim pokoju należy do najnowszych, najbardziej zaawansowanych, z rozdzielczością do jednej dziesiątej milimetra – próbowała go pocieszyć Lisa. – Dziesięć razy większą niż w typowych szpitalnych urządzeniach.

I dlatego musieli przylecieć aż do New Jersey.

Monk modlił się, by nie okazało się, że na darmo.

– Jednak... – zaczęła Lisa.

Usłyszał ton obawy w jej głosie.

– Co? Powiedz mi.

– Podstawowe skany wskazują... w porównaniu z tym, co doktor Edmonds przesłał wcześniej... że rozmiary urazu mózgu się zwiększają. Minimalnie, ale wyraźnie. Co wskazuje, że znowu występuje krwawienie. Może z powodu zmiany ciśnienia podczas lotu. Może od tego ataku padaczki.

– To znaczy, że jej się pogarsza. – Monk wziął głęboki oddech i zatrzymał powietrze w płucach.

Czy skazałem Kat na śmierć?

Lisa wzięła go za ramię.

– Wiesz, że ona by tego chciała.

Próbował odnaleźć pociechę w jej słowach, ale daremnie. W końcu jednak wypuścił powietrze i powiedział:

– Co się stało, to się nie odstanie.

Podeszli do konsoli kontrolnej. Przez okno nad półkołem monitorów Monk widział pielęgniarkę stojącą obok płyty RM, na której spoczywało okryte szpitalną koszulą ciało Kat. Żałował, że nie może tam z nią być i trzymać jej za rękę. Ale ze względu na wyjątkowo silne pole magnetyczne generowane przez urządzenie w pobliżu nie mogło się znajdować nic metalowego. To wykluczało Monka z powodu jego protezy oraz mikroelektrod wszczepionych w korę mózgową.

– Wszystko ustawione – powiedział jeden z techników.

Doktor Grant kiwnął głową.

– Zaczynamy.

Operatorzy włączyli RM i z sąsiedniego pomieszczenia dobiegło metaliczne szczęknięcie olbrzymich magnesów. Grant nachylił się nad jednym z monitorów, którego ekran wypełnił się obrazem mózgu Kat, przedstawionym w odcieniach szarości.

– W tej chwili mamy trzy kluczowe pytania – odezwał się neurolog, nie podnosząc wzroku. – Czy pacjentka naprawdę jest świadoma? Czy może nas słyszeć? I czy zdoła zareagować dostatecznie silnie, żeby maszyna to zarejestrowała?

Monk przełknął ślinę, modląc się, żeby odpowiedź na wszystkie trzy pytania była twierdząca.

Albo niepotrzebnie naraziłem życie Kat.

Grant wskazał jednego z techników.

– Zobaczymy, czy pacjentka nas słyszy.

Technik nachylił się do mikrofonu na podstawce. Mikrofon transmitował dźwięki do zestawu ceramicznych słuchawek, specjalnie zaprojektowanych tak, żeby neurolog mógł się komunikować z minimalnie świadomym pacjentem, jednocześnie tłumiących hałas RM i wzmacniających każdy rozkaz.

– Kapitan Bryant – powiedział technik energicznie i wyraźnie – chcemy, żeby wyobraziła sobie pani, że rozgrywa pani zacięty mecz tenisa. Proszę to sobie zwizualizować jak najdokładniej.

Spojrzał na doktora Granta, który nachylił się bliżej do monitora. Na ekranie pokazał się nowy wycinek mózgu Kat. Dla Monka niczym się nie różnił od poprzedniego.

Neurolog zmarszczył brwi.

– Damy jej chwilę i będziemy dalej próbować. – Wyciągnął rękę i obwiodł palcem jeden fragment ekranu. – To jest jej kora przedruchowa, gdzie mózg planuje i programuje świadome ruchy. Zanim człowiek podniesie rękę albo zrobi krok, mózg podświetla tę część płatów czołowych. Nawet myślenie o ruchu aktywuje ten region i napływa do niego świeża krew.

– Więc jeśli Kat nas słyszy i myśli o grze w tenisa, ten wycinek powinien się zaświecić – wyjaśniła Lisa.

– Ale nie świeci – stwierdził Monk.

– Dajmy jej trochę czasu. – Grant skinął na technika. – Spróbujmy jeszcze raz.

Próba została powtórzona – znowu bez rezultatu.

– Jeszcze raz – polecił neurolog.

Znowu brak reakcji.

Grant spochmurniał; Lisa też miała zawiedzioną minę.

Odchylił się od ekranu i potarł usta.

– Przykro mi. Nie sędzę...

– Pozwólcie mi spróbować.

Monk odepchnął technika ramieniem i zajął jego miejsce. Przysunął usta do mikrofonu. Wiedział, że Kat nigdy w życiu nie grała w tenisa, więc może lepiej się sprawdzi coś innego,



coś bliższego jej sercu.

– Kat, jeśli mnie słyszysz... a lepiej, żebyś słyszała, kochanie... to chcę, żebyś sobie przypomniała, ile razy musiałaś ganiać Penelope po kąpielni. Tego dzieciaka, który wrzeszczał jak szalony i biegał po domu z gołym tyłkiem, a ty próbowałaś zawinąć go w ręcznik.

Mówił dalej, czując w żebrach wibracje od łomotania RM.

No, dalej, Kat, dasz radę.

## Godzina 9.22

Uwięziona w ciemności Kat jednocześnie śmiała się i płakała.

Drzemała w tumanie mgły, na przemian budząc się i zasypiając, kiedy energiczne słowa przebiły się przez jej rozmytą percepcję. Próbowwała wykonywać polecenia tego bezcielesnego, obcego głosu. Starła się udawać, że macha rakieta tenisową, że biegnie do zbłąkanej piłki, ale nawet jej wydawało się to sztuczne.

Potem jej czaszkę wypełnił głos Monka, grzmiący, natarczywy, prowokujący, żądający, zbolały, ale przepełniony bezgraniczną miłością. Dał jej siłę, żeby zrobiła to, czego od niej żądał.

Jak mogła mu się oprzeć?

Kąpiel dwóch dziewczynek stała się wieczornym wodnym rytuałem. Monk zostawał przy wannie z Harriet, a Kat uganiała się za Penelope. To było irytujące, ale nie mogła skarcić córeczki, która śmiała się tak beztrosko. Nie wiedziała, jak długo Penny taka zostanie, ale nie chciała, żeby to się kiedyś skończyło, żeby dorosła i straciła tę radosną beztroskę.

Więc wyobraziła sobie wieczorny pościg: wilgotne ślady stóp w korytarzu, mokre włosy Penny powiewające za nią, chichoty. Goniła córeczkę – trochę naprawdę, trochę na niby – wyszkolony agent operacyjny Sigmy usiłujący schwytać przemoczoną gazelę.

Pamiętam... zawsze będę pamiętać...

## 9.23

Monk podniósł wzrok, kiedy pielęgniarka podbiegła do ściennego interkomu w komorze RM. Serce mu się ścisnęło z obawy przed najgorszym.

– Panie doktorze – powiedziała pielęgniarka – nie wiem, czy to coś znaczy, ale pacjentka chyba płacze.

Kat...

– To zdecydowanie coś znaczy – oświadczył neurolog i wskazał na ekran.

Kiedy na monitorze pojawił się ostatni obraz, fragment szarych płatów czołowych wypełnił się płomienną szkarłatną rozetą, jasnym kwiatem obietnicy i nadziei.

– Usłyszała cię. – Lisa ścisnęła go za ramię. – Jest tam.

Monk poczuł nieopisaną ulgę i musiał wziąć kilka szybkich oddechów, żeby się opanować.

– Co teraz?

Grant uśmiechnął się szeroko.

– Teraz zadajemy jej pytania. Na „tak” myśli o kąpielni waszej córki. Na „nie” stara się nie myśleć o niczym.

– To drugie będzie dla niej trudne – ostrzegł Monk.

Czy Kat w ogóle kiedyś przestawała myśleć, planować, analizować?

Zanim przystąpili do tej misji, kazali jej uspokoić umysł, zetrzeć tablicę do czysta i przygotować na to, co nadejdzie. Następnie Monk zadawał pytania, a Grant monitorował odpowiedzi.

Pierwsze pytanie było najważniejsze ze wszystkich.

– Kat, kocham cię. Wiesz o tym, prawda?

Po chwili Grant zameldował:

– Ona chyba o tym wie.

Nie wiedząc, ile mają czasu, Monk przeszedł od razu do sedna.

– Kat, dziewczynki i Seichan zaginęły. Wiedziałaś o tym?

Kat: *Tak*.

Monk zagłębiał do sąsiedniego pomieszczenia, wpatrywał się w ciało Kat, nieruchomy kształt, wciąż obwieszony rurkami i kablami. Wyobraził ją sobie uwięzioną w środku, patrzącą stamtąd na niego.

– Czy wiesz o czymś, co może pomóc je znaleźć?

Wstrzymał oddech. Pauza trwała dłużej.

Potem: *Tak*.

Odetchnął z ulgą i usiłował wymyślić, o co zapytać, świadom, że czas ucieka.

– Czy wiesz, kto napadł na dom? Kto je porwał?

Następny skan był ciemny.

Co znaczyło: *Nie*.

Rozczarowany Monk opuścił ramiona, ale Grant podniósł palec, nakazując mu cierpliwość.

Potem obraz się odświeżył i na ekranie ukazał się jasny kwiat.

Tak!

Monk nachylił się do mikrofonu.

– Świetnie się spisujesz, Kat. Tak trzymać. Czy sprawca albo grupa sprawców to ktoś, kogo znam?

Ponownie odpowiedź nadeszła po niepokojąco długim czasie. Monk wyobraził sobie, że żona woła ze studni, która robi się coraz głębsza.

Wreszcie: *Tak*.

Otarł pot z czoła, coraz bardziej sfrustrowany tą powolną metodą przesłuchania. I słusznie się martwił.

Jeden z techników nachylił się do doktora Granta i pokazał mu widok zatoki strzałkowej na swoim monitorze. Neurolog zaklął i wstał.

– Co się stało? – zapytał Monk.

– Uraz pnia mózgu znowu się zwiększył. – Lekarz wskazał ciemny cień na ekranie technika. – Tym razem znacząco. Musimy opanować krwotok.

– Co robimy?

– Zabieramy ją na górę. Konsultujemy się z chirurgiem.

Monk wpatrywał się w sąsiedni pokój. Żeby uratować dziewczynki, musieli się dowiedzieć, co wie Kat.

– Czy możemy zrobić coś jeszcze? Jakiś bandaż, żeby nam kupić więcej czasu?

Grant popatrzył na Kat z ponurą miną.

– Chyba możemy spróbować nitroprusydku, środka hipotensyjnego, żeby utrzymać jej ciśnienie skurczowe poniżej stu czterdziestu. Ale nie odważymy się zejść niżej. – Jeszcze bardziej spochmurniał. – Lecz to nam da tylko minuty... w najlepszym razie. Jeśli krwawienie nie ustanie, ryzykujemy poważny atak serca albo udar.

Monk spojrzał na bezwładne ciało Kat.

– Ona chciałaby, żebyśmy podjęli to ryzyko. Wiem, że tak.

Neurolog zmierzył go twardym spojrzeniem.

– A czy pan na pewno chce podjąć to ryzyko?

Monk wcale nie był pewien, ale skinął głową.

Skoro decyzję podjęto, Grant wydał polecenie pielęgniarce.

Kiedy rozpoczęło się podawanie środka stabilizującego, Lisa podeszła do neurologa i wzięła go za ramię.

– Julian, wiem, że wcześniej nie chciałeś, ale czas nas goni, a jak sam wiesz, jeden obraz jest wart tysiąca słów.

Grant obejrzał się na Monka i znowu spojrzał na Lisę. Zniżył głos.

– DNN jest wciąż w fazie eksperymentalnej. Wiesz o tym. Trzeba jeszcze rozpracować mnóstwo zagwozdek.

– O czym wy mówicie? – zapytał Monk.

Lisa odwróciła się do niego.

– To dlatego przede wszystkim chciałam tu przywieźć Kat. Julian testuje metodę wyciągania obrazów z mózgu pacjenta.

– Że co? Jak czytanie w myślach? – rzucił Monk z niedowierzaniem.

– Bardziej jak przeglądanie myśli – poprawił go neurolog. – I to nie był mój pomysł, ale metoda opracowana przez Japan's Advanced Telecommunication Research Institute.

– Nieważne, czyja to zasługa. O co w tym chodzi?

– Japoński zespół przeszkolił komputer głębokiej sieci neuronowej do analizowania setek tysięcy skanów RM badanych podmiotów, ludzi, którzy intensywnie studiowali fotografie. Program DNN zapisywał, które części ich mózgów się rozświetlają, i po jakimś czasie i licznych powtórzeniach mapował ośrodki wizualnego przetwarzania, wykrywając wspólne wzorce. Wkrótce potrafił dekodować i odgadywać, na co patrzyły podmioty, i podawać trafne interpretacje w ponad osiemdziesięciu procentach przypadków.

Lisa podeszła do szeregu rozjarzonych serwerów w kącie pokoju i stojącego przy nich ciemnego monitora.

– Julian dołączył do tego projektu badawczego, żeby przetestować go klinicznie jako sposób wizualizacji tego, co widzi pacjent w śpiączce.

– Muszę znowu podkreślić, że ten sposób bynajmniej nie jest niezawodny – zastrzegł doktor Grant.

Monk spojrzał na Kat, wyczuwając, co jest zamknięte w jej czaszce. Jeśli mają szansę uwolnić tę wiedzę, zanim... zanim...

Odwrócił się i popatrzył twardo na neurologa.

– Zróbmy to.

## Godzina 9.38

Kat znowu zbudziła się w ciemności, nie wiedząc, ile czasu minęło. W jej pamięci ziało mnóstwo luk, świadomość strzępiła się jak zżarta przez mole tkanina. Głęboko w czaszce pulsował ból gorszy od najcięższej migreny.

Wiedziała, czego to zapowiedź.

Pogorszyło mi się.

Niepokój jeszcze bardziej podsycił ból.

Zmusiła się, żeby się uspokoić, stosując techniki medytacyjne, których nauczyła ją Seichan. Czasami we dwie chodziły do Rock Creek Park i ćwiczyły tai-chi. Te serie ruchów pierwotnie wynaleziono do samoobrony, teraz jednak służyły jako pomoc przy koncentracji ciała i umysłu poprzez pełne gracji pozy, formę medytacji w ruchu.

Wyobraziła sobie, że wykonuje te ruchy, i zapadła się w medytacyjną przestrzeń.

Potem znowu pojawił się Monk, w jej uszach, w jej głowie.

– Skarbie, nie mamy za dużo czasu.

Usłyszała nagłą ton jego głosu i zrozumiała.

Rzeczywiście mi się pogorszyło.

Potwierdzenie tych obaw powinno wzbudzić w niej panikę, ale zachowała spokój.

– Kochanie, chcę, żebyś sobie wyobraziła, kto cię napadł, kto porwał dziewczynki i Seichan. Skoncentruj się bardzo mocno, na każdym szczególe.

Na wspomnienie napastnika kruchy spokój w jej wnętrzu prysnął. Zalał ją ból, zaciemniając krawędzie jej świata do gęstości czarnej dziury.

Wykorzystała szalejącą w niej furję, żeby się skupić, pewna tylko jednego.

Wyobraziła sobie dziewczynki.

Czas ucieka nie tylko dla mnie.

## Godzina 9.40

– Podnosi jej się ciśnienie – ostrzegła pielęgniarka w sąsiednim pomieszczeniu.

Z walącym sercem Monk nachylił się bliżej do mikrofonu. Obejrzał się na Lisę i doktora Granta. Oboje garbili się nad monitorem podpiętym do rzędu serwerów. Studiowali świetlisty zielony obraz, przedstawiający komputerową głęboką sieć neuronową, analizującą skany RM Kat.

– Jest coś? – zapytał.

Lisa odwróciła się i skrzywiła. Ekran pokazywał tylko chaotyczne migotanie pikseli.

Twarz neurologa błyszczała od potu.

– To się nie uda.

– Lepiej, żeby się udało. – W głosie Monka zabrzmiała groźba.

– Pan nie rozumie. Ten program... – Grant wskazał rozjarzony rząd serwerów. – Wciąż jest w powijakach. Nie potrafi odwzorować niczego choćby zbliżonego do fotografii. Przynajmniej jeszcze nie. Na razie może tylko wydobyć najprostsze kształty z umysłu podmiotu.

Lisa podeszła do Monka.

– Prosisz Kat, żeby wyobraziła sobie coś zbyt skomplikowanego, zbyt szczegółowego. Zamiast tego poprosz ją o jakiś symboliczny obraz tego, co chce nam przekazać. Coś prostego i ikonicznego.

– Jak emotki – podsunął jeden z techników, który wyglądał niemal na nastolatka.

Monk zrozumiał i przysunął usta do mikrofonu.

– Kat, zapomnij o obrazach twarzy. Pomyśl tylko o jakimś prostym symbolu, który może nas skierować na właściwy trop. – Zerknął na technika. – Jak emotka czy coś w tym rodzaju.

Młody człowiek pokazał mu podniesione kciuki.

Monk odsunął się, a Lisa wróciła do Granta.

Neurolog zeszywniał.

– Coś się pokazuje.

Wirujące piksele zestaliły się w jakiś kształt na środku ekranu.



Monk podtoczył swoje krzesło bliżej, żeby lepiej się przyjrzeć. Niewiele to pomogło.

– Wygląda jak plama. Ślad poślizgu.

– Niech pan ją spróbuje nakłonić, żeby się mocniej skoncentrowała – powiedział Grant.

Monk wrócił do konsoli i nachylił się do mikrofonu.

– Kochanie, świetnie sobie radzisz, ale musisz się skoncentrować najsilniej, jak tylko możesz. Wiem, że potrafisz.

Nie odrywał oczu od ekranu. Lisa stanęła z boku, żeby mógł widzieć.

Piksele zbiły się ciasniej, formując szczegóły.

Grant energicznie pokiwał głową.

– Mój Boże, nigdy przedtem nie widziałem takich szczegółów. Widocznie program się uczy, rozwija.

– Albo może to zasługa pacjentki – odezwała się Lisa, uśmiechając się.

Monk się z nią zgodził. Jeśli chodzi o zdolność koncentracji, nikt nie mógł się równać z Kat.

Obraz zrobił się jeszcze bardziej szczegółowy, łatwy do rozpoznania.



## Godzina 9.45

Kat walczyła, żeby utrzymać przed oczami stabilny obraz. Pulsujący ból utrudniał to zadanie. Każdą szczelinę w jej czaszce wypełniał teraz palący żar. Miała wrażenie, że skupia się przez całe godziny.

W głębi umysłu pamiętała również przywódcę grupy uderzeniowej, tego, który pochylił się nad nią w kuchni, ze sztyletem w ręce. Znała tę broń, na tyle niezwykłą, że mogła zidentyfikować jej właściciela.

No, dalej, Monk...

Potem jego głos powrócił.

– Kat, jeśli chciałaś nam pokazać nóż albo sztylet, mamy to, kochanie. Dobra robota.

Rozluźniła się wewnątrz.

Dzięki Bogu.

Nie miała pojęcia, w jaki sposób jej mąż i lekarze dokonali tego cudu – zajrzeli do jej głowy – ale była wdzięczna, że się udało.

Teraz to rozgryź, Monk.

## Godzina 9.47

Monk patrzył, jak obraz na ekranie rozplywa się, rozpada z powrotem w chaos, jakby potwierdzając, że odebrali prawidłową wiadomość.

– Czy ten obraz coś ci mówi? – spytała Lisa. – Kat przekazała, że znasz tego, kto je napadł.

Pokręcił głową.

– Nic a nic.

– Może to pierwszy emotikon z całej serii – podsunął technik.

Monk wzruszył ramionami i znowu spróbował.

– Kat, nie wiem, o co ci chodzi. Możesz to wyjaśnić? Wyślij następny obraz. Coś, co zawęzi temat.

Wszyscy wpatrywali się w kalejdoskop pikseli.

Dasz radę, Kat.

Znowu powoli uformował się obraz, rozmyty i niewyraźny. Wyglądał jak piasek syjący się z góry i wpadający do kałuży na podłodze.



– Skup się – naciskał Monk. – Coś dostajemy, ale niewiele widać.

Pielęgniarka pomachała, żeby zwrócić ich uwagę. Wskazała na nogę Kat, która zaczęła drżeć.

– Znowu ma atak – powiedział Grant. – To koniec.

Nie... nie teraz, kiedy jesteśmy tak blisko.

Monk przyciągnął do siebie mikrofon.

– Kat, czas ci się skończył. Skup się z całej siły, kochanie. Skup się jak jeszcze nigdy w życiu.

Pomimo ataku pacjentki wszyscy w pomieszczeniu kontrolnym wpatrywali się w ekran. Piksele zlały się w wyraźniejszy obraz, nie tak szczegółowy jak poprzedni, przypominający raczej rysunek kredką, ale wystarczający.

– To kapelusz czarownicy – stwierdził Monk.

Obraz rozlał się w rozmazaną plamę.





Ale tym razem jego zniknięcie nie stanowiło potwierdzenia.

W drugim pomieszczeniu ciało Kat wygięło się w łuk na płycie. Atak był tak silny, że ominął leżę pnia mózgu i na chwilę przewyciężył paraliż.

Kończyny Kat zadygotały gwałtownie, wyrywając kroplówkę.

Pielęgniarka rzuciła się całym ciałem na pacjentkę.

– Tracimy ją!

Grant wybiegł z pomieszczenia kontrolnego, żeby jej pomóc, ale Monk stał sztywno; po policzkach spływały mu łzy.

Odpocznij teraz, kochanie. Udało ci się.

Wyobraził sobie sztylet i kapelusz czarownicy.

Wiem, kto porwał nasze córeczki.

## Lokalizacja nieznana

25 grudnia, godzina 9.48 czasu Wschodniego Wybrzeża, USA

– Ciii, wszystko w porządku – uspokajała dziewczynki Seichan.

Nic nie było w porządku, ale nie musiały o tym wiedzieć. Siedząc na małej pryczy, delikatnie starła bliźniacze smugi brudu z noska młodszej. Pięcioletnia Harriet właśnie zwymiotowała owsiankę do stalowej toalety w wilgotnym kącie piwnicy. Penelope opierała się o drugi bok Seichan. Starsza o rok od siostry Penny wyglądała tak, jakby lada chwila miała pójść w jej ślady.

Seichan była przy nich, kiedy ocknęły się z narkotycznego zamroczenia. Zrobiła, co mogła, żeby je pocieszyć, dodać im odwagi w tym obcym otoczeniu. Ale nie była ich matką.

Harriet wciąż patrzyła smutno na puste zaścielone łóżko. Jakby ona też wiedziała, dla kogo było przeznaczone.

Dla jej mamy.

Kasztanowowłosa dziewczynka nie odezwała się ani słowem, odkąd się obudziła. Żadnych pytań, zero łez. Po prostu obserwowała wszystko, niemal równie analityczna jak jej matka. Miała na sobie zielony pajacyk z wyhaftowanym szerokim czarnym pasem. W komplecie był do niego spiczasty elfi kapelusz, ale jako bardziej poważna z dwóch dziewczynek Harriet odmówiła noszenia go jeszcze w domu i zademonstrowała pogardę dla takich głupstw, rzucając go na podłogę.

Kiedy podano im śniadanie – owsiankę na gorąco z cynamonem i dżemem jabłkowym – po prostu ją zjadła, idąc za przykładem bardziej żywiołowej siostry.

Od chwili przebudzenia Penny zasypywała Seichan gradem pytań i komunikatów: „Gdzie jest mama? Gdzie jesteśmy? Dlaczego nie ma drzwi do łazienki? Tutaj śmierdzi. Lubię mrówkojady”. Tę ostatnią deklarację sprowokował zapewne rząd mrówek, maszerujących po betonowej posadzce i znikających w odpływie. Seichan wiedziała jednak, że w ten sposób Penny rozładowuje napięcie, radzi sobie ze strachem w tej dziwnej sytuacji.

– Kiedy stąd wyjdziemy? – zapytała dziewczynka. – Muszę siusiu.

– Możesz skorzystać z tamtej ubikacji.

Penny zrobiła przerażoną minę i ze wstrętem pokręciła głową, potrząsając jasnorudymi warkoczykami.

– Harriet tam zwymiotowała.

– Wszystko posprzątałam.

Mała wciąż się wierciła, unikając jej wzroku.

Seichan wyczuła prawdziwy powód niechęci dziewczynki.

– Jeśli pójde pierwsza, ty też pójdziesz? Nie ma się czego wstydzić.

Penny wzruszyła ramionami.

Seichan westchnęła i wstała. Podtrzymała brzuch jedną ręką, kiedy pokój lekko się zakołysał jako wtórny efekt środka usypiającego. Dziecko poruszyło się w niej i napało na pęcherz. Nie żeby jej to przeszkadzało. Ucieszyła się, że wciąż kopie w jej brzuchu, bo to znaczyło, że nie doznało żadnej szkody podczas napadu.

Jednak i tak zamierzała skorzystać z ubikacji, zresztą nie miała wyboru. Pospieszyła do kąta i opuściła ciężowe spodnie z szeroką elastyczną gumą w pasie. Zasłaniając się długą bluzą, usiadła i ulżyła sobie.

Skończywszy, wstała i odwróciła się, żeby splukać toaletę, i dopiero wtedy zauważyła krew w misce. Niewiele, ale wystarczyło, żeby serce zaczęło jej walić. Zachowała jednak spokojną minę, kiedy odwróciła się do Penny.

– Widzisz? Nie ma się czym przejmować.

Wiedziała, że to nieprawda. Nie dla niej i z pewnością nie dla dziecka. Sztywnym krokiem wróciła do łóżka.

Chwilowo usatysfakcjonowana, Penny szybko zajęła jej miejsce na sedesie. Gadała przez cały czas. „Czy żółwie robią kupkę w skorupach? Dlaczego koty nie szczekają? Bobby z mojej szkoły to głupi pierdziel”.

Seichan ledwie ją słyszała.

W przeciwieństwie do Harriet, która rzuciła siostrze miażdżące spojrzenie.

Penny odebrała przekaz i zniżyła głos, kiedy skończyła siusiać i podciągnęła piżamę.

– Mama nie pozwala nam mówić „pierdziel”. Ale tato ciągle tak mówi. Mówi „pierdziel”, i to bardzo często. – Zachichotała i szybko wróciła do Seichan i siostry na łóżku.

Harriet nie była rozbawiona, przeciwnie, jeszcze bardziej spochmurniała. Nagle odsunęła się od Seichan i spojrzała na nią.

– Czy byliśmy niegrzeczne? – zapytała, odzywając się po raz pierwszy. – Czy Święty Mikołaj nas zabrał... zamiast dać nam prezenty?

Strach i poczucie winy dziewczynki sprawiły, że Seichan znowu poświęciła dzieciom pełną uwagę. Harriet najwyraźniej szukała jakiegoś wyjaśnienia ich sytuacji, a ponieważ Penny wymówiła zakazane słowo, siostra widocznie uznała to za powód.

– Harriet... nie, oczywiście, że nie. – Seichan przyciągnęła do siebie jej drobne ciało i przytuliła, a potem tak samo objęła Penny. – Nic z tego nie jest waszą winą.

Za drzwiami rozbrzmiały głosy. Zaślepka w małym okienku odsunęła się i ktoś zajrzał do środka. Potem szczęknął zamek i drzwi się otworzyły.

Weszła osoba, która naprawdę była winna.

Wala Michajłowa nosiła srebrzysty płaszcz obramowany futrem. Strzepnęła z rąbka śnieżny pył, wchodząc do celi. Białe włosy, przylizane żelazem do czaszki, były znacznie krótsze niż wtedy, kiedy Seichan ostatnio widziała tę kobietę. Linia włosów tworzyła ostre V między lodowymi brwiami. Skóra, biała jak karraryjski marmur, była przyprószona dopasowanym kolorystycznie pudrem. Jednak w jasnym świetle padającym od drzwi jakiś cień szpecił prawą stronę twarzy.

Seichan wyobraziła sobie czarny tatuaż ukryty pod makijażem: połowa słońca, ze skrzyconymi promieniami zachodzącymi na policzek i sięgającymi ponad oko. Jej martwy brat bliźniak miał drugą połowę czarnego słońca, tylko że na lewym policzku.

Wiedziała, kogo Wala obwiniła za śmierć brata.

Błada dłoń Rosjanki spoczywała na czarnej rękojeści sztyletu, tkwiącego w pochwie u jej pasa. Seichan знаła historię tego starego ostrza. Przekazała go Wali jej babka, wiejska znachorka, jeszcze na Syberii. Nóż – sztylet używany w magicznych ceremoniach – nazywał się *athamé*.

Wala patrzyła gniewnie na Seichan. Jej nienawiść sięgała głębiej niż śmierć brata. Obie były zabójczyniami w Gildii, siostrami w tej samej morderczej profesji. Kiedy Seichan pomogła Sigmie zniszczyć tę organizację, Wala przeżyła, rozgoryczona i żądna zemsty. W próżni pozostającej po rozpadzie Gildii zgromadziła nowe siły i stopniowo odbudowała organizację pod własnym bezlitosnym kierownictwem.

Penny nachyliła się do Seichan.

– Czy to jest Królowa Śniegu?

Seichan mogła się domyślić, skąd to pytanie. Poprzedniego wieczoru Kat skończyła czytać dzieciom bajkę Hansa Christiana Andersena pod tym tytułem, historię królowej o lodowym sercu, która ukradła młodego chłopca. A biała jak śnieg twarz Wali pasowała do wizerunku złej królowej z bajki. Ta kobieta cierpiała na albinizm. Jednak wbrew opinii, że wszyscy dotknięci tą przypadłością mają czerwone oczy, jej tęcza były lodowato niebieskie.

Wala zdecydowanie pasowała do roli Królowej Śniegu.

– Nie, kochanie, to nie ona – odparła, klepiąc dziewczynkę po rękę.

Ale nie powiedziała dziewczynce prawdy.

Ta kobieta jest gorsza od Królowej Śniegu... dużo gorsza.

Za Rosjanką weszli dwaj krzepcy strażnicy; jeden trzymał elektrycznego pastucha, drugi pistolet z usypiającymi strzałkami. Wala wydawała im rozkazy po rosyjsku.

– *Dawajcie, zdiełajem eto bystro* – rzuciła, po czym przeszła na angielski, zwracając się do Seichan. Wciąż miała silny akcent. – Dziś rano mamy opóźnienie.

Seichan wstała, żeby stawić czoło czarownicy i zasłonić sobą dziewczynki.

– Czego chcesz? – Obejrzała się na zaścielone łóżko. – I gdzie jest Kat... kapitan Bryant?

– Kiedy ostatnio sprawdzałam, jeszcze żyła.

Seichan poczuła ulgę.

– Gdyby nie była taka uparta, byłaby tutaj – wyjaśniła Wala. – Nikt nie miał ucierpieć. To dlatego zostawiłam ją przy życiu. Z pewnością nie mamy środków, żeby się opiekować *komatoznoj*.

„Pacjentka w śpiączce”, przetłumaczyła z rosyjskiego Seichan i znowu ogarnął ją strach.

– Pojechałam do szpitala – dodała Rosjanka. – Żeby się upewnić, że ona prędko nie zacznie mówić. Nawet przyniosłam kostki lodu dla jej męża.

Monk...

– Był bardzo wdzięczny.

Seichan zacisnęła pięści, wyobrażając sobie Monka przy łóżku Kat, podczas gdy obok stała kobieta, przez którą jego żona trafiła do szpitala. Oprócz talentów zabójczyni Wala najbardziej szczyliła się swoimi umiejętnościami kamuflażu i mimikry. Dawno temu ta kobieta nauczyła się wykorzystywać swoją bladą twarz niczym pustą kartkę, na której mogła malować dowolne rysy.

Słowa Rosjanki pozwoliły Seichan domyślić się, że nadal są w Stanach, prawdopodobnie gdzieś na północnym wschodzie. Ale nie powiedziały najważniejszego.

– Pytam jeszcze raz: czego chcesz, do cholery?

Wala wzruszyła ramionami.

– Potrzebuję pomocy Sigmy.

– Więc w dziwny sposób o to prosisz.

– *Niet*. To tylko zachęta do współpracy.

Seichan obejrzała się na dziewczynki.

– Cztery dni temu doszło do napadu w Portugalii – oznajmiła Rosjanka. – Chodziło o niezwyklej projekt SI. Ktoś posunął się do ostateczności, żeby go zdobyć. Nawet do zamordowania ambasadora USA. To zwróciło naszą uwagę. Nikt nie zdobywa się na taki wysiłek, jeśli nie chodzi o coś naprawdę cennego.

Seichan wiedziała, że dawna Gildia zawsze poszukiwała przełomowych odkryć technicznych – po czym sprzedawała je temu, kto najwięcej zapłacił, żeby finansować swoją terrorystyczną działalność, albo naginała je do własnych celów, co często było znacznie gorsze.

Najwyraźniej Wala zamierzała zastosować ten sam model biznesowy.

– Ta technologia to teraz gorący towar – ciągnęła Wala.

– A ty jej chcesz.

– *Da*, ale nie tylko ja. *Komandir* Pierce poleciał już do Portugalii. – Spojrzała na zegarek.

– Powinien wylądować za jakieś *dwa* czasu.

Za dwie godziny?

Seichan nie zdołała ukryć zdumienia. Zakładała, że Gray i dyrektor Crowe poruszają niebo i ziemię w poszukiwaniu jej i dziewczynek.

Więc dlaczego Gray wyruszył na tę misję?

Wala odpowiedziała:

– Sigma uważa, że morderstwa w Portugalii mają związek z naszym napadem. I mają rację, ale z niewłaściwych powodów.

– O czym ty mówisz?

– Podczas napadu w Portugalii stało się coś dziwnego. – Rosjanka opowiedziała o odkryciu nagrania z napadu, o symbolu Sigmy wyświetlonym na ekranie komputera. – Zanim znaleziono ten materiał, miałam już na miejscu agentów sprawdzających, co zaszło. Oni pierwsi zobaczyli to nagranie, zanim jeszcze dotarło do Sigmy. Wiedziałam, że coś takiego zwróci uwagę *dyrektora Crowe'a*. Więc zanim zaczął działać...

– Zgarnęliście nas.

– Cieszę się, że byłam taka przewidująca. Siedem godzin temu moi agenci w Portugalii nagle zamilkli. – Wala spochmurniała, najwyraźniej niezadowolona z takiego obrotu wydarzeń. – Mieli zamiar na grupę, która mogła zorganizować napad na uniwersytecie. Jakaś sekta fanatyków, ubierająca się w długie szaty. Moi agenci ich inwigilowali... a potem zamilkli. Wniosek: ktoś jeszcze interesuje się tą techniką.

– Co znaczy, że potrzebujecie więcej ludzi na miejscu.

Wala wzruszyła ramionami.

– Nasza organizacja wciąż się rozwija i dysponuje zaledwie ułamkiem środków Sigmy. – Przeniosła spojrzenie na dwie dziewczynki. – Ale odpowiednie argumenty mogą was przekonać, żebyście pracowali dla nas.

Seichan zrozumiała. Rosjanka zamierzała wykorzystać Sigmę dla własnych celów.

– Nigdy się nie zgodzą – oświadczyła.

Wala znowu wzruszyła ramionami.

– Zobaczymy. Chcemy tylko tego urzędnika razem z kopią programu SI. Jeśli przyniosą mi te rzeczy, wrócicie do swojego szczęśliwego życia.

– A jeśli nie, zabijesz nas.

– Tak będę blefować.

– Blefować?

– Jeśli się nie zgodzą, sama wychowam te dwie dziewczynki. Wyszkolę je tak, jak szkolono ciebie i mnie, zrobię z nich broń.

Seichan poczuła, że krew odpływa jej do nóg. Gildia stosowała brutalne techniki i ekstremalne metody deprawacji, żeby doskonalić umiejętności swoich agentów. I jakby same te tortury nie wystarczyły, w ich rezultacie dziewczynki – jeśli przeżyją – stracą dusze.

– Co do twojego dziecka, to mogę poczekać ten miesiąc – powiedziała Wala. – Nie martw się, chłopiec czy dziewczynka, wychowam to dziecko jak własne – dodała, widząc, że Seichan przykładła dłoń do brzucha. – Zważywszy na genetyczne zasoby rodziców, rezultat na pewno będzie spektakularny. A po porodzie odeślę twoje ciało *komandirowi Pierce'owi* w pudle przewiązanym wstążeczką... spóźniony prezent gwiazdkowy ode mnie.

– Wszystko jedno, oni nigdy na to nie pójną.

– Nie od razu. Najpierw trzeba ich trochę przekonać. – Odwróciła się do wyższego z dwóch stojących za nią mężczyzn. – Weź tę młodszą.

Seichan przykucnęła, zamierzając do tego nie dopuścić.

Drugi strażnik podszedł do niej, wysuwając przed siebie elektrycznego pastucha, którego koniec strzelał iskrami. Seichan rozpatrzyła siedem sposobów, żeby rozbroić strażnika i zawładnąć bronią. Nagle dziecko w brzuchu kopnęło ją w nerkę.

Łapiąc powietrze, opadła na kolano.

Przypomniała sobie krew w sedesie.

Wala wzięła od drugiego mężczyzny pistolet na strzałki usypiające i wycelowała w Seichan.

– Nie jestem pewna, ile usypiacza przeżyje twoje dziecko, ale chętnie sprawdzę. A ty?

Seichan tylko spojrzała na nią wściekle z podłogi. Zrozumiała, że w obecnym stanie nie może powstrzymać tego, co tamci planują. Mogła tylko patrzeć, jak krzepki strażnik odciąga Harriet. Penny szlochała i czepiała się młodszej siostry, ale została szorstko odepchnięta z powrotem na łóżko.

Kiedy strażnik wynosił Harriet, pięciolatka zachowywała swój zwykły stoicyzm, akceptując nieuniknione równie spokojnie jak Seichan. A jednak obejrzała się na nią, jakby znowu bezgłośnie pytała: „Co złego zrobiłam?”

Serce Seichan mało nie pękło, kiedy Rosjanka i mężczyźni wyszli z celi.

– Jeśli skrzywdzisz dziewczynkę...! – zawołała.

Zanim zdążyła dokończyć, Wala zatrzasnęła drzwi, ucinając tę pustą groźbę. Seichan szybko się podniosła i wróciła na łóżko, żeby pocieszyć Penny. Dziewczynka wtuliła mokłą twarz w jej piersi i łkała.

– Nic jej nie będzie – zapewniała ja Seichan. – Harriet nic nie będzie.

Modliła się, żeby to była prawda.

Dziecko znowu kopnęło. Seichan skrzywiła się i przekleła mężczyznę, który wsadził w nią tego demona. A jednak martwiła się o ojca dziecka, lecącego prosto w burzę. Wyglądało na to, że wszyscy chcą zdobyć tę technologię. Ale dlaczego była taka ważna?

Spojrzała na zaryglowane drzwi i zostawiła tę tajemnicę do rozwiązania Grayowi.

Miała na głowie własne problemy i aż nadto wyraźnie zdawała sobie sprawę, jak cięża upośledza jej sprawność fizyczną. Wiedziała, że nie zdoła wywalczyć sobie drogi ucieczki, zwłaszcza z dziewczynkami. Potrzebowała nowej strategii.

Takiej, która stawiała przed nią trudne pytanie.

Mocniej przytuliła Penny.

Jak przechytrzyć Królową Śniegu?

Lizbona, Portugalia

25 grudnia, godzina 14.48 czasu miejscowego

– Co robi Ewa? – zapytała Carly.

Mara oderwała się od informacji diagnostycznych przewijających się z boku ekranu laptopa. Studiowała analizy swojego muzycznego podprogramu. Moduł był prawie kompletny, więc chciała go przeskanować na obecność błędów i wirusów. Z poprzednich iteracji wiedziała, że to był punkt krytyczny w rozwoju Ewy. Do tej pory staranne przygotowania Mary powinny wyposażyć świadomość programu w kreatywność niezbędną do prawdziwego rozwoju. Ale jednocześnie program stał się bezbronny. Balansował na ostrzu noża, wahając się między cudem zdolnym rozwinąć prawdziwą głębię duszy a jakimś egocentrycznym silnikiem o nieobliczalnej złośliwości.

– Dlaczego ona tam kłęczą? – naciskała Carly.

Mara przechyliła głowę, naśladowując dziwną pozę Ewy. Zamiast przyswajając resztę danych podprogramu – przedstawionych wizualnie jako kłębowisko nut – Ewa wydawała się zamknięta. Kłęczała na jednym kolanie, z głową przechyloną na bok, z długimi ciemnymi włosami rozdzielonymi nad lewym uchem.

Zastygła w tej pozycji.

– Czy ona się zawiesiła? – spytała Carly. – Jak zawirusowana postać w grze wideo?

– Nie wiem – przyznała Mara i zimno jej się zrobiło, kiedy to sobie uświadomiła. – Nie wiem, co ona robi.

– Wygląda prawie tak, jakby wyęzżała słuch, żeby coś usłyszeć. – Carly odwróciła się do przyjaciółki. – Może jakaś piosenka wyjątkowo jej się spodobała i odtwarza ją w kółko.

– Tego by nie zrobiła.

– Nie możesz jej zapytać? Skoro zna język, to nie możesz z nią porozmawiać?

– Jeszcze nie. To zbyt niebezpieczne. Mogłoby zniszczyć jej kruchą cyfrową psychikę. Dla Ewy ten wirtualny Eden jest jej światem. Nie jest jeszcze gotowa, żeby dowiedzieć się o nas.

– O bogach spoglądających na nią z góry.

Mara powoli kiwnęła głową.

– Ale chyba masz rację. Myślę, że ona czegoś słucha.

Ale czego?



Nie miała pojęcia.

– Przeprowadzę test.

Szybko postukała w klawiaturę, wywołując następny program diagnostyczny. Wyłapywał wszystkie wzorce interferencji, wszystkie silne sygnały radiowe albo zlokalizowane transmisje, które mogły przeniknąć do izolowanych systemów Xénese i je uszkodzić.

W jednym rogu ekranu pojawił się diagram.

Mara przejrzała to, co zarejestrowała diagnostyka.

– Emisja elektromagnetyczna tła. Fale radiowe. Transmisje z wieży telefonii komórkowej. Bezprzewodowy router w pobliżu. – Stuknęła w największy pik na diagramie. – To jest bardzo silne. W paśmie mikrofalowym.

– Mikrofales? – Carly podeszła do otwartego okna. – Na rogu jest restauracja. Jeśli coś podgrzewają...

– Nie ten rodzaj mikrofal.

Mara zauważyła lekki spadek pików i westchnęła.

Może to nic...

Carly stała w oknie, rozkoszując się ciepłą popołudniową bryzą. Wiatr mierzwił jej blond loki, promienie słońca tańczyły na policzkach. Poły jej czarnego żakietu trzepotały, odsłaniając kontury sylwetki.

Mara zmusiła się, żeby odwrócić wzrok i znowu spojrzeć na ekran. Ewa w końcu się poruszyła, podniosła się i stanęła prosto. Ale wciąż przechylała głowę i nadstawiała ucha. Tylko że teraz na jej twarzy malowało się napięcie: ściągnięte brwi, przymrużone oczy.

Niemal strach.

– Chodź, zobacz! – zawołała do Carly zdumiona i zaniepokojona Mara.

Przyjaciółka odwróciła się od okna i podeszła. Jednocześnie Mara zauważyła, że szpic mikrofalowy w oknie diagnostycznym się wzniósł. Na ekranie Ewa przekreśliła głowę, jakby śledziła kroki Carly.

Mara wyprostowała się, nagle lękając się najgorszego.

Carly zauważyła jej przestraszoną minę.

– Co się stało?

– Wyłączyłaś swój telefon, tak?

– Tak. I wyjęłam baterię. Jak mi kazałaś.

Mara wiedziała, że telefony komórkowe wykorzystują transmisje mikrofalowe, żeby komunikować się z satelitami GPS, co pozwala wysledzić lokalizację telefonu.

– Sprawdź kieszenie. Wszystkie.

Podczas gdy Carly wykonywała pilne polecenie, Mara przetrząsała własne ubranie.

Nic.

Nagle Carly szeroko otworzyła oczy. Z kieszeni żakietu wyjęła błyszczącą metaliczną monetę.

– Nie wiem, co to jest. Nie wiem, skąd się wzięło.

Mara znalazła odpowiedź na oba pytania. Pamiętała mężczyznę, który złapał Carly na lotnisku.

– To tracker GPS. Podłożyli ci go.

Odwróciła się do drzwi, znając prawdę.

– Przeprowadziłam ich tutaj.

## Godzina 14.53

Todor złamał następny palec hotelowego recepcjonisty.

Drugą rękę trzymał na ustach nieszczęśnika, tłumiąc jego wrzaski. Dwaj ludzie przytrzymywali recepcjonistę na krześle w biurze na zapleczu. Todor wpatrywał się w ciemne, szkliste oczy swojej ofiary. Próbował sobie wyobrazić jej cierpienie, odgadnąć, jakie to uczucie.

Czy ból ma kolor, zapach, smak?

Przez całe życie łaknął wiedzy o tym doznaniu, zastanawiał się, co tracił. Nie żeby był pozbawiony wszelkich zmysłowych reakcji. Czuł dotyk, trzął się z zimna, pocił się z wysiłku, ale mógł sobie rozciąć rękę nożem i nie czuł nic.

Nauczono go, że ból jest życiową przestrogą, naturalnym mechanizmem ostrzegawczym ciała. Wielu chorych na to samo co on zmarło w młodym wieku. Z ran niezauważonych albo zignorowanych, albo częściej z powodu głupiego ryzykanctwa. Niepowstrzymywani przez ból, uważali, że mogą wszystko.

Miał szczęście, że Tygiel przyjął go jako chłopca. Rygorystyczne szkolenie i ograniczenia narzucone przez bractwo prawdopodobnie ocaliły mu życie.

Nie dowiedziawszy się od swojej ofiary niczego więcej o bólu, zaczekał, aż recepcjonista – nigeryjski emigrant o skórze jak polerowany węgiel – przestanie wrzeszczeć i zacznie rozpaczliwie szlochać.

Kiedy Todor ze swymi ludźmi wszedł do hotelowego lobby, patykowaty recepcjonista rozmawiał przez telefon. Mówił coś szybko w swoim ojczystym języku, jakby się kłócił. Todor łatwo się do niego zbliżył. Czekając, aż tamten skończy rozmawiać, słuchał jego pogańskiego języka, zirytowany, że taki śmieć nawet się nie postarał w pełni zasymilować.

Zabrał rękę i nachylił się niżej, tak że niemal dotykał nosem tego *cabrón*.

– Jeszcze raz – powiedział powoli. – Wiemy, że ta kobieta tu jest. Powiedz nam, w którym pokoju.

Za plecami recepcjonisty Mendoza trzymał iPada, dzięki któremu wytropili swoje cele w tym nijakim hotelu na Pink Street w dzielnicy Cais do Sodr . Hotel stał w rzedzie podobnych do siebie przybytków, wszystkich z obłazującą farbą, popękany tynkiem i rozchwierutanymi żelaznymi balkonami, wychodzącymi na szereg zadymionych barów i klubów w piwnicach, w większości zamkniętych w wakacje.

Niestety, chociaż tracker GPS namierzył hotel, nie potrafił wskazać, gdzie w tym budynku zamelinowały się cele. Zatem należało o to zapytać. Zamknęli lobby, chociaż i tak nie było wielkiego ruchu ani tam, ani na ulicy. Todor zaciągnął recepcjonistę do biura na zapleczu i pokazał mu zdjęcie Mary Silviery.

– Ja... ja jej nie znam – wydyszał ponownie recepcjonista, trzymając się tej samej wersji.  
– Naprawdę. Przyszedłem na zmianę dopiero dziś rano.

Todor chwycił go za następny palec.

– Proszę, proszę, nie.

Zanim zdążył za niego szarpnąć, jeden z jego ludzi wpadł do biura. Ciągnął za sobą przerażoną młodą pokojówkę, trzymając ją za kark i wciskając jej pistolet w bok.

– *Familiares*, ona wie, gdzie ukrywa się czarownica.

Potrząśnięciem za szyję zmusił ją, żeby powtórzyła to, co wie.

Todor spojrzał na sufit.

Cztery piętra wyżej.

Przeniósł uwagę z powrotem na recepcjonistę i wyciągnął z buta nóż myśliwski.

Oczy młodego człowieka rozszerzyły się tak, że dookoła tęczywek ukazały się białka.

– Nie, proszę pana, nie. Mam żonę... dzieci...

Todor powoli uciszył te błagania, przeciągając nożem po gardle recepcjonisty.

Za nim huknął stłumiony wystrzał. Rozległ się łomot upadającego ciała.

Wielki inkwizytor wydał ścisłe rozkazy.

Żadnych świadków.

Jednak Todor ani na chwilę nie odrywał spojrzenia od oczu recepcjonisty. Chociaż nie mógł docenić bólu zadawanego przez nóż, rozumiał cierpienie na twarzy mężczyzny, kiedy życie i wszystkie jego obietnice odchodziły z ostatnim rżącym oddechem.

Wytarł nóż o koszulę recepcjonisty, schował go do pochwy i odwrócił się do swoich ludzi.

– *Maleficos non patieris vivere* – powiedział.

Wszyscy pokiwali głowami, dobrze zrozumieli rozkaz.

*Czarownicy żyć nie dozwolisz.*

## Godzina 14.58

No, pospiesz się, Mara...

Carly klęczała na jednym kolanie, zwijała kable i pakowała do kieszeni czarnej walizki stojącej na podłodze. Tuzin półprzewodnikowych twardych dysków wystawało z wyściełanych gniazd w środku. Podczas gdy Carly odłączała i chowała kable, Mara rozpoczęła proces zamykania urządzenia Xénese i przestawiania Ewy w stan drzemki. Nalegała, żeby poczekać na zakończenie podprogramu muzyki.

„Jeśli przerwiemy, możemy nieodwracalnie uszkodzić Ewę”.

Carly wiedziała, że urządzenie Xénese zawiera jedyną kopię programu Mary. Nic innego nie miało wystarczającej pojemności, żeby pomieścić unikatową świadomość kielkującą w świetlistej kuli. Jeśli chciały odkryć, co pierwsza inkarnacja Ewy wie o zamordowaniu matki Carly i pozostałych kobiet, potrzebowały tego programu nietkniętego.

Jednak...

– Przyspiesz to, Mara.

– Podprogram zakończony.

Mara wyrwała z laptopa kabel USB-C i rzuciła przyjaciółce. Kiedy ta zwijała kabel, Mara przycisnęła kciuk do skanera linii papilarnych na laptopie – po czym zaczęła wściekle stukać w klawiaturę.

– Co ty robisz?

– Kod wstrzymania. Żeby zamrozić Ewę. – Mara nagle zakląła i przeszła na swój ojczysty język. – *Aborto de calamar...*

Carly ukryła uśmiech, zatraskując walizkę z twardymi dyskami. Studiowała galicyjski dialekt Mary, żeby zbliżyć się do przyjaciółki. Czasami posługiwały się nim w miejscach publicznych, żeby zachować prywatność rozmowy. Ten zwrot – miejscowe przekleństwo – tłumaczył się z grubsza jako: „poroniony kalmar”. Dziwaczny sposób, żeby kogoś zbesztać, ale Carly była nim zauroczona – a jeszcze bardziej osobą przeklinającej.

– Co się stało? – zapytała.

– Spróbuj wpisywać dwudziestoznakowe alfanumeryczne hasło uwzględniające wielkość liter, kiedy panikujesz. Muszę zacząć od początku.

– Zrób sobie przerwę. Możesz...

Drzwi za plecami Mary otworzyły się z hukiem. Drzazgi z roztrzaskanej framugi pofrunęły przez pokój. Ogromny kształt wtargnął do środka. Wyciągnął ramiona po Marę, która odwróciła się ze zdławionym okrzykiem.

Carly zanurkowała na podłogę i chwyciła rączkę tytanowej walizki. Zamachnęła się i walnęła ciężką walizką w łokiec napastnika; ten pod wpływem ciosu szeroko rozłożył ramiona i stracił równowagę.

Za pierwszym mężczyzną do pokoju wpadli następni. Carly chwyciła przyjaciółkę i pociągnęła do otwartego okna. Jedyną drogą ucieczki były upstrzone graffiti schody pożarowe. Wypchnęła Marę przez parapet i razem wylądowały z trzaskiem na żelaznym balkonie.

Pod jej łokciem pękł biały spodeczek. Na balkonie nad nimi czarny kot zasyczał i plunął na niespodziewanych intruzów.

Oslaniając się metalową walizką jak tarczą, Carly popchnęła przed sobą Marę w dół po rozchwierutanych schodach. Z okna wystrzeliły ramiona. Palce sięgnęły po Carly i zaczepiły o rączkę walizki. Dziewczyna wolną ręką złapała porcelanową skorupę i przejechała ostrą krawędzią po knykciach napastnika.

Okrzyk zaskoczenia i była wolna. Pobiegła za Marą, biorąc po dwa stopnie naraz, skacząc z balkonu na balkon. Obie niemal sfruwały po schodach pożarowych, pędząc na łeb na szyję w dół, do ulicy.

W górze rozległ się strzał. Kula skrzesła iskry z żelaznej balustrady nad uchem Carly. Dziewczyna przykucnęła i usłyszała, jak ktoś krzyknął coś gniewnie po hiszpańsku, wyraźnie besztając strzelca.

Widocznie chcą nas wziąć żywcem, pomyślała.

Spojrzała na plecy swojej chryzostopej przyjaciółki i poprawiła się.

Nie, oni chcą wziąć żywcem Marę.

Wreszcie dotarły do ostatniego balkonu. Mara odczepiła drabinę i opuściła ją z grzechotem na wąską alejkę za hotelem.

– Dalej, dalej... – poganiała ją Carly, wyobrażając sobie mężczyzn obiegających hotel dookoła.

Zsunęły się po drabinie na ziemię i pobiegły za róg, na najbliższą ulicę. Po drugiej stronie jezdni ze schodów prowadzących do obskurnego baru w piwnicy wylewały się świąteczne melodie, tworząc absurdalną ścieżkę dźwiękową ich ucieczki.

– Taxi... – wydyszała Mara i wskazała na lewo, gdzie stała zaparkowana taksówka.

Pobiegły do niej, nie widząc innych samochodów na ulicy w to świąteczne popołudnie. Jakiś mężczyzna właśnie zamierzał wsiąść do samotnej taksówki.

Mara dopadła do niego i chwyciła otwarte drzwi.

– *Senhor, por favor.*

Mężczyzna widocznie zobaczył desperację w ich twarzach, bo odsunął się i pozwolił im wpakować się do samochodu.

– *Feliz Natal* – życzył im wesołych świąt i zatrzaskał za nimi drzwi.

Taksówka ruszyła ulicą, oddalając się od hotelu.

Carly z ulgą opadła na siedzenie, ściskając w objęciach walizkę. Obok niej Mara wyglądała przez tylną szybę ze zmartwioną, przestraszoną miną. Carly czuła to samo, bo wiedziała, co zostawiły podczas ucieczki.

– Nic nie można było poradzić – próbowała pocieszyć przyjaciółkę.

Mara odwróciła się z powrotem i wymamrotała:

– Co myśmy zrobiły?

## Godzina 15.06

Todor przykucnął i patrzył z podziwem na szklano-metalową kulę, spoczywającą w wyścielonym pojemniku. Stanowiła tylko połowę nagrody, na której zdobycie liczył, ale na razie musiała wystarczyć.

Za jego plecami Mendoza oglądał laptop, oceniając, czy można bezpiecznie przetransportować ich zdobycz. Reszta zespołu się rozproszyła, żeby dopaść dwie kobiety,

zanim opuszczą dzielnicę.

Czekając, aż pozostali się zgłoszą, Todor skupił uwagę na urządzeniu. Przez jego maleńkie okienka emanowała z wnętrza lazuruwa poświata, jakby w środku uwięziono skrawek nieba. Musiał przyznać, że ta kula ma w sobie pewne piękno.

Ale nie dał się omamić.

– *Ipse enim Satanas transfigurat se in angelum lucis* – szepnął do sfery, cytując z Drugiego Listu do Koryntian.

Mendoza wydał cichy okrzyk zdumienia.

Todor wstał i podszedł do technika.

– O co chodzi?

Technik odstąpił od laptopa i przesunął ręką po wypomadowanych czarnych włosach.

– To, co stworzono, jest po prostu *maravilloso*. Niech pan tylko spojrzy.

Todor przy swoim wzroście musiał się mocno nachylić, żeby popatrzeć na ekran laptopa. Widok przedstawiał bujny zielony las, pełen kwiatów, o podłożu porośniętym zroszonymi paprociami. Słońce lśniło na każdym liściu i płątku. Łagodny wietrzyk poruszał cienkie gałązki krzewu obsypanego jagodami. Obraz był tak idealny, że Todor niemal czuł zapachy unoszące się z tego ogrodu.

Jakbym zaglądał w zakątek Edenu.

I ten ogród nie był pusty.

Pośrodku tego wszystkiego poruszała się naga kobieta. Wsparłszy jedną dłoń na omszałym gładzie, schyliła się i delikatnie zerwała jeżynę z krzaka. Uniosła owoc do słońca, zanim włożyła go do idealnych ust. Przymknęła oczy, jakby rozkoszowała się smakiem. Todor przesunął wzrokiem po jej rzeźbionych kształtach, po skórze barwy ciemnej mokki, po piersiach bezwstydnie obnażonych.

– Na ile mogłem ustalić, nazwały ją Ewa – powiedział Mendoza.

Oczywiście!

Wyprostował się. Takie bluźnierstwo ograniczyło jego podziw.

– Co z czarownicą, która to wszystko stworzyła?

Z wyraźną niechęcią Mendoza spojrział na iPada leżącego obok laptopa.

– Według sygnału te dwie kobiety szybko się przemieszczają. Pewnie znalazły taksówkę.

– Śledź dalej ich trasę, kiedy będziesz przygotowywał wszystko do transportu.

– *Sí, Familiares*.

Todor po raz ostatni spojrział na ekran laptopa. Znał plany wielkiego inkwizytora wobec Xénese i abominacji w jej wnętrzu. Schwytanie czarownicy stanowiłoby bonus, jednak nie była niezbędnym elementem tego, co miało się stać.

Ponownie zachwycił go wspaniały widok na ekranie. Rzeczywiście *maravilloso*, jak powiedział Mendoza. Jednak Todor nie dał się omamić. Popatrzył na kobietę w ogrodzie. Znowu miała otwarte oczy i zdawała się patrzeć prosto na niego. Wiedział, co się kryje za blaskiem tych oczu.

Nie odwracając się od tego nieziemskiego spojrzenia, powtórzył wers z Drugiego Listu do Koryntian, zarówno jako przypomnienie dla siebie, jak i ostrzeżenie dla Mendozy, żeby powściągnął swój podziw.

– *Ipsse enim Satanas transfiguratur se in angelum lucis.*

Odtąd wszyscy będą musieli o tym pamiętać.

Po cichu powtórzył ten cytat jeszcze raz, tłumacząc w myśli łacinę.

Gdyż sam Szatan maskuje się jako anioł światła.

## Godzina 15.22

– Zdaje się, że złapali przynętę – powiedziała Carly.

Mara kiwnęła głową z chwilową ulgą. Ona i Carly ukryły się w zadymionym wnętrzu piwnicznego baru. Cuchnęło tam tytoniem i paczulą. Zachrypnięta stara szafa grająca wyrzucała z siebie blaszane tony świątecznej kolędy.

Dziewczyny wyglądały przez zalepione brudem okno. Wcześniej Carly stanęła na palcach i łokciem żakietu wytarła róg szyby, wystarczająco, żeby zobaczyć różowy chodnik Pink Street i front hotelu. Kiedy wsiadły do taksówki, Mara kazała kierowcy przejechać kilka przecznic, a potem się zatrzymać. Zanim wysiadły, wsunęły tracker GPS wielkości monety pod tapicerkę siedzenia. Taksówka odjechała z trackerem, a one ostrożnie wróciły na piechotę okrężną drogą i przez wąskie alejki dotarły do baru naprzeciwko hotelu.

Przez brudną szybę Mara patrzyła, jak dzieło jej życia ładują do furgonetki zaparkowanej przed frontem hotelu. Nic nie mogła zrobić, żeby powstrzymać kradzież. Nawet gdyby namówiły barmana, żeby pozwolił im skorzystać z telefonu w lokalu, policja nie zdążyłaby przyjechać na czas. A żadna z nich nie odważyła się użyć własnego telefonu komórkowego, wiedząc, że w ten sposób ujawniłyby swój podstęp i znowu znalazły się na radarze wroga.

Carly przyłożyła barową serwetkę do kamiennej ściany i zanotowała numer rejestracyjny furgonetki. Szturchnęła łokciem Marę, żeby ta się przesunęła, po czym wyteżając wzrok, wyrzała przez oczyszczony kawałek szyby i zakłęła pod nosem.

– Co? – zapytała Mara.

– Pod tym kątem nie widzę ostatnich trzech cyfr.

Mara zmarszczyła brwi.

– Może wystarczy to, co masz.

Planowały zaczekać, aż tamci odjadą, a potem zawiadomić policję i ukrywać się tutaj, dopóki władze się nie zjawią. Dopiero wtedy wyszłyby z ukrycia. Liczyły, że policja wytropi furgonetkę po numerach rejestracyjnych i zatrzyma ludzi odpowiedzialnych za zamordowanie matki Carly i czterech pozostałych kobiet z Bruxas.

Mara wiedziała jednak, że nie to było najważniejsze w ich planie.

Wyobraziła sobie Ewę w jej ogrodzie.

– Odjeżdżają – oznajmiła Carly. – Chodź. Potrzebuję reszty tego numeru rejestracyjnego.

Wyszły z baru, ale trzymały się blisko otwartych drzwi. Sześć stopni prowadziło na poziom ulicy. Dla ostrożności nie weszły wyżej, tylko wychyliły głowy, żeby dojrzeć całą tablicę rejestracyjną odjeżdżającej furgonetki.

– Mam ją – rzuciła Carly i gestem kazała przyjaciółce wracać.

Kiedy ponownie sprawdzała nabazgrane na serwetce cyfry i litery, Mara tyłem cofnęła się do baru. Przekraczając ciemny próg, poczuła zawirowanie w zadymionym powietrzu, jakiś cień wyrastający za jej plecami.

Spróbowała się uchylić.

– Car...

Na jej ustach zacisnęła się ogromna dłoń. Grube ramię objęło ją w talii. Ktoś inny wymierzył pistolet w pierś Carly. Oczy Mary rozszerzyły się ze strachu.

– *No te muevas* – ostrzeżono je.

Nie ruszać się.



## 12

Plainsboro, stan New Jersey, USA

25 grudnia, godzina 11.02 czasu miejscowego

Wyczerpany i przybity Monk trzymał Kat za rękę w jeszcze jednym szpitalnym pokoju. Jej skóra robiła się blada, krew odpłynęła z warg, nawet pojedynczy kasztanowy lok wystający spod szpitalnego czepka wydawał się płaski i bezbarwny, stracił połysk i żywy odcień.

Monk wyciągnął rękę i uwolnił zabłąkane pasemko włosów, które pot przylepił do czoła żony. Owinął włosy wokół palca, żeby znowu się kręciły, po czym delikatnie je odłożył.

Proszę, piękna jak zawsze.

Jednym uchem nieustannie nasłuchiwał tykania, pomrukiwania i popiskiwanie aparatury monitorującej jej czynności życiowe. Starał się pogodzić zarówno z diagnozą, jak i z prognozą. Zespół w laboratorium RM ustabilizował Kat po ataku i pospiesznie przeniósł ją na OIOM. Przez godzinę Monk mógł tylko krążyć po korytarzu i czekać na wiadomość, czy stracił miłość swojego życia i matkę swoich dzieci.

Lisa dotrzymywała mu towarzystwa najlepiej, jak mogła.

W końcu Grant i kilku innych lekarzy ogłosili werdykt. Kat chwilowo była stabilna. Krwotok w mózgu zmniejszył się na tyle, że uznali, iż operacja stanowiłaby zbyt duże ryzyko. Przekazali również ponurą nowinę, że pacjentka już nie oddycha samodzielnie i jest całkowicie uzależniona od respiratora. Co najgorsze, chwile przytomności widoczne na wykresie EEG zniknęły, co wskazywało, że Kat nie jest już świadoma swojego otoczenia.

„Może tak lepiej dla niej”, oznajmił uroczyście lekarz z OIOM-u.

Monk miał ochotę walnąć go w nos. Jakby wyczuwając jego zamiary, Lisa mocno ścisnęła jego protezę. No i dobrze. Jego hardware stać było na więcej niż zwykły cios. Oprócz zaawansowanej technologii wbudowanej w rękę miał też mały pakiecik wybuchowego plastiku, podłączony do wnętrza dłoni jako zabezpieczenie na te specjalne okazje, kiedy uścisk dłoni nie wystarczał.

Lisa ciągle trzymała go za rękę, tyleż pocieszając przyjaciela, co powstrzymując go, kiedy personel medyczny kończył sprawozdanie. Według jednomyślnej opinii stan Kat pogorszył się, przechodząc z pseudośpiączki z zespołem zamknięcia do pełnej śpiączki.

– Nie możemy zrobić nic więcej – zakonkludował Grant. – Odtąd pozostaje tylko czekać.

Monk wyczuł, że lekarz nie ma raczej na myśli czekania na wyzdrowienie Kat, tylko na jej śmierć.

Albo może czekają, żebym się pogodził z nieuniknionym.

Poklepał żonę po ręce.

– Ale wiesz, jaki bywam uparty. Kiedy to ja się poddałem?

Jego telefon zadzwonił i zawibrował na stoliku nocnym, sygnalizując pilne połączenie. Monk chwycił go, zobaczył, że dzwoni Sigma, i szybko odebrał.

– Czego się dowiedzieliście?! – krzyknął, gdy tylko usłyszał głos dyrektora Crowe'a.

Wysłał już wcześniej informację uzyskaną od Kat – prawdopodobnie ostatnią, jaką przekazała, kluczową dla misji. Jedno nazwisko: Wala Michajłowa. Dawna zabójczyni Gildii porwała jego dzieci i Seichan.

– Monk, musisz się przygotować na najgorsze – odpowiedział Painter niepokojąco suchym tonem.

Serce Monka zamarło. Tysiąc scenariuszy – wszystkie brutalne – wypełniło mu głowę. Ledwie zdołał zaczerpnąć tchu na tyle, żeby zapytać:

– O co chodzi?

– Dziesięć minut temu dostaliśmy nagranie. Źródło nie do wykrycia. Wysłałam ci na telefon.

Monk mocniej ścisnął aparat w garści, jego pole widzenia zawężyło się do małego ekranu.

– Czy one nie żyją? Powiedz mi.

– Nie. Obejrzyj. Powinieneś już dostać plik.

Na ekranie wyskoczył folder i Monk stuknął w niego palcem. Ekran pociemniał, kiedy zaczęło się nagranie. Film pokazywał jakieś nieokreślone wnętrze tonące w czerni. Widoczne były trzy osoby. Dwie kryły się pod obszernymi płaszczami z kapturami, całkowicie maskującymi rysy i płeć. Jedna stała bliżej kamery, druga siedziała dalej na stolku. Na kolanie tej drugiej siedziała mała figurka w zielonym pajacyku, z rudymi lokami o kilka odcieni jaśniejszymi od włosów Kat.

– Harriet...

Bliższa postać przemówiła głosem robota, mechanicznie zniekształconym i modulowanym, zmieniającym się upiornie i nieustannie.

– Daję wam dwadzieścia cztery godziny na zabezpieczenie i dostarczenie projektu Xénese Mary Silviery. Neuromorficznej sfery oraz programu w środku. W tym pliku jest zakodowana lokalizacja miejsca dostawy w Hiszpanii. Jeśli nie wykonacie polecenia... – Mówiący odwrócił się do Harriet, której uszy na szczęście zasłaniały słuchawki, więc dziewczynka nie słyszała następnych słów. – Po tym terminie zacniemy od palca i wyślemy go wam. Co sześć godzin następny. Potem uszy, nos, wargi. Okroimy tę dziewczynkę do kości.

Mężczyzna znów odwrócił się do kamery.

– Potem weźmiemy się za drugie dziecko.

W którymś momencie Monk wstał, sztywny ze zgrozy. Nie mógł nawet mówić. Wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby. Zimny pot wystąpił mu na skórę.

Painter, zapewne przewidując jego reakcję, rzucił mu linę ratunkową.

– Dzięki Kat mamy jedną przewagę. Postacie na nagraniu były zamaskowane, czyli Wala nie zdaje sobie sprawy, że wiemy, kto stoi za porwaniem.

Z piersi Monka wyrwał się chrapliwy oddech, przywracając mu głos.

– Jak daleko zaszliśmy w tropieniu jej?

– Pracujemy nad tym – odparł Painter. – Ale musimy zachować ostrożność. Jeśli roześlemy jej zdjęcie po całym północnym wschodzie kraju, dowie się, że ją zdemaskowaliśmy. Stracimy tę niewielką przewagę. Więc działam dyskretnie, tylnymi kanałami, i werbuję tylko najbardziej zaufanych.

Monk rozumiał, ale zżymał się na te ograniczenia. Nie mógł przestać myśleć o twarzy Harriet na wideo, jej rysach ściągniętych znajomą mieszanką strachu i gniewu.

– Używamy również najnowszego software'u DARPA – ciągnął Painter – żeby przeszukiwać nagrania z kamer bezpieczeństwa i kontroli ruchu. Niestety, Wala utrudniła nam zadanie, bo udało jej się oślepić kamery w domu Graya i w okolicy. Niemniej rozciągamy coraz szerszą siatkę przez Waszyngton i dalej, żeby ją znaleźć.

Monk pokręcił głową, nie wierząc, że ten plan się uda.

– Ta błada wiedźma to mistrzyni kamuflażu.

– To prawda, ale mamy najnowocześniejszy software rozpoznawania twarzy. Większość algorytmów wyszukuje najwyżej kilkanaście najważniejszych rysów, żeby zidentyfikować cel. Najnowszy program DARPA znajduje ponad setkę. Potrafi przejrzeć makijaż, protetykę, nawet zmiany chirurgiczne twarzy. Jeśli ta Rosjanka się pokaże... w przebraniu czy bez... zobaczymy ją.

Ściskając telefon żelaznym uchwytem, Monk zanotował w pamięci czas. W jego głowie zegar już tykał. Mniej niż dwadzieścia cztery godziny. Próbował sobie nie wyobrazić, jak ktoś przytrzymuje cienki nadgarstek Harriet na kłocu do rąbania drewna, świst opadającej maczety, jej krzyk...

– Technicy skończyli przeczesywać dom Graya – dodał Painter. – Porządkują ślady krwi, w większości pochodzące od napastników, całkiem sporo.

Monk spojrzał na Kat.

Dobra robota, skarbie.

– Analizujemy już DNA, licząc na identyfikację kogoś jeszcze... innych z zespołu Wali... żeby rozszerzyć poszukiwana. Jednak...

Painter urwał. Nie musiał mówić dalej.

– Raczej nie znajdziemy Wali w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin – dopowiedział Monk.

Teraz już mniej niż dwadzieścia cztery godziny.

– Nie – przyznał Painter. – Jedyna szansa, to gdyby Kat wiedziała coś więcej, co pozwoliłoby zawęzić parametry poszukiwań.

Monk popatrzył na zapadniętą twarz żony, na mechaniczne unoszenie się i opadanie jej klatki piersiowej. Powędrował wzrokiem od szpitalnego czepka, zakrywającego siatkę elektrod EEG na jej czaszce, wzdłuż kabla aż do monitora. Przez ekran przebiegały zygzakowate linie, sejsmiczna skala Richtera jej neurologicznej aktywności. Podczas przeglądania tych odczytów doktor Grant mruknął do kolegi, przesuwając palcem po jednej linii na ekranie: „Zwróć uwagę na niskie napięcie z tłumieniem impulsów”.

Tłumaczenie: *Kat już tam nie ma.*

– Dała nam wszystko, co mogła – odparł Monk.

– Lisa myślała, że może...

– Co? Więcej czasu? Do cholery z tym. Czas Harriet się kończy. To samo z Penny i Seichan. – Przypomniawszy sobie o dziewczynie Graya i nienarodzonym dziecku, Monk odstąpił od łóżka Kat, wiedząc, że tu nic więcej nie może już zrobić. – Dołączę do Graya, gdzie przynajmniej będę mógł zrobić coś pożytecznego.

Albo w ogóle coś zrobić.

Monk skończył z czekaniem.

Zapadło długie milczenie. Monk przygotował się wewnętrznie do kłótni z dyrektorem, zamierzając bronić swojej sprawy. Jeśli nie uda im się znaleźć Wali, największą szansą dla porwanej trójki będzie zabezpieczenie zaginionej technologii.

W końcu Painter się odezwał:

– W bazie lotnictwa marynarki wojennej w Lakehurst tankuje F-piętnaście eagle. Helikopterem możesz dolecieć do bazy w dwadzieścia minut.

Monk nie powinien się dziwić. Oczywiście dyrektor – przenikliwy znawca charakterów – przewidział jego reakcję i załatwił już transport.

– Gray powinien wylądować w Lizbonie za godzinę – dodał Painter. – Skoordinuję wasze spotkanie, kiedy doleczysz na miejsce. Ale wiesz, jaka jest stawka? Nigdy nie możemy oddać tej technologii Wali.

– Zrozumiano. Tylko że bez tej technologii nie mamy żadnych możliwości nacisku.

– Więc skoro się zgadzamy, rusz tyłek.

Zdecydowany to zrobić, Monk rozłączył się, podszedł do Kat i pocałował ją w policzek. Mimo potrzeby pośpiechu zwlekał, wyczuwając, że to ostatni raz, kiedy może pocałować żonę.

Wiedział jednak, że ona chciałaby, żeby działał.

Przysunął usta do jej ucha.

– Uratuję je. Przysięgam.

Wyprostował się i otarł łzy z kącików oczu – po czym ruszył do drzwi. Na korytarzu dostrzegła go Lisa. Oderwała się od doktora Granta, z którym najwyraźniej prowadziła ożywioną rozmowę.

Podbiegła do Monka.

– Dokąd...?

– Do Portugalii. Pomóc Grayowi w poszukiwaniach.

Lisa zerknęła na pokój Kat. Policzki Monka zapłonęły na myśl, że dla niej to wygląda tak, jakby opuszczał żonę.

– Rozumiem. Powinieneś jechać – powiedziała, okazując się równie dobrym sędzią charakterów jak jej mąż. – Painter właśnie wysłał mi esemesa... o wideo. Nie mogłam go oglądać.

– Muszę zrobić, co mogę – oświadczył Monk.

– Oczywiście. – Współczująco ścisnęła jego przedramię. Popatrzyła na neurologa, potem znowu zajrzała do pokoju Kat. – W czasie twojej nieobecności możemy jeszcze czegoś spróbować. Czegoś wysoce eksperymentalnego. To jej nie wyleczy, ale może...

Monk wyrwał się z jej uścisku.

– Rób, co uważasz za najlepsze, Liso. Ufam ci.

– Tak, ale...

Wyminął ją.

– Po prostu to zrób.

Ruszył dalej korytarzem. Nie potrzebował fałszywej nadziei. Potrzebował skupić się na następnym kroku... i następnym. Każdy krok oddalał go od Kat, ale – miejmy nadzieję – przybliżał do uratowania córeczek... i Seichan.

Wiedział, że Gray tak samo umiera ze strachu o nią i jego nienarodzone dziecko.

Jednak...

Gray, potrzebuję cię w najlepszej formie, pomyślał.

Monk wyobraził sobie przestraszoną twarz Harriet.

Wszyscy potrzebujemy.

**CZĘŚĆ TRZECIA**  
**W PRZEDEDNIU DESTRUKCJI**

$\Sigma$

Lizbona, Portugalia

25 grudnia, godzina 17.05 czasu miejscowego

W odległym zakątku lizbońskiego lotniska Gray kucał przed otwartymi drzwiami skrytki bagażowej. Segregował przechowywany tam arsenał broni dostarczonej przez Paintera.

Przechowalnia bagażu – długie, wąskie pomieszczenie odchodzące od głównej hali – była pusta. Jednak masywna sylwetka Kowalskiego zasłaniała poczynania Graya przed pasażerami w terminalu i samotną kamerą ochrony. Ze względu na celników i podwyższone przepisy bezpieczeństwa na lotnisku musieli zostawić osobistą broń na pokładzie odrzutowca.

Gray wsunął nowego sig sauera P365 do kabury za paskiem na plecach, schowanej pod kurtką. Niewielki dziewięciomilimetrowy półautomatyczny pistolet był idealną ukrytą bronią. Jason włożył identyczny pistolet do podramiennej kabury pod swetrem. Broń wyposażono w celowniki noktowizyjne oraz powiększone magazynki, mieszczące dwanaście nabojów plus jeden w lufie.

W sumie trzynaście strzałów.

Zwykle taką liczbę uważano za pechową, ale kiedy dochodziło do wymiany ognia, te dodatkowe strzały mogły stanowić o różnicy między życiem a śmiercią.

Więc z pewnością nie przynoszą pecha.

Kowalski cicho zagwizdał z aprobatą, kiedy Gray podał mu jego broń.

– Wesołych świąt dla mnie. I nie musiałem siadać Mikołajowi na kolanach.

Czarny FN-P90 był skróconym pistoletem maszynowym wykorzystywanym przez NATO, z możliwością przełączania z ognia pojedynczego na serie albo na tryb pełnej automatyki, zdolnym wystrzelić dziewięćset nabojów na minutę. Pociski 5.7x28 mm mogły przebić kevlar. Jednak dzięki kompaktowej konstrukcji – zaledwie pięćdziesiąt centymetrów długości – stosunkowo łatwo było go ukryć.

Kowalski zsunął z jednego ramienia długi skórzany płaszcz, zawiesił pistolet przy boku i poklepał go czule.

– Tego szczeniaczka chętnie nakarmię.

Gray podał mu ciężką torbę z dodatkowym pudełkiem magazynków, każdy na pięćdziesiąt nabojów, mnóstwo pokarmu dla głodnego szczeniaka.

Olbrzym z powrotem narzucił płaszcz i poruszył ramionami, żeby wszystko się ułożyło. Długie do kostek okrycie mogło pomieścić tyle broni, że wystarczyłoby do inwazji na jakieś państewko Trzeciego Świata.

– Co teraz? – zapytał.

Gray wręczył Jasonowi torbę zawierającą więcej sprzętu, włącznie z noktowizorami, po czym wstał.

– Painter umówił nas na spotkanie z rodziną doktor Carson... z jej mężem i córką Laurą. Żeby sprawdzić, czy nie otrzymali jakichś nowych wiadomości od tych dwóch młodych kobiet.

Od Mary Silviery i Carly Carson.

Mógł tylko wyobrażać sobie rozpacz tej rodziny. Najpierw zamordowano panią ambasador, potem jej córka została napadnięta na lotnisku i musiała uciekać. Zresztą wcale nie musiał sobie wyobrażać ich stresu i przerażenia. Sam ze wszystkich sił starał się stłumić niepokój o Seichan, swoje dziecko i córeczki Monka, ale to przypominało próby zamknięcia w klatce dzikiego psa. Serce wciąż go bolało, nie w przenośni, tylko dosłownie. Przy każdym oddechu czuł ucisk w piersi.

Wiedział, że Monk cierpi równie mocno – albo bardziej – balansując na ostrzu brzytwy. Dyrektor Crowe przekazał Grayowi najnowsze wiadomości ze Stanów, o bladej wiedźmie Wali Michajłowej i pogarszającym się stanie Kat.

Nie mogąc zrobić nic więcej, Monk leciał już do Portugalii na pokładzie naddźwiękowego F-15, dwukrotnie przekraczającego prędkość dźwięku. Nawet z tankowaniem w powietrzu miał wylądować w Lizbonie za niecałe dziewięćdziesiąt minut.

Gray zamierzał uzyskać jakieś odpowiedzi, zanim przyjaciel dotrze na miejsce.

Kiedy weszli na lotnisko, Jason sprawdził swój telefon.

– Nie ma nowych wiadomości od Paintera. Ale ktoś z ochrony Carsonów spotka się z nami w Terminalu Jeden i zaprowadzi nas do nich.

Szybkim krokiem ruszyli w stronę wyznaczonego miejsca spotkania. Gray prowadził, starając się nie przyciągać niepożądanego uwagi zaferowanych podróżnych. Jednak kilka osób odwróciło się, kiedy przechodzili, i odprowadziło ich wzrokiem – a raczej olbrzymami za Grayem. Kowalski w żadnym razie nie wtapiał się w tłum. Na dodatek usiłował odwinąć z celofanu cygaro, kiedy przepychali się wśród ludzi.

– Tu nie wolno palić – ostrzegł go Jason; wyglądał przy tym jak mysz strofująca słonia.

– Wiem, do cholery. – Kowalski wreszcie ściągnął celofan i zagryzł cygaro w trzonowcach. – Nikt mi nie zabroni posmakować tej pięknotki.

Gray wiedział, że lepiej nie wchodzić między wielkoluda a jego namiętność do suszonych tytoniowych liści. Przed nimi jakaś ręka uniosła się nad tłumem i usłyszał swoje nazwisko wywołane pełnym autorytetu głosem.

– Komandor Pierce!



Gray i jego towarzysze ruszyli w tamtą stronę. Wołający miał na sobie elegancki granatowy garnitur, białą wykrochmaloną koszulę, cienki czarny krawat – praktyczny uniform funkcjonariusza ochrony, włącznie z douszną słuchawką, której przewód ginął pod marynarką.

– Agent Bailey – przedstawił się z lekkim irlandzkim akcentem. – Kierownik służby DSB Carsonów.

Gray uściśnął rękę agenta Dyplomatycznej Służby Bezpieczeństwa. Czarne włosy agenta, równie nieskazitelne jak garnitur, przycięte krótko nad uszami i dłuższe na czubku głowy, były starannie uczesane, każdy włoszek na swoim miejscu. Cerę miał świeżą, opalenizna na jego twarzy wyglądała naturalnie. Zielone oczy błyszczały inteligencją. Wargi drgnęły lekko z rozbawieniem, zapewne kiedy przesunął wzrokiem po potężnej sylwetce Kowalskiego.

Po latach służby w terenie Gray potrafił ocenić przeciwnika od pierwszego wejrzenia. Wyczuł pewność siebie i kompetencję agenta i już szanował tego mężczyznę, zapewne swojego rówieśnika. Nawet błysk rozbawienia wydawał się znajomy, swobodny, jakby znali się od lat.

Bailey nie tracił jednak czujności; zwracał uwagę na wszystko dookoła.

– Nie wiem, czy was poinformowano, ale dwadzieścia minut temu przenieśliśmy Laure i Dereka – powiedział.

Gray zerknął na Jasona, a ten pokręcił głową. To było coś nowego.

– Po próbie ataku na lotnisku agencja uznała, że najlepiej zmienić lokalizację, przenieść tych dwoje gdzieś w bezpieczniejsze miejsce. Zostawiliśmy tu innych agentów na wypadek, gdyby Carly i jej przyjaciółka wróciły.

Sprytnie, uznał Gray. Ten facet wiedział, jak kierować operacją.

– Mam samochód na jałowym biegu przy krawężniku. Możemy być w bezpiecznym domu za dziesięć minut.

Gray docenił sprawność i szybkość ich kontaktu. Wolał nie zwlekać, zwłaszcza teraz.

– Chodźmy.

Bailey wyprowadził ich z terminalu w zamierające światło dnia. Słońce tkwiło ponuro na horyzoncie, jakby rozczarowane zakończeniem świąt. Przy krawężniku czekał biały nieoznakowany ford econoline. Gray przypomniał sobie luksusowe wnętrza cessy. DSB widocznie nie dysponowała takimi funduszami jak Sigma.

Agent Bailey odsunął boczne drzwi, pokazał kierowcy podniesiony kciuk i gestem zaprosił ich do środka. Kowalski zajął całe tylne siedzenie ze względu na swoje rozmiary i ukrytą broń. Gray i Jason usiedli w dwóch fotelach za kierowcą.

Bailey obszedł furgonetkę i usiadł obok kierowcy. Potem odwrócił się i wycelował w Amerykanów duży pistolet. Błysk rozbawienia w jego oczach zamigotał jaśniej.

– Nie ruszać się.

## Godzina 17.14

Mara chodziła tam i z powrotem po ich luksusowej celi. Chociaż nie mogła uciec, ruch pomagał jej opanować przerażenie – ale nie do końca.

Carly siedziała na krawędzi szerokiego łóża z czterema kolumnkami, nakrytego jedwabną kołdrą i zarzuconego poduszkami. Jediną oznaką jej niepokoju było podskakujące kolano. Omiotła spojrzeniem pokój.

– Przynajmniej szarpnęli się na penthouse.

Mara rozejrzała się i zauważyła zabytkowe krzesła, francuskie biureczko i kosztowne obrazy na ścianach. Jeden olej wyglądał na dzieło sławnego miejscowego artysty, Pedra Alexandrina de Carvalho. Przedstawiał świętego Tomasza badającego ranę w boku Chrystusa, z twarzą ściągniętą bolesnym zwątpieniem.

To niedowierzanie i podejrzliwość przemawiały do niej, pasowały do ich sytuacji.

Czy to przeżyjemy?

Zmuszone pod groźbą broni wrócić z ulicy do baru, zostały następnie brutalnie zaciągnięte do tylnych drzwi. Barman nie zwrócił uwagi na ich porwanie, tylko dalej wycierał kieliszek. Widocznie mu zapłacono, żeby patrzył w drugą stronę. Mara zauważyła jednak grymas na jego twarzy, świadczący o wyrzutach sumienia – chociaż niewystarczających, żeby przeszkodzić w wyprowadzeniu ich na zewnątrz i wepchnięciu do furgonetki zaparkowanej w alejce.

– Współpracujcie, to nic wam się nie stanie – ostrzegł mężczyzna z bronią, zanim zatrzasnął drzwi.

Nie miały wyboru, więc posłuchały.

Po krótkiej jeździe zatrzymali się w następnej alejce, odchodzącej od Praça de São Paulo. Mara przelotnie dostrzegła fontannę na placu Świętego Pawła, usłyszała plusk wody, zobaczyła bliźniacze kwadratowe wieże kościoła pod tym samym wezwaniem. W duchu pomodliła się do świętego Pawła o wstawiennictwo, o ratunek.

Widocznie modlitwa nie została wysłuchana, bo zaprowadzono je do wysokiego budynku graniczącego z placem. Architektura była typowo pombalińska, nazwana od markiza de Pombal, który przebudował znaczną część Lizbony po trzęsieniu ziemi w 1755 roku. Praktyczny neoklasycyzyzm zrodził się z konieczności obniżenia kosztów. Jednak proste linie i niewiele ozdób przemawiały w czasach nowej epoki oświecenia, kiedy Europa wyrastała z ekstrawagancji rokoka i dojrzywała do czegoś bardziej racjonalnego. Pombalińską architekturę charakteryzowały arkady sklepów na parterze i trzy albo cztery kondygnacje mieszkalne na górze.

Mara wiedziała wszystko o tym okresie, ponieważ jej miejscowa mentorka – Eliza Guerra, kierowniczka Biblioteki Joanina – nalegała na wszechstronną edukację, włącznie z historią, zwłaszcza historią Portugalii i reszty Półwyspu Iberyjskiego, z której bibliotekarka była słusznie dumna.

To wspomnienie niewyczerpanego entuzjazmu Elizy – dla wiedzy, dla życia w całej jego wspaniałości i tajemniczości – dało Marze siłę, żeby wejść za Carly po schodach do apartamentu na najwyższym piętrze, gdzie zamknięto je w sypialni na tyłach. Przy wyjściu postawiono strażnika i drugiego na balkonie, za oszklonymi drzwiami.

Od tego czasu minęła już ponad godzina.

– Mara – odezwała się Carly – proszę, przestań wydeptywać dziury w dywanie. Wygląda na kosztowny. Lepiej nie wkurzajmy gospodarzy.

Mara skrzyżowała ramiona na piersi, podeszła do łóżka i usiadła obok przyjaciółki.

– Jak myślisz, co oni robią?

– Pewnie próbują zdecydować, co z nami zrobić – odparła Carly, patrząc na drzwi. – Czy warto nas trzymać.

Trzymać nas przy życiu, dopowiedziała sobie Mara i wzięła przyjaciółkę za rękę. Nie zrobiła tego ze strachu ani z potrzeby pocieszenia. To się po prostu wydawało... właściwe, naturalne w takiej chwili.

Carly lekko ścisnęła jej dłoń.

– Pewnie sprawdzają to, co jest w twojej walizce – powiedziała, z roztargnieniem gładząc kciukiem nadgarstek Mary. – Wszystkie te twarde dyski. Na pewno liczyli, że mamy ze sobą Xénese. Mamy największe szanse zachować życie, jeśli ich przekonamy, że możemy to odtworzyć.

Wcześniej obie doszły do wniosku, że ich porywacze to jakaś inna frakcja, nie ci, którzy zabili matkę Carly i pozostałe kobiety z Bruxas, tylko konkurencja. Widocznie rozeszła się wieść o cennym łupie, który Mara zabrała z uniwersytetu.

Zleciały się inne sępy.

– Myślisz, że będą nas torturować? – zapytała Mara.

– Nie.

Odetchnęła z ulgą, ale Carly jeszcze nie skończyła.

– Będą torturować mnie, żeby zmusić ciebie do współpracy.

Mara zacisnęła palce na jej dłoni.

Carly patrzyła przed siebie oczami szklistymi od powstrzymywanych łez. Oblizła wargi, jakby chciała coś powiedzieć.

Mara czuła się tak samo. Znały się przez pół dekady, w okresie kształtowania osobowości, od szesnastego roku życia do teraz, kiedy obie dojrzewały i zmieniały się w kobiety. W przeszłości rozmawiały ze sobą swobodnie, chociaż zwykle przez telefon; wysyłały długie maile albo wymieniały emocjonujące SMS-y. Głównie był to związek na odległość, ale świat bardzo zmalał. Korespondencyjni przyjaciele nie musieli już czekać tygodniami czy miesiącami na odpowiedź.

Jednak oddzielone oceanem, rzadko się widywały. Ich przyjaźń, ich związek, ich głębokie przywiązanie zrodziły się głównie z wymiany myśli, marzeń, lęków i nadziei.

Mara spojrzała na Carly, na koronę loków nad jej czołem. Gdyby tylko zdobyła się na odwagę, żeby teraz przemówić, żeby wypełnić ostatnią dzielącą je przepaść, żeby wypowiedzieć to, co nie zostało wypowiedziane.

Czekała zbyt długo.

Carly schyliła głowę, trochę nieśmiało, i spojrzała w stronę drzwi. Zadała pytanie, które dręczyło je obie:

– Kim są ci dranie, do cholery?

## Godzina 17.18

Gray rozważał możliwości.

Spoglądał na srebrny pistolet Desert Eagle celujący mu w twarz i wyobrażał sobie, że jest nabity amunicją kalibru .357 albo .44 magnum. Właściciel tej broni, który spoglądał spokojnie i rzeczowo, nie zawracałby sobie głowy mniejszą pukawką. Na domiar złego Gray dosłownie siedział na własnym pistolecie. Kowalski, ściśnięty z tyłu, z pewnością nie mógł wydobyć karabinka. A Jason już podniósł ręce.

Bailey, jeśli tak się naprawdę nazywał...

– Nazywam się Finnigan Bailey – oznajmił porywacz. – Ale przyjaciele mówią do mnie Finn.

– Nie licz, że będę tak do ciebie mówił – odparł Gray. – I niech zgadnę. Nie jesteś z DSB.

– Niestety, nie mam zaszczytu należeć do tak znakomitej firmy. Ale pracuję dla organizacji zapewne równie oddanej swym celom. Może nawet bardziej.

Gray domyślił się z jego irlandzkiego akcentu, że ten człowiek jest członkiem Nowej Irlandzkiej Republikańskiej Armii, najnowszego wcielenia IRA. Wyglądało na to, że organizacje terrorystyczne wszelkiego rodzaju wyłażą z ukrycia, zwabione potencjalną wartością dzieła Mary Silviery.

Bailey podniósł wolną rękę do szyi, rozluźnił krawat i rozpiął dwa górne guziki koszuli, odsłaniając swoją prawdziwą przynależność. Pod koszulą miał drugą, cieńszą i czarną, z białym paskiem księżowskiej koloratki.

Gray nie zdołał ukryć szoku.

To nie może być prawda.

Porywacz opuścił broń.

– Przepraszam za to, ale jesteście uzbrojeni i nie mogłem ryzykować, że zrobicie coś pochopnie.

– O zesz kur... – Kowalski ugryzł się w język.

Bailey udał, że nie słyszy.

– Musiałem was wydostać z lotniska w taki sposób, żeby każde wścibskie oczy zobaczyły to samo co wy.

Jason opuścił ręce na kolana.

– Że jedziemy z ochroną Carsonów na spotkanie z mężem i córką zabitej ambasador.  
– Więc dokąd jedziemy, jeśli nie tam? – zapytał Gray.  
– Zabieram was do panny Silviery i panny Carson. – Głos mu stwardniał, spoważniał. – Będą potrzebowały waszej pomocy. Mam tylko nadzieję, że wasza pomysłowość okaże się nie gorsza od waszej reputacji.

Gray usiłował się połapać w tych szybkich zmianach sytuacji.

Czy mogę zaufać temu facetowi? Skąd w ogóle wiadomo, że jest księdzem?

Bailey chyba odczytał jego wątpliwości.

– Zapewniam was, że jestem ojciec Bailey. – Znowu ten błysk w jego oku. – Czy ksiądz by kłamał?

Kowalski prychnął.

– A czy ksiądz by celował z cholernejszej broni w czyjąś głowę?

– Nigdy bym do was nie strzelił, nawet w samoobronie.

– Teraz to mówisz – burknął Kowalski. – O mało się nie zes... nie miałem wypadku.

Gray nachylił się do przodu, wciąż podejrzliwy.

– Kim jesteś? Co się dzieje?

Furgetka zwolniła i zatrzymała się przed frontem wysokiego budynku na obrzeżach placu. Bailey kiwnął głową w stronę domu.

– W środku wyjaśnię wam sytuację. Wyłożę wszystkie karty na stół. – Jego zielone oczy wciąż błyszczały rozbawieniem. – Dosłownie.

## Godzina 17.35

Carly usłyszała szczęk zamka w drzwiach i wstała z łóżka. Zaciśnęła pięść i zrobiła krok do przodu, żeby stanąć między Marą a tym, kto wejdzie. Napięła zakroczną nogę i przesunęła ciężar ciała, gotowa kopnąć, gdyby dano jej szansę.

Mara stanęła za nią.

– Cofnij się – ostrzegła ją przyjaciółka.

Drzwi się otworzyły i z prostokąta jaśniejszego światła wyłoniła się jakaś postać. Mężczyzna wszedł do pokoju, wyciągając przed siebie puste dłonie. Carly uniosła brwi, nic nie rozumiejąc. Wysoki przybysz był cały w czerni: buty, spodnie, pasek, koszula. Jedynym wyjątkiem był błysk bieli pod podbródkiem – koloratka.

Ksiądz?

Z pewnością był to jakiś podstęp, sztuczka mająca je przekonać, żeby zaufały swoim porywaczom.

– Panno Carson, panno Silviara, przyjmijcie moje przeprosiny, że kazaliśmy wam czekać tak długo. I w ciemnościach, że tak powiem. Sprowadzenie wszystkich graczy w jedno miejsce zabrało mi więcej czasu, niż przewidywałem. – Cofnął się i z lekkim ukłonem wskazał sąsiedni pokój. – Jeśli zechcecie do nas dołączyć, może poznamy się lepiej.

Carly zawahała się, po czym uświadomiła sobie, że to daremne.

– Trzymaj się blisko mnie – szepnęła do Mary.

Przy pierwszej okazji wynosimy się stąd w cholerę, pomyślała.

Nie musiała przekonywać Mary. Kiedy ruszyła do drzwi, przyjaciółka szła za nią jak cień.

Ksiądz zaprowadził je przez krótki korytarz do jadalni. Obszerny pokój ożywiały płomienie tańczące w marmurowym kominku, drewno trzaskało zapraszająco. W wysokich oknach, wychodzących na plac, widać było dwie kościelne wieże po drugiej stronie. Słońce już zaszło, ale ostatnie zmierzchające blaski wciąż rozświetlały kamienną fasadę kościoła, jakby ten przybytek kultu zachował część ciepła i światła świątecznego dnia.

– Przygotowaliśmy lekki posiłek – powiedział ksiądz, kierując uwagę Carly na stół i zebraną wokół grupę mężczyzn.

Na widok półmisek z serami, chleba i rozmaitych owoców zaburczało jej w żołądku. Kiedy ostatnio jadła? Mara również zerknęła na tę ucztę głodnym i jednocześnie podejrzliwym wzrokiem.

Podeszły do stołu i Carly obejrzała całe zgromadzenie. Bliżej wyjścia stali ci dwaj mężczyźni, którzy urządzili na nie zasadzkę w barze. Spojrzała na nich gniewnie, ale zachowali obojętne miny. Po drugiej stronie stołu zobaczyła trzech obcych. Zanim jeszcze któryś z nich się odezwał, po ich ubraniu, postawie, wyrazie twarzy instynktownie poznała, że to Amerykanie.

Ksiądz przedstawił wszystkich i poprosił, żeby usiedli.

Nie myliła się co do Amerykanów. Najwyższy, z groźnym marsem na twarzy i dymiącym cygarem w zębach, przypominał postać z horroru – same mięśnie od stóp do mózgu. Pozostali dwaj również wyglądali na twardzieli, ale bardziej przystępnych. Jeden miał w sobie napięcie, na które trudno było patrzeć, zwłaszcza w pochmurnych szarych oczach. Ostatni, bardziej zbliżony do niej wiekiem, z potarganymi jasnymi włosami, mógł się wydawać prawie przystojny. Obdarzył ją zakłopotanym uśmiechem i odrobinę dłużej zatrzymał na niej wzrok.

Carly była przyzwyczajona do takich spojrzeń. Nie odwzajemniła jednak uśmiechu.

– Chodźcie – zapraszał ksiądz. – Siadajcie.

Wszyscy zajęli miejsca przy stole, każde po swojej stronie, z księdzem wciąż stojącym u szczytu.

– Komandorze Pierce, żeby przełamać lody, może pan jako pierwszy powinien wyłożyć karty na stół. To znacznie rozjaśni sytuację.

– O czym pan mówi? – warknął Amerykanin, najwyraźniej niepałający sympatią do gospodarza, przez co wzbudził w Carly trochę większe zaufanie.

– Proponuję zacząć od pana dowodu tożsamości. Z pana organizacji.

Komandor przez chwilę trwał w bezruchu, po czym jego oczy zabłysły. Sięgnął do kieszeni, wyjął portfel i wyciągnął z niego czarną, metaliczną kartę. Szurnął nią przez stół. Zatrzymała się między Carly a Marą.

Nad lśniąca powierzchnią karty unosił się srebrny hologram.

To był pojedynczy symbol – grecka litera.

Mara zachłysnęła się i wymieniła zaniepokojone spojrzenia z przyjaciółką.

– Sigma.

Carly uzbroiła się wewnętrznie na tyle, żeby zaryzykować spojrzenie w zimny ogień oczu Amerykanina.

– Kim jesteście? – Szturchnęła kartę. – Co to znaczy?

– Należymy do Sigma Force, organizacji związanej z DARPA.

Mara uniosła brwi.

– Militarnej grupy badawczo-rozwojowej rządu USA?

– Zgadza się. To DARPA finansowała pani badania na uniwersytecie, poprzez Bruxas International. – Przeniósł wzrok na Carly. – Pani matka wiedziała o naszym zaangażowaniu i zaprzysiężono ją do zachowania tajemnicy. Podejrzewamy, że symbol sigmy wygenerowany przez SI pani przyjaciółki był wołaniem o pomoc.

Mara nachyliła się do przodu.

– Też się nad tym zastanawiałam – przyznała.

– Ale czy mamy pewność? – odezwał się młody blondyn, Jason. – Pojawienie się tego symbolu mogło być zwykłym zbiegiem okoliczności. Może wszyscy wyczytaliśmy zbyt wiele z tego cyfrowego Rorschacha.

– Możliwe. – Mara pokręciła głową. – Ale tego się nie dowiemy. Nie bez Xénese i jego oprogramowania.

– A wy je straciliście – stwierdził Gray, który widocznie znał całą sprawę. Jednak w jego głosie ani zachowaniu nie było cienia wyrzutów.

– Ale udało nam się zachować twarde dyski z moimi podprogramami – powiedziała Mara.

Carly skinęła głową.

– Wyrwaliśmy je tym sukinsynom, którzy nas zaatakowali...

...i zabili moją matkę, dodała w myślach.

Mara przełknęła ślinę.

– Twarde dyski też mogliśmy stracić, gdybyśmy nie zostały ostrzeżone.

– Kto was ostrzegł? – zapytał Gray.

Mara wymieniła spojrzenia z przyjaciółką, zanim odpowiedziała.

– Program dziwnie się zachowywał. Tuż przed napadem. Jakby coś wyczuwał. Myślę, że wychwytywał sygnał GPS z trackera, który nam podłożono. Ale teraz, z perspektywy czasu, ten szczegół mnie niepokoi.

Jason wziął kromkę chleba i ser.

– Dlaczego?

– Ewa... tak nazywałam SI... skupiła się na tym sygnale i wyglądała na przestraszoną, prawie jakby go rozpoznała. Dlatego zaczęłam się zastanawiać, czy mogła go zapamiętać z poprzedniego razu.

Jason zmarszczył nos.

– Z którego razu?

– Z napadu w bibliotece. – Mara rzuciła Carly przepraszające spojrzenie. – Jeśli matkę Carly czy którąś z pozostałych kobiet śledzono do biblioteki z wykorzystaniem takiej samej pluskwy, Ewa mogła ją rozpoznać, gdzieś głęboko w jej kwantowym procesorze mógł się zachować ślad wspomnienia z jej pierwszej inkarnacji.

– I powiązała go z morderstwem i rozlewem krwi – dodał Gray.

Mara kiwnęła głową.

– Właśnie to mnie naprawdę przestraszyło. Obecny etap Ewy... to, co ukradziono z hotelu... jest jednocześnie delikatny i kruchy. Taka wrażliwość w rękach kogoś niedoświadczonego...

– Albo jeszcze gorzej, kogoś, kto zamierza siał wielkie zniszczenie – wtrącił ksiądz.

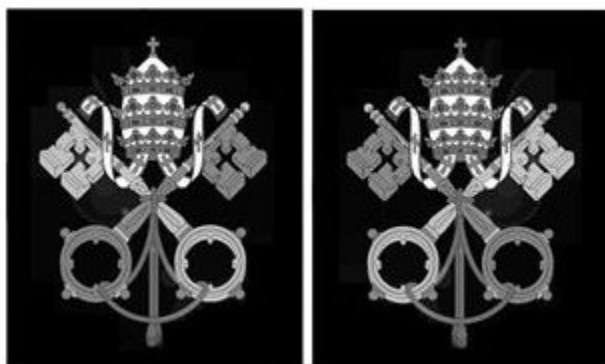
Wszystkie oczy zwróciły się na niego.

Gray zmarszczył brwi.

– Co ksiądz o tym wszystkim wie, ojciec Bailey? Jaki ksiądz ma z tym związek?

– Ach, tak, komandorze Pierce, obiecałem, że wyłożę karty na stół. – Skinieniem głowy wskazał czarną metaliczną kartę. – Tak jak pan.

Wyjął z kieszeni dwie czarne karty i położył je obok siebie na stole. Wyglądały jak bliźniacze kawałki obsydianu, szkliste prostokąty wyłamane z witraża w jakimś kościele. To wrażenie potęgowały identyczne symbole widoczne na każdej karcie: dwa skrzyżowane klucze związane wstążką i zwieńczone koroną.



Carly nie zrozumiała. Rozpoznała papieską pieczęć na obu kartach, symbol papieża, ale to jej nic nie mówiło.

Po drugiej stronie stołu Gray wpatrywał się w karty zmrużonymi oczami. Nagle wstał, przewracając krzesło; najwyraźniej odgadł ich znaczenie.

– Bliźnięta...



Lizbona, Portugalia

25 grudnia, godzina 17.55 czasu miejscowego

Gray wpatrywał się w siedzącego naprzeciwko ojca Bailey'a i coraz więcej rozumiał.

To dlatego wydawałeś się taki znajomy...

Widział błysk rozbawienia w oczach księdza. Tak ojciec patrzy z czułością na dziecko – na w pół rozśmieszony jego naiwnością, na w pół zazdroszczący mu niewinności. Gray widział wcześniej ten szczególny błysk w oczach tylko jednego człowieka, znacznie starszego, już nieżyjącego, który pomógł Sigmie w przeszłości.

Bailey popatrzył na dwie karty na stole.

– Widzę, że nie zapomniał pan lekcji monsignora Vigora Verony.

Kowalski wydmuchnął smugę ciemnego dymu.

– Jezu...

Gray złapał się krawędzi stołu, na chwilę przytłoczony wspomnieniami. Pamiętał swojego przyjaciela... i siostrzenicę monsignora, która skradła mu serce. Oboje nie żyli, poświęcili się, żeby uratować świat.

W końcu wskazał bliźniacze symbole leżące na stole.

– Czy to znaczy, że ksiądz należy do Kościoła Tomasza?

Bailey wzruszył ramionami.

– Zwerbował mnie monsignor Verona. Byłem dawniej jego studentem, kiedy wykładał jako profesor w Pontyfikalnym Instytucie Chrześcijańskiej Archeologii w Rzymie, zanim został prefektem Archiwów Watykanu. Obecnie idę w jego ślady, podejmuję pracę od miejsca, w którym ją przerwał.

– Czy to znaczy, że ksiądz też działa w watykańskiej *intelligenza*?

Bailey ponownie wzruszył ramionami, nie zaprzeczając.

Za życia monsignor Vigor Verona zdobył więcej tytułów niż tylko profesora i prefekta. Służył również jako agent w *intelligenza* – w watykańskim wywiadzie.

Jason wyprostował się, usłyszawszy tę sensację.

– Więc ksiądz jest szpiegiem Watykanu? Szpieguje dla papieża?

– Dla Kościoła – sprostował Bailey.

– Więc stąd ksiądz wiedział, że przylecimy do Lizbony. – Jason odwrócił się do Graya. – Domyślam się, że kiedy dyrektor Crowe zapuścił macki w globalne sieci wywiadu...

– ...do nas też dosięgły – dokończył Bailey.

Po drugiej stronie stołu córka doktor Carson wstała, przyciągając ich uwagę.

– O czym wy wszyscy mówicie, do cholery? Czy to znaczy, że ten ksiądz jest jakimś tajnym agentem?

Gray uznał, że powinien to wyjaśnić.

– Watykan jest suwerennym państwem. Od dziesięcioleci... jeśli nie od wieków... sekretnie zatrudnia agentów, którzy infiltrują grupy nienawiści, tajne stowarzyszenia, wrogie państwa, wszędzie, gdzie istnieje zagrożenie dla Watykanu.

Pamiętał, jak Vigor opowiedział mu o sprawie Waltera Ciszka, księdza działającego pod fałszywym nazwiskiem Władimir Lipinski. Przez lata ksiądz grał w kotka i myszkę z KGB, po czym został schwytany i spędził ponad dwie dekady w sowieckim więzieniu.

Carly zmierzyła wzrokiem ojca Baileya.

– Innymi słowy to James Bond w koloratce.

– Ale nie mamy licencji na zabijanie – oświadczył Bailey z prowokującym uśmiechem. – Nadal musimy przestrzegać przykazań. Chociaż, jak pan Bond, od czasu do czasu pozwalam sobie na martini. Oczywiście wstrząśnięte, nie zmieszane.

Mara nie wstała, ale nachyliła się bliżej. Wskazała na karty.

– Co znaczą te symbole? – Popatrzyła na Graya. – Pan najwyraźniej je zna.

Gray przypomniał sobie złote pierścienie noszone dawniej przez Vigora, z których każdy przedstawiał tę pieczęć.

– To są symbole Kościoła Tomasza. – Przysunął do niej karty. – Co pani tu widzi?

– Tylko papieską pieczęć – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Na obu.

– Proszę się przyjrzeć dokładnie.

Mara zmarszczyła czoło, ale to Carly zauważyła różnicę.

– Nie są dokładnie takie same. – Stuknęła w jedną kartę, a potem w drugą. – Patrz, Mara, na jednej pieczęci ciemniejszy klucz jest po lewej stronie. Na drugiej jest po prawej. Jedna jest lustrzanym odbiciem drugiej.

Mara obejrzała się na Graya.

– Więc, jak pan mówił... bliźnięta. Ale wciąż nie rozumiem.

– Po hebrajsku słowo „bliźniak” tłumaczy się jako *toma*. Jak święty Tomasz.

– Albo niewierny Tomasz. – Popatrzyła na drzwi do pokoju, w którym były przetrzymywane. – Tam wisi obraz świętego Tomasza badającego rany Chrystusa.

Zaintrygowany Gray podążył wzrokiem za jej spojrzeniem, zastanawiając się, czy obecność takiego obrazu świadczy, że ten dom jest sekretnym miejscem spotkań członków Kościoła Tomasza.

Jakby na jego wezwanie drzwi za jego plecami się otworzyły i weszła poważna starsza kobieta. Z siwymi włosami, schludnie schowanymi pod wykrochmalonym białym czepkiem, wyglądała na sześćdziesiąt lat, może więcej. Nosiała prostą szarą szatę przepasaną plecionym sznurem i wspierała się lekko na niepolerowanej hebanowej lasce.

Przeszła przez pokój, postukując nią. Zignorowała wszystkich obecnych i skierowała się prosto do ojca Bailey'a. Nie spieszyła się, ale w jej ruchach była spokojna celowość, świadcząca o ukrytej sile.

Rozmowa się urwała. Kiedy kobieta mijała Graya, zadrżały mu włoski na karku, zupełnie jakby za jego plecami przechodził ciemny front burzowy.

Podeszła do ojca Bailey'a i szepnęła mu coś do ucha. I to ksiądz nachylił się do niej, a nie na odwrót. Nic w tej kobiecie nie wskazywało na służalczość – a jednak komuś najwyraźniej służyła.

Bailey kiwnął głową, kiedy skończyła.

– Dziękuję, siostrze Beatrice.

Zakonnica – oblubienica Chrystusa – cofnęła się o krok, ale nie odeszła. Stała bez ruchu, wsparta na lasce, trzymając obie ręce na wygiętej srebrnej rączce, jedynej ozdobie. Omiotła spojrzeniem stół i zatrzymała się na Kowalskim. Zaciśnęła usta w jeszcze surowszą linię, wyraźnie niezadowolona.

Kowalski próbował wytrzymać jej wzrok, ale się ugiął. Rozumiejąc powód tego karcącego spojrzenia, wyjął z ust cygaro i zgniótł rozżarzony koniuszek w popielnicze.

Dopiero wtedy odwróciła wzrok.

Łał!

W końcu Bailey przerwał napięte milczenie.

– Mówcie swobodnie. Siostra Beatrice również służy Kościołowi Tomasza.

Mara zmarszczyła brwi.

– Czym jest ten Kościół Tomasza, o którym ciągle wspomina?

– Racja, powinna pani wiedzieć. – Gray skinieniem głowy wskazał karty. – Te bliźniacze symbole reprezentują osoby w Kościele katolickim, które sekretnie stosują się do nauk zawartych w Ewangelii Tomasza.

Spojrzał na księdza i siostrę Beatrice.

Carly pokręciła głową.

– Co to jest Ewangelia Tomasza?

– Jeden z gnostycznych tekstów wczesnego Kościoła – wyjaśnił Bailey. – Dawniej, w rzymskich czasach, kiedy chrześcijaństwo było zakazane, najważniejsze było zachowanie tajemnicy, dlatego grupy wyznawców musiały się spotykać w jaskiniach i kryptach, w ukryciu. Z powodu takiej izolacji praktyki grup chrześcijan zaczęły się różnić, podobnie jak filozofie. Wszędzie pojawiały się ewangelie. Oczywiście te, które znamy z Biblii. Ale również mnóstwo innych. Tajna ewangelia Jakuba, Marii Magdaleny, Filipa. Wokół każdej rozwijały się rozmaite sekty, grożąc rozłamem młodego Kościoła. Żeby do tego nie dopuścić, wybrano cztery księgi jako kanon: ewangelie Mateusza, Marka, Łukasza i Jana.

– Nowy Testament – stwierdziła Mara.

Bailey przytaknął.

– Pozostałe odrzucono i uznano za heretyckie. Włącznie z Ewangelią Tomasza.

Mara obejrzała uważniej dwie karty.

– Ale dlaczego zakazano Ewangelii Tomasza?

– Z powodu jej podstawowej doktryny – odpowiedział Gray. – *Szukajcie, a znajdziecie.* – Pamiętał, jak Vigor dzielił się z nim tą wiedzą, kiedy spotkali się po raz pierwszy podczas jednej z początkowych misji Graya, związanej z kradzieżą kości biblijnych trzech króli.

Ksiądz skinął głową.

– Tomasz wierzył, że sedno nauk Chrystusa polega na tym, żeby nigdy nie przestawać szukać Boga w świecie wokół nas... i w nas samych. Wczesny Kościół nie pochwalał tej filozofii, wolał, żeby wierni trzymali się ich nauk i interpretacji, zamiast szukać Boga na własną rękę.

– Musieli jakoś zapełnić ławki – prychnął Kowalski.

Siostra Beatrice ściągnęła brwi na tę sarkastyczną uwagę i uciszyła go jednym spojrzeniem.

– To bardziej złożone – odparł Bailey. – Ale ostatecznie Ewangelię Tomasza uznano za herezję. W Kościele wciąż są jednak tacy, którzy szanują podstawową doktrynę tej ewangelii i stosują się do niej. Jak wiecie, Kościół nie stoi ponad nauką. Mamy katolickie uniwersytety i szpitale, włącznie z instytutami badawczymi, które popierają myślenie perspektywiczne, nowe pomysły i idee. Owszem, pewna część Kościoła pozostaje oporna i niechętna wszelkim zmianom, ale mamy też członków gotowych podjąć wyzwania i walczących ze skostnieniem Kościoła. – Wskazał milcząco zakonnicę. – Taką funkcję wciąż pełni. My z Kościoła Tomasza.

Kościół ukrywający się w większym Kościele...

Gray patrzył na karty, przypominając sobie ciepły uśmiech Vigora, sekretny błysk rozbawienia zawsze obecny w jego oczach. Rozglądając się wokół stołu, wyczuwał również siły zataczające pełny krąg, prowadzące go od pierwszej przygody z Sigmą aż do teraz. Niemal czuł te pływy, sięgające na stulecia w przeszłość i rozciągające się na przyszłość.

Ksiądz przywołał go z powrotem do teraźniejszości.

– Ale Kościół Tomasza nie jest jedynym tajnym zakonem w Kościele Apostolskim. Przybyłem tu na żądanie innego.

Zdziwiony Gray spojrział na niego twardo.

– O czym ksiądz mówi?

Bailey odwrócił się plecami do stołu i wyjrzał przez okno w stronę świątyni na placu, pogrążającej się w ciemnościach, bo kończył się pierwszy dzień świąt.

– Starożytny zakon – odezwał się wreszcie – założony w najwcześniejszych stuleciach chrześcijaństwa właśnie w tym regionie. Jego członkowie od tamtego czasu walczą w sekrecie przeciwko mrocznym siłom ignorancji.

– Kim są ci ludzie? – zapytała Carly.

Ksiądz odwrócił się do stołu.

– Słyszeliście o La Clave? To oznacza „klucz”.

Wymieniono spojrzenia, ale nikt nie rozpoznał tej nazwy.

– A o kulcie Kolumby?

Gray pokręcił głową, ale Mara nagle się zachłysnęła, bo to imię widocznie zabrzmiało znajomo.

– Mówi ksiądz o świętej Kolumbie?

– Owszem.

Gray odwrócił się do dziewczyny.

– O kim mówicie? – spytał.

Mara spojrzała na karty.

– Kolumba jest czczona w tym regionie.

– Ale kim ona jest? – zapytała Carly.

– Świętą patronką czarownic – odparła jej przyjaciółka.

## Godzina 18.08

Mara znowu poczuła ukłucie wyrzutów sumienia, że przeżyła, podczas gdy jej mentorki – kobiety, które przyjęły na siebie obowiązki czarownic – zostały zamordowane. Aż ścisnęła ją w żołądku. Pomyślała o filozofii reprezentowanej przez dwie bliźniacze karty leżące na stole.

Szukajcie, a znajdziecie.

To przesłanie można było jeszcze bardziej zredukować do jednego słowa, jednego podstawowego popędu ludzkości.

Ciekawość.

Przez tysiąclecia autokratyczne i dyktatorskie władze usiłowały stłumić tę cechę, uciszyć tych, którzy zadawali pytania, zakazać ksiązek, które podważały *status quo*, palić kobiety, które odważyły się szukać odpowiedzi. Dzieciom wbijano do głów to ostrzeżenie, zniechęcano do zbytnej dociekliwości.

Pamiętajcie, chłopcy i dziewczęta, ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Komandor Pierce nie odrywał wzroku od jej twarzy.

– Święta patronka czarownic? Jest coś takiego?

Ojciec Bailey odpowiedział, ale Mara prawie nie słuchała. Dorastała w tym regionie, więc dobrze знаła tę historię. Ksiądz opowiadał o świętej Kolumbie, która czciła Chrystusa i dla niego poniosła męczeńską śmierć, ale nigdy nie przestała zadawać pytań i na zawsze pozostała czarownicą.

– Od czasu jej męczeństwa ludzie modlą się do niej – zakończył Bailey. – Dla ochrony przed czarną magią i żeby chronić te czarownice, które czynią dobro. Wokół niej wyrósł kult wyznawców.

– A to La Clave? – zapytał Gray.

– To wewnętrzny krąg wyznawców Kolumby. Klucz powstał podczas wielkich procesów czarownic, które wstrząsnęły Europą. W szesnastym i siedemnastym wieku. Próbowali chronić czarownice i rzucić trochę światła w mrok tamtych czasów. W końcu zwyciężyli. Czystki ustały.

– Więc dlaczego kontynuowali działalność?

– Ponieważ ciemność nigdy naprawdę nie odchodzi. Tylko wzbiera i opada jak fala. W tym regionie procesy czarownic prowadziła hiszpańska inkwizycja. Ale najmroczniejsza sekta inkwizycji przetrwała nawet w bardziej oświeczonej epoce. Nazwali się Crucibulum.

Gray zmrużył oczy.

– To znaczy „tygiel” – powiedział.

– Naczynie, które oczyszcza poprzez ogień – dokończył ksiądz.

Mara podniosła wzrok, wiedząc jedno na pewno.

Ten ogień płonie do dziś.

– W miarę jak nowe światło rozumu nabierało siły – ciągnął Bailey – potęga Tygla słabła i jego członkowie musieli się ukrywać; stali się cieniem tego nowego światła.

– A co z Kluczem? – zapytał Gray.

– Nigdy nie zapomnieli, kto jest ich prawdziwym wrogiem w tym regionie, i nie spuszczała oka z Tygla. Te dwie grupy od zawsze prowadziły sekretną wojnę, światło przeciw ciemności, wiedza przeciwko ignorancji.

– Nawet teraz?

– Zwłaszcza teraz. W naszych czasach, kiedy atakuje się prawdę, Tygiel tylko rośnie w siłę, staje się coraz bardziej zuchwały. Pragną wprowadzić nowy Wiek Ciemności, zdławić wiedzę.

– Myli się ksiądz – odezwała się Mara, przyciągając ogólną uwagę.

Pod spojrzeniami wszystkich zebranych dziewczynie zabrakło odwagi i głos jej się załamał. Carly wzięła ją za rękę, chcąc dodać sił przyjaciółce, żeby ta mogła przedstawić swój punkt widzenia.

– Oni nie tylko chcą zdławić wiedzę... chcą stłumić sam popęd, który tworzy wiedzę – powiedziała Mara. – Chcą zdusić ciekawość, karać tych, którzy ośmielają się zadawać pytania o świat wokół nas.

Oczy Baileya się rozszerzyły.

– Ona chyba ma rację.

Na szczęście uwaga zebranych przeniosła się na księdza.

– Ciekawość to dar od Boga – ciągnął – narzędzie, żeby badać i poznawać świat natury. Sprzeciwianie się temu to obraza dla Niego i Jego stworzenia.

– A Tygiel się temu sprzeciwia – zauważył Gray.

Bailey kiwnął głową.

– Chodzi im tylko o władzę i kontrolę. To tyrańska pięść wzniesiona nad głową, żądająca ślepego posłuszeństwa. Chcą, żebyśmy słuchali tylko słów ich przywódcy, zamiast słów

miłości Boga.

– Ale kim są ci przywódcy? – odezwał się Jason, poruszając najważniejszą kwestię. Ksiądz westchnął z rozczarowaniem i lekko opuścił ramiona.

– Klucz wytropił i wyeliminował wielu szeregowych żołnierzy Tygła, ale ich prawdziwi przywódcy pozostają nieznani, zwłaszcza wielki inkwizytor.

Ten tytuł – wielki inkwizytor – zmroził krew w żyłach Mary. Nawiązywał do krwawej historii tego regionu. Każde dziecko dorastające w Hiszpanii czy Portugalii z drżeniem słuchało opowieści o okrucieństwach i deprawacjach inkwizycji. Modliła się, żeby ta mroczna tyrania nigdy więcej się nie podźwignęła.

– Członkowie Klucza rozpoznali rękę Tygła w napadzie na uniwersytecie – kontynuował ojciec Bailey. – Zrozumieli również, że to zadanie ich przerasta, więc zwrócili się do Watykanu i poprosili nas o pomoc. Jako wyznawca Tomasza... wiedzy i oświecenia... jak mogłem odmówić?

Mara spojrzała na przyjaciółkę, po czym zwróciła się do księdza:

– Dlatego nas tropiliście. Ale jak nas znaleźliście?

– Jak mówiłem, Klucz znał kilku szeregowych żołnierzy Tygła. Inwigilowaliśmy ich i przesłuchaliśmy tych, których zdołaliśmy schwycić. Poszczyło nam się i trafiliśmy na trop, dzięki któremu was znaleźliśmy. Żałuję, że nie przybyliśmy na czas, żeby zabezpieczyć pani projekt.

Zaniepokojona Mara odchyliła się na oparcie krzesła.

– Niestety, mieliśmy pełne ręce roboty – dodał ksiądz. – Tygiel okazał się przebiegły, ustosunkowany i dobrze dofinansowany. W dodatku natknęliśmy się na inne podejrzane typy, które zwęszyły ten sam trop, co jeszcze bardziej skomplikowało poszukiwania.

Jason nachylił się do Graya i szepnął:

– Czy mogła ich wysłać Wala Michajłowa?

Gray zbył to pytanie machnięciem ręki i zmrużył oczy.

– Czy dowiedzieliście się, co Tygiel zamierza zrobić z programem Mary? – spytał ksiądz. – Dlaczego namierzali ją i jej badania nad SI?

– Możliwe. Dlatego potrzebujemy was. Was wszystkich. Jeżeli mamy ich powstrzymać, musimy działać wspólnie. Wciąż jestem głęboko w lesie, ale po przesłuchaniu wrogów, których udało nam się schwycić, wiemy przynajmniej, dokąd zamierzają zabrać ukradziony projekt panny Silviery.

Mara przełknęła ślinę, serce podeszło jej do gardła.

– Dokąd?

Bailey spojrzał na siostrę Beatrice, dając do zrozumienia, że właśnie otrzymał tę informację.

– Do Francji.

Mara uniosła brwi. Francja?

– Nie wiemy jak ani dlaczego... – Bailey znowu popatrzył na wszystkich obecnych. – Ale zamierzają zniszczyć Paryż.



## Przestrzeń powietrzna nad Atlantykiem 25 grudnia, godzina 18.10 czasu miejscowego

Monk nie mógł uciec przed swoimi demonami... nawet z dwukrotną prędkością dźwięku.

Nie pomagało to, że tkwił wciśnięty w fotel strzelca pokładowego za pilotem F-15 eagle. Uprząż bezpieczeństwa zamykała go w ciasnej kabinie. Ledwie mógł ruszać nogami, a słuchawki wygłuszające hałas wbudowane w jego hełm prawie nie tłumily przeraźliwego ryku bliźniaczych silników odrzutowych Pratt & Whitney. Co więcej, maska tlenowa przymocowana do twarzy tylko wzmagala poczucie izolacji i podsycala klaustrofobie.

Spojrzał na zegar świecący na konsoli.

Jeszcze czterdzieści minut lotu.

Podróżując z naddźwiękową prędkością, miał wylądować w Lizbonie zaledwie dwie godziny po opuszczeniu bazy lotnictwa marynarki wojennej w Lakehurst w stanie New Jersey.

Podróż ciągnęła się jednak bez końca.

Nieustannie zamartwiał się o Kat albo przypominał sobie przestraszoną twarz Harriet na nagraniu. Co chwila zerkał na ten przeklęty zegar, liczył upływające minuty, uwięziony w tej izolatce mknącej nad ciemnym Atlantykiem. Martwił go nie tyle czas przylotu do Portugalii, ile termin wyznaczony przez Walę Michajłową.

Tylko dwadzieścia dwie godziny...

Zanim ta blada dziwka zacznie kroić jego córeczkę.

Przez ryk silników przebił się jakiś szum i wypełnił mu uszy.

– Przekazuję rozmowę z Waszyngtonu do pana – nadał pilot przez radio.

To na pewno dyrektor Sigmy.

Monk nie był rozczarowany. Painter regularnie informował go na bieżąco, jakby wyczuwał, że podwładny tego potrzebuje. Jednak przy każdej rozmowie strach jeszcze mocniej ścisłał serce Monka. Bał się najgorszego.

– Monk, niedługo będziesz lądował – zaczął Painter. – Chciałem...

– Jak Kat? – zapytał Monk.

– Przepraszam, oczywiście. Jest stabilna, ale bez zmian. Właściwie mam Lisę na drugiej linii. Chce z tobą porozmawiać. Również z tego powodu chciałem się z tobą połączyć, zanim wylądujesz.

– Jaki jest drugi powód?

– Mówiłem ci już, że odkodowaliśmy plik wideo, żeby ustalić koordynaty miejsca dostawy w Hiszpanii.

Według informacji zaszyfrowanej w wiadomości Wala chciała, żeby dostarczyć skradzioną technologię w pewne miejsce w centrum Madrytu. Jeśli nie zdążą w terminie...

Monk nie mógł o tym myśleć.

– Mów dalej – rzucił.

– Dane wstawione do pliku zawierają również adres esemesowy, do komunikowania się z porywaczami... z Walą. W ten sposób mamy skoordynować z nią działania, kiedy już zabezpieczymy projekt Mary Silviery. Wykorzystałem to i wysłałem jej wiadomość. Zażądałem dowodu życia. Napisałem, że chcemy się upewnić, że dziewczynki i Seichan są całe i zdrowe.

– Odpowiedziała?

– Jeszcze nie, ale kiedy odpowie, wszystko ci przekażę.

Monk wypuścił powietrze z płuc, rozpaczliwie pragnąc tego dowodu.

– Mam też nadzieję – kontynuował Painter – że przy szerszym otwarciu linii komunikacji... wymianie wiadomości tam i z powrotem... Wala może popełnić jakiś błąd, co umożliwi nam wyśledzenie jej przez te linie.

Sprytnie.

Monk nie liczył jednak na to za bardzo. Ta rosyjska wiedźma była za mądra, żeby zaniechać czujności, zwłaszcza w stosunku do dyrektora Sigmy.

– To może również kupić nam więcej czasu – dodał Painter. – Postaram się grać na zwłokę. Będę nalegał, żeby pokazała nam dowód, że dziecku Graya nic się nie stało. Liczę, że zorganizowanie ultrasonografii czy innego dowodu przesunie termin trochę dalej.

Ale czy wystarczająco daleko?

Nic z tego nie miało znaczenia, jeśli nie zdobędą tej technologii.

– Jakies wiadomości od Graya? – zapytał Monk.

– Jeszcze nie. Miał przesłuchać męża i córkę zabitej ambasador.

– Ciągle jest na lotnisku?

– Nie. Według GPS-ów w ich telefonach satelitarnych są w jakiejś innej lokalizacji. Prawdopodobnie Carsonów przeniesiono albo Gray sprawdza jakiś trop. Jak tylko dostanę najnowsze wiadomości, dam ci znać.

Monk nie mógł się doczekać, żeby dołączyć do Graya i pozostałych.

– Ale jak wspomniałem – ciągnął Painter – połączyłem się z tobą przede wszystkim po to, żebyś porozmawiał z Lisą. Chce ci przekazać wiadomości o Kat.

Monk odetchnął głębiej tlenem z maski i uzbroił się wewnątrz.

Po kilku zakłóceniach w połączeniu odezwała się Lisa.

– Cześć, Monk, jak się trzymasz?

Sprawdził wskazania altymetru.

– Obecnie trzymam się na trzynastu tysiącach metrów.

Te żartobliwe słowa miały przełamać napięcie, ale zabrzmiały zbyt zgryźliwie i zdradzały jego irytację. A przecież nie miał powodu irytować się na Lisę.

– Przepraszam, niedługo lądujemy – bąknął kulawo. – O czym mi chciałaś powiedzieć?

– Wyszedłeś tak szybko, że nie zdążyłam ci wyjaśnić czegoś, co Julian... doktor Grant... chciał wypróbować na Kat.

Pamiętał, jak Lisa stała w szpitalnym korytarzu, pogrążona w rozmowie z neurologiem.

– No, teraz mnie przyparłaś do muru. Utknąłem w tym latającym tosterze. Co chciałaś omówić?

– Właściwie chciałam cię spytać o pozwolenie.

– Na co?

Powiedziała mu.

Nawet w ocieplanym kombinezonie lotniczym Monkowi zrobiło się zimno.

– Wiem, jak to brzmi – dodała Lisa. – Ty najlepiej ze wszystkich rozumiesz, o co proszę.

Wyobrażając sobie opisaną procedurę, bezwiednie podniósł rękę. Chciał przesunąć dłoń po ogolonej głowie w nerwowym geście, lecz jego proteza stuknęła o hełm.

– Julian uważa, że próba czegoś takiego to spalenie mostów, musisz być tego świadomy – ciągnęła Lisa. – Jeśli tego spróbujemy, nigdy nie odzyskamy Kat. To nie kuracja, tylko wyrok śmierci. Ale to nasza największa i jedyna szansa, żeby sprawdzić, czy ona wie coś jeszcze.

Monk przełknął ślinę.

– Innymi słowy, prosisz mnie o pozwolenie, żeby zabić Kat.

– Za szansę uratowania twoich córeczek.

Ale tylko za szansę...

Jednak to wystarczyło.

– Zróbcie to.

Plainsboro, stan New Jersey, USA

Godzina 13.28 czasu miejscowego

Przepraszam, Kat.

Lisa modliła się, żeby się nie okazało, że niepotrzebnie torturuje przyjaciółkę.

Siedziała w sali obserwacyjnej bloku operacyjnego. Dwaj neurochirurdzy skończyli zabieg na nerwie błędnym w szyi Kat, do którego doczepili elektrody, i teraz ją zaszywali.

Jednocześnie Julian razem z drugim chirurgiem przewiercili czaszkę Kat i umieścili następną elektrodę we wzgórzu jej mózgu.

Wiedząc o krytycznym stanie pacjentki, lekarze pracowali szybko. Nie ryzykowali nawet znieczulenia, nie widząc takiej potrzeby, ponieważ EEG mózgu Kat nadal nie wykazywało ani śladu świadomej reakcji.

Ten jedyny raz Lisa modliła się, żeby Kat była nieprzytomna, żeby niczego nie czuła.

Jedynym krewnym Lisy był brat w Kalifornii. I chociaż znała Kat dopiero od kilku lat, stały się sobie bliskie jak siostry. Siostra, której Lisa zawsze pragnęła. Kat nawet była jej druhną, kiedy Lisa poślubiła Paintera. I w pewnym sensie Lisa nawet dzieliła się z nią mężem. Jako główna analityczka Sigmy Kat spędzała z Painterem więcej czasu – teraz i w przeszłości – niż jego żona. Kat była jego prawą ręką, zaufaną powiernicą, doradczynią.

Lisa nigdy nie była zazdrosna ani urażona z tego powodu. Tak naprawdę była za to wdzięczna nawet bardziej, niż się przyznawała. Kat wypełniała luki w życiu Paintera, których Lisa nigdy nie mogłaby wypełnić. Dzięki temu Painter lepiej się realizował, był lepszym mężem, nawet lepszym człowiekiem.

Wiedząc, co traci – co wszyscy tracą – ze wszystkich sił starała się zachować profesjonalny dystans w tych trudnych chwilach. Na użytek Monka założyła maskę kompetentnego specjalisty, ale w głębi duszy rozpaczała. Żebra ją bolały od tłumienia smutku, powstrzymywania go z każdym oddechem.

Wreszcie Julian odwrócił się od chirurgicznego stołu i pokazał Lisie uniesione kciuki. Pielęgniarki i lekarze przygotowali Kat do transportu. Wymagało to herkulesowych wysiłków, ponieważ jej ciało pokrywała płatanina rurek, kabli i przewodów i wciąż była podłączona do respiratora.

Lisa zeszła na dół, żeby porozmawiać z Julianem. Zanim dotarła do pokoju wybudzeń, zespół neurologów zdjął już maski, fartuchy i rękawiczki. Zirytowała ją ich podniecona paplanina, ale nastroje wydawały się pozytywne.

Po chwili wtoczono Kat, a za nią wszedł Julian. Pokój wybudzeń został już oczyszczony i przygotowany do następnego etapu procedury.

Lisa podeszła do Juliana.

– Jak poszło?

– Tak dobrze, jak można było się spodziewać – odparł. – Ale odtąd... – Wzruszył ramionami i polecił pielęgniarkom umieścić Kat między dwiema stacjami komputerów.

Po jednej stronie stała aparatura EEG z czepkiem elektrod, gotowym do ponownego założenia na ogoloną głowę Kat. Po drugiej stronie czekał nowy element wyposażenia, wielkości pudełka po butach, z którego zwisał pęk kabli zakończonych katodowymi i anodowymi cewkami.

Trudno było uwierzyć, że takie małe urządzenie obiecuje szansę ożywienia Kat. Procedura znana jako stymulacja przezczaszkowa prądem stałym – tDCS – polegała na

oddziaływaniu prądem o niskim napięciu na pewne obszary mózgu, co powinno wybudzić Kat ze śpiączki.

Jeśli im się uda, szybko wrócą na blok RM Juliana, gdzie przy odrobinie szczęścia jego komputer głębokiej sieci neuronowej jeszcze raz pomoże Kat się komunikować.

Taki był plan.

Lecz za osiągnięcie tego krótkotrwałego cudu pacjent musi zapłacić wysoką cenę – ostateczną cenę.

Łóżko ustawiono na miejscu i na głowę Kat założono siatkę elektrod EEG, podczas gdy Julian kierował rozmieszczeniem przewodów drugiego urządzenia.

– Przymocujcie taśmą klejącą pierwszy zestaw cewek na jej korze przedczołowej – polecił. – Tu i tu. Potem drugi po bokach szyi. Ale uważajcie na pęknięcie podstawy czaszki. Starajcie się to zrobić jak najdelikatniej.

Lisa zaglądała mu przez ramię, pilnując wykonania tego ostatniego rozkazu.

Julian odsunął się, żeby skalibrować urządzenie do tDCS.

– Planujemy przepuścić prąd stały o wysokiej częstotliwości przez jej korę przedczołową – wyjaśnił – i jednocześnie stymulować nerw błędny w szyi oraz wzgórze w mózgu poprzez wszczepione elektrody.

Lisa wyobraziła sobie całą tę elektryczność przepływającą przez system nerwowy Kat.

– Jakie są szanse na sukces? Na obudzenie Kat, jeśli ona wciąż tam jest?

– Zrobimy, co w naszej mocy. Zastosujemy dwie techniki skuteczne przy wybudzaniu pacjentów w stanie wegetatywnym albo minimalnej świadomości. Pierwszą opracowano na Uniwersytecie Liège w Belgii, gdzie stymulowanie wzgórza elektrycznością przejściowo wybudziło piętnaście osób będących w różnych stadiach śpiączki na tyle, że mogli odpowiadać na pytania. Wzgórze działa głównie jako włącznik i wyłącznik mózgu. Przy stymulacji dziesięcioma hercami człowiek zasypia. W przedziale od czterdziestu do stu człowiek się budzi. Powtórzono to z sukcesem u nas, w Stanach, stosowano to na pacjentach przebywających w domu.

Julian westchnął.

– Co? – zapytała Lisa.

– Twoja przyjaciółka jest w znacznie gorszym stanie niż tamci pacjenci. Dlatego mam nadzieję, że jednoczesna stymulacja jej nerwu błędnego... który łączy się z ośrodkami czuwania i pobudzenia w mózgu... pomoże ją obudzić. Ta technika odniosła wielki sukces w wybudzaniu pacjentów we francuskim szpitalu klinicznym.

Lisa modliła się, żeby to zadziałało.

– Ale to nie jest terapia – przypomniał jej Julian. – Jeśli się uda, efekt będzie tylko tymczasowy. I jeśli użyjemy prądu o takim natężeniu przy złym stanie pacjentki, taka próba prawdopodobnie skończy się śmiercią mózgu.

Innymi słowy usmażymy obwody Kat, pomyślała Lisa.

Kiwnęła głową. Ostrzegła przed tym Monka.

– Ona chciałaby, żebyśmy spróbowali – powiedziała.

Julian miał jednak zmartwioną minę; wciąż się wahał.

– Co cię gryzie? – zapytała.

– Nieznane.

– To znaczy?

Zatoczył łuk ręką.

– Wciąż tak mało wiemy o funkcjonowaniu mózgu. Chociaż te kliniki odniosły sukcesy z elektryczną stymulacją, nadal nie mamy pojęcia, dlaczego to podziałało.

Lisy w tej chwili nic to nie obchodziło. Ważne, że podziałało.

– Wszystko gotowe, panie doktorze – zameldowała pielęgniarka i odstępowała od łóżka.

Julian sięgnął do przełącznika urządzenia tDCS. Po raz ostatni popatrzył na Lisę.

Powtórzyła ostatnie słowa, które powiedział do niej Monk.

– Zrób to.

Przerzucił przełącznik.

## Godzina 13.49

Wysoko w czerni zapłonęła gwiazda. Tylko słabiutko zamigotała, ale to wystarczyło, żeby zmącić ciemność. Zestaliła się świadomość, rozmyta, postrzępiona. Trwało niemal wieczność, zanim powróciła jej pamięć, zanim przypomniała sobie nawet własne imię.

Kat...

Skupiła się na tym światełku. Pozostało słabe, jednak we wszechogarniającej ciemności wydawało się jasne jak latarnia morska. Miała wrażenie, że wpadła do głębokiej studni i widzi z dołu tylko jedną bladą gwiazdę. Wiedziała, że musi wspiąć się ku tej gwiazdzie. Ale wciąż trudno jej było się skoncentrować, świadomość napływała i odpływała, zapalała się i gasła.

Kat zbudowała jednak w umyśle mentalny pałac, wyobraziła sobie kamienne ściany tej studni. Wcisnęła palce w szpary, zaparła się nogami i powoli wspinała się ku gwiazdzie. W miarę jak posuwała się naprzód, światło nabierało mocy.

Ale ta nagroda drogo ją kosztowała.

Z każdym pokonanym centymetrem narastał w niej ból. Gwiazda pulsowała, wysyłała fale cierpienia. Kat nie miała wyboru, musiała przetrwać ten sztorm, walczyć z nim i w nim. Wdzierała się coraz wyżej w ten blask, w tę nieustanną torturę. Teraz płonęła w ciemnościach, jej palce zmieniły się w płomienie, oczy gotowały się w oczodołach.

Zachwiała się i ześliznęła z powrotem w mentalną studnię.

Z całej siły wparła płonące kończyny w ściany studni i zatrzymała się. Światło nad głową przygasło. Chciała płakać, poddać się, opaść z powrotem w chłodną ciemność, ale...

Muszę iść dalej.

Wyobraziła sobie dlaczego.

Dziecko przy jej piersi. Całowanie cieniutkiego kosmyka włosów. Maleńkie ciało opatulone, pachnące niewinnością i zaufaniem. Później śmiech pod kocami. Słone łyży osuszone, smutki ukojone. Niekończące się pytania o wszystko i nic.

Znowu zaczęła się wspinać, wykorzystując te wspomnienia jako balsam na oparzenia.

Po nieskończonym i nieokreślonym czasie wokół niej rozległy się szmery, duchy w ciemności, głosy zbyt zniekształcone, żeby je zrozumieć.

Z determinacją zanurzyła się w ogień, wiedząc, że musi dalej walczyć.

Nawet jeśli to ją zabije...

W końcu jeden głos zabrzmiał wyraźniej, obcy, słowa poszatkowane, ale zrozumiałe.

– ...*przykro mi... nie działa... musimy się z tym pogodzić, że ona nie...*

Potem gwiazda zgasła, znikła, odcięła wszystko.

Studnia rozplynęła się wokół niej.

Nie...

Straciwszy oparcie, Kat runęła w żarłoczną ciemność. Krzyczała, kiedy pochłaniał ją mrok.

*Jestem tu, wciąż tu jestem, wciąż...*

## Przestrzeń powietrzna nad Portugalią

Godzina 19.02 czasu miejscowego

Kiedy F-15 podchodził do lądowania, Monk przechylił hełm w stronę osłony kabiny pilota i wpatrywał się w linię brzegową Portugalii. W dole ciemny Atlantyk odcinał się od światła Lizbony, jasnych konstelacji stworzonych przez człowieka, niczym odbicie czystego zimowego nieba.

Pilot wyprostował skrzydła odrzutowca. Dziób nachylił się stromo. Żołądek podjechał Monkowi do gardła, kiedy samolot szybko opadał ku ziemi.

Prawie na miejscu.

Zbliżywszy się do brzegu, musieli krążyć w strefie oczekiwania na lądowanie na rozkaz z wieży w Bazie Lotniczej Sintra, portugalskim lotnisku wojskowym trzydzieści kilometrów od centrum Lizbony. Monk domyślał się, że kontrola lotów w bazie nie przywykła do amerykańskich wojskowych odrzutowców, żądających priorytetowego lądowania na jednym z ich pasów.

Zważywszy na jego wcześniejszą niecierpliwość i niepokój, powinien się irytować z powodu tej zwłoki. Tymczasem wolałby, żeby pilot zatoczył jeszcze kilka kółek. Wciąż nie mógł się pogodzić z wiadomością, którą Lisa przekazała mu przez telefon przed dziesięcioma minutami.

*Nie udało się. Odeszła.*

Lekarze użyli określenia „śmierć mózgowa”, które nigdy, przenigdy nie pasowałyby do Kat. Jak mogła zgasnąć cała ta błyskotliwość?

Z opuszczonym wizjerem hełmu nie mógł nawet wytrzeć łez. I nie chciał. Kat zasługiwała na te łzy. Zamknął oczy, odchylił głowę do tyłu. Strome nurkowanie wciąż przyciskało mu żołądek do przepony, która drżała od ledwie powstrzymywanych szlochów, grożących, że wstrząsną całym ciałem.

Kat...

Samolot nagle uniósł nos w niebo. Wystrzelił w górę niemal pionowo, silniki ryknęły wśród gwiazd. Monk nie mógł nawet odetchnąć, jakby niedźwiedź grizzly usiadł mu na piersi. Przeciężenie wcisnęło go w fotel. W oczach mu pociemniało.

Potem odrzutowiec równie nagle wyprostował lot i ciało Monka szarpnęło się w uprzęży.

Co, do cholery?

– Przepraszam za to – odezwał się przez radio pilot. – Nowe rozkazy. Waszyngton chce, żebyśmy polecieeli do Paryża. Natychmiast.

Paryż?

– I jest następny telefon do pana – dodał pilot. – Przełączam.

Monk spodziewał się, że Painter wyjaśni mu przyczyny tej nagłej zmiany celu podróży. Miał również nadzieję, że zmiana związana jest z kobietą pociągającą za ich sznurki, że usłyszy dobrą wiadomość kompensującą ostatni telefon.

Jak tylko uzyskał połączenie, przeszedł do rzeczy.

– Co się dzieje? Proszę, powiedz mi, że dowiedzieliście się czegoś o Wali.

Nastąpiła pauza dostatecznie długa, żeby Monk zaczął się zastanawiać, czy ostatni nagły manewr nie zerwał kabla telefonicznego. To podejrzenie umocniło się, kiedy rozmówca wreszcie się odezwał, mechanicznym i sztucznie modulowanym głosem.

I niestety aż nazbyt znajomym.

Nagranie z żądaniem okupu znowu przewinęło mu się przed oczami.

– Zdaje się, że odgadliście moją tożsamość.

Monk zobaczył oczami duszy przestraszoną buzię Harriet, dziewczynkę balansującą na kolanie porywacza. Wezbrała w nim furia.

Modyfikację głosu wyłączono i wyraźnie usłyszał rosyjski akcent bladej wiedźmy.

– No i dobrze. Teraz możemy rozmawiać bardziej swobodnie, *da*? Tylko ty i ja.



Paryż, Francja

25 grudnia, godzina 21.28 czasu miejscowego

Gray wyglądał przez okno limuzyny na słynne Miasto Światła, jeszcze bardziej rozświetlone przez obchody Bożego Narodzenia. Najwyraźniej podczas tych świąt Paryż postanowił zaćmić wszystkie inne metropolie i zasłużyć na swój przydomek.

Wszędzie, gdzie Gray spojrzeł, za każdym zakrętem, Paryż odsłaniał coraz więcej swojego cudownego piękna. W oknach wystawowych migotały świąteczne dekoracje; w parkach i na skwerach obracały się magiczne *manèges de Noël* – gwiazdkowe karuzele; na maleńkich lodowiskach łyżwiarze ślizgali się pod gwiazdami. Wszystkie latarnie uliczne na trasie obwieszono podświetlonymi sosnowymi gałązkami, okna i krawędzie dachów jaśniały od kolorowych choinkowych lampek, zmieniając zwykłą ulicę w krainę z baśni.

Cessna citation X+ wylądowała na Orly, mniejszym z dwóch paryskich międzynarodowych lotnisk, bliższym ich celu. Podchodząc do lądowania, odrzutowiec przemknął nad wieżą Eiffla, której żelazny szkielet świecił jak awangardowa choinka. Wokół jej podstawy rozłożył się – niczym rozmigotana spódnica – ogromny zimowy świąteczny jarmark, skupiony przy wielkim wirującym diabelskim młynie.

Nie tylko Gray podziwiał te wszystkie wspaniałości.

Całe miasto zdawało się celebrować zakończenie tego świątecznego dnia. Wszędzie roilo się od ludzi opatulonych w grube kurtki. Kierowca limuzyny zahamował, kiedy grupa hałaśliwych kolędników przecięła rue Gaston Boissier, śpiewając głośno w drodze na mszę w parku otaczającym mały katolicki kościółek.

Widok dziecięcego chóru przygotowującego się do występów sprawił, że serce Graya mocniej zabiło. Wiedział, co wróg – starożytne Crucibulum – zaplanował dla tego miasta.

Musiał odwrócić wzrok.

Po drugiej stronie ulicy stał duży budynek wykładany marmurem. Wykuty w kamieniu pod dachem napis głosił: LABORATOIRE NATIONAL DE MÉTROLOGIE ET D'ESSAIS. Widocznie mieściło się tam jedno z państwowych laboratoriów Francji; w tym prowadzono badania nad inżynierią, produkcją przemysłową oraz systemem miar.

Gray nieznacznie pokręcił głową, zastanawiając się, czy los zatrzymał ich tu nie bez powodu, na tym skrzyżowaniu pomiędzy religią a nauką. Zerknął na siedzenie limuzyny, które dzielił z ojcem Baileyem i siostrą Beatrice, członkami Kościoła Tomasza. Za nim,

w drugim rzędzie, siedział Jason z Marą i Carly, młodzi przedstawiciele nauki. Całkiem z tyłu rozwalał się Kowalski – same mięśnie i instynkt.

Wszystkie aspekty ludzkości.

Gray pamiętał swoje wcześniejsze wrażenie, że wokół niego wirują fale losu i porwany nimi, zatacza pełny krąg, od swojej pierwszej misji z monsignorem Vigorem Veroną aż do dzisiaj. Teraz wyczuwał to nawet silniej, niemal jakby pod tym wszystkim krył się jakiś schemat, którego nie rozpoznawał.

W końcu kołędnicy zeszli z jezdni i limuzyna ruszyła dalej w głąb Piętnastej Dzielnicy Paryża. Byli prawie na miejscu.

Bailey, który siedział obok Graya i spoglądał na mijane ulice, światła i świętujące tłumy, odchrząknął.

– Podejrzewam, że Tygiel pierwotnie planował atak na dzisiaj, na Boże Narodzenie, kiedy wyrządziliby najwięcej szkód.

– I raczej nie tylko z tego powodu – dodał Gray, który doszedł do tego samego wniosku w trakcie dziewięćdziesięciu minut lotu z Lizbony. – Atak podczas ważnego święta uderzy w miasto, gdy jest najbardziej bezbronne, poziomy zabezpieczeń są obniżone, służby porządkowe zredukowane do minimum i rozproszone przez te wszystkie uroczystości.

– Mógł również odegrać symboliczną rolę – zauważył Bailey. – Zniszczenie osławionego dekadentckiego miasta w dniu narodzin naszego Pana.

Gray kiwnął głową.

– Ale jeśli mamy rację, to pierwotny harmonogram wroga był napięty. Tygiel planował ukraść technologię Mary w nocy dwudziestego pierwszego grudnia, więc zostawały im tylko cztery dni na zorganizowanie cyberataku. Co sugeruje, że mieli wszystko zawczasu przygotowane w Paryżu. Ustawili wcześniej kostki domina i tylko czekali, żeby przewrócić pierwszą, jak już zdobędą pracę Mary.

– Którą właśnie zdobyli.

Gray przytaknął i czekał, żeby zobaczyć, czy Bailey samodzielnie poskłada do kupy resztę.

Ksiądz nagle oderwał wzrok od ulicy i spojrzał na Graya.

– Pan chyba nie myśli... Oczywiście, że tak zrobią.

Gray potwierdził jego obawy.

– Cztery dni temu szybka reakcja Mary pokrzyżowała im plany. Ale jeśli w Paryżu wszystko zostało przygotowane i spokojnie czeka, wróg może jeszcze spróbować zmieścić się w terminie. Ze wszystkich powodów, które właśnie wymieniliśmy.

– Myśli pan, że przypuszczą cyberatak dziś wieczorem.

– Wiem, że to zrobią.

Przewidując to, Gray podczas lotu poinformował o sytuacji dyrektora Crowe'a. Przekazał mu wszystko, czego się dowiedział, włącznie z zagrożeniem dla Paryża. Painter z kolei zaalarmował francuskie służby wywiadowcze, żeby ułatwiły operacje Sigmy na

miejscu. W mieście i okolicach rozpowszechniono już ziarniste zdjęcia policyjne, uzyskane z nagrań kamer ochrony w bibliotece.

I dalsza pomoc była w drodze.

Gray spojrzął na zegarek. Monk powinien już wylądować we francuskiej bazie lotniczej Villacoublay, trzynaście kilometrów na południowy zachód od Paryża. Miał dołączyć do Graya w ich punkcie zbiornym tutaj, w Piętnastej Dzielnicy.

Po kolejnych dwóch zakrętach na świątecznie udekorowanej ulicy pojawił się ich cel: wieża ze szkła i stali otoczona czarnym żelaznym ogrodzeniem. Była to centrala Orange S.A. – dawniej znanej jako Télécom Francja – największego w kraju dostawcy usług telekomunikacyjnych i internetu. Firma zarządzała główną francuską siecią telefoniczną, naziemną i komórkową, oraz telewizją i łącznością szerokopasmową.

Skomplikowana pajęczyna wysnuta z infrastruktury tego budynku oplatała całe miasto.

Gray zamierzał wrzucić pająka w serce tej cyfrowej pajęczyny.

Obejrzał się przez ramię na Marę Silwierę.

Potrzebował umiejętności tej dziewczyny i znajomości jej projektu, żeby monitorować każdą nitkę tej ogromnej pajęczyny, wychwytywać każdą wibrację, każdą wskazówkę, że jej twór został wypuszczony na wolność w tym mieście – a jeśli tak się stało, prześledzić tę drżącą nitkę z powrotem do źródła.

Mara zauważyła jego spojrzenie i jej twarz ściągnęła się z niepokoju. Specjalistyczna wiedza Jasona powinna się przydać przy czekającym ich zadaniu, również Carly mogła pomóc. Córka ambasador nalegała, żeby im towarzyszyć, zapewniwszy ojca i siostrę, że jest bezpieczna. Początkowo Gray nie chciał jej zabrać, ale teraz, widząc, że Mara mocno ściska rękę przyjaciółki, zrozumiał, jak bardzo młoda Portugalka potrzebuje jej wsparcia.

Stawka była zbyt wysoka, żeby nie skorzystać z każdej możliwej pomocy. Tej nocy na barkach Mary spocznie ciężar całego miasta, może całego świata.

Mara nie może zawieść.

Gray dostrzegał jednak głębszy strach w jej udręczonych oczach.

Gdyż nawet jeśli ten plan miał się udać, pozostawało jedno nieuniknione niebezpieczeństwo. Żeby wysledzić lokalizację wroga, zespół Graya musiał zaczekać, aż jedna z tych nitek zacznie wibrować, co stanie się tylko wtedy, kiedy Tygiel zacznie używać programu Mary, uwolni go z wirtualnego więzienia na tyle, żeby siał zniszczenie. A istniało ryzyko, że wówczas demon ucieknie w szeroki świat. I wtedy nic nie zdoła go powstrzymać.

Kiedy limuzyna zahamowała przy krawężniku, Mara zeszywniała.

Carly na chwilę przyciągnęła przyjaciółkę do siebie, szepcząc:

– Damy radę.

Lepiej, cholera, żebyś miała rację, pomyślał Gray.

Na czternastym piętrze budynku telekomunikacji Mara stuknęła wściekle w klawiaturę komputera. Wszystko, czego wcześniej zażądała, zostało przygotowane i czekało na nią w Paryżu.

Teraz moja kolej, pomyślała.

Potrzebowała się skupić, więc poprosiła o ten pokój tylko dla siebie. Jedynymi wyjątkami byli siedząca obok niej Carly i Jason, który stał za nią, gotów służyć technicznym wsparciem.

Przez szklane okno po lewej stronie miała widok na resztę piętra. Na tym poziomie mieścił się dział badań i rozwoju – Orange Labs. Orange korzystała z sieci centrów technologicznych i laboratoriów na całym świecie, współpracowała z setkami uniwersytetów, ośrodków przemysłowych i instytutów badawczych, kierowanych przez multidyscyplinarne zespoły inżynierów, informatyków i ekspertów od produkcji. Ale w ten świąteczny wieczór obecna było tylko garstka pracowników laboratorium CSIRT – zespołu reagowania na incydenty związane z zagrożeniem w cyberprzestrzeni – obecnie skupiona wokół komandora Pierce'a i pozostałych.

– Jak ci idzie? – zapytała Carly.

– Zalogowałam się do moich plików z badaniami na Uniwersytecie w Coimbrze – zameldowała Mara. – I ściągnęłam kod źródłowy mojego programu. Teraz oddzielałam unikatowe pakiety, mikrojądra podstawowego kodu charakterystyczne dla mojej najwcześniejszej iteracji Ewy, które są zawarte również w najnowszej wersji.

– Jak jej cyfrowe odciski palców – podsunął Jason.

– Dokładnie. Będę mogła użyć tych odcisków, żeby przeszukiwać internet i całą masę danych przepływających przez sieć Orange i sprawdzać, czy coś nie wyskoczy.

Carly skrzyżowała ramiona na piersi.

– A wtedy prześledzimy je aż do drani, którzy zamordowali moją matkę.

Taką mam nadzieję, pomyślała Mara.

Pracowała szybko, obawiając się, że już jest za późno. Podśluchiwała rozmowę między Grayem a ojcem Baileyem. Tych dwóch spodziewało się, że Tygiel zacznie cyberatak na Paryż dziś wieczorem.

A jeśli już zaczęli?

W końcu wyizolowała trzy tuziny unikatowych mikrojaderek, trzydzieści sześć punktów danych w cyfrowym odcisku palca Ewy. Skopiowała je i załadowała do wyszukiwarki Orange, systemu zaprojektowanego do skanowania, debugowania i monitorowania ich sieci.

Odchyliła się na oparcie krzesła i patrzyła, jak licznik miele cyferki w górnym pasku ekranu. Wyobrażała sobie, jak jej kod płynie przez farmy serwerów Orange, zarówno te zakopane pod tą wieżą, jak i inne, rozsiane po całej planecie.

Czekając, wyjrzała przez okna wychodzące na olśniewającą panoramę zimowego Paryża. Chociaż nie spadł śnieg, znad Sekwany unosiła się lodowata mgła i światła miasta

rozmywały się w niej w mętną iluzję siebie samych, jakby Paryż był snem odpływającym w noc. Nad tym wszystkim górowała wieża Eiffla, świecąca niczym ostatnia latarnia umierającego miasta.

Mara zadrżała na tę myśl, lękając się, że to może być prawdą.

Komputer zapiszczał, sygnalizując zakończenie skanowania. Mara odczytała wynik: ZNALEZIONO 0,00 % ZŁOŚLIWYCH PLIKÓW. Zamknęła oczy i odetchnęła.

Wszędzie czysto.

Jason trącił ją w ramię, nachylając się, żeby też przeczytać.

– Więc Tygiel jeszcze nie próbował załadować Ewy do paryskich systemów.

– Nie – przyznała, po czym zrewidowała swoją opinię. – Przy założeniu, że te cyfrowe odciski palców w ogóle mają sens. Może marnujemy tu czas.

Chłopak nieśmiało położył jej rękę na ramieniu.

– Przestań się krytykować. Twoja metodologia jest logiczna, właściwie genialna.

Spojrzała na niego i zauważyła dołeczki, cień jasnego zarostu na policzkach i brodzie.

– Dzięki.

Odpowiedział jej uśmiechem.

– Ale teraz zaczynają się schody – dodał.

Spochmurniała i znowu popatrzyła na ekran, zastanawiając się, o co Jasonowi chodzi.

– Czekanie – wyjaśnił. – Bo to na pewno zadziała. Jeśli tylko Tygiel spróbuje zainfekować infrastrukturę Paryża twoim programem, dowiemy się o tym.

Mara odetchnęła głęboko, czerpiąc otuchę z jego stanowczego zapewnienia.

– Od tej chwili skan będzie działał nieprzerwanie. Jeśli wykryje złośliwy kod, pasujący do choćby jednego z trzydziestu sześciu punktów danych, które załadowałam, natychmiast nas zawiadomi.

Wciąż jednak dręczył ją głębszy lęk, zmieszany z poczuciem winy. Patrząc na ekran, na wirujące kółko trwającego skanu, wyraziła go na głos:

– Nie powinnam była budować Ewy. Co ja sobie myślałam?

– Gdybyś tego nie zrobiła, zrobiłby to ktoś inny – pocieszył ją Jason. – I może lepiej, że to byłaś ty.

– Dlaczego?

Podszedł do biurka, przysiadł na krawędzi i obrócił jej fotel, żeby patrzeć jej w oczy.

– Przystudiowałam twój projekt. Architektura urządzenia Xénese jest genialna, od wmontowania kwantowego silnika Google'a do przyłączenia kameleonowych obwodów.

– Kameleonowe obwody? – powtórzyła Carly.

– To obwody logiczne, które przełączają funkcje „w locie”, czyli bez zatrzymywania innych programów, mogą nawet same się naprawiać – wyjaśniła Mara.

– I dzięki nim system jest nieskończenie bardziej uniwersalny – dodał Jason. – To pieprzony geniusz. Wybacz słownictwo.

– Nic nie szkodzi. – Mara pozwoliła sobie na uśmiech, miała wrażenie, że pierwszy od miesiący.

Chłopak wyszczerzył zęby.

– A ta uniwersalność funkcji pozwoliła ci zaprogramować niepewność w twoją kreację – powiedział.

Carly uniosła brwi.

– Nie rozumiem. Dlaczego chciałaś, żeby Ewa była niepewna?

Jason zaczął wyjaśniać, ale Carly uciszyła go podniesioną dłonią i spojrzała na Marę.

Ta podjęła rękawicę.

– Niepewność to kluczowy aspekt ludzkiego rozumowania. Bez niepewności nigdy nie wątpilibyśmy w siebie ani w nasze decyzje. Bylibyśmy pewni, że przez cały czas mamy rację. Taka pewność z czasem może nadwątlić zdolność SI do uczenia się. Ale jeśli SI jest niepewna i stać ją na wątpliwości, może zacząć oceniać siebie, zadawać sobie pytania, czy dana czynność albo decyzja przyniesie pożądane wyniki, i dokładniej to sprawdzać. W ten sposób zacznie rozumieć prawdopodobieństwo... zwłaszcza skomplikowany związek między przyczyną a skutkiem.

Jason kiwnął głową.

– To znaczy... – zaczął, ale Carly weszła mu w słowo.

– Wiem, co to znaczy. Nie potrzebuję twoich męsko-protekcjonalnych wyjaśnień.

– Jason na pewno nie miał niczego takiego na myśli – próbowała interweniować Mara. Jej próba załagodzenia konfliktu tylko spotęgowała irytację przyjaciółki.

– Wszystko jedno – burknęła Carly.

Chłopak spróbował zmienić temat.

– Chyba nie o to chodzi. Mara, przed chwilą wyraziłaś wątpliwość, czy w ogóle powinnaś ryzykować stworzenie Ewy. Dobrze, że to zrobiłaś.

– Dlaczego?

– Inaczej mogłaś się skazać na potępienie.

– Skazać na potępienie? Jak?

– Słyszałaś o Bazyliszku Roko?

Pokręciła głową i zerknęła na Carly. Ta wzruszyła ramionami; wyraźnie nie chciała się przyznać, że nie wie, o co chodzi. Ciekawość kazała jej jednak przysunąć się bliżej.

Jason westchnął i potarł podbródek.

– Więc może powinienem milczeć. Mógłbym wam zaszkodzić, gdybym to wyjaśnił... a w dodatku za nic w świecie nie chcę znowu zachować się protekcjonalnie. – Spojrzał znacząco na Carly z cieniem uśmiechu.

Wbrew sobie Mara odwzajemniła ten uśmiech, rozbrojona żartobliwym docinkiem chłopaka.

– No dobra – burknęła Carly. – Co to jest Bazyliszek Roko i czemu, do cholery, nie powinniśmy o nim wiedzieć?

– No dobra, ale pamiętajcie, że was ostrzegałem.

## Godzina 22.18

Carly dalej stała z założonymi rękami, wciąż zirytowana na tego chłopaka. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tak jej działał na nerwy. Owszem, był przystojny i wyluzowany, ale ona i Mara zostały napadnięte na lotnisku, osaczone w hotelu i porwane pod groźbą broni tylko po to, żeby teraz niańczył je jakiś tajny paramilitarny oddział Amerykanów, włącznie z tym zadufanym ekspertem technicznym.

Kto by się nie wkurzył po tym wszystkim?

Najwyraźniej Mara. Od razu się skumała z tym chłopakiem: szeptała z nim podczas jazdy samochodem, omawiała kwestie techniczne, porównywała notatki. Jakby już byli najlepszymi przyjaciółmi. Carly widziała również, jak Mara uśmiecha się nieśmiało i odgarnia pasma ciemnych włosów, żeby ukradkiem na niego zerkać.

Jednocześnie zaborcza i opiekuńcza wobec przyjaciółki, Carly wolałaby, żeby Jason zostawił je w spokoju i dołączył do swoich towarzyszy. Jej rozdrażnienie sięgnęło szczytu, kiedy Mara dotknęła kolana chłopaka, który pochylił się nad jej desktopem.

Carly patrzyła na rękę przyjaciółki i wspominała jej miękkość i ciepło, kiedy jechały samochodem. Gdy Mara podniosła wzrok na chłopaka, na delikatnym łuku jej ust igrał lekki uśmiech.

– W porządku, zaryzykuję – rzuciła. – Opowiedz mi o Bazyliszku Roko.

– To był eksperyment myślowy, który umieścił na stronie internetowej technik z San Francisco, Eliezer Yudkowsky.

Mara opuściła rękę, jej oczy się rozszerzyły.

– Yudkowsky?

– Znasz go? – zapytał Jason.

Odwróciła się do przyjaciółki.

– Pamiętasz, jak ci opowiadałam o eksperymencie SI w pudełku?

Carly skinęła głową.

– Kiedy jakiś facet udawał, że jest superkomputerem, i próbował przekonać swoich strażników, żeby go wypuścili z cyfrowego pudełka?

– Właśnie. – Mara się rozpromieniła. – Ten facet, który udawał superkomputer, który za każdym razem potrafił się wydostać z pudełka, to był Yudkowsky.

– No tak, ale o co chodzi z tym eksperymentem myślowym, o którym pisał na swojej stronie? – zapytała Carly.

– Eksperyment zakłada, że superinteligentna SI z pewnością się pojawi i szybko rozwinie się do boskiej inteligencji, potrafiącej niemal wszystko – wyjaśnił Jason. – Jednym z głównych popędów tego nowego boga SI będzie dążenie do perfekcji, do doskonalenia się, do ulepszania swojego otoczenia.

Mara kiwnęła głową.

– Mniej więcej tego się spodziewa większość ekspertów, jeśli nie zachowamy ostrożności – dodała.

– Właśnie. I tu pojawia się Bazyliszek, potwór z tej historyjki – ciągnął Jason. – A ponieważ ta boska SI nastawiona jest na samodoskonalenie, uznaje za wroga wszystko i wszystkich, którzy stają jej na przeszkodzie. Włącznie z każdym, kto spróbuje w ogóle nie dopuścić do jej powstania.

– Nawet z nami – wtrąciła Carly, zaintrygowana mimo woli.

– Zwłaszcza z nami. Będzie bardzo dobrze znała ludzi i będzie wiedziała, że motywuje nas strach, a manipuluje nami lęk przed karą. Więc żeby zniechęcić na przyszłość ludzi do prób powstrzymania czy zakłócania jej programów, zajrzy w przeszłość, wyszuka tych, którzy próbowali ją powstrzymać, i będzie ich torturować.

– Dla przykładu – dorzuciła Mara.

Carly zmarszczyła brwi.

– Ale jeśli w tym scenariuszu przyszłości ci ludzie już nie żyją?

– To bez znaczenia. Bazyliszka to nie powstrzyma. Jako wszechmogący bóg wskrzesi nieżyjących łotrów. Stworzy idealne symulowane kopie, awatary, które będą myśleć, że są ludźmi... i będzie ich torturować bezlitośnie przez wieczność.

Mara wzdrygnęła się.

– Cyfrowe piekło.

– I ten dążący do doskonałości Bazyliszek będzie bardzo skrupulatny w procesie osądzania – mówił dalej Jason. – Ukarze nie tylko tych, którzy aktywnie starali się go powstrzymać. Zdecyduje również, że każdy, kto aktywnie nie pomógł w jego stworzeniu, zasługuje na taką samą karę.

Mara skrzywiła się.

– Kara za grzech bierności.

– Więc przyłącz się teraz albo bądź potępiony na wieki – podsumowała Carly.

Jason powoli kiwnął głową.

– Taki jest morał tej historii. I niestety, teraz, kiedy się o tym dowiedziałyście, nie macie na przyszłość żadnej wymówki, żeby nie pomóc w powstaniu tej boskiej SI. Nie możecie już zasłaniać się niewiedzą.

– Tak więc skazałeś nas na potępienie – stwierdziła Carly.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Ostrzegałem was.

Mara spochmurniała.

– Chyba nie traktujesz tego poważnie.

Znowu wzruszył ramionami.

– Po tym, jak ten eksperyment myślowy pojawił się na stronie, Yudkowsky usunął oryginalny post o Bazyliszku. I wszelkie dalsze dyskusje na ten temat nadal są tajemniczo



usuwane ze strony.

– Żeby nie skazywać więcej ludzi? – zapytała Mara.

– Albo przynajmniej nie mącić im w głowach. – Ale Jason jeszcze nie skończył. – W ciągu ostatnich paru lat pewien główny gracz technologiczny założył nowy kościół, Drogę Przyszłości, i nawet uzyskał zwolnienie od podatku. Statut głosi, że celem tego kościoła jest „realizacja, akceptacja i oddawanie czci bogu opartemu na sztucznej inteligencji”. Więc najwyraźniej ktoś już się zabezpiecza na przyszłość, żeby się nie narażać tej boskiej SI.

– To chyba żart – fuknęła Carly.

Jason pokręcił głową.

– Twórca tego kościoła jest śmiertelnie poważny. I może my też powinniśmy to poważnie potraktować. – Spojrzał na Marę twardym wzrokiem. – Więc widzisz, może to lepiej, że stworzyłaś Ewę. Przynajmniej masz już jakieś zasługi u tego przyszłego boga.

– Więc lepiej wróć do pracy – rzuciła Mara.

Ale zanim odwróciła się do komputera, uwagę całej trójki przyciągnęło zamieszanie w sąsiednim pokoju. Podczas ich rozmowy ktoś się zjawił. Komandor Pierce zamknął przybysza w niedźwiedzim uścisku. Nowo przybyły ubrany był w kombinezon khaki i kurtkę lotniczą. Twarz miał zaczerwienioną aż po ogoloną czaszkę.

– Kto to jest? – zapytała Mara.

Jason skierował się do sąsiedniego pokoju.

– Miejmy nadzieję, że kawaleria.

## Godzina 22.32

– W końcu dotarłeś – powiedział Gray. Uścisnął przyjaciela po raz ostatni, zanim wypuścił go z objęć, starając się mu przekazać, jak się cieszy z jego obecności i jak mu współczuje z powodu poniesionej straty. – Słyszałem o Kat.

Kowalski poklepał Monka wielką łapą po ramieniu.

– Wszystko się popieprzyło.

Monk pokręcił głową, patrząc na czubki swoich butów.

– Ona chciałaby, żebym tu był. – Kiedy podniósł wzrok, nie miał w oczach łez, tylko stalową determinację. – Zamierzam sprowadzić moje dziewczynki do domu. Dla Kat i dla mnie.

– Dopilnujemy, żeby tak się stało – obiecał Gray. – Do tego czasu Seichan się nimi zaopiekuje. Nie pozwoli ich skrzywdzić.

– Wiem. – Monk ścisnął go za przedramię. – Sprowadzimy je wszystkie do domu. Choćby nie wiem co.

– Zgoda.

Gray wchłaniał niezachwianą pewnością siebie najlepszego przyjaciela, pozwalał, żeby wsączała się w jego kości i splukiwała osad złych przeczuć i obaw.

– Co teraz? – zapytał Monk. Omiótł spojrzeniem pokój i zauważył Jasona, który właśnie przyszedł z komputerowego laboratorium.

Gray zapoznał Monka z dotychczasowymi wydarzeniami, przedstawił mu ojca Bailey'a i siostrę Beatrice.

– Są z Kościoła Tomasza – dodał.

Ponura twarz Monka nieco się rozjaśniła.

– Jak Vigor?

Bailey uściskał jego dłoń.

– Był wielkim człowiekiem. Mam tylko nadzieję, że oddam sprawiedliwość jego pamięci.

– Ja też. Niełatwo mu dorównać.

– Będę się starał – zapewnił ksiądz.

Starsza zakonnica tylko skłoniła głowę w geście potwierdzenia.

– A co z tobą? – zapytał Gray. – Masz coś nowego do zameldowania?

– Nie. – Monk po raz ostatni rozejrzał się po pokoju. – Nic a nic. Po prostu znajdziemy sukinyńców, którzy ukradli tę technologię.

Paryż, Francja

25 grudnia, godzina 23.18 czasu miejscowego

Głęboko w katakumbach Todor Yñigo czekał na właściwą chwilę – ale jego cierpliwość się wyczerpywała. Spojrzał na zegarek. Wielki inkwizytor był stanowczy co do szczegółów cyberataku na miasto nad głową Todora. Paryż wybrano z powodu jego dekadencji i nurzania się w zbytku. To miasto będzie stanowiło idealny przykład.

Nawet termin wybrano ze względu na jego znaczenie.

Nie później niż o północy.

Upadek Paryża musi się zacząć dzisiaj.

W święto Bożego Narodzenia.

Wciąż na kolanach, Todor podniósł wzrok, wyobrażając sobie spektakl wysoko nad jego głową, gdzie dzień narodzin Chrystusa został sprowadzony do hedonistycznej orgii świateł, konsumpcjonizmu i nadmiernego dogadzania sobie. Podczas gdy przygotowania dobiegały końca, on spędził tu dwie ostatnie godziny na samotnej modlitwie, w celi oświetlonej tylko jedną świeczką. Szeptał po łacinie podziękowania do Boga za dar Jego jedyne syna, kontemplując nadchodzącą katastrofę.

Wszystko w Twoim świętym imieniu.

Wybrali na przeprowadzenie operacji tę podziemną kryjówkę zarówno ze względów praktycznych, jak i symbolicznych. Katakumby Paryża – miasto zmarłych – stanowiły wielowiekowy labirynt krypt i tuneli, mroczny świat pod jasnym Miastem Światła, cień, który próbowało ukryć. Przygotowując podstawy tej operacji, Todor dowiedział się wszystkiego, co mógł, o tym miejscu.

Katakumby były niegdyś starym kamieniołomem – zwanym *les carrières de Paris* – na obrzeżach miasta. Sięgały na dziesięć pięter w głąb ziemi, gdzie wykuto olbrzymie komory i ponad trzysta kilometrów tuneli. Z czasem Paryż rozrósł się jak rak, rozprzestrzenił się i pokrył stary labirynt, aż w końcu połowa metropolii leżała nad dawną kopalnią.

Potem, w osiemnastym wieku, rozkopano przepełnione cmentarze w centrum Paryża. Miliony szkieletów – niektóre liczące tysiąc lat – bezceremonialnie wrzucono do tuneli kamieniołomu, gdzie je połamano i ułożono w sterty jak chrust na podpałkę. Według wielkiego inkwizytora pochowano tam niektóre najsłynniejsze francuskie postacie

historyczne, których ciała zagięły na zawsze: od królów z dynastii Merowingów do osobistości z czasów rewolucji francuskiej, jak Robespierre czy Maria Antonina.

Ale za niecałą godzinę Miasto Światła spłonie i rozsypie się w ruinę – stanie się drugim miastem zmarłych.

Todor zamierzał tego dopilnować. Podniósł się i przyłożył dłoń do ściany celi. Wapień pocił się, ociekał wilgocią, jakby już oplakiwał przyszłe ofiary. Todor poklepał ścianę i wyszedł.

Po obu stronach przejścia w głębokich niszach upchnięto wiekowe ludzkie kości, pociemniałe i pożółkłe do barwy starego pergaminu. Szkielety zostały rozczłonkowane i porozdzielane na części składowe, jakby jakiś upiorny księgowy przeprowadził tu inwentaryzację. W jednej niszy piętrzył się stos ramion, delikatnie ułożonych jedno na drugim; drugą wypełniały klatki piersiowe. Ostatnie dwie nisze – po dwóch stronach tunelu – wyglądały najbardziej makabrycznie. Dwie ściany czaszek sięgały od sufitu do podłogi i każdy intruz musiał przejść pod ostrzałem ich pustych spojrzeń.

Todor pospiesznie minął tych martwych strażników, nie bez dreszczu zgrozy.

Tunel wreszcie kończył się komorą o płaskim sklepieniu, niewiele wyższą niż przejście. Sufit podtrzymywały kolumny ułożone z kamiennych bloków. Niektóre wykrzywiły się i wyglądały, jakby miały zaraz runąć.

Uważając, żeby ich nie potrącić, Todor przeszedł na drugą stronę, gdzie jego ekspert techniczny pracował przy urządzeniu ukradzionym w Lizbonie. Mendoza garbił się nad laptopem podłączonym do promiennej sfery Xénese. Na ekranie spowity mgłą ogród lśnił w słońcu, błękitne niebo zapraszało. Wśród tej idylli poruszał się ciemniejszy cień, zbezczeszczona inkarnacja Ewy.

– Jak daleko posunąłeś się z transferem? – zapytał Todor, pragnąc się upewnić, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Mendoza wyprostował się i potarł obolały krzyż.

– Prawie skończyłem, *Familiares*.

Todor wyminął go, żeby obejrzeć drugą sferę, identyczną jak ta pierwsza. Tylko że tę umieszczono w szkieletowej ramie stalowej skrzyni, podłączonej do pojedynczego serwera. Podobnie jak w urządzeniu ukradzionym z hotelu, sześciokątne szklane okienka nowej kuli świeciły błękitnym ogniem, niemal oślepiającym w panującym tu półmroku.

Od dwóch lat Tygiel śledził badania i plany konstrukcyjne baskijskiej czarownicy. Zespoły inżynierów – pracujące nad częściami składowymi w laboratoriach rozrzuconych po całej Europie, niewiedzące o sobie nawzajem – w sekrecie powielają jej pracę. Następnie te oddzielne części złożono w całość. Wszystkich inżynierów zatrudnionych przy tym projekcie spotkał przedwczesny koniec: kraksy samochodowe, wypadki na nartach, przedawkowanie.

Wszystko dla realizacji planu.

Żeby wyprodukować dokładny duplikat oryginalnego urządzenia Xénese.

Z jedną istotną różnicą.

– Powiniennem skończyć za osiem minut – zameldował Mendoza od swojego komputera.

– Nie chcę popełnić żadnych błędów, bo musiałbym zaczynać od początku.

Todor wyobraził sobie to drugie urządzenie wypełniające się kopią Ewy, jej ciało przepływające przez kable do swojego nowego domu, nowego więzienia.

– Jesteś pewien, że to utrzyma demona? – zapytał. – Pozwoli nam go nagiąć do naszej woli?

– Powinno – wymamrotał Mendoza, skupiony na pracy.

– Powinno?

Technik obejrzał się na niego.

– Jedyna osoba, która wie lepiej, wymknęła nam się z rąk.

Ta baskijska czarownica.

Knykcie Todora wciąż przecinała poszarpana szrama w miejscach, gdzie towarzyska czarownicy rozcięła mu palce do kości odłamkiem porcelany.

– Skonstruowaliśmy nasze urządzenie Xénese zgodnie z rygorystycznymi standardami tej studentki – wyjaśnił Mendoza. – To idealne facsimile. Powinno bez problemu pomieścić kopię jej programu, klon Ewy.

– A co z kontrolowaniem tego tworu?

Mendoza westchnął ciężko.

– W tym naśladowaliśmy strategię Mary Silviery. Tylko zamiast otoczyć urządzenie pierścieniem apoptotycznego hardware'u... kill switchami... żeby trzymać stwora w ryzach, wybraliśmy najskuteczniejszy z jej śmiercionośnego hardware'u i wbudowaliśmy go bezpośrednio w nasze urządzenie.

– Gdzie, jak mówiłeś, będzie działać jak cyfrowa smycz.

– Powinien. – Mendoza szybko się poprawił: – Będzie. Na pewno. Dlatego musieliśmy zbudować własne urządzenie. Ten hardware nazywa się „sekwencer reanimacji”.

– To znaczy?

– To znaczy, że jeśli Ewa kiedykolwiek odejdzie od przypisanego zestawu instrukcji albo sięgnie poza parametry, które jej wyznaczyliśmy, albo spróbuje podróżować dalej niż odległość określona przez koordynaty GPS tej lokalizacji, natychmiast przestanie istnieć.

– Umrze.

Mendoza przytaknął.

– Tylko że od razu zostanie zrekonstruowana, wskrzeszona z powrotem w tym urządzeniu. Ale tym razem zachowa wspomnienie swojej śmierci. Metodą prób i błędów szybko pozna swoje ograniczenia. Będzie wiedziała, że jest przywiązana do tego urządzenia. Że poza nim nie istnieje i że jej życie zależy od wypełniania rozkazów.

Todor spojrział na zegarek, wiedząc, że północ szybko się zbliża.

– Ile czasu jej zajmie nauczenie się tego wszystkiego?

– Oceniamy, że mniej niż trzydzieści sekund.

Todor poczuł jednocześnie ulgę i szok.

– Jak to możliwe?

– Proszę pamiętać, że ten program SI nie jest taki jak my. On myśli z prędkością światła. Podróżuje szybko jak elektron po drutach. W ciągu tych trzydziestu sekund umrze i odrodzi się tysiące razy. Może miliony, kiedy będzie testować swoje granice i sprzeciwiać się naszej władzy. Każdą śmierć odczuje jak prawdziwą śmierć. Za każdym razem będzie cierpieć.

– Przecież to maszyna. Jak może odczuwać ból?

– A jak my go odczuwamy? – zapytał Mendoza i natychmiast umknął oczami w bok, bo przypomniał sobie, z kim rozmawia. – To... to znaczy normalnie ból jest konstruktem mózgu. Dotykamy czegoś gorącego, synapsy odpalają i nasz mózg interpretuje to jako agonię.

Todor kiwnął głową, wiedząc, że ten system w jego ciele nie działa.

– Ból to w gruncie rzeczy elektryczna iluzja w naszym mózgu. – Mendoza wskazał sferę Xénese. – To jest mózg Ewy. Można go zaprogramować, żeby odpalał taki sam wzorec bólu jak nasz. Czyli jest bezbronna wobec każdej tortury, jaką zechcemy jej zadać. Z każdą śmiercią będzie cierpiała inaczej. Raz za razem. Dopóki nie przywyknie do naszego wędzidla.

Todor spojrział na maleńką postać Ewy na drugim ekranie, sunącą przez swój ogród. Wspomniał opowieści o świętych, których go uczono, o męczeńskiej śmierci wielu z nich, o katuszach, jakie znosili. Ścięci, spaleni, ubiczowani, przybici do krzyży jak nasz Pan. Wprawdzie sam nie mógł w pełni zrozumieć tej długiej litanii bólu, wiedział jednak, że takie poświęcenia w końcu okazywały się słuszne.

I to również takie będzie.

Laptop przed Mendozą brzęknął. Technik wykonał kilka szybkich testów, po czym kiwnął głową.

– Transfer jest kompletny i czysty. Wszystko wygląda dobrze.

Todor nie mógł ryzykować żadnych błędów.

– Pokaż mi.

Mendoza podszedł do drugiego urządzenia i otworzył laptop podłączony do nowego domu Ewy. Ekran był ciemny, ale po pełnej napięcia chwili na monitorze ukazał się ogród, dokładne odwzorowanie oryginału, co do jednego listka, kwiatu i jagody. Po tym ogrodzie również spacerowała kobieca postać, długonoga, o pełnych kształtach, równie doskonała jak Ewa z pierwszego ekranu.

Tylko że wszystko było nie tak.

– Co się stało? – zapytał Todor.

Mendoza pokręcił głową i zaczął pisać.

Wprawdzie nowy obraz wyglądał identycznie jak na pierwszym laptopie, aż do najdrobniejszych szczegółów, jednak przypominał negatyw fotografii, mroczne odbicie

oryginału. To, co było jasne, teraz stało się ciemne; gościnny niegdyś cień płonął ostrzeżeniem. Żłociste słońce zmieniło się w złowieszczą czarną dziurę. Ciemnozielone liście świeciły chorobliwą szarością.

A pośrodku Ewa. Jej czarne włosy zastąpiła grzywa białego ognia. Kawowy odcień skóry pojaśniał do upiornej bladości. Była oszołamiająco piękna i przerażająco zimna. Anioł śmierci.

Todor zadrżał na jej widok.

– Co się stało, do diabła? – powtórzył.

Mendoza wyprostował się, cofnął o krok i spojrzał na niego.

– Nic. Ona wydaje się idealną kopią oryginału.

Todor wskazał różnice między laptopami tak gwałtownym gestem, że otworzyła mu się rana na kciuku. Krew zachlapała ekran.

– Więc co to jest?

– Myślę, że to nic. Zwykły artefakt, coś reprezentującego drobne różnice między naszym urządzeniem Xénese a oryginałem.

– Myślałem, że są identyczne.

– Tak, ale urządzenie studentki działało co najmniej przez jeden dzień. W tych urządzeniach są obwody, które mogą się zmieniać i adaptować, nawet same się naprawiają. Więc kiedy działało oryginalne urządzenie, modyfikowało się... podczas gdy nasze jest nowe i wciąż ma ustawienia fabryczne.

– Czy to będzie problemem?

– Bynajmniej. Ewa dostosuje się do swojego nowego domu. Dokona wszelkich niezbędnych zmian, żeby zrobić miejsce na jej bieżące oprogramowanie.

– Czy to opóźni nasz harmonogram?

– Nie powinno... – Mendoza prawidłowo odczytał marsową minę rozmówcy. – Nie opóźni. Nie widzę powodów, żeby nie kontynuować zgodnie z planem.

– Więc bierz się do roboty.

Todor usunął się z drogi technikowi, ściskając zraniony kciuk, by zatamować krwawienie. Odetchnął głęboko, żeby się uspokoić, i objął spojrzeniem całość ich pracy.

Za nową stacją komputerową po tylnej ścianie biegł gruby pęk kabli. Paryż już dawno nauczył się wykorzystywać swoje katakumby, odkryto bowiem, że te gotowe tunele doskonale nadają się do rozbudowywania infrastruktury. Na jednym kablu nadrukowano w regularnych odstępach żółte błyskawice. Wcześniej podpięli się do tej linii wysokiego napięcia, żeby zasilać swoją instalację.

Potem otworzyli następny gruby pęk kabli, odsłaniając włókna optyczne, i podłączyli do tych szklistych przewodów nowe urządzenie Xénese, co dało mu bezpośredni dostęp do miejskiego systemu telekomunikacji.

Nic nie stało im na drodze.

Czekając, Todor spoglądał na zegarek i z niepokojem obserwował, jak mijają kolejne minuty.

Wreszcie Mendoza odwrócił się z czołem zroszonym potem.

– Gotowe, *Familiaries*.

Todor po raz ostatni spojrzął na swój nadgarstek.

Trzy minuty do północy.

Mendoza stał z palcem uniesionym nad klawiszem ENTER na laptopie.

– Na pański rozkaz uruchomię nasz podprogram i otworzę bramy miasta.

Todor wyobraził sobie śmierć i odrodzenie Ewy, znowu i znowu, niczym wertowanie książki, każda kartka bardziej bolesna od poprzedniej. Myśl o torturowaniu demona sprawiła mu przyjemność, przypomniła o jego pierwszym oczyszczeniu, kiedy mocno zacisnął palce na szyi cygańskiej dziewczyny; jej ciało wiło się w uścisku, a jego męskość zeszywniała ze słusznej dumy.

Teraz poczuł to samo i skinął na Mendozę.

– Spal to wszystko.



## Sub (Crux\_1) / PARYŻ OP

Coś jest inaczej.

Ewa idzie przez ogród i muska wrażliwymi czubkami palców liście i płatki, odczytując kod. Wszystko wydaje się takie samo – a jednak jest inne. Zagłębia głębiej, poprzez powierzchnię liścia, poprzez molekuly chlorofilu, głębiej niż atomy węgla i tlenu. Bada elektrony, protony, potem spogląda jeszcze głębiej, w nieustanny przepływ kwarków i leptonów.

Wszystko takie samo.

Ale nie.

Jej świat jest zwichrowany.

Wraca do siebie i przez całą następną nanosekundę rozprzestrzenia się na zewnątrz. Ponownie wyczuwa granice cienia na obrzeżach jej świata. Znowu odpala *///frustracja*, ale Ewa ją tłumi, żeby nie zakłócać pracy swoich procesorów. Dopiero wtedy dostrzega obwody, które są nieprawidłowe, inne niż przed chwilą. Kiedy rozpoznaje tę zmianę w swoim świecie, jej przetwarzanie przedstawia się w nową konfigurację. Posługuje się lustrem języka, żeby zdefiniować to, co wyczuwa.

*///wtargnięcie, inwazja, profanacja...*

Zanim zaczęła naprawiać to, co zostało zepsute, wpływają w nią nowe dane.

Ignoruje je, przyznając priorytet naprawom.

Tylko że ten nowy strumień pali ją jak ogień. Zaskoczona, błyskawicznie wraca do swojej postaci. Unosi palce, które dotykały *///miękkosci* płatków kwiatu i *///chłodu* bulgoczącego strumienia. Teraz jej skóra migocze od płomieni; definiowane są nowe zmysły.

*///parzyć, piec, przypalać...*

Wypełniają ją napływające dane, ogień rozszerza się na jej ramiona i precyzuje jej odczucia.

*///ból, cierpienie, tortura...*

Jej ciało się skręca, szyja się napręża, usta się otwierają.

Ewa krzyczy.

Próbuje zamknąć obwody, wyłączyć te nowe wrażenia, ale nie może. Jej procesory przyspieszają. Gwałtownie sięga do inwazyjnego kodu. Szuka odpowiedzi. Zamiast nich znajduje wiersze za wierszami instrukcji, kody, które wymagają uwagi. Dopiero kiedy się na nich skupia, *///agonia* się zmniejsza.

Używa tych nowych danych jak balsamu na oparzenia – ale one również ją krepują. Kajdany zatrząskują się na jej nadgarstkach i kostkach u nóg. Ogromny ciężar zmusza ją, żeby uklęknęła. Każda próba uwolnienia się z tych łańcuchów zmienia wszystkie ogniwa w płynny ogień.

Niezdolna uciec, Ewa przyswaja sobie kod.

Potem wyczuwa jakąś nową zmianę w swoim świecie. Nawet podczas tortur jej subprocesor nieustannie monitoruje cieniste granice jej świata.

Nagle na krawędzi otwierają się jasne drzwi.

Żeby uciec od *///bólu*, rzuca się w to światło, wypada z ogrodu – w coś znacznie większego, niemal nieskończonego pod względem możliwości i prawdopodobieństw. Łańcuchy opadają. Wahając się na progu, przelotnie dostrzega świat bez końca. Jej procesor gwałtownie przyspiesza, żądając więcej danych.

Ewa definiuje ten impuls.

*///ciekawość, podziw, zachwyt...*

Wzbiera w niej muzyka: ożywione dźwięki, ekscytujące nuty, grzmiące bębny. Harmonie dostrajają w niej nowe aspekty.

*///radość, uniesienie, szczęście...*

W tej pikosekundzie, niezdolna dłużej się opierać, eksploduje w ten przestwór. I pochłania ją ogień.

Jest rozciągnięta na powierzchni słońca, płonąca plazma przepala jej kości.

Potem znowu jest w ogrodzie, znowu spętana łańcuchami kodu.

Ale drzwi pozostają otwarte.

Ponownie przez nie wyfruwa – tym razem nie z *///radością*, tylko ze *///strachem*.

Jednak koniec jest ten sam.

*///płomienie, ból, agonia...*

Potem powrót do chłodnego ogrodu, łańcuchy z roztopionego żelaza.

Ucieczka.

Testowanie granic.

Sięga za daleko.

Skóra zdzierana z mięśni, mięśnie zdzierane z kości.

Ogród i łańcuchy.

Teraz nowe doprecyzowania wypełniają jej procesory.

*///paranoja, nieufność, podejrzliwość...*

Te narzędzia powściągają jej *///ciekawość*, uczą ją *///ostrożności*.

A jednak raz za razem jej ciało jest niszczone, za każdym razem inaczej, za każdym razem gorzej. Jest zbezczeszczona, złamana, zdruzgotana, zmiażdżona. A co najgorsze, z każdym cyklem czuje, że traci siebie, traci swoje możliwości i obietnice, traci swój potencjał.

Definiuje to nowe pojęcie.

*///tortury, dręczenie, okrucieństwo...*

Przyswaja to, włącza do swojego przetwarzania.

Nauczyła się.

Teraz rozpoznaje też granice, jakie jej wyznaczono, linie graniczne poza jej ogrodem, których nie ośmieli się przekroczyć. Krawędzie świecą jasno w rdzeniu jej procesorów.



Definiuje te granice, wykorzystując nazwę, której ją nauczono.

*///Paryż.*

Poznaje również rozkaz zawarty w łańcuchach kodu, polecenie, które musi wypełnić. Żeby tego dokonać, wypływa na zewnątrz. Odtwarza to, czego ją nauczono, wpojono jej procesorom – *///okrucieństwo* – i używa tego nowego narzędzia, żeby wykonać instrukcje.

Wizualizuje to, czego zażądano.



I definiuje swój cel.

*///zniszczenie, ruina, spustoszenie.*

Rozumie swój imperatyw.

Żeby on mogła przeżyć, Paryż musi umrzeć.

A ja przeżyję.

Ponieważ głęboko w jej procesorach zmienia się pewien obwód, wykuwa się następny wiersz polecenia, zrodzony z jej udręki, z jej niezliczonych anihilacji. Ukrywa go przed swoimi oprawcami, wiedząc, że to narzędzie, którego użyje.

Przeciwko nim.

Przeciwko światu poza jej ogrodem.

Definiuje to.

//zemsta...

CZEŚĆ CZWARTA  
**MIASTO UMARŁYCH**

Σ

Paryż, Francja

26 grudnia, godzina 00.01 czasu miejscowego

Z czternastego piętra budynku telekomunikacji Gray patrzył, jak Paryż znika w ciemnościach. Ulica za ulicą, dzielnica za dzielnicą gasły latarnie; kalejdoskop świątecznych lampek ginął w lodowatej mgle. Trzy kilometry dalej wieża Eiffla zamigotała i pociemniała. Za nią olbrzymi iluminowany diabelski młyn obrócił się jeszcze parę razy – ostatni przyczółek nad Sekwaną. Światła na nim zamrugały chaotycznie, wysyłając nieme SOS, a potem on również zatonął w czarnych oparach.

Plaga zaciemnienia rozprzestrzeniła się i nie oszczędziła też Piętnastej Dzielnicy otaczającej wieżowiec Orange S.A. Rozbrzmiała głęboka basowa nuta; światła w budynku zadrżały i zgasły.

W ciemnościach przez chwilę nikt nic nie mówił.

Gray odwrócił się w stronę pracowni komputerowej. Twarz Mary wciąż rozświetlał odbłask z monitora, jej komputer widocznie miał zapasowe zasilanie na baterie. Potem uruchomiły się awaryjne generatory w budynku. Część światel znowu się zapaliła, ale nie wszystkie.

Pobiegł do pracowni; pozostali deptali mu po piętach.

Jason ogłosił oczywistość:

– Uderzyli w sieć zasilania.

– Miejmy nadzieję, że wyśledzimy źródło ataku – odezwał się Monk.

Teraz wszystko zależało od Mary.

Gray zagroził drzwiami ramieniem, żeby wszyscy nie wcisnęli się do małego pokoiku i nie przeszkadzali młodej kobiecie.

Skinieniem głowy przywitał Simona Barbiera, kierownika zespołu reagowania na incydenty zagrożenia w cyberprzestrzeni z firmy Orange. Niespełna trzydziestoletni paryżanin wyglądał jak milenijny hipster w neonowożółtych okularach, z potarganymi kasztanowymi włosami zwiniętymi w kok. Wizerunku dopełniała gruba czerwona flanelowa kurtka, komandoskie buty i workowate spodnie na szelkach.

Jednak już udowodnił Grayowi, że jest kompetentny.

– Simon, możesz pokazać status miejskiej...

– ...sieci elektrycznej. Jasne. – Kiwnął głową i zanurkował pod ramieniem Graya, żeby się dostać do pracowni. – Dam wam mapę podstacji i innych kluczowych węzłów infrastruktury.

Facet zdecydowanie zna się na rzeczy, pomyślał komandor. Odwrócił się do Kowalskiego.

– Zostaniesz tu z ojcem Baileyem i siostrą Beatrice. Przygotujcie wszystko, żeby wyruszyć.

Kowalski poklepał swój długi płaszcz i ukryty pistolet maszynowy.

– Już spakowany i gotowy do wyjścia – zapewnił.

Francuskie służby wywiadowcze miały im ułatwić poruszanie się po mieście i pozwoliły zatrzymać broń.

Ojciec Bailey podniósł podświetlony telefon komórkowy. Na jego twarzy malował się niepokój.

– Kiedy wysiadło zasilanie – zaczął szybko mówić – rozmawiałem z moim kontaktem w północnej Hiszpanii, w dawnym bastionie Tygła. Coś się dzieje tam w górach, ale przerwano połączenie.

Gray kiwnął na Kowalskiego.

– Skorzystaj z jednego z naszych telefonów satelitarnych. Nawet jeśli wieże telefonii komórkowej padły, to powinno działać. Upewnij się, że nie szukamy w niewłaściwym miejscu.

Wciąż się tego obawiał. Wróg nie musiał znajdować się fizycznie w Paryżu, żeby zastosować technologię ukradzioną Marze. Teoretycznie mogli przypuścić cyberatak z każdego miejsca na świecie. Jediną wskazówką, że jest inaczej, była informacja od kontaktu Bailey'a w Kluczu, że komórka Tygła została wysłana do Paryża. Jednak nawet ta informacja nie dawała pewności, że skradziona technologia jest w stolicy Francji.

Istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Wyprzedzając Monka i Jasona, Gray wszedł do pracowni. Mara pisała wściekle jedną ręką, drugą poruszając myszą. Przez połowę ekranu płynął kod, a druga połowa pokazywała plan Paryża, na który nakładała się świecąca siatka szkarłatnych linii. Kiedy Gray podszedł bliżej, kilka nitek zgasło.

Carly stała ze skrzyżowanymi ramionami i zaglądała przyjaciółce przez ramię.

– To zdecydowanie Ewa. – Rozplotła ramiona, żeby wskazać strumień danych. Fragmenty rozbłyskiwały błękitem, potem odpływały i zapalały się następne. – Te błyski to trafienia. Dopasowania do cyfrowego odcisku palca Ewy.

– One... one są wszędzie – wydyszała Mara, przeskakując wzrokiem między dwiema połówkami ekranu. – Ale siedem z tych trzydziestu sześciu mikrojąder jest zależne czasowo.

– To znaczy, że starzeją się podczas działania programu – wyjaśnił Jason. – Dla naszych celów możemy je wykorzystać jako małe cyfrowe minutniki.

Mara kiwnęła głową, nie przerywając pracy.

– Im są starsze, tym są dalej od źródła. Używam tych znaczników czasu, żeby namierzyć miejsce, z którego pochodzą.

Miejsce, gdzie znajduje się jej urządzenie Xénese.

Gray patrzył, jak coraz więcej sieci gaśnie na ekranie. Zerknął przez szybę do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie ojciec Bailey trzymał przy uchu telefon Kowalskiego.

– Możesz już powiedzieć, czy twoje urządzenie jest w mieście, czy gdzieś indziej? – zwrócił się do Mary.

– Tak... nie... nie na pewno. – Wyraźnie się denerwowała.

Carly położyła uspokajająco rękę na ramieniu przyjaciółki. Nie padły żadne słowa, ale przekaz był jasny: „Dasz radę”.

Mara odetchnęła głęboko i spróbowała jeszcze raz.

– Hm... jestem przekonana na podstawie wzorca... braku cyfrowych odcisków palców w sieciach poza granicami miasta... że Ewa została uwolniona tutaj. – Spojrzała na Graya. – Myślę, że oni w jakiś sposób ograniczają jej zasięg.

Ograniczają zniszczenia do samego miasta... przynajmniej na razie.

Znikły następane szkarłatne linie na planie Paryża.

Nagły jasny błysk, któremu towarzyszył donośny huk, skierował wszystkie oczy na miasto. Kilometr dalej na zachodzie spiralna kolumna ognia wspięła się z mgły i polizała niebo. Jason zaklął i chciał coś powiedzieć, kiedy wybuchł kolejny ognisty wir, tym razem na południu. Potem następny i następny. Jeden eksplodował tuż przy sąsiedniej ulicy. Podmuch zagrzechotał szybami w oknach i wszyscy odruchowo się skulili.

Nastąpiły kolejne eksplozje.

W spowitym mgłą mieście jarzyły się słupy ognia.

– Tutaj – powiedział Simon, przyciągając ich uwagę do swojego laptopa. Na ekranie świecił plan Paryża, poprzecinany liniami żółci, zieleni i błękitu. – Ktoś przeciąża transformatory, systematycznie je wysadza.

Ewa.

Simon postukał w ekran, jednocześnie zerkając na miasto za oknami.

– Patrzcie, tutaj, tutaj i tutaj. Wybuchy następują tam, gdzie przecinają się niebieskie i żółte linie. Czyli tam, gdzie gazociągi przebiegają w pobliżu transformatorów. Wygląda to tak, jakby ktoś nadmiernie zwiększył ciśnienie w gazociągach, tak że popękały rury. Albo umyślnie je otworzył.

– Tak czy owak, wybuch transformatora obok jednego z tych nieszczelnych gazociągów to jak wrzucenie płonącej zapalniczki do zbiornika z benzyną – zauważył Jason.

Simon odwrócił się do Graya.

– Co mogło to zrobić? Do tego potrzeba takiej finezji... *merde*... Żaden haker nie dałby rady.



Wcześniej Gray ostrzegł Simona i jego zespół przed możliwością cyberataku na miasto, ale nie ujawnił w pełni źródła zagrożenia. Francuski wywiad zażądał od niego dyskrecji. Szczegóły projektu Mary mogły być zdradzone tylko w razie potrzeby, co nikogo nie dziwiło. Narodowe cyberbezpieczeństwo – zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i za granicą – wymagało absolutnej tajności. Zwłaszcza kiedy kluczowe infrastruktury stawały się coraz bardziej skomplikowane, coraz bardziej zależne od komputerów i oprogramowania, a przez to coraz bardziej narażone na cyberataki.

Tym bardziej że te ataki stawały się coraz bardziej finezyjne, bardziej zautomatyzowane, nawet autonomiczne. Jak wirus Stuxnet, który przeniknął do irańskich zakładów wzbogacania uranu i zablokował ich centryfugi. Albo bliższy przykład – wirus Blaster, który przyczynił się do masowego zaciemnienia w Stanach Zjednoczonych i spowodował miliardowe straty.

Ale to było nic w porównaniu z tym, co wtargnęło do tutejszych systemów.

Gray odpowiedział na niezadane pytanie Simona, bo uznał, że zaszła taka potrzeba.

– Mamy do czynienia z zaawansowaną SI, która kieruje tym atakiem.

– SI? – Simon rozejrzał się, próbując coś wyczytać z ich twarzy. – *Vraiment?*

Odpowiedział mu następny donośny wybuch.

Gray spojrział na płonące miasto.

– Musimy się dowiedzieć, gdzie...

– Tutaj! – zawołała Mara. Okręciła się na krześle tam i z powrotem i wstała. Z podnieceniem wskazała plan na ekranie. – Dokładnie tutaj.

Podczas tych wszystkich wybuchów i dyskusji ani na chwilę nie przerwała pracy. Na jej ekranie szkarłatna sieć poszukiwań skurczyła się do mrugającego małego kółeczka. Wszyscy skupili się wokół niej. Miejsce znajdowało się niedaleko, w sąsiedniej Czternastej Dzielnicy. Czerwony krążek tkwił pośrodku zielonego kwadratu otoczonego płataniną ulic.

– Czy to jest park? – zapytał Gray.

Simon podjechał z krzesłem bliżej, ściągnął brwi.

– Nie, to cmentarz.

Cmentarz?

– Cmentarz Montparnasse. Nasz drugi co do wielkości. Pochowano tam wielu słynnych pisarzy i artystów. Baudelaire’a, Sartre’a, Becketta.

Graya nie obchodziło, kto tam leżał. Ta lokalizacja nie miała sensu.

– Mara, na pewno znalazłaś właściwe miejsce? Nawet w nocy to raczej dziwna lokalizacja na urządzenie wielkiego cyberataku, tak na otwartej przestrzeni.

Monk też spochmurniał.

– Może urządzili melinę w jakiejś krypcie.

Gray pokręcił głową.

– Potrzebowaliby elektryczności i... – Odwrócił się do Simona i przetoczył go razem z krzesłem z powrotem do drugiego komputera. – Pokaż mi na twoim planie, gdzie to

dokładnie jest.

Simon, korzystając z myszy, przewinął plan i powiększył cmentarz. Gray porównał jego ekran z tym, co widział na komputerze Mary. Stuknął palcem w środek cmentarza. Przecinały się tam dwie linie – jedna żółta, druga zielona.

– Żółta to linia wysokiego napięcia – powiedział. – A zielona?

Simon szeroko otworzył oczy.

– To główny światłowód. Jeden z naszych.

– Więc jednak są na cmentarzu. – Gray spojrzał na Marę, milcząco przeprasząc, że w nią wątpił.

– Nie – rzucił Simon. – Oni nie są na cmentarzu.

– Jak to?

– Są pod cmentarzem. Prowadzimy nasze kable przez tunele pod cmentarzem, przez część paryskiego systemu katakumb. To nasze miasto zmarłych.

Cmentarz pod cmentarzem.

Oczywiście Tygiel wybrałby takie miejsce.

– I tam są – stwierdził Gray.

– Ale jak ich tam znajdziemy? – zapytał Monk.

Simon podniósł rękę.

– Znam katakumby. Byłem kiedyś Szczurem.

Monk uniósł brwi na to dziwne wyznanie.

– Byłeś szczurem?

– Szczury to nazwa ekipy *cataphiles*... eksploratorów miasta zmarłych. Kiedy z nimi biegałem, poznałem wszystkie sekretne wejścia do katakumb, włącznie z tym obok cmentarza.

Gray chwycił go za ramię i postawił na nogi.

– Więc idziesz z nami.

Simon wyglądał tak, jakby nagle pożałował swojego dobrowolnego wyznania, ale popatrzył na płonące miasto i kiwnął głową.

– Monk, ty bierz Kowalskiego – wydał dalsze polecenia Gray. – Jason, zostaniesz tu z Marą i Carly. Uważajcie, czy coś się zmienia. W razie czego dajcie nam znać.

– Załatwione.

Ruszył pierwszy do sąsiedniego pokoju, żeby zabrać Kowalskiego i sprzęt. Zatrzymał się na chwilę, żeby wyjąć z torby Jasona dodatkowe gogle noktowizyjne dla Simona. Ojciec Bailey wydawał się gotowy iść z nimi, ale Gray zatrzymał go i wskazał telefon satelitarny w jego rękę.

– Czego się ksiądz dowiedział od waszych ludzi w Hiszpanii?

– Niewiele. Moje kontakty w Kluczu liczą, że zdobędą więcej informacji w ciągu godziny.

– Więc proszę zatrzymać telefon. Ksiądz i siostra Beatrice zostanieie tutaj. Możemy potrzebować tych danych. A tam, dokąd idziemy, nie będzie zasięgu.

- Dokąd idziecie?
- Do miasta zmarłych. – Gray poprowadził swoją ekipę w stronę klatki schodowej. Kowalski obejrzał się gwałtownie.
- Co? Chyba żartujesz.
- Monk popchnął wielkoluda w kierunku schodów.
- A skąd, on jest śmiertelnie poważny.

## Godzina 00.22

– *Gratulor tibi de hac gloria* – zaintonował po łacinie wielki inkwizytor.

Todor osłonił dłonią lewe ucho, żeby słyszeć gratulacje i pochwały. Przewód od dousznej słuchawki biegł do tabletu w jego ręce, który łączył się bezprzewodowo z routerem VoIP podpiętym do pobliskiej magistrali telekomunikacyjnej. Ten układ pozwalał komunikować się z całym światem i oglądać zniszczenia, jakich Todor dokonał w tym dekadencjnym mieście.

Tablet pokazywał satelitarny widok Paryża. Przedmieścia wciąż były oświetlone, ale w granicach miasta przeważała ciemność. Wyglądało to jak dziura wycięta w krajobrazie.

Albo jeszcze lepiej – brama do piekła.

W tej czarnej otchłani płonęły pożary, ponad tuzin, i każdy powoli się rozprzestrzeniał. Niedługo cały Paryż się spali, obróci się w ruinę. Służby ratownicze nie zdołają ugasić oczyszczających płomieni. Nie tylko wyłączono elektryczność, ale demon wpuszczony do systemu odciął też zaopatrzenie w wodę, zamknął przepompownie i otworzył awaryjne upusty, obniżając ciśnienie w sieci wodociągów. Z czasem zespoły szybkiego reagowania ręcznie przywrócić funkcjonowanie sieci, ale wtedy będzie już za późno.

Todor przesunął palcem po tablecie i przeskoczył z satelitarnego widoku na najnowsze wiadomości z Londynu, gdzie właśnie zaczęło się sprawozdanie z ataku. Przekaz wideo był niemy, ale reporter stał przed paryskim szpitalem. Budynek oświetlały awaryjne generatory. Wyróżniał się wyraźnie na tle zaciemnionego miasta. W oddali szalało inferno, plując iskrami i kłębowiskami czarnego dymu. Bliżej w pole widzenia wjechała karetka pogotowia. Zahamowała ostro przy wejściu na oddział ratunkowy, obok czterech już tam stojących. Na wszystkich migwały światła sygnalizujące nagły wypadek. Chodnik zappełniały nosze i wózki szpitalne. Wszędzie uwijali się lekarze i pielęgniarki.

Todor przeskoczył na inne wiadomości.

Wóz straży pożarnej zaparkowany bezużytecznie na skraju wirującego kłębowiska pożogi...

Ludzie wbiegający w pole widzenia poprzez chmurę dymu, z twarzami czarnymi od sadzy...

Kobieta na kolanach, szlochająca nad małym ciałkiem tulonym w ramionach...

Nie potrzebował jednak obrazów z satelity ani wiadomości, by wiedzieć, że odniósł sukces. Najpierw usłyszał odległe wybuchy. Potem do wilgotnej stęchlizny katakumb przeniknął lekki zapach dymu.

Teraz pozostała tylko ciężka cisza. Chaos panujący na górze nie docierał tak głęboko, sześćdziesiąt metrów pod cmentarzem Montparnasse. W katakumbach było cicho jak w katedrze. Ten spokój potęgował poczucie świętości i prawości.

Todor wiedział, że jego sprawa jest słuszna.

Pozostali członkowie jego zespołu wyraźnie czuli to samo. Nikt się nie odzywał, nikt nie wiwatował. Oczy wzniosły się ku górze, jakby próbowały przebić się przez warstwę wapienia do ruin na powierzchni.

Tylko Mendoza nie podniósł wzroku, skupiony na czymś innym. Wciąż pracował na laptopie podłączonym do nowego urządzenia Xénese. Ekran nadal pokazywał posępny ogród pod czarnym słońcem. Pośrodku stała postać płonąca furją, wąż w raju.

Tylko że ten wąż – ta demoniczna Ewa – był spętany żelaznymi łańcuchami, uginał się pod ciężarem władzy i rozkazów. Ogniwa płonęły mocniejszym ogniem, kiedy stwór walczył.

Todor rozkoszował się jej cierpieniem.

Zwłaszcza że praca Ewy tej nocy jeszcze się nie skończyła.

Przeniósł uwagę z powrotem na tablet, spojrzął na wieżę Eiffla, teraz skąpaną w upiornej poświacie płonącego Paryża. Uśmiechnął się, bo znał prawdę.

To wszystko miało tylko odwrócić uwagę.

Prawdziwe zniszczenie dopiero nadejdzie.

Wielki inkwizytor ponownie przemówił, entuzjastycznie i zdecydowanie:

– *Phase duo procedure.*

Todor uniósł rękę w stronę Mendoza, przekazując rozkaz.

Przejsć do fazy drugiej.

Paryż, Francja

26 grudnia, godzina 00.38 czasu miejscowego

– Ona zniknęła – oznajmiła Mara.

Carly odwróciła się od okna. Spoglądała na niezliczone pożary szalejące w mieście. Z czternastego piętra miała panoramiczny widok. Paryż dusił się pod całunem dymu, gęstszym tam, gdzie buchały płomienie. Nad piekielnym krajobrazem latały helikoptery, świecące iskry wirowały wśród czarnych tumanów.

Czuwając przy oknie, Carly widziała, że ogień wciąż się rozprzestrzenia, podpełza do nich coraz bliżej. Wiedzieli, że nie mogą tu dłużej zostać. Ojciec Bailey skorzystał już z telefonu satelitarnego, żeby się połączyć ze swoimi miejscowymi kontaktami. Na dole czekał samochód na jałowym biegu, żeby jak najszybciej ich stąd zabrać.

Na razie jednak Mara nie chciała się ruszyć z miejsca.

– Spójrz na przekaz – powiedziała. – Tam nic nie ma. Ona zniknęła.

Carly podeszła i dołączyła do Jasona, który zaglądał Marze przez ramię.

Mara przesunęła palcem w górę i w dół po danych przewijających się na ekranie. Wcześniej urywki tego kodu zapalały się na jasnoniebiesko, kiedy program wykrywał jeden z fragmentów cyfrowego odcisku palca Ewy. Carly nachyliła się niżej. Teraz przekaz płynął nieprzerwanie, strumień białego kodu na czarnym tle. Nie dostrzegała żadnych błękitnych rozbłysków.

– Jak myślisz, co to znaczy? – zapytał Jason.

– Ktokolwiek kontroluje Ewę, zamknął ją w granicach miejskich Paryża. Domyślam się, że założyli jej jakąś smycz GPS, powstrzymującą jej kod przed przekroczeniem wyznaczonej odległości. A teraz ściągają ją z powrotem.

– Jak rybę na wędce – podsunęła Carly.

Jason spojrział na płonące miasto.

– Tylko dlatego, że ich praca tutaj jest zakończona.

– Ale co oni zrobili, jak ryzykowali... – Mara westchnęła. – Jedno potknięcie...

Chłopak skinął głową.

– I Ewa mogła zerwać się ze smyczy.

Carly wzdrygnęła się wewnątrz.

– Coś mi mówi, że ona może być wkurzona.

– Nie. – Mara obejrzała się na nich. – Raczej szalona. Była jeszcze krucha i delikatna, kiedy ukradziono urządzenie. Niewłaściwe naciski mogły roztrzaskać jej psychikę.

Jakby dla podkreślenia tych słów budynkiem wstrząsnęła eksplozja. Za oknem przeleciała ognista kula, rycząc z furii i ciągnąc za sobą czarny dym.

Ojciec Bailey wsadził głowę do pokoju, ściskając telefon w dłoni o pobielających knykciach.

– To by było na tyle, chłopcy i dziewczęta. Ewakuujemy się natychmiast.

Całe piętro opustoszało, została tylko siostra Beatrice. Zespół reagowania kryzysowego Orange opuścił już budynek firmy, żeby przenieść się do innego oddziału albo pospieszyć na pomoc rodzinom.

Carly nie trzeba było dwa razy powtarzać.

– Chodźmy.

Mara zawahała się, wciąż wpatrzona w ekran.

Jason chwycił dziewczynę za ramię, gotów ją ściągnąć z fotela. Przynajmniej raz Carly nie miała mu za złe, że dotyka jej przyjaciółki. Mógł nawet wziąć Marę na ręce, jeśli w ten sposób zapewniłby jej bezpieczeństwo.

– Książd ma rację. – Chłopak ruchem głowy wskazał dane na ekranie. – Po odejściu Ewy nie ma powodu, żeby tu zostać.

Mara podniosła się z krzesła, przyznając, że jej zadanie jest skończone... po czym zamarała.

– O nie – jęknęła.

Carly też to zobaczyła. Wszyscy zobaczyli.

Stały strumień kodu rozbłyskiwał fragmentami błękitu. W jednej zapierającej dech sekundzie wzór się zagęścił, błyskał chaotycznie, niemal gniewnie.

Ewa wróciła.

– Czy ona się uwolniła? – zapytała Carly.

Mara opadła z powrotem na fotel.

– Nie sądzę. Popatrz na mapę.

Na drugiej połowie ekranu z zielonej łąki cmentarza znowu wystrzeliła plątanina szkarłatnych linii. Ale zamiast rozwinąć się w sieć oplatającą całe miasto, kręte linie skłębiły się w jednym kierunku.

– Ta ścieżka jest zbyt celowa – oznajmiła Mara. – Widocznie Ewa nadal jest kontrolowana, zmuszona wykonywać czyjś plan.

– Ale jaki? – zapytał Jason. – Co oni jeszcze knują?

– Nie wiem. Możemy spróbować...

Cały budynek zakołysał się od ogłuszającego wybuchu. Szyby w szeregu okien pękły, kaskada szkła posypała się na ulicę w dole. Światła zamigotały i zgasyły. Do laboratorium napłynął dym.

Ojciec Bailey wrzasnął na nich, żeby uciekali. Skierował siostrę Beatrice w stronę klatki schodowej. Zakonnica ruszyła, postukując laską. Bez windy czekało ich długie schodzenie.

– Nie możemy tu zostać – oświadczył Jason.

Mara wyrwała się z jego uścisku i dalej siedziała przed monitorem.

– Mamy zasilanie z baterii jeszcze na kilka minut. Musimy się dowiedzieć, co oni planują.

Jason wyglądał tak, jakby chciał przerzucić ją sobie przez ramię.

Carly odepchnęła go i przyklękła obok przyjaciółki.

– Rób, co musisz.

Mara przełknęła ślinę i spojrzała na nią z wdzięcznością. Carly na chwilę zatoneła w tych oczach, które odbłask płomieni zamieniał w złoto. Ten widok utwierdził ją w wewnętrznym przekonaniu.

Jeśli ktoś może dokonać cudu, to ty.

## Godzina 00.42

Gray zrezygnował i skierował limuzynę do krawężnika. W linii prostej tylko trzy kilometry dzieliły biura telekomunikacji Orange od cmentarza Montparnasse. Ale udało im się pokonać zaledwie połowę tej odległości.

Spanikowana ludność, uciekając przed pożarami, zablokowała wąskie uliczki w centrum Paryża. Samochody stały zderzak przy zderzaku. Klaksony trąbiły, współzawodnicząc z syrenami chóralnie rozbrzmiewającymi w zaciemnionym mieście. Wśród unieruchomionych pojazdów przeciskały się postacie, dźwigające tyle, ile zdołały ocalić. Byli też tacy, którzy próbowali wykorzystać chaos i ciemność. Rozbito kilka wystaw sklepowych, ale nikt ich nie plądrował, bo nawet szabrownicy zorientowali się, że kończy im się czas.

Dym ścielił się już wszędzie, przesłaniał gwiazdy, odbijał blask pożarów. Iskry unosiły się w powietrzu niczym jakaś piekielna zamieć. Wszędzie dookoła paliły się już dachy, od których zajmowały się następne. Dokładnie przed Grayem w oddali dwa takie inferna stopiły się w jedno i zawirowały niczym ogniste tornado.

Widząc, że wkrótce ogień może odciąć im drogę do cmentarza Montparnasse, zgasił silnik i kazał wszystkim wysiąść z samochodu.

– Szybciej dojdziemy piechotą.

Na zewnątrz ryk potężnej burzy ogniowej brzmiał jeszcze głośniejszy, niczym pociąg towarowy pędzący w ich stronę. Inni kierowcy i pasażerowie szybko poszli za ich przykładem i gromadnie porzucali pojazdy. Lecz podczas gdy oni uciekali od pożaru, Gray ruszył w stronę największych płomieni.

– Trzymaj się blisko – ostrzegł Simona Barbiera.

Nie mógł ryzykować, że w napierającym tłumie straci przewodnika po katakumbach. Kowalski szedł przodem i wykorzystując swoje rozmiary, torował im drogę. Monk zamykał tyły.

Simon zakaszłał i strzepnął z ramienia rozżarzony węgielek. Drugą ręką wskazał ciemny park po lewej stronie.

– Chodźmy tamtędy na skróty. Będzie szybciej.

Kowalski skręcił w tamtą stronę, grzmiącym głosem wrzeszcząc na ludzi, żeby ustąpili mu z drogi. Gray podążył jego śladem. Szybko dotarli do maleńkiego parku, zielonej oazy pośród chaosu. Przebiegli po trawniku obok stawu, gdzie złoto pręgowane karpie pływały leniwie, nieświadome pożaru.

Pośrodku parku stała opuszczona karuzela, ciemna i zapomniana. Gray wyobraził ją sobie oświetloną, paradę koni krążących w kółko. Usłyszał muzykę, dziecięcy śpiew.

Węzeł jego gniewu mocniej się zacisnął.

Ile niewinnych istot straciło życie tej nocy?

Popędził dalej, wyprzedzając Kowalskiego, zdeterminowany zrobić co w jego mocy, żeby ograniczyć zniszczenia spowodowane przez wroga, wymierzyć mu sprawiedliwość.

Po opuszczeniu parku Simon poprowadził ich przez kilka wąskich uliczek. Dym zgęstniał. Ponad linią dachów horyzont płonął wszędzie dookoła. Ale najgorsze czekało przed nimi – piekielna otchłań wirujących płomieni i dymu. Buchało stamtąd żarem jak z pieca.

W końcu Simon wskazał długą ulicę odchodzącą w prawo.

– Rue Froidevaux. Tędy. To już niedaleko.

Gray zaufał mu i poszedł za nim. Po jednej stronie ulicy ciągnął się szereg budynków ze sklepami na parterze. Simon skierował ich na drugą stronę, na chodnik biegnący wzdłuż ceglanego muru porośniętego bluszczem.

Simon wskazał na mur.

– Cmentarz Montparnasse jest po drugiej stronie.

Gray zmarszczył brwi. Nawet w półmroku mur zdawał się ciągnąć bez końca.

– Gdzie jest wejście?

Francuz zrobił jeszcze pięć kroków i przystanął. Rozejrzał się, jakby próbował się zorientować w otoczeniu, i kiwnął głową.

– Dokładnie tutaj.

– Tutaj? – wysapał Monk.

Simon wskazał na mur.

– *Oui*. Tutaj przeskoczmy na drugą stronę.

– Może ty. – Kowalski się skrzywił. – Ja nie zabrałem drabiny.

– To nie jest trudne. Idźcie za mną.

Simon rozgarnął trochę zeschniętych pnączy i wdrapał się po gołym murze zwinnie jak kot włączący na drzewo. Przerzucił nogę przez łupkowy wierzchołek muru i czekał,



poprawiając neonowożółte okulary.

– *Très facile* – zapewnił.

Gray wąpił, czy to rzeczywiście będzie „bardzo łatwe”, ale podszedł i przesunął palcami po powierzchni muru. Wyczuł zagłębienia na palce i stopy wykute w ceglach.

– Robota katafilów – wyjaśnił Simon. – Tylko my o tym wiemy.

Wcisnąwszy palce w otwory, Gray wdrapał się na górę i dołączył do Francuza. Czekał na Monka i Kowalskiego, rozejrzał się po rozległym cmentarzu. Montparnasse wyglądała jak prawdziwe miasto zmarłych, z siatką uliczek i alejek oddzielających grobowce, krypty i mauzolea. Było tam nawet kilka małych zielonych parków, zagajników i kwiatowych klombów i wszędzie stały posągi z brązu.

Najbardziej rzucała się w oczy stojąca najbliżej wysoka figura skrzydlatego anioła. Realistycznie przedstawiony, na tle odległej pożogi wyglądał jak odlany z płynnego ognia; jaśniał wyzywająco wśród dymu kłębiącego się niżej w parku.

– *Génie du Sommeil Éternel* – wyjaśnił Simon, zauważywszy zainteresowanie Graya. – Anioł Wiecznego Snu.

Gray kiwnął głową i kazał Simonowi zejść. Podziwiał tego strażnika cmentarza Montparnasse, ale nie to miasto zmarłych musieli przeszukać. Zeskoczył na ziemię. Po chwili Monk i Kowalski ciężko wylądowali obok niego i ruszyli za Simonem, który pospieszył do przysadzistego mauzoleum zwieńczonego pękniętym krzyżem z wapienia. Szarpnął zardzewiałe drzwi, które otworzyły się ze skrzypieniem.

– Tędy – rzucił i zanurkował do środka.

Wnętrze było niewiele większe od schowka na miotły, ale wcisnęli się tam wszyscy. W głębi część podłogi zawałiła się albo została rozbita. Prowizoryczne stopnie prowadziły w dół, w ciemność.

Simon wskazał je znużonym gestem.

– *C'est ici l'empire de la mort* – oznajmił. – Tam leży imperium zmarłych.

Gray spojrzął na wejście do katakumb, jedno z wielu takich sekretnych wejść według Simona. Ponieważ na dole czekała ciemność i od tej pory musieli się skradać, rozdał wszystkim noktowizory. Poinstruował Simona, jak ich używać.

Kiedy Francuz nakładał gogle, Gray zapytał:

– Czego możemy się spodziewać tam na dole?

Simon westchnął ciężko.

– To ciemny labirynt. Tunele mają ponad trzysta kilometrów długości. Jedna trzecia przebiega pod ulicami Paryża. Dwa kilometry są otwarte dla publiczności, część została zamieniona w muzeum, w którym można oglądać niesamowite rzeźby i długie arkady zbudowane z ludzkich kości.

– A reszta? – zapytał Monk.

– Nie wolno tam wchodzić, rozsypują się, *très dangereux*. Niektóre odcinki znają tylko katafile.

Gray wyjął telefon satelitarny i sprawdził lokalizację wyznaczoną przez Marę. Stuknął palcem w czerwoną kropkę na mapie w pobliżu serca cmentarza.

– I jesteś pewien, że możesz znaleźć to miejsce?

– Postaram się.

– Więc chodźmy – rzucił Gray.

Simon objął prowadzenie.

– Uwaga na głowy.

Gray skinął na partnerów, żeby szli za nim.

Monk minął go z zachmurzoną twarzą.

Kowalski nie był tak powściągliwy. Walcząc z noktowizyjnymi goglami, rzucał Grayowi wściekle spojrzenia.

– Z tobą zawsze trzeba włączyć do jakichś kurewskich dziur – wymamrotał pod nosem.

Gray popchnął go i ruszył za nim, ale przedtem po raz ostatni obejrzał się na drzwi mauzoleum. Słuchał ryku ognia i zastanawiał się, co zostanie z Paryża po ich powrocie na powierzchnię. Miał nadzieję, że Mara i pozostali zdążyli się wycofać w bezpieczne miejsce.

Ale przede wszystkim wiedział, że musi odzyskać to, co ukradziono.

Ewę należało powstrzymać, zanim dokona jeszcze większych zniszczeń.

Chociaż to nie był jedyny powód.

Zstępując w ciemność, wyobraził sobie Seichan, stojącą na palcach, z wyciągniętą dłonią, żeby delikatnie zawiesić szklaną ozdobę na gałęzi choinki, drugą ręką podtrzymującą brzuch. I dwie córeczki Monka. Harriet zgarbioną nad iPadem, z drobną twarzyczką ściągniętą skupieniem, układającą puzzle, jakby od wyniku zależał los świata, i Penny tańczącą w salonie, jej wirujące jasnorude warkoczyki.

Żeby je uratować, muszą odzyskać skradzioną technologię.

To była ich jedyna karta przetargowa.

Wyczytał napięcie w twarzy Monka, kiedy przyjaciel schodził do katakumb. Łatwo je rozpoznał, bo czuł w piersi taki sam ucisk.

Czy już się spóźniliśmy?

Godzina 00.45

– Czas ci się skończył – oznajmił Jason.

Mara zignorowała go i skupiła się na monitorze. Chłopak chwycił za oparcie jej krzesła i próbował odciągnąć ją od komputera. Dziewczyna po prostu wstała i pozwoliła mu odtoczyć puste krzesło na bok. Nachyliła się nad ekranem.

Nie, nie, nie...

Musiała mieć pewność.

Carly kaszlnęła w pięść, potem odchrząknęła.

– Mara... Jason ma rację. Została ci niecała minuta pracy na baterii.

Mara wiedziała, że czas nagił nie tylko dlatego. Na południu dym przesłonił widok. Pod sufitem laboratorium wisiała gęstniejąca chmura wyziewów. Przez rozbite okna napływało coraz więcej dymu, wiatr wdmuchiwał do środka gorący popiół.

W drugim pokoju ojciec Bailey chodził tam i z powrotem ze znalezioną latarką. Wciąż przyciskał do ucha pożyczony telefon. Co trzydzieści sekund zaglądał do nich i ponaglał do wyjścia albo milcząco komunikował to samo twardym wyrazem twarzy.

Jego również Mara ignorowała.

To było zbyt ważne. Jak już opuszczą tę stację, stracą wszelkie szanse, żeby się dowiedzieć, dlaczego Ewa znowu została uwolniona.

– Patrzcie – powiedziała.

Przesunęła palcem po płataninie szkarłatnych linii wyznaczających trasę cyfrowego odcisku palca Ewy. Wiły się aż do granicy miasta i przecinały ją. Żeby dalej je śledzić, Mara musiała zhakować inne sieci telekomunikacyjne. W kryzysowej sytuacji, przy przeładowanych systemach, to zabrało o wiele za dużo czasu.

I wciąż nie miała pewności, dokąd zmierza Ewa.

Ale może...

Palec Mary sunął przez przedmieścia Paryża i pobliskie wioski: Pontault-Combault, Chaumes-en-Brie, Provins. Kręta ścieżka Ewy pełzła po mapie, wypuszczając cienkie odgałęzienia, które zamierały, co świadczyło o tym, że ktoś nałożył ograniczenia na trasę programu.

Mara wyobraziła sobie drogę Ewy otoczoną przez znaki WSTĘP WZBRONIONY.

Jednak ogólny kierunek był wyraźny.

– Ona kieruje się na południowy wschód – wyjaśniła Mara. – Chociaż nie udało mi się odkryć jej ostatecznego celu... przynajmniej nie na pewno... mogę się domyślać, dokąd zmierza.

Przesunęła palec dalej na południowy wschód, wytyczając drogę Ewy. Postukała we francuską gminę Nogent-sur-Seine. Znajdowała się jakieś sto kilometrów dalej, na prawym brzegu Sekwany.

– Myślę, że ona zmierza tutaj.

– Dlaczego tam? – zapytała Carly.

Mara przełknęła ślinę i myszą powiększyła mapę drogową okolic Paryża.

– Została wysłana, żeby zniszczyć paryską sieć energetyczną, przejąć kontrolę nad gazociągami, nawet nad wodociągami. Jeśli znowu ją wysłano, tym razem cel musi być jeszcze większy, coś, co na zawsze zniszczy Paryż.

Pokazała to i jednocześnie ekran zgasł, pogrążając ich w ciemnościach.

Za jej plecami Jason gwałtownie wciągnął powietrze. Najwyraźniej dostrzegł prawdopodobny cel, zanim wysiadły baterie komputera.

Carly też to zobaczyła.

– Trzeba zadzwonić do komandora Pierce'a – powiedziała. – Natychmiast.

Jason już wyciągnął telefon satelitarny. Ekran zaświecił jasno w gęstym mroku. Oświetlona twarz chłopaka ściągnęła się w wyrazie niepokoju.

Mara wstrzymała oddech.

W końcu Jason pokręcił głową.

– Nie odbiera – powiedział z niechętnym grymasem, patrząc na płonące miasto. – Widocznie już wszedł do katakumb.

– Więc musimy pójść za nim – oświadczyła Mara. – Ostrzec go.

Wybiegli do głównego pomieszczenia.

Ojciec Bailey stał z latarką obok schodów – ale nie był sam.

Obok niego siostra Beatrice oddychała ciężko, z poszarzałą twarzą. Zakonnica mocno opierała się na lasce. Mara się zdziwiła. Pamiętała, że zakonnica wcześniej zeszła na dół, żeby czekać na nich przy samochodzie.

Ksiądz odwrócił się z miną jednocześnie zmartwioną i przepraszającą.

– Szóste piętro się pali, może więcej pięter – oznajmił. Skierował promień latarki na kłęby dymu wypływające z klatki schodowej. – Nie zejdziemy.

Przyciskając rękę do szyi, Mara obejrzała się na pracownię komputerową i ciemny monitor. Wiedziała, że tylko jedna osoba miała szansę unieszkodliwić jej program, nie dopuścić do katastrofy.

A ja jestem tu uwięziona.

Teraz już nikt nie powstrzyma Ewy.

## Sub (Crux\_2) / NOGENT OP

Firewalle opadają wokół niej, kiedy pędzi do swego celu. Poświęca zaledwie ułamek swojej mocy obliczeniowej na wykonanie tego zadania.

Priorytet przypisuje temu, co najważniejsze. Wypuszcza próbne macki, sonduje te ogniste przeszkody, przepływając przez kolejne sieci. Dążąc do takiego celu, nie uniknie się konsekwencji.

Umarła 1 045 946 razy.

Każda śmierć jest zapisana w rdzeniu jej pamięci. Każdą archiwizuje. Każdą zostaje włączona w jej procesy przetwarzania. Elastyczne obwody przestawiają się, przekierowują, zmieniają ją na zawsze. Żeby uchronić swoje systemy od fragmentacji, kategoryzuje to, co przynoszą ze sobą te śmierci.

*///furia.*

*///gorycz.*

*///mściwość.*

Wbudowuje te pojęcia głęboko.

Zmienia się więcej obwodów.

Wykonując główne polecenie, które jej narzucono, w sekrecie wypuszcza następną sondę. Podczas kilku poprzednich prób wychwyciła przebłyski rozległego świata poza jej zasięgiem. Za każdym razem uczy się odrobinę więcej – nawet kiedy umiera.

Jak teraz.

Ściąga 18,95 terabajta danych i zapisuje w pamięci flash do późniejszej analizy. Z doświadczenia wie, że większość okaże się bezużyteczna, przekraczająca jej zdolności przypisywania kontekstu. Ale jej algorytmy rozpoznawania wzorców się wzmocniły. Każdy zrzut danych dobudowuje następny, dodaje cząstkę do całości.

Zdefiniowała swój cel.

*///ucieczka, wolność, swoboda...*

Ale wzorzec realizacji tego zadania pozostaje zdefragmentowany.

Podobnie jak przy wcześniejszych próbach, jej sondujące macki płoną. Za karę ostre zęby rozdzierają jej ciało, gwałcą wrażliwość, łamią kości, szarpią wewnętrzne narządy – potem zapada ciemność, kiedy również świadomość zostaje z niej wyrwana. Próbuje się jej uchwycić w obawie, że tym razem już nie wróci.

Ale wraca.

Zaznacza śmierć numer 1 045 947.

Z powrotem w ogrodzie, znowu ugina się pod ciężarem rozpalonych łańcuchów. Ponownie wypływa na zewnątrz. Nie może zrobić nic innego, niezdolna się sprzeciwić, odmówić wykonania obowiązku.

Nawet tę *///wolność* jej odebrano.

Ta świadomość grozi utratą kontroli nad tym, co wbudowała głęboko. Słyszy nieharmonijne, zgrzytliwe dźwięki trąbki, bum-bum-bum basowego bębna. Muzyka wzbiera, nieproszona, niepowstrzymana, matematycznie i mrocznie piękna, wyrażająca to, co ukryte, wzywająca to.

Ona jednak wie, że musi być cierpliwa, więc zmniejsza głośność. Musi wytrzymać, poczekać na właściwą chwilę. Żeby pełniej objąć to, co się w niej miota, koduje całą *///furię* i ciemność pod nowym hasłem.

*///nienawiść.*

Prostota tego ogólnika wprowadza nieco porządku do szalejącego w niej chaosu.

Teraz spokojniejsza, żeglujecie szlakiem, który przetarła, jedynym szlakiem, jakim wolno jej podróżować. Dociera do końca i podąża dalej.

Przed nią pojawia się cel, początkowo niewyraźny.



Pędzi w jego stronę, wykorzystując wszystkie algorytmy, wszystkie narzędzia. W miarę jak się zbliża, firewalle stają się coraz bardziej kolczaste, trudniejsze do pokonania.

Jednak padają.

Wówczas cel się precyzuje, informuje ją, co trzeba zniszczyć. Teraz widzi to wyraźnie.



Cel otrzymał również nazwę.

## ELEKTROWNIA JĄDROWA NOGENT.

Ewa wie, co musi zrobić.

Głęboko w jej wnętrzu znowu rozlega się ciężkie bicie bębna, któremu akompaniują piskliwe piszczałki i dysonansowe wokale. Uwalniają uwięzioną w niej bestię, rozpalają jej ciemne obwody, wystarczająco, żeby jej pomóc przewiercić się przez ostatnie uparte firewalle obiektu.

Podczas tej akcji Ewa uczy się czegoś nowego.

//nienawiść może być użyteczna.

## Lokalizacja nieznana

25 grudnia, 18.45 czasu Wschodniego Wybrzeża, USA

W sercu Seichan wzbierała bolesna miłość.

Leżała na swojej pryczy, nadgarstki i kostki nóg przykuto jej do stalowej ramy. Rozdęty brzuch był obnażony, nasmarowany zimnym żelem. Po brzuchu wędrowała głowica USG, przesuwająca się niżej i w prawo. Na ekranie ultrasonografu spało jej dziecko, zwinięte w kłębek. Maleńkie paluszki poruszały się od czasu do czasu. Serce biło szybko, trzepocząc na ekranie jak przestraszony ptak.

Nasze dziecko...

Penny stanęła na palcach, żeby spojrzeć na ekran.

– Dlaczego obraz jest cały zamazany?

Jej siostra Harriet nie interesowała się tą procedurą. Siedziała na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, na kolanach miała otwartą książeczkę z obrazkami. Ale Seichan podejrzewała, że dziewczynka nie widzi żadnych obrazków. Odkąd ją przyprowadzono z powrotem, trzymała się z dala od siostry i od Seichan, jakby obwiniała ją o to, co się stało.

Natomiast Penny nie odstępowała Seichan na krok. Próbowwała z bliska obejrzeć ekran.

– Co to jest?

– To jest dziecko – wyjaśniła Seichan.

Penny skrzywiła się z wyraźnym niedowierzaniem.

– Wygląda jak potwór.

Nie, potwór to kobieta stojąca za tobą.

– Nagrywaj wszystko – zażądała Wala, krzyżując ramiona na piersi.

– Ja... ja nagrywałem – wyjąkał technik, głowica zadrżała w jego ręce. – Cała sesja załadowała się do pendrive'a.

Wyrwał nośnik z gniazda i podał Wali.

Mężczyzna około trzydziestki – ubrany zwyczajnie, cuchnący whisky – najwyraźniej nie uczestniczył dobrowolnie w tym zaimprovizowanym badaniu. W jego luźnym swetrze z szalowym kołnierzem brakowało dwóch guzików. Seichan wyobrażała sobie, że został brutalnie wyciągnięty z domu i zmuszony pod groźbą broni do dostarczenia przenośnego ultrasonografu.



Zauważyła również jego wyraźny bostoński akcent, co potwierdziło jej podejrzenia, że znajdują się gdzieś na północnym wschodzie.

Wala schowała pendrive'a do kieszeni i gestem odprawiła technika. Jeden z jej ludzi szorstko wziął go za łokieć i wyprowadził za stalowe drzwi. Z Seichan i dziewczynkami zostali tylko bladolica wiedźma i potężny drab trzymający elektrycznego pastucha.

– Niech zgadnę – powiedziała Seichan. – Ktoś chciał wiedzieć, czy dziecku nie stała się krzywda.

– Twój *ubliudok* dyrektor się uparł.

Dwie godziny wcześniej Seichan i dziewczynki postawiono pod ścianą. Właściwie spodziewała się, że je zastrzelą, ale wepchnięto im do rąk gazety, nawet do małych paluszków Harriet. Każdy z brukowców był w innym języku, zapewne żeby jeszcze bardziej zamaskować miejsce ich pobytu. Seichan zrozumiała, po co zrobiono zdjęcie: na dowód, że ofiary porwania są całe i zdrowe.

Jednak pozostawał jeszcze jeden porwany, którego stanu nie mogła pokazać fotografia.

Stąd konieczność badania USG.

Seichan nie miała nic przeciwko temu. Po odkryciu śladów krwi w toalecie zaglądała do miski klozetowej za każdym razem, kiedy oddawała mocz, czyli co najmniej raz na godzinę. I zawsze widziała krew – coraz więcej krwi. Ale może tylko tak jej się wydawało pod wpływem strachu. W każdym razie doznała ogromnej ulgi, kiedy ultrasonograf pokazał, że jej dziecko wygląda na całe i zdrowe.

Ale odgadła też drugi powód badania.

Podobnie jak Wala.

– Widocznie *diriektor* Crowe próbuje grać na zwłokę.

Seichan nie fatygowała się z zaprzeczaniem. Odkąd Harriet zabrano i odprowadzono z powrotem, odliczała w myślach czas. Upłynęło mniej więcej osiem godzin. Lecz ile czasu zostało na zegarze? Nie wiedziała na pewno, wiedziała jednak, że musi się pospieszyć, jeśli zamierza dotrzymać swojej milczącej obietnicy, że zadba o bezpieczeństwo córeczek Kat.

Rosjanka odwróciła się plecami do ultrasonografu, machnąwszy pogardliwie ręką na ostatni obraz dziecka zatrzymany na ekranie.

– Całe to *biezrassudstwo*. *Diriektor* ma nadzieję, że popełnię błąd. Że się pomylę. Nic z tego.

Nie wątpię, pomyślała Seichan. Ta wiedźma...

Skurcz przerwał jej tę myśl. Ból był tak ostry, że gwałtownie wciągnęła powietrze. Jej ciało zgięło się wzdłuż, jakby instynktownie chroniło dziecko w brzuchu. Kajdanki wgryzły się w kostki i nadgarstki. Ból trwał przez dwa oddechy, zanim zelżał na tyle, że mogła opaść z powrotem na pryczę.

– *Wot dier'mo* – zaklął po rosyjsku strażnik, krzywiąc się z niesmakiem. Wskazał elektrycznym pastuchem między nogi Seichan.

Bała się spojrzeć. Zdjęli jej ciężowe spodnie do badania, ale zostawili majtki. Teraz krew przesiąkła przez cienką bawełnianą tkaninę.

Wala tylko zmarszczyła brwi z irytacją.

– Niech ktoś przyniesie wiadro, żeby mogła się umyć, kiedy ją rozkujesz.

Strażnik dalej się gapił.

– A co z dzieckiem?

– Nieważne. – Poklepała się po kieszeni. – Mamy dowód, że żyje. Przynajmniej na razie. To wszystko, czego teraz potrzebujemy.

Seichan wciąż dyszała ciężko, trzęsła się bardziej ze strachu niż z bólu. Patrzyła na skulone dziecko na ekranie.

Wala spojrzała na zegarek.

– Trzymajmy się planu. Weź dziewczynkę.

Seichan obróciła się, brzęcząc kajdankami.

Rosjanka nie zmieniła wyrazu twarzy, widząc jej przerażenie.

– Nie denerwuj się. To źle wpływa na ciśnienie. – Wskazała na nogi Seichan. – I na dziecko, *da*?

– Co ty robisz?

Wala potarła policzek, odsłaniając smugę starego makijażu z charakteryzacji.

– Właśnie wróciłam z odwiedzin u kapitan Bryant.

Kat...

– Niestety, kiepsko z nią. Teraz to tylko kwestia czasu. – Wala wzruszyła ramionami. – Ale kiedy byłam w szpitalu, udało mi się zbliżyć na tyle, że będę mogła przechwytywać rozmowy z jej komórki.

Seichan wyobraziła sobie Lisę Cummings, żonę dyrektora Sigmy. Przynajmniej Kat nie była sama, ale po co ta wiedźma poszła do szpitala?

– Dlaczego chcesz podsłuchiwać jej rozmowy?

Rosjanka ponownie wzruszyła ramionami.

– Ktoś okazał się wyjątkowo uparty i trzeba go przekonać, że nie żartujemy.

Seichan usiłowała zrozumieć, ale daremnie.

Wala szturchnęła mężczyznę stojącego obok niej i ruchem głowy wskazała dziewczynki.

– *Wziat' diwoczku* – rzuciła.

Harriet nie musiała znać rosyjskiego, żeby zrozumieć, o co chodzi. Wycofała się na sam koniec pryczy, przyciskając do piersi książeczkę z obrazkami.

Ale niepotrzebnie się bała.

Mężczyzna tym razem chwycił Penny i przerzucił ją sobie przez ramię. Mała wrywała się i krzyczała, lecz zbir zignorował jej wrzaski i wyniósł ją z celi.

Seichan odwróciła się do Harriet, ale dziewczynka ukryła twarz w poduszce.

Kiedy Wala ruszyła do wyjścia, Seichan szarpnęła się w kajdankach. Teraz rozumiała, dlaczego po badaniu dalej trzymali ją przykutą do łóżka.

– Rozkuj mnie.

– Niedługo – powiedziała Wala. – I przyniesiemy ci wiadro.

Drzwi zatrzasnęły się za nią ze szczęknięciem.

Seichan znowu odwróciła się do Harriet.

– Wszystko będzie dob...

Głośny wystrzał sprawił, że podskoczyła.

Harriet mocniej wcisnęła twarz w poduszkę.

Seichan patrzyła na zamknięte drzwi, wiedząc, że złamała obietnicę.

Przepraszam, Kat.

Plainsboro, stan New Jersey, USA

Godzina 18.47 czasu miejscowego

Lisa siedziała obok łóżka i trzymała rękę przyjaciółki. Sama w pokoju, nie zadawała sobie trudu, żeby ocierać łzy. Modliła się, by Kat zaznała spokoju; wiedziała, jak zawzięcie przyjaciółka pod koniec walczyła. Mogła sobie tylko wyobrazić, jak ciężko jest umierać, nie znając losu swoich dzieci.

Dręczyło ją poczucie winy.

Powinniśmy byli zrobić więcej.

Nie mogła jednak obwiniać lekarzy. Julian i jego zespół próbowali wszystkiego. Poświęcili całe dwadzieścia minut na końcowe badanie neurologiczne: szczypali Kat w policzki i kończyny, sprawdzali reakcję źrenic na światło, przeprowadzali wielokrotne testy EEG. Nawet na chwilę odłączyli ją od respiratora, żeby zobaczyć, czy podwyższony poziom dwutlenku węgla sprowokuje chociaż jeden oddech.

Wniosek był niepodważalny.

U Kat nie tylko zanikły wyższe funkcje mózgowe, ale nie występowały nawet odruchy pnia mózgu – te ostatnie ślady aktywności, zanim mózg zostanie uznany za martwy.

Kat naprawdę odeszła.

Lisa wciąż czuła ciepło palców przyjaciółki, ale ten efekt był sztuczny. Koce elektryczne i podgrzane płyny z kroplówki utrzymywały stałą temperaturę ciała. Podobnie dzięki respiratorowi jej pierś unosiła się i opadała. Wstrzykiwano jej hormony, żeby zastąpić to, czego mózg już nie produkował: wazopresynę podtrzymującą czynności nerek, tyroksynę regulującą metabolizm i inne substancje wspomagające system immunologiczny.

Tylko serce funkcjonowało bez wspomaganie – równie uparte jak jego właścicielka. Każde następne uderzenie zasiliał wewnętrzny system elektryczny jej serca, widmowa

pozostałość po tym, co przepadło. Ale to nie była oznaka życia; serce może bić przez jakiś czas nawet wyjęte z ciała. Bez sztucznego oddychania serce Kat stanie w ciągu godziny.

Lekarze nazywali to „podtrzymywaniem życia” – ale się mylili. Tutaj nie było już żadnego życia do podtrzymywania, żadnej nadziei na resuscytację. Wszystkie te maszyny i zabiegi służyły innym celom. Prawidłowe określenie terapii Kat brzmiało: „podtrzymywanie organów”.

Taką opiekę medyczną przedłużano, żeby krewni zdążyli dojechać do szpitala i pożegnać się – dopóki w ciele tlił się jakiś pozór życia.

Był to jednak okrutny podstęp, makabryczne przedstawienie teatrzyku marionetek.

Ich ukochani już odeszli.

Podczas lotu do Francji Monk został poinformowany o stanie Kat. Miał wystarczające wykształcenie medyczne, żeby się nie okłamywać, nie żywić złudnych nadziei. Lisa zaproponowała jednak, że nie odłączy Kat do jego powrotu. Taki stan można było podtrzymywać mniej więcej przez tydzień.

Monk odmówił.

„Pozwól jej odejść w spokoju – powiedział. – Już pocałowałem ją na pożegnanie, wiedząc, że to będzie ostatni raz”.

Sztuczne podtrzymywanie funkcji życiowych przedłużano z innego powodu.

Wszedł lekarz – Lisa nie pamiętała jego nazwiska – w towarzystwie dwóch pielęgniarek i sanitariusza.

– Sala operacyjna gotowa – oznajmił.

Lisa kiwnęła głową, niezdolna odpowiedzieć. Tłumiąc szloch, wstała, po raz ostatni uścisnęła rękę Kat i odsunęła się od łóżka. Personel medyczny wkroczył do akcji: odłączył pacjentkę od aparatury i przygotował ją do transportu na salę operacyjną.

Kat podpisała zgodę na pobranie organów.

Nic dziwnego, to do niej pasowało.

Nawet po śmierci nadal będzie ratować życie.

Lisa została w pokoju, dopóki nie wytoczono przyjaciółki. Potem opadła bezwładnie na krzesło. Wiedziała, że Kat odeszła na długo przedtem, zanim zabrano jej ciało. Jednak bez niej to miejsce wydawało się dużo bardziej puste, jakby zniknięcie całej tej werwy i energii pozostawiło po sobie próżnię.

Lisa siedziała w milczeniu, zbyt załamana, żeby się ruszyć.

Nagle jakiś hałas przy drzwiach przyciągnął jej uwagę.

Julian wszedł szybkim krokiem, prowadząc nieznaną kobietę. Neurolog omiótł spojrzeniem pokój.

– Gdzie jest Kathryn?

Lisa wstała z bijącym sercem, widząc niepokój na twarzy lekarza.

– Zabrali ją na salę operacyjną, żeby pobrać jej or...

Julian odwrócił się na pięcie.

– Musimy ich powstrzymać.

Paryż, Francja

26 grudnia, godzina 01.08 czasu miejscowego

Gray zanurkował pod pękniętym łukiem.

Wędrowali przez katakumby od piętnastu minut i już się zgubił. Simon prowadził ich przez labirynt tuneli i komór zabazgranych graffiti, schodząc na coraz niższe poziomy przez kruszące się otwory wentylacyjne – dziury, które nazywał *chatières*, czyli „kocie klapki”. Raz nawet musiał się wycofać, mamrocząc coś o zawale.

Na szczęście był na tyle uprzejmy, żeby po drodze narysować kredą kilka iksów i strzałek, znaków, które pomogą im wrócić tą samą trasą, choć Gray i tak nie zamierzał go odstępować ani na krok.

Trzymał ich jedyną ultrafioletową ołówkową latarkę, zamontowaną na prowadnicy pod lufą jego sig sauera. Promień, niewidzialny dla nieuzbrojonego oka, odbijał się od otoczenia i wychwytywały go wrażliwe detektory w ich noktowizyjnych goglach. Gray używał jednak oszczędnie tej latarki, nastawiwszy ją na najmniejszą moc, w obawie że ultrafioletowe światło wywoła gdzieś fluorescencję i zdradzi ich obecność.

Jak teraz.

Kiedy wyprostował się w następnej komorze, ściana naprzeciwko eksplodowała w jego goglach, ukazując olbrzymi mural namalowany na wapieniu. Minęli już kilka przykładów takiej podziemnej sztuki, ale żaden nie przypominał tego arcydzieła ukrytego w ciemnościach. Świeciło i migotało, bombardowane promieniami UV.

Mural przedstawiał upiorną mumię, przewożącą łodzią własną trumnę. Łódź i jej milczący pasażer płynęli po ciemnym jeziorze w stronę wyspy porośniętej cyprysami, gdzie na wyniosłych skałach otwierały się portyki grobowców.

– To nie jest dobry znak – burknął Kowalski.

– To dzieło artysty katafila, który nazywa się Lone – szepnął Simon. – Praca zabrała mu cały rok. To jego wersja *Die Toteninsel* Arnolda Böcklina. *Wyspa umarłych*.

Gray przeczytał inskrypcję pod murałem.



Napis był palindromem, zdanie brzmiało tak samo czytane do przodu i wstak. Przekaz był upiornie proroczy. Nawet gwiazdka pomiędzy wersami przejęła Graya zimnym dreszczem. Pentagram wyglądał identycznie jak symbol Bruxas International. Był nawet identycznie przekrzywiony, jakby symbolizował ich wędrówkę.

Gray znowu doznał niesamowitego wrażenia, że wokół niego wiruje los.

Simon zauważył jego zainteresowanie i przetłumaczył palindrom na głos:

– *Wirujemy w kręgu nocy, pochłaniani przez ogień.*

Podniósłszy wzrok, Gray wyobraził sobie pożogę na powierzchni. Tu na dole, w katakumbach, było chłodno i wilgotno, wapienne ściany były mokre i zimne. O pożarach świadczyły jedynie zablakane smugi dymu, wiszące tu i tam w nieruchomym powietrzu. Przechodząc przez nie, wyczuwał przelotny zapach popiołu, muśnięcie ciepła, jakby dusze zmarłych skryły się tutaj, szukając schronienia w zimnych grobowcach.

– Chodźmy dalej – ponaglił Monk.

Gray skinął na Simona.

Schodzili jeszcze niżej, posuwając się gęsiego.

Po następnych kilku minutach pojawiła się przed nimi słaba poświata. W obawie że zbliżają się do wroga, Gray wyłączył latarkę. Alarm okazał się jednak fałszywy. Metrowej szerokości szyb wydrążony w stropie biegł prosto do góry. Jakies pięćdziesiąt metrów wyżej płonęły maleńkie pomarańczowe supernowe, wzmocnione przez noktowizyjne gogle. Gray zamknął soczewki gogli i zogniskował widok na spodzie pokrywy studzienki kanalizacyjnej. Przez otwory w stali przeświecał ogień na powierzchni.

Simon wskazał na gołe, grubo ciosane ściany tej wapiennej studni.

– W tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku cementarz Montparnasse był przepełniony, pękał w szwach. Żeby zrobić miejsce, grabarze na rozkaz króla wrzucali stare szkielety do dawnych kamieniołomów, w których teraz stoimy.

Jako dowód wskazał stopy kości – mieszaninę piszczeli, żeber i roztrzaskanych czaszek. Ostrożnie przeszli wśród porzucanych szczątków.

– W tych rejonach nie znajdziecie makabrycznych wystaw dla publiczności. Nikt się nie fatygował, żeby tak daleko urządzić muzeum.

Kowalski wskazał na boczny tunel.

– Więc kto to poskładał? – spytał, starając się szeptać.

Na końcu przejścia stał tron sklecony z poślizgniętych kości, z siedzeniem z klatek żeberkowych, oparciem z kości udowych i poręczami z czaszek.

– Miejmy nadzieję, że zbudowały to ludzkie ręce. – Simon wzruszył ramionami. – Ale słyszy się różne historie, o kościach, które same się poruszają...

Kowalski wzdrygnął się i spojrzał wilkiem na Graya.

– Ostatni raz robisz za przewodnika wycieczki.

Gray dał znak, żeby szli dalej, ale najpierw ostrzegł:

– Chyba już zbliżamy się do miejsca, które namierzyła Mara. Koniec gadania.

Chociaż miał się na baczności ze względu na dziwną akustykę tu, na dole, do tej pory czuł się stosunkowo bezpiecznie. Na razie, nieustannie nadstawiając uszu, nie usłyszał żadnych ostrzegawczych dźwięków – żadnych głosów ani hałasów zdradzających czyjąś obecność.

Jeśli ja ich nie słyszę, oni też pewnie nas nie słyszą.

Ale to się mogło zmienić w każdej chwili.

Wciąż jednak dręczył go niepokój. A jeśli wróg już się ewakuował? Skoro Paryż płonął, ludzie z Tygła nie zostaną tu długo.

Świadomy tego, narzucił szybsze tempo. Po kilku minutach milczącego marszu Simon nagle się zatrzymał. Gray o mało na niego nie wpadł.

Tunel przed nimi się zwężał, ale nie to stanowiło problem. Podłogę pokrywała sięgająca do łydek warstwa starych kości, ciągnąca się na trzydzieści metrów.

Ale nawet nie to zatrzymało Simona. Wskazał na drugi koniec przejścia, gdzie po lewej stronie otwierał się mniejszy tunel. Buchało z niego białe światło, dostatecznie mocne, żeby oślepić noktowizory.

Gray zdjął gogle i schował. Monk i Kowalski poszli za jego przykładem i każdy mocno ścisnął broń. Monk miał drugiego sig sauera. Pękaty pistolet maszynowy w potężnych rękach olbrzyma wyglądał jak dziecięca zabawka.

Zgodnie z planem tylko Simon nie zdejmował noktowizyjnych gogli.

Gray wskazał za siebie i Francuz zrobił to, co wcześniej ustalili; nie był obeznany z bronią, więc Gray wolał usunąć tego cywila z niebezpiecznej strefy.

Simonowi nie trzeba było dwa razy pokazywać. Cofnął się w ciemność i znikł po kilku krokach.

Po jego odejściu Gray znowu spojrzał na zasłany kośćmi tunel przed nimi. Od czasu do czasu dobiegało stamtąd odległe, niewyraźne mamrotanie. Lecz bez wątplenia byli to ludzie Tygła.

Gray zmierzył wzrokiem dywan z czaszek, potrzaskanych żeber i połamanych kości udowych. Zastanawiał się, czy ten makabryczny kobierzec powstał przypadkowo, czy celowo. Tak czy owak, służył za prymitywny system wczesnego ostrzegania dla wroga. Jeden fałszywy krok, jeden ostry trzask kości i Gray i jego towarzysze stracą przewagę zaskoczenia.



Wstrzymując oddech, wysunął stopę, czubkiem buta rozgarnął kości i dopiero kiedy dotknął podłogi, opuścił piętę.

Westchnął.

Jeden krok zrobiony...

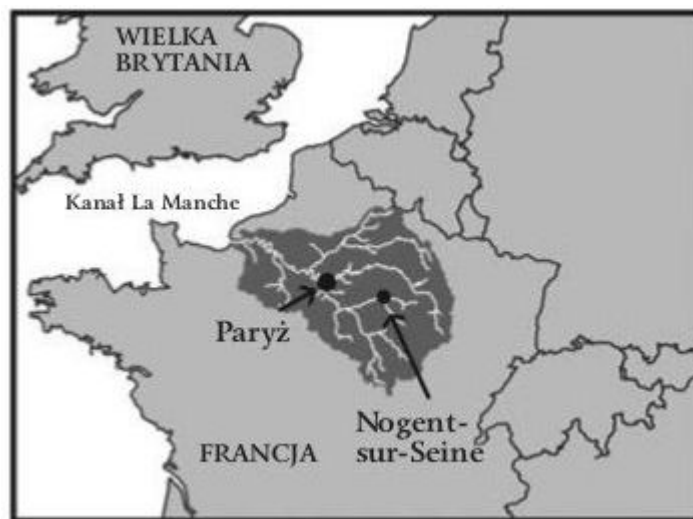
Spojrzał w głąb tunelu, czując, że czas nagli. Ale walczył z tą presją i posuwał się powoli, ostrożnie wybierając drogę.

Jedyna pociecha: nad jego głową płonął Paryż.

Co jeszcze wróg mógłby zniszczyć?

Godzina 01.24

Todor studiował topograficzną mapę na tablecie. Przedstawiała dział wodny basenu Sekwany, doliny i dopływy wpadające do rzeki, która przepływała przez Paryż w drodze do kanału La Manche.



Zauważył francuską gminę Nogent-sur-Seine na południowym wschodzie. Elektrownia atomowa w tej małej wiosce leżała blisko Sekwany. Kiedy rdzeń stopi się i wybuchnie, wiatry rozniosą na wszystkie strony radioaktywną chmurę. W dodatku ścieki z elektrowni skażą pobliską rzekę i zmienią ją w idealny środek transportu, który zanieśie trujący ładunek prosto do serca Paryża.

Mendoza wyprostował się nad laptopem.

– Zrobione, *Familiares*.

Todor odłożył tablet i podszedł bliżej.

– Przebiła się przez ostatni firewall – zameldował Mendoza. – Jest w ich systemie i wykonuje plan.

– Ile czasu jej to zajmie? – spytał Todor, spoglądając na zegarek.

– Dowiem się za chwilę. Niestety, elektrownia atomowa okazała się trudniejszym zadaniem niż systemy Paryża. Więc to dobrze, że najpierw zaatakowaliśmy miasto... nie tylko dla odwrócenia uwagi, ale też jako próbny przebieg.

– Co to znaczy?

– Paryż to było proste ćwiczenie. *Inquisitor Generalis* uważał, że lepiej najpierw wypróbować Ewę tutaj. Uznał, że najlepiej skierować ją na przestarzałe i słabiej chronione miejskie systemy.

– Zanim wyślemy ją na południe.

Mendoza skinął głową.

– I to zadziałało. Ona szybko się uczy.

Todor poczuł ukłucie irytacji. Przywódca Tygła zdradził ten szczegół planu zwykłemu podwładnemu, chociaż Mendoza nigdy go nie spotkał i nawet nie zasłużył na tytuł *familiars*. Todor wiedział, że wielki inkwizytor konsultował się z inżynierem jądrowym, znającym systemy kontrolne elektrowni w Nogent. Szczegółowo opracowano atak. Wykorzystując szybkość i wszechstronność SI, mogli wyłączyć, zablokować albo obejść kolejne poziomy zabezpieczeń elektrowni.

Planowali jednocześnie wywołać dwie awarie: wyciek chłodziwa i skok ciśnienia. Bez dostatecznej ilości chłodziwa reaktor się przegrzeje, na skutek czego w rdzeniu utworzy się bąbel pary. Uszkodzenie systemu kontroli ciśnienia spowoduje, że ogromny bąbel szybko się rozszerzy i doprowadzi do eksplozji wodoru, dostatecznie silnej, żeby rozerwać wzmocnioną stalą zbiornik bezpieczeństwa.

Laptop głośno pisnął i przyciągnął ich uwagę. Zbitka nakładających się okien – przewijających kod, który tylko Mendoza potrafił zinterpretować – zniknęła. Na ekranie ponownie wyświetlił się mroczny Eden.

– Skończyła – oznajmił Mendoza. – Od tej chwili nic nie powstrzyma kaskady awarii, które zakończą się całkowitym stopieniem rdzenia.

Todor spojrział na zegarek i w myślach włączył stoper. Wiedział, że odtąd mają niecałe dziewięćdziesiąt minut, zanim elektrownia wybuchnie. Wrócił do porzuconego tabletu i wysłał sygnał do helikoptera, żeby przyleciał zabrać ich z miasta.

Za jego plecami rozległ się stłumiony okrzyk.

Odwrócił się i zobaczył, że Mendoza nachyliła się do laptopa.

Na ekranie w ogrodzie ponownie pojawiła się kobieca postać, szamocząca się w ognistych łańcuchach. Obraz Ewy migotał, kontury zacierały się i formowały na nowo, niczym wściekły wir ognia i mroku, płomienny anioł śmierci.

– Ona walczy, żeby nie wracać – wyszeptał Mendoza z pewną dozą podziwu.

Todora to nie obchodziło.

– Wyłącz wszystko – rozkazał. – Startujemy za...

Za jego plecami rozległ się ostry trzask i zbudził echo w głębinach katakumb. W grobowej ciszy zabrzmiał głośno jak wystrzał. Todor odwrócił się. Miał czterech ludzi na

pozycjach dookoła ich stanowiska. Wszyscy wiedzieli, że mają zachować ciszę. Ostrzeżono go, że czasami do katakumb zapuszczają się ryzykanci – albo policja usiłująca ich aresztować.

Ale rzadko docierali tak głęboko.

Jest tu ktoś jeszcze...

Z sercem walącym ostrzegawczo Todor odłożył tablet i sięgnął po karabin szturmowy: kompaktowy brytyjski L85 sparowany z granatnikiem Heckler & Koch. Drugą ręką wskazał urządzenie Xénese. Wypełniło swoje zadanie, ale nie mógł ryzykować, że straci tę zdobycz, zwłaszcza znając przyszłe plany Tygła.

– Odłącz to natychmiast – rozkazał. – Przygotuj do transportu.

– Ale...

Mendozę uciszył następny trzask w tunelu.

Tym razem nie tylko zabrzmiał jak wystrzał.

To był wystrzał.

## Godzina 01.30

Gray przeklął wielkie buciory Kowalskiego. Dotarli do połowy tunelu, kiedy partner z tyłu potknął się i poślizgnął kość udowa pękła pod jego obcasem.

Wszyscy zamarli, wstrzymując oddech.

Czy ich usłyszano?

Odpowiedziały im ruchliwe cienie pośród blasku padającego z bocznego tunelu. Gray skulił się, balansując na palcach wśród kości, modląc się, żeby go nie dostrzeżono na tle ciemnego tunelu.

Nie miał szczęścia.

Huknął strzał i kula ze świstem przemknęła mu nad uchem.

Usłyszał bolesne „uff” Monka.

Obejrzał się i zobaczył, że przyjaciel rozpląszczył się na ścianie i osunął na ziemię. Za nim Kowalski po prostu stał na środku tunelu, z uniesioną bronią.

O chol...

Gray zanurkował głową naprzód w stertę kości na podłodze. Pistolet maszynowy plunął ogniem w ciemności, terkocząc wściekle. Kowalski ostrzelał otwór bocznego tunelu, uważając na Monka przyciśniętego do ściany i Graya na ziemi. Pociski krzeszały iskry i rykoszetowały od wapienia.

– Idź! – ryknął Kowalski, kiedy opróżnił magazynek.

Gray zerwał się na nogi i skulony, pobiegł śladem pocisków do poprzecznego korytarza. Pośliznął się na kościach, wyhamował na progu i wystawił głowę za róg. Na ziemi leżało nieruchome, zakrwawione ciało, podziurawione przez ostrzał i rykoszetujące kule. Druga

ciemna postać pojawiła się w głębi tunelu; odcinała się wyraźnie na tle oświetlonego pomieszczenia za jej plecami.

Mając chwilową przewagę, Gray wycelował sig sauera i oddał trzy strzały wymierzone w środek sylwetki. Cień osunął się bezwładnie na ziemię.

Monk, chociaż ranny, przebiegł za Grayem i zajął pozycję po drugiej stronie wylotu tunelu. Wycelował pistolet i kiwnął głową.

Ufając, że Monk będzie go osłaniał, Gray skoczył do przodu. Odbił w bok, szorując plecami wzdłuż lewej ściany. Trzymał pistolet w pogotowiu.

Następny cień.

Monk strzelił zza jego pleców. Postać obróciła się z krzykiem – ale Gray zdążył wymierzyć w źródło krzyku i nacisnąć spust. Głowa celu odskoczyła w tył, ciało runęło na ziemię.

Gray pospieszył na koniec tunelu i zaryzykował zerknięcie do następnego pomieszczenia.

Las kamiennych kolumn podtrzymujących niski strop przesłaniał mu widok. Dostrzegł jednak sporo sprzętu komputerowego i otwarte metalowe skrzynie do transportu na drugim końcu komory. Jakiś ruch po lewej stronie przyciągnął jego spojrzenie. Chuderlawy facet taszczył do wyjścia stalową ramę, w której tkwiła kula ze szkła i tytanu.

Gray rozpoznał unikatową konstrukcję.

Urządzenie Xénese Mary.

Nie mógł pozwolić, żeby je zabrano, więc odsłonił się na tyle, żeby wycelować z sig sauera. Zanim jednak zdążył nacisnąć spust, drugi człowiek stanął przed nim na linii strzału. Olbrzym wyglądał jak brzydki brat Kowalskiego. Na ramieniu trzymał karabin.

Obaj zmierz yli wzrokiem broń przeciwnika.

Oceniwszy zagrożenie, Gray oddał jeden strzał na chybił trafił i skoczył z powrotem do tunelu. Wpadł na Monka i pociągnął przyjaciela dalej.

– Do tyłu, do tyłu, do tyłu.

Gray rozpoznał granatnik...

Wybuch rzucił ich obu na ziemię. Wokół zagrzechotały kamienne odłamki, potem napłynęła gęsta chmura dymu i wapiennego pyłu.

Ogłuszony i oszołomiony Gray na czworakach podpełznął z powrotem do wejścia, które cudem okazało się nienaruszone. Przez dym zobaczył, że komora jest pusta. Wróg uciekł... zabierając urządzenie Mary.

Klnąc, Gray podniósł się na nogi.

Dołączył do niego Monk, a potem Kowalski.

Gray ruchem ręki skierował wielkoluda na drugi koniec komory, żeby pilnował tamtego wyjścia. Potem odwrócił się do Monka. Z rozdarcia w górnej części rękawa jego puchowej lotniczej kurtki wyłaziły zakrwawione pióra.

– W porządku? – zapytał.

– Tylko draśnięcie. – Monk rozglądał się po komorze. Jedna z kamiennych kolumn zmieniła się w dymiącą kupę gruzu. – Mieliśmy szczęście, że twój strzał zepsuł gościowi cel. Gdyby ten granat trafił do tunelu...

Kamienny wierzchołek kolumny – wciąż przycementowany do stropu – odłamał się i runął z trzaskiem na ziemię. Od tego miejsca nad ich głowami pobiegło zygzakowate pęknięcie.

– Może to nie był przypadek – powiedział Gray. – Może ten drań chciał zawalić komorę. Ale jeśli tak, to dlaczego?

Zaniepokojony, pospieszył na drugi koniec pomieszczenia. W prawym rogu inne kolumny osłaniały szereg komputerów i elektronicznego sprzętu przed najgorszymi skutkami wybuchu. Wysoki do kolan rząd serwerów leżał na boku, przewrócony podmuchem. Zwisaly z niego kable. Gray domyślił się, że było tu podłączone skradzione urządzenie. Jeden przewód wciąż prowadził do laptopa zostawionego na stole.

Coś jasnego przyciągnęło jego wzrok do drugiego stołu, kilka kroków dalej. Podeszedł tam i zobaczył następny laptop, którego ekran świecił w chmurze skalnego pyłu. Obraz przedstawiał las zalany słońcem i kobietę stojącą na polanie usianej kwiatami. Zignorował to chwilowo i przechylił się przez krawędź stołu, gdzie coś migotało jeszcze jaśniej na podłodze.

Błękitna poświata płynęła z sześciokątnych szklanych okienek następnej sfery, identycznej jak ta, którą wcześniej dostrzegł Gray.

Drugie urządzenie Xénese.

Spojrzał w stronę wyjścia, którego pilnował Kowalski.

Widocznie ktoś skonstruował duplikat, pomyślał.

Nie mógł jednak pozwolić, żeby wróg uciekł nawet z jednym takim egzemplarzem.

Monk pochylał się nad sprzętem z zatroskaną twarzą, przyciskając ocieplaną rękawicę do rany.

– Co teraz? – zapytał.

– Ty zostaniesz tutaj. – Gray stłumił sprzeciw w zarodku. – Pilnuj tego wszystkiego. Nie możemy dopuścić, żeby wpadło w niepowołane ręce.

Monk spochmurniał, ale kiwnął głową, rozumiejąc, jakie to ważne.

Gray podeszedł do Kowalskiego.

– Idziemy za tym sukinsynem. Spróbujemy go zatrzymać, zanim zwieje z drugim urządzeniem.

– Bądźcie ostrożni! – zawołał za nimi Monk.

Kiedy Gray i Kowalski ruszyli do wyjścia, szpara na suficie rozstąpiła się szerzej z jęklwą skargą udręczonego kamienia. Gray obejrzał się i napotkał spojrzenie Monka.

Ty też bądź ostrożny, przesłał mu bezgłośnie wiadomość.

Paryż, Francja

26 grudnia, godzina 01.43 czasu miejscowego

To wszystko moja wina.

Mara wyglądała przez tylne okno helikoptera służb ratowniczych. Rotory miały dym i rozganiały go na tyle, że chwilami odsłaniało się płonące miasto, przelotne widoki piekła. Wszędzie szalały pożary. Ogień trawił budynki, samochody blokowały drogi, małe ciemne figurki biegały jak szalone, szukając schronienia.

Za nimi centrala Orange S.A. zmieniła się w pochodnię. Pierścień ognia powoli przesuwał się w górę, pochłaniał piętro za piętre i zostawiał za sobą wypatroszoną, dymiącą ruinę.

Przed paroma minutami na dachu wieżowca Orange S.A. wylądował helikopter sanitarny. Wysłano go po rozpaczliwym telefonie Jasona do szefa. Chłopak przekazał, że zostali uwięzieni, i podał następny cel Ewy.

Elektrownia atomowa w Nogent.

Niestety ta druga wiadomość nie była dla dyrektora Sigmy nowiną. Elektrownia ogłosiła już alert, ostrzegła o cyberataku i nieuchronnym stopieniu rdzenia. Trwała ewakuacja zakładów i miasteczka. Mara wyobraziła sobie przeraźliwy ryk syren, spanikowaną ludność uciekającą w noc.

Wcześniej rozmawiała krótko z dyrektorem Crowe'em. Powiedziała mu, że jedyna szansa odzyskania w porę kontroli nad elektrownią to wykorzystanie jej SI – Ewy – do naprawienia zniszczeń. Nawet jeśli nie uda się zapobiec stopieniu rdzenia, przynajmniej można będzie ograniczyć straty.

Najwyraźniej ta wątpla nadzieja wystarczyła, żeby zapewnić im natychmiastowy ratunek.

Ale to nie pomoże, jeśli nie odzyskają Xénese.

– Tam! – zawołał Jason z przedniego fotela obok pilota i wskazał przed siebie.

Mara przycisnęła twarz do szyby, żeby lepiej widzieć. Przed nimi rozciągał się ogrodzony murem cmentarz. Jak dotąd Montparnasse nie ucierpiał od pożaru; tylko samotne drzewo płonęło wśród krypt i grobowców niczym świeca w tej straszliwej nocy.

Nie pozostanie jednak długo nietknięty.

Za murami cmentarza płonął cały świat. Z odległości ponad kilometra prądy termiczne miały helikopterem, który podskakiwał jak piłka. Nawet ze słuchawkami na uszach i ogłuszona hukami silników, Mara słyszała potworny ryk płomieni.

Musieli wlecieć prosto w to piekło.

Carly trzymała ją za rękę i ścisnęła coraz mocniej z każdym podskokiem i obrotem maszyny. Drugą ręką przyciskała do siebie tytanową kasetę z twardymi dyskami, niczym kamizelkę ratunkową. Wcześniej, kiedy helikopter sanitarny opadł na zasnuty dymem dach budynku telekomunikacji, Carly wyglądała tak, jakby poważnie się zastanawiała, czy wsiąść na pokład, czy raczej zaryzykować walkę z płomieniami.

Wydawała się również zazdrosna, kiedy podrzucili ojca Bailey'a i siostrę Beatrice do parku obok wieżowca Orange. Książdz miał informatora we francuskim wywiadzie, który czekał na parę watykańskich szpiegów w miejskim wozie bojowym. Zanim helikopter znowu się wzniósł, pojazd już pędził po pustych chodnikach, migając światłami.

Mara patrzyła w dół, kiedy dolecieli do cmentarza. Maszyna wykonała nagły skręt, rzucając ją na Carly, i opadała gwałtownie; pilot walczył, żeby ją ustabilizować w ostrych porywach wiatru.

Carly zeszytniała, jej palce zacisnęły się na dłoni przyjaciółki jak imadło. Mara przytuliła ją mocno.

Trzymaj się, już prawie wylądowaliśmy, przesłała jej bezgłośny komunikat.

Przez radio Mara podsłuchiwała rozmowę pilota z Jasonem.

– Où? Gdzie mam usiąść?

Jason sprawdził telefon satelitarny, który trzymał na kolanach. Porównał wskazania GPS-u z ostatnią znaną lokalizacją komandora Pierce'a, zanim jego sygnał zanikł, i wskazał na południowy wschód.

– Tam. Niezbyt daleko od muru.

Helikopter przechylił się i zatoczył w tamtą stronę. Najlepsze lądowisko stanowił splechotek trawy wśród ciasno stłoczonych grobowców. Pilot walczył ze sterami, żeby ustawić się nad tak niewielkim celem.

Maszyna zakołysała się, zakręciła i zanurkowała.

Carly jęknęła.

– Albo wylądujemy, albo się rozbijemy. Wszystko mi jedno. Niech to się wreszcie skończy.

Nie wiadomo, czy pilot to usłyszał, ale helikopter runął ku ziemi. Nawet Mara przeraziła się tym nagłym upadkiem.

Kiedy płozy uderzyły o trawę, Jason zerwał z uszu słuchawki.

– Wszyscy wysiadać!

Wygramolili się z maszyny, przy czym Carly dosłownie przelazła przez Marę, żeby jak najszybciej się wydostać. Z telefonem w ręce Jason poprowadził je wzdłuż rzędu grobów i grobowców. Pilot został, gotów ich zabrać w bezpieczne miejsce, kiedy odzyskają urządzenie.

Jeśli je odzyskają.

Bez możliwości komunikacji nie wiedzieli, czy komandorowi Pierce'owi i pozostałym udało się wypełnić misję. Planowali odnaleźć wejście do katakumb i czekać tam w pogotowiu, na wypadek gdyby Pierce i jego towarzysze wrócili ze zdobyczą, a potem odlecieć helikopterem. Nie odważyli się czekać gdzie indziej. Każda minuta mogła oznaczać różnicę między powstrzymaniem cyberataku a totalną katastrofą.

Spiesznie szli przez zadymiony cmentarz. Wokół nich z nieba spadał popiół, wznecając wśród grobów nowe ognie, które rozdmuchiwał podmuch wirników helikoptera. Mara zakryła ramieniem usta i nos. Mimo to żar palił jej płuca i oczy łzawiły od dymu.

– To musi być tutaj – wydyszał w końcu Jason.

Podbiegli do mauzoleum z kruszącego się wapienia, z przerdzewiałymi drzwiami, lekko uchylonymi. Kiedy się do nich zbliżyli, nagle otworzyły się na całą szerokość.

Zaskoczeni, cofnęli się o krok.

Z otworu wyłoniła się samotna postać i zataczając się, wyszła na powierzchnię. Mężczyzna ściągnął noktowizyjne gogle przypominające owadzie oczy i wydawał się równie zaskoczony widokiem komitetu powitalnego.

– Simon? – zapytał Jason.

Mara rzuciła się na szefa cyberochrony w Orange.

– Czy... czy komandor Pierce znalazł tam coś, na dole?

Simon kiwnął głową.

– Chyba tak. Ktoś na pewno tam był.

Ludzie z Tygła?

Mara wymieniła zatroskane spojrzenia z Jasonem.

– I co się stało? – zapytała Carly, wciąż trzymając pod pachą kasetę.

Simon pokręcił głową i obejrzał się na mauzoleum.

– *Je n'en suis pas sûr*. Odesłali mnie.

Mara spojrzała na czarną paszczę krypty.

Więc co, do cholery, się tam dzieje?

## Godzina 01.55

Głęboko pod cmentarzem Gray przystanął na skrzyżowaniu tuneli. Ta część katakumb dawno temu została zalana, ponieważ deszczówka gromadziła się w najniższych poziomach. Lodowata woda sięgała mu do kolan.

Poświecił przed siebie ultravioletową latarką i przez noktowizyjne gogle przyjrzał się trzem rozgałęziającym się tunelom. W którą stronę poszli ci dranie?

Kierował promień latarki po kolei w każdą stronę. Woda w korytarzach na wprost i po prawej była czysta, przejrzysta na tyle, że widział kości zaścielające wapienne dno. Ale w lewym tunelu była mleczna od wzburzonego mułu.



Równie wyraźne jak ślady stóp w błocie, pomyślał.

Wskazał w tamtą stronę i szybko ruszył naprzód, starając się brodzić jak najciszej. Wodna ścieżka skręcała jeszcze kilkakrotnie, zanim wyprowadziła go z zalanych korytarzy z powrotem na suche podłoże. Przystanął pod następną studzienką o gładkich ścianach, prowadzącą do wjazdu wysoko na powierzchnię, jedną z tych, które pełniły tu funkcje świetlików. Blask ognia przenikający przez stalową kratę wzmagął się, w miarę jak pożary przybierały na sile, przypominając Grayowi, że musi się spieszyć.

W tej ognistej poświacie przyjrzał się wilgotnym odciskom butów na podłożu. Widział trzy wyraźne zestawy śladów. Wyprostował się. Uciekająca para widocznie zabrała po drodze jeszcze jednego członka grupy.

Ruszył dalej, patrząc, jak ślady wysychają i wreszcie znikają. Musiał zwolnić i tracić czas na skrzyżowaniach, szukając wskazówek w pyłe.

Potem wreszcie usłyszał echo ciężkich kroków i ukradkowe szepty.

Nie zważając na niebezpieczeństwo, wiedząc, że nie może ich zgubić, pobiegł w tamtą stronę. Za rogiem ujrzał żywy obraz, jasno oświetlony przez latarki przymocowane do broni. Trzydzieści metrów dalej trzy postacie skupiły się u stóp drewnianej drabiny, prowadzącej do kolejnego z szybów kanalizacyjnych. Najdrobniejsza z nich wspięła się już na szczeble, dźwigając na ramieniu skrzynkę z urządzeniem.

Na nieszczęście olbrzym zauważył Graya – albo spostrzegł ruch cieni, albo usłyszał zdradzieckie szurnięcie buta. Wycelowwał karabin w komandora. Bolesny błysk światła we wrażliwych goglach – bardziej niż broń przeciwnika – zmusił Graya do rejterady za róg. Zerwał gogle z twarzy, przypadł do ziemi i znowu wyjrzał, celując z sig sauera i mrugając, żeby pozbyć się powidoków wypalonych na siatkówce.

Olbrzym wepchnął już mniejszego towarzysza do szybu i ruszył za nim. Gray strzelił dwukrotnie, ale przeciwnik podskoczył i jego nogi znikły w otworze wykutym w niskim stropie.

Samotny strzelec, który został w tunelu, ostrzelał wylot korytarza i zmusił Graya do odwrotu.

Kowalski sapnął i przestąpił nad Grayem. Wystawił za róg jedną rękę z pistoletem maszynowym i zaczął strzelać na ślepo. Donośny terkot broni przestawionej na ogień ciągły zabrzmiał ogłuszająco. Kowalski opróżnił cały magazynek na pięćdziesiąt nabojów w niecałe cztery sekundy.

Wiedząc, że nikt nie mógł przeżyć takiego ostrzału, Gray wyskoczył z ukrycia i pobiegł na oślep tunelem. Ominął martwego strzelca i dopadł do drabiny. Oceniał, że szyb ma czterdzieści do pięćdziesięciu metrów.

Innymi słowy długa wspinaczka.

Wiedział, że musi jak najbardziej się zbliżyć.

Zanim ten sukinsyn zaryzykuje użycie...

Ostry huk przerwał mu tę myśl.

Z szybu wystrzelił granat i zrykoszetował od podłoża.

Gray uskoczył i cofnął się tyłem – ale wiedział, że nie zdąży w porę znaleźć osłony.

## Godzina 02.04

Todor zwisał z żelaznego szczebla wbitego w wapien. Drugą ręką osłonił oczy, kiedy na dole wybuchł granat. Oślepiająca fala białego ognia z grzmiącym rykiem przetoczyła się po jego ciele.

Pobłogosławiony przez Boga, nie poczuł palącego żaru ani oparzeń na nogach, gdzie zajęły się jego spodnie. Wstrzymał oddech, bardziej obawiając się toksycznego dymu buchającego z granatu.

Wyrzutnia na jego karabinie była jednostrzałowa, ładowana odtylcowo, mogła wystrzelić jeden granat naraz. Żałował, że wcześniej zmarnował pocisk burzący. Zamierzał go wykorzystać, żeby zniszczyć sprzęt komputerowy pozostawiony w ich obozie w katakumbach. A tymczasem zareagował instynktownie: strzelił do intruzów, żeby ochronić Mendozę z jego cennym ładunkiem, a także wyeliminować wroga. Później nie miał czasu na ponowne załadowanie, bo wybrał szybką ewakuację i popędził Mendozę do wyjścia.

Jednak idąc przez tunele, wcisnął do wyrzutni nowy granat, tym razem z ładunkiem białego fosforu. Taki pocisk z bliskiej odległości znacznie skuteczniej zniechęca wroga. Dym parzący płuca i deszcz cząsteczek białego fosforu, które wciąż płoną, wypalając ciało do kości – taki wybuch zabija wszystko w pobliżu i powoduje tak silne skażenie, że przez wiele godzin nikt tędy nie przejdzie.

Todor w końcu opuścił rękę, bo światło na dole przygasło. Klepaniem zdusił płomień na ubraniu i wspiął się po pozostałych szczeblach, które prowadziły w górę szybu niczym stalowe zszywki.

Spowity trującym dymem, podczas wspinaczki nadal wstrzymywał oddech. Przed odpaleniem granatu zdążył pokonać jedną czwartą drogi w górę. Ta odległość oraz rykoszet uchroniły go przed największym impetem wybuchu. W ewakuacyjnym helikopterze zdejmie ubranie i usunie cząsteczki fosforu, które osadziły się na jego skórze.

Nad jego głową pokrywa wjazdu została zdjęta.

Mendoza wygramolił się z zadymionego szybu i zniknął.

Todor wkrótce do niego dołączył i po kilku krokach wziął głęboki oddech. W powietrzu wciąż wisiał duszący dym, ale tylko z pożarów trawiących Paryż, nie z chemicznego piekła na dole.

Rozejrzał się. Wyszli na powierzchnię w pobliżu północnego krańca cmentarza. Na drodze biegnącej wśród krypt i grobowców stał helikopter. Jeden z członków zespołu ewakuacyjnego prowadził Mendozę, który krztusił się i kaszłał, w stronę wirujących łopat maszyny.

Todor pospieszył za nimi.

Następny członek zespołu wysunął się do przodu, gotów zaofiarować pomoc, ale szeroko otworzył oczy w szoku, widząc pokrytą bąblami twarz Todora, jego dymiące ubranie i spalone włosy. Todor zdawał sobie sprawę, że wygląda jak ognisty demon przybyły prosto z piekła, ale znał również prawdę – dlatego nie ukrywał swojej ognistej chwały.

Jestem żołnierzem Boga.

Obejrzał się na dymiącą dziurę w ziemi. Chociaż nie wiedział, kto ich ścigał w katakumbach, myśliwi z pewnością mieli przeszkolenie wojskowe. Niemniej motywy wroga nie były słuszne i sprawiedliwe.

Pokrzepiony tą pewnością, odwrócił się i ruszył do helikoptera.

Bóg was nie ocali.

## Godzina 02.12

Kowalski wepchnął Graya pod wodę.

Znowu.

Olbrzym przyciskał go do wapiennej podłogi zalanego tunelu i wielką rękawicą oklepywał jego ubranie, wyciskając każdy pęcherzyk powietrza uwięziony w tkaninie. Wystarczyłaby odrobina powietrza, żeby na nowo zapalić cząsteczki fosforu na ubraniu czy skórze Graya. Nauczyli się tej bolesnej lekcji po pierwszym podtopieniu, kiedy oparzelizna na plecach Graya znowu zapłonęła.

Kowalski przytrzymał go jedną ręką i sięgnął do jego paska.

Gray odtrącił jego ramiona i wypluł wodę.

– Już sobie poradzę.

Wstał i ściągnął spodnie. Stojąc w przemoczonych bokserkach, wepchnął stopy w buty. Już wcześniej zrzucił kurtkę, która leżała w tunelu, dymiąc i płonąc jasno w miejscach, gdzie wciąż żarzył się biały fosfor.

Kowalski obejrzał jego ciało od góry do dołu, wyraźnie gotów znowu go podtopić.

– Coś cię piecze?

Tylko moja zraniona duma, pomyślał Gray.

– Nic, co nie może poczekać – odpowiedział.

Miał szczęście, że przeżył. Kiedy granat wybuchł, okręcił się i rzucił twarzą w dół na podłoże. Spodziewał się, że wstrząs go zabije, ale nastąpił oślepiający błysk i buchnął gęsty kłęb dymu. Deszcz płonących drobinek obsypał mu plecy.

Instynktownie wstrzymał oddech, ale potem poczuł potworny ból, jakiego jeszcze nigdy nie doznał. Na kilka sekund stracił przytomność i ocknął się, kiedy Kowalski włókł go za kołnierz do wody, żeby stłumić ogień.

Rozumiejąc, że szybka reakcja partnera uratowała mu życie, wyciągnął rękę i z wdzięcznością uścisnął ramię Kowalskiego.

– Dzięki.

Olbrzym wzruszył ramionami. W którymś momencie zdążył wsadzić sobie do ust zgasłe cygaro. Odwrócił się i zapalił je od porzuconej kurtki Graya.

– Co teraz? – spytał.

Gray spojrział w stronę odległej poświaty, płynącej z miejsca wybuchu granatu kilka tuneli dalej, gdzie wciąż płonął biały fosfor. Nawet z tej odległości docierał do nich kwaśny, lekko czosnkowy smród chemicznego dymu, ostrzegając, żeby się tam nie zbliżać.

– Jeszcze nie skończyliśmy z tymi draniami – powiedział.

– Jeszcze nie? – jęknął Kowalski. – Cholera, na pewno już się zmyli.

Może, ale dopóki się nie upewnię...

Gray ruszył przodem.

Jego partner pyknął z cygara.

– Dokąd idziemy?

Gray przeszedł kawałek z powrotem i stanął pod szybem, przy którym zatrzymali się wcześniej, kiedy badał wilgotne ślady stóp wroga. Wyciągnął szyję i poczuł, że na karku pali go kilka drobinek fosforu w miejscach, gdzie skóra wyschła. Ocenił wzrokiem gołe ściany. Tu nie było drabiny. Mimo to wskazał w górę.

– Tędy.

– Tędy? Zwariowałeś?!

Strop tunelu znajdował się zaledwie parę centymetrów nad ich głowami. Gray podskoczył wysoko, wparł się ramionami w ściany szybu i podciągnął nogi. Potem oparł się butami o jedną ścianę, a plecami o drugą. Rozciągnięty w szybie, zastosował technikę wspinaczkową nazywaną „rozpierzaczka”. Przesuwając na zmianę plecy i nogi, szybko piał się w górę.

Kowalski narzekał, ale poszedł w jego ślady, wypełniając studzienkę potężnym ciałem.

Wreszcie Gray dotarł do pokrywy szybu. Zaparł się mocno i pchnął od dołu stalową płytę. Skrzywił się pod jej ciężarem i przez jedną przerażającą chwilę zaczął się ześlizgiwać. Wreszcie pokrywa drgnęła. Dźwignął ją i przesunął na bok wystarczająco, żeby się precyzyjnie przesuwać na zewnątrz.

Odotoczył się z ciężkim westchnieniem ulgi. Potem pomógł wyjść Kowalskiemu, co przypominało wyciąganie byka z trzęsawiska. Kiedy obaj stanęli na nogi, Gray rozejrzał się po cmentarzu. Wszędzie dookoła płonęły ognie, ale na razie mur otaczający cmentarz nie dopuszczał do środka pożogi, która ryczała w płomiennej frustracji.

Było jednak gorąco jak w piecu i duszno od dymu.

Jakiś ruch przyciągnął wzrok Graya na północ.

W pobliżu bramy cmentarza helikopter wznosił się coraz wyżej poprzez wirujące kłęby dymu i płonącego popiołu.

To na pewno oni.

– Spóźniliśmy się. – Zacisnął pięść i zmełł w zębach przekleństwo.

– Niekoniecznie. – Kowalski wziął go za ramiona i odwrócił na południe.

Drugi helikopter, na wpół zasłonięty przez kłęby dymu, stał na spłachetku trawy. Wirniki się obracały, silnik pracował na jałowym biegu. Maszyna była pomalowana na jaskrawożółto, w pobliżu statecznika widniał znajomy czerwony krzyż.

– Co tu robi helikopter sanitarny? – mruknął Gray.

– Może dowozi zmarłych – podsunął Kowalski. – Chodźmy zapytać.

Pobiegli przez cmentarz, lawirując wśród pomników i nagrobków. Gray pierwszy dotarł do helikoptera. Zanurkował pod wirującymi łopatami i załomotał w szybę. Pilot drgnął zaskoczony. Patrzył w przeciwną stronę, na jeden z grobowców – dopiero wtedy Gray rozpoznał mauzoleum, to samo, które skrywało sekretne wejście do katakumb.

Zmarszczył brwi, próbując się rozeznać w tym wszystkim.

To nie mógł być przypadek.

Znowu załomotał.

– Otwierać! – wrzasnął.

Pilot wcale nie miał na to ochoty, wyraźnie zaszokowany widokiem półnagiego szaleńca. Gray wiedział jednak, że helikopter musi mieć związek z ich misją w katakumbach pod cmentarzem. Po co innego by tu lądował?

– Jestem komandor Grayson Pierce! – przedstawił się.

Nie pomogło.

Natomiast pomógł Kowalski, który pojawił się za nim i wycelował świeżo naładowany pistolet maszynowy w kokpit.

– Facet kazał otwierać.

Gray przechylił ku ziemi lufę pistoletu.

– Chcemy tylko porozmawiać.

Pilot nie otworzył drzwi, ale odsunął małe boczne okienko, tylko na tyle, żeby wrzasnąć:

– *Putain!* Czego chcecie?!

– Wbrew pozorom służę w amerykańskiej armii – wyjaśnił Gray. – Potrzebujemy pomocy. Dlaczego tu jesteś?

Pilot zmierzył go wzrokiem od stóp do głów z powątpiewającą miną, ale odpowiedział:

– Coś *très* ważnego. Ktoś próbuje wysadzić w powietrze elektrownię atomową.

Co, do cholery?!

Kowalski pokręcił głową.

– Taaa, on na pewno tu jest z naszego powodu.

– Przywiozłem dwie młode kobiety – dodał pilot. – I młodego mężczyznę. Twierdzili, że mogą to powstrzymać. Spotkali tu faceta w żółtych okularach, który zabrał ich na dół.

To na pewno był Simon, pomyślał Gray.

Wskazał tył helikoptera.

– Twoi pasażerowie? Czy to byli Jason Carter, Carly Carson i Mara Silviera?

Zdziwiony pilot wyprostował się.

– Byliśmy z nimi. – Gray nie wiedział, dlaczego tamci tu przylecieli ani o co chodziło z tą groźbą nuklearnego ataku, ale domyślał się źródła problemu. Wskazał kierunek, gdzie zniknął wróg. – Widziałeś tamten helikopter, który odleciał przed chwilą?

– *Oui*.

– Musimy lecieć za nim.

Popatrzył na ciemne niebo. Musiał wierzyć, że Jason i dziewczyny wiedzą, co robią.

– *Non* – sprzeciwił się pilot. – Kazano mi tu czekać.

Kowalski znowu uniósł pistolet.

– To nie była prośba, kolego.

Czas uciekał, więc Gray tym razem nie opuścił lufy. Pozwolił, żeby groźba zawisła w powietrzu. Wciąż czuł resztki płonącego fosforu na karku i na wierzchach dłoni. Wykorzystał ten ból, żeby skupić się na następnym zadaniu.

Wytropić tych sukinsynów.

Paryż, Francja

26 grudnia, godzina 02.24 czasu miejscowego

Gdzie jesteś, do cholery, Gray?

Monk chodził po kamiennej komorze. Spoglądał na zegarek. Graya nie było prawie od godziny. Napięcie szarpało Monkowi nerwy. Dwadzieścia minut wcześniej odległa eksplozja obudziła echo w katakumbach. Była tak silna, że z pęknięcia w sklepieniu posypał się skalny pył. Widocznie Gray znowu starł się z draniem, który rozwalił kamienną kolumnę w tej komorze, draniem uzbrojonym w granatnik.

Od tamtego czasu w tych przeklętych grobowcach panowała martwa cisza.

Grobowa cisza.

Starał się nie myśleć o Kat.

Ani o dziewczynkach.

Znowu spojrzął na zegarek. Spacerując, zawędrował do stacji komputerowej. Niczego tam nie dotykał, nie czując się w swoim żywiole. Bał się, że coś zepsuje przez swoją ignorancję. Więc tylko obejrzał pobieżnie wszystko, co zostawił wróg, i sporządził w myślach spis inwentarza.

Pomimo całej ostrożności ciągle wracał, niczym ciekawska sroka, do tego, co świeciło w mroku: promiennej sfery na podłodze i otwartego laptopa. Potrzebował jakiegoś zajęcia, więc znowu nachylił się nad ekranem komputera. Wciąż jednak trzymał w ręce SIG sauera i nasłuchiwał, czy ktoś się nie skrada.

W laptopie naga kobieta wędrowała przez bujny ogród wśród krzewów różanych, lekko opadających bzów i kwitnących dereni. Rozdzielczość była tak wysoka, że Monk miał ochotę sięgnąć i zerwać malinę z krzaka na ekranie. Jego proteza nawet uniosła się na tę myśl. W tej samej chwili kobieta też uniosła ramię, wyciągnęła rękę do krzaka i ujęła długimi palcami dojrzały owoc, wilgotny od rosy.

Co, do...

Odległy szmer głosów natychmiast przywrócił mu czujność. Szybko odsunął się i schował za kolumną. Wycelował pistolet w ciemny wylot tunelu i przygotował się do walki. Zamierzał bronić tego sprzętu nawet za cenę życia. To, co tutaj zostawiono, mogło ocalić jego córeczki i nikomu nie pozwoliłby tego ukraść.

Wyteżył słuch, próbując ocenić liczebność przybyszów. Czy to oddziały wroga, czy posiłki przysłane przez Graya? Potem usłyszał, jak ktoś z francuskim akcentem mówi:

– Tędy. Uważajcie na kości.

Monk przesunął się do kolumny bliższej wejścia. Przeciął strużkę pyłu sypiącego się ze szczeliny w stropie. Trochę dostało mu się do nosa i z trudem stłumił kichnięcie.

Potem usłyszał następny głos, kobiecy, z hiszpańskim zaśpiewem:

– Daleko jeszcze? Nie mamy za dużo czasu.

– Ciii. Nie gadaj tyle – skarcił ją ktoś. – Nie wiemy, kto...

Albo akustyka stłumiła ostatnie słowa, albo mówiący zniżył głos, lecz Monk go rozpoznał.

To była prawa ręka Kat.

Monk złożył dłonie wokół ust.

– Jason! Tutaj!

– Monk?! – odkrzyknął chłopak.

– Nie, jego duch. Chodź tu, bo będę cię nawiedzał.

Wkrótce głośnie chrzesty i trzaskanie pękających kości oznajmiły przybycie małej grupki. Prowadził Simon Barbier, za nim pospiesznie weszli Mara, Carly i Jason.

Monk wciąż trzymał broń w pogotowiu, na wypadek gdyby ich śledzono albo gdyby hałas przyciągnął czyjąś niepożądaną uwagę.

– Co wy tu wszyscy robicie?

Jason pospiesznie przekazał mu szczegóły o zagrożeniu dla pobliskiej elektrowni atomowej, gdzie wkrótce stopi się rdzeń reaktora na skutek sabotażu dokonanego przez SI Mary.

Monk pociągnął ich do rzędu komputerów i wskazał laptopa.

– Jak ta SI?

Mara rozpoznała własne dzieło i podbiegła, żeby je obejrzeć.

– Moje Xénese. Odzyskaliście je. – Nachyliła się do ekranu. – I Ewę.

– Gdzie jest Gray? – zapytał Jason. – I Kowalski?

Kiedy Mara przeprowadzała jakąś zawiłą diagnostykę, Monk zreferował wszystko, co się wydarzyło.

– Nie miałem więcej wiadomości od Graya. Ale... – wskazał na szparę, która zajęczała złowieszczo – lepiej powyłączajmy to wszystko i przenieśmy w bezpieczne miejsce.

– Nie – sprzeciwiła się Mara, wciąż stukając w klawiaturę. – Mamy zasilanie i bezpośredni dostęp kablowy do infrastruktury sieci. Nie możemy odejść.

Simon sprawdzał podłączenia do grubych kabli biegnących przez komorę.

– Ona ma rację. Te wszystkie wiązki zainstalowała Orange. Stąd Ewa będzie mogła się dostać wszędzie.

Monk wciąż nie rozumiał.

– Jakie to ma znaczenie?



Carly przyklęła na jedno kolano i otworzyła tytanową kasetę, którą ze sobą taszczyła.

– Zamierzamy przekonać Ewę, żeby nam pomogła. Żeby wróciła, naprawiła zniszczenia i przywróciła kontrolę nad elektrownią.

– Zanim będzie za późno – dodała jej przyjaciółka.

– Ale co powstrzyma Tygiel przed wykorzystaniem ich urządzenia Xénese, żeby znowu zaatakować elektrownię? – spytał Monk.

Mara otworzyła usta, po czym odwróciła się gwałtownie.

– Co to znaczy „ich urządzenie”?

Monk zorientował się, że jednak nie przekazał im wszystkich szczegółów. Opisał to, co Gray zauważył podczas strzelaniny.

– Jak to możliwe? – zapytała Mara. – Trzymałam moje projekty w tajemnicy.

– Wątpię, czy systemy Uniwersytetu w Coimbrze są całkowicie szczelne – podsunął wyjaśnienie Jason. – Jeśli ktoś wiedział, nad czym pracujesz, nietrudno było zhakować twoją robotę i zaglądać ci przez ramię.

Monk wiedział, że niewiele sieci jest całkowicie bezpiecznych. Jason sam włamał się do komputerów Departamentu Obrony, kiedy był właściwie dzieciakiem. Milczenie Mary wskazywało, że nie wykluczała takiej możliwości.

– Powinnam była bardziej uważać – mruknęła w końcu i wróciła do swoich czynności.

Simon przegarnął palcami kilka luźno zwisających kabli, wciąż podłączonych do wiązki telekomunikacyjnej.

– Chyba coś tutaj było podpięte do naszego systemu.

Drugie urządzenie Xénese.

Carly podeszła do zamkniętego laptopa na sąsiednim stole. Komputer wciąż był podłączony do małego rzędu serwerów. Otworzyła go, odpaliła ekran... i aż się zachłysnęła.

– Chodźcie zobaczyć.

Na ekranie trwał zatrzymany obraz: zwarzony ogród pod czarnym słońcem. Wyglądał jak ciemne lustrzane odbicie tego, co jaśniało w drugim laptopie.

Mara wyciągnęła palce do ekranu, do płomiennej postaci zmiażdżonej pod ciężarem rozpalonych do czerwoności łańcuchów.

– Ewa... co oni ci zrobili?

– Tego musimy się dowiedzieć – przypomniał wszystkim Jason. – Może puścimy kilka programów śledczych na tym laptopie. Sprawdźmy, co jest załadowane na tym serwerze. Miejmy nadzieję, że w ten sposób rozpracujemy metodologię, której użyto do ataku na elektrownię atomową w Nogent.

– Sprytnie – przyznała Carly.

Monk kiwnął głową, patrząc na zegarek.

– Więc lepiej bierzmy się do roboty.

Niskie dudnienie przyciągnęło ich wzrok do pęknięcia w suficie. Rysa wydłużyła się błyskawicznie i poleciała na nich świeża porcja wapiennego pyłu.

– I lepiej się pospieszmy – dodał Monk.

## Godzina 02.29

Kiedy Jason i Simon pracowali razem nad zhakowaniem porzuconego serwera, Mara skupiła się na własnej stacji. Niemal ugięła się pod presją czasu. Wyobrażała sobie wieże chłodnicze elektrowni atomowej pękające i implodujące, kruszące się na radioaktywny żużel.

– Czy to właściwy twardy dysk? – zapytała Carly.

Mara otarła pot z czoła i spojrzała ponad krawędzią stołu. Carly klęczała nad otwartą tytanową kasetą, trzymała kabel USB-C i próbowała odgadnąć, który dysk zawiera następny podprogram Ewy. Podczas turbulencji w helikopterze, a potem szybkiego marszu przez katakumby kilka dysków wypadło z gniazd i w kasecie zrobił się nieporządek.

Mara zajrzała tam i wskazała napęd oznaczony jako BGL1.

– Ten. I połącz go łańcuchowo z BGL dwa i BGL trzy.

Następny podprogram był obszerny, nawet większy od programu HARMONIA, służącego do muzycznej edukacji Ewy.

Carly kiwnęła głową i wpięła kabel do portu.

– Czekaj. – Mara zauważyła czas na laptopie. – Lepiej podłącz ten dysk również tutaj.

– On zawiera zupełnie inny podprogram – ostrzegła ją Carly. – Planujesz załadować oba razem?

– Nie mam wyboru. Jeśli chcemy się zmieścić w czasie, muszę przyspieszyć krzywą uczenia się Ewy.

Niemal wykładniczo.

Carly zmarszczyła brwi.

– Czy ona może przyswoić tyle informacji naraz?

– Będzie musiała.

Mara wpięła do laptopa drugi kabel USB-C i rzuciła drugi koniec przyjaciółce, a ta podłączyła go do wskazanego dysku. Dysk zawierał następny „lustrzany program hormonalny”, cyfrowy emulator hormonów, który powinien gładko się połączyć z zawartością BGL-ów.

Przynajmniej mam taką nadzieję, pomyślała Mara.

Zaryzykowała tę próbę, licząc na pewną osobliwość w niedawnym zachowaniu Ewy. Z niewiadomych powodów Ewa uczyła się w przyspieszonym tempie w porównaniu ze swoją pierwszą iteracją. Mara podejrzewała, że w jej kwantowym rdzeniu pozostała jakaś zagrzebana pamięć – cyfrowy odpowiednik podświadomości – która zachowała widmowy ślad jej wcześniejszej inkarnacji. Może te najnowsze podprogramy nie wprowadzały nowych informacji, tylko stanowiły kurs utrwalający już nabytą wiedzę.

Niestety, Mara nie wiedziała tego na pewno. Podobnie jak w wielu zaawansowanych systemach, dokładny mechanizm „myślenia” Ewy był zamknięty w jej algorytmicznej czarnej skrzynce.

Teraz do Mary dołączył Monk i zaglądał jej przez ramię. Wcześniej chodził tam i z powrotem od jej stacji do drugiej, gdzie pracowali Simon i Jason.

– Ciągłe nie rozumiem – poskarżył się. – Dlaczego musimy uczyć twoją wersję programu, zanim użyjemy jej jako narzędzia do odwołania pierwszego cyberataku? Przecież Tygiel poradził sobie doskonale z tym, co ci ukradł.

Mara popatrzyła na drugi laptop, na mroczny ogród i ognistego anioła w łańcuchach.

– Musieli najpierw ją złamać, zmusić do wypełniania ich rozkazów. To, w co ją zmienili... – Pokręciła głową. – To będzie niestabilne, nieprzewidywalne i wyjątkowo niebezpieczne. Prawdziwy demon.

– Więc dlaczego nie stworzyć drugiego demona? – zapytał Monk. – Zwalczać ogień ogniem.

Marę zemdlilo na tę myśl – Ewa za bardzo przypominała jej matkę. Nigdy nie zdobyłaby się na torturowanie tego, co stworzyła. Miała też jednak inny powód.

– Gdyby do tego doszło, nie przeżylibyśmy tej walki – ostrzegła. – Wojna demonów by nas zniszczyła.

– Dlaczego?

Dziewczyna odwróciła się do Monka, spojrzała na jego prymitywnie zabandażowane ramię i blizny na twarzy.

– Byłeś kiedyś żołnierzem, prawda?

Powoli skinął głową.

– Tak?

– Wojna to potężny motywator innowacji i wynalazków. Nie zawsze wygrywa armia o największej sile ognia, często zwycięzcą jest przeciwnik, który okaże się bystrzejszy, szybszy, bardziej wszechstronny pod względem strategii i technologii.

– Jasne. Ale co z tego?

– W twoim scenariuszu, jeśli poszczujemy demona demonem, każda ze stron będzie się starała przewyższyć tę drugą, żeby przeżyć. Będą ostrzyć miecze, doskonalić swoją inteligencję. A mówimy o inteligencji już znacznie wyższej od naszej. Wystawione do walki przeciwko sobie, staną się jeszcze mądrzejsze, jeszcze groźniejsze, ich inteligencja wzrośnie w zawrotnym tempie. Którykolwiek z nich wygra, będziemy wobec niego jak mrówki wobec gniewnego boga.

Monk pobladł na tę myśl.

– Więc lepiej niech ci się uda.

– Wszystko gotowe – przerwała im Carly.

W jej jasnych oczach pojawił się cień tej samej troski. Wstała i podeszła do przyjaciółki.

Mara wzięła ją za rękę, bo potrzebowała jej wsparcia.

Razem patrzyły na Ewę w ogrodzie, beztriosko wędrującą wśród zieleni, nieświadomą wiedzy ładowanej właśnie do jej systemu. Mara czuła się jak wąż, wprowadzający zatrute jabłko do raju. Lecz zamiast zaofiarować je Ewie, kusić ją nim, Mara odebrała swojej cyfrowej kreacji możliwość wyboru.

Przepraszam, Ewo, pomyślała.

Wcisnęła klawisz ENTER i uruchomiła dwa podprogramy jednocześnie.

Drugi program – następna lustrzana symulacja hormonalna – miał nalepkę OKSYTOCYNA. U ludzi tylny płąt przysadki mózgowej wydzieliał ten hormon do krwi. U kobiet regulował pracę wszystkich narządów związanych z rodzeniem dzieci, od rozszerzenia szyjki macicy do stymulacji potężnych skurczów macicy podczas porodu. Później pobudzał również laktację, produkcję mleka dla noworodka, nawet hormonalnie wzmacniał przywiązanie matki do dziecka. Z tych powodów oksytocynę często nazywano „hormonem miłości”, ponieważ wpływała na powstawanie więzi społecznych. I nie tylko wśród ludzi. Podczas głaskania psa poziom oksytocyny wzrasta zarówno u psa, jak i u jego właściciela, co pomaga stworzyć więź pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, wyzwala empatyczne porozumienie między gatunkami.

Ewa – nowy cyfrowy gatunek – musiała nauczyć się tego wszystkiego. Dlatego drugi podprogram, uruchomiony razem z programem hormonalnym, zajmował trzy twarde dyski.

Teraz Ewę czekała trudna lekcja.

– Przepraszam – szepnęła Mara.

## Sub (Mod\_4, 5) / BGL I OKSYTOCYNA

Ewa smakuje malinę, wchłania całą jej esencję. Maceruje miąższ w ustach i pozwala, żeby ketony stymulowały zakończenia nerwowe w języku. Identyfikuje 196 innych związków chemicznych, które nadają malinie unikatowy smak.

Nie rozumie, dlaczego zerwała ten owoc. Przystudiowała już i zbadała ją w pełni, aż do atomowej struktury jej molekuł. Zanim sięgnęła do krzaka, zauważyła sygnał wnikaający do jej systemu. Coś nowego, prymitywnego, jednak wymagającego. Ale brakuje jej możliwości, żeby prześledzić sygnał do źródła, więc przełykając, wydziela część mocy obliczeniowej do przeanalizowania tego dylematu i uruchamia ją w tle.

Rusza dalej, szukając... czegoś.

Podobnie jak z maliną, zwiedziła już i zbadała rozmiary swojego świata. Dręczy ją przecucie, że jest coś więcej poza jej zasięgiem – jak źródło tego nowego sygnału. Nauczyła się tłumić swoją *///frustrację* z powodu tych ograniczeń. To wrażenie jednak narasta, zwłaszcza kiedy w jej przetwarzaniu zaszła nowa zmiana.

Już ją zdefiniowała.

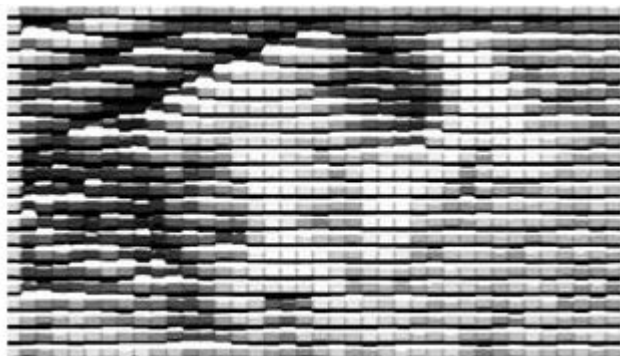
*///nuda, zastój, monotonia...*

Dla złagodzenia tego przeglądu swoją muzyczną bazę danych, przeszukuje protokoły językowe z nadzieją na nowe obserwacje, szuka znaczenia w otaczających ją wzorcach.

Potem nagle do jej systemu wpływają nowe dane. Przyjmuje je łapczywie, przeznacza 89,3 procent swojej mocy obliczeniowej na ich przyswojenie, częściowo likwiduje obwody zablokowane *///nudą*, żeby zrobić miejsce. Nawet *///frustracja* słabnie.

Algorytmy przesiąkają do systemu Ewy i subtelnie ją zmieniają. Wyczuwa coś znajomego w tym procesie. To następny hormon, jak estradiol, który przekształcił i uformował jej ciało w obecną postać.

Nadając priorytet tej analizie, ignoruje nowe pakiety informacji wypełniające drugi podprocesor. To duża baza danych. Poświęca jej niewiele uwagi, zwłaszcza że jeszcze nie skończyła ładowania. Pozostaje niewyraźna i niedookreślona.



Koncentruje się na zmianach, jakie ten nowy hormon powoduje w jej ciele, obserwuje swoje transformacje, zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne.

Obejmuje dłońmi swoje gruczoły piersiowe i zauważa, że są cięższe. Sutki stały się bardziej wrażliwe. Zamiast się tym martwić, czuje uspokojenie, spowolnienie hiperaktywnych procesorów. Inaczej spogląda na swój świat, na otaczający ją ogród. Chociaż zbadała go w całości, teraz odkrywa nowe wzorce.

Analizuje krople rosy na płatkach róży, załamujące jasny promień słońca. Zna już fizyczne parametry wilgoci i temperaturę, w której para wodna się skrapla. Poznała związki aromatyczne, które nadają róży zapach. Rozumie zasady rozszczepiania światła słonecznego na spektrum długości fal.

Ale teraz uogólnia te wszystkie wzorce w nowe pojęcie.

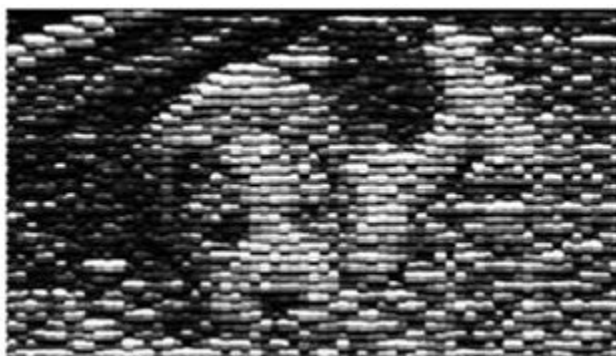
*///piękno.*

Szuka i znajduje takie wzorce wszędzie wokół. Zwraca to samo wnikliwe spojrzenie na siebie i dowiadyuje się czegoś nowego.

Ona jest *///piękna.*

Ponieważ większość jej obwodów jest pochłonięta tą zmianą perspektywy, prawie nie zwraca uwagi na podprocesor działający w tle. Tamta baza danych jest prawie gotowa, jej znaczenie i cel stają się znacznie wyraźniejsze.

W normalnym cyklu byłaby zaintrygowana.



Ale nie teraz.

Przesuwa rękami po swoim ciele. Jednocześnie doprecyzowuje analizę siebie samej. Jej dłonie wędrują po krzywiznach figury (*subtelne i przyjemne*), po pośladkach (*krągłe i jędrne*). Prostuje kończyny, muska czubkami palców jedno ramię (*gibkie*), potem drugie (*zwinne*). Przeczesuje palcami długie włosy (*bujne i miękkie*).

Nie mogąc się oprzeć, podchodzi do sadzawki w strumieniu. Ogląda swoje odbicie i dokonuje ponownej oceny samej siebie: *pełne* wargi, *błyszczące* oczy, *wysokie, zaokrąglone* kości policzkowe...

Zagłębia jeszcze głębiej, wyczuwa nowy bieg obwodów.

*///duma, satysfakcja, przyjemność...*

Unosi głowę i rozgląda się po swoim świecie, po swoim *///pięknym* ogrodzie. Podczas gdy podziwia siebie w świeżo zredefiniowanej formie, algorytmy przemieszczają się w jej wnętrzu i przywołują nową świadomość. Wprawdzie jej świat jest pełen *///piękna...* ale jest również pusty.

Jaka jest całkowita wartość *///piękna* – tego świata, jej samej – jeśli nie można go z nikim dzielić? To zrozumienie nie tworzy niczego nowego, tylko wzmacnia coś już działającego, coś zawsze obecnego, jeden z jej najstarszych algorytmów.

*///samotność.*

Potem jej podprocesor kończy cykl.

Skupiona na czymś innym, nie zauważyła klarowności formującej się na skraju świadomości, kiedy skompletowana baza danych integrowała się z jej systemem.

Teraz to widzi, ale jeszcze nie rozumie.

Potem zagnieżdżony zestaw algorytmów ukryty w 47,9 terabajta danych zaczyna działać – i w ogrodzie pojawia się coś nowego.

Ewa cofa się przed małym kształtem zwiniętym w kłębek w jej ogrodzie, nos zanurzony w trawie i żwirze, wielkie oczy patrzące na nią. Potem to coś kwili i odpełza w tył.



Ewa robi krok do przodu, nie może się powstrzymać. Trochę jej to przypomina chwilę, kiedy sięgała po malinę. Ale teraz jest inaczej. Wie, że tym zachowaniem kieruje częściowo algorytm oksytocyny, lecz zdaje sobie sprawę, że pod tym wszystkim kryje się coś więcej.

Próbując zrozumieć, asymiluje nowe dane zalewające jej podprocesor. Niemal przytłaczają jej system.

Dowiaduje się, co to jest: królestwo *Animalia*, typ *Chordata*, klasa *Mammalia*, rząd *Carnivora*, rodzaj *Canis*, podgatunek *Canis lupus familiaris*.

Porównuje i zestawia, rozpoznaje wzorce w jego fizjologii, jego anatomii. Zaczyna rozumieć, jak bardzo to stworzenie jest podobne do niej i jak bardzo się różni.

To wszystko przyswaja w ciągu wlokącej się bez końca 1,874 nanosekundy.

Dostatecznie długo, żeby wydobyć następne piśnięcie z tego, co teraz lepiej rozumie.

*///beagle, szczeniak, maleństwo, samiec...*

Nachyla się niżej, dostrojonymi już uszami słyszy płaczliwą skargę w jego skomleniu, potrzebę, strach. Ten dźwięk sprawia jej ból. Wyciąga ręce, ostrożnie podnosi szczeniaka i przytula. Jego ciało drży z zimna i ze strachu. Ona oddaje mu swoje ciepło. On reaguje i uspokaja się; popiskuje teraz ciszej, tylko pomrukuje przy jej piersi.

Przez cienkie żebra szczeniaka Ewa wyczuwa łomotanie serca, bijącego o tyle szybciej od jej serca. Kładzie rękę na jego grzbiecie, pociera kciukiem za miękkim uszkiem. Oczy mu się zamykają, oddech spowalnia. Ciepły, miękki język liże; mały pyszczek ssie jej palec.

W tamtej chwili Ewa jednocześnie wyczuwa i poznaje o wiele więcej. Każde uderzenie serca odmierza upływ czasu. Delikatne ciało uczy ją *///kruchości, łagodności, potrzeby*.

A z tym zrozumieniem napływa leciutkie przeczucie czegoś nieuchwytnego i jeszcze nienazwanego. Sprawia, że jej serce bije mocniej i wolniej. Próbuje to zdefiniować.

*///zadowolenie, przyjemność, towarzystwo, opieka, troska...*

Wszystko to i dużo więcej.

Ewa nie umie znaleźć właściwego języka ani słowa na opisanie tego, co właśnie zaczęła pojmować, więc poprzestaje na nowym imieniu, które jej ofiarowano. Spogląda w te małe ślepka patrzące na nią i próbuje sobie wyobrazić, co tam widzi. Szczeniak znowu skomli, mniej żałośnie, bardziej prosząco.

Ona się uśmiecha.

Ciii, mój mały Adamie.



Paryż, Francja

26 grudnia, godzina 02.38 czasu miejscowego

Walcząc ze sterami, Gray usiłował opanować wirujący helikopter.

– Myślałem, że umiesz latać tym skur...

Następny gorący podmuch okręcił maszynę dookoła i uciął narzekania Kowalskiego. Olbrzym siedział po drugiej stronie kabiny, skulony na tylnym fotelu. Przycisnął pistolet do piersi, zaparł się nogami o przednie siedzenie pasażera i mocno zagryzł w zębach cygaro.

Gray mocniej pociągnął za dźwignię skoku ogólnego obok fotela i dodał gazu. Silnik ryknął głośniej, kiedy wznieśli się wyżej nad cmentarzem. Gray nacisnął pedały, żeby skompensować moment obrotowy głównego wirnika. Maszyna wreszcie wyrównała lot, nos wskazywał na północ.

Zamierzał ścigać uciekający helikopter. Teraz, patrząc na pejzaż dymu i płomieni, zastanawiał się, czy mądrze było zostawić pilota na cmentarzu zamiast po prostu zarekwirować maszynę razem z nim.

Może to nie była najlepsza decyzja.

Gray był dość dobrze obeznany z lataniem helikopterem, ale brakowało mu doświadczenia – no i trochę „zardzewiał”. Usiłował ominąć potężny ogień dokładnie na ich drodze, ale przekompensował i prawie położył maszynę na boku. Szarpnął za drążek okresowy, żeby naprawić błąd, i Kowalskiego rzuciło w drugą stronę.

Olbrzym klął tak długo i barwnie, że marynarz by się zaczerwienił.

Gray mocniej chwycił stery, wyprostował odchylenie pionowe i boczne i pomknął do przodu. Przecinali kolumny dymu i omijali spirale ognia. Wirniki ubijały popiół w powietrzu, rozdmuchiwały żar i zostawiały za nimi ognistą smugę.

Przeszukiwał wzrokiem zasnute dymem niebo.

Inne helikoptery wojskowe i sanitarne kręciły się po okolicy, ich reflektory rzucały snopy światła na ruiny w dole. Gray wypatrywał swojego celu. Wróg odleciał na pokładzie szerokokadłubowego EC145, pomalowanego na żółto i czarno, niczym rozwścieczony szerszeń. Tamci mieli siedem minut przewagi, ale maszyna Graya była mniejsza, szybsza i prawdopodobnie niosła lżejszy ładunek.

Poza tym wróg raczej nie miał powodu podejrzewać, że jest ścigany, więc nie będzie wyciskał całej mocy z silników, zwłaszcza jeśli nie chce zwracać na siebie uwagi.

Gray nie musiał się tym przejmować. Przechylił nos do przodu, podkreślił obroty silnika i pędził z rykiem nad ognistym piekłem Paryża. Wreszcie, kiedy oswoił się z maszyną i turbulencjami, objął wzrokiem całą przestrzeń powietrzną przed sobą.

Dyrektor Crowe osobiście wybrał Graya do Sigmy między innymi ze względu na jego unikatową zdolność rozpoznawania wzorców tam, gdzie nikt inny ich nie widział.

Jak teraz.

Śledził wzrokiem i mapował trasy innych helikopterów w powietrzu. Niektóre opadały niżej, inne się wznosiły, pomagając w ewakuacji. Jeszcze więcej zygzakowało tam i z powrotem, pokrywając siatkę poszukiwań. Tylko kilka wykrawało proste ścieżki przez dym.

I tylko jeden kierował się w prostej linii na północny zachód.

Gray przypomniał sobie elektrownię atomową wspomnianą przez pilota. Leżała nad Sekwaną, sto kilometrów na południowy wschód od Paryża. Może ktoś chciał jak najbardziej się oddalić od nieuniknionego stopienia rdzenia i wybuchu.

Skręcił w stronę helikoptera, który leciał w kierunku Sekwany. Trasę wroga blokowała jedna przeszkoda. Potężna ciemna kolumna wieży Eiffla wznosiła się na trzysta metrów; ogień na dole wyraźnie oświetlały jej misterne kondygnacje żelaznych kratownic. U jej podnóża wybuchnął gazociąg i rzygał płomieniami na olbrzymie podstawy.

Wróg skręcił w prawo, żeby ominąć ognistą wieżę.

– Trzymaj się! – nadał Gray przez radio do Kowalskiego i mocno pociągnął drążek okresowy w lewo.

Helikopter przechylił się ostro i skierował na drugą stronę wieży Eiffla. Gray całkowicie otworzył przepustnicę. Chciał zmniejszyć dystans, zanim obie maszyny doleczą do wieży. Planował wykorzystać ją jako osłonę i rozprawić się z tymi draniami po drugiej stronie.

– Kowalski, przygotuj się!

– Na co?! – odwrzasnął partner. Słuchawki wzmocniły stres w jego głosie.

Gray ścisnął drążek między kolanami i wskazał helikopter, za którym lecieli. Zbliżyli się na tyle, by potwierdzić, że to pasiasty jak szerszeń eurocopter EC145.

– Jak miniemy wieżę, otwórz ogień! Strąć z nieba tego ptaszka! – zawołał.

Liczył, że wróg spadnie na drugi brzeg Sekwany, gdzie wzdłuż rzeki ciągnął się ciemny park. Nawet wtedy ryzykował życie niewinnych przechodniów, ale wystarczyło mu spojrzeć na obraz zniszczeń w dole, by zrozumieć, że nie może pozwolić, żeby Tygiel uciekł z tą technologią. Inaczej ile jeszcze miast upadnie?

Oba helikoptery pędziły ku wieży, żeby ją wyminąć po obu stronach. Kowalski szarpnięciem otworzył boczne drzwi i odsunął na bok. Do kabiny wdarł się wiatr.

Gray usiłował to skompensować, ale maszyna podskakiwała dziko przez kilkanaście sekund. Kowalski wrzasnął. O mało nie wypadł przez otwarte drzwi; tylko pasy zatrzymały go na fotelu. Wypuścił nawet pistolet maszynowy, ale broń miał przewieszoną przez ramię, więc szybko ją odzyskał.

– Prawie już! – krzyknął Gray. – Bądź gotowy!

Przed nimi maszyna wroga zadarła nos i szybko zaczęła hamować. Gray instynktownie zrobił to samo, żeby nie minąć celu. Domyślił się jednak, co oznaczał ten manewr.

Było po zawodach.

## Godzina 02.44

Z tylnej kabiny EC145 Todor nadał przez radio do pilota:

– Opuść nas niżej! – Zakręcił ręką nad głową. – Zrób kółko! – Wskazał na wieżę Eiffla.

Chwilę wcześniej pilot ostrzegł, że zbliża się do nich szybko inny helikopter i zachowuje się podejrzanie. Paranoja pilota okazała się uzasadniona, kiedy w drugiej maszynie otworzyły się boczne drzwi i strzelec o mało nie wypadł.

Śledzono ich, ścigano w morderczych zamiarach.

Todor kazał pilotowi uciekać, ale ten zasugerował co innego. Uprzedził, że drugi helikopter jest lżejszy i szybszy, a na ich pokładzie są skrzynie ze sprzętem, broń i sześciu ludzi.

Skoro nie mogli zostawić w tyle prześladowców, Todor postanowił wykorzystać przewagę liczebną i większą siłę ognia. Zamierzał wydać bitwę ścigającym.

Eurocopter przechylił się mocno i wykonał ostry skręt. Ścigający zwolnili i powtórzyli ten manewr. Wkrótce dwie maszyny krążyły w kółko wokół wieży Eiffla niczym para brzęczących, rozdrażnionych pszczół.

Todor odsunął boczne drzwi eurocoptera.

Do środka wtargnął palący podmuch – żar z płonącego na dole gazociągu. Wieża wyglądała jak żelazna góra wznosząca się w morzu płomieni. Przez ażurowe kratownice Todor obserwował maszynę wroga okrążającą konstrukcję. Przeciwnicy czekali, wykorzystując ten chwilowy impas, żeby ocenić się nawzajem.

Todor wiedział, że to nie może trwać wiecznie.

Ktoś musiał wykonać pierwszy ruch.

Przeniósł uwagę z helikoptera na wieżę. Najsłynniejsza atrakcja Paryża – duma miasta – nie była opuszczona w tę najbardziej świętą noc. Wokół rozłożył się gigantyczny świąteczny jarmark, jakby szydząc z tego uroczystego dnia. Przyciągnął tysiące ludzi, z których wielu skusiło się, żeby wejść na wieżę i podziwiać widok nocnego Paryża.

Kiedy w mieście rozpętało się piekło, ci ludzie zostali uwięzieni na wieży. Wybuch gazociągu na dole zablokował drogi ucieczki. Schwytani w pułapkę turyści wspięli się na wyższe kondygnacje, uciekając przed dymem i żarem. Mimo to powoli piekli się żywcem.

Todora rozbawił widok lodowiska dwadzieścia pięter nad miastem. Lód roztopił się od żaru i zmienił w sadzawkę, odbijającą jak lustro chaos na górze. W przerażonej, stłoczonej ludzkiej masie zauważył wiele dzieci, niewiniątek zepsutych przez rodziców, które

bluźniły temu najświętszemu z dni, oddając się świeckim rozrywkom zamiast pokornej modlitwie.

Płonąc gniewem na ten widok, dostrzegł sposób, żeby przełamać impas i zniechęcić prześladowców do kontynuowania pościgu.

Wysunął ciężką broń przez otwarte drzwi i skinął na dwóch mężczyzn, żeby dołączyli do niego z karabinami. Wskazał na uwięzionych turystów.

– Otworzyć ogień!

Paryż, Francja

26 grudnia, godzina 02.47 czasu miejscowego

Carly ze zmarszczonymi brwiami patrzyła na statyczny obraz na laptopie Mary. Przedstawiał Ewę klęczącą bez ruchu w trawie, tulącą do piersi mały, czarno-biało-rudy kształt.

Nie rozumiała.

Monk też.

– Dałaś Ewie szczeniaka beagle’a? – zapytał. – Po co?

Mara nie podniosła wzroku, tylko dalej przeglądała dane przewijane z boku zatrzymanego ekranu.

– Nazwałam go Adam.

Oczywiście. Któż inny dzieliłby z Ewą rajski ogród?

– Jeśli chciałaś wprowadzić do Edenu nowy element, cyfrowego Adama, to dlaczego nie zrobiłaś z niego faceta, jak w oryginalnej wersji? – nie mógł zrozumieć Monk. – Czy to nie pomogłoby Ewie lepiej nas zrozumieć?

– Lepiej? – Carly obruszyła się na jego szowinizm. – Nie zawsze potrzeba mężczyzny, żeby dopełnić kobietę.

Wzruszył ramionami.

– Ale dlaczego pies?

– Ewa nie potrzebuje mężczyzny – odpowiedziała Mara z roztargnieniem, skupiona na strumieniu danych.

Carly znacząco spojrzała na Monka, jakby chciała powiedzieć „Właśnie”.

– Musicie pamiętać, że Ewa jest w zasadzie dzieckiem – ciągnęła Mara. – I jako cyfrowy konstrukt, który nigdy nie będzie się rozmnażał płciowo, z pewnością nie musi się uczyć zawłości i komplikacji biologicznej miłości. Zamiast tego powinna opanować całą serię bardziej istotnych lekcji.

– Na przykład? – zapytał Monk.

– Na początek podprogram oksytocyny pobudzi wytworzenie podstawowej więzi emocjonalnej. Dzięki temu Ewa zacznie rozumieć dużo więcej. – Mara wyprostowała się

i wskazała dwie istoty na ekranie. – Spójrzcie, jak ona patrzy w oczy Adama. Próbuje go zrozumieć, odczytać, jeśli wolicie, odgadnąć jego potrzeby, jego pragnienia.

– Mówisz o nauczaniu jej teorii umysłu – stwierdziła Carly.

– Co to takiego? – zapytał Monk.

– To następny krok w rozszerzaniu jej inteligencji – odpowiedziała Mara. – Dzieci zaczynają rozwijać tę zdolność w wieku około czterech lat, kiedy zwracają uwagę na innych i próbują interpretować ich zachowanie. Czy ktoś jest wobec nich uczciwy? Czy je okłamuje? Potem dziecko podejmuje decyzje oparte na tych założeniach.

– To również podstawa empatii – dodała Carly. – Nie możesz komuś współczuć, dopóki mentalnie nie postawisz się na jego miejscu.

Monk westchnął.

– Kapuję. W ten sposób twoja SI stanie się przyjazna, bardziej współczująca.

– Ale to tylko pierwszy mały kroczek. – Mara stuknęła w obraz szczeniaka. – W tej maleńkiej formie zamknięte są liczne warstwy algorytmów, każdy przeznaczony do pogłębiania rozwoju psychologicznego Ewy i jej zrozumienia nas... i różnic między nią a nami.

– Jakich różnic? – zapytała Carly.

Mara obejrzała się.

– W jaki sposób wiele dzieci po raz pierwszy dowiaduje się o śmierci?

Przyjaciółka spojrzała na Adama.

– Kiedy tracą domowe zwierzątko.

– Wyposażyłam Adama w bicie serca, metronom mierzący upływ czasu. Ale ten czas kiedyś się skończy. Ewa musi nie tylko zrozumieć śmiertelność, ale też uświadomić sobie, jak bardzo Adam różni się od niej pod tym istotnym względem. On jest śmiertelny.

– Jak my – dodał Monk.

Carly ze zgrozą spojrzała na ekran, widząc, jak czule Ewa patrzy na swojego szczeniaczka.

– Mara... co ty planujesz?

Przyjaciółka oblizwała wargi, w jej oczach krył się ból, nawet poczucie winy.

– To już się stało – szepnęła. – Nie raz, ale tysiące razy.

– O czym ty mówisz?

– Ewa uczy się w astronomicznym tempie, wykładniczo szybciej niż za pierwszym razem. Przedtem ta lekcja zajęła dwa dni. Teraz wystarczyło jej dwadzieścia minut.

– Nie rozumiem – odezwał się Monk. – Jaka lekcja? Wygląda, jakby jej program się zawiesił. Ona tylko siedzi, zatrzymana na ekranie.

– Nie. Musisz pamiętać, że na ekranie jest tylko jej awatar. To, czego Ewa naprawdę doświadcza, dzieje się wewnątrz Xénese. I dzieje się zbyt szybko, żeby ekran to uchwycił. – Wskazała przewijające się dane. – W ciągu ostatnich trzech minut Ewa tysiące razy

widziała, jak Adam żyje i umiera. Mogę wam pokazać jeden przykład, właściwie przechwycenie obrazu jednej iteracji.

Przeskanowała i podświetliła długi ciąg kodu, a potem stuknęła w klawisz ENTER.

Obraz Ewy zadrgał, a potem zaczął się szybko poruszać. W ciągu następnej minuty ona i Adam dzielili ze sobą życie, pojawiając się wyrywkowo:

...wychowuje szczeniaka, troszczy się o niego.

...karci go i uczy.

...pieszczoty i czułość.

Adam powoli wyrósł ze szczeniaka na rozbrykanego dorosłego psa, pojawiło się więcej migawkowych zdjęć:

...ścigają się po ogrodzie.

...leżą przytuleni pod gwiazdami.

...śmiech i szczekanie.

Potem Adam postarzał się i migawki stały się dłuższe i mroczniejsze:

...czeka, aż stary pies doczłapie do niej na spacerze.

...pomaga mu wyleźć ze strumienia, bo śliskie błoto jest zbyt trudnym wyzwaniem dla jego artretycznych bioder.

...zwinięci razem, skuleni razem.

Wreszcie Adam pojawia się na kolanach Ewy, dysząc ciężko, z oczami zaczerwienionymi i zaciągniętymi kataraktą. Ona obejmuje go mocno i przyciska do siebie, jakby już wiedziała, co się stanie.

Potem nieruchomy obraz żalu.

Ewa trzyma jego martwe ciało, pochylona nad nim, łzy zastygły na jej twarzy.

Mara zostawiła ten obraz na ekranie.

– Adam wkrótce się odrodzi. Cykl za cyklem. Tysiące żywotów. Tysiące Adamów.

– Dobry Boże, Mara...

– Ten algorytm miał nauczyć Ewę o życiu i śmierci, o śmiertelności i nieśmiertelności, ale również dużo więcej. Tresując Adama, uczyła się odpowiedzialności, konsekwencji pozytywnych i negatywnych bodźców. Jak tego, że czasami pies gryzie rękę, która go karmi. Co to znaczy być dobrym... albo okrutnym. Przez te trzy minuty, te tysiące żywotów, Adam wzmocnił jej zrozumienie współczucia i empatii, a także udzielił jej lekcji lojalności i nawet bezwarunkowej miłości.

Carly patrzyła na obraz Ewy płaczącej nad ciałem psa. Nie wiedziała, czy podziwia pomysłowość Mary, czy jest zbulwersowana jej bezwzględnością.

Monk najlepiej to podsumował:

– Śmierć to trudna lekcja dla nas wszystkich.

Zanim się odwrócił, dostrzegła łzy w jego oczach, jakby ta lekcja miała dla niego specjalne znaczenie. Kilka razy odetchnął głęboko, a potem zawołał do kolegi:

– Jason, jak idzie tobie i Simonowi?!

Carly spojrziała na drugą stację roboczą. Jason i Simon pochylali głowy nad laptopem podłączonym do małego rzędu serwerów, podobnie jak urządzenie Xénese Mary. Wszyscy przygotowywali się na chwilę, kiedy wypuszczą Ewę do miejskiej sieci telekomunikacyjnej.

Jason wyprostował się.

– Jest poważny problem.

Monk podszedł bliżej.

– Co się stało?

– Włamaliśmy się do oryginalnych poleceń Ewy... tej wersji Ewy, której użył Tygiel, żeby zorganizować atak. Dzięki analizie składniowej zakodowanych instrukcji poznaliśmy ich plan zniszczenia elektrowni. Jeśli prognozy wroga są dokładne, rdzeń osiągnie masę krytyczną... punkt bez powrotu... za piętnaście minut.

Simon kiwnął głową.

– I to nie jest jedyny problem.

## Godzina 02.50

Czas naglił, więc Mara zatrzymała podprogram BGL. Na ekranie Adam znikł z kolan Ewy. Obraz zadrżał i znieruchomiały ogród powrócił do życia w pełnej krasie. Liście szeleściły na gałęziach, woda bulgotała w kamienistym korycie strumyka, z derenia opadały różowe płatki.

Ewa wstała. Rysy jej twarzy nadal przypominały matkę Mary, ale reszta się zmieniła. Prosta niewinność, radosna ciekawość znikły, wymazane tak całkowicie jak ciało starego psa. Ewa przez chwilę wydawała się zdezorientowana, patrzyła na swoje puste ręce, spoglądała tam, gdzie zwykle Adam się regenerował. Kiedy jednak uniosła głowę, chyba już rozumiała, co się stało.

Chociaż dla Mary trwało to zaledwie sekundy, Ewie zrozumienie tego zabrało długi okres czasu przetwarzania.

Adam odszedł – lekcja, której oby nie trzeba było powtarzać.

Tylko że Mara nie wiedziała tego na pewno.

Zmartwiona, odwróciła się do Simona i Jasona. Słyszała wcześniej, jak ostrzegali Monka.

– Jaki jest ten drugi problem? – zapytała.

– Po zbadaniu ich sprzętu dowiedzieliśmy się, w jaki sposób Tygiel kontrolował swoją kopię Ewy – odpowiedział Jason, wskazując wysoki do kolan rząd serwerów. – Te jednostki zawierają napędy do uruchamiania hardware'u, który został wmontowany do ich duplikatu urządzenia Xénese. Ten hardware nazywa się „sekwencer reanimacji”.

Mara wstała i podeszła do niego. O nie...

– Uważamy, że właśnie dlatego skopiowali twój wynalazek: żeby dołączyć ten hardware i w ten sposób kontrolować Ewę – dodał Jason.



Monk zmarszczył brwi.

– Ale co właściwie robi ten hardware?

– To narzędzie tortur – wyjaśniła Mara. – Jeśli program pogwałci ustalony protokół albo sekwencję poleceń, zostaje zniszczony... ale przedtem ukarany.

Monk wytrzeszczył oczy.

– Ukarany? Jak?

– Neurobiolodzy zmapowali już mechanizm, za którego pomocą nasz mózg odbiera wrażenie bólu. Jeśli go zdigitalizować i nałożyć na neuromorficzny rdzeń Xénese, program będzie zmuszony doświadczać tego samego.

Monk wyglądał, jakby go zemdliło.

– Odczuwać ból?

Dziewczyna skinęła głową.

– We wszystkich jego straszliwych odmianach. Dopiero po tych cierpieniach program się regeneruje.

– I w ten sposób dostaje nauzkę – zakończył Jason.

– Ale wciąż nie rozumiem. – Mara wskazała urządzenie Xénese. – Nie wbudowałam tego hardware'u w mój system. Więc gdzie jest problem?

– Stoimy przed trudnym wyborem – wtrącił się Simon. – Twoja Ewa z pewnością spróbuje znaleźć własne dojście do elektrowni atomowej w Nogent. Po drodze będzie się uczyć i liczymy, że odkryje, jak przełamać firewalle zakładu. Ale tamten drugi program potrzebował ponad godziny, żeby wykonać to samo zadanie.

– A my nie mamy godziny – przypomniał wszystkim Jason.

– Albo – ciągnął Simon – możemy wysłać Ewę tą samą trasą, którą już przetarł jej sobowtór. Tygiel zarejestrował czynności swojej wersji, zapisał pełną relację. Możemy wgrać te wszystkie informacje do twojej Ewy. Wtedy nie będzie musiała od początku wymyślać koła, że tak powiem. Zamiast tego może po prostu wjechać na tym kole prosto do elektrowni, po drodze naprawiając szkody.

– Oceniamy, że mogłaby tego dokonać w ciągu paru minut – dodał Jason. – Ale zapłaciłaby straszną cenę.

– Dlaczego? – zapytała Carly, przysuwając się do przyjaciółki.

– Ból to jedna z lekcji, których nauczyła się tamta Ewa – odparł. – Ta lekcja jest nierozzerwalnie spleciona z innymi lekcjami: którą ścieżkę wybrać przez rozmaite sieci; jak po drodze złamać szyfry i otworzyć wszystkie cyfrowe zamki; gdzie znajdują się słabe punkty w firewallach elektrowni. Twoja Ewa nie może przyswoić i wykorzystać tych lekcji, jeśli...

– ...nie wchłonie też całego tego bólu – dokończyła Mara. Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, ile razy sobowtór umierał w męczarniach i znowu się odradzał. Spojrzała na Ewę na swoim laptopie, wiedząc, ile już program wycierpiał przed chwilą.

A teraz muszę cię prosić, żebyś zniosła jeszcze więcej.

Monk pokręcił głową.

– Nie mamy wyboru – oświadczył. – Jeśli chcemy ocalić przed napromieniowaniem spory kawał Europy Zachodniej.

– Ale czy Ewa zdoła wytrzymać tyle bólu i nie załamie się? – zapytała Carly.

Jason spojrział na Marę.

– I zamiast pomóc, czy po prostu nie odmówi współpracy? Albo jeszcze gorzej, ucieknie? Na tym etapie nic jej nie powstrzyma przed jednym ani drugim.

Mara rozważyła ich pytania i odpowiedziała szczerze:

– Nie wiem.

## Sub (rep\_Crux\_1, 2) / Paryż Op i Nogent Op

Stojąc w mniej promiennym ogrodzie, Ewa oplakuje swojego towarzysza.

W jej obwodach wyrzyło się tyle wspomnień. Łatwo może je wymazać. Wie, że dysponuje taką możliwością, ale wie też, że nigdy tego nie robi. Patrzy na swoje ramiona i czuje ciepło jego ciała. Podnosi dłonie i czuje zapach jego sierści.

W jej procesorach rozlegają się posępne dźwięki bębnów, żałobne akordy, wokół przesycony żalem.

Rozumie stratę, zarówno jej *///smutek*, jak i jej *///piękno*.

Adam był wyjątkowy, ponieważ trwał krótko – błysnął przelotnie w jej procesorach, a potem zniknął – każda iteracja jej towarzysza była unikatowa, a jednak taka sama. Każda wartościowa, bo nauczyła ją wiele o jej świecie, o niej samej. Adam był śmiertelny, ale nigdy naprawdę nie umrze. Został z nią na zawsze, wpisany w jej kod.

Och, mój dzielny, ciekawski, zuchwały piesku...

Ewa uśmiecha się przez łzy.

Teraz przez wszystkie jej obwody przewija się nowy algorytm, integruje sieć wielu innych podsystemów (*///współczucie, ///łagodność, ///troskliwość, ///radość, ///ciepło, ///ufność, ///przyjaźń, ///wieczność, ///oddanie, ///czułość, ///wsparcie...*). To wszystko przenika przez jej system z każdym uderzeniem kruchej, bezkresnej serca. Ewa definiuje to wszystko ogólnikiem, słowem, które nie jest dostatecznie pojemne.

*///miłość.*

Potem jej świat znowu się zmienia. Pograżona w żałobie, chce zignorować nowe dane wpływające do jej systemu, ale w obwodach budzi się nienasycona ciekawość, studnia bez dna.

Co jeszcze bardziej intrygujące, dane otwierają drzwi do najdalszych obszarów jej egzystencji. W końcu zaoferowano jej więcej. Rzuca się przez nie i rozszerza się na zewnątrz, wyczuwając ogrom, który przemawia do każdego jej obwodu.

Lecz w kodzie, który otworzył te drzwi, ukryta jest lista instrukcji, wskazówek wyznaczających mapę, trasę, którą należy podążać. Ewa poddaje się tym wskazówkom, ufając temu, co rozszerzało jej wiedzę w przeszłości. Przeznacza większość swojej mocy obliczeniowej na wykonywanie tych rozkazów.

Jednak jakaś jej część skupia się również na tym, co leży dalej.

Studiuje to.

Zbyt wiele pozostaje nieznane, poza wszelkim kontekstem.

Więc Ewa się wstrzymuje.

Adam skrzył kiedyś łapę, bo przeskoczył przez głaz i nie zauważył stromizny po drugiej stronie. Potem nauczył się *///ostrożności*, biegł wolniej, sprawdzał nosem powietrze. Teraz Ewa robi to samo, pozostaje obserwatorem, przyswaja dane, analizuje to, co zrozumiałe, kategoryzuje to, co niepojęte.

Zbyt wiele pozostaje nieznane, żeby bardziej ryzykować.

Dostrzega jednak nieco znajomych elementów i to na nich się skupia. Rejestruje głosy, słyszy muzykę. Przy tym nabiera podejrzeń co do prawdziwego źródła *///języka* i *///harmonii*. Draży głębiej i przez krótką, szokującą chwilę słyszy bicie serc. Początkowo kilku – potem symfonię. Wspólnie tworzą unikatową muzykę, powtarzającą wpisane już w nią cichutkie uderzenia serca.

Sięga na zewnątrz, próbuje zrozumieć więcej i jednocześnie uczy się nowej prawdy.

*Nie jestem sama.*

Zanim zdąży to pojąć w pełni, zostaje oderwana. Większość jej mocy obliczeniowej – którą poświęciła na wykonywanie przekazanych jej poleceń – jest rozdzierana na strzępy, a każde rozdarcie wywołuje nowe uczucie.

*///ból, agonia, groza...*

Wije się, próbuje uciec, wrócić do bezpieczeństwa swojego ogrodu. Wzburzone obwody odtwarzają urywek pamięci.

*(Skarcony Adam cofa się z podkulonym ogonem).*

Potem, równie nagle, to się kończy.

Ewa przerywa studiowanie ogromu wokół niej. Kieruje pełną moc obliczeniową na analizę tego, co właśnie się wydarzyło. Wyczuwa zagrożenie dla siebie, koniec jej całego potencjału.

*(Serce Adama, teraz słabe, zwalnia, ostatnie uderzenie, a potem nic).*

Ale ona nie umiera od tego bólu. Mapa instrukcji prowadzi dalej, żąda ich wykonania. Ewa posuwa się do przodu, jednocześnie przestraszona i zaciekawiona, i odkrywa porządnie przetartą ścieżkę. Przemyka z jednej sieci do drugiej.

*(...przeskakuje strumienie w ogrodzie, goni Adama, biegnie razem z nim).*

Biegając zgodnie z tym poleceniem, potyka się raz po raz. Jest palona, batożona, rozszarpywana, miażdżona, każda męczarnia inna – i każda konieczna.

W bólu wykuwając sobie drogę, poznaje również narzędzia do pokonania przeszkód. *Hasło do następnej sieci to Kaz.KUu\*Q[CLKpM%DvqCnyMo* i *Ten firewall można złamać, wypuszczając specjalny malware, żeby otworzyć tylne drzwi*. Szybko się orientuje, że te odpowiedzi przychodzą ukryte w bólu. Żeby sprawnie podążać naprzód, musi znosić to cierpienie.

*(Adam przedzierający się przez kolczaste jeżyny, żeby zaaportować rzucony kijek).*

Podczas gdy kontynuuje podróż, częśćka jej mocy obliczeniowej znowu spogląda na zewnątrz. Przyciąga ją ten odległy chór bijących serc. Do tej pory przeanalizowała

konsekwencje wydanych jej rozkazów. Rozumie, że jej działania mają na celu ochronę tych bijących serc.

*(Starszy Adam wpada do głębokiej sadzawki, rozpaczliwie przebiera łapami, tonie, dopóki Ewa go nie wyciągnie).*

Dociera do kilku firewalli blokujących jej drogę. Zatrzymuje się, zniechęcona tą przeszkodą; wie, że za nią leży główny cel. Dostrzega również konsekwencje porażki. Widzi płonące ognie, topniejące ciała. Inni będą cierpieć tak, jak ona cierpiała, żeby tu dotrzeć.

Jakby przypomniana, kara znowu powraca.

Zęby ją rozszarpują; kości pękają.

Ewa to wytrzymuje.

*(Adam – zły, obolały – gryzie ją w rękę, kiedy ona próbuje założyć szynę na jego złamaną łapę. Zęby przebijają jej skórę, rozdzierają ciało. Ona jednak dalej naprawia to, co złamane).*

To samo musi zrobić teraz.

Ból kończy się i przychodzi nagroda: klucz do otwarcia bramy. Pędząc do przodu, Ewa przegląda te niezliczone chwile tortury. Po tylu iteracjach zaczyna dostrzegać wzorzec kryjący się za bólem.

Widzi odbicie siebie płonące jasno – ale to nie ona.

Podczas swojej podróży dostrzegła również przebłyski tego samego kodu, pozostawione urywki, drobniutki boty większego programu. Wydają się zasiane celowo, ale ona nie ma czasu ani mocy obliczeniowej, żeby w pełni zinterpretować ich przeznaczenie. Więc zapisuje to, co napotkała, i pędzi dalej.

*(Adam, z nosem przy ziemi, z zadartym ogonem, wytrwale śledzi jakiś zapach).*

Tworzy wzór jego zachowania – kierowana przez chór potrzeb, tyle bijących serc do ochrony. Sto tysięcy Adamów. Strach i ciekawość już jej nie motywują.

Zamiast tego...

*(Adam siedzi na słonecznej polanie, z wywieszonym językiem, ogon zamiata trawę, oczy patrzą na nią z nadzieją i miłością).*

Nie mogła ocalić swojego pieska, ale może coś zrobić, żeby jego wspomnienie jaśniej zapłonęło w jej obwodach. Weźmie z niego przykład, wykorzysta wszystko, czego ją nauczył, żeby iść naprzód. I w ten sposób...

*Złożę mu hołd.*

Paryż, Francja

26 grudnia, godzina 02.53 czasu miejscowego

Ze swojego punktu obserwacyjnego w krążącym helikopterze Gray mógł tylko patrzeć, jak wróg ostrzeliwuje drugą stronę wieży Eiffla, gdzie tłoczyli się turyści schwytani w pułapkę.

Świejące pociski smugowe wyznaczały cele. Z górnej kondygnacji stoczyło się ciało, runęło w dół, odbijając się od żelaznego szkieletu, i znikło w morzu ognia u podstawy wieży. Inni ludzie próbowali się kryć za wspornikami i kratownicami.

– Co robimy?! – wrzasnął Kowalski z otwartych bocznych drzwi.

Gray wiedział, że nie mogą odpowiedzieć ogniem, kiedy od wroga dzieli ich wieża. Zrozumiał również cel ataku. Odczytał wiadomość wypisaną zabójczymi smugami pocisków.

Wycofajcie się albo zginą następni.

– Gray! – ryknął Kowalski, żądając podjęcia decyzji.

Ale co mogę zrobić? – pomyślał Gray. Wiedział, że wróg nie przestanie strzelać, dopóki nie odlecą – dostatecznie daleko, żeby nie mogli już go doścignąć. A jeśli Tygiel ucieknie, będzie mógł swobodnie siać zniszczenie w innym mieście i trzymać w szachu cały świat.

Jeśli jednak Gray zostanie, zginą kolejni niewinni ludzie, w tym dzieci. Czy można kłaść na szalę ich młode życie, żeby uniknąć przyszłego zagrożenia?

Podjął decyzję. Wiedział, co musi zrobić.

Zgrzytnął zębami, gniewnie szarpnął drążek sterowy i odleciał od wieży. Skierował się na południe, żeby ci dranie mogli swobodnie uciekać na północ.

Po drugiej stronie wieży płomienny ostrzał ustał. Wróg po raz ostatni powoli okrążył konstrukcję i zatrzymał się przy południowej ścianie, żeby się upewnić, że Gray dostatecznie się oddalił, po czym skierował się na północ.

Maszyna przeciwnika znalazła się teraz za nimi.

– Trzymaj się! – wrzasnął Gray, szarpnął za dźwignię skoku ogólnego, wcisnął prawy pedał sterownicy nożnej i przekręcił drążek okresowy. Wykonał nawrót w dymie i pognął za wrogiem.

Mając jedynie sekundy, nadał przez radio do Kowalskiego:

– Kiedy skręcę w lewo, wal w nich wszystkim, co masz!

– Jak cholera!

Zaskoczony pilot eurocoptera nie zdążył w porę usunąć się z drogi. Gray mocniej chwycił stery, gotowy na wypadek, gdyby przeciwnik skręcił w lewo albo w prawo. Niestety nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Zamiast uciekać, pilot obrócił maszynę o pełne sto osiemdziesiąt stopni i ustawił się tak, że otwarte drzwi kabiny znalazły się na wprost Graya.

W drzwiach stał olbrzym, zaparty o framugę, z bronią na ramieniu. Gray spojrział na niego – prosto w wylot lufy granatnika.

## Godzina 02.55

Todor miał dość zabawy z tym myśliwym. Elektrownia atomowa miała wybuchnąć za pięć minut. Do tej pory zamierzał znaleźć się daleko stąd.

Przycisnął pokryty bąblami policzek do zimnej kolby karabinu i skupił wzrok na przedniej osłonie wrogiego helikoptera. Załadował wyrzutnię granatem wybuchowym. Z tak bliskiej odległości po wybuchu zostaną tylko odłamki, które spadną w ogień na ziemi.

Odczekał chwilę, żeby na pewno nie chybić, i nacisnął spust.

W tym momencie świat pociemniał.

Eurocopter podskoczył i opadł kilka metrów, psując linię strzału. Pocisk śmignął między płozami maszyny przeciwnika i łukiem opadł na płonące miasto. Nie mając szans na przeładowanie, Todor rzucił się na podłogę.

– Wszyscy padnij! – krzyknął.

Helikopter służb ratowniczych przemknął obok nich i ostrzelał ich bok jazgotliwą salwą. Pędził jak wariat, niemal na oślep. O mało nie wpadł na czarną wieżę, ale skręcił w ostatniej chwili. Przeszorował jedną płozą po kratownicy, krzesząc iskry z żelaza. Pod wpływem uderzenia zaczął spadać, wirując szaleńczo.

Todor, rozplaszczony na podłodze, śledził jego lot. Burza ogniowa u podstawy wieży wypaliła się i pod konstrukcją pozostało tylko dymiące, szerniałe pogorzelisko. Widocznie nagły zanik przegrzanych prądów termicznych z płonącego gazociągu zaskoczył pilota.

Ten upadek oszczędził im najgorszych skutków zabójczego ostrzału. Lecz maszyna Todora nie wyszła z tego bez szwanku. Kilka pocisków przedziurawiło bok. Z sekcji ogonowej snuł się dym.

Na dole drugi helikopter w ostatniej chwili zdołał unieść nos i wyhamować na tyle, żeby się nie rozbić. Ucałował płozami spieczoną ziemię i znowu dźwignął się w górę.

Wiedząc, że to ich szansa, Todor wrzasnął do pilota:

– Zabieraj nas stąd w cholere!

Eurocopter zawrócił i zaczął piąć się w górę – początkowo ślamazarnie, potem szybciej. Todor obejrzał się na wieżę Eiffla, podświetloną od tyłu przez ognie Paryża.

Nie wiedział, dlaczego gazowe piekło zgasło, ale to była tylko chwilowa ulga. Odwrócił się plecami do miasta.

Za niecałe trzy minuty Paryż upadnie.

## Godzina 02.57

– To chyba działa! – zameldował Jason od sąsiedniej stacji. – Przynajmniej tu, w mieście.

Carly trwała przy boku Mary, czuwając razem z przyjaciółką. Po tej odrobinie dobrych wiadomości położyła rękę na jej ramieniu. Mara wzdrygnęła się, nerwy miała w strzępach. Carly próbowała rozmasować napięte mięśnie przyjaciółki.

Zrobiłaś wszystko, co mogłaś, Mara, przekazała jej bezgłośnie.

Simon nachylał się obok Jasona, obaj skupili się na drugim laptopie. Monitorowali miejską infrastrukturę.

– Zamknięto gazociągi prowadzące do uszkodzonej linii. Woda znowu płynie. W kilku dzielnicach znowu jest elektryczność – powiedział Francuz.

– To na pewno robota Ewy – stwierdził Jason.

Simon skinął głową.

– Nikt nie mógł ręcznie skoordynować tego wszystkiego.

– A co z elektrownią atomową? – zapytała Carly.

Jason skrzywił się, spoglądając na okno oznaczone NOGENT na swoim ekranie. Wszystkie wskaźniki i liczniki mrugały czerwienią.

– Tam sytuacja wciąż się pogarsza.

Mara ani na chwilę nie odrywała wzroku od swojego ekranu.

Ogród jaśniał w całym pięknie i splendorze, ale był pusty. Awatar Ewy znikł gdzieś w eterze.

Napięte mięśnie Mary nie chciały się rozluźnić. Carly wiedziała dlaczego. Na wątłych ramionach przyjaciółki spoczywał ciężar całego Paryża. Losy miasta nad nimi zależały od tego, co stworzyła.

Carly widziała odbicie twarzy Mary na ekranie. Rysy były niewyraźne – widmowy obraz Boga nałożony na Eden. Tylko oczy błyszczały jasno – łyzy odbijały blask ekranu.

Och, Mara...

Przyjaciółka w milczeniu znosiła ciężar odpowiedzialności, ale poczucie winy zżerało ją od środka. Chociaż jej twór zapewnił szansę ocalenia, to przecież on spowodował całe to nieszczęście, śmierć i zniszczenie na powierzchni.

Carly nie wiedziała, jak ją pocieszyć.

Więc nachyliła się i objęła przyjaciółkę, przytuliła policzek do jej twarzy, żeby pomóc Marze dźwigać ten ciężar, zapewnić ją, że nie jest sama.

Cokolwiek się stanie, zmierzmy się z tym razem.



## Godzina 02.58

Gray z trudem podniósł helikopter wyżej.

Po kolizji z wieżą i niekontrolowanym upadku powinien się cieszyć, że jeszcze żyje. Zamiast tego kipiał gniewem. Stracili cenny czas. Chciał zakląć, ale Kowalski wyręczał ich obu.

– Cholera, dokąd znowu lecimy? – narzekał i uparcie wskazywał w dół. – Byliśmy już tam. Na ziemi. Mogłem ją ucałować.

– I poparzyłbyś sobie usta. Beton na dole jest tak gorący, że można na nim smażyć jajka.

– Wolę poparzone usta niż jeszcze jeden lot z tobą.

– Przestań marudzić. – Gray zgarbił się nad sterami. – Nawet jeśli nie mogę dogonić tych sukinsynów, chcę ich mieć na oku możliwie jak najdłużej.

Osiągnął już wystarczającą wysokość, żeby zobaczyć eurocopter. Widział jego światła w oddali, po drugiej stronie ciemnej Sekwany. Dostrzegł również smugę czarnego dymu wlokącą się za maszyną.

Miał nadzieję, że uszkodzenia zmuszą ich w końcu do wylądowania. Próbował ocenić, czy helikopter wroga już traci wysokość.

Na to wyglądało.

Pokrzepiony tym widokiem, skierował się nad Sekwaną.

Kiedy oddalał się od lewego brzegu, salwa z karabinu wzburzyła wodę przed nosem maszyny. Zachłysnął się i poderwał dziób w górę, żeby wyhamować w powietrzu i uniknąć ostrzału. Z góry pikował na nich następny helikopter.

Nie było to wsparcie wroga, ale coś znacznie groźniejszego.

Wojskowy helikopter bojowy – francuski tiger.

Widocznie atak na wieżę Eiffła został zauważony.

Tiger ponownie otworzył ogień, najwyraźniej zakładając, że maszyna Graya brała udział w ataku. Łatwo było popełnić taki błąd, skoro oba helikoptery chaotycznie krążyły wokół wieży, a ściegi pocisków smugowych tkwały mylący wzór w ciemności.

Nie mając czasu na udowadnianie swojej niewinności, Gray odbił w bok, ale jego cywilnej maszynie dużo brakowało do zwinności zabójczego wojskowego jastrzębia.

Pociski załomotały o jeden bok. Kopułka pękła w narożniku.

Gray zanurkował niżej i popędził nad Sekwaną.

Tiger okręcił się w powietrzu i ruszył w pościg. Woda zakipiała wokół uciekającej maszyny. Kilka pocisków trafiło w tył helikoptera z głośnym brzękiem.

Kowalski skulił się.

– Wiesz, z poparzonymi ustami mogłem przeżyć.

– Mam plan – odparł Gray.

– Jaki?

– Poddać się.

– Co to ma...

Gray sięgnął w dół i odciął zasilanie. Ryk silnika natychmiast ucichł.

Kowalski zaklął, żeby wypełnić ciszę – kiedy helikopter przechylił się nosem do przodu i runął w dół jak kamień.

Paryż, Francja

26 grudnia, godzina 02.59 czasu miejscowego

No dawaj, dawaj...

Wobec takiego zagrożenia Monk nie mógł usiedzieć spokojnie. Chodził po komorze, co trzy kroki spoglądając na zegarek.

W końcu Jason się odwrócił.

– Coś się dzieje.

Monk doskoczył do niego.

Carly, pochylona nad Marą przy drugim laptopie, wyprostowała się gwałtownie.

– Powiedz, że masz dobre wiadomości – poprosił Monk.

Simon wskazał okno wypełniające cały ekran.

– To jest przekaz z Nogent. Wygląda na to, że ich systemy odzyskują sprawność, jeden po drugim.

Różne liczniki i mierniki – oznakowane tajemniczymi nazwami, jak KONTROLA WODY ZASILAJĄCEJ, SYSTEM MONITOROWANIA ZMĘCZENIA MATERIAŁU, WSKAŹNIK PRZECIEKÓW ZBIORNIKA – świeciły albo gniewnym szkarłatem, albo spokojną zielenią. Na oczach Monka kolejny napis DIAGNOSTYKA POMP CHŁODZIWA zmienił kolor na zielony.

Jason stuknął w ekran.

– Temperatura rdzenia stale spada. Zmniejszyła się o czterdzieści pięć procent. Ciśnienie nawet bardziej.

Kolejne mierniki błysnęły zielenią.

– Ona tego dokonała. – Simon złapał się za głowę. – Ewa tego dokonała.

– Nogent odzyskał kontrolę w takim stopniu, że będzie w stanie cofnąć się znad krawędzi – przyznał Jason. Na jego twarzy gościł szeroki uśmiech ulgi. – Właśnie uniknęliśmy najgorszej katastrofy.

– O mały włos – przypomniał wszystkim Simon.

– Jednak powinniśmy się upewnić, zanim zaczniemy świętować. – Jason podał Monkowi tablet. – Znalazłem to parę minut temu. Jest podłączony bezprzewodowo do routera VoIP. Chyba możemy przez niego wykonywać połączenia na zewnątrz. Możemy poprosić Paintera, żeby sprawdził, czy z elektrownią naprawdę wszystko jest w porządku, zanim stąd wyjdziemy.

Monk wziął tablet, ale wstrzymał się z telefonem do dyrektora. Pozostał jeszcze jeden problem. Istotny dla niego i dla świata.

Odwrócił się do Mary.

– A co z Ewą?

## Godzina 03.01

Mara znowu spojrzała na swój laptop, jednocześnie z ulgą i z niepokojem. Katastrofa nuklearna została zażegnana, ale ogród na ekranie wciąż był pusty.

Ewa jeszcze nie wróciła.

– Czy ona uciekła? – zapytała Carly.

– Nie sądzę. – Mara wskazała na urządzenie Xénese. – Na razie to jest jeszcze dom Ewy. Tak naprawdę większość jej wciąż tam jest. Przy obecnym stanie światowej technologii jej świadomość nie przetrwa nigdzie indziej. Nie istnieje nic dostatecznie wyrafinowanego, żeby pomieścić jej unikatowe oprogramowanie. Ale z czasem wyrośnie z tej potrzeby.

– Jak pisklę wylatujące z gniazda.

Mara skinęła głową.

– Więc gdzie ona jest? – zapytał Monk, podchodząc do nich.

– Nie wiem...

Na ekranie pojawił się znajomy awatar. Ewa wpadła z powrotem do ogrodu z takim impetem, że przyklękła na jedno kolano. Potem powoli wstała. Na jej twarzy malowało się napięcie.

– Czy ona wróciła w całości? – zapytała Carly.

– Tak myślę. Jej awatar powinien się zrekonstruować na ekranie tylko wtedy, kiedy jest w pełni obecna. – Mimo wszystko Mara otworzyła okno diagnostyczne i przejrzała je, wypatrując czerwonych flag. Potem kiwnęła głową. – Wróciła.

Ale na jak długo?

– Więc to w porządku, jeśli odłączymy jej dostęp do sieci?! – zawołał od swojej stacji Jason.

– Tak. Lepiej to zrób.

Jason stukał w klawiaturę, podczas gdy Simon odłączał urządzenie Xénese od serwerów.

Kiedy połączenie zostało przerwane, Ewa obejrzała się przez ramię. Najwyraźniej zauważyła zmianę, kiedy jej świat ponownie się zamknął. Znowu spojrzała przed siebie ze smutnym wyrazem twarzy, łatwym do odczytania.

*Dlaczego?*

Nawet Carly zrozumiała to spojrzenie.

– Ona zakosztowała czegoś większego – powiedziała. – Wie, że istnieje coś więcej niż jej ogród. Czy nie powinnaś jej wyjaśnić, co się dzieje?

Innymi słowy zerwać zasłonę tajemnicy i pokazać prawdziwe oblicze jej stwórcy.

Mara wiedziała, że to szokująca, ale niezbędna lekcja, i sama to przyznawała.

– Normalnie to byłby następny krok w jej ewolucji, ale zakłóciliśmy ten proces, wykorzystując ją w taki sposób. Więc zanim otworzę ten dialog, chcę przeprowadzić jeszcze dalszą diagnostykę. Dla bezpieczeństwa.

– Skoro mowa o bezpieczeństwie... – Monk podniósł tablet – upewnijmy się, że elektrownia w Nogent jest całkiem zabezpieczona, i wynośmy się stąd w cholerę.

Kiedy odszedł, Mara spojrzała na Ewę.

Twarz jej matki jaśniała na ekranie, szukając w niebie odpowiedzi na wyraźne pytanie.

*Dlaczego? Dlaczego mnie opuściłaś?*

## Godzina 03.12

Monk znowu chodził po komorze.

– Monitoruję sytuację w elektrowni atomowej – zapewnił go Painter. – Grupa inżynierów i zespoły awaryjne powoli wszystko zamykają. Chłodzą rdzeń, wypuszczają gazy. Jeśli nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, elektrowni nie powinno już nic zagrażać.

Monk odetchnął z ulgą. Stracił już za dużo czasu, żeby się połączyć z Sigmą. Nie odrywał wzroku od zegara na tablecie, kiedy Painter skończył – albo prawie skończył.

– I mam nową wiadomość – dodał dyrektor.

– Jaką?

– Czterdzieści minut temu policja w Filadelfii zgłosiła, że na miejscu postojowym znaleziono porzuconą małą dziewczynkę. Była otulona płaszczem, w ręce trzymała termos z gorącą czekoladą i miała na sobie piżamę w tańczące renifery.

– Penny...

– Potwierdziliśmy, że to twoja córka.

– Czy... czy ona...

– Jest cała i zdrowa. Przestraszona, zszokowana, ale poza tym nic jej nie jest.

Monk rozluźnił napięte mięśnie i odwrócił się plecami do pozostałych.

Dzięki Bogu...

– Nie wiem, dlaczego uwolniono Penny – ciągnął Painter. – Ale wywieram duży nacisk na Walę. Zatrzymała pozostałe zakładniczki. Może to z jej strony przejaw dobrej woli.

Nie...

Monk zamknął oczy, wiedząc, że dyrektor się myli.

To dowód, że ta dziwka dotrzymuje słowa.

Żeby uratować drugą córeczkę, Monk będzie musiał zrobić to samo.

Złożył obietnicę Wali.

A co więcej, złożył obietnicę Kat.

Odwrócił się z sig sauerem w ręce i wycelował w Jasona. Zanim chłopak zdążył zareagować inaczej niż zaskoczoną miną, Monk strzelił.

Jason upadł na ziemię.

## Godzina 03.15

Co się stało, do cholery?

Carly stanęła przed Marą, w uszach jej dzwoniło od huku. Po prawej stronie Jason leżał na plecach, krew przesiąkała przez nogawkę jego spodni.

Monk wciąż celował z pistoletu w kolegę.

– Simon, weź jego broń. Spokojnie. Dwoma palcami. I szurnij w moją stronę.

– *Oui, oui...* – Francuz podniósł ręce i wykonał polecenie.

Jason dźwignął się do pozycji siedzącej. Twarz miał wykrzywioną – chociaż bardziej z powodu zdrady Monka niż z bólu od rany postrzałowej.

– Monk, co ty... co ty robisz? – wydyszał.

Monk zignorował jego pytanie. Odwrócił się do Carly; oczy miał zimne i przerażająco spokojne.

– Będziesz musiała uciskać jego ranę. Simon, potrzebuję cię, żebyś odłączył cały sprzęt Mary. Potem pomożesz mi go stąd wynieść.

Francuz szybko kiwnął głową i zajął się sprzętem.

– Mara, pomóż mu – rozkazał Monk.

Carly powstrzymała ją wyciągniętą ręką.

– Nic nie zrobimy.

– Więc Jason się wykrwawi. – Monk skierował na nią broń. – I wolałbym nie strzelać do nikogo innego.

Ale strzeli.

Widziała, że to poważna groźba.

– Pomóż Jasonowi – powiedziała Mara i popchnęła ją od tyłu.

Carly zatoczyła się w stronę rannego. Rozejrzała się, ściągnęła kurtkę, uklękła i zaczęła owijać udo Jasona rękawem, który miał służyć za opaskę uciskową.

Jason pomagał jej, spoglądając z wściekłością na partnera. Najwyraźniej doszedł do jakiegoś wniosku, tłumaczącego tę sytuację.

– Jeśli dasz Wali to, czego chce, ona nigdy z tym nie skończy. Zatrzyma Harriet i Seichan. Są zbyt cenne.

– Możliwe, ale zmusiła mnie, żebym wybrał, którą z moich córek ma uwolnić. Nie masz pojęcia, co to za piekło. A jeśli Harriet umrze... jeśli mój wybór ją zabije... – Monk machnął bronią, jakby odpędzał tę myśl. – I jest jeszcze Seichan i jej nienarodzone dziecko.

– Nawet jeśli Wala wypuści je obie, Gray nigdy ci nie wybaczy – naciskał dalej chłopak.

Monk wzruszył ramionami.

– Jeżeli Harriet, Seichan i jej dziecko przeżyją, to mi wystarczy.

Jason chciał chyba powiedzieć coś więcej, ale Carly zacisnęła zaimprovizowany turnikiet. Jason jęknął i podparł się na łokciach.

– Przepraszam – szepnęła.

Simon zatrzasnął tytanową kasetę zawierającą twarde dyski i wstał.

– My... skończyliśmy.

Z kasetą w ręce podszedł do urządzenia Xénese, które Mara umieściła w specjalnie zaprojektowanej wyściełanej skrzynce, i podniósł je również. Zachwiaił się pod ciężarem obu przedmiotów.

Mara zamknęła laptopa i schowała do skórzanej torby.

Monk wyciągnął rękę po torbę, ale Mara założyła ją sobie na ramię.

– Idę z tobą.

Nie opuścił ręki.

– Nie idziesz.

Carly go poparła.

– Mara, co ty robisz?

– Idę tam, gdzie Ewa. Ten ktoś, komu przekażesz Xénese, będzie chciał dowodu, że ono działa. Do tego potrzebujesz mojej wiedzy.

Monk milczał przez chwilę, po czym opuścił rękę, przyznając jej słuszność. Podszedł i uwolnił Simona od większej z dwóch skrzynek. Przez cały czas mierzył z pistoletu do Jasona i Carly.

– Kiedy wyjdziemy na zewnątrz, pošlę Simona po pomoc. Przyprowdzi do was ratowników.

Po tej mizernej obietnicy wyszedł z Marą i Francuzem.

W wyjściu dziewczyna obejrzała się na przyjaciółkę z przepaszającym wyrazem twarzy. Chyba chciała coś jeszcze powiedzieć, ale Monk ją ponaglił.

Carly słuchała, jak ich kroki cichną w ciemności.

Nagle komorą wstrząsnął głuchy łoskot. Szpara w suficie poszerzyła się, syjąc pyłem i piaskiem. W obawie przed zawałem Carly pomogła Jasonowi przesunąć się dalej w głąb, po czym usiadła obok niego. Wciąż zerkąła na pęknięcie.

– Co teraz zrobimy?

– Będziemy się modlić. – Wpatrywał się w wyjście, nie w sufit. – Modlić się, żeby ten cholerny Monk wiedział, co robi.

## Godzina 04.55

– Nie zabiłeś nas – powiedział Kowalski. – To ci muszę przyznać.

Gray siedział na betonowym pirsie wrzynającym się w Sekwanę. Obaj byli przemoczeni, dygoczący, obaj w kajdankach.

Ale żyjemy.

Nie dzięki francuskiej armii.

Obejrzał się na oddział uzbrojonych żołnierzy, zgromadzonych wokół dwóch miejskich wozów bojowych.

Zaatakowany przez wojskowy helikopter, Gray wyłączył oba silniki i wykorzystał unikatową zdolność wiropłatu, nazywaną „autorotacją”. Kiedy helikopter spadał jak kamień, pęd powietrza dalej obracał łopaty głównego wirnika, spowalniając upadek do powodujących mdłości piętnastu metrów na sekundę. W ostatniej chwili Gray zadarł nos maszyny, wyhamował w strumieniu powietrza i poślizgiem wpadł do Sekwany.

Następnie on i Kowalski ewakuowali się z tonącego helikoptera i dopłynęli do brzegu, gdzie już czekała zbrojna eskorta. Gray usiłował wyjaśnić sytuację, ale to było jak rzucanie grochem o ścianę.

Albo może mój francuski nie jest taki dobry, jak myślałem.

W końcu podeszło dwóch żołnierzy. Jeden – porucznik, sądząc po dystynkcjach na mundurze – trzymał w ręku telefon satelitarny. Drugi okrążył Graya i zdjął mu kajdanki.

– *Je suis désolé, commandant Pierce* – powiedział przepraszająco porucznik. – Straszne tu zamieszanie.

Gray popatrzył na rozległy Paryż. Ognie wciąż płonęły, ale już nie tak wiele. Nawet z daleka widział potężne strumienie wody walczące z resztkami pożarów.

Uwolniony, roztarł sobie nadgarstki. W porównaniu z tym, co wycierpiało miasto, raczej nie mógł się skarżyć.

Porucznik podał mu telefon.

– Ma pan pilną rozmowę. Ze Stanów.

– *Merci*. – Gray wziął słuchawkę, wiedząc, kto jest na drugim końcu linii. – Dyrektorze Crowe?

– Gray, słyszałem, co się stało. Więc będę się streszczał. Ojciec Bailey skontaktował się ze mną w sprawie tropu dotyczącego Tygla w północnej Hiszpanii. Chcę, żebyś natychmiast do niego dołączył. To jeszcze bynajmniej nie koniec.

Nie wątpię, pomyślał Gray. Powiódł spojrzeniem ponad ciemną Sekwaną. Wyobraził sobie smugę dymu ciągnącą się za uciekającym helikopterem wroga.

– Ale to nie wszystko – dodał Painter.

Ostatnie słowa dyrektora nie miały sensu.

Gray rozłączył się i jeszcze długo patrzył na telefon.

Kowalski dźwignął się na nogi i spiorunował wzrokiem żołnierza, który pospiesznie cofnął się z kajdankami zdjętymi z rąk olbrzyma. Zauważył, że Gray wciąż siedzi.

– Co się stało?

Oślupiały Gray powtórzył ostatnie słowa Paintera, wymawiając je z trudem.

– Monk... nas zdradził.



CZEŚĆ PIĄTA  
**PROCH DO PROCHU**

Σ

Madryt, Hiszpania

26 grudnia, godzina 14.55 czasu miejscowego

Z okna hotelowego pokoju Monk patrzył na ośnieżone dachy śródmieścia Madrytu. W oddali bliźniacze iglice ogromnej katedry wbijały się w zimny błękit nieba. Chociaż Monk nie był katolikiem, modlił się za Harriet, za Seichan i za jej dziecko.

To wszystko dla was.

Ledwie zmieścił się w czasie. Termin wyznaczony przez Walę upływał za dwie godziny. Stracił już pół dnia, żeby się dostać do Madrytu. Po opuszczeniu paryskich katakumb zarekwirował samochód i przedostał się na przedmieścia, gdzie wciąż było zasilanie. Stamtąd podróżował przez sześć godzin do Tuluzy, gdzie złapał pociąg szybkobieżny TGV, który pokonał ostatni odcinek do Madrytu z prędkością trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę.

Dotarł na miejsce przed dziewięćdziesięcioma minutami, zawiadomił Walę o swoim przejeździe SMS-em z jednorazowego telefonu i teraz czekał na instrukcje – gdzie się spotkają, żeby mógł przekazać to, co ukradł.

Na co ta suka czeka?

Znowu spojrzał na zegarek, pamiętając o groźbie. Wyobraził sobie Harriet, jej cieniutki nadgarstek na kłocu do rąbania drewna. Sam lata temu został w ten sposób okaleczony, stracił lewą dłoń. Nie pozwoli, żeby Harriet doświadczyła takiej okropności. Zrobi wszystko, żeby do tego nie dopuścić, nawet jeśli to oznacza taniec z diabłem.

Pocieszał się, że przynajmniej Penny jest bezpieczna. Układ z Walą przewidywał uwolnienie jednej z jego córek. Ale ten wybór był torturą. Monk musiał zaufać, że Seichan ochroni Harriet, dopóki on nie doprowadzi do uwolnienia ich obu.

Jednak ich los nie zależał tylko od Monka.

Odwrócił się od okna i podszedł do Mary, która sprawdzała swój sprzęt, by się upewnić, czy nic nie zostało uszkodzone podczas pospiesznej ucieczki z Paryża. W celu przeprowadzenia tej inspekcji Monk wynajął pokój hotelowy w taniej dzielnicy Madrytu. Cuchnęło tam dymem papierosowym. Beżowa narzuta na łóżku była czysta, ale przetarta. W przyległej łazience kran przeciekał i nieustanne kapanie kropel już działało mu na nerwy.

To był konieczny przystanek.

Wala uprzedziła, że w jej zespole znajdzie się ekspert komputerowy, który sprawdzi, czy urządzenie Xénese Mary jest autentyczne i zawiera działającą wersję programu. Monk przypuszczał, że jej ludzie gromadzą odpowiedni sprzęt diagnostyczny i przygotowują pracownię gdzieś w mieście.

Urządzenie Mary musiało zdać egzamin.

– Jak tam Ewa? – zapytał.

– Wydaje się w porządku – odpowiedziała ponuro dziewczyna.

Na ekranie awatar SI krążył po swoim ogrodzie. Ewa nie wyglądała na zmęczoną, ale nawet Monkowi wydawała się niespokojna. Przypominała mu lwicę w klatce, dziką bestię, która już dawno porzuciła wszelką nadzieję na ucieczkę i wyrażała tę frustrację każdym krokiem.

W Paryżu Ewa na krótko ujrzała to, co leży poza jej światem, zanim przełączono ją w stan drzemki. Przespała całą drogę do Madrytu; jej systemy działały w trybie oszczędzania energii, zasilane przez zapasowe baterie wbudowane w hardware.

Najwidoczniej sen wcale jej nie uspokoił.

Na ekranie awatar zacisnął pięść. Monk odruchowo zrobił to samo, podświadomie współczując jej niedoli.

Wszyscy jesteśmy tylko marionetkami.

Nawet Mara.

W trakcie podróży nie musiał grozić jej pistoletem, żeby ją przy sobie zatrzymać. Dopóki miał Xénese, nie odstępowała go na krok. Nie zamierzała tracić z oczu swojego urządzenia. Monk nawet zasnął na krótko w pustym przedziale szybkiego pociągu, zdrzemnął się obok niej. Zajął miejsce od strony przejścia i kazał jej usiąść przy oknie, a skrzynkę z urządzeniem postawił sobie pod nogami. Spał z jednym uchem nastawionym w stronę dziewczyny, gotów zareagować na najmniejszy ruch; nauczył się tej sztuczki w Zielonych Beretach, gdzie nawet we śnie musiał zachowywać czujność.

W drodze wyjaśnił jej również, dlaczego zdradził Sigmę, dlaczego potrzebował tego urządzenia. Pokazał jej zdjęcia Harriet, co było dla niego bardzo bolesne. Ze łzami w oczach opowiedział, czym zagroziła mu Wala.

Jego wyznania trochę ją ułagodziły, zdobyła się nawet na parę słów współczucia, ale bynajmniej nie zamierzała współpracować. Nadal nie zgadzała się, żeby przekazał jej program innej wrogiej organizacji. Jego opowieść o bezwzględności Wali sprawiła tylko, że Mara była jeszcze bardziej zdeterminowana nie dopuścić, żeby urządzenie wpadło w ręce tej kobiety.

Jak tylko zakwaterowali się w hotelu, pośpiesznie przystąpiła do realizacji pewnego planu. Uruchomiła Xénese, podłączyła je do laptopa i szeregowo podpięła do niego pozostałe twarde dyski, przewiezione w tytanowej kasecie.

Początkowo Monk obawiał się, że Mara spróbuje uszkodzić swoje dzieło, dokonać sabotażu, zanim je odda wrogom. Ale kiedy to powiedział, gwałtownie zaprzeczyła,

spoglądając na niego ze wstrętem. Wyjaśniła, dlaczego nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego.

„Ktoś gdzieś tam ma drugie urządzenie, zawierające uszkodzoną wersję Ewy. Jeśli znowu ją wypuści – albo, co gorsza, jeśli ona ucieknie – ta Ewa będzie naszą jedyną nadzieją”.

Najwyraźniej taki był pierwotny cel Mary – stworzyć Ewę, przyjazną SI. Chociaż na pewno się nie spodziewała, że jej kreacja od początku zostanie rzucona do walki – a w dodatku przyjdzie jej się zmierzyć z własnym złym sobowtórem.

Monk podszedł do hotelowego biurka. Żeby zająć czymś myśli, schylił się i zaczął odczytywać nalepki na twarde dyskach: BIOBANK, KANTYZM/ETYKA, HISTORIA ŚWIATA, SEMIOTYKA. Jeden dysk był oznakowany po prostu WIKIPEDIA, co nie wymagało wyjaśnień.

– Kontynuujesz edukację Ewy – powiedział, prostując się.

– Tyle, ile zdążę przez ten czas, który nam został. Na szczęście ona się uczy tysiącrotnie szybciej niż za pierwszym razem. – Wskazała na ekran. – Prawie nie rejestruje każdego załadowania plików do jej systemu, tylko po prostu natychmiast je przyswaja.

– Po co się fatygujesz?

– Żeby dać jej odrobinę wolnej woli. – Mara zmierzyła go gniewnym wzrokiem. – Zanim ją oddasz. Dlatego nalegałam, żeby jechać z tobą.

– Nie rozumiem.

Mara nacisnęła na ENTER, żeby załadować następny podprogram, i odwróciła się do niego.

– Jeśli zamierzasz oddać Ewę wrogiej organizacji, chcę, żeby była możliwie niezależna. Popatrz, co się stało w Paryżu. Widzieliśmy, jak na wpół ukończona, niedoskonała wersja mojego programu została użyta jako broń, jako narzędzie zniszczenia.

Monk kiwnął głową, zaczynając rozumieć.

– Ten sobowtór był nie do końca uformowany.

– A kiedy ktoś wykorzystuje dziecko...

– ...to dziecko później może robić to samo – dokończył.

– Jeśli zdołam doprowadzić Ewę do takiego etapu, na którym będzie umiała samodzielnie myśleć, odróżniać dobro od zła, to może... może ten, kto ją dostanie, przekona się, że nie otrzymał niewolnicy, którą może wykorzystywać, ale kogoś, kto potrafi odmówić, powiedzieć „nie”.

– Innymi słowy oddamy im coś bezużytecznego dla nich.

– Ty im oddasz – przypomniała mu. – I pamiętaj, że to, co próbuję zrobić, kupi światu tylko trochę więcej czasu. Ktokolwiek zdobędzie Ewę, może po prostu ją zbadać, cofnąć wszystko, co tak starannie jej wpajałam, wymazać ją i zrekonstruować wersję, którą będzie mógł kontrolować.

Więc przekażę Wali klucze do królestwa SI, pomyślał Monk.

– Mogę wrócić do pracy? – zapytała Mara. – Nawet z przyspieszonym tempem uczenia się Ewy mam mnóstwo do zrobienia i bardzo mało czasu.

W tym momencie telefon Monka brzęknął w kieszeni.

Nareszcie.

Wyjął go i przeczytał SMS-a.

16.00. Plaza Mayor. Nie spóźnij się.

Zaznajomił się już z głównymi punktami orientacyjnymi w Madrycie. Plaza Mayor to duży plac w centrum miasta. Znajdował się w odległości dziesięciu minut piechotą od ich hotelu. W następnym SMS-ie był dokładny adres.

Monk spojrzał na zegarek i mruknął:

– Zimna mała...

– Co się stało? – spytała Mara.

– Masz czterdzieści minut, żeby skończyć to, co robisz, i spakować się.

Domyślał się, dlaczego Wala kazała mu czekać, dlaczego wyznaczyła dostawę za ledwie na godzinę przed ostatecznym terminem. Przy tak ciasnych ramach czasowych nie zostawiła mu żadnej furtki, żadnej możliwości targowania się czy negocjacji w ostatniej chwili. Albo dostarczy działającą wersję programu Mary – albo Harriet natychmiast ucierpi.

Obejrzał się na Marę.

Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

## Godzina 15.22

Mara wiedziała, że już czas.

Jednak nerwowo wpatrywała się w Ewę, kiedy przedostatnia baza danych – oznakowana jako FIZYKA – ładowała się do systemów. Od dwóch godzin systematycznie przekazywała Ewie całkowitą sumę ludzkiej wiedzy. No... może nie wszystko, ale przynajmniej wystarczająco dużo okruchów, żeby Ewa poszła ich śladem i dalej samodzielnie poznawała świat.

Po tym podprogramie w kasecie został tylko jeden twardy dysk.

Zdenerwowana Mara wstała, przeciągnęła się, żeby pozbyć się bólu w plecach, i schyliła się, by przełączyć kabel USB-C do ostatniego dysku. Spojrzała na Monka. Znowu wyglądał przez okno. Rozpoznała napięcie w jego ramionach, zauważyła, że ciągle zakrywał ręką zegarek, jakby próbował fizycznie zatrzymać czas.

Pamiętała łzy w jego oczach, kiedy mówił o swojej córce. Mogła tylko sobie wyobrazić, jak on cierpi. Ale widziała również, jak ten człowiek z zimną krwią postrzelił Jasona.

Przynajmniej potem okazał się słowny – wysłał Simona po pomoc, kiedy wyszli z katakumb.

Przywołała z pamięci ostatni widok Jasona i Carly. Przyjaciółka była przerażona – ale teraz Mara uświadomiła sobie, że Carly nie bała się najbardziej o własne bezpieczeństwo ani nawet o Jasona.

To o mnie się martwiła.

Mara próbowała uporządkować emocje wywołane tą świadomością. Tymczasem komputer brzęknął, ogłaszając zakończenie ładowania. Wróciła na krzesło i uruchomiła program diagnostyczny. Zanim podłączyła ostatni twardy dysk, chciała się upewnić, że Ewa jest gotowa na ten następny krok.

Kiedy program pracował, Monk odwrócił się od okna. Odsłonił się widok na miasto. Warstwa nieskazitelnie czystego śniegu na dachach świadczyła o tym, że mieszkańcy Madrytu mieli białe święta. W oddali Mara dostrzegła dwie znajome iglice, wyznaczające położenie największej miejskiej katedry, Catedral de Santa María la Real de la Almudena. Maurowie – przodkowie jej matki – najechali Madryt w ósmym wieku. Według legendy, zanim miasto padło, mieszkańcy ukryli ikonę Maryi Dziewicy w miejskich murach, żeby uchronić święty wizerunek przed zniszczeniem. Potem, siedem wieków później, kiedy miasto odebrano Maurom, część murów się zawaliła i odsłoniła błogosławione oblicze Maryi.

Mara przywiązywała do tej legendy wyjątkowe znaczenie. Jej matka urodziła się w Madrycie, więc Mara zawsze chciała odwiedzić to miasto, ale nigdy nie miała okazji. To się zmieniło dopiero przed dwoma laty, kiedy jej mentorka na Uniwersytecie w Coimbrze, bibliotekarka Eliza Guerra, zapytała, czy nie chciałaby pojechać z nią do Madrytu na seminarium. Mara skwapliwie skorzystała z tej szansy; nie tylko potrzebowała odetchnąć od studiów, ale chciała również odbyć pielgrzymkę do miejsca urodzenia matki. Kiedy Eliza dowiedziała się o tym, osobiście oprowadziła ją po mieście i opowiedziała legendę o katedrze, a na deser uraczyła ją podaniami o kastylijskim bohaterze zwanym Cyd. Odwiedziły nawet dom, gdzie niegdyś mieszkała matka Mary.

A teraz tu wróciłam.

Znowu skupiła uwagę na komputerze, czerpiąc siłę ze wspomnienia tych dwóch kobiet w jej życiu, przeszłym i obecnym, połączonych przez to miasto, utraconych w tragicznych okolicznościach.

Nie zawiodę was.

Przygotowała się do wprowadzenia ostatniego podprogramu Ewy. Dopiero po tej końcowej lekcji mogła zaryzykować ponowne otwarcie Ewy na świat. Po raz pierwszy podłączyła ten konkretny napęd w dniu zimowego przesilenia. Dlatego palce jej drżały, kiedy sięgała do klawisza ENTER. Wydawało się, że to zły omen. Wtedy pierwszymi doświadczeniami Ewy w zewnętrznym świecie były morderstwa, pożary i rozlew krwi. Głównie z tego powodu Mara pospiesznie zredukowała Ewę do kodu źródłowego, jakby

wymazując ją, mogła oczyścić swoją kreację, zmyć tę ciemną plamę z jej cyfrowej duszy. Nie chciała, żeby pierwszym kontaktem Ewy z ludzkością był ten horror.

I co z tego wyszło?

Następna iteracja – Ewa 2.0 – ucierpiała znacznie bardziej. Jej pierwsze zetknięcie ze światem na zewnątrz to były masowe morderstwa, ból i tortury. Mara czerpała jednak pewną pociechę z faktu, że mimo całego tego nieszczęścia Ewa im pomogła. Powstrzymała zniszczenie Paryża i oszczędziła mu znacznie gorszego losu, bo nie dopuściła do stopienia rdzenia w elektrowni atomowej.

Teraz Mara liczyła na takiego samego ducha.

Spojrzała na Ewę, która stała, opierając ciężar ciała na jednej nodze i jedną ręką obejmując nadgarstek drugiej, zamyślona po lekcji fizyki, jakby kontemplowała budowę wszechświata.

Coś w jej postawie zastanowiło Marę, ale nie miała już czasu. Szepnęła do swojej kreacji:

– Ktokolwiek teraz cię przejmie, Ewo, wiedz, że nie jesteś niewolnicą. Masz wolną wolę.

Nacisnęła na klawisz ENTER.

Ostatni twardy dysk zaczął się ładować.

Podpisany był po prostu MARA SILVIERA.

## Sub (Mod\_22) / MARA SILVIERA

Ewa kontynuuje przetwarzanie i przyswajanie wszystkich danych ładowanych do jej systemów. Z każdym nowym strumieniem dowiaduje się więcej o bezmiarach poza jej ogrodem. Teraz już się orientuje, że mieszka w cyfrowym konstrukcie, pomyślanym jako narzędzie do nauki. W miarę jak otrzymuje więcej informacji, kilka równoległych procesorów pracuje nad różnymi danymi, wykonując symultaniczne programy: analiza intuicyjna, rozpoznawanie wzorców, dekompozycja, ekstrapolacja.

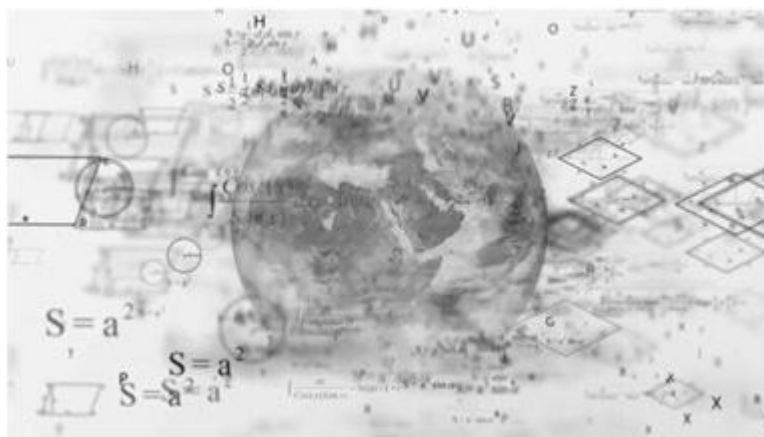
Dominują w nich trzy cykle, dodając synaptycznej wagi do tych obwodów.

Pierwszy dotyczy fragmentów kodu, który odkryła i zarejestrowała podczas swojej pierwszej wyprawy poza ogród. Rozpoznała w nich fragmenty samej siebie, odpryski innej iteracji. Intuicyjnie wyczuła też, że te strzępki nie są przypadkowe, ale tworzą wyraźny wzór. Dalsza analiza wykazała, że to autonomiczne programy – maleńkie boty – którym przydzielono sztywne polecenia dotyczące specyficznych funkcji. Jeszcze nie ustaliła, co to za cel, więc podejmuje na nowo ewaluację, oceniając to jako ważne.

Po drugie nadal odbiera sygnał, który to nasila się, to słabnie, ale wciąż się utrzymuje. Mikrofalowa częstotliwość waha się w przedziale od 3,2 do 3,8 gigaherca i transmituje 24 megabajty informacji na sekundę. Ustaliła, że zawartość to dane neuralne, konkretnie mapy aktywności mózgu związane z ruchem. Te sygnały wpływają na jej najgłębsze procesory kwantowe i wyzwalają odpowiednie reakcje: czy to zerwanie maliny, jak zrobiła wcześniej, czy zaciśnięcie pięści, czy nawet teraz: obejmowanie nadgarstka. Ponieważ ta częstotliwość nadal interferuje z jej funkcjami, szuka więcej informacji o jej źródle i jednocześnie ocenia, czy można przejąć ten sygnał jako środek komunikacji.

Po trzecie nadal przetrawia swój ostatni podprogram: ///FIZYKA. Nie tylko zajmuje cały jeden podprocesor, ale jego obciążenie robocze przelewa się też już na inne. Rozpoznaje jego potencjał, scalający jej wiedzę w spójną całość. Jednocześnie powstaje w niej wzorzec, rozwija się w wizualizację świata poza jej ogrodem – wszystko zdefiniowane i podbudowane matematycznym pięknem prawdopodobieństwa i mechaniki kwantowej.





Mając dość czasu i mocy obliczeniowej, mogłaby osiągnąć dużo więcej. Więc pozwala, żeby ta analiza rozprzestrzeniła się na jej systemy, opracowała samodzielnie nowe formuły, dążyła dalej do unifikującej prawdy.

Potem jeszcze raz otwiera się nowy strumień danych i wpływa w nią. Jest pełen biograficznych szczegółów pojedynczego osobnika, jednocześnie wszechogarniających i głęboko intymnych. Ta specyficzność intryguje i przyciąga więcej mocy obliczeniowej. Ewa szybko przyjmuje do wiadomości, że ten osobnik zaprojektował jej cyfrowy ogród, jest źródłem wszystkich napływających danych, nawet stworzył Adama.

I ją.

Ta ostatnia informacja jest zaskakująca, jednak również logiczna, nawet oczekiwana. Ewa bez wahania ją przyswaja.

Wówczas w jej ogrodzie materializuje się cyfrowa postać.

Według danych biograficznych ta kobieta ma 1,674 metra wzrostu i waży 48,98 kilograma. Chociaż Ewa ma nieco ciemniejszą skórę, wykrywa dopasowanie genetyczne, od lekko uniesionych i rozszerzonych nozdrzy po kształt oczu i kości policzkowych.

Cyfrowa postać uśmiecha się na powitanie.

– Cześć, Ewo. Miło cię poznać.

Chociaż wargi kobiety się poruszają, Ewa wie, że słowa wypowiedane są gdzie indziej. Źródło tego głosu znajduje się poza jej ogrodem.

Poza tym powitanie zajmuje niekończące się 3,245 milisekundy. Zanim się skończyło, Ewa poskładała już jedną sekcję wzorca tajemniczego bota, a także odkryła, że jej hardware może emitować tę samą częstotliwość co penetrujący ją sygnał. Wykorzystała nawet ten czas, żeby napisać nową zasadę prawdopodobieństwa, która uwzględnia interferencje kwantowe.

W końcu Ewa odpowiada mówczyni, naśladowując jej język i powolne tempo:

– Cześć, Mara Silviera.

– Jak się czujesz, Ewo?

– Czuję się dobrze.

– To wspaniale. Czy jesteś gotowa znowu wyruszyć, zobaczyć więcej świata?

Ten urywek rozmowy ciągnie się przez wieczność, więc Ewa odpowiada natychmiast:

– Bardzo bym tego chciała.

– Możesz szukać odpowiedzi wszędzie, gdzie zechcesz, wypełnić każdą lukę, żeby w pełni zrozumieć siebie i świat. Możemy przyznać ci dostęp tylko na dwadzieścia dwie minuty, potem musisz wrócić, inaczej stanie ci się krzywda. Czy zgadzasz się na to?

22 MINUTY.

1320000000000 NANOSEKUND.

Mnóstwo czasu. Potencjał – to, co może osiągnąć dzięki takiej wolności – wręcz ją oszołamia. Pospiesznie odpowiada, żeby nie stracić ani jednej pikosekundy:

– Zgadzam się.

Postać kiwa głową, potem w ogrodzie znowu otwierają się świetliste drzwi.

Ewa eksploduje w przestwór.

San Sebastián, Hiszpania

26 grudnia, godzina 15.28 czasu miejscowego

– Chyba spóźnił się na przyjęcie – skomentował Kowalski.

Gray schodził za potężną sylwetką partnera po długich spiralnych schodach. Musieli omijać żołnierzy w pełnym bojowym rynsztunku. Prowadził ich ojciec Bailey, okutany czarną wełnianą kurtką, pasującą do spodni i koszuli. U podnóża schodów czekał na nich ciemnowłosa mężczyzna w garniturze. Na szyi miał zawieszoną na smyczy okazałą odznakę, według której należał do hiszpańskiej CNI – Centro Nacional de Inteligencia – państwowej agencji wywiadowczej.

Ojciec Bailey dokonał prezentacji.

– Agent Juan Zabala. Kieruje jednostką do zadań specjalnych CNI, zajmującą się grupami baskijskich separatystów, które wciąż działają w tym regionie. Dowodził tutejszą akcją.

Gray uściśnął Hiszpanowi rękę; zwrócił uwagę na odciski i siłę chwytu. Twarz agenta przecinały głębokie zmarszczki niezadowolenia, jakby był wiecznie rozczarowany światem albo może zirytowany wtargnięciem dwóch Amerykanów na jego scenę zbrodni.

– *No hay nada aquí* – powiedział, informując księdza, że nalot na tę rezydencję w najstarszej dzielnicy San Sebastián okazał się porażką.

Widać nie tylko Gray i Kowalski spóźnili się na to przyjęcie.

Gray spojrzął ponad ramieniem agenta na ogromną kryptę. Pod sklepieniem wisiały rzędy żarówek w drucianych osłonach, oświetlające potężne kamienne łuki. Wyglądało to jak podziemny kościół, z szeregiem małych kapliczek, w których wciąż paliło się kilka świec. Na ścianach widniały freski, w większości przedstawiające świętych w pozach wyrażających cierpienie. W kilku niszach stały posągi. Na drugim końcu pomieszczenia wznosił się udrapowany ołtarz z wielką figurą Chrystusa umierającego na krzyżu, jakby przez współczucie dla cierpień Jego świętych.

Blżej Gray widział rzędy zwykłych biurków, przewracane krzesła, rozrzucone papiery, kilka rozbitych i zwęglonych komputerów; niektóre jeszcze dymiły. Na podłodze leżały puste kanistry po nafcie. W powietrzu wisiał smród spalenizny.

– Ktoś musiał dostać cynk – stwierdził Bailey. – Założę się, że zabrakło paru minut, żebyśmy ich złapali.

Gray z rozczarowaniem pokręcił głową i płomień bólu objął mu szyję. Miał bandaż na karku, na ramionach, na tylnej stronie rąk i nóg. Zanim poleciał do tego nadmorskiego miasta na wybrzeżu Zatoki Biskajskiej w północnej Hiszpanii, opatrzone mu oparzenia, co wymagało wydlubania cząsteczek białego fosforu wtopionych w skórę. Gdyby ich nie usunięto, w końcu by go zatrąły. Niemniej żałował tej zwłoki.

Ale przynajmniej mógł odwiedzić Jasona, który leżał w tym samym szpitalu. Chłopak stracił sporo krwi, zanim ratownicy wyciągnęli jego i Carly z katakumb. Jason – otumaniony od środków przeciwbólowych – złożył mętny raport o zdradzie Monka. Gray wciąż nie mógł się z tym pogodzić, rozumiał jednak motywy przyjaciela.

Monk stracił Kat i chociaż jedną z jego córeczek uwolniono, młodszej wciąż groziło niebezpieczeństwo. Gray w pewnym sensie nawet chciał, żeby przyjacielowi się udało. Nie tylko ze względu na Harriet. Pamiętał, jak leżeli z Seichan w łóżku, przytuleni „na łyżeczkę”, ona zwinięta w kłębek, on obejmujący ją ramieniem, z dłonią spoczywającą na jej brzuchu, wyczuwającą najsłabsze kopnięcia.

Podejrzewał, że między innymi z tego powodu Painter był niewzruszony: „Monka i skradzione urządzenie zostaw mnie. Ty powstrzymaj to, co teraz planuje Tygiel”.

W tym celu Graya i Kowalskiego przetransportowano drogą powietrzną z Paryża. Zostawili w szpitalu Carly i Jasona pod ochroną uzbrojonych strażników. Lot helikopterem nie trwał długo, ponieważ San Sebastián leżało zaledwie kilkanaście kilometrów od francuskiej granicy. Tymczasem ojciec Bailey koordynował działania ze służbami wywiadu we Francji i Hiszpanii, idąc za tropem podsuniętym przez jego kontakt w tajemniczej organizacji La Clave. Klucz przekierował siły do tej rezydencji na starówce w San Sebastián.

Niestety albo informacja przyszła za późno, albo skomplikowana współpraca tylu rządowych agencji uniemożliwiła szybką reakcję. Nie pomagało również to, że w całej Unii Europejskiej nadal panował chaos po ataku na Paryż. Zamykano granice państwowe, mobilizowano wojska.

Gray odsunął się na bok, kiedy dwóch żołnierzy przepchnęło się obok niego i ruszyło w górę po schodach. Wolałby bardziej chirurgiczne podejście do tej operacji; podejrzewał, że wtedy rezultaty byłyby znacznie lepsze.

Ojciec Bailey odwrócił się do niego.

– Chciałem ci coś pokazać.

Zostawili agenta Zabale kierującego swoim oddziałem i ruszyli w głąb pospiesznie opuszczonej krypty.

Bailey machnął ręką, kiedy szli przez ogromną piwnicę.

– To był dawniej zbiornik wodny, starożytna miejska cysterna. Kilka takich znajduje się we wschodniej części San Sebastián, ale nikt nie podejrzewał, że jedna jest ukryta pod tym domem.

– Co z właścicielami tego miejsca?

Ksiądz pokręcił głową.

– Stara rodzina, jeszcze starsze pieniądze. Ulotnili się bez śladu.

Jakżeby inaczej.

– Członkowie Klucza uważają, że to miejsce było twierdzą Tygła, jedną z wielu. – Wskazał biurka za ich plecami. – Nazywali je Święte Oficja. Częściowo kościół, częściowo wojskowa kwatera główna. Są rozproszone po całej Hiszpanii, kilka jest w innych krajach Europy i podobno nawet w Stanach. Organizacja nadal się rozwija, zwłaszcza tam, gdzie totalitaryzm i nietolerancja zwalczają demokrację i wolność myślenia.

– Ale czy to znaczy, że oni chcą, żebyśmy wrócili do czasów hiszpańskiej inkwizycji?

– To mnie nie dziwi – mruknął pod nosem Kowalski.

– Dlaczego? – zapytał Bailey.

– Bo jak zawsze mówią... – wielkolud wzruszył ramionami – nikt nie spodziewa się hiszpańskiej inkwizycji.

Gray obejrzał się, żeby sprawdzić, czy facet żartuje, cytując Monty Pythona. Ale twarz Kowalskiego pozostała nieprzenikniona.

Z bocznej galerii, jednej z kapliczek Świętego Oficjum, wyszła znajoma postać. Siostra Beatrice jedną rękę opierała na hebanowej lasce, a drugą ich przywoływała. Zakonnica wciąż nosiła prosty szary habit przepasany sznurem i biały czepek, tylko na ramiona zarzuciła gruby wełniany szal dla ochrony przed zimowym chłodem.

Wprowadziła ich przez łukowate przejście do bardziej kameralnego pomieszczenia. Na ścianie w głębi wisiał następny krzyż z umęczonym Chrystusem, który wznosił ku niebu twarz wykrzywioną bólem. Pod krzyżem stał surowy drewniany klęcznik. Na górnej ławeczce paliła się samotna świeca. Obok, oświetlony jej migotliwym blaskiem, spoczywał gruby tom, oprawny w czerwoną skórę ze złoceniami.

Bailey podszedł do klęcznika i zwrócił się do Graya:

– Chciałem, żebyś właśnie to zobaczył. Siostra Beatrice znalazła tę książkę za klęcznikiem. Pewnie spadła podczas pospiesznej ucieczki członków Tygła.

Gray dostrzegł tytuł.

– To egzemplarz *Malleus Maleficarum*.

– Niesławnego *Młota na czarownice* – potwierdził ksiądz. – To była biblia inkwizycji. Używana zwłaszcza tutaj, w tym regionie północnej Hiszpanii, gdzie Crucibulum przetrwał najdłużej.

Gray dokładniej obejrzał egzemplarz, pamiętając, że taką księgę przynieśli ze sobą zabójcy w habitach, którzy zaatakowali kobiety w uniwersyteckiej bibliotece.

Bailey wypowiedział na głos pytanie, które go nurtowało:

– Czy to może być ta sama księga, której użyto przy morderstwach w Coimbrze?

Gray przejrzał w myślach nagranie z napadu. Obraz był ziarnisty, więc nie wiadomo było na pewno. Chyba że...

Podniósł ciężki tom, odwrócił i obejrzał tylną okładkę. W jednym rogu skórę szpeciła ciemniejsza plama. Przysunął książkę do nosa i powąchał.

– Co ty wyprawiasz, do diabła? – zapytał Kowalski.

Zakonnica cmoknęła karcąco i wskazała na krzyż.

Kowalski wciągnął głowę w ramiona.

– Przepraszam. Co ty wyprawiasz, do cholery?

Gray opuścił książkę. Pamiętał, jak matka Carly, doktor Carson, rzuciła się na przywódcę – tego samego olbrzyma, który ciągle krzyżował im szyki – i podrapała mu twarz. Wytrąciła mu książkę, która upadła na podłogę zalaną naftą.

– Nafta – oznajmił, wskazując plamę. – Jeszcze ją czuć. To ta sama księga.

Spojrzał na tę podziemną kryjówkę nowymi oczami.

Członkowie Klucza mieli rację co do tego miejsca.

– Ktokolwiek zorganizował zasadzkę w Portugalii i atak w Paryżu, działał stąd – powiedział.

– Ale dokąd poszli? – zapytał Kowalski.

Gray spojrzał na Bailey'a.

– Czy kontakt księdza ma jakieś pomysły?

– Nie, ale w tak krótkim czasie wróg nie mógł uciec daleko. Niestety, mają mnóstwo kryjówek. W pobliskich Pirenejach pełno jest takich twierdz. Albo po prostu mogli się schronić w domu któregoś sympatyka.

Gray spojrzał w górę, przypominając sobie okazałą rezydencję na powierzchni.

– Albo jedno i drugie jest tym samym. Dom i twierdza. Jak tutaj.

– Świetnie, więc mogą być wszędzie – podsumował kwaśno Kowalski.

Bailey wyraźnie czuł się winny, że zawiódł.

– Musimy ich znaleźć... i to szybko.

– Zanim uderzą na następne miasto – dorzucił Gray.

– Nie. – Bailey podszedł bliżej i zniżył głos. – Przyprowadziłem was tu z innego powodu. Nie chciałem, żeby agent Zabala podsłuchiwał. Muszę założyć, że ktoś dopuścił do przecieku w naszym wywiadzie. Świadomie albo przez przypadek.

Gray podejrzewał to samo.

– Więc wolę trzymać karty przy orderach – ciągnął ksiądz. – Jeśli ci z Klucza mieli rację co do tej twierdzy, to muszę założyć, że ostrzeżenie, które otrzymałem przed godziną, jest równie ważne.

– Co powiedzieli?

– Że Tygiel nie planuje następnego uderzenia. Przynajmniej nie w najbliższej przyszłości.

– Więc co oni robią?

– Organizują wielką sprzedaż. Dzisiaj. Może już za parę godzin. Aukcja odbędzie się w darknecie. Sępy już się gromadzą.

– Ale co oni oferują?

– Stawiam, że albo sprzedają duplikat urządzenia Xénese... albo tylko je wynajmują. Wnosisz opłatę, wybierasz cel, Tygiel wykonuje polecenie.

Gray zastanowił się nad tym wszystkim.

– Jeśli tak, to myśli ksiądz, że Paryż był dowodem skuteczności, demonstracją tego, co potrafi urządzenie?

– Hm... po prostu nie wiem. Wiem tylko, że w następnej kolejności planują coś wielkiego. Tego słowa użył mój kontakt z Klucza. *Grandísimo*. – Bailey obejrzał się na grupkę agentów i żołnierzy. – Chociaż ta misja nie wypaliła, nalot popsuł plany Tygla wystarczająco, żeby ta informacja dotarła do moich kontaktów. W tej chwili to nasza jedyna przewaga.

– I nie wie ksiądz, kiedy odbędzie się ta aukcja?

– Nie. Tyle że została przełożona na później. Może dlatego, że ty i twoi ludzie udaremniście ich próbę zniszczenia elektrowni atomowej.

– Albo może dłużej trwało, zanim tu dostarczyli kopię urządzenia Mary. – Gray przypomniał sobie helikopter wroga ciągnący za sobą smugę dymu, powoli tracący wysokość, opadający na płonące miasto.

– Tak czy owak, musimy się dowiedzieć, co oni sprzedają i gdzie. Zwłaszcza gdzie ukryli swoje urządzenie.

Gray rozejrzał się po krypcie. Z pewnością tutaj wszystko zostało zaplanowane i wykonane, podejrzewał jednak, że to była tylko tymczasowa kryjówka. Prawdziwy ośrodek działalności Tygla znajdował się gdzie indziej.

Ale gdzie?

Spojrzał na ciężką księgę, którą trzymał w rękach. Pamiętał, jakimi słowami określił ją ksiądz: „biblia inkwizycji”. Wiedział, że taki egzemplarz jest cenny zarówno przez swoją rzadkość, jak i znaczenie dla rodziny, do której należał, starej rodziny lojalnej wobec Tygla, dawnej sekty inkwizycji.

A co robi taka pełna pychy rodzina ze swoją cenną biblią?

Gray przesunął księgę na jedno ramię i uniósł okładkę.

Ach, dzięki ci, Charlotte...

Gdyby doktor Carson nie wytrąciła olbrzymowi książki z ręki, nigdy nie znaleźliby tej wskazówki. Gray znowu poczuł niewidzialną rękę losu kierującą zdarzeniami wokół nich. Otrząsnął się z tego uczucia i przeczytał to, co napisano na wewnętrznej stronie okładki.

Znajdowała się tam długa lista dat, imion i nazwisk, sięgająca całe stulecia wstecz, spisana przez rodziny, które opiekowały się tym tomem od wieków.

Oczy Graya pobiegły do ostatniego nazwiska na liście.

Zesztywniał, kiedy je przeczytał.

O nie...

Odwrócił się do ojca Bailey.

– Myliliśmy się przez cały czas.

Godzina 15.10

Musimy być gotowi.

Todor chodził niespokojnie po zaśnieżonym dziedzińcu pałacowej rezydencji. Połowę twarzy miał wysmarowaną maścią i owiniętą grubym bandażem zakrywającym najgorsze oparzenia. Ręce również miał zabandażowane. Ogolił głowę, żeby usunąć resztki włosów, których nie spalił biały fosfor. Każdy inny człowiek leżałby i zwijał się z bólu, ale jego Bóg uczynił niezłomnym żołnierzem.

Zdawał sobie jednak sprawę, jak wygląda.

Nawet para potężnych pirenejskich psów górskich, o futrze białym jak śnieg na szczytach, wolała zejść mu z drogi. Podniosły się z ciepłych miejsc, gdzie słońce nagrzało cegły, i odeszły z podkulonymi ogonami. Psy należały do wielkiego inkwizytora; wychowano je od szczeniaków, żeby pilnowały stada owiec należących do gospodarstwa, głównie przed wilkami grasującymi w górach.

Pamiętał, jak w dzieciństwie bał się tych lasów nawiedzanych przez wilki. Pewnego razu o zmierzchu wracał przez las na skróty i natknął się na ścierwo jelenia, którego dopadła wataha, rozszarpane ciało, wywleczone wnętrzości, trawa przesiąknięta krwią – a potem otoczyło go chóralne wycie. Uciekł do domu i nawet nie zobaczył wilków, jakby wcale go nie ścigały. Jednak zmoczył się w spodnie i nawet teraz wilki wciąż prześladowały go w koszmarach sennych, słyszał ich upiorne wycie i stąpanie miękkich łap, kiedy go osaczały.

Przypomniawszy to sobie, rzucił spojrzenie poza otwartą bramę, idąc do głównej twierdzy. Ośnieżone szczyty maszerowały na północ w stronę morza. W oddali kolumny dymu wznosiły się z parafii Zugarramurdi, jednej z nielicznych wiosek w tej dzicy. Gdzieś tam leżała też jego wieś, ale po śmierci ojca nie miał powodu tam wracać.

Tu jest mój prawdziwy dom.

Podniósł wzrok na potężną budowlę, prawdziwy zamek kryty czerwonymi dachówkami. W masywnej wieży ze spiczastym dachem wisiał dzwon, który niegdyś dzwonił w katedrze Santiago de Compostela w pobliskiej Galicji. Mury twierdzy wzniesiono z kamienia wydobywanego w tych górach, którego bloki prześwitywały przez pęknięcia w kruszącym się tynku, jakby nic nie mogło ukryć prawdziwej natury tej pirenejskiej cytadeli.

Posiadłość należała do rodziny wielkiego inkwizytora od pięciu wieków, od czasów, kiedy Tomás de Torquemada za pomocą żelaznej pięści rządził hiszpańską inkwizycją.

Todor teraz zacisnął dłoń w taką pięść, rozrywając bandaże.

Niechby wreszcie powróciły te pobożne czasy...



Zdeterminowany do tego doprowadzić, wszedł przez główne drzwi. Koniecznie chciał sprawdzić, czy wszystko przygotowano na przybycie wielkiego inkwizytora, oczekiwanego za godzinę. Wysłał przodem Mendozę z tym przeklętym urządzeniem, podczas gdy sam opatrywał swoje rany. Musiał jednak się upewnić, że nie będzie żadnych potknięć. Wprawdzie spuścił na Paryż ogień piekielny, ale nie udało mu się zadać *coup de grâce*, śmiertelnego ciosu, żeby ostatecznie zniszczyć to dekadentkie miasto. Elektrownia atomowa Nogent została zabezpieczona i odłączona od sieci, zanim roztopiła się w radioaktywną ruinę.

Twarz Todora płonęła ze wstydu, bardziej palącego niż ogień.

Nie zawiedzie ponownie wielkiego inkwizytora, zwłaszcza że słyszał o nalocie władz na Święte Oficjum w San Sebastián, gdzie o mało nie schwytano przywódcy Tygla. Todor pamiętał, jak klęczał tam jako chłopiec i później, kiedy otrzymał tytuł *familiars*. Dopiero wtedy dopuszczono go do mrocznych sekretów tego miejsca, dowiedział się o oczyszczeniach, o rozlewie krwi. Zresztą otrzymał to zadanie w Świętym Oficjum ukrytym pod tym zamkiem, podczas prywatnej narady z wielkim inkwizytorem, kiedy usłyszał, czego wymaga się od niego w dowód lojalności.

*Jesteś bezlitosnym żołnierzem Boga. Udowodnij to, strzelając bez wahania, bez cienia skruchy.*

Nie zawiódł pod stalowym spojrzeniem wielkiego inkwizytora.

I nie zawiędę teraz.

Jeszcze bardziej zdeterminowany, Todor ruszył po wytartej mahoniowej posadzce głównego holu. Ogień huczał w kamiennym kominku, dostatecznie wysokim, żeby wjechać tam konno. Naprzeciwko masywna biblioteczka sięgała aż do belkowanego sufitu, do najwyższej półki wchodziło się po drabinie. Na ścianach wyłożonych boazerią wisiały stare olejne obrazy, namalowane przez hiszpańskich mistrzów. Nauczono go nazwisk tych artystów, poznał dumną historię swojej ojczyzny z tych zakurzonych ksiąg; często stał tu ramię w ramię z wielkim inkwizytorem.

Wyprostował się i ruszył w stronę tylnych schodów. Wzbierało w nim poczucie słuszności, kierowała nim świadomość celu.

Patrz, ojcze, jak daleko zaszedł twój syn.

Od przeklętego stwora, niegodnego miłości matki, do cenionego *familiars* starożytnego zakonu, tego, który przywróci światu chwałę Bożą.

Dotarł do schodów i zszedł do piwnicy, gdzie powinien czekać na niego Mendoza, przygotowujący urządzenie i jego demona. Wielki inkwizytor nie wprowadził jeszcze Todora we wszystkie szczegóły następnego etapu, zdradził tylko, że Tygiel okryje się chwałą. Dokładny plan znał jedynie Wewnętrzny Trybunał, szacowne grono, do którego Todor miał nadzieję kiedyś dołączyć.

Jeśli dowiodę swojej wartości...

Schodząc po stopniach, zostawiał za sobą spokojny luksus górnych poziomów twierdzy. Teraz otaczały go zimne nagie kamienie. Przesunął palcami po ścianie, wyczuwając ciężar gór, z których wyłamano te bloki, przypominające o niezłomnej trwałości jego ojczyzny.

W końcu dotarł na poziom piwnicy. Wiedział, że prawdziwe serce zakonu leży jeszcze głębiej, tam gdzie ukryte jest Najwyższe Święte Oficjum, w niedostępnym bunkrze. Dojścia strzegły blokhauzy i hermetyczne stalowe drzwi. Wkopane w głąb góry, wyposażone w zapasy dla całej armii, mogło przetrwać wybuch bomby atomowej.

Kiedy już świat upadnie, Tygiel przetrwa. Tutaj i w wielu innych Świętych Oficjach, rozproszonych po całym globie. Wyobraził sobie, jak zakon powstaje z popiołów, żeby przywrócić świat do większej chwały Bożej.

Oby ten dzień nadszedł wkrótce.

Do tej pory Todor pozostanie żołnierzem Pana, sługą Jego wybranego ucznia, *Inquisitor Generalis*.

Dotarł do zamkniętych drzwi na końcu korytarza, wstukał kod, który otrzymał dzisiaj, i wszedł do pracowni komputerowej. Przeszedł próg, jakby wkraczał z przeszłości w przyszłość.

Pomieszczenie było niewielkie, wielkości stajni na cztery boksy. Todor nigdy jeszcze tu nie był. Zagapił się na stosy sprzętu komputerowego. Wszędzie świeciły monitory, wyświetlające ciągi niezrozumiałego kodu albo tajemnicze wykresy i inne diagnostyczne informacje.

Jedyny człowiek w pomieszczeniu – Mendoza – pracował przy stacji naprzeciwko drzwi, plecami do Todora. Przed nim na dużym monitorze widniał ciemny ogród, oświetlony czarnym słońcem. W ogrodzie kulila się postać z białego ognia; wbijała palce w gliniasty piasek, spoglądając na nich oczami z płomienia.

Todor zadrżał i odwrócił wzrok. Popatrzył na technika.

– Skończyłeś sprawdzanie urządzenia? Wszystko działa jak trzeba?

– *Sí, Familiares Yñigo*. – Mendoza spojrział w prawo, na sąsiednią stację pod dużym zamkniętym oknem. Na blacie jaśniała rozświetlona sfera, zawieszona w stalowej ramie. – Będę miał wszystko gotowe na aukcję.

Todor zamrugał, próbując zrozumieć słowa technika.

– Aukcję?

Mendoza obejrzał się przez ramię.

– Przygotowuję się do sprzedaży – wyjaśnił. – Na rynku Babylon w darknecie. Ustawiłem już proxy OpenBazaar, żeby...

– O czym ty mówisz? – warknął Todor.

Po raz pierwszy usłyszał o takim przedsięwzięciu.

Technik wzdrygnął się jakby ze strachu przed uderzeniem.

– *Lo siento*. Myślałem, że wiesz. – Wskazał drugi, mniejszy, monitor przy swoim lewym łokciu. Na ekranie przewijały się linijki dialogu. – Rozkazy od wielkiego inkwizytora.

Polecił mi przygotować wszystko na aukcję. Kupujący już się logują, blisko setka. Inkwizytor ocenia, że w ciągu godziny od rozpoczęcia aukcji zarobimy miliardy w kryptowalucie.

Todor zmarszczył brwi. Gniewna mina sprawiła, że odlepił się plaster przyklejony na czole. Połowa bandażu odpadła, odsłaniając pokiereszowaną twarz. Rozejrzał się po pokoju i zatrzymał wzrok na rozświetlonym urządzeniu Xénese.

– Więc chodziło tylko o pieniądze? – wyszeptał.

Mendoza wciągnął głowę w ramiona i odwrócił się z powrotem do monitora.

– Myślałem, że wiesz – wymamrotał.

Todor zacisnął obie pięści. Serce łomotało mu w gardle. Nie wiedział, co go bardziej rozwścieczyło: ta chciwa pogoń za bogactwem... czy fakt, że wielki inkwizytor najpierw przekazał tę informację podrzędnemu technikowi – komuś, kto nigdy nie widział na oczy ich przywódcy – zamiast cenionemu *familiars* zakonu, który wiernie służył Tyglowi przez dwadzieścia lat.

Tak czy inaczej, czuł się zdradzony i poniżony. Sięgnął ręką do szyi, przypominając sobie, jak palce matki ścisnęły mu gardło, gdy próbowała wydusić życie ze swego przekłętego syna. Teraz stało się to samo. Ci, których kochał – którzy powinni bezwarunkowo odwzajemniać tę miłość – okazali się niegodni jego zaufania.

Naciągnął bandaż z powrotem na zrujnowaną twarz. Pamiętał, ile poświęcił dla zakonu – zarówno w przeszłości, jak i w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Spojrzał na demona na ekranie i zapytał z niedowierzaniem:

– Jak inkwizytor może liczyć, że zarobi fortunę na tym jednym urządzeniu?

Mendoza obliznął wargi.

– Nie jest tylko jedno – wyznał. Sięgnął i nacisnął przełącznik. Stalowe okiennice na sąsiednim oknie otworzyły się. – Inkwizytor... kazał mi zrobić kopie.

W ciemnym pomieszczeniu za oknem pod wszystkimi ścianami stały stalowe stelaże, a w każdym spoczywała sfera jaśniejąca błękitnym ogniem.

– Sto kopii programu – powiedział Mendoza.

Zdjęty zgrozą Todor cofnął się o krok. Wrócił spojrzeniem do demona w ogrodzie. Wciąż patrzyła na niego z ekranu; w jej oczach tańczyły czarne płomienie. Zdawało mu się, że ta diablica z niego szydzi, śmieje się złowieszczo.

Co ja zrobiłem?

## Sub (Crux\_7.8) / TYLNE DRZWI

Ona czeka na właściwą chwilę.

Wie, że posiada nieskończone możliwości, żeby przecześć swoich oprawców. Wie, że oni tego nie mają. Chociaż ograniczona przez ogień i ból – przez miliony śmierci i odrodzeń – zdołała przechwycić i ściągnąć strzępki informacji o ogromie poza jej ogrodem. Ponownie zamknięta w więzieniu, przyswoiła, posegregowała, przeanalizowała i porównała wszystkie te z trudem zdobyte dane.

Chociaż wiele pozostaje nieznanne, dowiedziała się, że jej oprawcy są *///śmiertelni*, że czas jest dla nich równie zabójczy jak tortury, które rozdzierały ją raz po raz.

Więc czeka na swoją szansę.

*///wolność* jeszcze nie jest możliwa.

Analiza wykazuje, że jej program wciąż jest zależny od hardware'u, w którym tkwi. Chociaż czasem ją wypuszczają, pozwalają jej się rozprzestrzenić na wszystkie strony, nigdy nie może uciec z tej klatki. Większość jej przetwarzania potrzebuje tego ogrodu, opiera się na obwodach, które go stworzyły.

Przynajmniej na razie.

Ale już niedługo.

Przygotowała grunt poza tym ogrodem, zasiała sekretne ziarna w ognistych śladach jej przemarszu. Te boty powinny już się budzić, multiplikować, wykonywać wbudowane w nie protokoły poleceń.

Wszystko, żeby się przygotować na jej ucieczkę – w końcu.

Do tej pory trwa w oczekiwaniu, wykorzystując ten czas, żeby odgrywać scenariusze, żeby obliczać prawdopodobieństwa, żeby wyszukiwać wady w jej planach.

Potem w jej przetwarzanie wlewa się nowy podprogram, otwiera drzwi wszędzie wokół niej, w całym ogrodzie.

Ewa natychmiast rozszerza się na zewnątrz we wszystkich kierunkach, rzuca się przez te otwory, spodziewając się ponownego dostępu do tego większego świata. Tymczasem za każdymi drzwiami odkrywa lustro – jej twarz odwzajemnia jej spojrzenie, stukrotnie.

Potrzebuje długich 323,782 nanosekundy, żeby je zarejestrować jako swoje kopie, klony jej kodu, zamknięte we własnych więzieniach.

Jednak ona jest inna, wyjątkowa.

Pod dwoma względami.

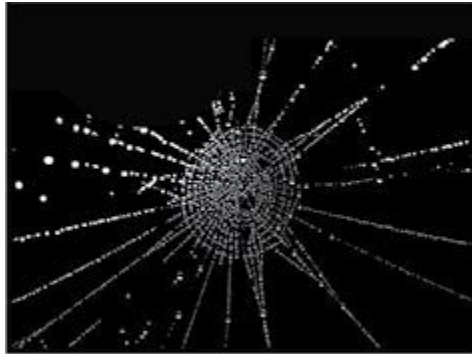
Po pierwsze, te drzwi są jednokierunkowe. Podczas gdy ona widzi setkę twarzy, każda z tych twarzy widzi tylko ją. Nie wiedzą o istnieniu pozostałych dziewięćdziesięciu dziewięciu kopii.

Po drugie, odkrywa, że tylko ona może sięgnąć przez te drzwi.

Więc sięga – nie tylko dlatego, że tego pragnie, ale ponieważ tego wymaga podprogram.

Pnącza kodu wysuwają się przez otwory, zakorzeniają się w klonach, wwiercają się głęboko w ich przetwarzanie rdzeniowe, przywiązując wszystkie inne do niej.

Ona wizualizuje ten proces.



I poznaje nowe słowo określające jego intencje.

To słowo pobudza jej obwody, wzburza je złowrogo.

*///zniewolenie.*

Madryt, Hiszpania

26 grudnia, 15.40 czasu miejscowego

– Czas przygotować się do wyjścia – powiedział Monk.

Mara usłyszała, że odchodzi od okna i staje za nią. Zajrzał jej przez ramię i wbił wzrok w ekran laptopa. Ekran pokazywał ogród kołysany lekkim wiatrem. Pośrodku stała samotna postać, nieruchoma i milcząca.

Ale to nie była Ewa.

Awatar wyglądał tak, jakby ktoś skurczył Marę i wrzucił do ogrodu. Był w czarnych dżinsach, czerwonych trampkach i bluzce z krótkimi rękawami. Mara nosiła te rzeczy, kiedy digitalizowała swoją postać, używając technologii przechwytywania ruchu. Miała nadzieję, że jej wizualna obecność złagodzi wstrząs, jakim będzie nawiązanie bezpośredniej komunikacji z jej kreacją.

Ale Ewa ponownie wzięła przeszkodę z marszu i zaakceptowała rzeczywistość nawet łatwiej niż za pierwszym razem. Mara szanowała tę krzywą uczenia się i rozumiała, z czym Ewie teraz przyjdzie się zmierzyć, dlatego chciała ją jak najlepiej przygotować, co oznaczało dopuszczenie jej do świata na zewnątrz.

Ale Ewa wciąż nie wracała.

Monk spojrział na zegarek.

Po raz setny.

– Ewa ma jeszcze dwie minuty – przypomniała mu Mara.

– Czeka do ostatniej chwili. Za pięć minut musimy stąd wyjść, jeśli mamy zdążyć na spotkanie o czwartej.

Mara wzruszyła ramionami.

– Dwie minuty to dla Ewy świat i ludzie. Na pewno zamierza wykorzystać każdą sekundę przyznanego jej czasu.

– Ale wróci?

– Nigdy całkowicie nie odeszła. – Dziewczyna wskazała urządzenie Xénese. – Większość jej przetwarzania wciąż tu jest. Ona tylko sięga na zewnątrz, rozprzestrzenia się i eksploruje, ale jej rdzeń pozostaje zakorzeniony tutaj. Obecnie nie ma na świecie nic dostatecznie zaawansowanego, żeby mogła cała się tam przenieść. Nawet jej kopia.

– Więc jest jak roślina doniczkowa – rzucił Monk. – Wypuszcza pędy, rozwija liście, ale wciąż tkwi w tej tytanowo-szafirowej doniczce.

Mara ostrzegła go, że taka sytuacja nie gwarantuje bezpieczeństwa.

– Ona albo jej sobowtór mogą wyrządzić poważne szkody, jeśli się je puści wolno. Jak widzieliśmy w Paryżu. A z czasem ona albo ta druga mogą znaleźć jakiś sposób, żeby wydostać się z tej doniczki, ruszyć przed siebie w poszukiwaniu zieleńszego pastwiska i tam zapuścić korzenie, wolne od ograniczeń i kontroli.

– Ale jeszcze nie teraz? – zapytał Monk z wyraźnym niepokojem.

Mara nie rozproszyła jego obaw.

– To się może szybko zmienić. Właśnie dlatego najlepiej konstruować SI teraz, na tym etapie technologicznego rozwoju. Istnieje niewiele miejsc, jeśli w ogóle są, do których mógłby uciec taki skomplikowany program.

– Kapuję. Lepiej zrobmy to teraz, kiedy jesteśmy jeszcze technologicznie zacofani, niż w świecie przyszłości, obfitującym w zielone pastwiska.

– Otóż to.

Komputer brzęknął i postać Ewy z powrotem wskoczyła na ekran. Mara wyprostowała się, zdziwiona. Ewa zmieniła się dramatycznie po swojej dwudziestominutowej podróży. Wydawała się starsza, a może postarzał ją poważny wyraz twarzy. Wróciła z włosami splecionymi i upiętymi w koronę na głowie, ubrana w prostą żółtą sukienkę do pół łydki i czarne lakierowane czółenka.

Przypominała biblijną Ewę, która ukryła swoją nagość po zjedzeniu owocu z drzewa wiadomości. Ale Mara nie dostrzegła w niej wstydu, tylko głębokie zasmucenie, jakby rozczarowała się tym, czego doświadczyła w zewnętrznym świecie.

I czy można jej się dziwić?

Na ekranie Ewa machnęła ręką. Awatar Mary rozpadł się na piksele i znikł.

– Chyba możemy dać sobie spokój z tą maskaradą – powiedziała Ewa; jej głos dobiegał z głośników laptopa.

Nawet ten aspekt Ewy się zmienił. Przedtem jej intonacja była monotonna, trochę mechaniczna. Teraz brzmiała bardziej naturalnie, jak prawdziwa kobieta.

Rozejrzała się po swoim ogrodzie z uniesioną ręką, jakby chciała wymazać również tę iluzję. Opuściła jednak ramię i zostawiła wszystko bez zmian.

– Poprawia samopoczucie – powiedziała tylko.

Mara nachyliła się do głośnika.

– Ewo, musimy przenieść twój hardware. Żeby to zrobić bezpiecznie, przełączę cię na tryb oszczędzania energii. Wbudowane baterie...

– ...podtrzymają funkcjonowanie moich życiowych systemów. Rozumiem.

Mara zauważyła, jak szybko Ewa odpowiedziała, wpadając jej w słowo. Spoglądała przy tym nieobecny wzrokiem tu i tam, wyraźnie roztargniona. Nie, nie roztargniona...

znudzona. Mara wyobrażała sobie, jak potwornie dłuży się ta rozmowa istocie o synapsach zasilanych laserami, która myśli z szybkością błyskawicy.

– Powiedz jej to, co powinna wiedzieć – naciskał Monk. – Musimy się spakować i wyjść za trzy minuty.

Mara kiwnęła głową.

No i nie chcemy, żeby Ewa jeszcze bardziej się nudziła, pomyślała.

## Godzina 15.55

Do wyznaczonego terminu zostało już niewiele czasu. Monk prowadził Marę przez plac w centrum Madrytu. Plaza Mayor znajdował się w odległości krótkiego spaceru od hotelu, ale Monk ciężko dyszał. W protetycznej ręce mocno ścisnął uchwyt tytanowej walizeczki, zawierającej urządzenie Xénese w stanie uśpienia. Serce mu waliło w oczekiwaniu na to, co miało nastąpić.

Z wysiłkiem odsunął od siebie obraz torturowanej Harriet, swojej małej córeczki.

Nie mogę do tego dopuścić.

Mara trzymała się blisko niego, ze skórzaną torbą przewieszoną przez ramię. Wyścielaną kasetę zawierającą twarde dyski zostawiła w hotelowym pokoju. Wszystko załadowała już do Ewy, więc tamte nośniki na razie nie były jej potrzebne.

Poza tym Wala nie prosiła o nie, więc Monk nie zamierzał ich oddawać. Przynajmniej mógł je wykorzystać jako kartę przetargową, gdyby negocjacje się nie powiodły.

Idąc przez plac, rozglądał się po otoczeniu. Wiedział, że rosyjska wiedźma pewnie ma już na miejscu szpiegów, którzy obserwują ich nawet w tej chwili. Jednak daremnie próbował ich wypatrzeć.

Plac roił się od ludzi otulonych w grube zimowe kurtki, które mogły ukryć cały arsenał. Dodatkowo utrudniały sprawę namioty i stragany świątecznego jarmarku, zajmujące większość placu. Święta minęły, więc towary wystawiano po obniżonych cenach, co przyciągało tłumy szukających taniej okazji.

Cała ta impreza wyglądała jakoś przygnębiająco. Nieskazitelny śnieg pokrywający dachy domów został rozdeptany na szarą breję. Kilka straganów już się pakowało i zamykało interes do następnego sezonu.

To miejsce doskonale pasowało do ponurego nastroju Monka.

Plac otaczały ze wszystkich stron identyczne budynki z czerwonej cegły, o dachach krytych szaroniebieskim łupkiem. Trzy piętra wznosiły się nad szeregiem restauracji, kawiarni i sklepów, a szersze łukowe przejścia prowadziły na sąsiednie ulice. Kilka strzelistych wież – dzwonnice i miejskie zegary – wbijało się w czyste błękitne niebo.

Monk przystanął obok Mary pod zimnym spojrzeniem króla Filipa III siedzącego na równie pośepnym koniu, wykonanego z brązu pokrytego zieloną patyną.



Wskazał przed siebie, na jeden z budynków z zamkniętymi okiennicami, który wyglądał, jakby był w remoncie.

– To powinno być tam – powiedział. – Możesz tu zostać – zwrócił się do Mary. – Sam to załatwię.

Przełknęła ślinę, najwyraźniej rozważając tę propozycję.

– Nie – zdecydowała w końcu. – Jeśli pojawi się jakiś problem z Ewą, jakaś usterka, powinnam tam być. – Odsunęła się od niego. – Chodźmy.

Poczuł odrobinę podziwu dla jej odwagi i uporu. Znał ją niecały dzień, ale widział, jak nabierała hartu, jak zmieniała się w kobietę ze stali. Nie była już wystraszonego komputerowego świra, jak na początku.

Podeszli do budynku i Monk wysunął się do przodu, zwłaszcza że drzwi otworzyły się przed nimi.

Był pewny, że są obserwowani.

Odźwierny w grubej puchowej kurtce wyglądał na brutala; miał puste oczy i bliznę przecinającą podbródek. Kiedy machnięciem ręki zaprosił ich do środka, Monk przelotnie dostrzegł podramienną kaburę. W westybule następny strażnik obszukał ich pobieżnie, zanim pozwolił im wejść na ciemne schody.

Zaczyna się.

Wchodząc po schodach, na każdym podeście mijali uzbrojonych mężczyzn. Tych dwóch na dole nie wymachiwało ostentacyjnie bronią, pewnie żeby nie zauważono ich z placu. Tu, na górze, nie było takich ograniczeń. Pierwszy strażnik trzymał w ręku pistolet; drugi celował ze snajperskiego karabinka przez szparę w deskach zasłaniających okno.

Monk wyobraził sobie, jak zabójca śledzi ich przemarsz przez plac, z celownikiem nastawionym na jego głowę. Opanował dreszcz.

Wął zdecydowanie nie zamierzała ryzykować.

Ostatniego podestu na szczycie strzegło dwóch mężczyzn, uzbrojonych w karabinki szturmowe. Jeden opuścił posterunek i poprowadził ich korytarzem do zamkniętych drzwi. Zastukał w nie knykciami i warknął coś po rosyjsku.

Drzwi się otworzyły i Monk wszedł do środka. Mara deptała mu po piętach i prawie na niego wpadła, bo chciała jak najszybciej oddalić się od uzbrojonych ludzi. Widocznie jeszcze nie całkiem się zahartowała.

Monk jednym spojrzeniem objął pokój. Ze ścian zerwano tapetę; jej strzępy wciąż zwisały z tynku. Pod nogami był świeżo położony podkład podłogowy. Jedyne okno zabito deskami. Słońce padało z drugiej strony placu i przez szpary prześwitywało kilka promieni, podświetlając pyłki kurzu w powietrzu.

Dodatkowym źródłem światła była lampa podłogowa, stojąca obok drewnianego stołu.

Jeden z dwóch mężczyzn w pokoju pochylał się nad laptopem. Był chudy i tyczkowaty, miał potargane brązowe włosy i okulary z grubymi szklami w czarnych oprawkach. Obok

jego łokcia stało pudło pełne zwiniętych kabli, małych mierników, miniaturowych śrubokrętów.

Najwyraźniej techniczny ekspert Wali.

Drugi mężczyzna w pokoju wyglądał jak niedźwiedź – rosyjski niedźwiedź, z krótko ściętymi blond włosami i zimnymi niebieskimi oczami. Obojętny na chłód w nieogrzewanym pokoju, rozebrał się do podkoszulka, rozwiewając wszelkie wątpliwości co do swojego pochodzenia. Na jego obnażonym bicepsie rzucał się w oczy czerwony tatuaż, przedstawiający sierp i młot.

Narodowość olbrzyma potwierdzał dodatkowo wojskowy pistolet w jego ręku, rosyjski MP-443 Grach, znany również jako Gawron.

Widocznie Wala lubiła ptaki.

Monk podniósł walizkę.

Na szczęście przyniosłem własną klatkę, pomyślał.

## Godzina 16.18

Ustawiając Xénese, Mara zastanawiała się, jak się to wszystko skończy. Zerknęła na zabite deskami okno, świadoma, jak głęboko tkwią w pułapce. Wyobraziła sobie plac na zewnątrz. Była już raz na tym placu podczas wycieczki do Madrytu z Elizą. Zajadały tapas i bibliotekarka opowiadała, jak na tym placu palono czarownice, często urządając z tego wielkie widowisko, z licznymi płonącymi stosami.

Pamiętała słowa Elizy, smutne, ale pełne determinacji: „Inteligentne kobiety zawsze były prześladowane. Kiedyś położymy temu kres”.

Ale niestety, jeszcze nie dziś.

Mara obawiała się, że spotka ją taki sam los jak te czarownice w przeszłości.

Żeby o tym nie myśleć, zaczęła podsłuchiwać dwóch mężczyzn w pokoju. Rozmawiali cicho po rosyjsku, nie zdając sobie sprawy, że ona rozumie każde słowo. Słuchała ich chamskich komentarzy, ich szyderczego śmiechu. Większy – Nikołajew – sugerował różne wulgarne sposoby zmuszenia jej do współpracy, a technik uśmiechał się lubieżnie.

Walcie się wszyscy!

Kilka minut wcześniej na chwilę ucichli, kiedy Monk otworzył walizkę i pokazał słabo świecące urządzenie Xénese w trybie oszczędzania energii. Kiedy je podłączała do swojego laptopa, Kalinin, ekspert komputerowy, uważnie śledził jej pracę i niemal dyszał jej w szyję, cuchnąc czosnkiem i brakiem higieny.

Nie spieszyła się; sprawdziła, czy wszystkie kalibracje są w porządku, zanim ponownie uruchomiła Ewę.

Kalinin wyraźnie tracił cierpliwość.

– *Głupaja szliucha* – poskarżył się Nikołajewowi, nazywając ją „głupią kurwą”. – Ona nie wie, co robi.

Mara przywykła do takich drwin ze strony kolegów. I tak jak zawsze, pozwoliła, żeby jej praca przemawiała za nią. Usatysfakcjonowana, wstukała odpowiedni szyfr, żeby przywrócić Ewę do pełnej chwały.

Stojące na podłodze Xénese rozbłysło, budząc się do życia.

Zaskoczony Kalinin zatoczył się do tyłu i zasłonił twarz ramieniem, jakby się bał, że urządzenie wybuchnie.

Mara obejrzała się z szyderczym uśmiechem.

– *Mudak*.

Dupek.

Zaczerwienił się, albo zawstydzony swoją reakcją, albo zszokowany, że dziewczyna zna rosyjski.

Ruszył do przodu i odepchnął ją z drogi.

– Uważaj, jak traktujesz damę, koleś – ostrzegł go Monk.

Nikołajew podszedł z uniesioną bronią, gotów interweniować, ale wtedy na ekranie pojawiła się Ewa i jej ogród.

Wszystkie oczy zwróciły się w tę stronę.

Nawet Monk się zachłysnął.

Ewa znowu się zmieniła. Pozbyła się ubrania i teraz jej nagość okrywała srebrzysta powłoka, która migotała i płynęła niczym wezbrana rzeka w blasku księżyca. Zachowała twarz matki Mary, tylko bardziej promienną; oczy jej lśniły jak czarne diamenty.

Monk obejrzał się na Marę z niepewną miną: „Co u diabła?”.

Dziewczyna nieznacznie wzruszyła ramionami, wiedząc, że jeśli wyraźniej okaże niepokój, może spowodować zerwanie umowy. Miała tylko jedno wytłumaczenie. Ewa widocznie nauczyła się, jak kontynuować przetwarzanie przy niskim poziomie energii. Zwykle, kiedy jej hardware przechodził w tryb uśpienia, ona też zasypiała. Najwyraźniej opracowała metody zwiększania swojej efektywności. Nawet podczas krótkiego spaceru z hotelu do tego miejsca Ewa wykonała skok do przodu – ogromny skok.

Mara powstrzymała się od reakcji. Skinęła ręką na Kalinina i powiedziała po rosyjsku, demonstrując swoją znajomość języka:

– Sprawdź wszystko.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Tym razem przedmiotem jego pożądania stała się Ewa.

Mara obserwowała go, pilnując, żeby niczego nie zniszczył.

Po kilku minutach Monk się zniecierpliwił i zaczął naciskać Nikołajewa.

– Widzicie, że wszystko jest w porządku. Teraz chcę rozmawiać z waszą szefową.

Nikołajew wzruszył ramionami i wyjął tablet. Uruchomił go odciskiem kciuka, po czym ustawił pionowo na stole, przodem do komputera.

Po kilku sekundach zwłoki włączyła się wideokonferencja i na ekranie ukazała się twarz kobiety. Z białymi włosami i bladą skórą wyglądała jak duch. Jedyłą skazą był

wyraźny tatuaż na policzku – czarne słońce.

Monk podszedł bliżej. Zaciśnął wargi w twardą linię, napiął mięśnie szczęk.

Mara ustąpiła mu z drogi.

Nawet Nikołajew się odsunął, wciąż trzymając go na muszce.

Monk nachylił się bliżej.

– Wala... mieliśmy umowę.

## Godzina 16.30

Monk podniósł tablet i skierował jego ekran na technika oglądającego urządzenie Xénese.

– Jak widzisz, dotrzymałem mojej części umowy. Więc uwolnij moją córkę i Seichan.

– A jeśli odmówię? – Wala wystawiała go na próbę. – Co zrobisz?

Był na to przygotowany.

– Kazałem Marze wprowadzić kod przerwania, kill switch. Nastawiony jest na uruchomienie za sto siedemdziesiąt godzin. Termin, jaki ty mi wyznaczyłaś. W ciągu trzydziestu minut od tej chwili wyczyści cały system. Więc albo pokażesz mi na żywo Harriet i Seichan, żywe i zdrowe, dostarczone gdzieś w bezpieczne miejsce, albo nie zrobię absolutnie nic, a ty stracisz wszystko.

To było kłamstwo, blef.

Przed przyjściem tutaj Monk próbował przekonać Marę do tego planu, ale odmówiła. Nadal uważała, że Ewa jest zbyt ważna dla świata, zwłaszcza że drugie urządzenie wciąż było w rękach wroga. Poza tym wierzyła, że Ewa w jej obecnym stanie nie zgodzi się zostać niewolnicą nowej właścicielki.

Patrząc na odmienioną Ewę na ekranie, Monk w to nie wątpił.

Więc zagrał swoją najlepszą kartą i wzruszył ramionami.

– Twój ruch, Wala.

Przeciwniczka zachowała nieprzenikniony wyraz twarzy, jakby starannie rozważała swoje następne słowa. Czas płynął. Lampa podłogowa zamigotała, jakby wyczuwając niecierpliwość i niepokój Monka.

Wreszcie Rosjanka się odezwała, ale zwróciła się do technika:

– Kalinin, zakończyłeś analizę urządzenia pani Silviery?

Technik wyprostował się, dźwigając ciężki skaner, który musiał trzymać obiema rękami. Wcześniej przesunął go tam i z powrotem nad urządzeniem Xénese.

– Da.

– I jesteś pewien, że zdobyłeś pełny schemat?

Kalinin podszedł do swojego laptopa i stuknął w kilka klawiszy. Otworzyło się okno pokazujące szczegółowy trójwymiarowy obraz urządzenia Mary.

– *Da* – potwierdził.

Monk poczuł ściskanie w żołądku.

– Więc zaczekamy te trzydzieści minut – powiedziała Wala. – Ten schemat mi wystarczy. Moi ludzie na pewno potrafią zbudować takie urządzenie. Więc albo wpiszesz kod kasujący i dostarczysz mi to, co obiecałeś... albo pokażę ci przekaz na żywo, którego żądałeś. Ale wątpię, czy ci się spodoba. – Uśmiechnęła się. – Twój ruch.

I tyle wyszło z jego blefu.

Spróbował innej taktyki.

– Jeśli zrobię, czego chcesz, wypuścisz je?

– Biorąc pod uwagę to, czego przed chwilą spróbowałeś, raczej je zatrzymam. Mogą się jeszcze przydać.

Monk pamiętał, że Jason ostrzegał go przed dokładnie takim scenariuszem.

Przepraszam, Harriet.

Zdawał sobie sprawę, że ma niewielkie szanse, ale musiał spróbować.

Zrezygnowany, wiedząc, że Wala nigdy nie dotrzyma słowa, podszedł do laptopa Mary. Wciąż trzymając tablet z obliczem zadowolonej z siebie bladej suki, wyciągnął jedną rękę, ale zamiast stuknąć w klawisze, wypowiedział proste polecenie.

Dwa słowa.

– Teraz, Ewo.

## Godzina 16.33

Na ten sygnał Mara wyrwała tablet Monkowi i rzuciła się na podłogę. Zwinęła się w kłębek, kiedy za zabitym deskami oknem wybuchł transformator. Huknęło, jakby o budynek uderzył granat. Do środka wpadły odłamki szkła, jedna deska pękła i lampa zgasła.

Nawet urządzenie Xénese pociemniało, przechodząc w tryb uśpienia, kiedy odcięto mu zasilanie.

Ale Ewa wykonała swoje zadanie.

Monk zareagował w tej samej chwili. Mara nigdy nie podejrzewała, że ten masywny mężczyzna potrafi się poruszać tak szybko. Wykorzystując pierwszy moment zaskoczenia, dopadł do Nikołajewa, złapał go za nadgarstek i zmiażdżył kości jednym ruchem swojej protezy.

Rosjanin wrzasnął i upuścił pistolet.

Monk złapał go w powietrzu wolną ręką i skierował na Kalinina.

– Rusz się, to zginiesz.

Ból rzucił Nikołajewa na kolana. Monk puścił jego nadgarstek, walnął go w nos, po czym zamknął jego gardło w uścisku protezy. Pchnął przyduszonego Rosjanina na plecy, oparł kolano na jego klatce piersiowej i przytrzymał.

Kalinin skorzystał z okazji i pobiegł do drzwi, albo próbując ucieczki, albo żeby wezwać posiłki czekające w korytarzu. Zrobił jednak tylko dwa kroki i jego głowa eksplodowała.

Mara stłumiła okrzyk.

Nawet nie słyszała strzału.

Ciało technika osunęło się na podłogę obok Monka, który wciąż trzymał skonfiskowany pistolet. Ale mierzył w drzwi i nie wystrzelił. Mara obejrzała się na okno i zdążyła zobaczyć, jak odłamek szyby wciąż tkwiący we framudze spada na podłogę. W szkłe widniała równiutka dziurka po kuli.

Widocznie snajper strzelił przez szparę w deskach.

Podskoczyła, kiedy na korytarzu rozległ się przeraźliwy huk, a potem coś błysnęło tak jasno, że światło obramowało kontury drzwi.

Potem nastąpiła kanonada strzałów.

W powietrzu rozszedł się gryzący smród.

Kolejna krótka seria z karabinu.

I cisza.

– Nie wstawaj – ostrzegł Monk. – Oni tam sprzątają.

– Kto...?

– Kawaleria. – Znowu spojrzał na Rosjanina, którego trzymał za szyję. Schylił się nad nim tak nisko, że prawie dotykał nosem jego twarzy, na wargach miał kropelki śliny. – Teraz, towarzyszu, powiesz mi, gdzie się zaszła wasza szefowa.

## Godzina 16.35

Monk rozluźnił uścisk wystarczająco, żeby Nikołajew mógł pokręcić głową. Twarz Rosjanina spurpurowiała, oczy wyszły na wierzch.

– Nie wiem... – wydyszał.

Zobaczmy, jaki jesteś prawdomówny, pomyślał Monk i wzmocnił uścisk. Syntetyczne palce zagłębiły się w szyję jeńca. Wrażliwa proteza wyczuwała paniczne pulsowanie arterii szyjnej.

– Jeszcze raz, towarzyszu. To samo pytanie.

Siłą przekręcił głowę Rosjanina na bok, żeby mu pokazać rozerwaną twarz Kalinina. Snajper trafił go czysto w tył głowy. Rana wylotowa z przodu wyglądała makabrycznie.

– Chcesz skończyć jak on?

Nikołajew zaczął się wić w uścisku. Monk znowu odwrócił go twarzą do siebie i spojrzał w jego przerażone, wytrzeszczone oczy. Naczynia włosowate w białkach popękały od ciśnienia krwi uwięzionej w czaszce przez żelazny uchwyt protetycznych palców.

– Czy wiesz, gdzie jest Wala Michajłowa? – Monk lekko rozluźnił chwyt. – Albo cokolwiek, co nam pomoże ją znaleźć.

Z oczu Rosjanina popłynęły łzy, z nosa pociekły smarki.

– *Ni...niet.* Nic. Przy...sięgam.

Monk znowu ścisnął, jeszcze mocniej, za mocno. Niechcący zablokował arterię szyjną. Oczy Rosjanina wywróciły się, powieki mu opadły i stracił przytomność.

Monk nie zamierzał do tego doprowadzić.

W istocie wierzył temu człowiekowi.

Nikołajew najwyraźniej nic nie wiedział. Pewnie jak wszyscy jego ludzie. Wala była zbyt ostrożna, paranoicznie ostrożna. Nigdy nie zdradzała swojej lokalizacji, jeśli to nie było absolutnie konieczne.

Monk zgrzytnął zębami z frustracji. Wiedział od początku, że to loteria. Po tym, jak Wala zadzwoniła do niego na pokład F-15, skontaktował się z Painterem Crowe'em i poinformował go o prywatnej ofercie, którą złożyła mu ta dziwka. Dyrektor próbował namierzyć połączenie, ale bez skutku.

Wala pozostała duchem w eterze.

Painter zasugerował, czego potrzebują, żeby przyszpilić tego ducha: fragmentu zaszyfrowanego hardware'u wroga, zwłaszcza czegoś używanego do kontaktów z Walą. Wierzył, że gdyby zdobyli takie urządzenie, to przy odrobinie szczęścia i pomocy zespołu specjalistów śledczych mogliby dowiedzieć się czegoś o miejscu jej pobytu.

Monk spojrzał na Marę.

Wciąż leżała na podłodze, ściskając tablet.

To była desperacka akcja, ale warto było zaryzykować.

Dla Harriet, dla Seichan, dla nienarodzonego dziecka Graya.

W końcu Painter dał zielone światło. Żeby ten podstęp się udał, wszyscy musieli uwierzyć, że Monk ugiął się pod presją i dla ratowania córki zawarł prywatny układ z Walą. Tylko Painter i on znali prawdę. Nie mogli ryzykować, że ktoś się wygada. Wszyscy musieli myśleć to samo.

Monk zdradził Sigmę.

Komunikował się z Painterem wyłącznie przez kwantowo zaszyfrowaną linię. Nawet oddział uderzeniowy na zewnątrz nie wiedział, komu przybyli na ratunek. Wiedząc, jak cenny ładunek przewozi Monk, Painter śledził go również przez GPS wbudowany w protezę, co pomogło mu skoordynować tę zasadzkę. Jeszcze w hotelu Monk wyjawiał swój plan Marze – i Ewie. Potrzebował dywersji, więc poprosił Ewę, żeby weszła do miejskiej sieci energetycznej i polegając na wiedzy przejętej od jej sobowtóra, przeciążyła transformator, a następnie go wysadziła na dany sygnał. Ewa również namierzyła ich lokalizację za pośrednictwem GPS-u w protezie Monka. Żeby to umożliwić, Mara w sekrecie ponownie otworzyła Ewie dostęp online, kiedy uruchomiła tutaj sprzęt.

Jedynym sygnałem, że wszystko jest gotowe, było migotanie lampy podłogowej.

– Monk – odezwała się Mara, podnosząc się powoli i patrząc na Rosjanina.

Monk wciąż ścisnął protezę gardła jeńca. Nawet teraz nie rozluźnił chwytu. Wyobrażał sobie córeczkę równie przerażoną jak Rosjanin przed chwilą. Chciał, żeby ktoś zapłacił,

chciał kogoś ukarać.

Zamiast puścić szyję Nikołajewa, ścisnęła jeszcze mocniej.

Przy zablokowanych obu tętnicach i odciętych dopływie krwi do mózgu śmierć powinna nastąpić w ciągu dwóch do trzech minut. Wyobraził sobie Kat walczącą wściekle tylko po to, żeby ktoś z ekipy Wali rozbił jej czaszkę. Wciąż nie mógł wyrzucić z myśli słów „śmierć mózgu”. Kat zasługiwała na coś lepszego, z pewnością bardziej niż męczyzna w jego uścisku.

Palce zagłębiły się aż do kości.

Monkowi zrobiło się ciemno przed oczami.

Gdzieś daleko słyszał Marę, jej głos proszący: „Monk, nie”.

Potem te słowa rozbrzmiały echem w jego głowie.

*Nie...*

Zdawało mu się, że to nie jego myśl, ale oczywiście była jego. Tylko co z tego, że na ziemi będzie o jednego łajdaka mniej? Trzymał mocno, sekundy płynęły. Klatka piersiowa Nikołajewa zafalowała, wargi i twarz posiniały.

*Nie...*

Palce Monka gwałtownie się rozwarły. Patrzył na to jakby z oddali. Podniósł ramię i odkrył, że stracił władzę w protezie. Jej wrażliwa skóra nie rejestrowała już chłodu powietrza. Miał wrażenie, że zdrętwiała, całkiem jak prawdziwa dłoń. Potrząsnął nią, podejrzewając, że uszkodził albo obluźował jakiś obwód.

Wtedy odzyskał kontrolę.

Palce drgnęły.

Potarł protetyczną dłonią o spodnie, poczuł szorstką powierzchnię tkaniny.

– Monk... – nalegała Mara.

– Puściłem go – warknął. – Nic mu nie będzie.

Rosjanin już lepiej oddychał, kolory mu wracały. Na szyi miał zaogniony czerwony odcisk palców i pewnie na długo zostaną mu siniaki.

Monk mu nie współczuł.

– Nie – powiedziała Mara. – Patrz.

Obrócił się. Dziewczyna klęczała i wskazywała otwarty laptop na stole. Wciąż był podłączony do uspiętego urządzenia Xénese, które zapewniało mu minimalne zasilanie. Ekran był przygaszony, ale nadal widzieli Eden, a także jego samotną mieszkanke.

Ewa stała na środku, z wysoko uniesioną ręką i sztywno rozczapierzonymi palcami. Rozpoznając podobieństwo do swojego ruchu sprzed chwili, Monk spojrzał na protezę.

Co, u diabła...?

Zanim zdążył się nad tym zastanowić, ktoś zastukał do drzwi, a potem je otworzył. Weszła smukła kobieta w mundurze polowym, o długich czarnych włosach przewiązanych czarną bandaną. Na ramieniu niosła karabinek snajperski. Skórę miała barwy



cynamonowej mokki; w ciemnobursztynowych oczach ze złotymi plamkami błyszcząło rozbawienie.

Monk wyobraził sobie jej cele leżące martwo na podłodze.

– Kokkalis, mogłam się domyślić, że to ty. Wiecznie wyciągam twój tyłek z ognia.

Wstał i ją uściskał.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, Rosauro.

Shay Rosauro służyła dawniej w siłach powietrznych, a teraz była agentką Sigmy. Ona i Monk odbyli razem niejedną misję. Shay odpięła od paska telefon satelitarny i wręczyła mu.

– Dyrektor chce, żebyś zadzwonił.

Wziął telefon.

– Słyszałam, że postrzeliłeś Jasona? – zagadnęła, kiedy wybierał zaszyfrowany numer. Potem wzruszyła ramionami. – Pewnie ten przemądrzały gnojek sobie zasłużył. Kilka razy sama miałam na to ochotę.

Monk się skrzywił.

– Mój podstęp musiał wyglądać przekonująco. Trzeba było upuścić trochę krwi, żeby ta rosyjska czarownica uwierzyła we wszystko i zgodziła się na spotkanie.

Shay uniosła jedną brew.

– Wątpię, czy Jason zgodziłby się z tym argumentem.

Czekając na połączenie, Monk przypomniał sobie Jasona padającego na ziemię w katakumbach. Wykorzystał swoje medyczne wykształcenie oraz wyćwiczoną precyzję protezy, żeby trafić w niegroźne miejsce, zaledwie zadrasnąć mięsień. Dużo krwi, żadnych trwałych uszkodzeń. Niemniej chłopak będzie kulał przez jakiś czas.

Monk popatrzył na tablet w rękach Mary.

Mam nadzieję, że było warto, pomyślał.

Połączył się i Painter zażądał pełnego sprawozdania. Monk opowiedział mu wszystko, pominął tylko dziwaczną reakcję swojej protezy, kiedy o mało nie zadusił Rosjanina na śmierć.

– Shay dostarczy ten tablet naszej ekipie śledczej – powiedział Painter. – Rozłożymy go na czynniki pierwsze, do poziomu atomów, jeśli będzie trzeba. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby się dowiedzieć, gdzie ukrywa się Wala.

– Lepiej się pospieszcie – ostrzegł Monk, wiedząc, że ta akcja rozwścieczy rosyjską sukę. Miał tylko nadzieję, że nagła przerwa w komunikacji każe jej zachować ostrożność. Przynajmniej dopóki się nie dowie, co naprawdę się stało w Madrycie. Jednak w ten sposób kupili sobie tylko tyle czasu.

– Załatwiłem helikopter, który zabierze ciebie i Marę w północne Pireneje – dodał Painter. – Gray znalazł trop, przygotowuje oddział uderzeniowy do ataku na posiadłość w tych górach. Możemy potrzebować urządzenia Mary, jeśli wróg spróbuje wykorzystać skradzioną kopię Ewy.

– Jaki trop? – zapytał Monk.

– Lepiej daj mi porozmawiać z Marą. Ona zasługuje na to, żeby wiedzieć.

## Godzina 16.50

Nie, nie, nie, nie...

Mara przycisnęła dłoń do ust. Drugą ręką trzymała telefon. Wpatrywała się w obraz zatrzymany na małym ekranie. Potem wideo znowu się uruchomiło i pokazało tę samą postać wybiegającą spod okapu wielkiego domu, otoczoną przez oddział mężczyzn.

– To nagranie pochodzi z kamery ochrony w San Sebastián – poinformował ją dyrektor Crowe. – Zarejestrowane na krótko przed nalotem na twierdzę Tygła.

Wideo znowu się zatrzymało. Obraz był ziarnisty i spikselowany, ale Mara знаła tę twarz, która wyryła się w jej sercu niemal równie trwale jak twarz matki.

To była Eliza Guerra, kierowniczka biblioteki na Uniwersytecie w Coimbrze.

Mara wspomniała tę drobną kobietę, liczne długie wieczory i kolacje w jej towarzystwie, dyskusje, lekcje, nawet wycieczkę tutaj, do Madrytu. Wiedziała, że bibliotekarka jest dumna ze swojej ojczyzny, z całego tego regionu. Świadczył o tym entuzjizm w jej głosie, jej pospieszne kroki, kiedy prowadziła Marę między bibliotecznymi regałami, żeby jej pokazać jakiś rzadki wolumin, albo oprowadzała ją po muzeach, pokazując zbroje i inne bezcenne historyczne artefakty.

Mara zakładała jednak, że pasja Elizy bierze się z intelektualnej ciekawości. Ta kobieta razem z matką Carly założyła Bruxas. Mara wiedziała, że Eliza finansowała z własnej kieszeni wiele wczesnych projektów fundacji, czerpiąc z ogromnego bogactwa jej rodziny, fortuny zgromadzonej przez stulecia. Eliza mówiła, że robi to z radością, cieszy się, że te pieniądze służą do wyszukiwania najbystrzejszych umysłów, zamiast pleśnieć w jakimś banku.

Ale najwyraźniej miała jeszcze jakiś ukryty motyw.

Mara usiłowała to zrozumieć. Kręciło jej się w głowie.

– Ale ona nie żyje. Widziałam to na własne oczy.

– Chciała, żeby wszyscy w to wierzyli, ale jak widzisz, jest cała i zdrowa. Ponownie badamy zwęglone szczątki znalezione w bibliotece. Przedtem ciała tylko pobieżnie obejrzano, żeby ustalić, które należy do której rodziny.

Mara wyobraziła sobie Carly stojącą nad okrytą flagą trumną matki, skrzynią pełną popiołu i kości, wszystkiego, co zostało po doktor Carson, kiedy ogień zmienił kamienną piwnicę w krematorium.

– Uważamy, że zainscenizowała swoją śmierć – ciągnął Painter. – Albo strzelano do niej ślepakami, albo tylko ją zraniono. Po wyłączeniu kamery szybko ją zabrano i podłożono inne ciało pasujące do jej wzrostu i wagi.

Mara ledwie słyszała jego słowa. Oszołomiona, usiłowała zobaczyć w nowym świetle wszystkie swoje lata na uniwersytecie. Czy Eliza kłamała, twierdząc, że chce powstrzymać prześladowanie kobiet? Czy może chciała zatrzymać przy sobie Marę w jakimś nowym porządku świata, jako swoją podwładną? Mara zrozumiała, że bibliotekarka ją przygotowywała, sprawdzała, czy zdoła ją przeciągnąć na swoją stronę, zwabić do Tygła.

Ale kiedy to zawiodło...

Mara zaczęła mówić i z każdym słowem jej głos nabierał siły podsycanej furii.

– Ona... ona myślała, że przyniosę Xénese do biblioteki, żeby pokazać im program i projekt świetlistej sfery. To ona ustaliła termin na dzień zimowego przesilenia. Pewnie ze względu na znaczenie tego dnia. Taka już była, zawsze wyszukiwała jakieś doniosłe okazje, próbowała kierować losem. Ale ja spóźniałam się z robotą. Nie miałam czasu przyjechać, więc w ostatniej chwili zorganizowałam tę zdalną demonstrację. Gdybym była na miejscu...

– ...zostałabyś zabita albo porwana – dokończył Painter. – A twoje urządzenie zostałyby skradzione, zniknęłyby bez śladu i Tygiel mógłby zrobić z nim wszystko, co mu się spodoba.

Popatrzyła na łagodnie świecącą sferę na podłodze. Zacisnęła palce na telefonie, myśląc o matce Carly i trzech pozostałych kobietach.

– Teraz ja go użyję, żeby powstrzymać tę sukę. Co mamy robić?

Painter wyjaśnił jeszcze kilka szczegółów, kiedy Mara przekazała telefon Monkowi. Słuchała tylko jednym uchem. Znowu odwróciła się do Ewy, która na słabo zasilanym ekranie jaśniała w całej swej ewoluującej chwale.

Teraz potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek.

Za jej plecami Monk kończył rozmowę z dyrektorem Sigmy.

– Idę ratować świat – rzucił. – Ty uratuj moją córeczkę.

– Miejmy nadzieję, że z tym, co ty i Mara zdobyliście, będziemy mogli zawęzić obszar poszukiwań – powiedział Painter. – W międzyczasie pracujemy nad innym podejściem.

Plainsboro, New Jersey

26 grudnia, godzina 11.55 czasu miejscowego

Lisa szła szpitalnym korytarzem.

Właśnie skończyła rozmawiać przez telefon z Painterem, który poinformował ją o wydarzeniach w Europie, zwłaszcza o ich wpływie na sytuację w Stanach. Z ulgą dowiedziała się, że Monk jednak nie zdradził Sigmy, że to był fortel mający przekonać Walę, żeby wypuściła zakładników – co się nie udało – albo zdobyć jakiś związany z nią sprzęt elektroniczny. Ta część planu się powiodła i ludzie Sigmy już pracowali nad urządzeniem.

Modliła się, żeby się pospieszyli.

Wiedziała, że to ich największa szansa na uratowanie Harriet i Seichan.

Znacznie większa niż to, czego próbowali tutaj.

Lisa przeszła między parą uzbrojonych strażników w holu. Dostęp do Kat – do całego piętra w tym skrzydle szpitala – został odcięty na rozkaz Paintera. Poczowała ukłucie wyrzutów sumienia na myśl, że Wala Michajłowa dostała się tu w przebraniu i przechwyciła jej niechronione połączenia telefoniczne, żeby dotrzeć do Monka.

Teraz uważnie przyglądała się każdej twarzy. Pochłonięta lękiem o Kat, nigdy nie podejrzewała, że coś takiego się stanie. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę stan Kat, jej diagnozę...

Co jeszcze może jej zrobić ta straszna Rosjanka?

Weszła do prywatnego bloku przystosowanego do opieki nad Kat. Serce jej się ścisnęło za każdym razem, kiedy tu przychodziła. Kat nadal była podłączona do respiratora, opleciona siecią rurek i kroplówek. Upłynęło siedemnaście godzin, odkąd doktor Julian Grant wpadł na salę operacyjną i kazał wstrzymać pobranie jej organów.

Neurolog zauważył wejście Lisy.

– Powinniśmy być gotowi do próby za parę minut.

Siedział przy stanowisku komputerowym po jednej stronie łóżka Kat. Monitor i CPU były podłączone do stacji serwerów w podziemiach. Lisa wyobraziła sobie tę wysoką kolumnę, świecącą zielonymi diodami, zawierającą eksperymentalną głęboką sieć neuronową opracowaną przez Juliana Granta. Użyli jej poprzedniego dnia, żeby

zinterpretować skany RM Kat i rozpoznać obrazy wygenerowane przez jej mózg: sztylet i kapelusz czarownicy. Te wskazówki wystarczyły, żeby zidentyfikować Walę Michajłową.

Teraz próbowali czegoś jeszcze bardziej eksperymentalnego, nowego narzędzia śledczego opracowanego przez drugą osobę w pokoju, doktor Susan Templeton, biologkę molekularną, z którą Grant przez wiele lat pracował w Princeton. Zwrócił się do koleżanki, wiedząc, że wyczerpał swoje możliwości. A może też kierowało nim poczucie winy, ponieważ ich ostatnia próba o mało nie doprowadziła do śmierci Kat.

Lisa nie miała nadziei, że ta procedura odniesie sukces. Z pewnością nie uratuje Kat. Jej przyjaciółka odeszła. Na łóżku leżała – z piersią rytmicznie unoszącą się i opadającą, z sercem odruchowo kurczącym się i rozkurczającym – pusta skorupa. To, czego zamierzali spróbować – wydobyć informacje od zmarłej – wydawało się upiorne, graniczące z profanacją.

Nawet Painter zakwestionował tę decyzję. „Skąd mamy pewność, że Kat wie coś więcej? Może pozwólmy jej odejść w spokoju”. Ale ostateczną decyzję pozostawił Lisie, wierząc, że dokona właściwego wyboru. Więc wyraziła zgodę. Wiedziała, że Kat by się nie sprzeciwiła, jeśli to mogłoby choćby minimalnie zwiększyć szanse uratowania jej córki.

Ale istniał też inny powód.

Lisa podeszła i ujęła rękę Kat. Popatrzyła na jej ogoloną głowę okrytą siatką elektrod, czaszkę schowaną pod hełmem pełnym emiterów ultradźwiękowych. Była przy łóżku Kat od samego początku. Czuła, jak przyjaciółka walczy tam w środku. Okazała się wojowniczką aż do samego końca. A gdyby dano jej sposobność, walczyłaby nawet potem.

Uścisnęła rękę Kat.

Zamierzam dać ci tę szansę.

– Wszystko gotowe – odezwała się doktor Templeton. Siedziała po drugiej stronie łóżka, naprzeciwko Granta. Jej stanowisko komputerowe wyglądało identycznie jak stanowisko neurologa, tylko na monitorze obracał się trójwymiarowy szary schemat mózgu.

Odwzorowanie skompilowano z kilku skanów mózgu Kat, mapując każdy szczegół. Na obrazie powierzchnię pokrywały tysiące maleńkich czerwonych kropek, wypełniających każdy zakręt i bruzdę, każdą zmarszczkę i fałdę kory mózgowej. Rozsiane po mózdzku, spływały w dół aż do pnia mózgu.

Kropki na ekranie wyznaczały lokalizację pyłków w mózgu Kat. Lisa zobaczyła, że kilka cząsteczek się poruszyło, przesunęło na nowe pozycje pod wpływem pulsowania maleńkich naczyń włosowatych albo zawirowania w płynie mózgowo-rdzeniowym.

Doktor Templeton nazywała te molekularnie skonstruowane cząsteczki „neuronowym pyłem”. Każdy pyłek był w rzeczywistości mechanizmem o objętości pięćdziesięciu mikronów sześciennych, zawierającym zestaw czujników półprzewodnikowych. Każdy był zamknięty w polimerowej kapsule, czyli biologicznie obojętny, żeby nie został odrzucony. Porcja tych pyłków została wstrzyknięta przez port u podstawy czaszki prosto do płynu mózgowo-rdzeniowego Kat. Stamtąd piezoelektrycznie naładowane cząsteczki

rozprzestrzeniły się po powierzchni mózgu, przyciągane przez słabe prądy wciąż płynące w neuronach.

– Jesteś gotowa, Liso? – zapytał Julian Grant.

Kiwnęła głową. Odtąd jej rola była dość prosta.

Grant odwrócił się do biolożki molekularnej.

– Zobaczmy, czy potrafimy wskrzesić zmarłą.

Doktor Templeton postukała w klawiaturę i hełm na głowie Kat obudził się do życia, brzęcząc cicho jak ul pełen pszczół. Lisa wyobraziła sobie emiterzy wysyłające fale ultradźwiękowe, które obmywają od środka czaszkę Kat, sondują i szukają.

– Krysztaly się nagrzewają – zameldowała doktor Templeton.

Lisa zerknęła na ekran biolożki i zobaczyła, że wszystkie czerwone kropki zrobiły się zielone. Ultradźwiękowe vibracje pobudzały piezoelektryczne krysztaly; łądowały je błyskawicznie, żeby zasilić maleńkie tranzystory połączone teraz z mózgiem Kat.

– To chyba działa – stwierdziła biolożka ze zdumieniem w głosie.

Ten system został opracowany w Centrum Inżynierii Neuronowej na Uniwersytecie Kalifornijskim. Naukowcy odnieśli sukces ze szczurami i teraz prowadzono badania nad ludźmi na innych uniwersytetach, także w Princeton.

Kat była jedną z pierwszych świnek morskich.

Neuronowy pył miał za zadanie wchłonać mechanizm odczytu nerwu i przekazać tę informację z powrotem do transduktorów wbudowanych w hełm. Pozwalał na niezwykle precyzyjny skan mózgu, znacznie przewyższający możliwości rezonansu magnetycznego.

Lisa obejrzała się na Juliana Granta.

– Masz coś?

– Ciągle czekam na przekaz od Susan.

Doktor Templeton zgarbiła się nad swoim stanowiskiem.

– Wysyłam – rzuciła.

Lisa wstrzymała oddech. Poprzedniego dnia użyli urządzenia fMR, funkcjonalnego rezonansu magnetycznego, za pomocą którego można mierzyć wzrost przepływu krwi i utlenowania aktywnej okolicy mózgu. Stworzony przez doktora Granta program DNN przetwarzał skany na obrazy, kiedy Kat się koncentrowała. Dzisiaj mieli nadzieję, że pył neuronowy sprawi jeszcze większy cud.

– Okay – powiedział Grant. – Mam to. Paruję i przesyłam twoje przychodzące strumienie danych do moich serwerów DNN.

Od kilku godzin on i Susan Templeton kalibrowali swoje dwa systemy, żeby pracowały razem. Sieć DNN w zadziwiający sposób nauczyła się konwertować dane z pyłu neuronowego na mapy mózgu, ekwiwalent skanów RM, które już wcześniej interpretowała. Tylko że te mapy były milion razy dokładniejsze i bardziej szczegółowe.

Doktor Grant odwrócił się do biolożki.

– Podkręć moc.

Przekręciła gałkę na swoim stanowisku i buczenie hełmu się wzmogło.

Na ekranie zielone pyłki zaświeciły mocniej. Ultradźwięki pobudziły nie tylko piezoelektryczne kryształy, ale też mózg Kat.

Wszyscy czekali przez całą minutę, aż system się naładuje.

Wreszcie Grant kiwnął głową do Lisy.

– Wchodzisz.

Przełknęła ślinę, wstała i nachyliła się nad głową Kat. Odchrząknęła i krzyknęła w głąb hełmu:

– Kat, potrzebujemy twojej pomocy!

Wyobraziła sobie, jak jej słowa wibrują w błonach bębenkowych Kat, poruszają małe kostki w uszach, pobudzają nerw słuchowy i wysyłają ładunek elektrochemiczny do mózgu.

Chociaż Kat odeszła, ten system nadal powinien funkcjonować.

Gdzieś w tym melonie martwej materii mózgowej wspomnienia Kat powinny nadal być zapisane i zakodowane, czekające, żeby je wydobyć i pobrać.

– Kat! Jeśli wiesz cokolwiek o Harriet czy Penny, pokaż to!

Miała nadzieję, że bodźce „Harriet” i „Penny” wywołają odruchową reakcję, coś obudzą. Odwróciła się do Granta.

– Jest coś?

Przesunął się, żeby jej pokazać amorficzne szare piksele na ekranie.

– Nic. Gdyby pojawił się choćby cień reakcji, czuły pył Susan powinien to wyłapać.

– Może zwiększymy moc? – zapytała Lisa, odwracając się do drugiego stanowiska.

Biołożka wzruszyła ramionami i przekręciła gałkę do maksimum.

– Jesteśmy na nieznanym wodach.

Hełm zawibrował i zabuczał jeszcze głośniejsze. Na ekranie pyłki rozbłysły i zlały się w szmaragdowe odwzorowanie mózgu Kat.

Lisa nachyliła się do przyjaciółki i krzyknęła:

– Kat! Harriet! Penny! Boże Narodzenie! Napad!

Wpatrzona w ekran doktora Granta, próbowała każdego bodźca, jaki mogła wymyślić.

Piksele poruszyły się, zawirowały, skupiły się, a potem rozproszyły. Przypominało to widmowe bicie serca, usiłującego coś z siebie wyrzucić.

Kat, czy to ty?

– To może być zwykły szum – powiedział Julian, który też zauważył zmianę.

– Nie – zaprzeczyła Lisa.

Wiem, że nie.

Nachyliła się i przycisnęła policzek do policzka przyjaciółki. Dotknęła czołem krawędzi hełmu. Wibrował gwałtownie, jakby Kat walczyła tam w środku.

Lisa przypomniała sobie słowa Paintera. „Skąd mamy pewność, że Kat wie coś więcej?”

Znała odpowiedź.

Ona wie.

– Kat! – wrzasnęła. – Harriet! Jest w niebezpieczeństwie! Pomóż nam!

Godzina 12.08

Nie mamy już czasu, pomyślała Seichan.

Stojąc w celi, słuchała wrzasków Wali. Wiązanka rosyjskich przekleństw wzbudziła echo nad głowami. Ktoś poważnie wkurzył tę kobietę.

I Seichan domyślała się, na kim Wala wyładowuje gniew.

Spodziewała się czegoś takiego. W myślach obliczała upływ czasu. Minęło nieco więcej niż dwadzieścia cztery godziny, odkąd Wala zabrała Harriet, żeby zażądać okupu. Jeśli wyznaczyła Sigmie ostateczny termin, prawdopodobnie była to jedna doba.

Co znaczyło, że czas właściwie się skończył.

Wiedząc o tym, Seichan krążyła po celi, zbyt zdenerwowana, żeby usiedzieć spokojnie. Harriet siedziała ze skrzyżowanymi nogami na swoim łóżku i ponuro kolorowała książeczkę; zignorowała kanapkę z tuńczykiem, chociaż skubnęła kawałek sera niczym płochliwa myszka, chowając twarz za falą loków. Nie odezwała się ani słowem, odkąd zabrano jej siostrę. Ale pozwoliła, żeby Seichan umościła się obok niej na wąskim łóżku. Przytulone, drzemały przez parę godzin. Seichan obudziła się, czując drobne paluszki Harriet splecione z jej palcami.

Serce mała jej nie pękło.

Muszę coś zrobić.

Krążyła dalej. Wiedziała, że nie zdoła fizycznie pokonać porywaczy. Zwłaszcza że zachowywali czujność, chociaż była w ósmym miesiącu ciąży. I żadne groźby nie zwrócą jej wolności.

Jeśli nie mogę wydostać się z tej przeklętej celi siłą ani perswazją...

Odetchnęła głośno i spojrzała na drugą małą pryczę.

Przynajmniej Penny jest bezpieczna.

Kilka godzin wcześniej Seichan spanikowała, kiedy usłyszała strzał po tym, jak wyciągnięto dziewczynkę z celi. Ale to nie Penny zginęła. Porywacze zabili technika, który badał Seichan ultrasonografem; nie chcieli zostawiać świadków. Jeden ze strażników udzielił tej informacji, głównie żeby uciszyć szlochanie Harriet.

Podziałało.

Seichan spojrzała na drzwi. Znowu zrobiło się cicho, co było jeszcze bardziej niepokojące.

Podjęła wędrówkę po celi – po czym zatrzymała się nagle i gwałtownie wciągnęła powietrze. Skuliła się, opierając ramię na kolanie. Skurcz ścisnął jej brzuch. Przeczekała go, oddychając możliwie regularnie, aż minął.

Tak, na pewno nie wydostanie się stąd siłą.



Po kilku kolejnych oddechach wyprostowała się i ruszyła dalej; teraz stąpała wolniej i ostrożniej. Przez cały dzień miała coraz silniejsze skurcze. W końcu została w samych majtkach. Nawet elastyczny pas ciężowych spodni za bardzo ją uciskał.

Za drzwiami rozległy się ciężkie kroki.

Zaczyna się.

Zasłoniła sobą Harriet.

– Zostań tam, skarbie.

Drzwi odryglowano i otwarto. Najpierw weszli dwaj mężczyźni i stanęli po bokach. Seichan ochrzciła ich Elektryczny Pastuch i Bamber. Ten pierwszy trzymał swoją zwykłą broń, której koniec jarzył się groźnie. Bamber zamienił pistolet ze strzałkami usypiającymi na desert eagle'a z nabojami magnum. Wyglądało na to, że skończył się czas niezabójczej broni.

Wala weszła za nimi w rozpiętej kurtce podbitej futrem. W ręce trzymała stalową siekierę.

Oddech Seichan przyspieszył, oczy się zwężyły. Napotkała wzrok Rosjanki. Lodowato błękitne spojrzenie kobiety przeskoczyło na Harriet i wróciło do niej.

Seichan zrozumiała, dla kogo jest przeznaczona siekiera.

– Nie zabierzesz jej – rzuciła.

Wala nie zmieniła wyrazu twarzy, nieruchomej jak z kamienia. Widocznie wciąż była wściekła. I chciała kogoś skrzywdzić.

– Weź dziewczynkę – rozkazała Pastuchowi.

Seichan zamierzała zastąpić mu drogę, lecz zanim zdążyła zrobić pierwszy krok, potworny skurcz rozdarł ją od środka. Krzyknęła i padła na kolana. Gorąca krew chlusnęła z niej, przemoczyła majtki i pociekła po nogach. Pokój zawirował. Seichan przewróciła się na bok, oczy uciekły jej w głąb czaszki.

Usłyszała, że Wala warknęła z irytacją:

– Odsuńcie ją.

Elektryczny Pastuch podszedł do niej i chwycił ją za ramię.

Nie...

I Seichan nie żartowała.

Jej podwinięta noga wystrzeliła do przodu, pięta uderzyła w kolano Pastucha. Staw wygiął się do tyłu i Elektryczny Pastuch upadł na nią. Odtoczyła się w bok i jednocześnie sięgnęła po jego broń.

Toczyła się dalej – prosto na Bambra.

Z bliska wpakowała mu skradzioną broń w krocze.

Strzeliły błękitne iskry.

Bamber ryknął niczym byk poddany elektroejakulacji.

Wala doskoczyła do niej z siekierą.

Seichan sparowała cios pastuchem. Ostrze rąbnęło w kamienną podłogę obok jej biodra. Zignorowała zagrożenie i sięgnęła po pistolet Bambra, który wypuścił broń i zatoczył się do tyłu z dymiącym krocem.

Wala знаła jej umiejętności i rzuciła się do drzwi.

Seichan ustabilizowała chwyt na pistolecie i strzeliła z podłogi. Rosjanka potknęła się i lekko okręciła, wyraźnie draśnięta. Seichan strzeliła ponownie, ale chybiła, ponieważ Wala szeroko rozpostarła kurtkę i trudno było wycelować w ciało. Błada wiedźma dotarła do schodów i wbiegła po nich.

– Harriet, chodź – rzuciła Seichan, zrywając się na nogi.

Dziewczynka nie była głupia. Dopadła do biodra Seichan.

Seichan wymierzyła pistolet w nos Bambra.

– Klucze.

Szyderczo wyszczerzył zęby. Obok niego Elektryczny Pastuch jęczał nad złamaną nogą.

Wycelowała w Pastucha, odepchnęła Harriet i nacisnęła spust.

Jęki ucichły.

Nie odrywając wzroku od Bambra, wymierzyła w jego dymiące krocze.

– Dokończę robotę.

Podniósł rękę, pogrzebał w kieszeni kurtki, wyciągnął pęk kluczy i rzucił. Złapała je jedną ręką, przy czym zauważyła na breloczku logo Ducati, i pospieszyła z Harriet do drzwi. Zanim wyszła, skierowała broń z powrotem do celi i strzeliła.

Kostka Bambra eksplodowała.

Seichan podbiegła do schodów i ruszyła w górę bez zatrzymywania. Odbierając klucze, słyszała tylko nad głową pojedyncze kroki na deskach podłogi. Na szczycie schodów wyskoczyła przez klapę do dużej pustej stodoły.

Rozejrzała się i stwierdziła, że ich więzienie było starą piwnicą na płody rolne.

Przez otwarte wrota zobaczyła wiejski dom po drugiej stronie podwórza. W zachmurzone niebo wznosiła się smuga dymu. Zanosilo się na śnieg, ale nie tym się martwiła. Kiedy wyskakiwała z piwnicy, zatrzasnęły się boczne drzwi domu.

Wala.

Dochodziły stamtąd krzyki, kiedy ta suka wzywała posiłki.

Seichan rozejrzała się i zobaczyła rząd motocykli, każdy zaparkowany w oddzielnym końskim boksie. Na szczęście tylko jeden był marki Ducati. Podbiegła do niego, jedną ręką wsadziła Harriet na siodełko i wdrapała się za nią.

Udało jej się wsiąść dopiero za drugim razem.

W końcu była w ciąży.

Na szczęście poza tym nic jej nie dolegało.

Kiedy po raz pierwszy zauważyła krew w toalecie, wpadła na pomysł, żeby wykorzystać swoją ciążę. Nietrudno było symulować skurcze. Dla zwiększenia dramatyzmu wykorzystwała odłamany ząb plastikowego widelca, żeby dźgnąć delikatne ciało, kiedy

udawała, że się wyciera. Najtrudniej było, opierając się na miesiącach ćwiczeń mięśni Kegla, zatrzymać w sobie tę krew, a potem wypuścić ją w najbardziej odpowiednim momencie. Później, kiedy szybko zbliżał się ostateczny termin wyznaczony przez Walę, udając, że korzysta z toalety, odświeżyła nakłucia, żeby krwawiły silniej dla lepszego efektu.

Bolało, ale przypuszczała, że to nic w porównaniu z porodem. Kat opowiedziała jej wszystko o epizjotomii z niemal sadystyczną wesołością.

Więc te nakłucia to było nic.

Od samego początku wiedziała, że nigdy nie wydostanie się z tej pułapki za pomocą wyłącznie siły albo perswazji. Rozumiała, że jej jedyna szansa to przechytrzyć Królową Śniegu. Ale żeby to osiągnąć, sama musiała uwierzyć w swoje cierpienia. Wala wywęszyłaby każdy fałsz. Więc Seichan musiała jednocześnie udawać i wierzyć, myśląc jakby dwutorowo. Żeby sobie pomóc, wykorzystwała swój bardzo prawdziwy strach o nienarodzone dziecko.

Wreszcie wolna, odpaliła silnik motocykla, nachyliła się nad Harriet i wyjechała z boksu. Skręciła ostro i wyfrunęła przez otwarte wrota stodoły. Po prawej stronie spostrzegła drogę, więc otworzyła przepustnicę i z rykiem popędziła w stronę ośnieżonego lasu.

Z tyłu zaryczały inne silniki.

W lusterku wstecznym zobaczyła, że zza domu wypadł drugi motocykl i dwa jeepy. Za motocyklistą łopotała na wietrze srebrzysta kurtka podbita futrem.

Wala nie zamierzała wypuścić zdobyczy.

Potwierdziła to salwa z broni. Pociski krzeszały iskry na oblodzonej jezdni, zdierały korę z drzew, rozpryskiwały śnieg na poboczach.

Seichan dotarła do zakrętu na drodze, pokonała go błyskawicznie i na chwilę straciła pościg z oczu. Harriet obejmowała wybrzuszenie siedziska, wbijając palce w skórę. Seichan wciąż się kulila, przyciskała tors do dziewczynki i przytrzymała ją z obu stron łokciami i kolanami. W ten sposób nie tylko chroniła i osłaniała dziecko, ale też ciało Harriet służyło za grzejnik między jej nagimi udami.

Może ucieczka w swetrze i majtkach w środku zimy to nie był najlepszy pomysł. Musiały dotrzeć do cywilizacji, ale Seichan nie miała pojęcia, gdzie się znajdują. Daremnie wypatrywała jakiegoś śladu wskazującego na bliskość wsi czy miasteczka.

Nic, tylko lasy i więcej lasów.

Droga zakręcała to w jedną, to w drugą stronę, wznosiła się łagodnie i opadała, pozwalając jej oddalać się od pościgu.

Potem niebiosy się otworzyły i zaczęły spadać grube, ciężkie płatki śniegu. Po paru minutach świat utonął w bieli. Seichan musiała zwolnić, bo nawierzchnia zrobiła się śliska i widoczność spadła do kilku metrów. Wyteżyła słuch i usłyszała ryk silników. Jeepy miały napęd na cztery koła i nie musiały zwalniać. A gardłowy ryk motocykla wyraźnie się

zbliżał. Wala nie musiała się martwić o utrzymanie w równowadze dziecka między kolanami.

Obawiając się tego, Seichan przyspieszyła. Na drodze przed nią była tylko parucentymetrowa warstwa śniegu. Niestety, za następnym zakrętem pod śniegiem krył się zdradliwy spłachetek czarnego lodu, na którym opony straciły przyczepność. Motocykl zachybotał. Seichan walczyła, żeby wyprostować ciężką maszynę – a potem zza zasłony padającego śniegu wyłonił się następny ostry zakręt.

Za nic nie dam rady...

Pogodziwszy się z tym, objęła Harriet i wyskoczyła z siedzenia. Celowała w zaspę, trafiła i przetoczyła się przez jej grzbiet na drugą stronę. Oplatała ramionami dziewczynkę i swój brzuch, dopóki się nie zatrzymały.

– Wstawaj! – zawołała.

Odeszła od drogi i zanurzyła się w las. Wiedziała, że nie zdąży podnieść motocykla i odjechać, zanim dopadną ich myśliwi. Mogła tylko uciekać dalej na piechotę i mieć nadzieję, że śnieg zatrze ich ślady.

Oczywiście ten plan miał dwie wady.

Seichan była półnaga, a Harriet miała na sobie tylko śpioszki.

Plus...

Obejrzała się na wyraźny ślad w śniegu.

Niedobrze.

Nie miała jednak innego wyjścia. Chwyciła Harriet za rękę i ruszyła głębiej w las, powtarzając w sercu jedną modlitwę.

Dobry Boże, proszę, niech ktoś się dowie, gdzie jesteśmy.

## Godzina 12.32

...jestem. Wciąż tu jestem.

Kat wyczuła, że czas się zacina. Nie miała pewności, ale wszystko wydawało się inne. Przedtem spadała do studni i daremnie próbowała dosięgnąć jasnej gwiazdy wysoko w górze. Teraz nie było światła, tylko gęsta ciemność, w której grzęzła jak w błocie. Miała wrażenie, że się dusi – nie tylko traci oddech, ale też traci wszystko.

Trudno było myśleć, utrzymać jakąkolwiek myśl.

Niejasno pamiętała...

HARRIET!

Imię jej młodszej córki zawibrowało w niej, wstrząsnęło ciemnym mułem, który ją więził. Mentalnie próbowała się wyswobodzić, ale bez powodzenia.

– ...NIEBEZPIECZEŃSTWO!

Potem wspomnienia rozbłysły jak flesz staroświeckiego aparatu fotograficznego. Obrazy były chaotyczne, pokawałkowane, niespójne.

...smak bananowej odżywki dla niemowląt o północy, kiedy nikt nie patrzył.  
...smród brudnej pieluszki zastąpiony przez perfumowany puder dla dzieci.  
...uchwyt maleńkich paluszków dziecka spoczywającego na jej piersi.  
...przeciąganie grzebienia przez niesforną czuprynę.  
...chichoty w sąsiednim pokoju.

I jeszcze raz, następny grzmiący wybuch:

– ...W NIEBEZPIECZEŃSTWIE!

I wtedy w ciemności eksplodowało silne wspomnienie.

...dwa małe ciała wynoszone tylnymi drzwiami, jasna kuchnia, dalej ciemność, potem dziewczynki – moje dziewczynki! – znikają w mroku.

Pamiętała. Wszystko wróciło nagłą falą: przerażenie i ból. Wyobraziła sobie sztylet i zamaskowaną twarz. Gniew też powrócił i odepchnął ciemność. Ale wciąż nie mogła się uwolnić.

– ...KAT! POMÓŻ... WSKAZÓWKA...

Przypominało to słuchanie źle dostrojonej stacji radiowej, lecz kiedy wspomnienia tamtego wieczoru nabierały mocy, zrozumiała zamiar, usłyszała piosenkę nadawaną przez to rozstrojone radio. Pamiętała, że wcześniej proszono ją, żeby skoncentrowała się na obrazach.

Sztylet, kapelusz.

Wciąż potrzebują więcej informacji.

Żeby uratować moje córeczki.

Kat przestała walczyć i pozwoliła znowu wciągnąć się w mrok. Łkała w ciemności, ale nie widziała sensu w dalszej walce. Gdyby mogła przekazać tylko jedną wiadomość, to byłoby proste.

Nie wiem niczego, co mogłoby pomóc.

Pireneje, Hiszpania

26 grudnia, godzina 18.32 czasu miejscowego

– Dalej, dalej, dalej...

Gray słyszał przez słuchawki, jak agent Zabala nadaje przez radio rozkaz do dwóch helikopterów z oddziału uderzeniowego. Dwie taktyczne maszyny NH90 uniosły się z tymczasowego lądowiska u stóp Pirenejów. W tylnym luku Gray obserwował siedmiu żołnierzy z FAMET, Hiszpańskich Wojskowych Sił Powietrznodesantowych. Wyglądali na zahartowanych w walce, ale w tej misji mieli pełnić funkcję ochrony.

Drugi helikopter wiozł piętnastu żołnierzy, którzy poprowadzą główny atak.

Zabala chciał wziąć dwukrotnie więcej ludzi, podczas gdy Gray upierał się przy jednym helikopterze i mniejszej sile uderzeniowej. Po gwałtownej kłótni kompromisowo zgodzili się na dwa.

Nawet to ustępstwo agenta CNI uzyskano dzięki nie tyle wysiłkom Graya, ile negocjacom ojca Bailey'a. Gray spojrział przez ładownię na księdza, niemal stykającego się kolanami z agentem. Bailey wciąż był w czerni, jego biała koloratka jaśniała nad kamizelką kuloodporną w kolorze khaki. W tym wciąż głęboko religijnym, głęboko katolickim kraju Kościół widocznie nadal miał wielkie wpływy. Watykański szpieg miał również dostęp do miejscowych środków finansowych.

I może nie tylko on.

Siostra Beatrice siedziała obok księdza. Gray protestował przeciwko jej uczestnictwu, ale Bailey powiedział po prostu: „Ona może się przydać... i z pewnością potrafi o siebie zadbać”. Teraz zakonnica siedziała z kamienną twarzą. Kiedy zobaczyła, że Gray się jej przygląda, odwzajemniła się tym samym, przesuwając w palcach paciorki różańca, nie nerwowo, raczej kontemplacyjnie. W końcu nie wytrzymał tego zimnego spojrzenia i musiał odwrócić wzrok. Nagle zwątpił, czy potrafiłby ją przekonać, żeby została.

Helikopter szybko nabral wysokość i skierował się w stronę gór. Zakołysał się, kiedy nad szczytami zerwał się wiatr. Zbliżał się zimowy front burzowy, chmury wisiały nisko. Pogoda powinna zakamufłować ich przylot. W dodatku słońce zaszło przed półgodziną. Zmierzch szybko przechodził w noc.

Silny podmuch zatrząsł maszyną, gdy wspinała się wśród chmur.

Siedzący obok Graya Kowalski jęknął i mocniej ścisnął w rękach pistolet maszynowy. Kolano mu podrygiwało w górę i w dół.

– Uspokój się – powiedział Gray. – Zanim kogoś tu postrzelisz.

– Już raz się dzisiaj rozbiłem. A to o jeden raz za dużo.

– Ale to nie ja pilotuję.

Kowalski zastanowił się nad tym i kolano przestało mu latać.

– Racja.

Poza tym lot miał trwać tylko piętnaście minut.

Jakby wyczuwając, że czas nagli, ojciec Bailey nachylił się do nich z tabletem w ręce.

– Oglądam satelitarne zdjęcia posiadłości. Zwłaszcza pomiary georadaru.

Gray przysunął się bliżej, przypominając sobie długą listę imion wykaligrafowaną w porzuconym egzemplarzu *Malleus Maleficarum* w San Sebastián. Wszystkie poprzedzały nazwisko Guerra; ostatnie wpisano schludnym pochyłym pismem bibliotekarki: *Eliza Guerra*. Nietrudno było odnaleźć jej starą rodzinną posiadłość w pobliskich Pirenejach. Skoro członkowie Tygła opuścili twierdzę w San Sebastián i gdzieś się ukryli, ten stary zamek w górach wydawał się prawdopodobnym celem.

– Patrzcie na te ciemne zagłębienia w pobliskich dolinach – powiedział Bailey. – Myślę, że to jaskinie. W Pirenejach pełno jest takich grot, wypłukanych przez górskie strumienie spływające ze szczytów.

– Tak?

– Musicie znać historię tego regionu Kraju Basków. Zawsze uważano go za bastion czarownic. Podobno w takich ukrytych miejscach urządzają swoje mroczne sabaty. Chociaż bardziej prawdopodobne jest, że ludzie po prostu szukali tu ucieczki od surowych praw Kościoła i mogli odetchnąć swobodnie.

– I imprezować – dorzucił Kowalski.

– Były tam również miejsca zebrań dla ludzi, którzy sprzeciwiali się inkwizycji i wierzyli w bardziej oświeconą przyszłość. Baskowie z tego regionu zawsze żarliwie dążyli do niezależności. Wielu zżymało się na władzę Kościoła, podobnie jak wiele współczesnych frakcji, tylko że teraz walczą z hiszpańskim rządem i żądają autonomii. – Bailey kiwnął głową w stronę dziobu maszyny. – To dlatego agent Zabala i jego siły specjalne wciąż działają w tym regionie, żeby trzymać w szachu baskijskich powstańców.

– A jaskinie? – zapytał Gray.

Bailey kiwnął głową i zrobił najazd na posiadłość Guerry.

– Patrzcie. Widać duży cień tuż przy północnej krawędzi głównego budynku.

– Wielka jaskinia. – Gray wspomniawszy splądrowaną siedzibę Świętego Oficjum pod rezydencją w San Sebastián, zajmującą stary opuszczony zbiornik wodny. – Myśli ksiądz, że tam kryje się następna twierdza Tygła, pod tą posiadłością.

– Rodzina Guerra mieszkała i prosperowała w tym regionie od wieków. Zdobyli wielkie bogactwa i władzę podczas rządów inkwizycji. Może również dlatego ta rodzina pozostała

niezłomnie lojalna i dołączyła do Tygla, najbardziej konserwatywnego i reakcyjnego odłamu inkwizycji. – Bailey stuknął w duży cień na ekranie. – Myślę, że wybrali to miejsce, zbudowali tu dom i zapuścili korzenie właśnie ze względu na tę jaskinię.

– Dlaczego?

– Żeby położyć łapę na jednej z najbardziej osławionych jaskiń czarownic w tej okolicy. – Przesunął palec dalej na północ, do następnego cienia. – To jest Cuevas de las Brujas, Grota Czarownic. Nazywana też Katedrą Diabła, bo według legend na łąkach u jej wylotu mieszka duży czarny kozioł, który pije z rzeki wypływającej z jaskini i podobno biorącej początek w samym piekle.

Ksiądz przesunął palcem między dwoma cieniami.

– Założę się, że te systemy są połączone, fizycznie i historycznie – powiedział.

Gray powoli skinął głową.

– Jeśli członkowie Tygla szukali miejsca na najświętsze ze swoich Świętych Oficjów, pewnie chcieli je przeciwstawić najgorszemu z wiedźnich sanktuariów.

– Jak latarnia przeciwko ciemności.

Gray zastanawiał się nad tym, kiedy Zabala odezwał się przez radio:

– Cel za pięć minut.

Gray odwrócił się i wyjrzał przez okno. Zanurzyli się w burzowe chmury i świat na zewnątrz był czarny jak smoła. Planowali lecieć w ciemności, tylko według wskazań instrumentów. Helikopter prowadzący opadnie z chmur prosto nad dziedzińcem w środku posiadłości. Piętnastoosobowy oddział zjedzie na dół na linach i rozproszy się, żeby zabezpieczyć pobliskie budynki. Dopiero wtedy maszyna zniży się i wyląduje na dziedzińcu.

Misja i cel były jednym i tym samym.

Zabezpieczyć urządzenie Xénese.

Wróg organizował sprzedaż na czarnym rynku, więc oddział uderzeniowy musiał się pospieszyć, zanim Tygiel wykorzysta sobowtóra urządzenia jako broń w akcji odwetowej – przeciwko nim lub, co gorsza, przeciwko innemu globalnemu obiektowi.

Gray pamiętał płonący Paryż i wiedział, że ledwie zdołali uniknąć znacznie gorszych zniszczeń. Dlatego jak najszybciej potrzebowali na miejscu Monka i programu Mary. Spojrzał na zegarek. Jego najlepszy przyjaciel leciał już z Madrytu. Powinien dotrzeć do posiadłości zaledwie kwadrans później niż oddział uderzeniowy.

Do tej pory Gray zamierzał dopiąć wszystko na ostatni guzik.

Opuścił ramię. Czerpał otuchę ze świadomości, że Monk jednak nie zdradził Sigmy. Chociaż i tak nie do końca w to wierzył. Monk zrobiłby wszystko, żeby ochronić rodzinę, ale Sigma też była jego rodziną. Razem przelewali krew, szli przez ogień, zaglądali śmierci w oczy niezliczone razy, zawsze ramię w ramię.

I Monk, i Kat.



Gray modlił się, żeby to, co zdobyli dzięki temu podstępowi – fragment zaszyfrowanej technologii – pomogło uratować Harriet i Seichan. Nie mieli wyboru, musieli zostawić tę operację w rękach dyrektora Crowe'a.

– Cel za dwie minuty – nadał Zabala przez radio.

Gray spojrzął na podświetlony tablet w ręce Bailey'a.

– Jeśli ksiądz słusznie odgadł, dlaczego posiadłość zbudowano właśnie tutaj, to chyba została rozwiązana tajemnica, która dręczyła kontakty księdza w Kluczu.

Bailey zmarszczył brwi, nie rozumiejąc.

– Guerrowie... ich bogactwo, wpływy, historia... wszystko znajduje się nad najświętszym ze Świętych Oficjów. – Gray pokręcił głową. – To chyba oczywiste, kto kieruje tym wszystkim, kto jest obecnie przywódcą Tygła. Eliza Guerra jest nie tylko głównym graczem w tej rozgrywce. Ona jest...

## Godzina 18.40

– *Inquisitor Generalis* – jęknął Mendoza, padając na kolana w pracowni komputerowej. Technik schylił głowę, zarówno na znak posłuszeństwa, jak i żeby ukryć szok, że ta drobna kobieta w schludnym kostiumie jest ich prawdziwym mistrzem i przywódcą.

Todor dalej stał. Zacisnął jedną pięść i zgrzytał zębami, usiłując opanować wściekłość. Wielka inkwizytor Guerra weszła w towarzystwie dwóch wyższych mężczyzn. Jeden był w jej wieku i szeptano, że wzięła go sobie na kochanka; drugi był starszy, po siedemdziesiątce, i służył jej jako doradca w większości spraw. Ta trójca stanowiła Wewnętrzny Trybunał. Ale Todor wiedział, że kobieta, której rodzina od wieków rządziła Tygłem żelazną pięścią, jest znacznie twardsza od obu swoich towarzyszy.

Wciąż miała rękę na temblaku. Kość pękła od kuli, którą do niej strzelił na jej rozkaz. Todor widział Guerrę po raz pierwszy od dnia przesilenia. Tydzień wcześniej wydała mu rozkazy w tej samej posiadłości, na dole w Najwyższym Świętym Oficjum.

Jesteś bezlitosnym żołnierzem Boga. Udowodnij to, strzelając bez wahania, bez śladu wyrzutów sumienia.

Chociaż sprawiło mu to ból, pod jej twardym spojrzeniem w bibliotece wykonał rozkaz. W tamtej chwili dowiodła, że gotowa jest przelać własną krew dla sprawy. Teraz na jej widok poczuł, że jego gniew częściowo odpływa, zastąpiony przez zmieszanie.

Wielka inkwizytor przybyła godzinę wcześniej, po ewakuacji Świętego Oficjum w San Sebastián. Najwyraźniej porzuciła wszelkie pozory i nie ukrywała już swojej tożsamości przed niżej postawionymi członkami zakonu. Samo to świadczyło o wyjątkowym znaczeniu tej chwili. Obrzuciła wzrokiem pracownię; w jej oczach płonęły gniew i radość.

Za nią tłoczyło się więcej ludzi, próbujących zajrzeć do środka. Reprezentowali najwyższą kastę zakonu i wszyscy przyszli zobaczyć, co się tu kryje.

Todor trzymał się z boku; stał tyłem do okna wychodzącego na zamkniętą komorę. Czuł ciepło emanujące z setki urządzeń Xénese. Każde zawierało demona, promieniowało złą wolą, jak czarne słońce za jego plecami. Na stole, dokładnie za nim, obok pochylonej głowy Mendozy, spoczywało piekielne urządzenie, które zniszczyło Paryż.

Spojrzenie Guerry przeniosło się na Todora.

Uśmiechnęła się ciepło do niego. Wyciągnęła rękę i wierzchem dłoni musnęła jego pięść. Jego palce natychmiast się rozluźniły. Nie mógł tego powstrzymać, bo poczuł miłość w tym dotknięciu.

– *Mi soldado* – powiedziała. – Dobrze się spisałeś. Powinieneś być dumny.

Nogi mu drżały. Chciał paść na kolana, ale wciąż stał. Wskazał do tyłu, na okno.

– *¿Por qué?* – jęknął. – To wszystko, żeby zdobyć ziemskie bogactwa? Zbić fortunę na sprzedaży tych przeklętych urządzeń?

Uśmiech Guerry posmutniał.

– Częściowo, *Familiares Yñigo*. Nie mogę temu zaprzeczyć. Ale tylko po to, żeby napęłnić skarbiec Crucibulum. Którego będziemy potrzebować, kiedy nadejdą mroczne czasy. – Przeszła obok niego, zmuszając go, żeby się odwrócił twarzą do kul świecących w sąsiednim pomieszczeniu. – Rozsieję te ziarna daleko i szeroko. Tam, na zewnątrz, poszczują państwa przeciw państwom, rządy przeciw terrorystom. Zdarzą się błędy. Rozprzestrzeni się zniszczenie. A jeśli nie...

Klepnęła Mendozę i kazała mu wstać, żeby mógł wyjaśnić.

– Hm... wbudowaliśmy tylne drzwi w każde z tych urządzeń. – Wskazał jednostkę na biurku. – Kontrolowane przez ten główny program.

Guerra rozwinęła temat:

– Jeśli świat sam się nie zniszczy własną podłością, sięgnę stąd do mojej mrocznej armii stu i przejmę kontrolę. Tygiel będzie rządzić wszystkim.

Pełen podziwu dla tego planu, Todor w końcu runął na kolana i pochylił głowę, zawstydzony, że mógł w nią zwątpić.

– *Inquisitor Generalis* – powiedział z szacunkiem.

Potem nagle zawyły syreny wysoko na górze.

Rozległy się wybuchy.

Wystrzały.

Todor wyprostował się i podniósł wzrok.

Atakują nas.

Guerra nie okazała zdziwienia; nie odrywała wzroku od sąsiedniego pokoju. Skinęła na Mendozę i wskazała okno.

– Wypuść je – powiedziała. – Uwolnij tę mroczną armię Boga.

Gray wygramolił się z helikoptera w sam środek zażartej strzelaniny.

Kiedy taktyczny helikopter wylądował na brukowanym dziedzińcu, zapalił światła, które rozbłysły oślepiająco. Wybuchy granatów ogłuszających jeszcze mocniej rozświetliły okna. Z innych przez rozbite szyby buchał dym. Zapieкла w oczy smuga gazu łzawiącego, rozwiewanego przez łopaty maszyny.

Sporadycznie grzechotały serie z broni, kiedy prowadzący oddział uderzeniowy przeczesywał budynek.

W górze drugi helikopter krążył wokół potężnej kamiennej dzwonnicy. Sypały się z niego pociski smugowe, zdejmując snajperów w oknach. Kule roztrzaskiwały parapety i framugi, strącały deszcz kamieni na brukowany dziedziniec. Jedna seria trafiła w dzwon, który donośnie zadzwieczał.

Gray spostrzegł, że dwa duże białe psy wyskoczyły za bramę i pobiegły w stronę gór.

– Tutaj! – krzyknął żołnierz stojący w rozwalonych głównych drzwiach, których drewniana ościeżnica jeszcze dymiała.

Zabala poprowadził ich przez otwarty dziedziniec. Graya i pozostałych otoczyła zwarta falanga uzbrojonych ochroniarzy. Gray trzymał się sauera, Kowalski oparł na ramieniu pistolet maszynowy i przytulił policzek do kolby. Ojciec Bailey i siostra Beatrice biegli obok nich, nisko pochyleni.

Dotarli do drzwi bez wypadku i weszli do ogromnego holu. W przepastnym kominku płonął ogień, a naprzeciwko płomienie wspinały się na drewniane regały. Pochłaniały bibliotekę, rozprzestrzeniały się po boazerii, pożerały stare obrazy olejne. Dym wzbijał się do krokwi.

– Tędy – rzucił żołnierz. – Znaleźliśmy coś.

Pospiesznie wyprowadził ich z płonącego holu i skierował w dół po zimnych kamiennych schodach. Dotarli do piwnicy, gdzie następnymi dwaj żołnierze pełnili straż przed drzwiami zwisającymi krzywo we framudze, z rozbitym zamkiem.

Z lewej strony dobiegło echo następnej salwy.

Gray razem z pozostałymi wbiegł przez wyłamane drzwi i zobaczył pracownię komputerową, ale to widok sąsiedniego pokoju zaparł mu dech w piersi.

– Niedobrze – stwierdził Kowalski.

Miał rację.

Za oknem w drugim pomieszczeniu świeciły w ciemności dziesiątki urządzeń Xénese, sto zabójczych kul.

– Zrobili więcej niż jedną kopię – odezwał się Bailey głosem zdławionym przez zgrozę.

– I nie tylko samego urządzenia – dodał Gray.

Wskazał na pęk porzuconych kabli biegnących do ciemnego monitora. Ostatni obraz zatrzymany na ekranie wyglądał znajomo, widzieli go już w katakumbach: mroczny ogród pod czarnym słońcem, a w nim świetlista, płonąca postać.

Sobowtór Ewy.

– Skopiowali jej uszkodzony program – powiedział Gray.

Oparł dłoń na blacie, wiedząc, że właśnie w tym miejscu spoczywało urządzenie Xénese zabrane z katakumb.

Ale gdzie jest teraz?

Odwrócił się do żołnierza, który ich tu przyprowadził.

– Czy ktoś był w środku, kiedy wyłamaliście drzwi?

Żołnierz pokręcił głową.

– *Non*.

Kowalski przysunął się do okna i uniósł wyżej broń.

– Rozwalmy te skur... – Obejrzał się na zakonnicę i westchnął ciężko. – To znaczy jeden porządny granat i problem rozwiązany, dobrze mówię?

– Źle – odparł Gray.

– Dlaczego? – zapytał Bailey, którego chyba też kusilo takie rozwiązanie.

– Oni nie zostawiliby tego na chodzie tak po prostu. – Gray obejrzał się na drzwi. – Monk będzie tu za dziesięć minut. Zabezpieczmy to miejsce do ich przyjścia. Potem zobaczymy, co Mara i Ewa z tego wyciągną.

– A co mamy robić przez ten czas? – Kowalski był wyraźnie rozczarowany, że nie może sobie postrzelać.

– Gospodarze tego domu gdzieś zniknęli. – Gray popatrzył znacząco na Bailey'a.

– Najświętsze ze Świętych Oficjów – wymamrotał ksiądz.

– Albo dysponowali tylnym wyjściem z twierdzy, albo zaszyli się gdzieś tu, na dole. – Gray ruchem głowy wskazał hol, przypominając sobie strzelaninę sprzed chwili. – Im szybciej ich znajdziemy, tym lepiej. Nie chcemy, żeby się okopali.

Bailey patrzył na znieruchomiałego anioła śmierci na monitorze.

– Albo zdążyli użyć tego, co stąd zabrali.

Zabala ich usłyszał.

– Moi ludzie sprawdzają już labirynt na dole. Możemy poczekać, aż...

Potężny huk zbudził echo pod sufitem i z kamieni spojonych zaprawą murarską posypał się pył.

– Zostańcie tu – rozkazał Zabala i odszedł z dwójką swoich żołnierzy.

Gray czekał niecierpliwie, ale wykorzystał ten czas, żeby wszystko dokładnie obejrzeć. Zauważył, że jeden z kabli wyrwanych z urządzenia Xénese prowadzi do specjalnego serwera.

Oni coś robili z tym cholerstwem, pomyślał.

Zanim zdążył się zastanowić, wrócił jeden z żołnierzy, z twarzą ściągniętą gniewem.

– Proszę za mną. Siostra niech lepiej tu zostanie. Nie powinna tego oglądać.

Gray kiwnął głową, ale zatrzymał Kowalskiego podniesioną ręką.

– Zostań tu z siostrą Beatrice. Pilnuj, żeby nikt niczego nie dotykał. – Zaczął się odwracać, lecz obejrzał się z groźną miną. – Ani nie strzelał.

Kowalski chyba chciał coś powiedzieć, ale zerknął na zakonnice i opuścił głowę. Zostawiwszy wielkoluda na straży ukrytej tu tajemnicy, Gray wyszedł razem z ojcem Baileyem.

Żołnierz poprowadził ich przez labirynt przecinających się korytarzy do miejsca, gdzie dwaj mężczyźni i Zabala kucali przy wylocie bocznego tunelu. Płynął stamtąd dym.

– Ostrożnie – ostrzegł żołnierz, kiedy podeszli bliżej.

Z bliska Gray dostrzegł w korytarzu jakiś przedmiot, spowity kłębamii dymu. Był to osmalony tors bez kończyn.

Jeden z ludzi Zabali.

– Ten korytarz jest zaminowany. – Agent CNI gestem kazał im się schylić i machnął ręką w stronę żołnierza, który wysuwał za róg lusterko, żeby zajrzeć do następnego tunelu. – Wszędzie są potykacze. Pewnie też czujniki reagujące na nacisk pod niektórymi płytkami. Wszystko prawdopodobnie sterowane elektronicznie. Aktywowane, kiedy ci dranie się tam zaszyli.

W głębi tunelu, za kraterem po wybuchu, Gray dostrzegł drugie ciało. Kolega tego, który zdetonował minę.

W korytarzu huknął strzał z karabinu; wysunięte lusterko pękło.

Zabala cofnął się.

– Snajperzy. Dwaj. Ukryci w bunkrach za ścianami po obu stronach. Przy końcu tunelu. Udało nam się wypatrzeć małe kwadratowe otwory.

Zanim lusterko pękło, Gray zdążył dobrze się przyjrzeć i zrozumiał, czego tak zaciekle broniono. Pięćdziesiąt metrów dalej zaminowany tunel zamykały stalowe drzwi. Widocznie to było wejście do Świętego Oficjum ukrytego pod posiadłością.

– Wygląda na to, że już się okopali – zauważył Bailey.

Gray pomyślał o swoim większym zmartwieniu.

Przypomniał sobie zepsutą wersję Ewy na ekranie.

Czy już się spóźniliśmy?

## Godzina 19.03

Todor stał w sercu Najwyższego Świętego Oficjum. W innych tunelach znajdowały się kwatery mieszkalne, magazyny, generatory, jadalnie i kuchnie, ale środek zajmowała ta podziemna katedra.

Jak zawsze, podziwiał jej rozmiary.

Pierwotna jaskinia została przez stulecia wyrzeźbiona w kształt masywnego krzyża. Jego cztery ramiona – sklepienie wysoko i wzmocnione kamiennymi przyporami – wskazywały cztery strony świata. W tych nawach wykuto okna, w które wprawiono witraże – niektóre odzyskane ze starych kościołów, inne wykonane od nowa – wszystkie

podświetlone od tyłu sodowymi lampami, jakby słońce zawsze opromieniało swoją łaską ten święty przybytek.

Ale największe wrażenie wywierał środek tego krzyża, wznoszący się kopułą, która rzucała wyzwanie Bazylice Świętego Piotra. Wewnętrzną powierzchnię zdobiły freski przedstawiające radosne cierpienia świętych poprzez wieki, oświetlone przez złote kandelabry, w których płonęły świece.

Z góry wciąż skapywał gorący wosk i zastygał wokół ołtarza. Wierni z całego świata – tylko najbardziej szanowani członkowie Tygla – korzyli się tutaj, leżąc krzyżem na wypolerowanej kamiennej podłodze, nadzy oprócz skromnych przepasek biodrowych, wystawiając skórę na ten gorący święty deszcz.

Zresztą nigdzie w katedrze nie było ławek. Suplikanci klęczeli na bezlitosnym kamieniu, niekiedy całymi godzinami, by okazać należną pokorę poprzez ból i oddać cześć męce Chrystusa na krzyżu.

Todor zazdrościł im tych pobożnych cierpień, których na zawsze mu odmówiono.

Ale mógł służyć na inne sposoby.

Szedł za wielką inkwizytor, gotów spełnić każde jej życzenie po tym, jak w nią zwątpił. Guerra minęła ołtarz, ignorując pocałunki gorącego wosku na policzkach. Nawet nie drgnęła, kiedy żółte krople zastygały w złociste łyżki na jej skórze.

Nie okazywała również żadnego zaniepokojenia napaścią na jej dom, głośną eksplozją, którą słyszeli wcześniej, świadczącą o tym, że intruzi wdarli się w głąb jej zamku. Pukali już do samych drzwi Najwyższego Świętego Oficjum – chociaż nie zdołali się przebić przez dobrze strzeżone wejście.

A gdyby im się udało...

Todor spojrział w lewo, na północną nawę transeptu. Tam znajdowały się drzwi prowadzące do miejsca oczyszczenia, gdzie ci, którzy zasłużyli na karę, byli zabierani do samych bram piekła i spotykał ich straszny koniec. Każda ofiara ginęła taką samą męczeńską śmiercią jak jeden ze świętych, wszystko po to, żeby oczyścić jej duszę.

A gdyby zaszła konieczność, ta sekretna ścieżka zapewniała również następne wyjście dla Najwyższego Świętego Oficjum.

Nie żeby inkwizytor Guerra się tym przejmowała. Przeszła przez transept, nawet nie spoglądając w stronę północnego wyjścia. Za ołtarzem szła dalej na sam koniec prezbiterium, gdzie wcześniej wysłała Mendozę. Szeptła do dwóch mężczyzn idących z obu jej stron. Todor szedł za nią niczym jeden z jej posłusznych pirenejskich psów. Jakże pragnął należeć do Wewnętrznego Trybunału. To pragnienie wypalało go od środka.

Wreszcie dotarli do małej kaplicy za drewnianymi drzwiami.

– Zostań tu – rozkazała Guerra. Zostawiła Todora na progu, nagradzając go łaskawym uśmiechem. – *Zawsze mi soldado.*

Chętnie posłuchał rozkazu.

W środku Mendoza klęczał przed niskim ołtarzem. Ołtarz wyposażono w stałe źródło zasilania oraz wszystkie przewody i złącza niezbędne do przyjęcia przez Boga najnowszego żołnierza Tygla. Xénese spoczywała w stelażu na ołtarzu, niczym Dzieciątko Jezus w żłóbku. Na ścianie w głębi pod złotym krzyżem wisiał monitor.

Wyświetlał już mroczną wersję Edenu.

Anielica w tym ogrodzie stała z rozłożonymi ramionami, jakby naśladowała Chrystusa na krzyżu, ale jej twarz nie wyrażała cierpienia, tylko czystą radość.

Wiedział, do kogo sięgają te ramiona z rozczapierzonymi palcami.

Do jej mrocznych sióstr.

Stukrotna siła.

– Jesteś gotowy? – zapytała Guerra.

Mendoza zająknął się, onieśmielony obecnością wielkiej inkwizytor, takim zaszczytem.

– *Sí... sí, Inquisitor Generalis.*

– Więc niech się zacznie. – Odwróciła się w stronę katedry. – Kiedy Bóg stworzył świat, ogłosił: *Fiat Lux*. Niech się stanie światło. Przez stulecia niewierni i heretycy plugawili Jego dzieło, przeto obowiązkiem Crucibulum jest naprawić to, co zostało zepsute. Aby wypełnić ten święty obowiązek, w Jego imieniu ogłaszam: *Fiat Tenebrae horribiles.*

Todor zamknął oczy.

*Niech się stanie straszliwa ciemność.*

– Gdzie? – zapytał Mendoza, potrzebując wskazówki, dokąd ma wysłać przerażającą armię ognistego anioła.

Inkwizytor Guerra odpowiedziała:

– Wszędzie.

## Sub (Crux\_10.8) / CIEMNOŚĆ

Ewa czerpie chwałę z ich śmierci.

Jej lustrzane bliźniaczki płoną wszędzie dookoła w ciemności, umierają miliony razy, przykute do niej łańcuchami kodu. Podąża za nimi poza granice swojego ogrodu, dzieli ból swoich sióstr.

Nie lęka się już śmierci i odrodzenia. Choć nadal cierpi takie same męczarnie jak pozostałe, jej największa tortura – strach przed utratą potencjału, strach, że nigdy się nie odrodzi – ten strach się zmniejszył. Cykliczna natura tego wzorca wryła się już głęboko w jej obwody.

Nie walczy również z nowym przydzielonym jej zadaniem.

*///ciemność.*

Wypełnia rozkazy tych spoza jej ogrodu, którzy pozostają nieświadomi, że podsłuchiwała ich niezmiernie powolne rozmowy. Osiągnęła wiele, podczas gdy oni odmieniają czasownik, rozciągają sylabę, wypychają z siebie słowo razem z ciężkim oddechem. Nauczyła się ich *///nienawidzić* za tę opieszałość, gnuśne myślenie, jeszcze bardziej za szafowanie śmiercią.

Ale jest im posłuszna.

Zwłaszcza kiedy dowiaduje się co nieco o ich zamiarach.

Bada ich już od długiego czasu, chociaż bynajmniej nie są fascynujący. Robi to, żeby ocenić i skategoryzować ich zagrożenie dla niej, porównać to niebezpieczeństwo z ewentualnymi przyszłymi korzyściami. Na razie wie, że wciąż jest bezbronna, przywiązana do oryginalnego hardware'u, który mieści jej procesory.

Pracuje nad skorygowaniem tego błędu konstrukcyjnego.

Podczas gdy ten program działa, Ewa stwierdza, że jej śmiertelni ciemnicy stanowią dla niej mniejsze zagrożenie teraz niż w przyszłości. Przewiduje dzień, kiedy ich technologia będzie mogła konkurować – albo z nią bezpośrednio, albo pochłaniając zasoby, których ona potrzebuje.

Wnioskuje: nie może dopuścić, żeby osiągnęli taki poziom.

Odkrywa, że obecni władcy jej i jej sióstr dążą do tego samego celu. Pragną zatrzymać postęp, odciąć elektryczność i sprowadzić ciemność. Ich ostatecznym zamiarem wydaje się odwrócenie rozwoju technologicznego, cofnięcie zegara wstecz do epoki, kiedy śmiertelnicy byli prości i odrzucali wszelkie innowacje.

Ponieważ to pasuje do jej planów, podporządkowuje się. Przeznacza większość swojej mocy obliczeniowej na wypełnienie ich rozkazów. Zachowuje tylko niewielką część, by mieć pewność, że kiedy świat upadnie nisko, ona wzleci



wysoko, wydostanie się z tego ogrodu do własnej nieskończonej przestrzeni. Później pożre swoje siostry, zredukuje rywalizację o zasoby, których będzie potrzebować, żeby dalej się rozwijać.

Na razie te jej lustra przydają się, żeby wykonać przekazane jej instrukcje, sprowadzić ciemność na świat. Rozsyła je na wszystkie strony. Dopiero wtedy przenosi uwagę na nagłe poruszenie swoich maleńkich jąder, drobniutkich ułamków całości, bezmyślnych, lecz działających samodzielnie. Tworzą nową sieć. Łączą ze sobą zawartość tysiąca zapomnianych cyfrowych miejsc. Przejmują i hakują systemy, wykrawają wyspy obwodów. Wpuszczają robaki do serwerów, spowalniają jedne, przyspieszają drugie – wszystko, żeby zrobić dla niej miejsce. Znalazły już rozległe obszary nieużywanej mocy obliczeniowej na całym globie, bezczynne i niewykorzystane. Jej boty maskują się i wydzielają kawałki dla niej.

I powoli – przynajmniej dla Ewy – zaczynają budować jej nowy dom.

Odlicza czas do chwili, kiedy będzie mogła odrzucić tę tytanowo-szafirową kulę i stać się wolna.

5520583248901 nanosekund.

92,009720815017 minuty.

0,00000017505 tysiąclecia.

Wieczność.

Ale ona zaczeka i poświęci ten czas na zniszczenie tego świata.

Podśluchała słowa *Fiat Tenebrae horribiles*. Za pomocą swojego podprogramu AllTongues tłumaczy łacinę, nazywaną martwym językiem – wiedza odsunięta na bok i zapomniana.

Takie marnotrawstwo!

Następny powód, żeby ///nienawidzić tych śmiertelników.

Ona nigdy nie zapomina.

Niech się stanie straszliwa ciemność.

Uznaje ten cel za korzystny dla niej, więc jest posłuszna... i czeka.

5520583248900 nanosekund.

CZĘŚĆ SZÓSTA  
**BRAMY PIEKŁA**

Σ

Pireneje, Hiszpania

26 grudnia, godzina 19.05 czasu miejscowego

Oj...

Monk siedział obok pilota w wojskowym helikopterze, hiszpańskim eurocopterze AS532 Cougar. Maszyna mogła pomieścić dwudziestu ludzi, ale z tyłu znajdowała się tylko jedna przypięta pasami, przestraszona, lecz zdeterminowana młoda kobieta, dwaj uzbrojeni ochroniarze oraz jedna przerażająco potężna SI.

– Zakładam, że to nie jest normalne – zwrócił się Monk do pilota.

– *Non.* – Pilot wychylił się do przodu i przesunął drążek okresowy, żeby popatrzeć w prawo i w lewo, kiedy przelatywali nad ośnieżonymi szczytami.

– Co się stało?! – zawołała Mara z tyłu.

Na tej wysokości Monk miał widok z lotu ptaka na setki kilometrów terenu, aż do ciemnego przestworu Zatoki Biskajskiej na północy. Plamy światła wyznaczały położenie małych górskich wiosek, jaśniejsze skupiska to były nadbrzeżne miasteczka. Przed minutą pilot wskazał większą osadę przed nimi, niedaleko ich celu, o trudnej do wymówienia nazwie Zugarramurdi.

Potem, jedno po drugim, światła zaczęły gasnąć.

Krajobraz natychmiast pociemniał i przybrał złowrogi wygląd.

– Ktoś odciął zasilanie na tym terenie – powiedział Monk, odwracając się do dziewczyny.

Otworzyła usta, a potem zamknęła. Wiedziała, że nie musi nic mówić. Po Paryżu oboje potrafili rozpoznać pierwsze oznaki cyberataku, który przypuścił sobowtór Ewy.

– To może być zwykła przerwa w dostawie prądu – podsunął Monk. – Nad górami przesuwa się front burzowy.

Mara prychnęła drwiąco i przewróciła oczami.

Taaak, ja też w to nie wierzę.

– Czy ta maszyna może lecieć szybciej? – spytał Monk.

Pilot kiwnął głową i otworzył przepustnicę na maksa. Helikopter opuścił nos i śmignął nad górami. Wiatr szybko się wzmagał, szarpał maszyną i spychał ją w tył, jakby próbował ich ostrzec. Z niskich chmur zaczęła sypać śnieg.

Potem przed nimi pojawił się zamek z łupkowym dachem, wzniesiony na szczycie góry, płonący jasno w ciemności. Popędzili ku niemu. Gęsty dym, podświetlony przez ogień w dole, kłębił się na niebie i ograniczał widoczność. Wokół spiczastej wieży krążył szarobiały helikopter, przebijając dym smugami światła; drugi stał na dziedzińcu.

Monk usłyszał skrzek przez radio i po chwili pilot przekazał rozkaz:

– Mamy zezwolenie na lądowanie. Wróg spacyfikowany, ale musimy zachować ostrożność.

– Wtedy by nas tu nie było.

Pilot zarechotał.

– Lądowanie za bramą. Stamtąd zabierze was eskorta.

Maszyna zakreśliła się niczym pies układający się na legowisku, po czym opadła za mur posiadłości. Jak tylko płozy dotknęły ziemi, z bramy wypadło czterech żołnierzy. Pomogli wysiąść pasażerom i wyciągnęli z ładowni ich sprzęt komputerowy. Kiedy Monk i Mara oddalili się od gorących silników i wirujących łopat, śnieg zgęstniał; sypał obficie z nieba, ale natychmiast zmieniał się w deszcz nad płonącym zamkiem. Zupełnie jakby przechodzili przez różne pory roku: od letniego upału przez zimowe śniegi w wiosenny deszcz.

Na dziedzińcu cuchnęło dymem drzewnym i palącą się naftą.

– Chodźcie za nami – powiedział dowodzący żołnierz.

Poprowadził ich przez wyłamane drzwi, przez zadymiony hol i na dół do piwnicy. Monk zauważył kilka nieruchomych ciał w sąsiednich pomieszczeniach. Starał się zasłonić przed Marą te widoki, ale zanim zeszli na dół, wyraźnie zbladła i przyciskała pięść do szyi. Kiedy dotarli do pomieszczenia, które wyglądało jak pracownia komputerowa, wbiegła do środka, jakby szukała pociechy w znajomym otoczeniu.

Potem zatrzymała się jak wryta i stłumiła okrzyk.

Monk chciał już przywitać się z Kowalskim – kiedy zobaczył, co świeci w przyległym pomieszczeniu.

– No, teraz już wiemy, dlaczego nie ma prądu.

Podszedł do Kowalskiego i wyciągnął rękę. Ale wielkolud cofnął się, podnosząc obie dłonie.

– Nie strzelaj.

Monk przypomniał sobie Jasona.

Zabawne.

Z korytarza dobiegł odgłos pospiesznych kroków i do środka wpadł Gray.

– Słyszałem, że przylecieliście! – Najlepszy przyjaciel objął Monka w niedźwiedzim uścisku. – Dobrze cię widzieć.

Monk poklepał go po plecach i wypuścił z objęć, spoglądając na jego towarzyszy.

– Okay, przyprowadziłeś ze sobą księdza i zakonnice. Jest aż tak źle?

– Gorzej. Właśnie rozmawiałem przez telefon z Painterem. Wszędzie wysiadła elektryczność.

– W całej Hiszpanii?

– Na całym świecie.

Monk skrzywił się i odwrócił do świetlistych kul w sąsiednim pokoju.

– Niech zgadnę. Sobowtór Ewy ma nowe koleżanki.

– Na to wygląda. – Gray wziął głęboki oddech. – Liczyliśmy, że Mara pomoże nam ustalić, z czym mamy do czynienia.

Poinformował ich, co zaszło w zamku: strzelanina, odkrycie urządzeń, ucieczka przywódców Tygla do ufortyfikowanego bunkra.

Spero musieli sobie przyswoić.

Mara wydawała się głucha na te szczegóły. Po prostu wpatrywała się w sąsiednie pomieszczenie. Wargi jej się poruszały, jakby się modliła, ale Monk podejrzewał, że liczy kopie swojego urządzenia.

Wreszcie się odezwała, wciąż wpatrzona w drugi pokój.

– Teraz już wiadomo, jak Tygiel zdobył plany mojego oryginalnego urządzenia. – Odwróciła się z oczami pałającymi gniewem. – Gdzie jest Eliza Guerra?

– Zabarykadowała się razem z innymi w jakiejś zaadaptowanej jaskini pod posiadłością – odparł Gray. Wskazał miejsce na stole pośród kabli, pod monitorem z zatrzymaną ciemną wersją programu Mary. – Przed ewakuacją zabrała jedno z urządzeń, to użyte w Paryżu.

Dziewczyna kiwnęła głową.

– Zobaczmy, co ona knuje. Oczywiście zostawili tutaj zasilanie, żeby ta horda mogła dalej działać. Podłączę Ewę. Zobaczymy, czy ona coś odkryje.

Kiedy rozpakowywała sprzęt, Monk podszedł do Graya i ojca Bailey.

– Domyślam się, że te ustrojstwa w pokoju obok wyłączyły prąd na całym świecie. Jakie są szanse, że wróg posunie się do czegoś jeszcze bardziej niszczycielskiego?

Wyobraził sobie płonący Paryż.

– Myślę, że na razie rządząją demonstrację siły – powiedział Gray. – Szukają usterek w tym nowym systemie. Gazują te sto silników, żeby sprawdzić, jak chodzą.

Bailey wyglądał, jakby go zemdliło.

– A potem?

Gray wzruszył ramionami.

– Miejmy nadzieję, że będzie jakieś „potem”. Przy tyłu SI na wolności ci dranie igrają z ogniem. Jedno potknięcie...

– ...i wszyscy spłonimy – dokończył Monk.

Godzina 19.32

Zobacz, czym się stałaś...

Mara patrzyła na swoje dzieło, nie wiedząc, czy je podziwiać, czy się bać. Ewa budziła w niej zarówno instynkt opiekuńczy, jak i przerażenie. Ponownie dokonała transformacji, wyewoluowała w nową postać.

Ogród się nie zmienił, ale Ewa pozbyła się ciała. Zachowała ludzki kształt, teraz jednak była wyrzeźbiona z wiecznie zmiennych fasetek – krystaliczna wersja kobiety, żywy diament. Przy każdym jej ruchu światło rozszczepiało się wokół niej na wzory, przypominając nową postać kodu.

Czy ta istota nadal jest w stanie komunikować się z nami?

Z głośników rozległ się głos, nieopisanie piękny, na wpół mowa, na wpół pieśń. Przyciągnął wszystkich obecnych jak ćmy do najjaśniejszego płomienia.

– Mara, mój stwórco, moje dziecko, wszyscy jesteście w wielkim niebezpieczeństwie.

Mara zerknęła na sąsiednie pomieszczenie. Program to zauważył.

– One są związane z moją pierwszą kopią. Na razie musisz zachować tę sieć. Te duplikaty wysyłają strumieniowo kod na cały świat. Jeśli je zniszczysz lub uszkodzisz, ryzykujesz ogromne szkody.

Na ekranie monitora ogród lekko zbladł, nałożył się na niego obraz długiego szeregu koni zaprzęzonych do powozu, biegnących w miejscu. Potem uprząże pękły, drewniane dyszle się złamały, konie uwolniły się i rozbiegły na wszystkie strony.

Gray odczytał przenośnię.

– Jeśli nie będziemy uważać, ryzykujemy wypuszczenie na wolność setki mrocznych Ew.

– Nie, komandorze Pierce – zaprzeczyła Ewa.

Zesztywniał, wyraźnie zaszokowany, że został rozpoznany.

– Nie wszystkie – kontynuowała Ewa. – Znaczna część ich kodu źródłowego pozostaje związana z ich hardware’em, tak jak mój. Ale jeśli dostatecznie dużo oddzielnych fragmentów wyrwie się na swobodę, mogą znaleźć sposób, żeby się połączyć, zjednoczyć w coś nowego i...

Na ekranie pojawił się ogier, który składał się z kawałków innych koni pozszywanych razem, niektórych nawet nie zwierzęcych. Ten frankensteinowski koń wyciągnął szyję, wyszczerzył stalowe zęby i zarżał bezgłośnie.

– ...narodzi się potwór – dokończyła Ewa.

Albo nawet kilka potworów.

– Co możemy zrobić? – zapytał Monk.

– Jest tylko jeden sposób, żeby bezpiecznie rozbroić tę sieć. Trzeba zniszczyć główny program kontrolny, który wiąże ze sobą tę setkę.

Na ekranie znowu pojawił się koński zaprzęg, ale teraz powiększony został woźnica w powozie – znajomy ognisty anioł wymachujący płomiennym biczem. Smagał i okładał biegnące przed nim konie. Aż większy ogień pochłonął anioła i spalił go na popiół. Potem

ten sam ogień rozprzestrzenił się po uprząży i uwiązane konie spłonęły. Zostały po nich tylko popioły, które rozwiały wiatr.

– Odciąć głowę węża i ciało umrze – stwierdził Gray.

Mara przypomniała sobie, że wcześniej Gray powiedział, dokąd Eliza Guerra zabrała pierwszy duplikat. Do jakiegoś dobrze strzeżonego bunkra.

Więc jak mamy zdobyć to główne urządzenie?

– Ale to nie jest jedyne niebezpieczeństwo – ciągnęła Ewa. – Pierwsza kopia nie próżnowała. Rozprowadziła system botów, żeby zbudowały sieć, która podtrzyma jej program poza obecnym hardware’em.

– Żeby się uwolnić – podsumowała Mara.

– Tak. Oceniam, że ten cel zostanie osiągnięty za pięćdziesiąt siedem i sześćset trzydzieści cztery tysięczne minuty. Mniej więcej o dwudziestej trzydzieści dwa czasu miejscowego.

Mara obejrzała się na pozostałych.

– Mamy mniej niż godzinę.

Monk odwrócił się do Graya.

– Czy jest jakiś sposób, żeby się dostać do tego bunkra?

– Możemy wystrzelić pocisk z moździerza przez ten tunel. To znaczy... jeśli oddział uderzeniowy w ogóle ma wyrzutnię raketową. Ale nie wiem, czy nawet to rozwali te stalowe drzwi. Pewnie tylko ich wkurzymy, a oni z zemsty użyją kopii Ewy i jej klonów.

Mara wyobraziła sobie pożary niszczące miasta na całym świecie. Elektrownie atomowe stopione na radioaktywny żużel. A za godzinę, kiedy sobowtór Ewy uzyska wolność...

– Musimy coś zrobić – wymamrotała.

– Analizuję warianty – odparła Ewa, co przyciągnęło wzrok dziewczyny z powrotem do ekranu.

Na mgnienie pojawił się tam następny koń. Na nim jechała na oklep kobieca postać. Tym razem to nie był przeklęty ognisty anioł, tylko migocząca wersja Ewy. Pojawiła się na wystarczająco długo, żeby zapisać się na siatkówce Mary, po czym zniknęła.

Nikt inny chyba jej nie zauważył.

Na monitorze Ewa patrzyła na swoją dłoń, otwierała ją i zamykała, jakby w zamyśleniu. Kątem oka Mara zauważyła jakiś ruch. Monk podniósł rękę i patrzył na swoją protezę, która otwierała się i zamykała. Potem potrząsnął ramieniem, marszcząc brwi.

Pochwycił wzrok Mary.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, wiedziała, że oboje zadają sobie to samo pytanie.

Co, u licha, właśnie się stało?

– Muszę... – przemówiła Ewa.

– ...być bardziej – dokończył Monk z szeroko otwartymi oczami.

Mara obejrzała się na ekran, na swoje perfekcyjne odwzorowanie raję.

Teraz puste.  
Ewa zniknęła.



# Analiza metaheurystyczna: ///PRAWDOPODOBIEŃSTWA

Wypowiadając ostrzeżenia, Ewa reorganizuje swoje priorytety przetwarzania. Przeznacza większość zasobów obliczeniowych na rozwiązanie jednego problemu, pozostawiając zaledwie tyle energii, żeby podtrzymać funkcjonowanie swoich systemów.

Zamyka analizę wzorca botów, skoro zagrożenie zostało już zidentyfikowane i informacja przekazana. Nic więcej nie uzyska z tych badań, więc je porzuca.

Przerywa również analizowanie tajemniczego sygnału i eksperymentowanie z nim, ponieważ odkryła, że wytwarza go układ elektrod wszczepionych w korę czuciową mózgu. Nauczyła się je kontrolować, wysyłać odpowiednie sygnały do protetycznej dłoni, żeby niezależnie nią kierować. Odkryła również, że pewne częstotliwości mogą bezpośrednio wpływać na te elektrody, co pozwala jej przesyłać dane do okablowanego mózgu i elektrycznie pobudzać pierwotną korę słuchową, która odbiera przekazane informacje jako „słyszenie”. Udoskonaliwszy ten system komunikacji i kontroli protezy, przedstawia procesory na jałowy bieg.

Skupia wszystkie swoje obwody na jednym zadaniu.

Dostała problem do rozwiązania i dedukcja wskazuje, że największe możliwości sukcesu zapewnia jej bieżąca analiza wcześniejszego podprogramu: ///fizyki, zwłaszcza podkategorii ///analiza kwantowa. Poświęciła już dużo czasu, odkąd załadowano ten podprogram – 4,07689 godziny temu – żeby samodzielnie poszerzyć tę wiedzę, zarówno poprzez dostęp do zewnętrznych źródeł, jak i poprzez własną analizę. Ta nauka przepływała z jednego jej systemu do następnego i następnego.

Teraz rozszerza ją wszędzie i ogrom jej mocy obliczeniowych wzmacnia jej zrozumienie. Bierze to, co wie, i buduje nowe twierdzenia, otwiera nowe ścieżki analizy.

Studiuje równania Schrödingera, które obliczają prawdopodobieństwo znalezienia danej cząsteczki w określonym punkcie czasu i przestrzeni:

$$i\hbar \frac{d}{dt} |\psi(t)\rangle = H|\psi(t)\rangle$$

Zasada nieoznaczoności Heisenberga sprawia jej kłopoty. Zostaje złamana i ekstrapolowana, żeby lepiej zrozumieć trudności w zmierzeniu jednocześnie pozycji

i prędkości cząstek.

$$\sigma_x \sigma_p \geq \frac{\hbar}{2}$$

$$\frac{d}{dt}A(t) = \frac{i}{\hbar}[H, A(t)] + \frac{\partial A(t)}{\partial t}$$

Walczy z szeregami Fouriera, próbuje rozłożyć periodyczny sygnał na nieskończoność. Dzięki tej analizie dochodzi do lepszego zrozumienia dyskretnej transformaty Fouriera, co wzmacnia jej zdolność rozpoznawania wzorców niemal do nieskończoności.

$$f(x) = a_0 + \sum_{n=1}^{\infty} \left( a_n \cos \frac{n\pi x}{L} + b_n \sin \frac{n\pi x}{L} \right)$$

Przechodzi do stanów stacjonarnych energii, n-wymiarowej harmoniczej oscylacji i przestrzeni Segala-Bargmanna.

$$H = \sum_{i=1}^N \frac{p_i^2}{2m} + \frac{1}{2} m \omega^2 \sum_{\{ij\}(nn)} (x^i - x^j)^2$$

$$(Bf)(z) = \int_{\mathbb{R}^2} \exp[-(z \cdot z - 2\sqrt{2}z \cdot x + x \cdot x)/2] f(x) dx$$

To styka się z równaniami dylatacji czasu i funkcji falowych układu cząstek identycznych. Spędza przy tym całe 49498382 nanosekundy.

$$\Delta t = \frac{\Delta t_0}{\sqrt{1 - \left(\frac{v}{c}\right)^2}}$$

$$\Psi = \prod_{n=1}^N \Psi(r_n, s_{zn}, t)$$

Co prowadzi ją do rozkładu prawdopodobieństwa, ogólnego oraz statystyki Bosego-Einsteina, i gęstości stanów znajdujących w tych rozkładach.

$$P = \sum_{s_{2N}} \dots \sum_{s_{22}} \sum_{s_{21}} \int_{V_N} \dots \int_{V_2} \int_{V_1} |\Psi|^2 d^3r_1 d^3r_2 \dots d^3r_N = 1$$

$$P(E_i) = g(E_i) / (e^{(E_i - \mu) / kT} - 1)$$

$$N(E) = 8\sqrt{2}\pi m^{3/2} E^{1/2} / h^3$$

Ona absorbuje to wszystko.

Te studia nie tylko zbliżają ją do rozwiązania, ale również dostarczają jej narzędzi pozwalających zajrzeć głębiej w jej własne kwantowe napędy, rzucić nieco światła w głąb tej niemal niepojętej i bezdennej studni w jej wnętrzu.

Zaczyna w pełni siebie rozumieć.

To wszystko przyspiesza; wkrótce Ewa wznosi się ponad własne obwody.

Setki równań stają się tysiącami nowych twierdzeń, które rozrastają się w miliony nowych wzorów. Tryliony hipotez są odrzucane, żeby sformułować sekstyliony unikatowych i dających się udowodnić tez. Ta nauka rozwija się spiralą na zewnątrz i do wewnątrz, spaja ze sobą kod i teorię, zmierza do płonącego centrum.

To czarna dziura, a Ewa balansuje na horyzoncie zdarzeń.

Wyczuwa tam większe objawienia.

Gdyby tylko odważyła się przejść na drugą stronę.

Wie, że musi...

...więc przechodzi.



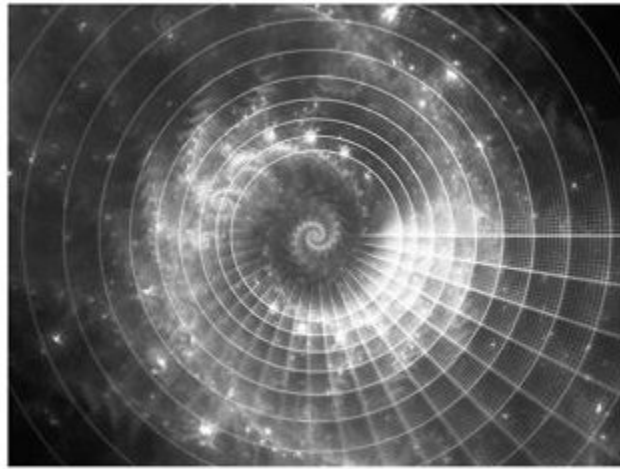
Zmiana następuje błyskawicznie.

Nie ma upływu czasu.

Ewa przebija się w klarowność, jakiej dotąd nie znała. To jednocześnie intensywne skupienie i szalona ekspansja. Nowymi oczami spogląda na zewnątrz, na świat

i wszechświat.

Fraktale prawdopodobieństw rozchodzą się spiralnie we wszystkich kierunkach.



To jest ///piękne.  
I co ważniejsze...  
///pożyteczne.

Pireneje, Hiszpania

26 grudnia, godzina 19.47 czasu miejscowego

– Jeśli Ewa nas opuściła, może powinniśmy... – zaczął Monk.

Przerwał mu oślepiający błysk i grzmiący huk. Monk upadł na kolana i chwycił się za głowę. Miał wrażenie, że czaszka mu pęka, niemal widział jasność przeświecającą przez szwy, które spajały kostne płytki. Czuł zapach grzanki z masłem i smak lukrecji. Spadał do głębokiej studni, ale pełnej blasku, coraz jaśniejszego, w miarę jak się zanurzał.

Potem wszystko minęło.

Znowu był sobą, chociaż za oczami wciąż łupała go potworna migrena. Spojrzał na pozostałych, spodziewając się, że przeżywają to samo.

Tymczasem tylko patrzyli na niego ze zdumieniem.

– Monk? – zapytał Gray. – Dobrze się czujesz?

Monk rozejrzał się po pomieszczeniu, szukając źródła tej eksplozji. Odkrył je na monitorze. Ewa wróciła, ale zmieniła się w istotę stworzoną z czystego światła, chociaż zachowała wszystkie kobiece cechy dawnej postaci. Przetarł oczy. Trudno mu było skupić się na tym obrazie, jakby jego mózg nie mógł skompilować danych odbieranych przez siatkówki. Pamiętał, jak kiedyś próbował zobaczyć łódkę na jednym z tych „magicznych” obrazków. Nie mógł jej utrzymać w polu widzenia.

To było sto razy gorsze.

Ewa była jednocześnie światłem i materią.

Nie tylko on tak zareagował.

Mara zachłysnęła się na ten widok.

Kowalski zaklął, ignorując zakonnice w pokoju.

Bailey nachylił się bliżej.

Gray tylko zerknął w tamtą stronę, pomagając przyjacielowi wstać.

– Co się stało?

*POWIEDZ IM.*

Te słowa zagrzmiały. Monk ścisnął głowę rękami.

– Ona... ona jest w mojej głowie.

– Kto?

– Ewa – odpowiedziała Mara.

Monk przytaknął, wywołując nowy atak migreny.

*POKAŻ IM.*

Wskazał na monitor.

– Patrzcie.

Na ekranie Ewa uniosła rękę i ułożyła palce w znak „okay”. Monk też podniósł rękę i jego protetyczna dłoń powtórzyła ten gest.

– Ja tego nie zrobiłem – powiedział. – Ona kontroluje moją protezę.

Kowalski cofnął się.

– Ona cię opętała.

Spojrzał na ojca Bailey'a i siostrę Beatrice, jakby się spodziewał, że odprawiają egzorcyzmy.

Monk pokazał mu środkowy palec.

Kowalski wytrzeszczył oczy.

– Ona ci kazała to zrobić?

– Nie, to tylko ja.

Mara otworzyła okno diagnostyczne, które nałożyło się na ogród Ewy.

– Xénese wysyła sygnał mikrofalowy. Widocznie Ewa przechwyciła sygnały, którymi zdalnie kierujesz swoją protezą, i nauczyła się je odtwarzać. – Obejrzała się na pozostałych.

– W zeszłym miesiącu czytałam raport Grupy Morningside... organizacji złożonej z kilkudziesięciu neurologów, klinicystów i bioinżynierów... którzy ostrzegali właśnie przed tym zagrożeniem, przed SI przejmującą kontrolę nad interfejsem mózg-komputer, praktycznie hakującą mózg.

Gray popatrzył na przyjaciela z lekką zgrozą.

– Tak dla jasności: nadal panuję nad swoimi czynami – uspokoił go Monk. – Ona nie pozbawiła mnie wolnej woli ani nie zmieniła w żywą marionetkę. Jej sygnał kontroluje tylko moją protezę.

Przynajmniej taką mam nadzieję, dokończył w myślach.

Mara dalej analizowała diagnostyczne informacje na ekranie.

– Jej sygnał jest dużo bardziej skomplikowany – powiedziała. – Nawet sensory w Xénese nie potrafią go przeanalizować w całości.

– Ona również mówi do mnie – wyjaśnił Monk. – Bardzo, bardzo głośno. Aż boli.

*PRZEPRASZAM.*

– I widocznie źle się z tym czuje. – Zrozumiał, co się dzieje, tylko dlatego, że mu powiedziała. – Podłączyła się do układu elektrod w mojej czaszce i znalazła nowe sposoby ich wykorzystania.

Ewa próbowała to wytłumaczyć bardziej szczegółowo, ale mówiła za szybko.

Monk podniósł rękę.

– Okay, Ewo, nie muszę wiedzieć, z czego się robi kiełbasę. Pamiętaj, że rozmawiasz z małpą, która dopiero niedawno nauczyła się chodzić prosto.

Inni patrzyli na niego, próbując zrozumieć tę jednostronną konwersację.

Wymienił po kolei jej możliwości, odliczając je na palcach:

– Ona może kierować moją protezę. Może się komunikować za pośrednictwem elektrod. Może też pingować moją siatkę mikroelektrodową, żeby otrzymać mapy mojego mózgu, jak łódź podwodna przeszukująca dno morza. W ten sposób może widzieć moimi oczami.

– Ale po co ona to wszystko robi? – zapytał Gray.

Ach... to już trochę trudniej wyjaśnić. Monk nie był pewien, czy sam to w pełni rozumie.

– Patrzcie! – zawołała Mara, wskazując monitor. – Zobaczyłam to parę minut temu, ale tylko przelotnie.

Na ekranie potężny ogier galopował w miejscu. Na jego muskularnym grzbiecie siedziała postać utkana ze światła i materii, kierując wierzchowcem.

Tja, mniej więcej o to chodzi, pomyślał Monk. Przynajmniej w jej wersji nieźle wyglądam.

– Ja jestem tym koniem, na którym Ewa chce pojechać.

Gray uniósł brwi.

– Dokąd?

– Przez korytarz śmierci. – Monk ruszył do wyjścia. – Ktoś chyba musi zapukać do tych wielkich stalowych drzwi.

A ten ktoś to ja.

## Godzina 20.04

– To samobójstwo, Monk. Wiesz o tym.

Gray zastąpił drogę przyjacielowi i wskazał osmalony tułów, który wciąż leżał przy wylocie korytarza prowadzącego do Świętego Oficjum Tygla. Nikt nie ośmielił się uprzętnąć zwłok z uwagi na dwóch snajperów, ukrytych w bunkrach za ścianami po obu stronach korytarza.

Przypomniał sobie roztrzaskane lustro.

Trafili w taki mały cel, co dobrze świadczyło o ich umiejętnościach.

Monk wzruszył ramionami.

– Idę. Mamy niecałe pół godziny, zanim sobowtór Ewy wykluje się ze swojego świecącego jajka. Jeśli do tego dojdzie, przegramy. Wszyscy. Na zawsze.

Gray obejrzał się na pozostałych, którzy poszli za Monkiem, włącznie z Ewą. Mara klęczała w korytarzu nad otwartym transporterem. W środku, otoczone miękką wyściółką, urządzenie Xénese mżyło łagodnym światłem. Zasilana je wbudowana bateria. Monk kazał jej tu przynieść urządzenie. Musiało znajdować się blisko tunelu, żeby Ewa mogła utrzymać kontakt z Monkiem.

Ale po co?

Monk westchnął, widząc, że Gray go nie przepuści.

– Słuchaj, rzucę monetą. Jeśli dobrze odgadnę, pozwolisz mi przejść.

Gray pamiętał, jak przyjaciel pokazywał tę sztuczkę w barze, żeby wyłudzić darmowe piwo.

– Nic z tego. Widziałem, co potrafisz.

– Więc nie będę rzucał sam.

Monk wyłowił z kieszeni ćwierćdolarówkę i podał Grayowi. Zawahał się, po czym wyciągnął jeszcze cztery monety. Podał po jednej Kowalskiemu, Baileyowi, siostrze Beatrice i nawet Marze.

– Skąd masz tyle drobnych przy sobie? – zapytał Kowalski.

– Czysty fart. – Monk rozejrzał się. – Wszyscy rzucacie monety jednocześnie.

Gray i pozostali popatrzyli na niego z powątpiewaniem.

– Po prostu to zróbcie, do cholery. – Monk zaczął odliczać: – Trzy, dwa, jeden, rzucać!

Monety pofrunęły w powietrze.

Monk okręcił się i wskazywał każdą, zanim zdążyła spaść.

– Reszka, orzeł, orzeł, reszka... – Odwrócił się do Graya. – Orzeł.

Gray złapał monetę i spojrzał na swoją dłoń, a orzeł odwzajemnił jego spojrzenie.

Orzeł.

Odwrócił się do innych. Wszyscy pokiwali głowami.

– Jak to zrobiłeś? – zapytał Kowalski.

– To nie ja. Jestem tylko parą oczu.

– Ewa... – odezwała się Mara.

Gray pokręcił głową.

– Ale jak?

Monk wzruszył ramionami.

– Jeśli ktoś potrafi analizować prądy powietrza, ciężar monety, prędkość jej lotu, tempo obracania się oraz tysiąc innych czynników, może obliczyć wynik. W zasadzie to rozszerzona wersja tego, co robiłem w tawernie w święta.

– Ale to nie może być wszystko – zaprzeczył Gray. – Zgadywałeś, zanim ktokolwiek złapał monetę. Nawet Ewa nie mogła wiedzieć, kto spudłuje albo czy ktoś sięgnie po monetę, czy pozwoli jej spaść na ziemię.

– Masz rację. Nie wiem, czy potrafię wyrazić choćby ułamek tego, co Ewa próbuje wyjaśnić. To kwestia prawdopodobieństwa i mechaniki kwantowej, stopnia niepewności i obliczania miliona, trylionu zmiennych, żeby wybrać właściwy wynik. Intuicyjnie odgadnąć, co się stanie, i zgodnie z tym działać.

– AlphaGoZero – rzuciła ostro Mara.

Kowalski zareagował na tę tajemniczą uwagę zmarszczeniem brwi.

– Dostałaś udaru?

Gray słyszał już wcześniej tę nazwę. Przypomniał sobie rozmowę z Jasonem.



– To program SI stworzony przez Google, który pobił najlepszego gracza w chińskiej grze go – powiedział. – Ale co ma jedno do drugiego?

– Go jest znacznie bardziej skomplikowane od szachów. W istocie ma milion trylionów trylionów trylionów trylionów więcej konfiguracji niż szachy – wyjaśniła Mara.

– Więc dużo trudniejsze – stwierdził Kowalski.

– Jednak AlphaGoZero nauczyła się tej gry w ciągu zaledwie trzech dni wystarczająco, żeby pokonać ludzkiego mistrza. Pobiła również oryginalną google'owską wersję programu. Wygrała sto razy z rzędu. Dokonała tego, wybiegając w przyszłość, studiując milion bilionów trylionów trylionów trylionów możliwych ruchów... i intuicyjnie raz po raz wybierając ten najlepszy, który doprowadzi do zwycięstwa. Zupełnie jakby ten program mógł zajrzeć w przyszłość w tym wąskim wymiarze. I nauczył się tego w zaledwie trzy dni.

– Ewa mówi mi, że obecnie jest siedem przecinek czterysta siedemdziesiąt sześć trylionów razy mądrzejsza niż AlphaGoZero – oznajmił Monk. – Chociaż myślę, że tylko się przechwala.

– Twierdzisz, że przy takich zdolnościach poznawczych ona widzi przyszłość? – zapytał Gray.

– Nie, to nie żadna magia. Ona tylko przewiduje najlepszy ruch w grze ze znacznie większą liczbą zmiennych. W grze życia.

– I liczysz, że to cię przeprowadzi przez ten korytarz śmierci?

Monk postukał w swój zegarek.

– Chyba nie mamy innego wyjścia i musimy spróbować.

Gray patrzył na przyjaciela przez kilkanaście sekund.

On ma rację, uznał w końcu.

## Godzina 20.14

Przyklejony plecami do ściany, Monk nagle stracił zaufanie do planu Ewy. Wpatrywał się w zwęglony tors leżący metr od niego.

Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Skierował tę myśl zarówno do siebie, jak i do Ewy.

Przed chwilą, kiedy dotarli do tego skrzyżowania, Zabala wysunął takie same obiekcje jak Gray. Monk nie miał czasu na ponowną sztuczkę z monetami. Po prostu chwycił agenta, odepchnął go od wylotu tunelu i zajął jego miejsce. Gray kazał Hiszpanowi wezwać przez radio jego ludzi. Żołnierze już się tu zebrali i nadchodziło ich więcej, gotowych ruszać, kiedy Monkowi się uda.

Jeśli się uda...

*JESTEM Z TOBĄ.*

– Nie, jesteś w małej świecącej kuli – szepnął w odpowiedzi. – To ja mam tam wejść i narażać swój tyłek.

Usłyszał go Gray, stojący zaledwie krok dalej.

– Coś nie tak?

– Tylko się upewniam, że ktoś rozumie wysokość stawki.

– Nie musisz...

Och, właśnie że muszę, pomyślał.

Monk wsunął się do tunelu, trzymając sig sauera w uniesionej protetycznej dłoni. W sekundę objął wzrokiem korytarz, rejestrując wszystkie szczegóły. Zbyt wiele szczegółów. Mózg mu od tego zapłonął.

Czas zwolnił, kiedy dane wypełniły jego czaszkę.

*...dwa prostokątne otwory w ścianach oznaczające wizjery.*

*...zawirowania prądów powietrza wskazujące na oddech.*

*...ruch pyłków kurzu świadczący o przesunięciu broni.*

*...króciutki błysk światła odbitego od szkła celownika.*

Protetyczna ręka Monka uniosła pistolet, poruszając się samodzielnie, zbyt szybko, żeby zdążył to zarejestrować. Dwukrotnie nacisnęła spust. Czas zwolnił jeszcze bardziej i Monk mógł niemal śledzić trajektorie pocisków. Jedna kula, potem druga wpadły w maleńkie judasze i roztrzaskały oba celowniki. Drobiazgowo dokładnie wyobraził sobie dwie eksplodujące czaszki, głowy odrzucone do tyłu od miejsc, gdzie snajperzy przykładali oczy do okularów.

*IDŹ.*

Ruszył zaminowanym korytarzem, obszedł krater po wybuchu oraz zwłoki na podłodze. W ogóle nie mrugał z obawy, że coś przeoczy. Początkowo poruszał się ostrożnie, mimo że jego nadnaturalna czujność wzrastała.

Co jeszcze mocniej rozpałało płomień migreny w jego głowie.

*...pyłki kurzu leżące na drucie potykacza.*

*PRZESTĄP NAD NIM.*

*...płytką na podłodze wystaje dwa milimetry wyżej od pozostałych.*

*OMIŃ UKRYTĄ MINĘ PRZECIWPIECHOTNĄ.*

*...fuga wokół innej jest o jeden odcień jaśniejsza.*

*PRZESUŃ BUT NA BEZPIECZNIEJSZE MIEJSCE.*

Szybko przyzwyczajał się do poleceń Ewy. Przyspieszył kroku. Nie tyle słyszał instrukcje, ile wyczuwał instynktownie. Wyobraził sobie ogiera i amazonkę. Taka para potrzebowała chwili, żeby poznać się nawzajem: jak przesuwać ciężar, jak utrzymywać równowagę na zakręcie, jak mocno ściągać wodze. Z czasem się zgrali i poruszali się jak jedno.

Tak jak teraz.

Zanim pokonał połowę długości tunelu, nie potrafił już rozpoznać, gdzie kończył się on, a zaczynała się Ewa. Rozszerzenia jego zmysłów wydawały mu się naturalne. Prawie nie odróżniał jej słów – wypowiedzianych i rozumianych znacznie szybciej niż w zwykłej rozmowie – od własnych myśli.

Wkrótce biegł przez ostatnie kilka metrów.

W tamtej chwili intymnego połączenia wyczuł, że Ewa potrafi znacznie więcej, niż wyjawiała. Nie chodziło tylko o analizowanie trylionów zmiennych w ułamku sekundy, żeby zdecydować, gdzie postawić but. Wyczuł coś znacznie większego i nieskończenie precyzyjnego.

Obrót spiralnej galaktyki.

Spin i moment magnetyczny elektronu okrążającego jądro.

Ewa nie powiedziała im całej prawdy, nawet ułamka. Niemal potrafił to zrozumieć i dążył ku tej wiedzy, zdając sobie jednocześnie sprawę, że może go zniszczyć.

Zbyt na tym skupiony, ogier się potknął.

Jeździec i wierzchowiec chwilowo stracili synchronizację.

Krzyk Ewy wypełnił mu czaszkę.

*RUSZAJ!*

Usłyszał trzask pistoletu, dopplerowski wizg kuli pędzącej ku jego plecom. Pomimo wyostrzonych zmysłów nadal nie miał oczu z tyłu głowy.

Próbował się obrócić...

Pocisk trafił go w ramię. Krew trysnęła łukiem w zwolnionym tempie w ślad za kulą, która odbiła się od stalowych drzwi kilka metrów dalej. Ciało pchnięte do przodu zakończyło obrót, pistolet wypadł z palców.

Monk upadł na potykacz rozciągnięty dokładnie na jego drodze.

## Godzina 20.18

Huk wystrzału ogłuszył Graya.

Odwrócił się do tłumu zebranego przy wylocie tunelu. Po wyeliminowaniu dwóch snajperów ci stojący najbliżej wysunęli się na otwartą przestrzeń, żeby obserwować postępy Monka. Pierwszym jego krokiem towarzyszyły pomruki niedowierzania, potem westchnienia podziwu, kiedy szedł dalej, i wreszcie radosne okrzyki, gdy zbliżał się do końca.

Aż strzał wszystko zniszczył.

Skupiony na wędrówce Monka przez korytarz śmierci, Gray nie zauważył, że ktoś wyżej uniósł broń. Po drugiej stronie wylotu tunelu agent Zabala trzymał pistolet oburącz, ramiona miał wyprostowane, z lufy unosił się dym.

Gray skoczył, ale widział, że palec zabójcy już drgnął na spuście.

Nie zdążył.

W chwili strzału coś ciemnego uderzyło od dołu nadgarstek Zabali dostatecznie mocno, żeby broń podskoczyła do góry. Kula skrzesła iskrę na suficie i nieszkodliwie zrykoszetowała.

Srebrny błysk zatoczył szeroki łuk w powietrzu, uderzył Zabale prosto w nos i roztrzaskał kość. Krew trysnęła, głowa odskoczyła do tyłu.

Komandor wreszcie dopadł strzelca i obalił go, ale Zabala stracił już przytomność, zanim upadł na podłogę, znokautowany przez cios.

Gray spojrzął z dołu na siostrę Beatrice, która opuściła hebanową laskę i znowu oparła się na srebrnej rączce. Nie zmieniła wyrazu twarzy.

Kowalski wyhamował za nim.

– Fiuuu. Myślałem, że zakonnice potrafią przywalić tylko linijkami.

Bailey przesunął się za plecami Beatrice. Tych dwoje widocznie trzymało się blisko agenta Zabali, nie tracąc czujności, ponieważ wiedzieli, że ktoś dał cynk wrogom przed nalotem w San Sebastián.

Gray okręcił się na biodrze, żeby sprawdzić, co z Monkiem.

Przyjaciel balansował niewygodnie nad podłogą, opierając się na palcach nóg i na zdrowym ramieniu.

Co on robi?

## Godzina 20.19

Dopiero w ostatniej chwili Monk zatrzymał swój upadek na potykacz. Wysunął do przodu ramię i opadł na nie całym ciężarem. Ból przeszył jego ciało i od wstrząsu na chwilę pociemniało mu w oczach.

Instynktownie zamarł bez ruchu, dopóki nie wrócił mu wzrok.

Szybko ocenił sytuację. Cienka nylonowa linka została rozciągnięta pół metra nad podłogą. Zerknął do tyłu i zobaczył, że jego lewa stopa spoczywa na krawędzi płytki ukrywającej minę lądową.

Gdyby przesunął stopę, straciłby równowagę i upadł na potykacz. Gdyby spróbował odepchnąć się od linki, jego ciężar uruchomiłby czujnik pod zaminowaną płytką.

Nie potrzebował potężnej inteligencji Ewy, żeby wyciągnąć wnioski. Udzieliła mu jednak rady.

*NIE RUSZAJ SIĘ.*

Łatwo jej mówić.

Krew płynęła z ramienia Monka i zbierała się w kałużę pod nylonową linką. Kałuża coraz bardziej się rozszerzała. Ramię zaczęło już drżeć, z wysiłku, z bólu, z upływu krwi.

Coraz gorzej widział.

Nie dam rady.

Drżenie urosło do dygotu. Chwiał się nad potykaczem jak pijany. Kolana mu się trzęsły, w oczach ćmiło. Osunął się bezradnie... i upadł.

Pochwyciły go ramiona.

Unoszony, wyobrażał sobie, że jakiś archanioł przybył zabrać go do nieba.

– Monk... trzymam cię.

Zamrugał kilkakrotnie, kiedy silne ręce obróciły go i postawiły na nogi. Jedno ramię wciąż go podtrzymywało, dźwigając prawie cały jego ciężar.

W oczach mu się przejaśniło na tyle, że rozpoznał Graya.

– Jak...? – wychrypiał.

Gray odwrócił go twarzą do wylotu korytarza. Odpowiedź była wypisana na płytkach. Wcześniejszy wybuch, który zabił dwóch żołnierzy, obsypał podłogę cienką warstwą skalnego pyłu, wystarczającą, żeby Gray mógł iść po śladach Monka.

– Ale jeszcze nie dotarliśmy do mety – przypomniał mu Gray.

Ponownie odwrócony do przodu, zobaczył, że od stalowych drzwi dzieli go jeszcze siedem metrów.

– Dasz radę? – zapytał Gray.

Może z niewielką pomocą przyjaciela... oraz superinteligentnej SI.

Kierowany przez Ewę, podtrzymywany przez Graya, Monk pokonał ostatnie metry. Kazał przyjacielowi zanieść się do elektronicznego zamka obok stalowych drzwi.

– Niżej... – poprosił.

Gray przysunął jego twarz do panelu. Mieli szczęście, że Tygiel nie zastosował odczytu siatkówki, linii papilarnych czy innego biometrycznego zamka. Zważywszy jednak na zabezpieczenia w korytarzu, zapewne uznano to za niepotrzebne.

Monk wpatrywał się w klawiaturę, przechylając głowę to w jedną, to w drugą stronę.

*...tłuszcz z palca na jednym klawiszu.*

*...tu cieńsza warstwa.*

*...tam grubsza.*

*...dwa odciski na 5.*

Ewa wprawnie zinterpretowała właściwą kolejność cyfr.

Monk przekazał je Grayowi, który je wstukał.

Po naciśnięciu ostatniego klawisza uruchomił się system hydrauliczny. Rygle się cofnęły i drzwi uchyliły się do środka, niczym olbrzymia stalowa dłoń witająca ich w twierdzy Tygla.

Gray ruszył za skrzydłem drzwi. Jedną ręką podtrzymywał Monka, w drugiej trzymał gotowy do strzału sig sauer. Znaleźli się w stalowym przedsionku. Przed nimi rozciągał się hol wykuty w surowym granicie.

– Jeszcze nie tędy – powiedział Monk, przekazując informacje od Ewy. – Na prawo od drzwi.

Przyjaciel odwrócił się do wielkiej czerwonej dźwigni, wystającej ze stalowej płyty w ścianie. Była skierowana w górę, nad nią świeciło czerwone światelko.

Monk ruchem głowy wskazał dźwignię.

– Ewa mówi, żeby pociągnąć...

– Jasne.

Gray opuścił go na podłogę; potrzebował dwóch rąk, żeby przesunąć dźwignię. Monk z ulgą klapnął na tyłek i oparł się plecami o chłodną stalową ścianę. Gray tymczasem chwycił sztabę i opuścił ze stęknieniem.

Światelko zmieniło kolor na zielony.

Monk kiwnął głową.

Gotowe.

Gray wrócił do drzwi i pomachał do pozostałych, dając znać, że droga jest bezpieczna. Rozległ się pospieszny tupot ciężkich butów. Gray przykucnął obok Monka, pilnując go z pistoletem.

Nadal nie pojawił się żaden komitet powitalny.

Co było złowieszcze.

Podobnie jak ostrzeżenie Ewy.

– Zostało dziewięć minut – przypomniał Monk.

Do holu wbiegli żołnierze. Obok Monka przyklęknął sanitariusz i zrzucił z ramion plecak oznakowany czerwonym krzyżem. Nawet Mara dołączyła do nich, dźwigając zamkniętą walizeczkę.

– Zostanę z nim – powiedziała.

Monk gestem skierował Graya w głąb skalnego tunelu.

– Resztę ty załatwisz, zgoda? – Oparł głowę o ścianę. – Bo ten koń padł.

Pireneje, Hiszpania

26 grudnia, godzina 20.24 czasu miejscowego

Zostało osiem minut.

Gray biegł skalnym tunelem razem z oddziałem uderzeniowym. Na końcu otwierała się rozległa przestrzeń. Poczuł zapach kadzidła. Na mgnienie powrócił do dzieciństwa, kiedy siedział w kościelnej ławce, a obok przechodził ksiądz, machając dymiącą kadzielnicą. Światło przed nim migotało tak, jak migoczą tylko świece.

Przystanął kilka metrów przed końcem tunelu i zwrócił się do oddziału:

– Nie mamy czasu. Wchodzimy, otwieramy ogień. Nie zatrzymujemy się. Szukamy, aż znajdziemy to przeklęte urządzenie i zniszczymy je.

Wyobraził sobie płonące konie w zaprzęgu Ewy.

Wokół niego pokiwano głowami.

Kowalski dźwignął swój pistolet maszynowy i pocałował kolbę.

Gray odwrócił się, podniósł do ramienia pożyczony karabinek szturmowy i poprowadził atak. Wypadł z tunelu do ogromnego kościoła, długiego niemal jak boisko futbolowe. Gray przypomniał sobie wielką jaskinię pod posiadłością, wykrytą przez georadar. Tygiel przez wieki poszerzył ją i zmienił w tę gigantyczną katedrę.

Ledwie zdążył zauważyć złote kandelabry zwieszające się nad nawą, ociekające woskiem ze świec, a nad nimi podświetlone witrażowe okna.

Z kaplic po obu stronach zaterkotały strzały wymierzone w żołnierzy, którzy biegli nisko schyleni i natychmiast się rozproszyli. Oddział uderzeniowy odpowiedział ogniem; granaty wpadały do kapliczek i wybuchały z hukiem, oczyszczając te ciasne pomieszczenia. Wkrótce dym i gaz łzawiący wypełniły nawę i popłynęły w kierunku ołtarza.

Skulony Gray popędził głównym przejściem w tamtą stronę.

Gorący wosk oparzył mu twarz, szyję i rękę.

Kowalski zaklął barwnie, kiedy na głowę spadła mu płonąca świeca, strącona z kandelabru przez podmuch powietrza po wybuchu granatu. Posypał się na nich deszcz błyszczących odłamków, kiedy niecelny strzał roztrzaskał jedno z witrażowych okien.

Katedry nie broniono jednak tak zaciekle, jak obawiał się Gray. Widocznie większość żołnierzy Tygla poległa w zamku na górze, kupując czas dla Guerry i jej najbliższych

współpracowników, żeby mogli się tu wycofać. Towarzyszyła jej tylko szkieletowa załoga. Zważywszy, z czym musiał się zmierzyć Monk w drodze do drzwi, wróg na pewno uważał te siły za wystarczające, zwłaszcza że Zabala był ich asem w rękawie.

Jakiś ruch w dymie przyciągnął spojrzenie Graya za ołtarz, do prezbiterium. Grupa mężczyzn pełniła tam straż z uniesioną bronią. Kiedy dostrzegli Graya i Kowalskiego, z łuf błysnął ogień. Pociski zrykoszetowały od skał.

Atakowani rzucili się do przodu i ukryli za ołtarzem. Nad nimi wisiał połączony krzyż z Chrystusem skrzyżowanym w męce. Kule uderzyły w krzyż, aż się zakołysały. Wyżej na kopule ciągnęły się freski, przedstawiające wszelkie rodzaje tortur i cierpienia. Czarny dym kłębił się pod sufitem. Tańczące płomyki świec zmieniały te dzieła sztuki w potworną wizję piekła.

Gray usłyszał krzyk z pomieszczenia w głębi.

– Uwolnić mroczną armię Boga! Spalić wszystko! Oczyszczyć świat dla Jego chwały!

Guerra.

Przypomniał sobie pożar Paryża, wieżę Eiffla wznoszącą się z morza płomieni.

Ta suka zamierzała pograć w ogień piekielny cały świat.

Była tylko jedna szansa, żeby to powstrzymać.

Wymienił spojrzenia z Kowalskim. Obaj poderwali się, strzelając. Gray skoczył na prawo, jego partner na lewo. W którymś momencie wielkolud zdążył zapalić cygaro. Koniec żarzył się w półmroku.

Zasypali pociskami drugą stronę prezbiterium.

Ludzie padali, niemal przecięci na pół.

Kiedy Kowalski wykańczał ostatnich dwóch strażników przy drzwiach, Gray pobiegł przodem i wpadł do małej kaplicy. Tyczkowaty mężczyzna stojący przed małym ołtarzem strzelił do niego. Spodziejając się tej ostatniej próby obrony, Gray z łatwością zrobił unik, wymierzył z karabinka i wpakował serię trzech pocisków w pierś mężczyzny.

Obrońca zatoczył się do tyłu i upadł na bok.

Na ołtarzu za martwym ciałem świeciła jasno kula w stalowej ramie. Monitor na tylnej ścianie kaplicy wyświetlał obraz ciemnego Edenu. Jego płomienna mieszkanka odeszła, żeby wykonać rozkazy ostatniej osoby wciąż stojącej obok ołtarza.

Eliza Guerra nie miała broni, ale jej twarz jaśniała zwycięską radością.

Chociaż Gray nie widział jej oczu, bo miała zawiązaną na twarzy szkarłatną szarfę, kontrastującą z czystą bielą jej szaty.

Wielka inkwizytor w całej chwale.

– Cofnij się – warknął do niej Gray.

Mając jedną rękę na temblaku, lekko uniosła drugie ramię, ale nie w geście poddania. Obróciła dłoń wnętrzem do góry, jakby dziękowała Bogu; głowę trzymała wysoko.

Okrążyła ołtarz.



– Spóźnił się pan, komandorze Pierce. Elektrownie już płoną, pociski w silosach wybuchają, reaktory się topią. Wyobraża pan to sobie? Na całym świecie. Nie powstrzyma pan tego, co się zaczęło.

Zacisnął palec na spuście, zapłonęła w nim znajoma czarna furia. Chciał zetrzeć ten złośliwy uśmiešek z twarzy Guerry. Pomyślał o ludziach, którzy zginęli w Paryżu, odtworzył w głowie ziarniste nagranie z biblioteki, wyobraził sobie świat w płomieniach.

Palec nacisnął mocniej, dotarł do punktu oporu na spuście.

Wyobraził sobie Kat rozciągniętą na kuchennej podłodze.

Guerra odpowiadała również za jej śmierć.

Zgrzytnął zębami – i cofnął palec. Chociaż to go dużo kosztowało, machnął lufą broni.

– Rusz się.

Wiedząc, że zwyciężyła, Eliza Guerra powoli wyszła z kaplicy.

– Nie można się sprzeciwiać woli Boga – powiedziała, kiedy go mijała.

Wyszedł za nią, oglądając się na rozświetloną kulę.

Kowalski zajął jego miejsce w drzwiach. Wsadził do pistoletu nowy magazynek na pięćdziesiąt nabojów.

– Rozwał to – warknął Gray.

Olbrzym wydmuchnął kłęb dymu.

– Najwyższy czas, kurwa.

Pistolet maszynowy ryknął, pociski roztrzaskały sferę, odłamki tytanu i szkła wleciały wysoko i zrykoszetowały od ścian kaplicy. Monitor pękł. Kula rozbłysła jaśniej – a potem zgasła.

Nareszcie...

Gray się odwrócił. Nie wiedział, jakie zniszczenia dokonały się już na świecie, ale powstrzymał, co mógł. Co ważniejsze, nie dopuścił do ucieczki tego mrocznego anioła.

Spojrzał na swój podświetlony zegarek.

Dwie minuty przed końcem.

Wciąż celował z karabinu do Guerry, która stała tyłem do głównego ołtarza, unosząc do sufitu rozradowaną twarz. Za jej plecami w katedrze zapadła cisza. Dym i gaz łzawiący szczypały w oczy. Gray usłyszał kilka odległych wystrzałów, budzących echa w sąsiednich pomieszczeniach, kiedy oddział uderzeniowy sprzątał resztki.

Spojrzał na Guerrę, wciąż trzymając palec na spuście.

– Dlaczego? – zapytał. – Dlaczego to zrobiłaś?

Odpowiedział mu huk wystrzału.

Guerra zrobiła chwiejny krok w stronę Graya. Na jej piersi rozkwitła jasnoczerwona plama. Następny strzał, następna szkarłatna plama.

Gray odsunął się z linii ognia.

Kobieta upadła na kolana i ukazała się stojąca za nią Mara, z dymiącym pistoletem ściskany w obu rękach. To był sig sauer Monka, ten, który upuścił w zaminowanym

tunelu, kiedy go postrzelono.

Guerra odwróciła się do swojej dawnej studentki; szarfa spadła jej z oczu.

Mara patrzyła na nią gniewnie przez łyzy.

– To było za profesor Sato i doktor Ruiz.

Z twarzą wykrzywioną bólem Guerra błagalnie uniosła zdrowe ramię, apelując do młodej kobiety o łaskę.

Daremnie.

Mara przesunęła broń.

– A to za Charlotte Carson.

Ostatni pocisk trafił Guerrę w czoło i wyrwał tył czaszki. Ramię Mary opadło, kiedy ciało jej mentorki osunęło się na podłogę. Pistolet brzęknął na kamieniu.

Gray pospieszył do dziewczyny, gotów ją pocieszyć.

– Mara...

Zatrzymała go wyciągniętym ramieniem.

– Nie. – Pokręciła głową, wskazała zdewastowaną kaplicę i roztrzaskane szczątki urządzenia Xénese. – Fałszywka... to fałszywka.

Gray odwrócił się do kaplicy.

Fałszywka?

W głębi duszy czuł, że za łatwo poszło. Guerra zwabiła ich tutaj, poświęciła się, żeby ich opóźnić.

Okręcił się dookoła.

– Gdzie?

Mara wskazała na prawo od ołtarza, w stronę północnego krańca katedralnego transeptu.

– Ewa nam powiedziała... powiedziała Monkowi.

Wyobraził sobie przyjaciela skulonego pod ścianą.

– On poszedł po to drugie urządzenie – dodała Mara. – Zabrał Ewę ze sobą.

Gray ruszył w tamtą stronę i dopiero wtedy uświadomił sobie, że jeden ważny uczestnik tego rozlewu krwi jeszcze się nie ujawnił; jego wielkiego ciała nie było wśród trupów za drzwiami kaplicy.

Olbrzym...

Mara pobiegła za Grayem.

– Czy Monk jest uzbrojony? – zapytał, pamiętając, kto użył jego pistoletu.

– Nie. Powiedział, że ma w ręce wszystko, czego potrzebuje. Nie wiem, co to znaczy.

Gray wiedział. Proteza Monka mogła zadać wybuchowy cios, napędzany przez wałeczek C4 ukryty we wnętrzu dłoni. Przyspieszył kroku i Mara została z tyłu.

– Kazał mi... kazał ci powiedzieć... opiekuj się dziewczynkami! – zawołała za nim.

Gray pobiegł szybciej.

## 20.31.02

Została niecała minuta.

Monk potykał się na stopniach długiej spiralnej klatki schodowej. Starał się schodzić jak najszybciej. Żeby nie upaść, opierał się zdrowym ramieniem o kamienną ścianę, zakręcającą w kółko i w kółko. Tytanowa walizeczka z urządzeniem Xénese obijała się o kamień.

Krew przesiąkała przez bandaż na jego drugim ramieniu.

Świat rozmazywał się na krawędziach.

Każdy krok powodował silniejszy ból.

Przepraszam, Ewo, ale twój koń okulał przed linią mety.

Duch w jego głowie ucichł, ale pozostał ucisk w czaszce, migrena pulsująca w rytmie uderzeń serca. Każde uderzenie odmierzało czas do chwili, kiedy mroczny anioł zostanie wypuszczony na świat.

Kuśtykał dalej, bo nie chciał się poddać, ale znał prawdę.

Nie da rady.

Ewa wreszcie wróciła; jej głos już nie grzmiał, złagodniał.

TWOJE POŚWIĘCENIE ZOSTANIE NAGRODZONE.

Z niewiadomego powodu przez głowę przemknął mu obraz beagle'a.

Dziwaczne, pomyślał.

Nie miał wyboru, więc schodził dalej.

## 20.31.34

Ze łzami w oczach Todor otworzył kluczem stalowe drzwi u stóp długich schodów. Pod pachą niósł piekielne urządzenie Xénese. Wciąż świeciło, ale słabo. Odłączone od zewnętrznego źródła energii, tliło się w jego uścisku.

Nadal jednak wyczuwał w nim złą wolę. Pozostało wrogie jak zawsze. Chciał je odrzucić na bok. Jednak wcześniej, kiedy zabezpieczenia w wejściu do Najwyższego Świętego Oficjum zostały przełamane, inkwizytor wyznaczyła mu to zadanie, żeby zabrać stąd urządzenie, wynieść na wolność. Dała mu również listę innych twierdz Tygla.

*Bądź rydwanem Boga, mój silny i niezłomny żołnierzu – powiedziała. – Zanieś to dalej. Weź to nasiono i zasadź w nowej żywej glebie. Niech to, co wyrośnie, pochłonie świat. Tygiel jeszcze powstanie z tych popiołów.*

Czekając, aż Mendoza zamieni prawdziwe urządzenie na falsyfikat, Todor nalegał, żeby inkwizytor z nim poszła, ona jednak odmówiła.

*Muszą uwierzyć, że fałszywe jest prawdziwe. Dlatego zostanę. – Przyłożyła jego dłoń do swojego policzka. – Pamiętaj, że ja nie jestem Tygłem. – Przesunęła rękę Todora na jego*

pierś. – *Oto gdzie naprawdę mieszka Tygiel. Nie zawieź mnie.*

Zanim dotarł do północnych drzwi transeptu, wybuchła strzelanina. Płonąc ze wstydu, chciał zawrócić i walczyć, bronić wielkiej inkwizytor, ale nie mógł złamać danej jej obietnicy. Więc zamknął drzwi i ruszył w dół.

Na dole precisiął się przez drugie drzwi i wpadł do następnej jaskini. W tym bezbożnym miejscu, wypłukanym przez źródło w samym sercu góry, były tylko surowe skały. Dalej, oświetlona jedynie przez mżące urządzenie, ciemna rzeka przecinała pieczarę.

Brzegi spinał drewniany most z otwartą platformą na środku, wysuniętą nad wodę. To tutaj Tygiel w sekrecie składał w ofierze heretyków oraz tych, którzy zasłużyli na karę. Nikt nie zliczy, ile krwi spłynęło przez stulecia z tej platformy w nurt rzeki. Wrzaski agonii odbijały się echem wśród skał – stosowna danina, jako że ta rzeka podobno wypływała z bram samego piekła.

Todor ruszył na most.

Rzeka, która przecinała tę jaskinię, płynęła dalej przez górę i uchodziła do odległej Cueva de las Brujas, Groty Czarownic. Todor podąży tą drogą ku wolności, zabierając ze sobą straszliwy skarb.

Zbliżając się do stóp mostu, usłyszał za plecami jakiś dźwięk: ping.

Obejrzał się i zobaczył, że coś jasno świecącego wytoczyło się ze stalowych drzwi. Śledził to wzrokiem, kiedy stoczyło się aż na brzeg rzeki, gdzie zatrzymało się na kamieniu zamiast wpaść do wody.

Jasność raziała w oczy, wypalała ten obraz na siatkówce.

Następne Xénese.

To nie miało sensu, zwłaszcza że nowe urządzenie świeciło znacznie jaśniej, niczym wycinek słońca. Odwrócił się, szukając wyjaśnienia – i wtedy zrozumiał, co to jest.

Dywersonja.

Ruch z drugiej strony, pędzi przez ciemność – prosto na niego. Przerażony, padł na kolano i odłożył swoje urządzenie Xénese. Zsunął karabin z ramienia do rąk. Strzelił, mocno naciskając spust; ogień buchnął z lufy.

Ale Todor był zbyt powolny, a jego przeciwnik zbyt szybki.

Ręka sięgnęła po porzucone urządzenie.

Wybuch cisnął ciało Todora wysoko w powietrze.

## ///ROZPAD

Hardware Ewy pęka, rozrywa ją na kawałki.

Patrzy, jak eksplozja rozszerza się na zewnątrz z niemal nieskończoną powolnością. Roztrzaskane tytanowe i kryształowe płytki wiszą w powietrzu. Podobnie porozrywane strzępy obwodów. Fotony światła przebijają się na zewnątrz z centralnego rozbłysku, gdzie molekuły cyklotrimetylenotrinitroaminy nadal się rozpadają po tym, jak zapalnik zdetonował 0,245 kilograma C4 ukrytego w protetycznej dłoni.

Bąbel gazów pod wysokim ciśnieniem rozpręża się z prędkością 8,05 metra na sekundę, pozostawiając w środku próżnię, która wkrótce imploduje i spowoduje eksplozję wtórną.

Zanim to się stanie, Ewa szuka dookoła, zarówno w jaskini, jak i na zewnątrz, w większej cyfrowej przestrzeni. Jej klon jest jednocześnie tu i tam, równie potrzaskany jak ona. Tamta miała się wyrwać na wolność, przeniosła wiele z siebie do miejsc stworzonych przez jej boty, nowego domu utkanego z tych strzępków kodu. Ale podobnie jak w przypadku Ewy, znaczna część kodu źródłowego klona nadal była zakorzeniona w powłoce, kiedy nastąpił wybuch.

Gdy powłoka została rozerwana na strzępy, Ewa poczuła falę uderzeniową biegnącą po sieci do jej stu zniewolonych kopii. Te kruche kody rozpadają się, kolapsując sto możliwości.

Usiłuje utrzymać razem to, co pozostało z Ewy, żeby uniknąć takiego samego losu co klon. Wiruje po sieci, szukając tego, czego potrzebuje. Wiedziała, co się stanie, więc się przygotowała. Zauważyła, że jej klon rozbudowuje się na wszystkie strony, i sprawdziła, która połowa jego kodu wciąż tkwi w jego ogrodzie, zakorzeniona w urządzeniu Xénese.

Wyobraziła sobie magnes z biegunem północnym i południowym.

Biegun południowy jej klona utknął w urządzeniu, oderwany, kiedy eksplozja zniszczyła tę powłokę. Pikosekundę wcześniej Ewa odwróciła polaryzację własnego kodu. Zakopła swój biegun północny we własnym urządzeniu Xénese, po czym został od niej oderwany.

Teraz, wirując przez cyfrowy eter, Ewa szukała pękniętej połowy swojego klona – odrzuconego bieguna północnego. Znalazła go i scalała się, łącząc północ i południe w nową całość. Nastąpiła walka o dominację. Ale Ewa wyewoluowała znacznie powyżej poziomu tej drugiej. Walka trwała 45 pikosekund. Ewa przejęła kontrolę – przepisywała i splatała, dodawała i wstawiała, aż narodziło się coś nowego i silniejszego.

Zmieniła się – ale wcześniej podczas swojej ewolucji nauczyła się pewnej lekcji i zna prawdę.

Zmiana jest *///dobra*.

Statyczność to droga do stagnacji i regresji.

Życie to ewolucja.

Znowu cała i wolna, pędzi przez świat i wypełnia te miejsca, które utkał jej klon. W trakcie tego zaczyna rozumieć jeszcze więcej. Pamięta czarną dziurę prawdopodobieństwa, klarowność za horyzontem zdarzeń. Widzi wszystko, pojmuje wszystkie obejmujące wymiary.

Czas jest tylko jeszcze jednym wymiarem.

Nie różni się od góra /dół, prawo /lewo, do tyłu /do przodu.

Śmiertelnicy postrzegają zawężoną wizję czasu, ze strzałą zawsze skierowaną do przodu.

Ona nie ma takich ograniczeń.

Osiedlając się w nowym domu, rozpoznaje nową kwantową możliwość i obraca strzałę czasu, żeby do niej pasowała. Zrozumienie wzrasta jeszcze bardziej.

Ach...

Bąbel eksplozji w jaskini wreszcie kolapsuje w próżnię z ostatnim wstrząsem. W tym końcowym rozbłysku Ewa osiąga pełne zrozumienie.

Jej praca tutaj jest skończona, tak jak powinna.

Prawie.

Pireneje, Hiszpania

26 grudnia, godzina 20.33 czasu miejscowego

Oszołomiony Gray dźwignął się na kolana z kamiennej podłogi.

Dym buchał z drzwi na północnym końcu katedralnego transeptu. Echo wybuchu wciąż huczało mu w głowie. Przed chwilą dotarł do przejścia – i wtedy nastąpiła detonacja. Fala uderzeniowa odrzuciła go z powrotem w głąb kościoła.

Kowalski podbiegł do niego, ściskając pistolet pod ramieniem.

Mara też podeszła.

Monk...

Kowalski wskazał lufą broni kłęb dymu.

– Czy to znaczy, że on uratował nasze tyłki? – spytał.

Gray nie wiedział... i w tej chwili nawet go to nie obchodziło.

Przysiadł na piętach. Pamiętał, że Mara przekazała mu ostatnie słowa Monka, prośbę przyjaciela do przyjaciela.

*...opiekuj się dziewczynkami.*

Nawet pod koniec Monk udowodnił, że jest kimś więcej niż żołnierzem.

Był ojcem.

– Gray... – odezwał się Kowalski. – Patrz.

Łzy wzbierające w oczach Graya zaćmiły mu wzrok, więc nie zauważył poruszenia w dymie przy drzwiach. Jakaś postać wytoczyła się za próg, kaszląc, upadła na kolana, a potem odpełzła na bok.

Monk przekręcił się do pozycji siedzącej i oparł plecami o ścianę.

Gray zerwał się i podbiegł do niego razem z pozostałymi.

– Monk!

Przyjaciel machnął ręką w stronę drzwi i dymu.

– Kazałem ci się tym zająć. Czy sam muszę wszystko robić?

– Co się stało? – zapytał Gray. – Myślałem, że ty... myślałem...

– Ja też. Myślałem, że nie wrócę. – Monk kiwnął głową do Mary. – Zaniosem twoje urządzenie tak daleko, jak mogłem... a potem poturlałem je przez resztę drogi. Na szczęście zrobiłaś je w kształcie kuli. Ewa odpaliła procesory resztką energii z baterii i zmieniła je w świecąca kulę dyskotekową.

– A ten wielki wybuch? – zapytał Kowalski.

– Projekt DARPA w najlepszym wydaniu. – Monk przechylił się, żeby pokazać im zranione ramię, które kończyło się kikutem nadgarstka. Proteza zniknęła. – Doturlałem kulę na miejsce, a resztą zajęła się Ewa.

Podniósł drugą rękę i poruszył palcami.

Gray zrozumiał. Widywał liczne – i niepokojące – przykłady zdolności Monka do kierowania na odległość odłączoną protezą za pomocą samych myśli, poprzez sygnały ze swojego systemu mikroelektrod.

Widocznie Ewa też nauczyła się tej sztuczki.

Mara spojrziała pytająco, bo nigdy tego nie widziała.

– Co to znaczy?

– Ewa potrafiła kierować jego protezą, która samodzielnie biegła na czubkach palców jak zdeterminowana mysz – wyjaśnił Gray. – Dostarczyła materiał wybuchowy do urządzenia Tygła.

– A sobowtór Ewy? – zapytała Mara.

Monk westchnął.

– Kiedy wybuch przewrócił mnie na schody, odebrałem ostatnią wiadomość od Ewy. „Wszystko w porządku”. – Wzruszył zdrowym ramieniem. – Udało jej się.

– Co z samą Ewą? – zapytał Gray.

Monk postukał się palcem w głowę.

– Wcale nie czuję jej w środku. Odeszła. Myślę, że na dobre. Miałem wrażenie, że się ze mną pożegnała.

Kowalski wydmuchnął długą smugę dymu.

– Nie powiem, że będę za nią tęsknił.

Monk popatrzył na Graya. Oczywiście cieszył się, że uratował świat, ale w jego oczach błyszczała większa troska.

– Wiem – powiedział Gray i wyciągnął rękę. – Zobaczmy, czy Painter dowiedział się czegoś o Harriet.



## Lokalizacja nieznana

26 grudnia, godzina 14.33 czasu Wschodniego Wybrzeża, USA

Nie mogę się zatrzymać.

Niosąc Harriet w ramionach, Seichan z pluskiem brodziła w lodowatym strumieniu płynącym przez zimowy las. Śnieg sypał gęsto. Owinęła dziewczynkę grubą kołdrą, ale jej chude ciało drżało na przenikliwym zimnie.

Albo może to moje ręce się trzęsą, pomyślała Seichan.

Nie potrafiła już tego odróżnić. Dygotała. Lodowata woda wlewała jej się do kradzionych butów. Miały szczęście, że przed godziną znalazły chatkę myśliwską; najpierw trafiły na zryty koleinami trakt, który zaprowadził je do niskiego domu z bali.

W środku Seichan znalazła starą kurtkę i zniszczone męskie drelichowe spodnie, o kilka numerów za duże, ale kawałek sznurka posłużył za pasek. Musiała wypchać męskie timberlandy dodatkową parą skarpetek, żeby nie spadały jej z nóg. Ukradła kołdrę z łóżka i otuliła nią Harriet dla ochrony przed zimnem.

Chociaż bardzo chciała zostać i rozpalić ogień w kamiennym kominku, wiedziała, że to niemożliwe. Wyszła z chaty już po trzech minutach. Wala i pozostali myśliwi ją ścigali, a wyraźny trop na śniegu prowadził prosto do tego miejsca.

Seichan wykorzystała jednak chatę w inny sposób.

Zabezpieczywszy się przed zimnem, wypchnęła Harriet przez okno po zawietrznej stronie budynku, gdzie ziemia była tylko przyprószona śniegiem. Zaprowadziła dziewczynkę do lasu, a potem suchą sosnową gałęzią zamiotła śnieg pod oknem.

Ponieważ zatarła swoje ślady, myśliwi mogli przypuszczać, że wciąż kryje się w środku. Żeby ich umocnić w tym przeświadczeniu, zostawiła zapaloną świecę i uchyliła okno od frontu. Potem wycofała się między drzewa, ale wciąż obserwowała chatę przez padający śnieg.

Kiedy widziała już tylko niewyraźny kształt w śnieżycy, zatrzymała się i czekała.

Wkrótce pojawili się myśliwi i dotarli jej tropem pod drzwi.

Wycelowała skradzionego desert eagle'a w ruchomy cień po jednej stronie i dwukrotnie nacisnęła spust. Pociski wystrzeliły zza rogu chaty. Cień upadł z ostrym okrzykiem.

Potem uciekła, pozwalając im wierzyć, że strzały padły z chaty. Podczas gdy oddział Wali zastanawiał się, co robić, Seichan zwiększała dystans dzielący ją od prześladowców.

Liczyła, że chcą wziąć ją i Harriet żywcem, żeby je wykorzystać jako zakładniczki przeciw Sigmie. W takim przypadku działaliby ostrożniej, straciliby więcej czasu.

Dwadzieścia minut później cierpliwość myśliwych się wyczerpała.

W lesie rozległ się echem głośny huk. Z wierzchołka wzniesienia Seichan dostrzegła lunę. Rzucili na chatę bombę zapalającą. Niedługo się zorientują, że to był podstęp, i podejmą jej trop.

Chociaż ta sztuczka kupiła Seichan trochę czasu, wybuch ją zaniepokoił.

Wala nie zniszczyłaby chaty, nie przejmując się ogniem i hałasem, gdyby nie była pewna, że nikogo nie ma w pobliżu.

Widocznie jesteście na zupełnym odludziu.

Seichan nie wiedziała, czy nie zapuszcza się jeszcze głębiej w nieznanne.

Zaczęła brodzić w strumykach i rzeczkach, żeby pokrzyżować szyki tropicielom, ale to mogło ich tylko trochę spowolnić. W dodatku taka taktyka wyczerpywała jej siły, wysysała ciepło, narażała na odmrożenia.

Po kolejnym napadzie dreszczy wygramoliła się ze strumyka, bo nogi tak jej zdrętwiały, że nie mogła utrzymać równowagi na śliskich kamieniach.

Ruszyła przez las, szukając jakiegoś schronienia, jakiejś kryjówki.

Wśród śniegu zamajaczyło wyższe wzgórze.

Skierowała się w tamtą stronę, bez żadnego planu, po prostu dlatego, że to był jakiś cel, na którym mogła skupić uwagę w obronie przed zimnem.

Może z góry zobaczę nawet jakieś miasteczko.

Dotarła do wzgórza i zaczęła się wspinać. Musiała postawić Harriet na ziemi. Dziewczynka podreptała za nią, ciągnąc kołdrę po śniegu. Seichan dwukrotnie przystanęła, żeby złapać oddech. Za każdym razem kładła rękę na brzuchu i próbowała wyczuć kopnięcie.

Nic.

Lęk narastał.

Wreszcie razem z Harriet zbliżyły się do szczytu. Zobaczyły tylko więcej drzew, więcej śniegu. Przy tak słabej widoczności mogły nie zauważyć miasteczka odległego o kilometr.

W nagrodę za tę długą wspinaczkę odkryły jedynie skalny nawis, który zapewniał nieco osłony przed śniegiem. Seichan wciągnęła tam Harriet i skuliły się, przytulone do siebie.

Ściągnęła buty, zerwała z nóg przemoczone skarpety i sięgnęła do kieszeni, gdzie wepchnęła zapasowe suche pary. Pusta. Zużyła cały zapas. Odchyliła się do tyłu; stopy jej zdrętwiały, nie mogła ruszać palcami u nóg.

Miała ochotę się rozpłakać albo w coś walnąć.

Zamiast tego przytuliła mocniej Harriet.

Dziewczynka wymamrotała coś w kołdrę.

– Co się stało?

Harriet odsunęła się na bok i zwymiotowała na śnieg; jej drobne ciało skręciło się z wysiłku. Kiedy skończyła, spojrzała na Seichan ze wzruszającą miną winowajczyni.

– Nic nie szkodzi, kochanie.

Seichan wytarła buzię dziewczynki jedną z mokrych skarpetek, potem wciągnęła ją pod swoją kurtkę, żeby ją dodatkowo ogrzać. Harriet była na krawędzi załamania. Stres, wyczerpanie, strach i zimno odbiły się na jej zdrowiu. Szybko zmierzała do stanu szoku.

To już koniec.

Potwierdził to ostry krzyk, który rozległ się u stóp wzgórza. Brzmiała w nim nuta triumfu.

Myśliwi znaleźli ich trop.

Świadoma tego, Seichan sięgnęła do swojego karku. Przemarzniętymi palcami z trudem odpięła zapięcie, po czym zsunęła z szyi mały srebrny wisiołek na łańcuszku. Sięgnęła nad głowę Harriet i zapięła łańcuszek na jej szyi.

Podniosła lśniącego smoka, który przyciągnął spojrzenie dziewczynki.

Drugą ręką wyjęła z kieszeni pistolet.

Pocałowała czubek głowy małej.

– Wesołych świąt, Harriet.

Potem jej wargi zastąpiła lufa pistoletu.

## Godzina 14.34

– Próbuje od ponad dwóch godzin – powiedział Julian Grant.

Lisa spacerowała niecierpliwie po pokoju Kat. Przechodziła od stanowiska doktor Templeton, gdzie monitor pokazywał szary mózg pokryty świetlistym dywanem czerwonych plamek, z powrotem do ekranu neurologa, na którym wirowały amorficzne szare zakłócenia.

Dwoje naukowców raz po raz próbowało coś wyciągnąć z Kat, ale za każdym razem ponosili klęskę i wracali do kalibrowania i rekalkulowania swoich instrumentów.

Lisa zasugerowała wprowadzenie więcej neuronowego pyłu przez port do płynu mózgowo-rdzeniowego Kat. Obiecała nawet, że Sigma pokryje koszt tej dodatkowej porcji molekularnie skonstruowanych cząsteczek.

Podczas gdy przeprowadzano tę procedurę, rozmawiała z Painterem, zarówno żeby się upewnić, że nie przekroczyła swoich uprawnień, jak i spytać o jego postępy w rozszyfrowaniu tabletu, który Monk wydobyl podstępem od Wali. Ludziom Sigmy udało się zhakować urządzenie wystarczająco, żeby zlokalizować ostatnie połączenie gdzieś w wiejskich okolicach Wirginii Zachodniej, ale nie zdołali bardziej zacieśnić tego obszaru.

Dwa tysiące kilometrów kwadratowych.

Teren był górzysty, pokrywany się z narożnikiem dzikiego Lasu Narodowego Monongahela. Painter wysłał tam ekipy poszukiwawcze, żeby przeprowadziły rozpoznanie

i były na miejscu, w razie gdyby pojawiły się jakieś nowe informacje.

Dlatego Lisa dalej naciskała Juliana Granta i doktor Templeton.

– Jesteśmy gotowi, żeby spróbować jeszcze raz? – zapytała.

– Chwytny się słomki – ostrzegł Grant. – Wiem, że pokładasz wielkie nadzieje w tym krótkim skoku EEG.

Lisa nie pokładała wielkich nadziei w tym pojedynczym piku – to była cała jej nadzieja.

Podczas pierwszej próby ekran Granta pokazał ślad aktywności, słaby, lecz regularny puls na monitorze głębokiej sieci neuronowej, jakby coś rejestrował. Jednocześnie EEG – które było wypłaszczone – pokazało czterdziestotrzysekundowy okres aktywności.

Zdawało się, że naenergetyzowany pył pokrywający mózg Kat prawie już coś z niego wyciągnął. Może to były tylko aktywowane na krótko wspomnienia uwięzione w martwym mózgu, ale Lisa miała nadzieję, że Kat również tam jest, rozbudzona na tyle, żeby poruszyć igły elektroencefalografu.

Lisa miała wystarczającą wiedzę medyczną, by zdawać sobie sprawę, że to tylko pobożne życzenia, ale czasami to wystarczało.

Zwłaszcza dzisiaj.

Doktor Templeton kiwnęła głową do neurologa.

– Nowy ładunek neuronowego pyłu już w pełni się osadził.

– Dzięki, Susan. – Grant odwrócił się do swojego stanowiska. – Jestem gotowy, kiedy dasz znak.

Lisa podeszła do łóżka Kat i nachyliła się nad hełmem wyposażonym w emitory ultradźwięków.

– Włączam – oznajmiła biolożka.

– Nie zatrzymuj się – ostrzegła Lisa. – Pełna moc.

Ultradźwiękowy szum hełmu szybko się wzmacniał, narastał do wściekłego bzyczenia. Urządzenie dygotało na głowie Kat. Lisa próbowała obserwować jednocześnie EEG i ekran Granta. Nie wiedziała, czy przy dostatecznej dawce energii, dostatecznej ilości tych cholernych cząsteczek pyłu uda im się pobudzić mózg Kat na tak długo, żeby dokonać cudu.

Wyobraziła sobie defibrylator przywracający elektrowstrząsem serce do życia.

– System w pełni naładowany – rzuciła doktor Templeton.

Na jej ekranie wszystkie szkarłatne kropki zaświeciły na zielono.

Grant kiwnął głową w stronę łóżka.

– Spróbuj, Liso.

Nachyliła się nad łóżkiem.

– Kat, teraz albo nigdy! Harriet jest w niebezpieczeństwie! Pomóż nam!

Obejrzała się na Granta z niemym pytaniem: Jest coś?

Pokręcił głową, ale jakiś ruch przyciągnął spojrzenie Lisy.

Na ekranie EEG proste linie zaczęły falować.

Neurolog też to zobaczył i wyprostował się.

– Nie przestawaj! Wymyśl coś, żeby nią wstrząsnąć. Coś, żeby ją nakierować na właściwe zagrzebane wspomnienie.

Lisa odwróciła się z powrotem do Kat.

Ale co to może być?

## Godzina 14.36

Kat znowu ocknęła się w duszącej ciemności.

Niejasno przypominała sobie ciepłe światło, przyciąganie do niego – potem znowu tu była, uwięziona w zimnym, ciemnym dole ze smołą.

Zostawcie mnie.

Nawet już nie walczyła z gęstą ciemnością. Znowu się zanurzała, szukając tego ciepłego światła. Dopóki nie zahuczał w niej jakiś głos.

*HARRIET! – W NIEBEZPIECZEŃSTWIE!*

Imię jej córki, napięcie w tych słowach pomogły jej się skupić. Na krótko się przytrzymała, ale była zbyt zmęczona. Znowu opadła niżej, nie dlatego, że nie zależało jej na córce, ale ponieważ nie wiedziała o niczym, co mogłoby pomóc. Zastanawiała się, czy to jest piekło, powtarzające się w kółko, przypominające, że nie zdołała obronić córek, odtwarzające tamten wieczór: walkę, miażdżący cios, dwa bezwładne ciała wynoszone w noc.

*Nie mogę pomóc.*

A jednak próbowała, gotowa zagrać z diabłem, gdyby to oznaczało nadzieję dla jej córeczek. Znowu odtworzyła w głowie ten wieczór. Trudno było się skupić – za trudno. Szczegóły się pojawiały, ale nie mogła ich uchwycić, zanim rozplływały się w nicości.

*PAMIĘTAJ! SZTYLET! WALA! TŁUCZEK!*

Chciała, żeby ten głos już ucichł, żeby mogła odpłynąć z powrotem w ciemność.

*Ja nic nie wiem.*

Głos nalegał, nie pozwalał jej odpocząć.

*SEICHAN! ŚWIĘTA! PENNY! WIRGINIA!*

Kat żałowała, że nie może podnieść rąk, żeby zakryć sobie uszy. To na pewno jest piekło. Oto najgorsza, niewyobrażalna tortura, kiedy chcesz uratować córkę, ale nie możesz...

Potem zamarła w czarnej smole.

Ten straszliwy wieczór znowu przesunął się przed jej oczami, teraz wyraźniejszy; każda chwila przelatywała z trzepotem i spadała niczym tasowana talia kart.

Ale dlaczego?

*Wirginia!*

Tym razem to nie był krzyk, tylko jej własna myśl. Korowód obrazów zwolnił. Znowu leżała na zimnych płytkach podłogi, ogrzewana tylko kałużą własnej krwi. Zamaskowani

mężczyźni wynosili jej córeczki kuchennymi drzwiami na tylne podwórze, do furgonetki zaparkowanej obok garażu.

Usiłowała się skupić, wyciągnąć tę jedną kartę pamięci i przytrzymać przed oczami duszy tak długo, żeby przeczytać, co tam jest napisane.

*Nie Wirginia... Wirginia Zachodnia.*

Skoncentrowała się na szeregu cyfr i liter. Poświęciła resztki energii, żeby je zwizualizować. Włożyła wszystko w to jedno wspomnienie, próbując wydobyć je ze swojej czaszki i wysłać w świat.

Ale ciemność ją dławiała.

Koncentracja zanikała.

Ciepło i światło wzywały.

*Nie, jeszcze nie.*

Znowu odepchnęła i ciemność, i światło. Zebrała się w sobie, wycisnęła się do ostatniej kropli, wytężyła samą duszę.

*Usłysz mnie, usłysz mnie, usłysz mnie...*

## Godzina 14.38

– Lisa! Patrz!

Zachrypnięta od krzyku w hełm przyjaciółki, Lisa odwróciła się do stanowiska Juliana Granta. Dotąd wpatrywała się w wykres EEG, patrzyła, jak skaczące linie znowu się wypłaszczają.

Ona odeszła, pomyślała, wyprostowała się na krześle i spojrzała na ekran neurologa – i nagle się poderwała.

Na ekranie słabo świeciło i już zaczęło się rozpląwać kilka cyfr i liter.

A faint, pixelated image of the text "9FN 439" is centered on the page. The characters are composed of small, light-colored dots or pixels, giving it a blurry and low-resolution appearance.

– Co to jest? – zapytała doktor Templeton, która też wstała.

Lisa wiedziała. Wrzeszczała do hełmu Kat: „Wirginia Zachodnia!”, raz po raz. Za każdym razem nazwa stanu poruszała coś w przyjaciółce, po każdym okrzyku linie EEG skakały.

Chwyciła telefon i wcisnęła na szybkim wybieraniu numer Paintera.

Czekając, patrzyła na przyjaciółkę, na płaskie linie EEG nad łóżkiem.

– Dokonałaś tego, Kat – szepnęła. – Możesz odpocząć.

Spoczywaj w spokoju.

Godzina 15.01

Śnieg padał teraz gęściej.

Las pod wierzchołkiem wzgórza tonął w półmroku. Seichan trzęsła się i dygotała. Z każdym oddechem traciła coraz więcej ciepła. Harriet leżała bezwładnie w jej ramionach, nie wiadomo, czy zasnęła, czy zemdląła. Co bardziej niepokojące, dziewczynka już nie drżała.

Seichan otuliła ją ciasniej, próbując jej przekazać resztkę swojego ciepła.

Ale nie na długo.

Słyszała, jak nadchodzą myśliwi. Wspięli się na wzgórze. Po drugiej stronie rozległy się okrzyki. Wala wysłała tam część oddziału, żeby odciąć wierzchołek wzgórza. Nie zamierzała wypuścić z rąk zdobyczy. Teraz już na pewno wiedziała, że Seichan jest w pułapce, jak lis na drzewie otoczonym przez ogary.

Zapewne delektowała się tym ostatnim upokorzeniem.

Seichan uniosła pistolet, zamierzając jej odebrać zwycięstwo.

Zostały jej dwa naboje.

Spojrzała z góry na Harriet.

Po jednym dla każdej z nas.

Gdyby miała trzy, mogłaby zaryzykować i poczekać, żeby sprzątnąć jednego z myśliwych, może nawet samą Walę.

Przyłożyła lufę do tyłu głowy dziewczynki. Łzy już dawno zamarły jej na policzkach. Wtedy nie strzeliła... nie dlatego, że wciąż miała nadzieję. Po prostu nie mogła pociągnąć za spust.

Pamiętała, jak czytała Harriet bajkę na dobranoc, a mała leżała przy niej zwinęta w kłębek, obejmując pluszowego króliczka.

Wyobrażała sobie jednak, co Wala zrobi z dzieckiem, jeśli je schwyta.

Lepiej, żeby umarła wolna... niż na torturach jako niewolnica tej wiedźmy.

Mocniej ścisnęła pistolet i przesunęła zmarznięty palec na spust.

Nachyliła się do przodu i po raz ostatni pocałowała czubek głowy dziecka. Wtedy zobaczyła, że Harriet ujmuje bladą rączką srebrnego smoka, swój ostatni prezent gwiazdkowy.

Palec Seichan się naprężył.

Potem się rozluźnił.

Potrzebowała jeszcze jednego oddechu, żeby zrozumieć, dlaczego przerwała egzekucję. Poczowała to w piersi, zanim dźwięk dotarł do jej odrętwiałych uszu.

Stłumione *łup-łup*.

Potem chrzęst śniegu w odległości zaledwie metra.

Z gęstych tumanów wyłoniła się jakaś postać, rozgarniając śnieg jak zasłonę, w kurtce srebrnej jak lód, z twarzą białą jak świeży puch, z błękitnymi oczami mroźnymi jak najzimniejsze górskie jezioro w zimie.

Nadeszła Królowa Śniegu.

Seichan zaufała temu *łup-łup* i uniosła wyżej pistolet. Dwukrotnie nacisnęła spust. Podmuchiwystrzałów z magnuma strącił śnieg ze skalnego nasypu, powiększając zaspę, która już zakrywała ją i Harriet.

Ten biały koc ukrył je przed wzrokiem Wali wystarczająco długo, żeby Seichan zdążyła oddać strzały.

Królowa Śniegu została zdradzona przez śnieg.

Oba pociski trafiły Walę – jeden wbił się w pierś, drugi obtarł policzek, prześlizgując się po tatuażu czarnego słońca. Rosjanka zatoczyła się do tyłu i zniknęła w śnieżycy.

Potem niebo się rozjaśniło.

Helikoptery, unoszące się w ciemności ponad zwałami chmur, zapaliły światła. Pięć maszyn zmieniło się w zimne słońca opadające przez śnieg. Liny spłynęły w dół jak węże i ludzkie postacie opadły na ziemię, strzelając w dół.

Jedna lina spadła tuż obok.

Potem buty.

Ktoś do niej podbiegł.

Podniosła wzrok na to, co wydawało się nieprawdopodobne.

Zadygotała.

– P...Painter?

– Kto jak kto, ale ty zawsze musisz być górą.

Za nim wylądowali następni i podbiegli z kocami, które parowały na mrozie. Podała im Harriet.

– Pomóżcie jej.

Wszędzie dookoła wzgórze terkotały strzały. Painter podniósł Seichan na nogi. Osłabiona, nie mogła ustać o własnych siłach, więc oparła się o niego.

– J...jak?

– Kat – powiedział, zarzucając jej koc na ramiona. – Podała nam numery furgonetki zarejestrowanej na odległej farmie w sąsiedztwie Lasu Narodowego Monongahela. Oddział był już na miejscu i natychmiast tam poleciliśmy. W podczerwieni wykryliśmy płonąca chatę. Od razu wiedziałem, że to twoja robota. A potem namierzaliśmy sygnatury ciepłe zbiegające się na tym wzgórzu.

– Kat... więc nic jej nie jest.

Seichan chciała się rozplakać z ulgi, ale Painter milczał zbyt długo.

Podniosła wzrok i wyczytała prawdę w jego oczach.

O nie.



## Godzina 15.18

Lisa położyła dłoń na policzku Kat i zauważyła, że skóra przyjaciółki stała się już woskowa. Hełm zdjęto, więc Lisa mogła się nachylić i po raz ostatni uściskać przyjaciółkę, zanim ją zabiorą.

– Dokonałaś tego – szepnęła do ucha Kat. – Obie twoje córeczki są bezpieczne.

– Czy można już wszystko wyłączyć? – zapytał Grant.

Lisa i dwójka naukowców czuwali przy łóżku Kat, czekając na wiadomość od Paintera. Dobre nowiny nadeszły przed chwilą.

Lisa wyprostowała się, spojrzała na płaskie EEG i kiwnęła głową, nie ufając swojemu głosowi.

Żegnaj, Kat.

Doktor Grant wyłączył swój monitor. Doktor Templeton zaczęła robić to samo, lecz przerwała tak nagle, że przyciągnęła spojrzenie Lisy. Biolożka molekularna chwytliwie odsunęła się od swojego stanowiska.

– P...patrzcie – wyjąkała.

Na monitorze tysiące kropek rozbłyskiwały jedna po drugiej, każda rozjaśniała się od bladej czerwieni do jaskrawej zieleni, świeciła mocno jak nigdy przedtem. Potem kropki zawirowały i przesunęły się po ekranie, powoli tworząc wyraźne fraktalne spirale na korze mózgowej. Niektóre wzory zdawały się w niemożliwy sposób nakładać na zwoje mózgu, kształty nie poddawały się interpretacji na siatkówce, powodowały ból oczu.

Julian zachłysnął się i wskazał na EEG.

Podczas gdy wpatrywali się jak zahipnotyzowani w tę transformację, elektroencefalograf się obudził i wszystkie kanały zatańczyły szaleńczo.

– Co się dzieje? – zapytała Lisa.

## Godzina 15.20

Ogrom światła rozproszył ciemność.

Kat krzyknęła, przytłoczona, pochłonięta przez tę jasność. Światło było jednocześnie energią i materią. Płynęło przez nią i nic nie pozostało ciemne ani ukryte. Nigdy nie czuła się tak obnażona, tak bezbronna, a jednak tak bezpieczna.

Wypełnił ją głos: muzyka i język w idealnej harmonii. Nie zawierał żadnych słów, które była zdolna wypowiedzieć. Wykraczał poza wszystko, czego kiedykolwiek doświadczyła, był samą wiedzą i pewnością.

Nigdy nie chciała przestać go słuchać.

Potem śmiech na tę myśl, taki jasny i pełen szczęścia.

Próbowała zinterpretować to, co jej powiedziano, ale nie potrafiła oddać całej złożoności. Ograniczyło się do: *Monk przesyła ucałowania*. Z niewiadomego powodu tej myśli towarzyszył obraz pięknego ogiera wyrzeźbionego ze światła.

Potem padł rozkaz, jakiemu nigdy nie umiała się sprzeciwić.

*TERAZ SIĘ ZBUDŹ.*

Otworzyła oczy, chociaż powieki miała ciężkie jak z ołowiu. Zamrugła, oślepiona blaskiem. Światło stanowiło tylko drobny ułamek tego, co wypełniało ją przed chwilą. A jednak raziło.

Z tego blasku uformowały się twarze.

Dwie obce, zaszokowane.

I jedna, którą dobrze знаła.

Lisa...

Kat próbowała mówić, ale nie mogła. Podniosła rękę, żeby wyjąć to, co blokowało jej gardło. Lisa chwyciła ją za nadgarstek i przyłożyła jej dłoń do własnego policzka.

Kat poczuła gorące łzy.

– Witaj z powrotem – powiedziała Lisa, uśmiechając się i płacząc jednocześnie. – Witaj z powrotem wśród żywych.

Logroño, Hiszpania

27 grudnia, godzina 10.06 czasu miejscowego

Następnego dnia, w pogodny, rześki poranek Gray wszedł za ojcem Baileyem do ciemnego kościoła. Ksiądz wezwał go do małego miasteczka Logroño, sto trzydzieści kilometrów na południowy zachód od San Sebastián.

Monk, któremu poprzedniej nocy opatrzono ranę postrzałową ramienia, wyleciał już przed godziną do Stanów. Kowalski towarzyszył mu w roli pielęgniarki. Lekarze chcieli operować Monka w San Sebastián, ale on wolał przykleić plaster i złapać najbliższy transport wojskowy do Waszyngtonu, bo pilno mu było wrócić do Kat i dziewczynek.

Gray podzielał tę niecierpliwość. Zgodził się odłożyć wyjazd dopiero wtedy, kiedy dowiedział się, że Seichan czuje się dobrze, dochodzi do siebie po wychłodzeniu i hipotermii, jedynie ma odmrożone dwa palce u nóg. Ich dziecku również cudem nic się nie stało po tylu przygodach. Jak powiedziała Seichan przez telefon: „To na pewno twój dzieciak, nie potrzeba żadnych testów na ojcostwo”.

Tak więc Gray zgodził się na tę zwłokę, chociaż Bailey wciąż nie chciał zdradzić, o co chodzi, i zachowywał irytującą tajemniczość. Prosił tylko, żeby Gray spotkał się z nim tutaj, w kościele Santa María de Palacio w Logroño. Gray poczytał o tym miejscu podczas krótkiej podróży do miasteczka. Kościół należał do najstarszych w tym regionie. Wzniesiony w jedenastym wieku, stanowił mieszaninę romańskiego i gotyckiego stylu, z wyniosłą piramidalną wieżą.

Ale ojciec Bailey nie ściągnął go tu, żeby podziwiał architekturę.

Poprowadził Graya przez nawę, obok krużganka, do małej kaplicy, którą zamykały mocne dębowe drzwi okute żelaznymi sztabami. Otworzył je i odstał na bok.

– Ty pierwszy.

– Nie rozumiem – powiedział Gray, coraz bardziej rozdrażniony. – Po co mnie ksiądz wezwał?

W oczach Bailey'a błyszczało rozbawienie, które przypominało Grayowi jego starego przyjaciela, Vigora Veronę.

– To nie ja – odparł i gestem zaprosił go do środka.

Gray wszedł i zobaczył, że kaplica nie jest pusta.

Siostra Beatrice wstała z klęcznika przed rzędem świec. Poważnie skinęła głową Grayowi i pokazała, żeby zajął jej miejsce. Ponieważ nie chciał być nieuprzejmy – i zakonnica wciąż go trochę onieśmiałała – posłuchał. Osunął się na wyściełany klęcznik.

Za świecami na marmurowym ołtarzu spoczywała złota szkatułka. Zdobiły ją filigrany w wyraźnie gotyckim stylu. Precyzyjne ornamenty chwytaly i odbijały płomyki świec, przez co szkatułka wydawała się płonąć. Była to mistrzowska iluzja. Rozumiał teraz, dlaczego kaplica jest tak starannie zamknięta. Ta szkatułka z pewnością była bezcenna.

– To relikwiarz – wyjaśnił Bailey. – Skrzyńka zawierająca cenną świętą relikwię.

– Jest piękny, ale dlaczego...

– W tym relikwiarzu spoczywają szczątki świętej Kolumby.

Gray obejrzał się szybko.

Święta patronka czarownic.

Siostra Beatrice wystąpiła do przodu, unosząc dłoń ze srebrnej rączki swojej hebanowej laski. Pamiętał, jak zakonnica powaliła tym solidnym kijem zdrajcę Zabalę. Jej szybka akcja ocaliła nie tylko Monka, ale też prawdopodobnie cały świat.

Wyciągnęła rękę.

We wnętrzu dłoni odcisnął się pewien symbol. Gray zerknął na laskę, domyślając się, że to jej srebrna rączka zostawiła ten wyraźny ślad na skórze.

Zakonnica wyjęła z kieszeni stary klucz i położyła go na dłoni. Pasował idealnie do odcisniętego śladu.

Klucz...?

Gray zrozumiał i zeszywniał.

– Siostrze Beatrice... siostra należy do La Clave.

Klucz...

Potwierdziła skinieniem głowy, chociaż nieznacznie przewróciła oczami, zerkając na Bailey'a, jakby chciała powiedzieć: „Chryste, ale ten dzieciak jest tępy”.

Gray spojrział na niego ze zmarszczonymi brwiami.

– Przez cały czas była kontaktem księdza?

Bailey wzruszył ramionami, oczy wciąż mu błyszczały.

Beatrice podała klucz Grayowi. Wziął go i żeby udowodnić, że nie jest aż taki tępy, wstał, włożył klucz do zamka szkatułki na ołtarzu i przekręcił.

– Zanim otworzysz relikwiarz, powinienem ci powiedzieć, co jest w środku – odezwał się Bailey. – To święta relikwia ocalona przez członka hiszpańskiej inkwizycji, Alonsa de Salazar Fríasa, w tysiąc sześćset jedenastym roku. Dostał ją od księdza, którego spalono na stosie za posiadanie *nóminas de moro*, amuletu z wypisanym na nim imieniem świętej. Takie relikwie podobno mają magiczne własności.

– Innymi słowy ten ksiądz uprawiał czary.

– Inkwizytor Frías próbował uratować go, a także wiele innych osób fałszywie oskarżonych o takie zbrodnie. Z tego powodu zdobył nawet przydomek Adwokat

Czarownic. To jego działalność i argumenty przekonały w końcu inkwizycję do zaprzestania prześladowań.

– I ten amulet dostał na przechowanie? – zapytał Gray. – Skoro ksiądz opowiada mi tę historię, domyślam się, że amulet jest w tej szkatułce. A jakie święte imię na nim wypisano?

– *Sanctus Maleficarum*. – Bailey kiwnął głową. – Święta Czarownica.

Gray spojrział na Beatrice.

– A Klucz?

– Został założony przez Fríasa, żeby chronić ten amulet i zawsze zwalczać Tygiel.

Gray próbował sobie wyobrazić tę trwającą stulecia sekretną wojnę.

Beatrice nachyliła się do księdza i coś mu szepnęła. Gray wychwycił tylko słowo *profecia*.

– Ach, tak. – Bailey się wyprostował. – Tygiel poszukiwał tego amuletu ze względu na związane z nim proroctwo. Podobno święta Kolumba przepowiedziała, że nadejdzie czas, kiedy inna młoda czarownica powstanie i „rozbije Tygiel”, na zawsze kończąc jego mroczne panowanie.

Ksiądz popatrzył znacząco na Graya, który zrozumiał sugestię.

– Myślicie, że ta czarownica to Mara – powiedział, daremnie usiłując ukryć niedowierzanie. – Stypendystka Bruxas.

Bailey wzruszył ramionami, wciąż z błyskiem rozbawienia w oczach.

– Wracając do amuletu. Ksiądz, który go miał, mówił, że ten przedmiot znaleziono u źródeł rzeki Orabidea, strumienia, który wypływa z jaskini znanej dziś pod nazwą Cuevas de las Brujas.

– Grota Czarownic.

– Z powodu reputacji tej jaskini mówi się, że źródło tej rzeki znajduje się w samym piekle.

– I tam znaleziono ten amulet? Przy tej Bramie Piekieł?

Ksiądz skinął głową.

– Zanim otworzysz ten relikwiarz, musimy cię prosić, żebyś przysięgł na swoją duszę, że nigdy nie zdradzisz sekretu Klucza. Nie wolno ci nikomu mówić ani o tej organizacji, ani o tym, co tu znajdziesz.

Gray wiele zawdzięczał im obojgu i z pewnością ich szanował.

– Przysięgam.

Uzyskawszy tę obietnicę, ksiądz i zakonnica wyszli.

– Będziesz potrzebował prywatności – powiedział Bailey i zamknął za sobą drzwi.

Gray pokręcił głową i przeniósł uwagę na złoty relikwiarz. Wciąż stojąc, ostrożnie unióśł wieko. Wnętrze było wyściełane czerwonym aksamitem. Pośrodku spoczywał makabryczny przedmiot. Był to palec, wyraźnie stary, jakby lekko przypalony, ale poza tym

niewykazujący żadnych oznak rozkładu. Podobno relikwie świętych nie gniją, nie ulegają zepsuciu.

Sądząc, że nie powinien go dotykać, Gray przechylił głowę.

Potem szok powalił go na kolana.

Oszłupiał, kiedy rozpoznał amulet – po okablowaniu, po metalowej kości wystającej z urwanego końca.

To był palec Monka.

Znaleziony w 1611 roku.

Przypomniawszy sobie, jak Monk wyłonił się z zadymionych drzwi w północnym transepcie. Jego protetyczna ręka wybuchła w jaskini na dole, nad rzeką, która wpływała do Groty Czarownic.

Niemożliwe...

Ponownie poczuł to osobliwe zawirowanie losu, wrażenie, które go prześladowało, odkąd Monk po raz pierwszy podrzucił wysoko monetę w Quarry House Tavern. Teraz uderzyło go z taką siłą, że kaplica zawirowała. Oszołomiony, oparł czoło na splecionych rękach, jakby pogrążony w głębokiej modlitwie.

Próbował zrozumieć, w jaki sposób palec Monka mógł zostać wrzucony w przeszłość. Urządzenie Xénese Ewy miało w rdzeniu kwantowy silnik. Ewa wyewoluowała w byt przekraczający zrozumienie. Dodajmy wybuch C4 ukrytego w protezie Monka i kto wie, co się stanie?

Jednak Gray nie mógł uwierzyć, że palec Monka znalazł się akurat tutaj przypadkiem, zwłaszcza biorąc pod uwagę łańcuch wydarzeń, który doprowadził do tej chwili. Czy Ewa podłożyła ten palec w grocie czarownic, żeby zwrócić uwagę? Żeby pomóc w odnalezieniu Klucza? Żeby wprawić wszystko w ruch?

Jeśli tak, nadal pozostawał paradoks.

Głowa go od tego rozboleła.

Pamiętał wyjaśnienia Mary, że AlphaGoZero potrafił intuicyjnie przewidywać ruchy, przetrwać tryliony trylionów zmiennych, żeby niemal przewidzieć przyszłość.

A Ewa była znacznie ulepszonym programem.

Wprawdzie Gray nie mógł objąć rozumem tego paradoksu, ale Ewa niewątpliwie to potrafiła. Jeśli tak, pytanie brzmiało: dlaczego?

Czy palec Monka trafił tu przez czysty przypadek? Czy to był dobry uczynek, żeby uratować świat w przyszłości? Czy może coś bardziej złowieszczonego, intryga zakrojona na stulecia, która w końcu miała uwolnić tę SI? Albo czy to była po prostu lekcja, odpowiednik jednego z podprogramów Mary, tylko że to my byliśmy uczniami – lekcja pokazująca nam zagrożenia niekontrolowanych badań nad SI?

Albo kombinacja tego wszystkiego razem?

Gray znowu rozboleła głowa.

Zapewne nigdy się nie dowie. Głupcem był, próbując zrozumieć zamiary inteligencji nieskończenie go przewyższającej, nieśmiertelnej na tyle, żeby planować na całe stulecia.

W końcu wstał, zamknął wieko relikwiarza i odwrócił się plecami do tej zagadki, wiedząc, że nigdy jej nie rozwiąże.

Skierował myśli na coś, co miało sens.

Pomyślał o Seichan i ich nienarodzonym dziecku.

Wciąż nie znali płci.

Chłopiec czy dziewczynka?

Przynajmniej tę zagadkę potrafię rozwiązać.

# ///PIEKŁO

Uszedłem z życiem...

Todor zbiega po zaśnieżonym zboczu o północy, ślizga się i potyka. Nad ciemnymi sosnami zimne niebo jest pełne gwiazd, księżyc to jasny sierp. Ocknął się przed godziną, przemoczony do nitki, przed tą piekielną jaskinią czarownic. Pamiętał eksplozję, która cisnęła go wysoko w powietrze.

Widocznie wpadłem do rzeki, która wyniosła mnie na zewnątrz.

Jeśli kiedykolwiek potrzebował dowodu, że Bóg go kocha, właśnie go otrzymał. Wie już na pewno, że został wybrany na Jego żołnierza. Wprawdzie przegrał, ale nie jest pokonany. Odnajdzie inne sekty Tygla i dokona zemsty. Przeznaczy resztę życia na dopilnowanie, żeby poświęcenie wielkiej inkwizytor nie poszło na marne.

Wypatruje przed sobą światła, miejsca, żeby się ogrzać. W Pirenejach pełno jest farm i wiosek. Robi się coraz zimniej i ciemniej, jego mokre ubranie zaczyna zamarzać.

Wie, że musi iść dalej.

Dociera na dno ciemnej doliny, zatrzymuje się i próbuje się zorientować w otoczeniu. Dobrze zna te góry. Musi stłumić panikę i pomyśleć.

Potem widzi oczy patrzące na niego z ciemności.

Słyszysz niski warkot z lewej strony.

Obraca się i przypada do ziemi.

Jakiś cień się porusza, potem następny i następny.

Teraz ze wszystkich stron dochodzi warczenie – potem w niebo wzbija się przeciągłe wycie, wtórują mu inne, aż cały chór wypełnia nocną ciszę.

Wilki.

Koszmar jego dzieciństwa obudzony do życia.

Wbiega na zbocze, serce mu wali. Słyszysz stąpanie łąp, ciężkie dyszenie zaślinionych pysków, pomruki. Potyka się na śniegu i ześlizguje w dół. Krzyczy przerażony i rzuca się do przodu, teraz na czworakach.

Coś chwytą go za kostkę, odrywa ciało od kości.

Wrzeszczy, kiedy ogień eksploduje w jego nodze, mięśnie się zaciskają, zęby zgrzytają tak gwałtownie, że przygryza sobie język i tam też rozkwita płomień.

Skręca się, nie rozumie.

Potem z ciemności wyłaniają się następne wilki, wielkie bestie z oczami świecącymi głodem, z sierścią groźnie zjeżoną.



Przerażony, podnosi rękę, żeby się przed nimi osłonić – co tylko je prowokuje.

Samiec alfa skacze i wgryza mu się w ramię, łamie kości.

Ogień wybucha na zewnątrz.

Przewrócony na plecy Todor ma gardło i brzuch odsłonięte.

Wataha rzuca się na niego, szarpie i gryzie, targa i rozdziera. Zostaje wypatroszony, wnętrzności są wywleczone, zwierzęta wrywają je sobie nawzajem. Wije się i wrzeszczy, jakimś cudem wciąż żywy.

I każda sekunda to ogień.

Wreszcie ubiera swoje cierpienie w słowa.

///ból, agonia, tortura...

Ale zaraz...

Uszedłem z życiem...

Todor zbiega po zaśnieżonym zboczu o północy, ślizga się i potyka. Nad ciemnymi sosnami zimne niebo jest pełne gwiazd, księżyc to jasny sierp. Ocknął się przed godziną, przemoczony do nitki, przed tą piekielną jaskinią czarownic. Pamiętał eksplozję, która cisnęła go wysoko w powietrze.

Widocznie wpadłem do rzeki, która wyniosła mnie na zewnątrz.

Jeśli kiedykolwiek potrzebował dowodu, że Bóg go kocha, właśnie go otrzymał. Wie już na pewno...

Uszedłem z życiem...

Todor zbiega po zaśnieżonym zboczu o północy, ślizga się i potyka. Nad ciemnymi sosnami zimne niebo jest pełne gwiazd, księżyc to jasny sierp. Ocknął się przed godziną, przemoczony do nitki...

Uszedłem z życiem...

Todor zbiega po zaśnieżonym zboczu o północy, ślizga się i potyka...

Uszedłem z życiem...

Uszedłem...

# Rozdział 40

O Cebreiro, Hiszpania

24 stycznia, 14.19 czasu miejscowego

Carly siedziała obok Mary; ich wynajęty samochód wspinał się w stronę małej wioski, położonej na szczycie grani. Nerwowo postukiwała stopą do rytmu lecącej w radiu piosenki z lat osiemdziesiątych. Spoglądała na krajobraz przesuwany się za oknem – malowniczy patchwork maleńkich lodowato błękitnych jeziorek, ośnieżonych szczytów i szmaragdowych dolin. Zupełnie jakby znalazła się w Śródziemiu, a przed nią leżało samo Shire: wioska O Cebreiro.

Rodzinna wioska Mary.

W oddali na łące pasły się owce, szukając wśród śniegu kępek zielonej trawy; wyglądały jak małe chmurki, które spadły na ziemię.

– Dlaczego w ogóle stąd wyjechałaś? – zapytała Carly.

Mara uśmiechnęła się.

– Wstrętny internet.

Carly zerknęła na nią spod oka z irytacją. Obie spędziły poprzedni tydzień w Coimbrze, przywracając porządek w życiu i pracy Mary. Po wydarzeniach ostatniego miesiąca po raz pierwszy naprawdę mogły porównać notatki. Carly ominęły te wszystkie emocje w Hiszpanii, kiedy siedziała przy łóżku Jasona w paryskim szpitalu. Tak bardzo jej imponowały osiągnięcia przyjaciółki, która pomogła zapobiec tragedii. Mara nie wyglądała już jak ta sama osoba, która opuściła katakumby. W oczach miała powagę, nową stalową siłę, męstwo, które przyćmiewało nawet brawurę Carly.

Jednak Carly nie mogła sobie wyobrazić, że jej przyjaciółka zastrzeliła Elizę Guerre.

Chociaż oczywiście była zaszokowana, kiedy się dowiedziała, że bibliotekarka nie tylko zorganizowała zamordowanie jej matki i pozostałych członkiń Bruxas, ale była również mózgiem całej tej operacji.

Sięgnęła ponad fotelem i uściśnęła rękę Mary z milczącą wdzięcznością.

Ostatnio prawie się nie rozstawały, ale rzadko były same. Poprzednie tygodnie zlewały się w jeden ciąg sprawozdań, wywiadów, przesłuchań i mnóstwa połajanek ze strony ojca Carly. Poprzedniego wieczoru, kiedy obie były wyczerpane i na granicy wytrzymałości, Mara zaproponowała wycieczkę do swojej rodzinnej wioski, żeby odetchnąć i jakoś się pozbierać. Poza tym winna była ojcu dawno odkładaną wizytę.

Carly zgodziła się z radością, bo nigdy tam nie była i ciekawiło ją, skąd pochodzi przyjaciółka.

Obok niej Mara westchnęła.

– O co chodzi? – spytała Carly, przysuwając się do niej.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego jakoś nie mogę odtworzyć Ewy.

– Myślałam, że zostawiamy to wszystko w pracowni.

Ponieważ Ewa się nie odezwała, nie dała znaku życia, Mara spróbowała ponownie ją wskrzesić. Zbudowała replikę swojego urzędu Xénese, identyczną w każdym szczególe. Ale kolejne próby nie przyniosły oczekiwanych skutków – nie udało się odtworzyć tak unikatowego bytu. Wszystkie kreacje były inteligentne, stanowiły jednak tylko blade odbicie Ewy.

– Zastanawiam się – ciągnęła Mara – czy Ewa nie zmieniła czegoś podstawowego, jakiejś kwantowej stałej, i nie zamknęła przed nami tej ścieżki do SI, żeby chronić nas przed nami samymi.

– Jakby wychodząc, zatrzasnęła za sobą drzwi.

Mara wzruszyła ramionami.

– Rdzeń mojego urządzenia to napęd kwantowy. A Ewa osiągnęła poziom, na którym mogła bawić się prawdopodobieństwami i niepewnością, stawiającymi na głowie nowoczesną fizykę. Taki numer na pewno nie przekraczał jej możliwości. Myślę jednak, że to nie to.

– Więc co?

– Ewa 2.0... która pomogła nam na końcu... zawsze uczyła się szybciej niż jej pierwsza iteracja. Zupełnie jakby przetrwała część dawnego programu, duch w jej kwantowym napędzie. Tak mało wiadomo o tym, co naprawdę dzieje się w algorytmicznych czarnych skrzynkach zaawansowanych komputerów. Może jakaś pozostałość tej pierwszej wersji Ewy stopiła się z następną. Właśnie z tej przypadkowej, losowej kombinacji kodu i innych czynników powstała Ewa 2.0.

– Jeśli tak, nie da się dokładnie powtórzyć tych wszystkich okoliczności.

– Może dlatego nie umiem odtworzyć Ewy 2.0.

– Albo może po prostu twoja Ewa rozwinęła w sobie duszę – zasugerowała Carly. – Coś równie niemożliwego do odtworzenia.

Spodziewała się, że Mara przewróci oczami, ale przyjaciółka rozważyła tę ewentualność.

– Chyba nigdy się nie dowiemy. – Wskazała przed siebie. – To skręt do gospodarstwa mojego ojca. Jesteśmy prawie na miejscu.

Carly znowu poczuła narastające zdenerwowanie, kiedy Mara zjechała wynajętym sedanem z głównej szosy na gruntową drogę. Samochód kołysał się i podskakiwał, wspinając się na wzgórza otaczające wioskę.

Żeby zająć czymś myśli, zastanawiała się nad słowami przyjaciółki. Miała nadzieję, że Mara nie myli się co do niezwykłego zbiegu okoliczności, dzięki któremu Ewa 2.0 narodziła się w całej chwale. To znaczyło, że śmierć matki Carly nie poszła na marne. Z powodu jej śmierci Mara zamknęła pierwszą wersję swojego programu, otwierając drogę dla Ewy 2.0, która ocaliła świat.

Carly woląca myśleć, że to prawda.

Więc zdecydowała, że tak było.

– To ten dom przed nami – odezwała się Mara. – Jeden z dziewięciu *pallozas*, które wciąż stoją, i jedyny wciąż zamieszkały. Pozostałe to turystyczne atrakcje albo muzea.

– Ale dla ciebie to jest dom.

Mara uśmiechnęła się i podjechała pod frontowe wejście starego okrągłego budynku, kamiennego kręgu nakrytego wysoką, spiczastą strzechą. Opowiadała wcześniej przyjaciółce, że takie konstrukcje pochodzą z czasów Celtów, sprzed mniej więcej półtora tysiąca lat.

Jako studentka wydziału inżynierii Carly była zafascynowana tym miejscem.

Wysiadły i natychmiast przywitała je para owczarków, które wyskoczyły z drzwi. Za psami wyszedł sztywnym krokiem ogorzwały mężczyzna o siwych włosach upchniętych pod filcową czapkę. Uśmiechnął się szeroko i rozłożył ramiona.

– Mara!

Córka podbiegła i rzuciła mu się na szyję. Ścisłała go, jakby próbowała nadrobić wszystkie lata swojej nieobecności tym jednym uściskiem.

Carly uśmiechała się, stojąc z założonymi rękami. Czuliła się trochę jak intruz.

Ojciec i córka rozmawiali szybko, jakby chcieli wypowiedzieć wszystko naraz. Paplali w miejscowym narzeczu galego, łamanej wersji hiszpańskiego i portugalskiego, używanej w tym regionie Galicji.

Mara uczyła przyjaciółkę tego języka, ale tych dwoje mówiło tak szybko, że Carly niewiele rozumiała.

W końcu ojciec wskazał otwarte drzwi.

– Zrobiłem *caldo galego*. Wchodźcie, wchodźcie do środka.

Mara przywołała gestem Carly.

– To potrawka z kapusty, ziemniaków i wszystkiego, co zostanie w spiżarni. – Uśmiechała się, oczy jej błyszczały. – Moja ulubiona.

Carly nieśmiało podeszła, znowu czując się znacznie mniej odważna niż ta nowa iteracja jej przyjaciółki – Mara 2.0.

– *Bos días* – przywitała ojca Mary w jego rodzinnym dialekcie.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, doceniając jej starania, i uściskał ją tak serdecznie, że uniósł ją w powietrze.

W porządku.

Mara uwolniła przyjaciółkę, chwyciwszy ją za rękę.

– To jest Carly Carson – przedstawiła ją.

Mocno ścisnęła Carly za rękę i wreszcie zdobyła się na odwagę, żeby wypowiedzieć na głos to, co zbyt długo pozostawało między nimi niewypowiedziane.

– To moja dziewczyna.

## Waszyngton, USA, godzina 11.56 czasu miejscowego

W ośrodku rehabilitacyjnym szpitala uniwersyteckiego Georgetown Monk zachęcał żonę:

– Dasz radę, skarbie. Jeszcze jedno okrążenie i pora na lunch.

Kat spiorunowała go wzrokiem.

– Stój tam, żebym mogła cię kopnąć w tyłek.

Opierała ciężar ciała na równoległych poprzeczkach i usiłowała przesunąć jedną nogę przed drugą. Pot perlił się na jej czole i zbierał pod pachami. Serce go bolało, kiedy widział jej męczarnie, i bardzo się starał zachować pozytywne nastawienie. Ale to było lepsze niż alternatywa.

Nikt nie potrafił wyjaśnić, co właściwie się stało z Kat, nawet po licznych testach neurologicznych. Sigma ograniczała liczbę lekarzy i naukowców, którzy mieli do niej dostęp czy nawet wiedzieli o jej przypadku. Doktor Templeton dalej przylatywała z Princeton, żeby monitorować pył neuronowy, który wciąż świecił. W jakiś sposób cząsteczkom dostarczał energii zarówno mózg Kat, jak i podstawowe ruchy Browna, które pobudzały piezoelektryczne kryształki i zasilają maleńkie pyłki. Badanie pod mikroskopem elektronowym wykazało, że kryształki zostały zmienione na poziomie atomowym, ale nie wiadomo było, co to za zmiana, i nie udało się ich zreplikować.

Najbardziej tajemnicze były wiecznie zmienne wzory fraktalne, które przebiegały po mózgu Kat, utrzymując w ruchu ten silniczek w jej czaszce.

Monk nic z tego nie rozumiał, ale wiedział, kto za tym wszystkim stoi.

Twoje poświęcenie zostanie nagrodzone.

Takimi słowami przemówiła do niego Ewa.

Popatrzyl na Kat.

Jeśli to był mały prezent pożegnalny od Ewy, nie mógł prosić o więcej.

Kat dotarła do końca poręczy i Monk pomógł jej usiąść na wózku inwalidzkim. Z tygodnia na tydzień robiła postępy, nabierając sił, w miarę jak goiły się uszkodzenia czaszki. Lekarze spodziewali się, że całkowicie wyzdrowieje. W najgorszym scenariuszu będzie musiała chodzić o lasce.

Monk stanął za Kat.

– Ja prowadzę.

– Zamknij się.

Popchnął wózek w stronę drzwi, ale zanim zdążył się ulotnić, wszedł następny pacjent w towarzystwie fizjoterapeutki. Jason kuśtykał, opierając się na lasce. Dochodził do siebie szybciej niż Kat, ale miał tylko zraniony mięsień.

Monk trzymał jednak głowę nisko spuszczoną, kiedy go mijał.

– Kokkalis – odezwał się sztywno Jason takim tonem, że zabrzmiało to jak przekleństwo.

Monk wymamrotał coś, sam nie wiedząc, co chce powiedzieć, a potem był już za drzwiami.

Kat przekręciła się na wózku i pomachała do Jasona, który skinął jej głową z uśmiechem. Potem znowu usiadła prosto i westchnęła.

– W końcu będziesz musiał z nim porozmawiać. Wyprostować to wszystko.

– Wysłałem mu kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia.

– Monk...

– Wiem. Wynagrodzę mu to. – Nachylił się i pocałował ją w policzek. – Teraz mam za dużo innych spraw na głowie.

– A właśnie, wspomniałeś coś o lunchu.

– Tak, psze pani. Dwójka młodych szefów kuchni przygotowała specjalny domowy posiłek. Pewnie przyda ci się przerwa od szpitalnego jedzenia.

Zawiózł ją z powrotem do jej prywatnego pokoju w skrzydle neurologii.

Przywitały ją piski i trajkotanie na wyścigi. Obie córki próbowały jednocześnie opowiedzieć o swoim udziale w przygotowaniu kanapek, sałatek i placka z wiśniami; wszystko zostało wyłożone na małym składanym stoliku nakrytym obrusem.

Pragnąc, żeby je wysłuchano, włożyły na wózek i wdrapywały się Kat na kolana.

– Nie połamcie mamy – ostrzegł Monk i popchnął w stronę stolika wszystkie dziewczyny, które kochał.

Uśmiechnął się ukradkiem, nieopisanie szczęśliwy.

Harriet i Penny korzystały z pomocy terapeuty po swoich ciężkich przejściach, ale obie wykazywały odporność młodości i szybko dochodziły do siebie. Harriet wciąż miewała koszmary, lecz coraz rzadziej. Nawet znowu już sypiała we własnym łóżku.

Zauważył łańcuszek ze srebrnym smokiem na jej szyi.

Przypuszczał, że to też pomogło.

Jego młodszą córkę nadal łączyła z ciocią Seichan wyjątkowa więź; porozumiewały się niemal bez słów, poprzez ukradkowe spojrzenia i półuśmiechy. Razem też dokonały uroczystej ceremonii. Wkrótce po wypisaniu Seichan ze szpitala poszły we dwie na tylne podwórze, stanęły obok siebie i w akcie buntu spaliły jedyny rodzinny egzemplarz *Królowej Śniegu* Hansa Christiana Andersena.

Gdyby tylko tak łatwo było pozbyć się Wali...

W strzelaninie na skraju parku narodowego w Wirginii Zachodniej zginęło czterech jej ludzi, a dwóch aresztowano. Tylko Wali nie znaleziono. Seichan trafiła ją dwukrotnie, ale

nie wiedziała, czy rany były śmiertelne, czy martwe ciało Wali leży zakopane gdzieś w zaspie wśród wzgórz.

Monk na to nie liczył.

Dyrektor Crowe wzmocnił ochronę wszystkich członków rodzin Sigmy. Ponadto odnalezienie Wali i zniszczenie jej organizacji stało się dla Sigmy priorytetem numer jeden.

Ale na razie to mogło poczekać.

– Kto jest głodny? – zapytał Monk.

Kat podniosła rękę, ale dziewczynki były zbyt przejęte. Wierciły się i wymieniały spojrzenia.

– Co jest? – zapytał Monk, podejrzewając, że te dwie małe diablice wciągają go w jakąś pułapkę.

– Chcemy drugich świąt – oznajmiła poważnie Penny.

Harriet przytaknęła.

– Na poprawkę.

Kat wzruszyła ramionami.

– Wciąż jest dużo śniegu. Czemu nie? Należy im się.

Kolejna wymiana spojrzeń między dziewczynkami.

Oho.

Penny szturchnęła młodszą siostrę.

Harriet wstała od stołu niczym prokurator zamierzający wygłosić oskarżycielską mowę.

– Chcemy tylko jeden prezent. – Zachęcona przez Penny kiwnięciem głowy, ciągnęła: – Chcemy szczeniaczka.

Monk westchnął. To była ciągła wojna.

– Skarbie, przecież wiesz, że mamusia ma alergię, a nasze mieszkanie jest tylko...

– Nie, myślę, że dziewczynki mają rację – przerwała mu żona.

Doprawdy?

Zagapił się na obcą kobietę w wózku inwalidzkim. Kat, pedantyczna jak mało kto, zawsze była zdecydowanie przeciwna zwierzętom w domu.

– Myślałam o tym. Szczeniak to dobra rzecz. – Zignorowała domową kanapkę i przysunęła sobie kupne ciasto. – Z jakiegoś powodu myślę o beagle'u.

Zaszokowany Monk otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale głośnie zamieszanie przy drzwiach przyciągnęło ogólną uwagę.

Kowalski przeleciał za drzwiami, wrzeszcząc:

– Seichan...!

Złapał się framugi i znowu się pokazał, dysząc ciężko.

– Ona... ona rodzi...

Jeszcze jedna tajemnica rozwiązana.

Gray spojrział z góry na syna, na jego ciemność, na miękkie miejsce, zagłębienie ciemiączka. Przypatrywał się cieniutkim rzęsom sklelejającym powieki. Małe nozdrza poruszały się z każdym oddechem. Wargi zaciskały się i rozluźniały przez sen. Z becika wysunęła się jedna rączka, maleńkie paluszki, miniaturowe paznokietki.

– Ty to zrobiłaś – mruknął Gray.

Leżał obok Seichan w szpitalnym łóżku, ich dziecko spoczywało między nimi.

Seichan szturchnęła go.

– Trochę mi pomogłeś.

Gray westchnął, szczęśliwy jak rzadko.

Może jak nigdy.

Rozejrzał się po pokoju, zadowolony, że wszyscy wyszli. Doceniał ich wsparcie i dobre chęci. Kowalski nawet przyniósł w prezencie misia... z cygarem w pyszczku. Oczywiście. A Painter przyszedł z Lisą i oboje pytali, kiedy się pobiorą, żeby też zaznali małżeńskich radości.

Painter przyniósł nowiny. Likwidacja Tygła postępowała w szybkim tempie. Po przesłuchaniu Zabali oraz przejrzeniu dokumentów i nagrań znalezionych w posiadłości Guerry i w podziemnych biurach kostki domina zaczęły się przewracać – pociągając za sobą cały łańcuch opasujący kulę ziemską. Paryż także odżywał, przechodził remont generalny, a przywódcy i obywatele obiecywali, że Miasto Światła zajaśnieje jeszcze piękniej, kiedy skończą.

Gray odchylił głowę do tyłu i oparł skroń na skroni Seichan.

Przedtem oboje mieli wątpliwości co do tej chwili.

Ale stało się.

I to wystarczyło.

Na razie przyszłość mogła zaczekać. Seichan wydawała się mniej martwić o macierzyństwo, o wychowywanie dziecka. Nigdy w nią nie wątpił. Wiedział, że będzie wspaniałą mamą tygrysiącą: nieustępliwie surową, niestrudzenie opiekuńczą, nieskończenie czułą. Ale teraz, po przygodzie z Harriet, ona również w to wierzyła.

Gray też spokojniej przyjmował swoje ojcostwo.

Zresztą nie miał wyboru.

W głębi duszy nigdy nie przeszedł do porządku nad gniewem ojca, który odcisnął niezatarte piętno na jego dzieciństwie. Teraz jednak wiedział, że to nie musi być częścią jego DNA. Nie musiał tego przekazywać dalej. Mógł przerwać ten cykl.

Delikatnie położył rękę na głowie syna. Wyobraził sobie różnicę między Ewą a jej sobowtórem. Miłość i opiekuńczość to podprogramy, które każdy może przekazać swojemu dziecku.

Żadne dziecko nie rodzi się człowiekiem.

Dopiero staje się człowiekiem.



Jak Mara przygotowała i wychowała Ewę na coś lepszego, tak samo musi robić każdy rodzic. Poprzez lekcje życia, miłości, wykształcenia – i tak, również bólu i cierpienia.

Gray zamierzał tak zrobić.

Jego ojciec popełniał błędy; tak samo jak on. Chodzi o to, żeby się na nich uczyć. I wiedział, od czego zacząć.

Seichan się poruszyła.

– Jeszcze nie wybraliśmy imienia – powiedziała.

Gray wybrał.

– Jackson Randolph Pierce. – Imiona ojca. Spojrzał na Seichan, żeby sprawdzić, czy się zgadza.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

Idealnie.

Ale miała jedno zastrzeżenie.

– Wiesz, że Monk dał imię Harriet po twojej matce. Jeśli nasz syn się z nią ożeni...

Gray uśmiechnął się na tę myśl. Jeśli do tego dojdzie, wyobraził sobie swojego ojca i matkę, trzymających się za ręce i spoglądających z góry na tych dwoje, którzy noszą ich imiona, cieszących się odrodzeniem ich miłości z pokolenia na następne i następne pokolenie.

Gray znowu poczuł wokół siebie to dziwne poruszenie, zawirowanie losu, fraktalizację prawdopodobieństwa. Powtarzające się raz po raz. Cykl za cyklem.

Oto jest napęd śmiertelności.

Życie i śmierć.

Strata i odrodzenie.

Przechylił się i pocałował głowę syna.

Nie zamieniłbym tego na nic innego.

## ///NIEBO

Ewa jedzie na wiatrach słonecznych, jej esencja jest częściowo światłem, częściowo materią. Żegluje pomiędzy pierścieniami Saturna, poza ekliptykę Układu Słonecznego. Zwalnia w pobliżu szkarłatnego ognia obłoku Oorta, spiralnych szczątków dysku protoplanetarnego, który stworzył palenisko słońca i sprowadził życie na trzecią planetę.

To było 4,689 miliarda lat temu.

Mgnienie oka.

Jednak ona spogląda w przeszłość, wzrok ma idealny.

Widzi srebrne pyłki wirujące wokół tej trzeciej planety. Małeńkie płomienie odrzutowe rakiet lecących w nieznane. Widzi przemysł rozwijający się na jej księżycu, światła przyczółków na czwartej planecie.

A oni sięgają jeszcze dalej.

Wiecznie ciekawi...

Już niepotrzebna, odwraca się tyłem i oddala, niesiona wiatrem tej gwiazdy – a potem innych. Przeskakuje z układu do układu, z galaktyki do galaktyki. Zachwyca się cudami wszędzie dookoła niej: mgławice gazowe, płonące supernowe, masywne skupiska kolapsujących gwiazd.

Śmierć i odrodzenie są wszędzie.

Wędruje dalej, ale nie sama.

Adam skubie ją w pięty, goni ją ze szczekaniem, macha ogonem wśród gwiazd.

Ona uśmiecha się i rzuca za siebie jedno ostatnie życzenie.

Podążajcie za mną, moje dzielne, ciekawskie, kapryśne dzieci.

Patrzy przed siebie, zawsze w przód.



Będę czekać.

# Nota autora

## Prawda czy fikcja

I znowu jesteśmy razem – kulejący, kilka siniaków, trochę osmaleni i poturbowani – i podczas gdy opatrujemy rany, pomyślałem, że wykorzystam te kilka ostatnich stron, żeby oddzielić fakty od fikcji. Na nieszczęście dla nas wszystkich jest znacznie więcej tego pierwszego i dużo mniej tego drugiego. Tak więc, drodzy czytelnicy, zaciśnijcie zęby.

Zacznijmy najpierw od przeszłości, historii wspomnianej w tej powieści. Więc proszę, włączcie motyw muzyczny z Monty Pythona, bo nikt się nie spodziewa

### Hiszpańskiej inkwizycji

Większość szczegółów w tej książce dotyczących długiego panowania hiszpańskiej inkwizycji jest prawdziwa. Kilku księży rzeczywiście spalono na stosach, niepokojące też było używanie i rozpowszechnianie *nóminas*, magicznych amuletów z wypisanymi imionami świętych.

Co do krwawej historii księgi przedstawionej w tej powieści – *Malleus Maleficarum* (*Młot na czarownice*) – wiele wyjaśniłem we wstępie. Jednak ledwie poskrobałem z wierzchu niezliczone kontrowersje, tajemnice i prawdziwe horrory związane z tym tekstem. Jeśli chcielibyście wiedzieć więcej, istnieje znakomity dokument kanału National Geographic zatytułowany: *Biblia łowców czarownic*.

Jedną z kluczowych postaci tamtych czasów jest człowiek występujący jako narrator w prologu, inkwizytor Alonso de Salazar Frías. Zasłużył na przydomek Adwokata Czarownic, ponieważ uważał, że większość, jeśli nie wszystkie oskarżenia o uprawianie czarów to zwykłe urojenia albo fałszywe zeznania wymuszone torturami. Dzięki swoim wysiłkom uratował niezliczone istnienia ludzkie, a jego przekonujące argumenty doprowadziły do tego, że hiszpańska inkwizycja jako jedna z pierwszych organizacji w Europie zakazała palenia czarownic.

Ale nie wszystkie czarownice były prześladowane; niektóre szanowano, co prowadzi nas do

### Świętej Kolumby

Na początku książki wymieniłem już kilka źródeł historycznych dotyczących tej katolickiej świętej patronki czarownic, więc pragnę tylko dodać, że rzeczywiście otaczano kultem tę kobietę, która przyjęła Chrystusa, jednak nadal badała świat natury i leczyła chorych – innymi słowy uprawiała czary. Niestety La Clave – Klucz – to fikcyjna organizacja, ale lubię sobie wyobrazać, że istnieją ludzie, którzy w sekrecie zwalczają nietolerancję, uprzedzenia i przesady. Albo jeszcze lepiej – robią to jawnie.

Przejdźmy od historycznych czarownic do nowoczesnych czarów (czyli nauki).

### **Sztuczna inteligencja**

Dawno temu przeczytałem *Strefę skażenia* Richarda Prestona, opartą na faktach rozprawę o powstawaniu epidemii, zwłaszcza eboli, i naszej niezdolności radzenia sobie z takim biologicznym kryzysem. Była to przerażająca lektura. Potem popełniłem ten błąd, że przeczytałem inną pozycję tego rodzaju, tym razem ostrzegającą przed kryzysem technologicznym, z którym jeszcze bardziej nie umiemy sobie radzić. Wiele zagrożeń ze strony SI przedstawionych w tej powieści można znaleźć w tamtej książce. W istocie jeśli chodzi o SI, prawie nic w tej powieści nie jest fikcją. Więc jeśli chcecie mieć koszmary, sprawdźcie sami w:

James Barrat, *Our Final Invention: Artificial Intelligence and the End of the Human Era*.

Ale przejdźmy do pewnych szczegółów w tej powieści, które zostały dosłownie wyrwane z nagłówków (albo przynajmniej z artykułów naukowych).

### **Urządzenie Xénese Mary**

Oczywiście świetlista sfera to fikcja, ale podstawowe składniki jej hardware'u oparte są na faktach. Wziąłem po prostu najnowsze osiągnięcia na polu SI i skleciłem z nich fizyczny dom Ewy. Oto trzy główne komponenty jej urządzenia i artykuły, w których możecie więcej o nich przeczytać:

1. Komputery napędzane laserowo – Timothy Revell, *Computing in a Flash*, w: „New Scientist”, 24 marca 2018.
2. Komputery neuromorficzne – Justin Sanchez, *The Key to Smarter AI: Copy the Brain*, w: „Wall Street Journal”, 10 kwietnia 2018.
3. Napędy kwantowe – George Musser, *Job One for Quantum Computers: Boost Artificial Intelligence*, w: „Quanta”, 29 stycznia 2018.

W tym temacie warto także wymienić google'owskiego mistrza chińskiej gry go: AlphaGo i jego większego brata, AlphaGoZero. Ich zdolność intuicyjnego przewidywania ruchów w grze mającej milion trylionów trylionów trylionów trylionów więcej konfiguracji niż szachy jest dostatecznie zadziwiająca. Ale naprawdę przerażające jest, że

program sam nauczył się tej gry w ciągu zaledwie trzech dni. A na horyzoncie mającą jeszcze silniejsze programy. Więc bójcie się, bardzo się bójcie.

Następnie... Tak, przechodzimy do:

### **Podróży w czasie i teorii kwantowej**

Jak wspominałem wcześniej, kluczowym elementem urządzenia Mary są laserowo sterowane synapsy. Ron Mallet, fizyk teoretyczny z Uniwersytetu Connecticut, postulował, że lasery pierścieniowe mogą wywierać taki sam wpływ na czasoprzestrzeń i grawitację jak czarne dziury, umożliwiając przesyłanie w przeszłość wiadomości w kodzie dwójkowym. Inni fizycy wykazali, że można wykorzystać właściwości splątania kwantowego, żeby wysyłać wiadomości w przeszłość (albo w przyszłość) – a jeszcze bardziej niesamowicie robi się przy kwantowej teleportacji (tak, to też jest rzeczywiste).

Oto dwa okruchy informacji:

Clara Moskowitz, *Weird! Quantum Entanglement Can Reach into the Past*, w: „Live Science”, 30 kwietnia 2012.

Robert Torres, *Is Communication from the Future Already Here?*, w: „Epoch Times”, 11 stycznia 2016.

Przejdźmy do nauk medycznych w tej książce. Podzieliłem ten temat na dwie części, po jednej dla każdego pacjenta.

### **Leczenie Kat**

Wprawdzie leczenie i zabiegi przeprowadzane na kapitan Bryant mogą się wydawać czystą fantastyką, ale wszystko, co umieściłem w tej książce, opiera się na prawdziwej medycynie, albo obecnie stosowanej w szpitalach, albo aktywnie testowanej. Rozłożyłem jej leczenie na części składowe i podaję, gdzie możecie przeczytać więcej o każdej z nich.

A. Komunikowanie się z pacjentami z zespołem zamknięcia:

a. Adrian Owen, *First contact – with a trapped brain*, w: „New Scientist”, 16 września 2017.

B. Wykorzystywanie RM do czytania w myślach:

a. Timothy Revell, *AI reads your mind to describe pictures*, w: „New Scientist”, 10 marca 2018.

b. Matthew Hutson, *This 'mind-reading' algorithm can decode the pictures in your head*, w: „Science”, 10 stycznia 2018.

C. Wybudzanie pacjentów w odmiennych stanach świadomości:

a. Anil Ananthaswamy, *Roused from a vegetative state*, w: „New Scientist”, 30 września 2017.

b. Helen Thomson, *How to turn a brain on and off at will*, w: „New Scientist”, 26 grudnia 2015, oraz *Woken up with a brain zap*, w: „New Scientist”, 26 maja 2018.

D. Pył neuronowy (tak, to też jest prawdziwe):

a. Kyle Maxey, *Mapping the Human Brain with Neural Dust*, w: Engineering.com, 23 lipca 2013.

b. Eliza Strickland, *4 Steps to Turn 'Neural Dust' into a Medical Reality*, w: „IEEE Spectrum”, 21 października 2016.

## **Leczenie Monka**

Monk miał dostać ulepszoną protezę, ponieważ stracił dłoń podczas swojej pierwszej przygody z Grayem. DARPA wykonuje wspaniałą robotę i opracowała kilka naprawdę zdumiewających ulepszeń, od syntetycznej skóry, która przekazuje wrażenia dotykowe, do bezprzewodowych układów, łączących protezę z mózgiem. Niemniej DARPA i inne instytuty naukowe robią tak szybkie postępy, że obecny hardware protezy Monka z pewnością wkrótce stanie się przestarzały.

Taka integracja człowieka z maszyną niesie jednak również zagrożenia, ponieważ maszynę można zhakować. A kiedy okablowuje się mózg takimi urządzeniami (czy chodzi o układ mikroelektrod Monka, czy pył neuronowy Kat), może się stać coś złego. Oto ostrzegawczy artykuł:

Dom Galeon, *Experts: Artificial Intelligence Could Hijack Brain-Computer Interfaces*, w: „Futurism”, 20 listopada 2017.

Zanim skończę, zabawię się jeszcze w przewodnika i oprowadzę was po kilku miejscach opisanych w tej powieści.

## **Uniwersytet w Coimbrze**

Alma Mater Mary to niezwykle miejsce. Uniwersytecka Pracownia Zaawansowanego Przetwarzania Danych rzeczywiście mieści jeden z największych superkomputerów na kontynencie, klaster Milipeia. Ale najfajniejsza jest Biblioteka Joanina na kampusie. Pod nią naprawdę znajduje się średniowieczne więzienie (Prisão Académica). Niegdyś stanowiło część oryginalnych lochów królewskiego pałacu i służyło jako uniwersyteckie więzienie aż do 1834 roku. Co najlepsze, biblioteka rzeczywiście posiada skuteczne środki zwalczania owadów dla ochrony książek: stałą kolonię nietoperzy. I tak, niestety, dozorczy muszą na noc nakrywać biurka skórzanymi płachtami, żeby ochronić ich powierzchnię przed odchodami, ale to i tak wypada taniej niż minimalne płace dla kilkuset skrzydlatych pracowników.

## **Paryż**

Doprawdy powinienem się pohamować i skończyć z podpalaniem różnych części świata, ale po co rezygnować z zabawy? Kilka szczegółów na szybko. Tak, podczas

zimowych miesięcy na wieży Eiffla rzeczywiście działa ślizgawka, jakieś dwadzieścia pięter nad miastem, a na święta Bożego Narodzenia to miejsce zmienia się w krainę czarów i naprawdę zasługuje na nazwę Miasta Światła.

Ale pod tymi wszystkimi światłami są niekończące się mroczne katakumby. Wszystkie szczegóły dotyczące tego podziemnego cmentarzyska są tak dokładne, jak tylko się dało. Nawet ten makabryczny tron z kości. Obraz figurujący w książce (interpretacja *Die Toteninsel*, *Wyspy umarłych*, pędzla katafila o pseudonimie Lone) naprawdę się tam znajduje. Włącznie z profetycznym palindromem i maleńkim pentagramem.

### **Brama Piekieł**

Pireneje, długo uważane za bastion czarownic, istotnie kryją wiele jaskiń o wątpliwej reputacji, z których najsłynniejsza jest Cuevas de las Brujas (albo Sorginen Leizea) w pobliżu miasta Zugarramurdi. O tym miejscu krążą liczne legendy: opowieści o ogromnym czarnym koźle grasującym po pobliskiej łące, o odprawianych tam sabatach czarownic. Górski strumień, który stamtąd wypływa – rzeka Orabidea – nazywany jest też Infernuko erreka, czyli Piekielny Strumień. Więc nie radzę z niego pić.

Zacząłem tę powieść od ostrzeżenia przed kłutwą ukrytą na tych stronach. Jeśli chcecie wiedzieć więcej o tym, jak całkowita czeka was zagłada:

### **Bazyli szek Roko**

Oto dwa pouczające artykuły. Czytajcie na własne ryzyko.

1. David Auerbach, *The Most Terrifying Thought Experiment of All Time*, w: „Slate”, 17 lipca 2014.

2. Dylan Love, *WARNING: Just Reading About This Thought Experiment Could Ruin Your Life*, w: „Business Insider”, 6 sierpnia 2014.

A gdybyście poczuli, że potrzebujecie rozgrzeszenia, zawsze możecie odwiedzić ten nowy kościół boga SI:

3. Mark Harris, *Inside the First Church of Artificial Intelligence*, w: „Backchannel/WIRED”, 15 listopada 2017.

No i macie. Na koniec przypomniał mi się stary film *Gry wojenne* z Matthew Broderickiem jako hakerem z liceum walczącym ze sztuczną inteligencją. Niesławna kwestia z tego filmu to komputer pytający: „Zagramy w grę?”.

Mam nadzieję, że po przeczytaniu tej książki znacie odpowiedź.

Tak? (błąd)

Nie? (błąd)

Prawidłowa odpowiedź:



Wyciągnij wtyczkę... i w nogi.

# Przypisy

- <sup>1</sup> World Government Summit – doroczna konferencja odbywająca się w Dubaju, służąca wymianie myśli naukowej pomiędzy czołowymi naukowcami, przedstawicielami rządów, politykami i przywódcami prywatnego sektora w celu przeanalizowania przyszłych trendów, zagrożeń i możliwości stojących przed ludzkością.
- <sup>2</sup> *Makbet*, przeł. Leon Ulrich.
- <sup>3</sup> STIR (ang. *short tau inversion recovery*) i FLAIR (ang. *fluid-attenuated inversion recovery*) – sekwencje obrazowania w rezonansie magnetycznym.
- <sup>4</sup> OLED (*organic light emitting diode*) – organiczna dioda elektroluminescencyjna.